

ZBIGNIEW STYPUŁKOWSKI

ZAPROSZENIE DO MOSKWY

Mam lat czterdzieści sześć. To znaczy, że urodziłem się dostatecznie wcześnie, aby — w dziecięcym jeszcze wieku — wziąć udział w zmaganiach o niepodległość Polski, po stu z górą latach jej niewoli.

Dwa ostatnie pokolenia narodów Europy Zachodniej i Ameryki Północnej złożyły obfitą daninę krwi w walkach z potężnym wrogiem, który zbuntowawszy się przeciw wspólnej nam wszystkim cywilizacji, chciał narzucić swe panowanie całemu światu. Jest jednak głęboka różnica między położeniem tych narodów a położeniem Polski. Zażywały one niemal nieprzerwanie wolności i miały długie okresy, w których obywatele ich poświęcać się mogli swobodnie życiu osobistemu oraz rozwojowi nauk, sztuki i umiejętności, nie związanych bezpośrednio z zagadnieniami bytu narodowego. Naród Polski, którego rozdarcie i niewola — po krótkim okresie nadziei na odrodzenie — potwierdzona znów została przez Kongres Wiedeński 1815 r., całą swą energię wysilił na walkę z grożącą mu zupełną zagładą i wchłonięciem przez zaborców. W warunkach tych dojrzał i rozgorzał patriotyzm polski, patriotyzm o niespotykanym gdzie indziej napięciu, często niedostatecznie rozumiany za granicą. Z głębokim umiłowaniem i wolą zachowania polskiej odrębności i indywidualności narodowej łączył on zawsze poczucie przynależności Polski do wielkiego duchowego dziedzictwa, na którym wyrosły i wykształciły się narody zachodniego chrześcijaństwa.

Już jako człowiek dojrzały mogłem obserwować olbrzymi wysiłek, jaki Naród Polski wkładał w odbudowę swego państwa, w odrabianie bolesnych braków i zaniedbań okresu niewoli, w leczenie ran zadanych przez Pierwszą Wojnę Światową. Z podziwem, a niekiedy i z przerażeniem patrzyłem, z jaką ufnością, energią i entuzjazmem wkracza znów Polska na arenę dziejową.

Postęp, jakiego Polska dokonała we wszystkich dziedzinach życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego, nie jest dziś na-

leżycie oceniony w wolnym "świecie. Polityka „appeasementu“ w stosunku do Rosji Sowieckiej, propaganda komunistów i ich popleczników oraz względy politycznej „expediency“ spowodowały, że w ciągu ostatnich lat kilku większy nacisk kładło się na prawdziwe czy urojone błędy przedwojennej polityki polskiej — błędy, od których, w tej czy innej postaci, żadne państwo nie było wolne, — niż na wielkie dokonania tego dwudziestolecia niepodległości. Do tej pory ukazują się w Krajach Zachodu książki, w których Polska tego okresu — wbrew wszelkiej rzeczywistości i wbrew analizie obiektywnych obserwatorów zagranicznych — przedstawiana jest jako kraj, w którym garść feudalnych obszarników trzymała w ujarzmieniu milionowe rzesze chłopskie. Rzadko tylko natomiast spotyka się wzmianki o reformie rolnej, w której wyniku większa część dużej i średniej własności ziemskiej przeszła w ręce małorolnych i bezrolnych, — o postępie gospodarczym i ustawodawstwie socjalnym, w którym Polska nie ustępowała żadnemu z czołowych narodów świata.

To wielkie dzieło odrodzenia i odbudowy przerwane zostało brutalnie przez najazd hitlerowski, który przyniósł ze sobą nową, jeszcze straszniejszą od poprzednich niewolę najpierw niemiecką, później sowiecką. Przedmiotem mej książki będzie właśnie ten okres wojny i kilku lat późniejszych — oraz moje w nim przeżycia.

Brałem udział w kampanii wrześniowej 1939 roku przeciw Niemcom. W swej walce o śmierć i życie Polska ugodzona została w zdradziecki sposób od wschodu przez sprzymierzone wówczas z hitlerowcami armie czerwone.

Zostałem wzięty do niewoli przez bolszewików — i spędziłem szereg miesięcy razem z przyszłymi ofiarami Katynia, w obozach położonych daleko za Moskwą. Znalazłem się później w obozie jeńckim w Niemczech. Wyostałem się stamtąd i przeżyłem pięć lat pracy w ruchu podziemnym w Polsce. Brałem udział w powstaniu warszawskim 1944 roku. Przechodziłem później gehennę narodu pod okupacją sowiecką. Jako jeden z szesnastu przywódców politycznych Kraju byłem sądzony przez Sąd Najwyższy Z. S. S. R. w słynnej sali kolumnowej w Moskwie. Opatrzność pozwoliła mi wrócić i stamtąd. Po powrocie do Warszawy poświęciłem szereg dodatkowych miesięcy na to, by z tego doskonałego punktu obserwacyjnego, jakim jest dziś niewątpliwie Polska, ocenić politykę i dążenia Rosji. W końcu 1945 r. wyostałem się z żelaznej kurtyny na Zachód.

Przeżycia moje nie są w Polsce czymś wyjątkowym. Przeciwnie, dziesiątki i setki tysięcy, ba, miliony moich współrodaków mogłyby przedstawić losy swe o wiele tragiczniejsze. Mogliby oni świadczyć sobą o najpiękniejszej właściwości mojego narodu — o zdolności do cichego i bezmiennego bohaterstwa, do każdej ofiary ze swego życia, wolności i mienia na rzecz umiłowanej sprawy. Niestety prochy ich rozrzucone są po polach Sybiru, Uzbekistanu, czy Kazakstanu, gdzieś po piwnicach sowieckich więzień, w krematoriach niemieckich obozów koncentracyjnych, czy w niezliczonych mogiłach leśnych, rozsianych po Polsce. Inni polegli na polach bitew, w murach Warszawy, na drogach i zagrodach.

Jest jeszcze wszakże wielu żywych. Najdzielniejsi z dzielnych walczą o codzienny byt Polski tam, za żelazną kurtyną. Piszą historię swą krwią i śmiertelnym potem, — i niewiedomo kiedy Opatrzność pozwoli któremu z nich opisać te zmagania w drukowanym słowie.

Trzeba zaś, aby świat poznał tragedię Polski i jej losy w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Wypowiedzi mężów stanu, polityków, publicystów, dziennikarzy, zbytnio kierowane są względami na bieżącą taktykę polityczną i wymogi chwili, by mogły się do tego przyczynić — choć niewątpliwie więcej się dziś mówi i pisze o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad światem ze strony sowieckiego komunizmu, niż to się działo jeszcze niedawno.

Pod wpływem namów mych przyjaciół brytyjskich i amerykańskich postanowiłem opowiedzieć w formie książki o wydarzeniach, które przeżyłem i w których brałem czynny udział, — o ile budzić one mogą ogólne zainteresowanie.

Nie będzie to pamiętnik w ścisłym znaczeniu tego słowa. Z treści mojego opowiadania zrozumiecie, że nie mogłem zachować ani notatek osobistych, ani też mieć w dyspozycji jakiegoś archiwum, z którego czerpałbym dokumenty, nazwiska, daty. Operuję żywą pamięcią i czerpię materiał z własnych tylko przeżyć i osobistych obserwacji. Czytelnik zechce pamiętać, że każde nieopatrzone z mej strony słowo, może spowodować nowe aresztowania, nowe cierpienia.

Jestem świadom, że pewne fakty przeze mnie opisane nosić będą dla opinii świata cechy dokumentu historycznego. Mam na myśli przebieg podstępnego aresztowania przywódców Polski podziemnej przez władze sowieckie, bezpośrednio po Konferencji Jałtańskiej, oraz opis metod, używanych w śledztwie przez sowiecki aparat sprawiedliwości dla uzyskania od oskarżonych po-

żądanych zeznań w osławionych procesach moskiewskich. W tych relacjach starał się będę być najbardziej ścisły.

Jestem jednym z pierwszych, którzy znaleźli się za „żelazną kurtyną“, mogą opowiadać prawdę. Jak twierdzą bolszewicy, jestem jedyny, który, nie przyznawszy się w śledztwie do winy, był następnie sądzony w publicznym procesie przed Sądem Najwyższym Z.S.R.R., został skazany i przebywa żywy na wolności. Może wypowiedzi moje przyczynią się do wyjaśnienia świata zagadki, jakie to metody śledztwa powodują, że tacy nieugięci wodzowie rewolucji proletariackiej, jak Zinowiew, Kamieniew, Bucharin, Rykow czy Piatakow, sławni marszałkowie i dowódcy jak Tuchaczewski, Jegorow, Jakir, Uborowicz, a także wybitni przywódcy podbitych przez Rosję Sowiecką narodów przyznali się do win, których nigdy nie popełniali.

Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdyby choć część odwiedzających jeszcze niekiedy Z.S.S.R. dyplomatów i mężów stanu całego świata zechciała rzucić okiem na te karty mojej książki, które opisują pertraktacje polsko-sowieckie i późniejszy mój pobyt w więzieniu. Może kartki te posłużą za przestrożę.

Niechaj czytelnicy mi darują, że opowiadań moich nie ubieram w barwy tak ponure, jak tragiczna jest nieraz ich treść. Zadaniem moim jest przedstawić wiernie wycinek z życia społeczeństwa polskiego. Społeczeństwo to w najtragiczniejszym nawet położeniu nie traci wiary. Walczy do ostatka swych sił przekonane, że Zachód nie może dopuścić do zniszczenia Narodu, który przez tyle wieków był jego wschodnim przedmurzem.

I.

S.p. ojciec mój opowiadał często, jak to zaczęła się moja kariera publiczna. Przyszedłem na świat jako dziecko bardzo słabowite i dlatego w pewnym momencie postanowiono ochrzcić mnie nie zwlekając. Było to w roku 1905, gdy na ulicach Warszawy ponawiały się rozruchy rewolucyjne, będące echem przegranej przez Rosję wojny z Japonią. Według ówczesnych obyczajów rodzice powieźli mnie w karecie do kościoła. Na jednej z ulic zatrzymał karetę silny oddział kozaków. Skąd? Dokąd? Po co? Padły ostre pytania. Naraz prowadzący oddział oficer spojrzął na mnie i zapytał: „*Kościuszko eto, ili kto?* — po czym uśmiechnął się i puścił nas wolno.

Rzecz polegała na tym, że rodzice na uroczystość chrztu przybrali mnie w narodowy strój ludowy, a na główkę włożyli konfederatkę. Kościuszko, stając w r. 1794 na czele powstania przeciwko najeźdźcom moskiewskim pociągnął za sobą do walki o wolność nie tylko ówczesne warstwy rycerskie, nie tylko mieszczaństwo, ale w dużej mierze i lud wiejski. Dla okazania zaś, że tym ludem nie pomiata, że walka toczy się na zasadach: wolni z wolnymi i równi z równymi, naczelnik Insurekcji nosił często jako swój ubiór strój chłopski: długą siermięgę i konfederatkę na głowie.

Symbolika ta głęboko utkwiała w pamięci polskiego społeczeństwa. I oto, gdy w sto dziesięć lat później klęska Rosji i jej wewnętrzne skutkiem tej klęski zachwianie się dały możliwość Polakom wyrazić ponownie ich niezmiennie uczucia patriotyczne, dokonywali tego nawiązując — jak to uczynił mój ojciec — do szlachetnych tradycji zrywu Kościuszki. Jak silnie ugruntowana musiała być ta symbolika, świadczy fakt, że nawet oficer kozacki w lof ją pojął — i uszanował.

Wracając zostaliśmy otoczeni przez tłum demonstrujących robotników, którzy ustawiali na ulicach barykady. „Wywrócić karetę“ — padały groźne okrzyki. Niemal w ostatniej chwili ojciec

wysunął poduszkę z dziecięciem przez okienko i zawołał: „Obywatele, przepuście, Kościuszko jedzie“. — „Kościuszko, Kościuszko“ — odpowiedziały mu echa z tłumu; wśród żartów i przyjaznych głosów karetta spokojnie ominęła barykady i zawiozła mnie przed dom rodzinny.

Jako chłopak sześciolatek powędrowałem do gimnazjum im. gen. Chrzanowskiego w Warszawie. Uczyłem się dobrze i jako prymus klasy podwstępnej zostałem zobowiązany do wygłoszenia na popisie wiersza okolicznościowego. Pamiętam jeszcze dziś straszliwą treść i uczucie pełnej pustki w głowie, jakie mi towarzyszyły przed tym pierwszym moim publicznym wystąpieniem, oraz spokój, jaki mną owładnął gdy wyrzuciłem z siebie pierwsze słowa. Do dziś, choć od tego czasu upłynęło już czterdzieści lat, ilekroć zabieram publicznie głos, odczuwam niezmiennie te same reakcje.

Pozwolenie na otwarcie polskiego gimnazjum w Warszawie otrzymał gen. Paweł Chrzanowski od rządu rosyjskiego, jako wyraz wymuszonych na Moskalach przez rewolucję, strajki szkolne i podobne temu akcje, tendencji łagodniejszego traktowania ludności polskiej byłego Królestwa Kongresowego. Mizerne były te polskie uprawnienia w gimnazjum. Tylko religia i język polski wykładane były po polsku — wszystkich innych przedmiotów, nie wyłączając przyrody i arytmetyki, uczono obowiązkowo po rosyjsku. Młodzież jednak mogła wreszcie porozumiewać się ze sobą w rodzinnym języku — i w szkole panował duch bezwzględnie patriotyczny.

Toteż na lekcji języka polskiego już w najniższych klasach uczono nas potajemnie dziejów ojczystych. Do żadnego przedmiotu nie przygotowaliśmy się tak starannie, jak do tego, choć z niego nie było ani egzaminów, ani też nie stawiano stopni w cenzurach i dzienniczkach. Pewnego dnia wpadł do klasy woźny i podnieconym głosem zawiadomił nauczycielkę: „Proszę Pani, inspektor za chwilę przyjdzie na wizytację“. Mowa była oczywiście o Rosjaninie, którego zadaniem było czuwać nad lojalnością polskiej szkoły. Przeżyłem wtedy pierwszy dreszcz konspiracji. Nauczycielka, ze spokojem wytrawnej kierowniczką szybko wydawała polecenia. Wszystkie podręczniki historii polskiej, wszystkie zeszyty z notatkami pofrunęły za okno na dziedziniec szkolny, gdzie już je skrzętnie pozbierali woźni. Gdy do klasy wchodził inspektor w towarzystwie dyrektora szkoły, byliśmy pilnie zajęci pisaniem dyktanda, opanowując wzruszenie. Chodzi-

łem wtedy do pierwszej klasy gimnazjum i miałem lat dziewięć.

Z okresu tego utkwiło mi w pamięci jedno jeszcze przeżycie. Nauczyciel historii Rosji wezwał mnie kiedyś do tablicy i zaczął zadawać pytania z okresu dziejów upadku Rzeczypospolitej i zwycięstwa oręża rosyjskiego. W tym właśnie czasie, ucząc się potajemnie historii polskiej, żyłem wielkością epoki hetmana Żółkiewskiego i króla Stefana Batorego, kiedy wpływy kulturalne i polityczne Polski przenikały głęboko na wschód i zdawało się, że na zawsze zwiążą Rosję z Zachodem. Dziecinny umysł nie umiał znaleźć wyjścia z tej sytuacji. I choć żadaną przez nauczyciela odpowiedź umiałem na pamięć według podręcznika rosyjskiego, choć płakałem na myśl o stopniu niedostatecznym, który mnie czekał, przemilczałem wszystkie pytania. Otrzymałem dwójkę.

Działo się to przed samym wystawieniem cenzur. Rzecz jednak nie skończyła się tragicznie. Ponieważ ze wszystkich innych przedmiotów miałem stopnie celujące, Rada Pedagogiczna uprosiła porządnego w gruncie rzeczy nauczyciela — Rosjanina i podwyższył mi on stopień z historii Rosji na czwórkę. Matka jego była Polką, — może rozumiał, co się działo w umyśle chłopca.

Nadszedł rok 1914, rok wojny światowej, wymarzonej w snach szeregu pokoleń powstańczych, wyczarowanej w poezji wieszczów, zapowiedzianej przez polską myśl polityczną. Okazało się, że mieli słuszną rację ci, którzy twierdzili, że niewola Narodu Polskiego musiała się skończyć kataklizmem światowym — tak jak zdaniem moim każda próba ponownego zakucia Polski w jarzmo — skończy się nieodwołalnie tym samym. Jest to prostym wynikiem kluczowego, a niedocenianego jeszcze często na Zachodzie, znaczenia Polski i całego pasa Europy Środkowo-Wschodniej między Bałtykiem a morzami Czarnym i Adriatyckim.

Lato tego roku spędzałem, nieświadom potęgi i grozy nadchodzących wydarzeń, w starym zamczysku, w pięknej górskiej miejscowości opodal granicy rosyjsko-austriackiej, przebiegającej podówczas o kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa. Biegałem po wzgórzach, kryłem się w lochach, łowiłem motyle, zbierałem owoce, a wieczorami odbywałem pierwsze zbiórki. Była nas gromada chłopaków, od ośmiolatków do piętnastoletnich wyrostków. Nie brakło nawet kilku ośmioklasistów, z których jeden zdał już maturę. Ci ostatni kierowali naszymi zbiórkami, otoczonymi tajemnością nawet w stosunku do niektórych rodziców. Wieczorami przy ogniskach śpiewałem pierwsze pieśni patriotyczne i słucha-

lem opowiadań o związkach wojskowych młodzieży, które ruszą do boju, gdy tylko Moskale z Niemcami wezmą się za łyby. Powoli starsi nasi koledzy zaczęli pojedynczo znikać; krążyły między nami słuchy, iż przekradają się przez granicę, wzywani do oddziałów strzeleckich.

Mobilizacja. Wielkie, czerwone afisze, rozlepione po wszystkich murach i płotach, mają, rzekłbyś magiczną siłę wprawienia świata w szaleńczy wir. Nikogo o nic się dopytać nie mogę, wszyscy i wszystko naokoło wydaje się mi straszliwie niezrozumiałe. Leżę wieczorem cicho w łóżku. Wielki księżyc świeci nad skałami, które echem odbijają spazmatyczny krzyk żony wezwanego na wojnę rezerwisty. Ktoś inny przejmującym głosem wyśpiewuje pożegnanie rodzinnej zagrody. Słyszę z drugiego pokoju szept matki do ojca: — „Jak myślisz, będzie wojna?“ — „Wypadki wskazują, że jest to bardzo możliwe“, — odpowiedział ojciec, — „Jakie szczęście, że to teraz, kiedy nasi chłopcy tacy mali, przynajmniej oni już na żadną wojnę nie pójdą“. Biedne matczyśko pomyliło się bardzo. Nie przypuszczała, jakie najdroższe jej sercu ofiary jeszcze poniesie, ani tego, że w trzydzieści z górą lat później sama nałoży mundur. Nie dziw, skoro brat mój najstarszy liczył wówczas lat dwanaście, ja dziesięć, a najmłodszy skończył ledwo siedem.

Wybuchła wojna. Wracałem do Warszawy wśród chaosu mobilizacji rosyjskiej, przeprowadzanej pośpiesznie w rejonie nadgranicznym i wśród panicznych wiadomości o posuwaniu się wojsk nieprzyjacielskich. Po raz pierwszy w życiu jechałem pociągiem towarowym, który nie miał swego rozkładu jazdy i w którym się szturmem zajmowało miejsce. Po raz pierwszy w życiu słyszałem rozpaczliwy krzyk zagubionych dzieci i odczułem bezwzględną przewagę siły fizycznej, reprezentowanej przez żołdactwo rosyjskie, nad jakimkolwiek porządkiem i prawem. Po raz też pierwszy straciłem swe mienie, które reprezentowane wtedy było przez zabawki i trochę książek.

W szkole zastałem już innych kolegów. Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, ci kilkunastoletni moi towarzysze przekształcali się w miarę biegu wydarzeń z małych, rozdokazywanych bębnow w świadomych wielkich przeznaczeń i ciężących na nich obowiązków obywateli swojego kraju. Gdy wspomnę teraz ich ówczesne dyskusje, ciekawość, z jaką wrywali sobie ostatnie wiadomości, pytania, które zadawali swoim nauczycielom, wydaje mi się jakbym widział małe, ale zorganizowane już społeczeństwo, przed-

wcześniej dojrzałe o lat kilka. Wpływał też na to dobór nauczycieli, często zresztą się zmieniających. Byli to przeważnie działacze niepodległościowi różnych obozów ideowych, z różnych części rozdartej Ojczyzny, którzy pod pozorem pełnienia obowiązków nauczycieli spełniali swe ważne zadania w ukryciu przed zaborcami. Zapładniali nas swymi ideami, często przechodząc do porządku nad tym, że na lekcji rysunków mówiło się o założeniu i celach Ligi Morskiej i Kolonialnej, a cała lekcja języka polskiego minęła np. na elementarnym wykładzie o socjaliźmie polskim.

Wielu spośród kolegów moich z tych czasów oddało życie za Ojczyznę. Dwóch z nich zginęło śmiercią lotnika, inni w obozach niemieckich. Dwaj Polacy pochodzenia żydowskiego zostali zamordowani w ghecie. Ci, co przetrwali, pełnią swą służbę patriotyczną dalej, niekiedy na odpowiedzialnych posterunkach — i tam w podziemiach w Kraju, hen za żelazną kurtyną, i tutaj, na emigracji, jak na przykład jeden z najstarszych więźniów Oświęcimia, cudem uratowany, obecny prezes Zjednoczenia Polskiego w Niemczech adwokat Jerzy Czarkowski. Wszyscyśmy czciliśmy z tego kryształowego źródła siły moralnej, jaką w owych czasach przełomu dziejowego reprezentowała polska szkoła społeczna.

Mijały lata wojny. Warszawa zmieniła okupanta. Na miejsce Rosji, która obiecywała Polsce zjednoczenie jej ziem pod berłem carów za cenę krwi i mięsa armatniego, przyszli Niemcy, którzy za tę cenę ofiarowali fikcję niepodległości w granicach kilku województw centralnych. Zmieniły się mundury, zmieniły się dekoracje i oszukańcze frazesy — pozostała ta sama twarda rzeczywistość: Polska wciąż jeszcze była w niewoli, a na jej ziemiach wciąż jeszcze toczył się najkrwawszy bój o przyszłość świata.

Przestałem się już uczyć języka rosyjskiego, nowe władze tego zakazały. Ale w mej dziecinnej pamięci znaki rosyjskiej mowy utrwaliły się na tyle, że w trzydzieści lat później pozwoliło mi to w więzieniu w Moskwie stanąć przed sowieckim sędzią śledczym uzbrojonym przynajmniej w kilka słów rosyjskich, a później w języku tym prowadzić swą obronę.

W 1916 r. wstąpiłem po raz pierwszy do tajnej organizacji. Zwała się „Narodowy Związek Koleżeński“. Byłem tam najmłodszy wiekiem i nieraz się nasłuchać musiałem wielu na ten temat docinków od starszych kolegów. W ogóle przez długie lata wielką moją chorobę stanowiło, że byłem „za młody“. Ale z biegiem czasu każdy się z tej choroby wyleczy i już dzisiaj raczej wzdycham, że jestem tak posunięty w wieku. Wtedy jednak cierpiałem ogrom-

nie w swej ambicji i starałem się przez swe wysiłki i zainteresowania dorównać na gwałt swoim starszym kolegom.

Gdy wspomnę ówczesne, niekończące się dyskusje na temat statutu związku, regulaminów, jego komisji i porządku obrad, cisną mi się na myśl porównania z niedawnymi jeszcze obradami Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Taki sam był mniej więcej poziom dyskusji i takie same święte przeświadczenie, iż od rozstrzygnięcia, czy dane zagadnienie nosi charakter proceduralny, czy merytoryczny, czy wniosek jest nagły, czy też formalny, zależą losy sprawy polskiej, niemal losy świata. Życie jednak płynęło swoim wartkim nurtem i nie mrugnęło okiem nawet na chwilę w stronę tych młodzieńczych projektów, regulaminów, procedur i uchwał.

W r. 1917 Niemcy, rozłożywszy Rosję przy pomocy nasłanych tam przez siebie w zaplombowanych wagonach przywódców komunistycznych, zawarli z nimi pokój brzeski. Znowu przy tym ofiarowali Rosji szmat ziemi polskiej; to dzielenie się żywym łupem powtarzało się już od lat stu kilkudziesięciu i miało się ponowić w r. 1939, kiedy spółka hitlerowsko-bolszewicka znów rozszarpała odrodzone Państwo Polskie.

W lutym 1917 r. Warszawa zawrzała. Wybuchły groźne manifestacje. Wziąłem w nich udział już jako zorganizowany członek społeczeństwa — i wtedy to po raz pierwszy powędrowałem do więzienia w Cytadeli.

Inne to jednak były jeszcze czasy. Czynu mego nie potraktowano poważnie i wprędce zostałem wypuszczony na wolność. Koledzy za to poczęli mnie bardziej szanować — i to był mój dorobek. Bo w Polsce od kilku pokoleń tak się już układają dzieje, iż nobilitację na działacza społecznego uzyskuje się dopiero poprzez Sybir, więzienie, czy obozy koncentracyjne.

Jedenastego listopada 1918 roku byłem, jak zwykle, w szkole. Chodziłem wtedy do szóstej klasy gimnazjalnej, miałem całych lat 14. Po pierwszej lekcji na dany przez starszych kolegów znak, zbraliśmy się wszyscy w sali gimnastycznej, by się tam dowiedzieć, że właśnie rozpoczęło się rozbieranie Niemców na ulicach. Niezapomniana była to chwila, gdy z ust tysiąca blisko młodzieży popłynęła pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“...

Nie było takiej siły, która by nas powstrzymała. Rzuciliśmy się na ulicę i jak kto mógł i czym mógł atakował zbaraniałych żołnierzy niemieckich, którzy w olbrzymiej większości wypadków poddawali się biernie losowi.

Zorganizowano straż o charakterze milicyjnym, złożoną z młodzieży starszych klas szkoły średniej, pod nazwą „Pogotowie Młodzieży“. Nałożyliśmy żółte opaski, na ramionach dźwigaliśmy karabiny poniemieckie, u każdego boku zwisiał bagnet.

Dowodziłem jednym z takich oddziałów. Ileż było dumy, a ileż przy tym radości — po cichu się Wam przyznam — nieraz i z tego powodu, że w tak historycznej godzinie nie trzeba było przez dłuższy czas odrabiać lekcji.

Zapamiętałem jeden szczególnie podniosły moment z mojej służby w tej dziecięcej milicji. Było to, kiedy do Warszawy triumfalnie zjechał, wraz z pierwszą misją ambasadorów państw sprzymierzonych, Ignacy Paderewski. Widziałem w swoim życiu dużo tłumnych manifestacji — zarówno najbardziej spontanicznych, jak i najlepiej przygotowanych, jak się stało modne w dobie ustrojów totalistycznych. Jednak tak żywiołowej manifestacji wielu setek tysięcy ludzi na rzecz wolności ich kraju, na rzecz łączności z Zachodem i jego rzymską cywilizacją, nie przeżywałem nigdy. W rękach manifestantów rozświetlało mroki nocy wiele tysięcy pochodni. Patriotyczne pieśni towarzyszyły nieprzerwanie oznakom entuzjazmu. Tłumy przelewały się po ulicach Warszawy do rana.

Na czele oddziału honorowego młodzieży uczestniczyłem w powitaniu Ignacego Paderewskiego na samym dworcu. Brałem udział w wyprzęganiu koni i ciągnąłem wraz z tłumem jego powóz. Wróciłem do domu bardzo wzruszony. Matka troskliwie wsunęła mi rękę za kołnierz i wyczula podwyższoną temperaturę. Istotnie, w wieku tym, reaguje się jeszcze żywiołowo na wszystko, co piękne i wielkie.

Powoli wróciliśmy do zajęć szkolnych. Wśród nieustannych walk o swe granice na wschodzie, południu i zachodzie, bez oręża i środków materialnych, bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, Naród Polski kształtował swą państwowość, wiedziony instynktem zaszczepionym przez tysiącletnią swą historię. Walcząc z Niemcami najpierw o Poznańskie, a następnie w trzech krwawych powstaniach o Śląsk, stawiając czoło, często dziecinnymi rękami, atakom na Małopolskę wschodnią i broniąc Lwowa, równocześnie ustawiał front przeciw groźnej od wschodu nawale bolszewickiej — groźnej już wtedy nie tylko dla Polski, ale dla całej Europy, a przez to dla świata całego. A jednocześnie niby w jakiś zaczarowany sposób układało się życie wewnętrzne Kraju, jakby

się to działo w społeczeństwie żyjącym w spokoju, dobrobycie i bez obawy już nie o dalszą przyszłość, ale zgoła o los dnia jutrzejszego. Ówczesne walki wewnętrzne, niepokoje i samosądy, braki i niedomagania, widziane z perspektywy dni dzisiejszych, dają obraz niedościgłej harmonii stosunków społecznych, o jakiej narody Europy obecnej marzyć będą jeszcze długie lata.

Toteż młodzież, żyjąc w patriotycznej ekstazie, miała jednak zarazem wszelkie warunki dla pogłębienia swojej wiedzy. Rankiem chodziliśmy normalnie na lekcje, po południu odrabialiśmy zadane tematy, a wieczorem w organizacjach, w czasie pogadań, niekiedy nawet i na wiecach publicznych, uzupełnialiśmy swe wykształcenie obywatelskie.

Jako ośmioklasista pojechałem na wakacje do swego przyjaciela Stanisława Froelicha, do jego rodzinnego majątku. Było to już w roku 1920.

Piękne to były wakacje. Wśród lasów, ciągnących się jednolitym pasem kilka dziesiątków kilometrów, szereg pięknych stawów urozmaicało krajobraz. Był to idealny teren do wielogodzinnych wycieczek konnych. Wychowany na bruku wielkomiejskim, z niezwykłą przyjemnością uprawiałem ten sport zazdroszcząc swemu przyjacielowi, który tak swobodnie władał koniem i tak dziarsko się na nim trzymał. Ranki spędzając na przejażdżkach i kąpieli, po południu za to oddawaliśmy się lekturze.

Naszym przywódcą duchowym był Roman Dmowski. Jego „Myśli nowoczesnego Polaka“ systematyzowały i pogłębiały naszą świadomość narodową i torowały drogę dla właściwego rozumienia obowiązków publicznych. Jest w tej książce ustęp, zaczynający się od słów: „Jestem Polakiem...“. Mówi on o tym, że każdy, kto należy do tego narodu, korzysta z dobrodziejstw jego dorobku i zasług historycznych — zarazem jednak musi brać odpowiedzialność za wszystkie jego błędy i trudności. Każdy, kto jest Polakiem, musi kochać naród taki, jakim on jest, i dźwigać zań odpowiedzialność, pracując zarazem nieustannie nad jego podniesieniem — dziś i w przyszłości i w każdym momencie jego egzystencji. Niewątpliwie obok dzieł Henryka Sienkiewicza, „Myśli nowoczesnego Polaka“ najbardziej ukształtowały mój narodowy światopogląd.

Respekt i uznanie dla Romana Dmowskiego wyrażaliśmy razem z moim przyjacielem w ten sposób, że w najbardziej widocznym miejscu, w gabinecie pięknego szlacheckiego, modrze-wiowego dworku, umieściliśmy jego portret. I jeśli która z pa-

nienek — a nadchodził już wtedy moment, kiedy zaczynałem się nimi interesować — chciała trafić do naszych serc, musiała otoczyć portret świeżym wieńcem z dębowych liści.

Były to dni, gdy po triumfach młodego oręza polskiego, wiedzonego ręką Piłsudskiego aż za Kijów, wielka nawała bolszewicka przerwała szczupłe siły polskie i szerokim korytem posuwała się ku rdzennym ziemiom polskim. Zdawało się, iż nie ma już ratunku dla Polski, której odrodzona od roku dopiero państwowość, po sześcioletnim wyniszczeniu ziem i zasobów przez wojnę, nie była w stanie przygotować niezbędnych rezerw. Upadek Polski, nie bronionej z dostateczną konsekwencją przez zmęczone wojną mocarstwa zachodnie, groził zagładą całej cywilizacji europejskiej.

Rosja bolszewicka, pewna triumfu, odrzucała wszelkie czynione przez mocarstwa zachodnie próby niezdarnych kompromisów i latania sytuacji z dnia na dzień, dążąc do połączenia swych sił z chaosem niemieckim, by tą drogą rozniecić w świecie rewolucję.

Codzień rano, nie czekając na pocztę, pomykaliśmy konno do najbliższego miasteczka po gazety i ostatnie wiadomości. Co dnia z coraz większym niepokojem śledziliśmy komunikaty wojenne, wskazujące na szybkie posuwanie się wroga w głąb kraju, aż wreszcie w wyobraźnię naszą uderzyła odezwa Komitetu Obrony Państwa, wzywająca wszystkich zdolnych do noszenia broni do szeregów.

Popołudnie tego dnia spędziłem pod okiem mego przyjaciela oraz zaufanego stajennego na generalnej próbie, jak wyglądają moje postępy w jeździe konnej. Czy umiem na komendę i bez strzemiion wskoczyć na siodło, czy będę zdolny odbyć konno trudy wojenne. Stwierdziliśmy bowiem obaj w trzeźwym obrachunku, iż nie starcza nam jeszcze sił na wielkie marsze piesze w rynsztunku bojowym. Na koniu, to co innego — jeszcze się z wrogiem porachujemy. Noc spędziliśmy bezsennie, rojąc na przemian o naszych planach, debatując gorąco o niebezpieczeństwie grożącym krajowi, to znowu szukając argumentów neodparty, które by wytłumaczyły rodzicom naszą decyzję wstąpienia do wojska.

Nazajutrz byłem już w Warszawie, gdzie zastałem zapłakaną matkę, którą właśnie starszy mój brat zawiadamiał o swym niezachwianym postanowieniu — takim samym, jakie mnie prowadziło. Ba, w kilka dni później przyjechał najmłodszy mój brat, który liczył wówczas zaledwie trzynaście lat, i również za-

ciągał się do służby harcercskiej. Spełniał swe obowiązki przez szereg miesięcy. w okresie grożącego krajowi niebezpieczeństwa, jako łącznik.

Młodzież szkolna stolicy, u której bram stały już hordy bolszewickie, zorganizowała też swój „Komitet Młodzieży Obrony Państwa“. Na wielkim wiecu tysięcy chłopców zabrałem po raz pierwszy publicznie głos. Argumenty starszych, a i rozbudzający się powoli krytycyzm spowodował, iż wzywając kolegów do wypełnienia obowiązku, równocześnie przestrzegałem, by na front szli nie po to, by zapelniać tam niezbędne dla walczących miejsca w szpitalach, lub aby być jedynie ciężarem dla tych, na których spoczywa odpowiedzialność za losy walki. Dlatego przed powzięciem decyzji każdy winien rozważyć, czy jego siły i zdrowie pozwalają iść na front, czy też raczej w inny sposób należy się przysłużyć sprawie zwycięstwa.

Wybrany zostałem do prezydium tego Komitetu wraz z późniejszym adwokatem Mieczysławem Przyjemskim, zamordowanym w czasie Drugiej Wojny Światowej w niemieckim obozie koncentracyjnym, i młodym, wybijającym się działaczem socjalistycznym, Stanisławem Dubois. Już wtedy po raz pierwszy odczułem, co to jest intryga polityczna i jak bardzo wygrane może być przeciwko człowiekowi wypowiedanie najszczerzych, a niekiedy najsluszniejszych nawet poglądów, jeśli nie są popularne. Już w kilka dni po wspomnianym wiecu wyczułem wśród niektórych spośród moich kolegów duże oziębienie w stosunku do mnie. Jeden z nich, usłużny, wyjaśnił, że moje przemówienie publiczne potraktowane zostało jako motyw do akcji przeciwko mnie jako temu, który uchyla się od frontu.

Miałem wówczas lat 16 i byłem po trzech zapaleniach płuc. Komisja poborowa, z uwagi na wiek i stan zdrowia, uznała mnie za zdolnego do służby wojskowej jedynie bez broni. W Dowództwie Okręgu Korpusu w Warszawie szybko awansowałem na szefa oddziału przepustek wojskowych. Gdy jednak posłyszałem taką interpretację mojego przemówienia, tego samego dnia zgłosiłem się do przełożonego chorążego, meldując swoje odejście na front. Ofuknął mnie, powiedział parę przykrych słów o „smarkaczach“ i odesłał do roboty. Wszystkie inne próby okazały się równie bezskuteczne. Byłem zrozpaczony, ale znalazłem inny sposób ratowania swego honoru.

Wiedziałem, że jedna z sekretarek szefa adiutantury Dowódcy Okręgu Korpusu, bardzo przez niego ceniona, mile reaguje na

moje wejrzenia. Gdzieś w korytarzu, wśród serdecznego nastroju, wyłudziłem od niej zobowiązanie, iż urobi adiutanta w guchu moich życzeń.

Po tym przygotowaniu meldując się z wystawioną już na moje imię przepustką, zakomunikowałem mu zamiar pójścia na front. — „Pan jest ochotnik, Pan chce służyć Ojczyźnie“ — adiutant przyjął mnie mile i podpisał przepustkę. Kwestią tylko było, do jakiego mnie przydzielić oddziału, bym udał się wprost na front, bez uprzedniego wyszkolenia wojskowego. Ze względu na zdrowie bałem się, że trudów życia koszarowego nie przetrzymam. W ostatniej chwili przyszedł mi na myśl jeden z tych, którzy w r. 1914 organizowały nasze zbiórki dziecinne, a o którym wiedziałem, iż służy w pociągu pancernym Lb. 16 „Mściciel“, gdzieś na froncie. Ten mi pomoże — pomyślałem sobie — i uzupełnię przepustkę poleceniem udania się do miejsca postoju „Mściciela“. Jeszcze dwa dni spędziłem w Warszawie, bo choć posiadałem już mundur i uzbrojony byłem w karabin, bagnet i dokumenty, wciąż jeszcze nie miałem odwagi przyznać się rodzicom.

Dotarłem do pociągu pancernego między Lublinem a Zamościem. Z niewielkiej odległości dochodziły odgłosy regularnej wymiany strzałów artyleryjskich. Wszędzie dokoła widniały ślady świeżo ukończonych walk. Zniszczone wagony kolejowe, porzucony sprzęt wojenny, trupy końskie, usypane dopiero co mogiły i drewniane krzyżyki z wrytymi koślawo nazwiskami wskazywały, że jestem u celu podróży. Załoga bojowa wróciła właśnie z linii frontu, przywożąc z sobą kilku rannych i zwłoki dwóch towarzyszy. Dowódca przyjął mnie uprzejmie i za wstawiennictwem mego przyjaciela, którego szybko odnalazłem, zaliczył do plutonu szturmowego. Rozpocząłem regularne życie żołnierza frontowego.

Właściwy pociąg pancerny składał się z dobrze opancerzonej lokomotywy, idącej w środku, z kilku takichże wagonów dla oddziału szturmowego, uzbrojonego w karabiny maszynowe — a w owych czasach także i ręczne — z dwóch lub kilku wagonów artyleryjskich i amunicyjnych, z przodu zaś i z tyłu pociągu doczepione były platformy z narzędziami i materiałem naprawczym. Ale prócz tego był pociąg towarowy, który zastępował normalne koszary i był punktem zaopatrzenia pociągu pancernego. Stał on w pewnej odległości od pierwszej linii boju. Co kilka dni bojowy stan pociągu pancernego zawracał do tyłu, do swych koszar, nabierał paliwa, zapasów żywności i nową amu-

nieję, wyrzucił z siebie wymęczoną w boju załogę, a jej miejsce zajmowali nowi, wypoczęci już żołnierze.

Przez pierwsze dni trudno mi było znaleźć wspólny język z moimi nowymi kolegami. Byli to wykolejeńcy życiowi, rodem z dalekich kresów Rosji. Na siedemnastu żołnierzy, którzy spali obok mnie na pryczach, przymocowanych w trzech rzędach do ścian wagonu, nie wielu tylko umiało czytać i pisać. Najmłodszy z nich był o dziesięć z górą lat starszy ode mnie. Każdy z nich miał już za sobą sześć lat wojny i tułaczkę po Rosji, Rumunii i innych krajach. Przeszli rewolucję na wschodzie i rzeź, — rabunek był w ich oczach zjawiskiem niemal zwyczajnym. Służyli dobrowolnie odradzającej się Polsce, bo instynkt patriotyczny trzyma się duszy polskiej najtrwalej. Ale te sześć minionych lat przygluszyło w nich niestety wiele z instynktów moralnych.

Przede wszystkim nie mogłem się z nimi porozumieć: na każde zwrócenie się nader uprzejme: „Proszę Pana, może Pan będzie łaskaw“ spotykałem się najczęściej z formą odpowiedzi, jakiej nie rozumiałem, a jaka swą ordynarnością wprost mnie przerażała. Był to ów znany, koszarowy język żołnierski, który kilkunastu plugawymi, bezsensownymi wyrażeniami zastępuje wszystkie pojęcia, potrzebne do porozumiewania się w tych prymitywnych warunkach życia. Funkcję jedzenia w tym języku oddaje się tym samym wyrażeniem, co funkcje fizjologiczne zgola innej natury, a zniekształcone słowo „matka“ łączy się jednym tchem ze słowem „kurwa“.

Już na drugi dzień poczułem się uwolniony od wszelkich zapasów czekolady, bielizny i wszystkiego tego, co matka przygotowała mi troskliwie na wojenną tułaczkę.

W kilka dni później w nocy zbudziło mnie przeciągłe wołanie: „Alarm!“. Według regulaminu służby winienem być w tym wypadku w ciągu kilku chwil być gotowym do objęcia służby w wozie pancernym, zerwałem się więc z górnej pryczy i znalazłem się na podłodze wagonu. Był to jednak alarm fałszywy. Żołnierze, moi towarzysze, zapragnęli mego udziału w zabawie towarzyskiej, której nazwa pochodna jest od określenia tylnej części ciała ludzkiego. Jeden z towarzyszy zasłonił mi oczy i zmusił do obnażenia się z tyłu. Pozostali walili pięściami w eksponowany w ten sposób cel jak w bęben. Musiałem zgadywać, od którego z siedemnastu kolegów otrzymałem uderzenie; jak długo się to nie udało, tak długo moja biedna „starsza pani“ puchła. Jak zresztą przypuszczam, nieco mnie przy tym oszukiwano.

Dość, że przez szereg dni potem nie byłem w stanie usiąść, a na twardej deskach przycy leżeć mogłem jeno na brzuchu.

Instynkt wchodzącego dopiero w życie chłopaka podpowiadał, iż muszę umieć wytrzymać wszystkie te przykrości z uśmiechem i że nie wolno nikomu się poskarżyć, — inaczej przepadnę. Uśmiech w stosunkach ludzkich to broń niezawodna. Rozbraja on przeciwnika skuteczniej od jakiegokolwiek oznaki gniewu czy zniecierpliwienia. Znamionuje wyższość duchową, której niemal zawsze, po pewnym czasie poddają się ludzie słabsi kulturą duchową, choć czynią to często wbrew swej woli i nawet z irytacją. Uśmiech wzmaga siłę wewnętrzną, gdy chodzi o przetrwanie najtrudniejszych, a niekiedy i najpodlejszych sytuacji, jakie człowiek w walce z człowiekiem wymyślić potrafi.

Powoli zaklimatyzowałem się w tym nowym dla mnie środowisku, przestałem razić żołnierzy swoją delikatnością form, filigranowością fizycznej postawy; przeciwnie polubili mnie, otoczyli opieką w trudnych nieraz wojennych warunkach i otworzyli swe serca. Przy ognisku wieczorami nasłuchiłem się dziwnych opowieści, wobec których najbardziej fantastyczne przygody rozbójnicze, czytywane w książkach dla młodzieży, wydawały się nikle i mało interesujące. Ale w tych opowieściach było też tyle ludzkiego bólu, tyle podświadomego szukania prawdy, tyle tęsknoty za innymi, poza wódką i dziewczyną, wartościami życia, iż pojąłem, że człowieka sądzić nie można tylko według jego zewnętrznej skorupy.

W ciągu tych miesięcy wojny zaczerpnąłem z życia wiele doświadczeń. Gdy po dłuższym pobycie na linii frontu zajechaliśmy wreszcie do Brześcia nad Bugiem, większość załogi pociągu pancernego otrzymała przepustki na miasto. Zdziwienie moje było wielkie, gdy wracając z łaźni, na jednej z ulic tego wyludnionego wówczas grodu ujrzałem prawie wszystkich moich kolegów, stojących w oczekiwaniu czegoś w ogonku. Wyjaśnienie, jakie otrzymałem, było wówczas dla mnie rewelacją. Wszyscy oni czekali swej kolejki do dziewczyny publicznej, która za każdym razem wylewała przez okno na ich głowy brudną wodę z miednicy, zaśmiewając się głośno ze swego dowcipu.

Kiedyś nasz pociąg towarowy przesuwiał się zwolna opodal frontu. Podbiegła do wagonu, w którym mieszkałem, jakaś kobieta, jeszcze dosyć młoda i prosiła o kawałek chleba. Wciągnięto ją do wagonu i nakarmiono do syta. Przysłonięto nieco ręcznikiem jedną z przycy i na niej rozpoczęły się miłosne karesy. W ciągu no-

cy przesunęło się przez tę pryczę trzynastu mężczyzn. Jakże mi było żal tej kobiety!

Zaopatrzenie oddziału naszego w żywność było na ogół zadawalające. Nie myślcie Szanowni Czytelnicy, że chęć je w ten sposób przyrównać do tego, co w ostatniej wojnie otrzymywał żołnierz amerykański czy angielski. O tym obrońca ziemi polskiej nawet nie marzył. Ale gdy wspomnę, czym karmił się powstaniec warszawski przez sześćdziesiąt dni w r. 1944, muszę powiedzieć, że żyliśmy sobie wtedy dostatnio. Dokarmiła nas zresztą poczciwa „ciocia YMCia“ amerykańska i ze szczególnym rozrzewnieniem wspominam jej ówczesne mleko skondensowane, które w przeciwieństwie do obecnego było bardzo słodkie. Ciągnąłem je smakowicie z blaszanki na pohybel wszystkim zmartwieniom.

Bywały jednak na froncie i dni głodu, — wtedy, gdy pociąg pancerny walcząc nie mógł opuścić na czas swego stanowiska, bądź też gdy kozacy Budiennego przerwali tory, czy wysadzili mosty gdzieś na naszych tyłach.

Razu pewnego udało się w ten sposób luźnym oddziałom sowieckiej kawalerii odciąć nas przejściowo od tyłów. Żołnierze gorączkowo naprawiali tory, ostrzeliwane z pozycji nieprzyjacielskich, mieszczących się w pobliskich laskach. Drobnny ułamek szrapnelu skaleczył mi palec. Jednak silniej od bólu dolegał mi głód, który skręcał żołądek od dwóch dni. Stałem nieco z boku od grupy roboczej, gdy przysunął się do mnie plutonowy i zaproponował mi wyprawę po „złote runo“. O pół kilometra, może trochę więcej widniały chałupy wiejskie i wszystko wskazywało, że są w nich ludzie. Może uda się nam przynieść nieco żywności. Żaden pisarz nie odmaluje rozkoszy, z jaką w czas jakiś potem wchłaniałem barszcz z kartoflami, gościnnie mi odstępiony przez gospodarza najbliższej zagrody, będącego właśnie w trakcie jedzenia, — nie odmaluję jej tym bardziej ja, który nie mógłby należeć w żadnym wypadku do związku zawodowego literatów. To Wam tylko powiem, że gdy w dodatku napełniono mi jabłkami plecak, czułem się tak szczęśliwy jak chyba nigdy.

Pesymiści mówią, iż szczęście nigdy nie trwa długo. W tym wypadku niestety musiałem im przyznać rację. Droga powrotna do pociągu wiodła przez bagnistą łąkę. Deszcz mżył. Obciążony wewnątrz barszczem i kartoflami, a jabłkami na plecach, mogłem się posuwać tylko krok za krokiem. Gdy wtem, o zgrozo, pociąg pancerny potoczył się naprzód. Nie zdążyć doń, znaczyło zginąć marnie jako ofiara kręcących się dokoła kozaków. Począłem biec

nadludzkim wysiłkiem. Na szczęście dojrzał mnie dowódca i nakazał zwolnić. Skoczyłem na ostatni stopień ostatniego wagonu.

Na drugi dzień wezwany zostałem do raportu i otrzymałem za bezprawne oddalenie się od oddziału dwie godziny karnych ćwiczeń. Przydały się. W czasie tych ćwiczeń uzyskałem pierwsze elementarne wiadomości o sposobie obchodzenia się z bronią.

Nieodłączną towarzyszką żołnierza na froncie jest wesz. W pierwszej chwili budzi obrzydzenie, wywołuje odruchy buntu, Z czasem człowiek zżywa się z nią całkowicie i już tylko, gdy jest zbyt natrętna, spotyka się z reakcją. Żołnierz zwykł mówić, że wszy pobudzają mu obieg krwi i dlatego, zwłaszcza w porze zimy, są nawet pożyteczne. Byłem świadkiem takiego z nimi zdarzenia, którego nie można zaliczyć do zwyczajnych.

Było to już chyba w początkach września. Nasz pociąg pancerny posuwał się ruchem wahadłowym po małym odcinku na linii Zawady - Rejowiec, odcięty od reszty linii zniszczonymi po obu stronach torami. Z oddali wstrzeliwała się w nasze stanowiska artyleria sowiecka. Była zbyt daleko, byśmy mogli na to reagować, i prosiliśmy tylko Pana Boga, aby udało się dostatecznie szybko naprawić drogę. Słońce przygrzewało, w wagonach było w południe bardzo duszno. Bractwo nie zważając na ryzyko wyległo na dach. Najbliżsi mi z plutonu koledzy wyciągnęli z zana-drza kawał względnie jeszcze czystego papieru i wyrysowali na nim dwie linie. Wyobrażać one miały tor wyścigowy — dla wszy. Jedna określała stanowiska wyjściowe, druga, prostopadła do niej, linię biegu. każdy z uczestników zabawy dostarczyć musiał rumaka z własnej stajni, po czym ustawiano go na starcie. Gra w totalizatora osiągnęła olbrzymie stawki, uczciwie zręszta następnie rozplacone. Na dany znak każdy właściciel stajni odpowiednio przystosowanym patyczkiem pobudzał swą wesz do rozpoczęcia „biegu“. W dalszym już ciągu zabawy „dyrektor“ od wyścigów prostował osobiście kierunek, gdy wesz błądziła lub skrzy-wiła drogę. Właściciel zwycięskiej wszy, by wyrazić swą radość z powodu osiągniętego tryumfu i zgarniętych pieniędzy, wsuwał ją sobie zazwyczaj z powrotem za kołnierz. „Jedna mniej, jedna więcej“. Ten postępek spotykał się z powszechnym aplauzem kolegów, tłumnie przyglądających się przebiegowi wyścigów.

Jako żołnierz-ochotnik pociągu pancernego Lb 16 „Mściciel“ miałem tyle mniej więcej przygód, ile ich ma każdy przeciętny żołnierz na wojnie. Zacząłem od tego, że gdy koło uszu zagwizdał

mi pierwszy pocisk, upuściłem miskę z jedzeniem. Ale już po kilku tygodniach przyglądałem się z dachu wagonu wraz z innymi towarzyszami, jak bolszewickie szrapnele, miotane w stronę pociągu, nie donoszą lub przenoszą. Kiedyś, gdyśmy po takim spotkaniu wrócili do wagonu, okazało się, iż jedyny z załogi tego wagonu żołnierz, który, strachliwszy z natury, schował się w kącie, został tam ciężko ranny kulą szrapnelu. Dziwnym trafem wpadła ona przez otwór strzelniczy i ugodziła ofiarę własnej przezorności.

Miałem też zaszczyt ze szpicą wysuniętą przed pociąg wkroczyć pierwszy do oswobodzonego z oblężenia Zamościa, starego, historycznego grodu polskiego. Z tego samego Zamościa we wrześniu 1939 r. uciekałem przed nacierającą pancerną dywizją niemiecką. Dwukrotnie byliśmy otaczani przez bolszewików i dwukrotnie udało nam się przebić. Aż wreszcie skończyłem pierwszą swą wojaczkę na linii Brześć-Baranowicze, gdzieśmy oczekiwali na zawarcie zwycięskiego pokoju z Rosją Sowiecką.

Owego lata 1920 roku, w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej paręset tysięcy ochotników, zasiliło na wezwanie Ojczyzny omdlałe już z wysiłku szeregi walczących. Nie w wyszkoleniu bojowym była ich moc, — Europa nie pośpieszyła z należytych wyekwipowaniem — ani w wytrzymałości na trudy wojenne. Zwyciężyli jeno siłą moralną, którą Naród Polski tchnął w szeregi obrońców. I nic innego, tylko ta wielka siła zwyciężyła w walce ze wschodnim barbarzyńcą. Niedarmo lord D'Abernon, który z ramienia Anglii obserwował krytyczne dni w Polsce, w ogłoszonych potem wspomnieniach nazwał Bitwę Warszawską, rozpoczętą 15 sierpnia 1920 roku, — osiemnastą decydującą bitwą świata, która uratowała cywilizację. Polacy (a tę tę obchodzą jako Cud nad Wisłą).

W życiorysie swoim, który w czasie ostatniej wojny musiałem przedkładać różnym oprawcom po kolei — nie znajdziecie w wersji przeznaczonej dla bolszewików ustępu, o moich przygodach w wojnie polsko-sowieckiej. Ci, którym potrafię udowodnić udział w tej wojnie, z łagrów już nie wracają.

Pokolenia maturzystów przez długie lata zazdrościły nam, którzy kończyli swe średnie wykształcenie w warunkach powojennych. W mundurach wojskowych, często zaopatrzeni w krótką broń, niejednen z oznakami swych zasług bojowych — wyglądaliśmy tak groźnie i tak dojrzałe w obliczu naszych cywilnych nauczycieli, że trudno było zachować należyty rygor szkolny. Zawsze się też znalazło usprawiedliwienie dla nieodrobionej lekcji czy też

nieobecności. — „Stypułkowski, dlaczego Cię nie było w szkole?“ — „Musiałem się stawić w P.K.U. Pana Profesora jeszcze nie zwywali?“ Gdy tylko któryś z kolegów potykał się w odpowiedziach i zachodziła obawa, że dostanie stopień niedostateczny, cała klasa jak na komendę wysilała się, aby nawrócić uwagę profesora dominionych wspomnień, w których oczywiście „męczony“ uczeń odgrywał najbardziej wybitną rolę. Jakże postawić później dwójkę takiemu bohaterowi! W tych warunkach ostatnie miesiące szkolne i tak groźny zwykle egzamin dojrzałości, przeszły nader szybko i z dużym wdziękiem.

Korzystając z rozluźnionej dyscypliny, jako uczeń jeszcze, chodziłem dość często na wagary. Pasjonowały mnie obrady Sejmu Ustawodawczego i jego praca nad konstytucją Rzeczypospolitej, uchwaloną ostatecznie 17 marca 1921 roku. Po latach stu trzydziestu było to pierwsze przedstawicielstwo Narodu Polskiego, wybrane na podstawie najbardziej demokratycznej ordynacji, jaka istniała na świecie.

Mimo niezwykle trudnych warunków wojennych, mimo braku ukształtowanej dostatecznie administracji państwa, a przede wszystkim mimo tak długiej przerwy w swej egzystencji państwowej, Naród Polski sam i bez niczyjej pomocy z zewnątrz zdołał dokonać wyboru swego przedstawicielstwa w tak wzorowy sposób, że mógłby służyć dziś jeszcze niedościgłym przykładem większości innych narodów europejskich. Mężowie stanu, którzy rozstrzygają losy świata, niechaj by zatrzymali się chwilę nad tym momentem dziejów Polski powojennej jeśli rozważać będą kiedykolwiek na serio pytanie co trzeba, aby Polska mogła swobodnie wybrać reprezentantów swej woli? Trzeba tylko, aby była suwerenna.

Przysłuchiwałem się tym obradom, brałem nawet w nich udział z galerii tak żywy, że kiedyś zatrzymała mnie straż marszałkowska. Na tych posiedzeniach sejmowych, na mowach wielkich polityków polskich doby ówczesnej, a przy tym wybitnych jeszcze działaczy z czasów naszej niewoli: Marszałka Trąpczyńskiego, Wojciecha Korfatego, księdza Lutosławskiego, Ignacego Daszyńskiego — uczyłem się zagadnień publicznych szybciej nawet, niżeli rozwiązań matematycznych w szkole.

W 1921 roku wstąpiłem na wydział prawa i nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Życie młodzieży akademickiej znajdowało się tak samo w trakcie kształtowania się, jak życie Narodu Polskiego w trakcie ustalania jego form państwowych. To był

przyczyną, że wpływ młodzieży na życie publiczne był w owych czasach o wiele większy, niż zazwyczaj. Była ona wychowana na wzorach najbardziej demokratycznych. Jej instytucje, jak Bratnia Pomoc, jak Koła Naukowe, rządziły się na podstawie pełnej autonomii, a władze pochodziły z wyboru powszechnego.

W latach moich studiów ostatecznie sformowała się Rzeczpospolita Akademicka. Pięć było głównych jej nurtów działania: pierwszy — to daleko rozwinięta samopomoc koleżeńska, rozbudowująca domy akademickie, kuchnie, udzielająca zapomóg. Tym właśnie zajmowały się Bratnie Pomoce, istniejące na każdej uczelni i mające dziś głęboko zakorzenioną tradycję w społeczeństwie. Drugim nurtem były związki sportowe, które w rezultacie swej działalności przyniosły szereg rekordów polskich i upowszechniły kulturę fizyczną wśród młodzieży i w całym kraju. Nurtem trzecim były koła naukowe, które uzupełniały wykształcenie i pobudzały zainteresowania naukowe. Czwartym były tzw. koła prowincjonalne, w ostatnim zwłaszcza okresie przedwojennym podtrzymujące więź pomiędzy młodzieżą studiującą i tą wsią, miasteczkiem, czy powiatem, z którego dana grupa młodzieży pochodziła. Wreszcie dalszym nurtem płynęło życie młodzieży w korporacjach akademickich. Szczególną rolę w wychowaniu młodzieży odgrywały akademickie organizacje ideowo-polityczne, wśród których najsilniejszą była Młodzież Wszechpolska, wyznająca zasady i politykę obozu narodowego.

Zacząłem swe życie społeczne na terenie akademickim w jednej z korporacji, zwanej „Aquilonia”. Początek korporacji datuje się z czasów niewoli, gdy młodzież polska chcąc zdobyć należyte wykształcenie musiała wyjeżdżać za granicę. Skupiając się tam na wyższych uczelniach tworzyła własne związki, oparte częstokroć na wzorach obcych, ale rzucające zawsze cel narodowy: zachować kulturę polską i zmierzać ku niepodległości Ojczyzny. Korporant, posuwając się w różnych stopniach hierarchii organizacyjnej w czasie swego pobytu na wyższej uczelni, po jej ukończeniu przechodził w stan tzw. „filistrów” i w tym charakterze pozostawał w stowarzyszeniu już do końca życia. W ten sposób pomiędzy młodzieżą a jej starszymi kolegami z tej samej grupy życia społecznego czy zawodowego powstawał i utrzymywał się związek trwały, który daje później w życiu wielkie korzyści. Starsi, nie zrywając kontaktu z młodszymi i podtrzymując tradycje życia akademickiego, przedłużali w ten sposób swoją młodość, zacieśniaли kontakt z pulsującym życiem do najpóźniejszych lat. Młodzie

mieli stały dostęp do starszych swoich kolegów, zajmujących często w życiu zawodowym i społecznym poważne pozycje; powodowało to wśród młodych pogłębienie ich myślenia i dawało podtrzymanie w walce o byt.

W korporacjach akademickich chciano często widzieć przejawy „reakcyjności”. Twierdzenia takie dalekie były od prawdy. Formy życia wewnętrznego w korporacjach oparte były na zasadach całkowitej równości i swobody poglądów. Równocześnie jednak wychowywano u członków te elementy, których taki brak odczuwa się dzisiaj w życiu społeczeństwa: bezinteresowną przyjaźń, wzajemną ofiarność i odpowiedzialność za swe uczynki czy to w życiu akademickim, czy rodzinnym, czy wreszcie społecznym. Odpowiedzialność opiera się na wzajemnej, lojalnej kontroli koleżeńskiej, oraz na poczuciu naturalnej hierarchii wynikającej z wieku lub doświadczenia, a nie na dyktaturze czy sile.

Przez szereg lat byłem bądź prezesem korporacji, bądź oldermanem, to znaczy wychowawcą młodego pokolenia. Praca ta dała mi później w życiu wielu bardzo bliskich przyjaciół, którymi mogłem się szczylić. Niestety, żywsi od innych w poczuciu odpowiedzialności za los nie tylko swój i swojej rodziny, ale i społeczeństwa, do którego należeli, w olbrzymiej większości wyginęli w walce w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Znamienna jest statystyka najbliższych mi rówieśników z korporacji, liczącej wówczas nie więcej, jak czterdziestu kilku członków. Na trzynastu, którzy polegli do roku 1944, dwóch tylko zginęło w wojnie. Pozostałych jedenastu zostało rozstrzelanych lub też umęczonych w niemieckich obozach koncentracyjnych oraz w obozie bolszewickim w Katyniu.

Jeszcze w czasie moich studiów zdołaliśmy ująć życie polskiej młodzieży akademickiej w ramy jednej organizacji, opartej na zasadach powszechnych wyborów i mającej za naczelną władzę zjazd delegatów oraz Naczelny Komitet Akademicki, przez zjazd ten wyłoniony. Do Naczelnego Komitetu wchodziłi jako wiryliści prezesi pięciu związków centralnych, odpowiadających głównym kierunkom życia młodzieży, o których już wspominałem. W r. 1925 na zjeździe młodzieży akademickiej w Wilnie zostałem wybrany wiceprezesem Naczelnego Komitetu Akademickiego, a później przez długi czas pełniłem obowiązki prezesa tej instytucji, grupującej ponad trzydzieści tysięcy studentów wyższych uczelni.

Młodzież ta w olbrzymiej większości wyznawała poglądy narodowe. Ilekroć w jakichkolwiek wyborach powszechnych wzięli udział komuniści, nie otrzymywali z reguły w największych nawet

ośrodkach więcej niż kilkanaście głosów. Za moich czasów żaden komunista nie otrzymał nigdy mandatu przedstawiciela młodzieży. Nawet ośrodki socjalistyczne nie miały większego wpływu na ducha młodzieży polskiej. Nie był to przypadek, ani wynik systemu rządów, które, przeciwnie, przez cały czas mojego pobytu na wyższych uczelniach nie były w rękach obozu narodowego.

Poglądy ówczesnej młodzieży ukształtowały się w wieloletnich trudach bojowych, we wspólnej walce i w doświadczeniach, jakie z tej walki wyniosła. Już wtedy ci co walczyli, choć niejednokrotnie rozdzieleni zaborami, zrozumieli, iż sprawę polską wygrać można tylko na zasadzie solidarności interesu narodowego, górującego ponad silne jeszcze w starszym społeczeństwie różnice dzielnicowe, klasowe, czy orientacje historyczne. Drugą prawdą, która uderzała młodzież swą oczywistością było, że jakkolwiek Naród Polski jest przez swe położenie geograficzne i przeszłość historyczną predystynowany do skupienia wokół siebie sąsiednich, słabszych narodów, do wspólnej walki o zachowanie bytu i możliwość swobodnego rozwoju, to jednak los zarówno jego, jak i tych, którzy z nim będą współdziałali zależeć będzie przede wszystkim od tężyny duchowej i materialnej, jaką on rozwinie.

Katastrofa lat 1939 - 1950 i przeciągająca się straszliwa walka Polski o byt niepodległy wymownie potwierdziły raz jeszcze słuszność tych założeń.

W r. 1925 skończyłem wyższe studia i wstąpiłem na praktykę sądową. Z tą chwilą rozpoczął się najbujniejszy okres mego życia. Okres najszczęśliwszy, bo znaczony nieustannymi wydarzeniami w świecie przeżyć osobistych. Wydarzenia te były miłe, dawały pokarm sercu, podnosiły wiarę w siebie i wolę dalszych osiągnięć. W dwudziestym pierwszym roku życia zostałem magistr-strem praw i nauk politycznych, w tymże roku zaręczyłem się. W dwudziestym trzecim roku życia zdałem już egzamin sędziowski; w tymże roku ożeniłem się. W rok później przy-szedł na świat mój syn. Zaraz potem zdałem ostatnie egzamina adwokackie, a w roku 1930 zostałem wybrany posłem do Sejmu Rzeczypospolitej.

Dobrze pamiętam, w jaki sposób w tym pięcioleciu zaczynałem swą karierę zawodową. Pierwszy raz stanąłem przed sądem w obronie kobiety, która w przystępie kłótni tak silnie ulokowała na głowie swej sąsiadki nocne naczynie, iż trzeba było przywołać specjalistę, któryby je na tejże głowie rozlutował. W parę lat później prowadziłem już własną kancelarię adwokacką, budując pol-

stawy pod swą niezależność materialną, jako wstępny warunek niezależności w polityce.

Współczesne mi pokolenie szybko dojrzywało do roli pełnoprawnych obywateli. Coraz większe szeregi opuszczały wyższe zakłady naukowe i zajmowały posterunki w życiu publicznym. Jednolita ich postawa zaczęła nadawać życiu narodowemu pewien określony wyraz. Dalsze jednak wydarzenia powstrzymały ten proces. W maju r. 1926 do głosu decydującego doszło w drodze zamachu stanu pokolenie starsze — uczniów i towarzyszy Józefa Piłsudskiego, twórcy legionów w wojnie lat 1914 - 1916, zwycięskiego wodza w rozprawie z bolszewikami w r. 1920.

Między tymi dwoma pokoleniami panował przez długie lata głęboki konflikt. Piłsudczycy, przekonani o konieczności utrzymania wewnętrznej dyscypliny państwa i jego zwartości, widzieli w sobie jedynych gwarantów jego siły. Wzorując się na organizacji wojskowej szukali w wydawanych poleceniach form rozwiązania najbardziej nawet skomplikowanych problemów i przez to często zapoznawali znaczenie trwałych wartości, tkwiących w życiu społecznym i narodowym, takich jak poczucie prawa i instynkt wolności obywatelskiej.

W tych warunkach, jako pełnoprawny już obywatel, swą pracę publiczną rozpocząłem od razu w warunkach opozycji. Wziąłem czynny udział w organizowanym przez Romana Dmowskiego Obozie Wielkiej Polski, w którym ogniskował się ruch młodego pokolenia. Obok pogłębienia swych studiów naukowych, obok stawiania pierwszych kroków jako mąż i ojciec, cały swobodny czas poświęcałem dyskusowaniu z młodzieżą wiejską i robotniczą zagadnień silnego państwa narodowego. Tak nadeszła jesień r. 1930, kiedy na życzenie przyjaciół postawiłem swą kandydaturę do Sejmu z Podlasia.

Byłem najmłodszym wiekiem posłem w Sejmie. Obdarzony wówczas jeszcze młodzieńczym temperamentem, dawałem się często we znaki stronnictwu rządowemu ostrością wystąpień. Kiedyś za targ mój z przywódcą ław rządowych, późniejszym marszałkiem Senatu, a wówczas generalnym referentem budżetu, pułk. Miedzińskim, zaszedł tak daleko, iż doszło między nami do pojedynku na surowych warunkach. Pojedynek ten prowadził generał Orlicz-Dreszer a sekundantami puka Miedzińskiego byli minister sprawiedliwości Stanisław Car i generał Wieniawa-Długoszowski. Starcie odbiło się głośnym echem w sferach parlamentarnych i przyczyniło się do uspokojenia atmosfery.

Jako prawnik stykałem się specjalnie blisko z zagadnieniami porządku prawnego w Polsce. Opinia publiczna była w owym czasie wzburzona faktem aresztowania kilku najwybitniejszych przywódców ówczesnej opozycji i wywiezienia ich do twierdzy nad Bugiem. Wydarzenie to już w r. 1930 pozwoliło się wypowiedzieć społeczeństwu w parlamencie, a później w salach sądowych, w sposób zdecydowanie krytyczny o takich metodach rządzenia.

Jak wielki był wpływ opinii publicznej na to, co się w Polsce działo, świadczy fakt, że choć autorytatywny reżym trwał bez większych zmian aż do r. 1939, i choć w sąsiednich krajach nasilał się terror polityczny, Polska nie zabrnęła daleko w tych metodach postępowania, nie mających nic wspólnego z jej kulturą zachodnią i rzymską, ani z jej przeszłością historyczną.

W tym czasie po raz pierwszy zabrałem głos z mównicy parlamentarnej, wypowiadając się bardzo stanowczo za ścisłym stosowaniem norm prawnych, jako pierwszą podstawą rządów narodowych.

W parę tygodni później, w t.zw. procesie redaktora Małychy w Grudziądzu, broniłem zasad wolności, stając po stronie swoich wrednych przeciwników politycznych, jak Liberman i Witos.

Walczyłem też silnie przeciwko czasowemu nawet zawieszeniu prawa o nieusuwalności sędziowskiej, co zastosował rząd dla dokonania jednorazowej reorganizacji aparatu sądowego. I wtedy cała opinia publiczna podzielała mój pogląd. To też rząd mimo wszystko, musiał się liczyć z tymi nastrojami.

Silną batalię przeprowadziła opozycja przeciw rządowi w sprawie paktu o nieagresji, zawartego z Niemcami na przeciąg lat dziesięciu. Pakt ten, — który wyzwolił Niemców z odosobnienia na terenie międzynarodowym — dał podstawę pod nową politykę zagraniczną Polski. Wychodziła ona z założenia, iż Państwu Polskiemu przestaje zagrażać niebezpieczeństwo z Zachodu i że może ono poświęcić się całkowicie odrodzeniu swojego życia gospodarczego, budując na zapewnionym w tej części Europy pokoju. Nie dowierzaliśmy Niemcom, a więc nie dowierzaliśmy i temu paktowi. Nie chcieliśmy wzbudzać u naszych sprzymierzeńców zachodnich, to jest we Francji przede wszystkim, przekonania, iż nie mogą na nas więcej liczyć w coraz bardziej nieuniknionej rozgrywce z gotującą się do agresji Trzecią Rzeszą.

Jak się dziś okazuje marszałek Piłsudski, widząc rozrost siły niemieckiej, zaproponował najpierw Francji wojnę prewencyjną przeciw hitleryzmowi. Gdy jednak nie spotkał się ze zrozumieniem

u naszych aliantów, uważał za konieczne znalezienie drugiego wyjścia — jakim było porozumienie się za wczasu z Niemcami dla stępienia ostrza i opóźnienia ich ekspansji w naszym kierunku. Błąd polegał na tym, że zawierając, skoro tak wynikało z położenia, układ z Niemcami, należało przywiązywać do niego akurat tyle znaczenia, ile przywiązywali doń Niemcy i podobnie jak oni „zmieniać masło na armaty“, a nie polegać na lojalności Hitlera.

Oczywiście, nie można nie podkreślić tu wielkiego błędu, jaki popełniały mocarstwa zachodnie. Zamiast wzmacniać gospodarczo i militarnie Polskę, jako państwo, co do którego stałej determinacji bronięcia swej całości i niepodległości nie mogło być żadnych wątpliwości, zostawiły ją samą oko w oko z zagrażającą już wówczas światu potęgą niemiecką. Było dla mnie widowiskiem zgola tragicznym obserwować ten stopień jednostronnej zachłanności, jaki wykazywały nieliczne obce kapitały, pojawiające się w Polsce. W tych warunkach nawet tak patriotycznie usposobiony Naród Polski, wyniszczony poprzednim okresem swych zmagania, nie mógł samodzielnie zorganizować warunków swej obrony. Gdyby w swoim czasie miał do dyspozycji drobny choćby ułamek sum, wydanych później na wojnę przez same Stany Zjednoczone, mogę dziś sądzić, że wojny tej by w ogóle nie było.

Sejm za czasów mojej kadencji uchwalił nową konstytucję, która do chwili obecnej jest obowiązującym prawem Rzeczypospolitej. Przerforsowana ona została jako wyraz utrwalenia się porządku, za który odpowiedzialność na siebie wzięła od r. 1926 rządząca grupa Piłsudczyków. Uchwalenie tej konstytucji i pojętej w podobnym duchu ordynacji wyborczej przesądzało o tym, że system rządów w Polsce na dłuższą metę nie ulegnie zmianie. Nie godziłem się z tym stanem rzeczy i wraz z klubem posłów Stronnictwa Narodowego, do którego należałem, robiłem wszystko, co było w granicach naszych uprawnień, aby do uchwalenia tej konstytucji nie dopuścić.

Zdaniem moim, jej błędem zasadniczym było to przede wszystkim, że nie czerpała uprawnień rządzących do sprawowania władzy z sił moralnych Narodu Polskiego. Rządzący, byle działał subiektywnie w tak zwanym interesie Państwa, mógł na gruncie przepisów tej konstytucji zapomnieć, że istnieje Naród Polski, że państwo jest tylko formą jego życia, że Naród Polski ma własną misję dziejową, którą realizował utraciwszy nawet przejściowo swój byt państwowy. Naród, nie państwo, wnosi do ogólnego dobroku duchowego i cywilizacyjnego świata własne wartości,

wsparte o wielowiekową tradycję historyczną, których nie da się pominąć ani o nich zapomnieć.

Brak odzwierciedlenia w konstytucji r. 1935 ścisłej zależności, jaka istnieć musi pomiędzy porządkiem rządu, a wolą suwerenną Narodu i związanymi z tym imponderabiliami, — mógł stać się w okresie kataklizmu od r. 1939 począwszy, przyczyną wielu nieszczęść. Z chwilą zajęcia ziem polskich przez okupantów można było na gruncie tej konstytucji odbudować państwo pozorne, które w pojęciu nowych jego władców byłoby „dobrem wszystkich obywateli“, a przecież nie wyrażało interesów Narodu Polskiego, tylko interes obcy. Jeśli to nie nastąpiło, to tylko właśnie dzięki Narodowi Polskiemu, który, zapomniany w konstytucji, podtrzymywał swą wolą istnienie własnego państwa. Rządziło ono z podziemia wtedy, gdy na całym jego terytorjum panoszyła się okupacja germańska, istnieje i nadal, rozrzucone w swych funkcjach po całym kontynencie, gdy nad Narodem Polskim pastwi się z kolei barbarzyńca wschodni. Sprawuje władzę nad swoimi siłami zbrojnymi gdziekolwiek się znajdują, choćby już nie nosiły mundurów, i choćby członkowie ich wypełniali przysięgę w duszy tylko zapisaną. Rządzi także Polakami rozsianymi dziś po wszystkich niemal krajach świata. Zadecydowała o tym konstytucja — nie ta formalna, ale ta, którą dzieje Polski zapisywały nieprzerwanie na swych kartach przez ostatnich sto siedemdziesiąt lat z górą. Mówi ona, że każdy Polak pozostaje wierny idei swojego państwa do ostatniego momentu walki, że niepodległość swą buduje na własnej historii i na własnych przede wszystkim siłach, że nie ma niepodległości państwa bez wolności duchowej i fizycznej Narodu.

Gdy rząd sowiecki podjął na gruncie międzynarodowym walkę o zniszczenie podstaw egzystencji państwowej Polski, zaatakował obowiązującą konstytucję. Tą drogą chciał pozbawić istniejące legalne władze polskie podstaw prawnych ich działania. Wymyślił zatem, że w miejsce narzuconej „gwałtem“ konstytucji z r. 1935, obowiązuje nadal na ziemiach polskich dawna konstytucja z r. 1921. Do czegoż zdolna jest dzisiaj obłudna żonglerka pojęciami prawnymi!

Konstytucja z r. 1921 budowana była na fundamencie prawa własności, w którym obywatel mógł być ograniczony tylko ze względu na wyższą użyteczność publiczną i za uprzednim sprawiedliwym wynagrodzeniem. Była budowana na zasadzie praw wolności obywatela, który nie mógł być aresztowany bez nakazu sądo-

wego, ani też nawet w godzinach przeznaczonych do spoczynku. Obywatel miał zapewnioną pełną wolność osobistą, swobodę pracy, nietykalność mieszkania i korespondencji, miał zapewnioną opiekę religijną, swobodę sumienia i wolność wypowiedzania swych poglądów w najbardziej demokratycznych instytucjach wyborczych.

Powołując się na tę właśnie konstytucję, rząd komunistyczny w Polsce wyaresztował setki tysiące obywateli bez żadnego naku sądowego i według swoich obyczajów z reguły w nocy. Pod rządami tej konstytucji obywatel polski znika z godziny na godzinę, jak cień, i nikt nawet z najbliższych nie może i nie śmie dowiadywać się o jego losach. Własność prywatna nawet w zakresie dóbr osobistych istnieje o tyle tylko, o ile funkcjonariusz państwowy nie zdoła jej jeszcze obrócić na swój użytek. T. zw. reformy społeczne, bardzo często nie będące żadnymi reformami, lecz pogorszeniem poprzedniego stanu rzeczy, dokonywane są kosztem pogwałcenia podstawowych pojęć prawa własności i w sposób, który urąga pojęciom postępu gospodarczego i socjalnego. Rolnik, któremu zabrano folwark i rozdzielono na kilkadziesiąt karłowatych gospodarstw, jeżeli próbuje zamieszkać w okolicach powiatu, w którym mieścił się jego majątek, ulega natychmiast uwięzieniu — i to jest jego jedyne „odszkodowanie“, jakiego mu się udziela na podstawie wychwalanej konstytucji. Próbę swobody wyborów miał świat przed oczyma z okazji sławnego referendum i „wyborów“ z r. 1947. Kto nie akceptuje bloku komunistycznego, ten równocześnie przestaje być lojalnym obywatelem państwa. Liczba uznanych stronnictw w państwie ograniczona jest do tych, które z góry przyjmują pełną zależność od rządzącej kliki komunistycznej.

Przykłady te prowadzą do sformułowania tezy, której słuszność jaskrawo uwydatniła się w czasie ubiegłej wojny i po wojnie. Jest to stwierdzenie, że jakiegokolwiek normy prawne o tyle tylko reprezentują pewną wartość, o ile są odbiciem rzeczywistych stosunków panujących w danym społeczeństwie. W przeciwnym razie normy takie, obdarzone nawet sankcją, pryskają przy pierwszym sprawdzianie swej mocy. Jeśli natomiast stanowią „lex imperfecta“, tak, jak to zazwyczaj bywa w stosunkach międzynarodowych, wówczas formułowanie norm prawnych, nie stanowiących odbicia istotnej rzeczywistości, przynosi tylko i wyłącznie szkodę. Sprytnemu bowiem żonglerowi daje się możliwość manewrowania nimi i popełniania oszustw wobec opinii publicznej, a nie osiąga się

w zamian żadnych korzyści, chociaż by sformułowania same przez się zawierały idee szlachetne i mądre.

Niezależnie od tego, jak silne były zmagania pomiędzy opozycją, na którą składały się stronnictwa od najbardziej lewicowych do konserwatywnych włącznie, a obozem rządowym, na jednym punkcie panowała podczas całej mojej pracy sejmowej pełna harmonia. Była to dziedzina obronności państwa.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że wróg czeka tylko na moment naszej słabości — i wobec tego przez stałe dokumentowanie solidarności narodu w obronie jego całości i niepodległości staraliśmy się wzmocnić pozycję państwa na tym odcinku.

W rozważaniach o przyczynach klęski wrześniowej nie można ani na chwilę czynić za nią odpowiedzialnym społeczeństwa polskiego. Dawało ono z siebie wszystko, czegokolwiek od niego żądano, nie tylko w dniach walki, ale i na długo przed tym, w czasach pokoju.

Sporne może być tylko, czy żądano od niego wszystkiego i we właściwym czasie. Liczenie na dobrą wolę Niemiec na podstawie zawartego z nimi paktu, tak jak później liczenie na lojalność Związku Sowieckiego, związanego również z Polską wzajemnym układem przyjaźni, maćilo obiektywną ocenę rzeczywistości.

Już na kilka lat przed wybuchem wojny doszedłem do przekonania, że jest ona nieunikniona. Dawałem temu wyraz w prasie i w prowadzonych w świecie politycznym dyskusjach. Bolał mnie widoczny brak gotowości Polski. W przygotowaniu do obrony należało mieć oczywiście na myśli przede wszystkim braki techniczne. Nie będąc u władzy ani ja ani moi przyjaciele polityczni nie mieliśmy pojęcia, do jakiego stopnia rośnie dysproporcja środków, jakimi dysponują Niemcy, w stosunku do możliwości polskich.

Widziałem jednak jasno, że wojnę nowoczesną prowadzi naród cały wszystkim irozporządzalnymi środkami i zasobami, wśród których należyta mobilizacja sił psychicznych odgrywa doniosłą rolę. Zwracałem uwagę czynników rządowych głównie na konieczność bliższego związania się ze społeczeństwem w przededniu historycznej rozprawy z Niemcami, z drugiej zaś strony próbowałem przekonać opozycyjnie nastrojone społeczeństwo o potrzebie nawiązania jak najściślejszych więzów z przedstawicielami armii dla współpracy w zagadnieniach obrony. Musiałem się później z tego długo tłumaczyć w więzieniu w Moskwie bolszewickiemu sędziemu śledczemu, który mi czynił zarzut, iż muszę być reakcjo-

stą, skoro wchodziłem w kontakt z generałami armii polskiej.

Lata 1935-1939 obfitowały w Polsce w wielkie procesy sądowe o zasięgu historycznym, w których wyrażano swobodnie poglądy, na to, co się w Polsce działo, na wszystkie jej braki i choroby, zastępując tym w znacznej mierze trybunę parlamentarną, którą stronnictwa opozycyjne po roku 1935 bojkotowały. W procesach tych brałem żywy udział do ostatnich chwil przedwojennych. Niektóre z nich, jak proces inż. Adama Doboszyńskiego, wzbudzały olbrzymie zainteresowanie społeczeństwa, wywołując widmo nadchodzącej burzy dziejowej.

Późną już wiosną 1939 r. zatelefonował do mnie jeden z wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych z zapytaniem, czy nie przyjąłbym u siebie wycieczki młodych parlamentarzystów brytyjskich, którzy zwiedzając Polskę chcieli zapoznać się także z kołami opozycyjnymi. Złożyli mi wówczas wizytę, o ile dobrze pamiętam, sekretarz osobisty Lloyd George'a i sekretarz Chamberlaina, oraz kilku innych panów.

W rozmowach usiłowali mnie przekonać o konieczności wyrażenia zgody na przemarsz wojsk sowieckich przez Polskę w wypadku agresji niemieckiej. W ogólności jednak nie wierzyli w możliwość wojny twierdząc, że opinia Wielkiej Brytanii jest jej bardzo przeciwna. Przytaczali między innymi na uzasadnienie swej tezy fakt, iż świeżo dopiero Churchill na jednym z wieców konserwatywnej młodzieży akademickiej (o ile się nie mylę, miało to być na terenie jednego z uniwersytetów o największej tradycji) został wygwizdany, gdy mówił o konieczności zajęcia przez Anglię postawy, której konsekwencją może być nawet wojna. Cytuję dziś często w rozmowach z przyjaciółmi ten fakt, gdy tłumaczą mi niemożliwość wybuchu nowej wojny wobec stanu opinii krajów anglosaskich. Wojna w naszych czasach przychodzi, gdy się staje koniecznością, nie oglądając się zgoła na to, czy to się komu podoba, czy nie.

Wydawało mi się jednak, że wtedy już, na parę miesięcy przed wybuchem wojny, gości moich interesowało najbardziej zagadnienie, czy jesteśmy za, czy przeciw Churchillowi. Muszę powiedzieć, że nie rozumiałem jeszcze wówczas, jak wielki ciężar zagadnienia leżał w odpowiedzi na to pytanie, — oczywiście w odpowiedzi nie z naszej strony, ale ze strony samego Narodu Angielskiego. Naród Polski mógł tylko ponieść konsekwencje tej, czy innej odpowiedzi. Czy zna je już wszystkie?

Lato r. 1939 minęło w Polsce na powszechnym oczekiwaniu star-

cia zbrojnego z Niemcami. W szerokiej opinii publicznej nikt nie wierzył w możliwość powstrzymania burzy dziejowej, która uderzała o nasze granice, przy pomocy fałszywej gry na arenie międzynarodowej. Wiedziano, że uniknąć wojny można tylko za cenę ziem naszych i za utratę honoru. Nie było wówczas jednego Polaka, który by się na to zgodził. Hacha był w najwyższej pogardzie, a Quislingów, Mussertów, Lavalów, Degrelleów Polska nie znała. Tylko nieliczna grupka z obozu rządowego, skupiona przeważnie wokół Ministerstwa Spraw Zagranicznych i będąca pod wpływem informacji zagranicznych, chwilami łudziła się, że Niemcy szantażując do końca, a widząc zdecydowaną postawę aliantów, w ostatniej chwili przecież ustąpią.

Postawa narodu wobec nadchodzących wydarzeń była nadzwyczaj godna. Świadomość powagi chwili docierała do wszystkich warstw społecznych. Nie było żadnych krzykliwych manifestacji, jaskrawych plakatów, ani innych oznak przesadnej pewności siebie. Ale zgodnie z wielowiekową tradycją rycerską Naród Polski groźby wojny się nie przestraszył. Skupiony w sobie wewnętrznie, z całym zrozumieniem gotował się do nadchodzących wydarzeń i czekał rozkazów. Żaden chyba rząd w świecie, skądinąd niepopularny w kraju, mający przeciwko sobie silną opozycję, nie miał takiego poparcia narodu i takiego posłuchu, jaki miał Rząd Polski w chwili, gdy odrzucił ultimatum niemieckie.

30 sierpnia 1939 r., po ukazaniu się na ulicach Warszawy afiszów o mobilizacji, zjadłem sobie w sławnej winiarni Krzemiańskiego doskonale śniadanie i stanąłem w wielokilometrowym ogonie do Powiatowej Komendy Uzupełnień, usiłując zgłosić się do wojska w charakterze ochotnika. Pierwsze rozczarowanie: oficerowie tej komendy co parę minut wychodzili na zewnątrz budynku, ogłaszając gromadzącym się tłumom, iż na razie ochotników się nie przejmuje. Jak się później okazało, nie było dla nich broni ani zaopatrzenia.

Po raz drugi już w swoim życiu rozpocząłem wędrowkę śladami polskiej martyrologii w poszukiwaniu takiego oddziału wojskowego, który by mnie chciał przyjąć i z którym mógłbym dzielić trudy żołnierskie w chwili dla Kraju groźnej.

II.

W piątym dniu wojny wszystkie drogi, zapchane oddziałami wojskowymi, uciekającą ludnością cywilną i śpieszącymi na punkty zborne mobilizowanymi rezerwistami, bombardowane były dzień i noc przez samoloty niemieckie. Była to istna wędrówka ludów, o której rozmiarach nie mogą dać pojęcia żadne późniejsze wydarzenia frontowe we Francji, Belgii, czy krajach bałkańskich. Były to pierwsze doświadczenia w wojnie, prowadzonej środkami nowoczesnymi.

Jakoś samochodem, przy pomocy oficera polskiego Sztabu Głównego, dotarłem do Lublina. Zaczęły się tam skupiać wszystkie ośrodki dyspozycji polskiej. Wywiad niemiecki szybko to ustalili i dnia 9 września 1939 r. niebroniony niemal zupełnie Lublin zmasakrowany został bombami samolotowymi.

Wróciłem właśnie z kościoła, gdzie spowiadałem się i komunikowałem na intencję losów wojny. Jadłem śniadanie wśród dziewięciu najbliższych moich towarzyszy. Rozproszyliśmy się po mieszkaniu na ułamek minuty przed rozpoczęciem bombardowania. Czwarta z kolei zrzucona z samolotu bomba uderzyła w pokój stołowy, w którym byliśmy zgromadzeni jeszcze przed chwilą. Po pierwszej bombie dom drgnął, po drugiej wyleciały szyby, po trzeciej zakołysałem się wraz z murami, uderzenie czwartej spowodowało, że znalazłem się w piwnicy, spadając tam wraz z całym piętrem. Szczęśliwie jakoś belka zatrzymała nad moją głową rumowisko, tak że uległem tylko lekkiemu poranieniu. Cudownym zrządzeniem losu ocaleli wszyscy moi towarzysze. Kilku było poranionych, jeden nieco ciężiej ranny.

Uczyniliśmy sobie ślub, iż dzień ten obchodzić będziemy co najmniej w możliwie uroczysty sposób. Najpierw z Panem Bogiem, później na wesoło. W najtrudniejszych chwilach mego życia pamiętałem o tym dniu i co roku starałem się być w gronie moich ówczesnych towarzyszy.

Jakież smutne jest to koleżeńskie saldo po siedmiu latach woj-

ny. Jednego z ówczesnych towarzyszy zostawiłem w głębi Rosji śmiertelnie chorego — na szczęście żyje on i jest w Egipcie. Z drugim przeszedłem obie niewole. Wydostał się wbrew wszelkim przewidywaniom, dzięki serdecznej opiece swoich bliskich z Niemiec; zginął później w obronie Warszawy w brawurowej walce, na najtrudniejszym posterunku. Jemu zawdzięczałem schronienie w najniebezpieczniejszych dla mnie chwilach. Trzeci, bliski mój przyjaciel, przeszedł również ze mną obie niewole i dorzucił do pracy konspiracyjnej w Polsce podziemnej niemało swego serca i trudu. Zginął na przedmieściach Warszawy z wyroku komunistów, zamordowany w bestialski sposób jeszcze pod okupacją niemiecką. Znalaziono go porzuconego nago ze śladami stoczony rozpaczliwie walki. Czwarty stracił oko na Litwie, ukrywając się przed wrogiem. Piąty wpadł na początku okupacji niemieckiej w ręce Niemców i jest jednym z nielicznych, którzy przeżyli pięć lat męki w obozach koncentracyjnych. Szóstego znalazłem w korpusie gen. Andersa. Moje dzieje zawarte są w tej książce — los reszty nie jest mi znany. A przecież walka jeszcze nie skończona!

Powędrowałem dalej, w Lublinie już nie było co robić. Pieszko, furmankami, jak się dało, posuwałem się naprzód, by szukać przydziału. Znalazłem wreszcie przygodny oddział żandarmerii polowej, która ruszała na linię frontu by zapobiec dezorganizacji, jaka się wytworzyła na skutek błyskawicznej akcji niemieckiej. W tym samym Zamościu, który dziewiętnaście lat temu odbierałem jako żołnierz bolszewikom, nałożyłem z powrotem mundur żołnierski. Pierwsze dwie godziny pełniłem swe obowiązki ku wszelkiej satysfakcji moich przełożonych, czyszcząc miotłą podwórze gimnazjum zamienionego na koszary. W ciągu trzeciej godziny pakowałem jeszcze plecak i czyściłem broń, a w ciągu czwartej, wskutek alarmu, iż ku miastu posuwa się szybko dywizja pancerna niemiecka, pośpiesznie już wycofywał się mój oddział na wschód.

Było to 13 września po południu. Na piątym kilometrze zatrzymała nas ludność miejscowa, oświadczając, iż w punkcie, oddalonym o 200 metrów stoją czołgi niemieckie. Policzylismy się. Było nas nie więcej jak dwudziestu, uzbrojonych w zwykłe karabiny, wydobyte świeżo z magazynów. Do niektórych amunicja się nie nadawała, inne były jeszcze zawaselinowane. Trudno było w tych warunkach myśleć o stoczeniu walki z czołgami.

Ułożeni w przydrożnym rowie, z bronią gotową do strzału, cze-

kaliśmy na rozwój wydarzeń. Za nami rozciągała się świeżo skoszona łąka, p̄dzielona bystrą rzeczką. W oddali dopiero siniał las. Zapalona stodoła była sygnałem do dalszego marszu niemieckiej zmotoryzowanej dywizji czołgów. Gdzieś w oddali przegalopował pułk polskiej kawalerii, sieczony niemiłosiernie z czołgów. Nie długo trzeba było czekać, by usłyszeć chrzęst posuwającej się kolumny. Co jakiś czas zatrzymywała się, a wówczas słyszeliśmy łamaną polszczyzną wypowiedane słowa: „dobra woda“ — „pić“.

Słyszeliśmy też salwy, a potem krzyki i jęki rozstrzeliwanych. Rozpaczliwe wołanie kobiet, błaganie o litość. Kolumna pancerna, wysuwając się naprzód daleko poza linię frontu nie brała widać jeńców jednych puszczała wolno, drugich rozstrzeliwała natychmiast. Ofiarą padali przede wszystkim wszyscy ci rezerwiści, którzy nie będąc jeszcze zmobilizowani śpieszyli do wojska w mundurach organizacji paramilitarnych. A więc uczestnicy Kolejowego Przynsposobienia Wojskowego, Pocztowego Przynsposobienia Wojskowego, młodzież harcerska. Od czasu do czasu słychać też było pojedyncze wystrzały pistoletowe i towarzyszące jękom ludzkim śmiechy rozbestwionych żołdaków.

Chwila była dla nas nader krytyczna. Zatrzymujące się kolumny niemieckie rozrzucaly raz po raz po bokach drogi, którą przemierzały, oddziały t.zw. szperaczy celem ubezpieczenia się i ewentualnego zagarnięcia jeńców. Początkowo nie mieliśmy żadnej nadziei na uratowanie się; w miarę upływu czasu zaczęliśmy jednak liczyć na zmierzch wieczorny i możliwość przeczołgania się ku lasowi.

Tak przeżyłem jedno z najcięższych dwóch godzin w moim życiu, leżąc bezsilnie z karabinem, który nie strzelał, słysząc dookoła salwy rozstrzeliwujące najniewinniejszych ludzi i mając w głowie nieustanny szum posuwającej się dywizji pancernego wroga. Był to jeden z tych momentów, w których człowiek widzi jasno przesuwany się przed oczyma duszy obraz swego życia i twarze najbliższych, choć oddalonych, z którymi się żegna. Okazało się wszakże, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Zmierzch nadzedł, wsunęliśmy się do rzeczki i przeczołgaliśmy się do pierwszej sterty. Poszukali nas trochę świecącymi nabojami, ale w rezultacie dobiegliśmy wszyscy cało do lasu. Tej nocy zrobiliśmy pieszo około sześćdziesięciu kilometrów, przecinając trzy drogi, którymi posuwała się armia niemiecka. Odtąd przez długie jeszcze

lata dzień dziewiąty i trzynasty miesiąca obfitował w moim życiu w silne wydarzenia.

Maszerowaliśmy dalej, przed siebie, byle nawiązać łączność z jakimś regularnym oddziałem. Dzień i noc, noc i dzień trwały te wędrówki. Razem z nami wędrowały miliony po wszystkich drogach i szosach Polski. Spotkałem całą kolumnę milczących, nieuzbrojonych mężczyzn w uformowanym szeregu, którzy pod komendą dwóch podchorążych szli wprost na wroga. Żadne nasze zaklęcia i wyjaśnienia nie pomagały, z mapy wydawało się młodym podchorążym niemożliwe, by wróg był gdzieś poza linią wszelkich oczekiwań. Na następny dzień dowiedziałem się, że obaj podchorążowie jeszcze tej nocy popełnili samobójstwo, a cała kolumna została wzięta do niewoli.

Spotykałem po drodze tłumy ludzi z Polski zachodniej, którzy z węzłkami, pieszo, uciekali przed Niemcami na wschód. W tym samym czasie poczęły się już wielkie ruchy ludności ze wschodu Polski na zachód, w obawie przed „sprzymierzeńcem“ bolszewickim. Widziałem setki dzieci szukających swych rodziców i tyśiące rodziców szukających na próżno zagubionych dzieci. W dalszej swej wędrówce zacząłem napotykać na liczne oddziały wojska: jedno rozgorączkowane, nerwowo zasięgające wiadomości i zdecydowane na walkę do końca, inne zmęczone już i biernie czekające na to, co los im przyniesie. Wszystko to sprawiało wrażenie piekielnego kłębowiska, w którym drgał żywiołowy instykt życia, poczucie jakiejś straszliwej niezawinionej krzywdy i rozpacz, płynąca z braku oparcia o jakąkolwiek nadzieję.

Przeżywałem sceny tragiczne, gdy naprzykład umęczony marszem podszedłem kiedyś pod stertę zboża, chcąc nieco legnąć u boku rozlokowanego tam oddziału żołnierzy. Zostałem ich w pozycji pół leżącej, opartych o ścianę ze słomy. Gdy nie odpowiadali mi na zadawane pytanie przyjrzałem się im bliżej — wszyscy bez wyjątku nie żyli, skoszeni ogniem karabinu maszynowego. Kurz pokrył wszystkie ślady.

Drugim znowu razem miałem śmiechu co niemiara. Kryjąc się pod krzakiem przed lotnikiem niemieckim, usłyszałem głos: „Niech Pan schowa głowę niżej, bo nas Pan naraża“. Głos był kobiecy, dziwnie mi znajomy. Obróciłem się w tę stronę i nie mogłem się nie roześmiać. O parę metrów ode mnie leżała w mało pojętej pozycji grubawa kobietka w balzakowskim wieku, przytrzymując rękoma węzełek z bielizną pościelową. Dlaczego właśnie z bielizną pościelową, nikt tego nigdy nie zgadnie. Nie myta.

w zniszczonej podróżą odzieży, w długich męskich butach, niczym nie przypominała wymalowanej, wybrylantowanej i wyperfumowanej causeur'ki, która jeszcze przed paru miesiącami w jednej z górskich luksusowych miejscowości w Polsce, nie dawała żyć młodym ludziom. Gdy mnie rozpoznała po skończonym ataku lotniczym, pierwsze jej słowa były: „Mój Boże, jak ja wyglądam, ale Panu w mundurze do twarzy“.

Najtragiczniejszy był brak wszelkich wiadomości. Poniszczone radiostacje, zbombardowane elektrownie, chaos ogólny powodował, że nikt na tych niezmiernych obszarach wędrówki nie znalazł rzeczywistego obrazu sytuacji. Wielka bitwa kutnowska, która się ze zmiennym szczęściem toczyła daleko na zachodzie Kraju, podtrzymywała nadzieje, równocześnie posuwające się od południa kolumny niemieckie popychały olbrzymie masy mobilizującego się wojska i rzesze uchodźców ku wschodowi, potęgując dezorientację.

Szczyt zamieszania, który do szaleństwa doprowadzać musiał człowieka myślącego kategoriami publicznymi, — nastąpił z chwilą przekroczenia wschodnich granic Rzeczypospolitej przez wojska sowieckie. W swej wędrówce byłem już stosunkowo blisko tych granic, kierując się ku Łuckowi, gdzie organizował się pułk, do którego został włączony nasz oddział. Gdzieś na szosie zauważyliśmy spotęgowany ruch ludności, cofającej się z powrotem ku dochodzącym z oddali odgłosom walk z Niemcami. Na moje pytanie: „Dokąd idziecie?“ odpowiadano krótko, wskazując na wschód: „Tam są już bolszewicy“.

Bolszewicy w wielu wypadkach głosili, iż przychodzą na pomoc Rzeczypospolitej i że ich marsz należy traktować jako akt przyjaźni. Stąd też, obok bohaterskiego oporu, stawianego przez oddziały wojska polskiego wobec Rosjan, zdarzały się nawet fakty bratania się z wkraczającymi bolszewikami, przy czym wymieniono toasty na cześć sojuszu w walce z germańskim najeźdźcą. Gdy mijalem pierwsze oddziały czołgów sowieckich, słyszałem osobiście wołania rosyjskich żołnierzy pod adresem ponuro przesuwających się obok mas uchodźczych: „Nie bójcie się, my na Germańca!“.

Zachowując jeszcze mundur i broń, przedostałem się do Łucka z myślą o dalszej wędrówce do Lwowa, a gdyby się okazało, że i tam środowisko oporu wygasa, miałem zamiar kierować się do Rumunii. Jeden z moich towarzyszy usiłował mnie przekonywać, iż bolszewicy nie będą nas brali do niewoli i wskazywał na swobodne poruszanie się pomiędzy ich oddziałami naszych żoł-

nierzy, a nawet nas samych. Namawiał wobec tego, by spróbować odbycia dalszej wędrówki pociągiem. Rzeczywiście, na dworcu stał pociąg pod parą, załadowany przez któryś z naszych pułków piechoty. Komenderujący pociągiem oficer polski zakomunikował nam, że za dwie minuty rusza z transportem do Lwowa.

To mnie zmyliło. Zbiedzony kilkusetkilometrowym marszem, mając — po raz pierwszy, choć nie ostatni w życiu — popuchnięte nogi, zdecydowałem się wsiąść do pociągu. Ponad spodziewanie pociąg po pewnym czasie istotnie ruszył — i ujechał ... dwa kilometry. Stanął w polu, gdy noc już zapadła. Dowódca transportu wyjaśnił po chwili, że jesteśmy otoczeni rzędem czołgów i silnymi oddziałami pieszych wojsk sowieckich. Otrzymał rozkaz zdania broni bezwzględnie. Żołnierze będą puszczeni wolno natychmiast po odesłaniu ich w bezpieczne okolice, oficerowie zaś będą na tydzień zatrzymani na prawach gości Związku Sowieckiego.

Dyplomaci, politycy świata, apostołowie dobrej wiary, mający usta pełne frazesów o wolności, o honorze, za który ludzkość poniosła w tej wojnie kilkadziesiąt milionów ofiar! Zapamiętajcie dobrze, że ci, których potem tak bestialsko wymordowano w Katyniu, zaproszeni byli tam jako goście Związku Sowieckiego. „Goście Związku Sowieckiego“ — słyszałem te słowa i wciąż dźwięczą mi one w uszach. Siedziałem z tymi oficerami razem przez czas jakiś w obozie jeńców, hen, daleko za Moskwą. Ukryty gdzieś w podziemiu, pod okupacją niemiecką, czytałem później co dnia ich nazwiska na liście zidentyfikowanych ofiar najhaniebniejszego w dziejach mordy.

Już nie w pociągu, ale pieszo i pod konwojem, rozpocząłem znowu marsz daleko na wschód, poza granice mojego Kraju. W Ostrogu ucałowałem polską ziemię i ukryłem jej grudkę na piersiach. Wierzę, że to ona sprowadziła mnie z powrotem. W tym ostatnim polskim grodzie kresowym niemal całą noc śpiewała nam dla dodania otuchy państwotyczne pieśni młodzież szkolna, gromadząc się koło drutów.

Minęliśmy granicę polsko-sowiecką i powędrowaliśmy szlakiem polskiej kultury, która tak głębokie pozostawiła ślady na Ukrainie, iż jej nawet dwudziestoletnie panowanie sowieckie nie potrafiło całkowicie wytepić. Ludność ukradkiem odzywała się do nas po polsku, a co starsi wzdychali do tych czasów, gdy się tam do Boga po polsku modlono i Polacy nadawali ton życiu.

Bez jedzenia i bez zorganizowanych miejsc spoczynku trwała

ta wędrowka po ziemi sowieckiej. Najgorsze były noce, gdy się spoczywało skulonym, bez płaszcza, na gołej ziemi przy temperaturze około 0 stopni. Czasem maszerowało się i bez nocnego odpoczynku.

Kiedyś w tych warunkach padł strzał. Momentalnie zgrupowano kilkudziesięciu jeńców z pobliza i ustawiono ich w szeregu. Kazało odliczyć, podjechał samochód pancerny i nastawił karabiny maszynowe. Wśród zgromadzonych w szeregu znalazłem się wraz ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi. Zegnaliśmy się spojrzeniami. Komenda do strzału nie padła. Podjechał konno starszy jakiś bolszewik i świecąc w oczy trzymaną w ręku latarką, drugą ręką wymachiwał naganem. Nagle zwrócił się groźnie do jednego z moich przyjaciół: „Tyś strzelał“ i skierował broń w jego stronę. „Nie, nie ja“ — padła odpowiedź tak spokojna i zrównoważona, że zdetonowała bolszewika. Jeszcze trochę groźnej dekoracji w postaci kilkakrotnego przedefilowania samochodu pancernego przed naszymi twarzami i zostawiono nas samych. Oczywiście rozbiegliśmy się w tej samej sekundzie wśród wielotysięcznego tłumu jeńców.

Na czele kolumny prowadzono naszych oficerów, których była spora gromada. Po drodze wydrwiwano ich, usiłując wśród żołnierzy polskich wywołać nieprzychylny dla ich dowódców nastrój. Szedłem w te długie dni z żołnierzami razem. Wyczuwałem wśród nich wielkie rozgoryczenie z powodu klęski Polski i położenia, w jakim się znaleźli. Nie ukrywali żalu do swych przywódców, szukając winnych tej, tak niespodziewanej dla nich, katastrofy. Obserwator powierzchowny mógłby nawet ocenić ówczesne nastroje jako anarchiczne i skierowane sympatią ku czemuś nowemu, co ma ich spotkać, a co może rzeczywiście jest lepsze od minionego. W istocie jednak były to jedynie objawy reakcji, i to reakcja patriotycznej, na niezawinioną przez nich klęskę.

Jednakowoż środowisko żołnierskie nigdy nie dopuściło, by któremukolwiek z oficerów stała się krzywda. Na naleganie bolszewików: „Oficerowie bili was w mordę“ — hardo odpowiadali: „U nas tego nie bywało“. Mam jeszcze w oczach taki obrazek:

Piąta, czy szоста noc z kolei spędzona na zoranej ziemi. Nocne przymrozki, wilgoć w powietrzu nie pozwala zmrużyć oka. Na kolejnym postoju oko żołnierza dojrzało w odległości paruset metrów i dalej — stogi wysuszonego sitowia. Rzuciło się bractwo po pościółkę dla wymęczonego ciała. Bolszewicy nie mogli sobie

dać rady z utrzymaniem jeńców w karbach, a miejscowa nędzna ludność sowiecka zbiegła się, protestując przeciwko niszczeniu bodaj jedyne go jej dobytku. Z chytrym uśmiechem podszedł do grupy oficerów polskich jeden z sowieckich komendantów, proponując, że może oni będą umieli wywrzeć wpływ na swoich żołnierzy... Wystąpił podpułkownik o drewnianej ręce i donośnym głosem, który rozszedł się daleko po wieczornej rosie, zawołał: „Żołnierze!“. Gdzie który stał, w odległości niekiedy i kilometra, wyprężył się w postawie zwróconej do dowódcy. — „Żołnierze — powtórzył pułkownik, — gdziekolwiek jesteście, pamiętajcie, że reprezentujecie honor Rzeczypospolitej... Ona jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy... Pokażcie, że szanujecie cudze dobro. Wracajcie na miejsca, porządkując sterty — zrozumiano?“ „Zrozumiano, Panie Pułkowniku“ — odpowiedzieli skandując nędzarze i biegiem jak na ćwiczeniach, wrócili do kolumny. Zbaraniały oczy strażników sowieckich. To, co zobaczyli, przekraczało ich wyobraźnię. Nie zaczęli już oficerów ani razu, przeciwnie, od-tąd poczeli odnosić się do nich z szacunkiem.

Po pewnym czasie zostaliśmy ulokowani w wagonach. Na jeden wagon przypadało do stu żołnierzy. Wagony były oczywiście towarowe, i zamykane na żelazne sztaby. Powietrze doprowadzały dwa zakratowane okienka, takie ot jak przy przewożeniu nierogacizny.

Opuszczenie wagonu dla zwykłej ludzkiej potrzeby dokonywało się — gwoli oryginalności, czy może bezpieczeństwa — na komendę w szereg, na głównych stacjach. Jeśli pociąg stał dłużej, ze dwa dni na przykład, okolony był charakterystycznym wieńcem ekskrementów. Niemcy postępowali w tych sprawach w inny zupełnie sposób — wyprowadzali mianowicie żołnierzy z pociągu w pole za miastem, licząc widocznie na użyczenie ziemi. Była to jedna z charakterystyczniejszych różnic w administrowaniu ciałem ludzkim przez dwa totalizmy — Wschodu i Zachodu. Poza tym przecież byliśmy przez oba totalizmy traktowani jednakowo, jak bydło. Ilość razy, gdy mogliśmy opuścić wagon, mierzona była humorem strażników i niczym więcej. Bywały wypadki, że krasnoarmiejec oburzony, iż nie może wydusić już od jeńców danego wagonu żadnego więcej zegarka, nie zdejmował sztab z wagonu przez dwa dni. Żadne kopania w drzwi, żadne krzyki rozpaczliwe nie pomogły.

Z pożywieniem było rozmaicie. Z reguły otrzymywaliśmy pro-wiant suchy, przy czym podstawowym produktem były solone

ryby, pewno magazynowane już dwa lub więcej lat, tak twarde i tak słone, jak tylko je sobie można wyobrazić. Jednych żołnierzy stać było na odmówienie sobie tych delicji, inni tłumaczyli, że przedstawiają one wielką wartość dla utrzymania się przy życiu i ryby te zgryzali. Wtedy dopiero zaczynała się tragedia — nie dawano bowiem nam wcale wody. Nie mówię już o wodzie do mycia się w ciągu kilkutygodniowej podróży, ale odmawiano nam nawet wody do picia.. Dlaczego, nikt tego nie zrozumie, skoro na stacjach przeważnie są hydranty. Wody nie dawano pod żadnym pozorem. I oto żołnierze skręcali się z pragnienia, powodowanego zmęczeniem, zaduchem wagonu, nade wszystkim zaś piekielnym żarem we wnętrznościach, jako skutkiem tego rodzaju pokarmu. Z rzadka, przez protekcję, można było dostać trochę wody z tendra. Ta przesycona oliwą i smarami ciepła woda wydawała się najcudniejszym napojem. Ale cóż, skutek był nieodwołalny: ciężki rozstrój żołądka, za który niejeden w konsekwencji w warunkach jenieckich życiem przepłacił.

Bywały też i dni, gdy pociągu nie zaprowiantowano w ogóle. Było to pod Briąńskiem. Od trzech dni nie mieliśmy nic w ustach. Zimno było na dworze, spadły pierwsze śniegi. Osłabieni trudami i głodem, drzemaliśmy w wagonie — w stu w towarowym wagonie. Znaczący to, że nikt nie byłby w stanie odpowiedzieć, na czyim boku, czy ramieniu spoczywa jego głowa, ani też na czyjej głowie, czy brzuchu spoczywają jego nogi. Godzina druga w nocy. Uchylają się sztaby i otwierają się drzwi wagonu. „*Towariszczy, budietie kuszat*“ — słyszymy głos strażnika. Nikt się nie odzywa, nikomu się już jeść nie chce. Nawet strumień chłodnego powietrza nie był w stanie poruszyć ludzi zatrutych zaduchem nieprzewietrzanego od długiego czasu wagonu. Trochę przy pomocy perswazji, trochę kolbą, setkę moją wyprowadzono na zewnątrz. Śnieg z deszczem szybko doprowadził mnie do przytomności, zwłaszcza, że w owym czasie żadnego jeszcze przykrycia, prócz bluzy mundurowej, nie miałem do rozporządzenia. Zdała rzucił mi się w oczy iluminowany kolorowymi lampkami napis: „*Agit - punkt*“. Odrazu się domyśliłem, że to tam nas właśnie skierują.

Wzdłuż szpaleru wózków z owocami, które na daremnie rozpały instynkty pożądania pozbawionych środków pieniężnych żołnierzy, wprowadzono nas do olbrzymiej, jasno oświetlonej hali. Wydała mi się ona pałacem z bajki. Ciepło, czyste powietrze. Rzędem poustawiane stoły, pokryte białą ceratą. Przed każdym

miejszem dwa talerze, widelec i łyżka i, o mój Boże, z kilo czarnego, smakowicie wyglądającego chleba. Miedziane kotły, z których podoficerowie i oficerowie sowieccy, w białych kitlach, nalewają do talerzy wspaniałą zupę pomidorową, ugotowaną na rybach kościach. Na drugie danie gulasz z jaglaną kaszą. Jedz, pij, ile dusza zapagnie.

Tymczasem zaś, przypatrz się wielkim afiszom propagandowym, porozlepianym na ścianach. Wyobrażają one potwornego smoka hitlerowskiego, szczerzącego zęby na Rosję. Z drugiej strony znowu potworny w swych kształtach kapitalista angielski i francuski i wyciągają chciwe dłonie po dorobek pracy robotnika sowieckiego. Gdy po kilku miesiącach wracałem z Rosji, w „agit-punktach“ na czołowym miejscu wisiały już tylko sylwetki angielskich i francuskich „podżegaczy wojennych“. Smoki hitlerowskie znikły.

W toku tej lukullusowej uczty, przeciętny żołnierz zjadł na zapas pięć talerzy zupy i pewno nie wiele mniej gulaszu. Oplakane były tego skutki. Wyglodzone żołądki, podrażnione już pierwszym kofysaniem pociągu, który ruszył w dalszą drogę, zareagowały natychmiast. Zamknięci sztabami w wagonach, przez całą noc wymiotowaliśmy na siebie zupą i gulaszem.

Tak mineliśmy Moskwę, Iwanowo i dojechaliliśmy do Wiaźnik, małej stacji niedaleko już Gorkiego (Niżnego Nowogrodu). Polecono nam wysiąść i oświadczone, że odbędziemy dziesięciokilometrowy marsz do naszego stałego miejsca pobytu. Dziesięć kilometrów — w duchu obliczyłem resztki swych sił i postanowiłem pokonać ten wysiłek, choć nogi się trzęsły, a marsz zapowiadał się ciężko po błotnistej, miejscami znów piaszczystej drodze. Zarządzono: „Kto zrobi krok w prawo lub w lewo, lub do tyłu, będzie zastrzelony“.

Ruszyliśmy bez żadnego porządku, ani podziału na grupy, toteż szybko byliśmy podobni do rozciągniętej harmonii, bądź stojąc w miejscu zgęszczeni w oczekiwaniu na posuwanie się czoła kolumny, bądź też biegnąc by je dogonić. Takie posuwanie się naprzód było bardzo wyczerpujące. Pierwsze jednak dziesięć kilometrów marszu znieśli wszyscy po bohatersku. Mineliśmy miasto, w którym przyglądały się nam tłumy ciekawe, sympatycznie wobec nas nastrojone, ale od razu milczące i ponure, gdy zbliżał się enkawudzista. Po kilkunastu kilometrach żołnierze zaczęli się dopytywać, czy to jeszcze daleko. „Skoro budiet“ — padła stereotypowa odpowiedź.

Tymczasem dyscyplina się rozluźniała. Krasnoarmiejcy podchodzili do poszczególnych jeńców i rozpoczynali targ o zegarki lub ich wyłudzenie. Gdy się to czasem udało, zapominali już zupełnie o swej służbie i wołali do swych towarzyszy, rozrzuconych wzdłuż kolumny: „*Iwan, Sasza, pajdi siuda*“. Gromadziła się koło szczęśliwca gromadka sowieckich żołnierzy i ciekawie wsłuchiwała się w bieg zegarka, powtarzając często na głos w uniesieniu: *Tik, tak, tik, tak*“. Niejeden sprytny nasz żołnierz przehandlował wówczas małe kompasy, które w Polsce kosztowały 20 groszy i potrafił wytłumaczyć „*towarzyszowi*“, iż to jest lepszy typ zegarka.

Po przebyciu mniej więcej dwudziestu kilometrów zaczęły się pierwsze ofiary. Oficerowie częściej, żołnierze rzadziej, zaczęli padać z osłabienia. Jeśli zwiłjał się przy tym w kłębek, był to charakterystyczny dowód, że ma już dość. Jeśli padał inaczej, był jeszcze zdolny do rozmowy. Bolszewik zazwyczaj zaczynał słowami: *Wstawaj, a to strelat budu*“. — „Strzelaj bracie mam już dosyć“ — padała najczęściej odpowiedź. „*Nu, wstawaj*“ — łagodniał głos wartownika. Kończyło się zazwyczaj, że jakiś inny kolega jeniec brał takiego pod pachę i zataczali się wspólnie paręset metrów dalej.

Po trzytygodniowym wycieńczeniu warunkami podróży, głodni i zaczadziali, zrobiliśmy tego dnia i najbliższej nocy pieszo sześćdziesiąt cztery kilometry, popędzani wciąż słowami: „*Skoro budiet, Jeszczo odin, jesczczo dwa kilometra*“. Z siedmiotyśięcnej gromady padło w marszu ponad pięćuset kolegów. Niektórych zgryzła zwierzyna, szliśmy bowiem cały czas dziką puszczą leśną, większość zwieziono później do obozu.

Obóz dla jeńców w Talicy przerobiony był z obozu wypoczynkowego, przeznaczonego na pobyt letni dla komsomolców. W środku gęstej puszczy ustawiony był rzędem szereg baraków z budkami klozetowymi wysuniętymi na czoło. Dokoła baraków urządzono coś w rodzaju parku. Klomby zabezpieczono dębowymi sztachetami, teatr letni i szereg wytyczonych uliczek umilały to osiedle wzrokowo.

Pierwszą dobę przespaliśmy nic nie widząc i niczego nie czując. W ciągu drugiej zaczynało nam być zimno. Był w naszym baraku wielki piec gliniany, nie było jednak do niego krzty opału. Trzecią dobę żołnierze weszli już nie za jedzeniem, które zaczęliśmy otrzymywać, ale za kawałkiem drzewa, którym można by rozgrzać izbę. Następnej doby rozebrali wszystkie sztachety dę-

bowe z klombów i rozpalili piec. Ich koledzy z sąsiednich baraków zrobili to samo. Następnej znowu nocy rozebrały teatr letni i znowu było ciepło w barakach. Potem zaczęli rozbierać baraki nieobsadzone przez jeńców. Aż wreszcie narzędziami, które zdobyli w jakiś nadzwyczajny sposób, lub sobie przygotowali, poczeli kolejno ścinać drzewa w parku.

Bardzo już późno zareagowali na to bolszewicy. Zareagowali oczywiście rozkazem: „*Strelat budiem*“, ale to nie dawało ciepła, a na dworze był już mróz, sięgający 7 stopni C poniżej zera. Wtedy ktoś potrafił przekonać naszych opiekunów, że przecież tuż za drutami rośnie las na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, las nie pielęgnowany od wielu, wielu lat. Wystarczy posłać pod strażą kilkunastu jeńców, a oni nazbierają opału dla całego obozu. Odtąd było u nas ciepło, ale wygląd obozu robił wrażenie, jakby w nim gospodarowały Hunowie.

Chleb pieczony wespół z kartoflami, dostarczony nam w przyzwoitej ilości (po 800 gramów na dobę), sprawiał, że reprezentacyjne klozety już na trzeci dzień były pełne. Po dziesięciu dniach wylewały się nadmiarem treści. Nikt się tym nie interesował. Przy pierwszej odwilży tonęliśmy więc w dodatku w cuchnącym błotku.

Powoli zaczęliśmy rozumieć naszych gospodarzy. Rządzi nimi kłamstwo. Bez względu na to, czy ma ono jakiś cel czy nie, jest obowiązującą regułą w życiu codziennym. „Kiedy będzie obiad?“ — „*Siej czas*“. Było to najlepszą wskazówką, że można się położyć spać swobodnie, bo obiad przyniosą w nocy, lub nad ranem. Jeśli, odwrotnie, spytać się było, czy zaraz obiad, odpowiadali: „*Możecie oddychać*“. Ledwo człowiek się położył, natychmiast rozbrzmiewała pobudka: Wstawać, jedzenie przyszło.

Kłamstwo jest obowiązującym składnikiem pracy człowieka w Rosji. Jeniec obowiązany do pracy musiał odrobić pewną normę, od tego bowiem zależał stopień jego wyżywienia. Jeden z moich towarzyszy, będący w zawodzie cywilnym tragarzem, chłop silny i zdrow, zgłosił się do pracy przy torfie. Po kilku dniach pytam go, jak mu się powodzi. „Nie mogę wyrobić normy“ — odpowiada — „choć sąsiedzi moi, Rosjanie, z łatwością wyrabiają ją w podwójnej wysokości“. Był wynędzniały i widocznie zniechęcony. Po dwóch tygodniach mija mnie na dziedzińcu z pewną siebie miną i w dobrym humorze. „Jakże wasza praca?“ — „Ach, doskonale, wyrabiam normę stachanowską, 240 procent wyznaczonej roboty“. — „Jak mogliście do tego dojść?“ — „Bar-

dzo prosto, przed kilkunastu dniami znowu mi zmniejszono rację żywnościową. Powiedziałem sobie, że niemożliwe, abym ja był o tyle gorszym robotnikiem od sowieckiego. Podszedłem do towarzysza z sąsiedniej działki robotniczej — spytałem go: skąd ty masz taką dużą przyzmę w porównaniu z moją? „*Bo u ciebia woz-ducha niet*“ — odpowiada najspokojniej tubylec. Okazuje się, że bolszewik dla wymierzenia ilości wykopanego torfu, ustawiał go jak domek z kart, przesłaniając przestrzeń pustą w środku.“ Polski, solidny robotnik nie podejrzewał nawet z początku, że tylko element kłamstwa może sprawiać, iż wydajność robotnika przekracza trzykrotnie przeciętną normę, wyznaczoną dla tej pracy.

Na to samo wskazywali mi żołnierze — rolnicy. Wyznaczoną normę przestrzeni zoranego dziennie przy pomocy traktorów pola pracownicy sowieccy przekraczali też po trzykroć. Robili to znowu w ten sposób, że zostawiali całe brzozy niezorane, bądź też obniżali głębokość orki. Pokazywano mi całe takie pola, gdyśmy wracali z Rosji.

Zakłamanie odgrywa też olbrzymią rolę w życiu publicznym. Społeczeństwo sowieckie jest nim przesycone dzięki nasileniu propagandy, która wbija określone formułki w mózgi ludzkie tak silnie, że żaden krytycyzm nie jest w stanie się temu przeciwsta-wić.

„*Nie bezpakojteś, u nas wsiewo mnogo. U nas budiete rabo tat. U nas somaja charoszaja żyzn*“ — witał mnie pierwszy napotkany krasnoarmiejec. Dosłownie tę samą formułkę i w tej samej kolejności słów słyszałem z ust dziesiątego i trzydziestego krasnoarmiejca przy każdej następnej okazji. Formułka ta ograniczała się do najwyższej kilkunastu zdań, po czym argumenty „towarzysza“ kończyły się. Wpředce połapali się na tym nasi żołnierze i wywody „towarzyszów“ na temat tego, że u nich jest wszystko, spotykały się z mnóstwem drwin. „A fabryka kurzu u was jest“? — pytał kiedyś przy mnie żołnierz polski sowieckiego. „*Kanieczno jest*“ — z powagą odpowiadał ten ostatni.

Gdy dotarła wiadomość tego do naszego środowiska, kłamstwo sprawiało, iż nikt ani na chwilę nie czuł się pewny swej sytuacji. Już byliśmy wydawani Niemcom, a jeszcze liczone się z tym, że to komedia. Taki stan rzeczy odbija się ogromnie na życiu społeczeństwa — czuje się ono stale jak stado spłoszonych owiec.

Obok kłamstwa raził naszych chłopców ogromnie brak posza-

nowania dóbr materialnych. Zniesienie prawa własności sprawiło w znacznym stopniu, że w czasie wojny bolszewik z całkowitą obojętnością niszczył i palił swe własne urządzenia, swoje miasta i osady, przyczyniając się w ten sposób istotnie do zwycięstwa nad wrogiem. Jeden z żołnierzy opowiadał mi z oburzeniem, jak to bolszewik kazał mu rąbać piękny materiał budulcowy na opał. „Po cóż to niszczyć, takie drzewo trudno znaleźć w całej Europie. Lepiej wyślijcie nas po opał do lasu“. — „Ani to twoje drzewo, ani moje. Czego się martwisz?“ odparł krasnoarmiejec i kazał rąbać dalej. A mój chłopak wciąż kiwał głową: „O mój Boże, takie drzewo niszczyć. Można by z tego całą chałupę postawić.“

Bawił natomiast moich kolegów — w olbrzymiej większości włościan i robotników — prymitywizm pojęć i kultury u naszych władz. Jeden z moich kolegów, spryciaż z natury, rolnik z zawodu, zgłosił się na ochotnika w charakterze piekarza obozowego. „Będziemy mieli przynajmniej, Panie Mecenasie, w bród chleba“. Bałem się, iż szybko się wyda jego nieznamość fachu. Nic podobnego. Tak umiał podpatrzeć ruchy swych towarzyszy przy wyrabianiu ciasta, że kontrolujący oficer sowiecki, skrytykowany wszystkich innych, wyróżnił go jako wzór fachowego pracownika. Przy okazji wdał się z nim w pogawędkę, w czasie której mój kolega użył zwrotu: „*Jej Bohu*“. „*Bohu niet*“ — natychmiast poważnie przerwał mu oficer. „Jakże nie ma, a kto stworzył świat?“ — pyta kolega. — „Natura“. — „A kto stworzył człowieka?“ Tu padła odpowiedź krótka, z której wynikało, że twórcą jego jest organ rozrodczy mężczyzny. — „A kto to stworzył?“ — uparcie pytał żołnierz. Oficer zastanowił się i zamilczał. Ale nazajutrz zaszedł znowu do piekarni, odszukał mego chłopka — roztropka i ponowił już cicho pytanie: — „Więc mówisz, że Bóg jest?“.

Razu pewnego zezwolono nam na napisanie listów do rodzin. Cóż to była za radość! Pierwszy znak życia po nawałnicy wojennej, która już w pierwszej fali pochłonęła tyle istnień ludzkich. Tysiące matek, żon i dzieci modliło się od miesięcy, co wieczór o wiadomość od swoich najbliższych, którzy wyruszyli na wojnę i z niej nie wrócili. Wywieszono na zewnątrz baraków dwie skrzynie, które do wieczora wypełniły się po brzegi tysiącami kopert, pocztówek i zwykłych kawałków papieru, złożonych w ćwiartkę, a starannie przechowywanych przez żołnierzy przez cały czas wędrówki, niczym największy skarb. Jeniec bowiem papieru nie mógł dostać ani kupić za żadną cenę. Radość trwała.

krótko. W nocy żołnierze bolszewicy rozbili skrzynki, aby tą drogą zdobyć dla siebie papier, papier dla wszelkiego użytku, ale dla kręcenia papierosów przede wszystkim.

Z tego właśnie powodu gazeta cieszy się na prowincji rosyjskiej wielkim wzięciem. Służy w pojęciu masy bolszewickiej jako ideał bibułki papierosowej. Kiedyś przy mnie żołnierz - jeniec zwrócił się do przechodzącego przez majdan sowieckiego majora dyplomowanego z prośbą o papierosa. Major zatrzymał się uprzejmie, dwoma palcami wyciągnął z kieszeni kłak tabaki i podał go żołnierzowi. „Ma Pan bibułkę?“ — zapytał żołnierz. — „Masz“ — odrzekł major. Wyciągnął z drugiej kieszeni pomiętą gazetę, oddał z niej staranne kawałek i podał mojemu koledze. — „Jaka to bibułka!“ — „Cała armia w takiej pali. nawet *batiuszka* Stalin w takiej pali“ — oburzył się major. — „A u nas nawet taki śmieciarz, jak ja, w takiej nigdy nie pali. *E, u was niczewo niet*“, zakończył dyskusję polski żołnierz, parafrazując agitacyjny zwrot bolszewicki.

Wszystkie zajęcia urzędowe odbywały się w nocy. Niekończące się spisy, robione ołówkiem na papierze mydlarskim, rewizje, czy też czynności kontrolne zmuszały nas z reguły do przerywania spoczynku. W dzień natomiast „władze“ chodziły ociężale, sennym okiem przyglądając się obojętnie wszystkiemu, co się wokół nich działo.

Obserwacje swe czynił żołnierz polski samodzielnie. Przeciwbolszewicka propaganda w obozie trudna była do pomyślenia. Wygłaszałem wprawdzie w swoim baraku pogadanki — było to związane jednak z takim ryzykiem, że nie mogło być szeroko stosowane. Poszczególni oficerowie starali się gdzieś na uboczu, wieczorami, spotykać z zaufanymi swymi byłymi podwładnymi i podtrzymywać ich na duchu. Wprędce roztoczono nad nimi taką kontrolę, że ich akcja utknęła w zarodku. Ot, czasem widziałem się, jak jakiś oficer o niebardzo wojskowej postawie długo przechadzał się ze skupionym w sobie towarzyszem, coś do niego szeptał, a potem nieznacznym ruchem ręki go błogosławił. Była to ukryta spowiedź przed ukrytym wobec bolszewików księdzem. Czasem udało się nam dostać do baraku oficerskiego, dla wymienienia informacji. Miejszem zetknąć było ambulatorium. Spotykaliśmy się też pod megafonem, który co dwie godziny ryczał prapagandą. W sumie jednak biorąc, żołnierz polski samemu sobie zawdzięczał postawę, zajęta wobec warunków, w jakich się znalazł i nowego świata, z którym się zetknął.

Bardzo było dla mnie budujące, że w ocenie ustroju komunistycznego i „ludzi sowieckich“ żołnierze umieli odgrodzić się od naturalnej niechęci, jaką wywoływać w nich musiała atmosfera niewoli. Powiem nawet, że godzili się z warunkami niewoli bolszewickiej łatwiej, aniżeli później z warunkami niewoli niemieckiej. Zwracali przede wszystkim uwagę na poziom cywilizacji, na warunki gospodarcze egzystencji, na dwa zwłaszcza elementy współżycia ludzkiego w Rosji: strach i kłamstwo. Rezultat był zadziwiający. Kilkunastotysięczna szara masa, zbiedzona do ostatnich granic, wystawiona na jednostronną a nieustanną bolszewicką agitację, po paru już tygodniach pobytu w Rosji zareagowała żywiołową odrazą do dobrodziejstw „raju“ sowieckiego. Na nalegania, by pozostać dobrowolnie w tej ojczyźnie robotników i żołnierzy, połączone z obietnicą sprowadzenia rodzin i zapewnienia odpowiedniej pracy, pozytywnie odpowiedział jeden tylko, piętnastoletni chłopczek, sierota, przytulony kiedyś do pułku. Ale i on płakał serdecznie, gdy opuszczaliśmy obóz.

Byłem natomiast świadkiem takiego oto wypadku: W marszu z Polski do Rosji zetnąłem się z pewnym żołnierzem, fotografem z zawodu, który za działalność komunistyczną w Kraju był skazany i odsiedział cztery lata więzienia. Polubił mnie i protekcyjnie klepał po ramieniu, obiecując swą opiekę. Otóż ten sam żołnierz po kilku tygodniach pobytu w Rosji Sowieckiej, kłęcząc, składał przysięgę wobec swoich kolegów w baraku, że jeśli wróci do Kraju do końca życia usilną pracą będzie się starał wynagrodzić Ojczyźnie krzywdę, jaką jej wyrządził przez swoją poprzednią działalność.

Duża była solidarność w tej wielkiej gromadzie. W każdym niemal baraku żołnierskim ukrywali się oficerowie, obdarzeni lepszą intuicją co do losu, jaki im Związek Sowiecki gotuje. W każdym był szereg inteligentów. Nikt nie został wydany bolszewikom mimo różnorodnego elementu, jaki się składa na kilkanaście tysięcy ludzi.

Kiedyś ukradziono mi chustkę do nosa i cztery kostki cukru. Skarby. Znałem sprawców. Nie wskazując ich, w przemówieniu do żołnierzy powołałem się na obowiązek solidarności, jaka winna łączyć rozbitków, i wezwałem, by przedmioty te zostały mi zwrócone. Nie oddano mi ich jednak. Byłem przekonany, że przegrana Lekarze polscy zakazali mi jeść cokolwiek z potraw, które otrzymałem. W kilka dni później rozchorowałem się ciężko na żołądek. mywali jeńcy. Wkrótce zataczałem się na nogach z osłabienia.

Wówczas złodziejaszkwowie położyli mi po cichu na pryczy cały bochenek bielutkiego pieczywa, który gdzieś poprzez druty i strażę potrafili od miejscowej ludności wyhandlować. W jaki sposób, czy może za tę moją właśnie chustkę, nie wiem. Dość, że najzupełniej bezinteresownie, aż do pełnego wyzdrowienia, karmili mnie jak najczulsi opiekunowie.

Gdy spędzałem te smutne miesiące niewoli bolszewickiej, oddalony od rodzinnego domu o parę tysięcy kilometrów, wynędzniały i głodny, zżerany przez wszy i nękany przez pluskwy, a przede wszystkim zatroskany o los mej Ojczyzny, pokrzepieniem mi było przeświadczenie, do jakiego doszedłem przez współzycie zymi wielotysięcznymi towarzyszami niedoli. Nabrałem wówczas niezłomnego przekonania, że Rosja Sowiecka może wyróżnić wszystkich Polaków, może zdeprawować pojedynczych. Ale jedno jest pewne: nie potrafi zrobić z nich niewolników, nie potrafi zamienić ich w „ludzi sowieckich“.

W naszym obozie w Talicy było też kilkuset oficerów, wśród nich gen. Smorawiński, dowódca Okręgu Korpusu Lublin, admirał Czernicki z Dowództwa Marynarki Wojennej i szereg oficerów wyższych szarż.

W okresie moich obserwacji położenie ich było takie same, jak wszystkich żołnierzy. W szczegółach warunki wyżywienia i spania mieli nawet lepsze. Dręczyła ich jednak instynktownie niepewność losu. Już w czasie marszu do niewoli przychodzili do mnie z wiadomością, iż skazani są wszyscy na śmierć. Skąd czerpali te wieści, nie wiem. Tyle wówczas fantastycznych pogłosek krążyło, że nie brałem ich na serio. Namawiałem tylko swych przyjaciół i znajomych, by nieznacznie, póki czas, pozmieniali oznaki i wciskali się między tłum szeregowych. Wielu z nich nie chciało tego robić mówiąc, iż nie jest to godne oficera polskiego. Zawzięcie ich przekonywałem, że nie mają racji. Gdy ulokowani zostali w obozie razem z nami, nadzieje ich się ożywiły. Postawę moralną mieli bez zarzutu. Zwłaszcza lekarze, których tam było koło siedemdziesięciu, wśród nich wybitni specjaliści, starali się ulżyć doli naszych żołnierzy wszystkimi siłami. Nietety, jako środki lecznicze mieli do rozporządzenia tylko salol i aspirynę, oczywiście w opakowaniu gazetowym. A przecież wielu oficerów trawiło instynktowne przecucie śmierci. I gdy żegnałem się z nimi, wracając do Kraju, żegnali się jak na zawsze. I tak się stało w istocie. Po zlikwidowaniu obozu w Talicy oficerowie i inteligenci przewiezieni zostali do Kozielska, a stamtąd do

Katynia, gdzie strzałami w kark pozbawiono ich życia. Minęło już wiele lat, zatarło mi się w pamięci, osłabionej tyłu wydarzeniami, wiele nazwisk, ale ilekroć sięgnę do wspomnień z moskiewskiego obozu, sylwetki tych ludzi, jak żywe, przesuwają mi się przed oczyma, niby ogniwa różańca polskiej męki.

W listopadzie wydostałem się z niewoli bolszewickiej. Związek Sowiecki zawarł umowę z Hitlerem na mocy której miał przekazać Niemcom wszystkich wziętych przez siebie do niewoli Polaków, zamieszkałych na zachód od linii Mołotow-Ribbentrop, a nie będących oficerami. Takich że mieszkańców Polski na wschód od tej linii Niemcy miały przekazać bolszewikom. Jedni oszukiwali drugich. Bolszewicy zatrzymywali u siebie oprócz oficerów także wykrytych wśród żołnierzy inteligentów, żandarmów, policjantów i, o ironio, wszystkich noszących mundury, odrębne od zwykłych wojskowych, a więc pocztowców, kolejarzy itp. Niemcy wypuszczali od siebie minimalną tylko ilość transportów, licząc na nieorientowanie się Rosjan. Bolszewicy jednak spostrzegli się i w pewnym momencie wymiana jeńców utknęła.

Nasz jednak obóz zaczęto likwidować stosunkowo szybko, gdyż warunki dowozu żywności przez puszcze były fatalne i z chwilą pierwszych śniegów zachodziła obawa przerwania z nami wszelkiej komunikacji. Żaden człowiek świata zachodniego nie może sobie wyobrazić, jakie przeszkody ma do pokonania sowiecki samochód na tamtych bezdrożach.

Zaczęły się niekończące się spisy, w których pytania, zmierzające do ustalenia stopnia służbowego, zawodu w życiu cywilnym i pozycji socjalnej, stałe się powtarzały. Kto choć raz zmienił swe zeznanie, już zostawał w Rosji. Podalem się za plutonowego 44 pułku piechoty, a zawód swój określałem stałe jako „*pawierennyj*”. Rzecz w tym, że przed pierwszą Wojną Światową tytuł adwokata w Rosji i w zaborze rosyjskim w Polsce brzmiał: „*prisiażnyj pawierennyj*”, co odpowiada polskiemu pojęciu „adwokat przysięgły”. W niepodległej Polsce tytuł ten brzmiał po prostu „adwokat”, skróciłem więc to pojęcie i w języku rosyjskim, opuszczając słowo „*prisiażnyj*”, czyli przysięgły. W języku jednak rosyjskim samo słowo „*pawierennyj*” ma swoiste znaczenie, odpowiadające mniej więcej pojęciu „mąż zaufania”. Zostałem wezwany do NKWD obozowego celem wytłumaczenia, czym byłem mężem zaufania i co to za zawód. Odpowiedziałem szybko: „Byłem mężem zaufania chłopów i robotników w walce z nadużyciami rządu”. Tym sposobem niczego nie skłamałem, a zabezpieczałem się

przed ewentualnością zdradzenia mnie przez kogokolwiek, nawet mimowolnie, jako adwokata.

Jako „obrońca chłopów i robotników w walce z rządem“ zostałem umieszczony na liście transportu do Kraju, choć nieraz podejrzliwie mnie zapytywano: „Ty musisz być oficerem“?

Wykąpany i obrewidowany w ciągu nocy, nad ranem ruszyłem w marsz. Tym razem o mało nie skończyło się to katastrofą. W odległości dwóch kilometrów od najbliższej bocznic kolejowej, po 60 z górą przebytych kilometrach, opuściły mnie siły. Tylko pomoc kolegów pozwoliła mi dotrzeć do celu.

Przechodziliśmy przez miasto Wiazniki już po ciemku. W szeregu oświetlonych jasno sal przez szyby mignęły mi się sylwetki tłumy, który słuchał mówcy, akcentującego swe słowa biciem pięścią w pulpit. Nad urabianiem masy wre w Rosji nieustanna praca. A jednocześnie wystarczył ten moment niekontrolowanych zetknięć, jaki daje ciemność i marsz przez ulice, aby jakieś ręce wsunęły niejednemu z nas bochenek chleba lub białą bułą wśród szeptu: „Biedacy, ciężko i nam“.

Zziębnięci do szpiku kości, chwiejąc się ze zmęczenia i głodu, próżno całą noc oczekiwaliśmy na przybycie pociągu. Wreszcie rano nadjechały „*tięptuszki*“, tj. wagony towarowe z żelaznymi piecykami wewnątrz. Niestety, nie było dla nich opału. Natomiast były w nich ławki ciosane z belek. Nie wiele myśląc przemysłni moi koledzy podkręcali sztaby, podtrzymujące dach wagonu, i sztabami tymi, acz z wielkim wysiłkiem, potrafili porozszczepiać ławy i zużyć je na opał. Pokotem, jeden przy drugim, lub nawet trochę na drugim, rozłożyliśmy się w wagonie i spaliśmy tak długo, aż piec wygasł. Dopiero po dwóch dniach udało nam się ukraść z węglarki parowozu, stojącego na jakiejś stacji, trochę węgla i utrzymać ciepło w wagonie. Na dworze mróz dochodził do 14 C poniżej zera.

Przejechaliśmy Moskwę, którą już po raz drugi oglądałem zza krat, minęliśmy Briańsk i w powolnej, wielodniowej podróży zbliżaliśmy się ku granicom Polski. Trudy podróży były te same, co w pierwszej drodze. Te same warunki spania, to samo wyżywienie, jeno mróz dokuczał więcej. A przecież — a przecież wydawało nam się, że lecimy na skrzydłach do siebie, do Polski. Wszystko przyjmowaliśmy na wesoło, wszystkiemu umieliśmy zaradzić. Choć przepraszam, — ja sam nie umiałbym poradzić i dawno bym zepewne zgnił, gdyby nie ten szósty zmysł, jaki posiadają nasi chłopcy z Powiśla, z Łyczakowa, czy choćby z Lubel-

szczyzny. Tak jak podali mi rękę w ostatniej chwili, gdy już potykałem się i padałem w marszu, jak bez opału umieli rozpalić w piecu, jak poprzez druty i pod bokiem czerwonego gwardzisty, stojącego w „gołębniku“, potrafili wyhandlować biały chleb niezbędny dla życia, tak i w wielu innych niezliczonych wypadkach ich spryt i pomysłowość okazywały się wręcz zbawienne. Już nie cierpieliśmy z powodu zamknięcia wagonu sztabą. Chłopcy skonstruowali na poczekaniu takie rozwiązania techniczne, że gdy tylko pociąg ruszał, a krasnoarmiejcy nie mogli nas skontrolować sztaba była już odemknięta i korzystaliśmy swobodnie z wszelkich możliwości, jakie dawały uchylone drzwi. Gdy tylko pociąg zwalniał, sztaba znowu była nałożona, tak jakby jej nikt nigdy nie otwierał. Bolszewik, który przez niewyprowadzanie nas z wagonu pragnął uzyskać różne korzyści, choćby w postaci zegarków, rozdziawiał gębę ze zdumienia, gdy otworzywszy wreszcie wrota nie widział wcale po naszej stronie praktycznego entuzjazmu. Cóż podejrzewał, — podejrzliwi to oni są, — ale niczego wymyślić nie potrafili.

Mijaliśmy granicę polsko-sowiecką w nastroju bardzo podniosłym. Popłynęła ze wszystkich piersi pieśń: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród“, a potem „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy“. Już dawno wygasły wszystkie do Niej żale, wyrażane tam kiedyś w nastroju klęski. Niektórzy poklekali, inni powznosili palce ku górze na znak wierności służbie narodowej. Gdy przemówiłem do tych prostych ludzi, którzy tak serdecznie witali swą ziemię, głos mi drżał. Mówiłem im o tej Polsce wielkiej i sprawiedliwej, zabezpieczonej na długo od najazdów wroga, którą uzyskamy dla przyszłych naszych pokoleń, w nagrodę za trudy, niezmierzone ofiary i cierpienia, jakie przychodzi nam znosić w tej wojnie.

Ambicja naszych żołnierzy znalazła w owych dniach wielkie zaspokojenie. W miarę zbliżania się do Polski koledzy moi coraz bardziej pozwalali sobie wobec doborowych żołnierzy sowieckich, stanowiących nasz konwój, na swobodną ocenę stosunków w Rosji. Z ogromnym lekceważeniem odnosili się do wszystkich przechwałek bolszewickich, natomiast wychwalali stosunki polskie. Bolszewicy nie wierzyli.

W Pińsku, położonym w obrębie okupacji sowieckiej, pociąg nasz stał na stacji przez pięć dni. Od pierwszej do ostatniej chwili naszego postoj u tłumy kobiet i dzieci, odpędzane niekiedy surowo, oblegały nasz transport, znosząc całe kotły zup, całe kosze

chleba i całe naręcze wędlin. Nikomu do głowy nie przyszło żądać za to zapłaty innej, jak w postaci dobrego słowa, lub — słowa otuchy na przyszłość. Nikt tym nie kierował, jakkolwiek organizacja społeczna pod rządami Moskwy nie byłaby do pomyślenia.

Patrzyli na to bolszewicy i kiwali głowami. A nasi żołnierze, pogardliwie spoglądając na swych strażników, odrzucali dania urzędowe. Ich miny radosne i dumne wyrażały: „A co, a co, nie mówiliśmy?“. Gdy zaś bolszewicy wrócili jeszcze z miasta pobierani komicznie w różne szczegóły nieznanej dla nich dotychczas garderoby, gdy wśród krzyków i śmiechu popychali się na zdobytych gdzieś rowerach z takimi minami, jakby posiadali na smoka — humoru było co niemiara.

Pińsk głęboko zapadł wspomnieniami w me serce. Pamiętam chłopaczka kilkunastoletniego, syna czeladnika piekarskiego, którego ambicją było przybiec co dnia pierwszy, jeszcze po ciemku, do pociągu i rozdać kilka bochenków świeżego chleba. Cały dzień biegał po mieście i załatwiał prośby żołnierzy, po czym, pod wieczór, dźwigał znowu w saganie zupe, którą nawarzyła matka. Pamiętam kościelnego, który zmyliwszy czujność czerwonej milicji, pełniącej straż pod domem internowanego biskupa, przywiózł mi od niego błogosławieństwo, a w koszyku trochę słoniny, 100 „junaków“, parę cebul — i największy skarb w postaci kilku nadpalonych przed ołtarzem Pańskim świec. Od trzeciej bowiem po południu do późnego ranka kłębiliśmy się po ciemku, zamknięci szczerlnie w bydłowym wagonie.

Obserwowałem jak ludność miejscowa samorzutnie przychodziła do nas nie tylko ze strawą fizyczną, ale i z duchowym podtrzymaniem. Wcisnęto nam do rąk setki podniszczonych książek do nabożeństwa, widać, że czytanych i własnych. Obdarowywano żołnierzy medalikami. Przynoszono im literaturę patriotyczną. Któryś z prostych ludzi doręczył mi, jako uzdrawiającą szcepionkę, jedno z moich przemówień sądowych, drukowane w osobnej broszurze... i radził bardzo starannie zapoznać się z jej treścią.

Gdy się pewnego dnia usiłowałem wychylić przez nadwyręzoną już kratę okienka, podsunęła się do mnie kobieta, trzymająca małe dziecko na ręku, i szeptem zarządziła: „Będzie Pan moim bratem. Proszę mówić mi „ty“ i nie dziwić się mojemu zachowaniu się. Przyjdę jutro.“ Przyszła. Młodziutka żona bosmana marynarki, który poszedł na wojnę i nie dał dotychczas zna-

ku o sobie. Choć miała na głowie chustkę i ubrana była skromnie, cała jej postać znamionowała jakąś wyższość. Była bardzo piękna. Oświadczyła bolszewickiemu majorowi, komendantowi transportu, że jestem jej bratem, że ona bierze na siebie osobistą odpowiedzialność, iż nieucieknę i prosi o pozwolenie zabrania mnie z sobą do domu na parę godzin. I co powiecie — oficer bolszewicki zgodził się. Otworzyły się drzwi wagonu. W oczach zaciękawionej straży pani ta rzuciła mi się w ramiona i ucałowała w czoło. Po czym wzięła mnie pod rękę i poprowadziła ku miastu.

Towarzyszył nam przydzielony podoficer. Ledwo uszliśmy kawalek drogi, wziął on z rąk matki dzieciątko i niósł je aż do domu, czule się nim opiekując. Przykazał następnie, by nie pić wódki, i zniknął. A w oczach miał łzy. Okazuje się, że wszędzie znaleźć można ludzi.

W izdebce mojej opiekunki wszystko było już przygotowane. I parę kubłów wody nagrzanej i kawałek mydła. I para czystej bielizny po mężu. Kawał befsztyka z przysmażanymi kartoflami, trochę jabłek i woda z sokiem, bo dobrej herbaty nie można było dostać. A przede wszystkim tyle serca, na ile tylko stać jest kobietę polską w tej naszej walce na śmierć lub zwycięstwo. Zapłaty nie przyjęła, choć środków na dalsze życie nie miała. Prosiła tylko o słowa otuchy, a gdybym przypadkiem w swej wędrówce spotkał kiedy jej męża, abym mu powtórzył, że czeka... Niestety, nie spotkałem go nigdzie.

III.

Wydali nas Niemcom pod Brześciem. Odliczali po stu jak bydło i odstawili przez most na Bugu do rąk tych, przed którymi, jak głosili, przyszli nas bronić, zajmując połowę ziem polskich. Niesłuchanie wymowna była to scena, gdy bolszewickie i niemieckie nad nami stráže zmieniając warty, prezentowały sobie ostentacyjnie broń. A szary tłum polskich żołnierzy, rozłożony po obu już stronach rozdartej polskiej ziemi, przyglądając się temu widowisku uważnie, przeklął ich w duchu: „Poczekajcie psiajuchy. Zaprezentujcie wy jeszcze sobie broń!“.

Zarówno bolszewicy, jak i później Niemcy, przez cały czas drogi upewniali nas, że idziemy na wolność. „Nie ma takich zwyczajów międzynarodowych, które by pozwalały na przekazywanie jeńców wojennych z jednej niewoli do drugiej“ — głosili sami. Przewodzący konwój oficer niemiecki cwałował obok mnie konno i prosił, bym przetłumaczył towarzyszom niewoli, że będziemy zwolnieni zaraz po przybyciu do obozu przejściowego, znajdującego się w Szymanowie za Warszawą. Otrzymamy tam odpowiednie dokumenty i rozjedziemy się do domów. Inny oficer, komendant obozu w Małaszewicach pod Terespołem, po dowiedzeniu się kim jestem, dawał mi słowo honoru oficera niemieckiego, że najdalej w ciągu dwóch, trzech dni znajdziemy się wszyscy na wolności. A chodziło o rzecz, z punktu widzenia ludzkiego, wielkiej wagi. Pod koniec wielotygodniowej podróży z Rosji zaczęła mi się odzywać i ropieć rana w okolicach oka, którą otrzymałem w czasie bombardowania Lublina. Postępująca opuchlizna i sinienie wskazywały na zachodzące niebezpieczeństwo. Lekarze sowieccy, do których się zwracałem, mówili: „*Ty umriesz*“ i nie umieli nic zaradzić, albo też chcieli mnie zabierać z transportu do szpitala. Tego bałem się gorzej od swojej choroby i jechałem dalej. W przejściowym obozie niemieckim nie było mowy o pomocy lekarskiej. Prosiłem o pozwolenie choćby na przemycie oka, które nie widziało wody od wielu, wielu tygodni, i na zmianę opatrunku

na kawałek czystego gałganka. Mogłem to uczynić w majątku przyjaciela mojego, Leona Kuczyńskiego, położonym o dwa kilometry od obozu. Niemiecki oficer odmówił zasłaniając się kłamstwem, które poparł słowem honoru.

To pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z niemieckim oficerem liniowym dało mi do myślenia, że jednak i jego styl w zestawieniu z oficerem niemieckim z Pierwszej Wojny Światowej uległ deprawacji. Okazuje się, że kłamstwo w codziennych nawet, drobnych sprawach, staje się pospolitym narzędziem działania w rękę każdego totalizmu.

Przebyliśmy pierwsze trzy dni w obozie, na niedokończonym lotnisku, w budynkach bez drzwi i szyb, głodni i wymarznęci do granic ludzkiej wytrzymałości. Tak to się na wstępie zaopiekowali nami Niemcy.

Mała, zewicze i pobliskie miasteczko Terespol, położone już były na terenie mojego dawnego okręgu poselskiego, z którego wybrany zostałem w roku 1930 do Sejmu. Mimo, że w mundurze dobrze podniszczonym, z kruczą rozwichrzoną brodą, z okiem przewiązanym brudnym gałganem, przypominałem raczej starego napoleońskiego wiarusa, aniżeli młodego eleganckiego adwokata, zostałem rozpoznany przez przyglądających się naszemu marszowi ludzi. Był nawet i taki śmieszny człowieczek, który podbiegł do mnie ze słowami: „Ola Boga, toć to pan mecenas. Żyje Pan! Jak się Pan z tego piekła wydostał? Co za szczęście! A czy pan pamięta, co się stało z moją sprawą?“. Wiódł przed wojną spór z sąsiadem o międzę graniczną, spór o wartość może trzydziestu, a może czterdziestu dolarów. Wśród ogromu wielkiego kataklizmu, którego przypomnieniem był mu mój marsz w tłumie niewolników, nie mógł zapomnieć o swym małym, nieważnym zmartwieniu. Iluż jeszcze takich ludzi błąka się po świecie!

Wiadomość o moim pobycie w obozie rozeszła się szybko po okolicy. Nazajutrz wjechały na majdan dwa wozy chłopskie, wypełnione po brzegi chlebem, słoniną, kielbasą i saganami krupniku. To moi wychowankowi ideowi, młodzi gospodarze rolni, przyjechali zadokumentować praktycznie solidarność narodową. Odszukali mnie niezwłocznie i prosili o przyjęcie tych darów dla rozdania żołnierzom. Zwołałem tych wszystkich, których jeszcze w głębi Rosji uczyłem, że tylko w solidarności z narodem leży przyszłość każdego Polaka, i osobiście nakarmiłem ich. Przez pozostałe dwa dni jeszcze pięć takich wozów przyjechało do mnie z różnych okolic. Nikt tych darów nie nakazywał, jeno wykształ-

cony już instynkt patriotyczny. Była to dla mnie największa za pracę publiczną nagroda, jaką kiedykolwiek w życiu otrzymałem.

Mało który z tych dzielnych chłopaków żyje jeszcze dzisiaj. Za swoją postawę polską, za swój patriotyzm, zostali przez wroga w ciągu ostatnich dziesięciu lat zamęczeni. Wśród nich zginął i wspomniany wyżej Leon Kuczyński ze swym siedemnastoletnim synem. Zginęli tak za Ojczyznę, jak ojcowie ich ginęli za wiarę. Męczeńska bowiem Ziemia Podlaska na długo jeszcze przed odzyskaniem niepodległości krwią i Sybirem płaciła za swe przywiązanie do Kościoła Katolickiego — w walce Unii z Caratem, który siłą narzucał jej prawosławie.

Na czwarty dzień wieczór załadowano nas do wagonów. Było tak ciasno, że nawet w pozycji stojącej nie można było znaleźć miejsca dla swych nóg. Nikt nie zwracał na to uwagi. Przecież jechaliśmy na wolność.

Dojeżdżałem do Warszawy ze ściśniętym z bólu i niepokoju sercem. O bohaterskiej jej obronie przed Niemcami wiedzieliśmy coś niecoś z bolszewickich głośników radiowych. Wracając do Polski mijaliśmy po drodze liczne transporty Żydów, którzy jechali w głąb Rosji. Wagony podekorowali czerwonymi sztandarami i portretami Lenina i Stalina. Słysząc było nieustanny śpiew Międzynarodówki. Gdy z jednym z tych transportów zetknęliśmy się na stacji w Briańsku, na nasz widok śpiew rosyjski urwał się natychmiast i tłum Żydów z okrzykiem: „Nasi, nasi“ podbiegł pod nasze wagony.

— „Skąd Panowie? Czy dobrze tam w Rosji?“ „Macie walutę? może wymienimy?“ „Z których Pan stron? z Warszawy? Warszawy nie ma. Nie ma tam po co jechać. Z jakiej ulicy? Krakowskiego Przedmieścia nie ma. Który numer domu? trzydziesty? Przy Uniwersytecie? — trzydziesty leży, Uniwersytet leży. Nie ma Pan po co jechać“.

Na pół oszaleli jeszcze ze strachu, śpiewający po rosyjsku Międzynarodówkę, a przecie z jawnym sentymentem dla tych niedawnych dobrych czasów polskich, żegnali nas łzami. Zostawili mnie w straszliwym niepokoju. Na Krakowskim Przedmieściu pod numerem 30 miałem wszystko, co mi było bliskie na świecie: żonę, matkę i syna.

Pociąg mijał zniszczone przedmieścia Warszawy. Stał na Żoliborzu. Usiłowałem wychylić się przez kraty. Tylko jeden dom przesłaniał mi widok nieruchomości, którą kończyłem budować pół roku temu. Jeszcze było ciemno. Trwała godzina policyjna.

Jeden skok — i skryłbym się u dozorczy mojego budynku. Nie wydałby mnie na pewno. Dowiedziałbym się o losie moich bliskich. A może za parę godzin bym ich zobaczył? Po chwili wahania plan zarzuciłem. Straż niemiecka czuwała tuż obok wagonu. Trudno, jutro i tak mają nas zwolnić — myślałem.

Dwie godziny staliśmy w Warszawie. Były to dwie godziny szalonego wysiłku, by przebić oczyma duszy te rzędy ulic, które dzielały mnie od domu rodzinnego, — by dojrzeć, czy moi żyją. by dać im znać, że jestem. Tej nocy żona moja, otrzymawszy wiadomość z Terespoła, że wróciłem z Rosji, rozminęła się ze mną w drodze, próbując dojechać do obozu.

Nie zatrzymał się pociąg w Szymanowie, ani na żadnej z pobliskich stacyj. Raz jeszcze niewolnik został oszukany. Następnej nocy minęliśmy Piłę, punkt graniczny polsko-niemiecki, a w jakiś czas potem dotarliśmy do miasteczka Mühlberg, położonego w Saksonii niedaleko Drezna. Tu było miejsce naszego przeznaczenia.

W kolumnie marszowej wkraczaliśmy do obozu o nazwie: Stalag IV B. Zdawało się widać było współtowarzyszy naszej niedoli, jak przyciśnięci do drutów kolczastych starali się rozpoznać, kogo nowego los im sprowadza. Nie mogliśmy się z nimi przywitać ani rozmówić. Należeli do obrębu innego kwadratu, oddzielonego od nas wewnątrz obozu także linią drutów.

Obóz przedstawiał obraz godny pożałowania. Rozłożony na ornej ziemi tonął w owym czasie w błocie. Mieszkaliśmy wszyscy pod namiotami, przy czym jako legowisko służyła nam brudna i cuchnąca zgnilizną słoma, rzucona wprost na ziemię. Droga do jedynej na naszym odcinku studni była wręcz koszmarna. Półki ziemia dobrze nie zamarzała, z reguły wywracaliśmy się na niej z kublami. „Latryna“, w postaci wykopanego dołu i umocowanego wzdłuż niego na dwóch palikach drągu, wymagała też zdolności akrobatycznych dla zaspokojenia potrzeby. Jeden z moich towarzyszy, mających legowisko w namiocie obok mnie, stracił równowagę poślizgnąwszy się w błocie i „wykąpał się“ w latrynie. W tymże samym ubraniu położył się spać i suszył je na własnym cieple przez tydzień. W jakiś czas później uległem i ja potknięciu. Wracałem z urzędu administrującego obozem, obładowany kocami dla swoich kolegów. Było już szarawo. Wypasiony, młody żołnierz niemiecki przyciskał do ściany budynku ładną dziewczynę i coś jej szeptał. Ona, chichocząc, poddawała się jego pieśczętom. A więc ludzie żyją, cieszą się sobą, jak dawniej. Zatrzymałem się.

Chwila uwagi w niewłaściwym kierunku i... leżałem unurzany w lepkiem błocie.

Ludzkim uczuciom urągał jednak ponad wszystko tak zwany namiot chorych. Jeśli kto widział kiedy niechlujny, prymitywnie utrzymany chlew, to będzie miał tylko słabe wyobrażenie o urządzeniu tego „szpitala“. Każdy chory miał swój *lebensraum*“, zagrodzony deskami, w którym nawet nóg rozciągnąć dobrze nie mógł. Leżał w gnieździe usłanym ze słomy. Na głowie miał czapkę, a opatulony był w palto z podniesionym kołnierzem. Na dworze bowiem bywało już i po parę stopni mrozu. Nikt mu wody do mycia nie przynosił — rzadko który mógłby zresztą dla tego celu unieść się z barłogu. Swoje potrzeby fizjologiczne załatwiano pod siebie. Była przecież słoma, którą można to było pokryć. Obok chorego na tyfus leżał w sąsiedniej przegrodzie żołnierz złożony zapaleniem płuc. Pakowano tam też przymusowo chorych na jaglicę. Widziałem kilku chorych na różę. Zachodziłem czasem do namiotu, by utrwalić w sobie ten obraz potwornego upodlenia człowieczeństwa. Zastawałem często miejsca puste po wyniesionych trupach.

W kilka dni po przybyciu do obozu przeprowadzono w naszym obozie inspekcję lekarską. Wojskowy lekarz polski poddawał badaniu jeńców deklarujących się jako chorzy i podlegających zwolnieniu z obozu jeńców w myśl postanowień Konwencji Haskiej, po czym kwalifikował ich do stawienia się przed niemiecką komisją wojskowo-lekarską, powołaną do orzekania ostatecznego w tych sprawach. Pamiętając, że w życiu swoim przebyłem już trzy zapalenia płuc, i pewny, że dotychczasowe przygody w niewoli bolszewickiej musiały poważnie nadwyżyć mój organizm, zgłosiłem się również do lekarza. Nie znalazł on jednak nic, co by wskazywało na celowość stawienia mnie przed komisją niemiecką. Przedstawiłem się mu wówczas i prosiłem o opiekę nad sobą. Nie chciał początkowo wierzyć w tożsamość osoby, tak bardzo mnie broda i wąsy zmieniały, ale gdy okazałem mu legitymację poselską, którą potrafiłem uratować ze wszystkich przygód i rewizji, powiedział: „Jestem Pana politycznym przeciwnikiem. Już na uniwersytecie walczyłem przeciw Panu, jako socjalista. Teraz dopiero się zemszczę.“ Zapisał pod odpowiednią rubryką „tuberkuloza“, kazał mi iść natychmiast ze sobą i tak zgrabnie manewrował moją osobą przed Komisją niemiecką, że nie będąc wcale przez nich badany uzyskałem orzeczenie o otwartej gruźlicy.

Jeńcy zakwalifikowani jako chorzy i niezdolni do przebywania

w warunkach obozu poszli do łaźni w pierwszej kolejności. Był już grudzień, wieczór, ciemno. Deszcz, mżył, pełno było błota. Ustawieni przed budynkiem, mieszczącym tę łaźnię, na komendę rozbieraliśmy się na dworze, układając rzeczy w kostkę. Władze obozowe przeprowadziły kolejną rewizję rzeczy, po czym zabierano je do odwieszalni. Nago wbiegaliśmy do łaźni. Mycie odbywało się na komendę, po czym rozparzeni przechodziliśmy do nieopalonych, urządzonych w prowizorycznym baraku, izb. Tam znowu nago czekaliśmy na powrót rzeczy z dezynfekcji godzinę i dłużej. Świetna to była kuracja na otwartą na przykład gruźlicę, nieprawda?

Z bram Stalagu IV B wychodził transport kalek i chorych. Zacny doktor zęgnął mnie serdecznie, prosząc o odwiedzenie jego rodziny w Warszawie. „Jedziecie na wolność, pamiętajcie o nas“. Uderzyło nas, że lokomotywa pociągu, którym mieliśmy odbyć podróż, ustawiona jest w kierunku przeciwnym do tego, skąd przyjechaliśmy. Od nikogo żadnej informacji otrzymać nie było można. Któryś żołnierz miał przy sobie prymitywny kompas. Niestety jechaliśmy wciąż na południe i południowo-zachód. A więc nie do Polski, nie na wolność. Postanowienia Konferencji Haskiej, orzeczenia komisji lekarskiej — wszystko to były mamidła dla naiwnych.

Co na to może poradzić biedny niewolnik? Czasem bez nogi, czasem bez ręki, czasem nieudany, jak ja gruźlik. Zabraliśmy się do jedzenia, którego wyfasowano nam nad wyraz hojnie na tę domniemaną ostatnią drogę. Jako komendant wagonu rozdałem każdemu żołnierzowi po bochenku chleba, cztery z nadwyżką pozostawiając na „czarną godzinę“. Byli sceptycy, którzy mówili: „Panie komendancie, lepiej i te cztery rozdzielić, bo do jutra zginą“. Przegłosowałem zasadę pozostawienia rezerwy. Ale sceptycy mieli dużo racji. Nad ranem zakradł się pod ławkę jedyny obok mnie inteligent, literat z zawodu, i zżarł sam pod tą ławką jeden z czterech pozostawionych bochenków. Nie zostawił ani okruszyny. Głód, a często, jak w tym wypadku, strach przed głodem, podważał już zasady moralne w ludziach o słabszym kręgosłupie.

Przywieziono nas do Stalagu VII A w Moosburgu, o kilkadziesiąt kilometrów od Monachium. Był to centralny obóz jeńców żołnierzy w Niemczech.

Na wstępie nowa rewizja, bardzo szczegółowa. Każdemu żołnierzowi zdejmują buty. Bojąc się, by nie znaleziono u mnie innych rzeczy, jako że akurat w bucie miałem ukryte pieniądze polskie, zadeklarowałem je natychmiast. „Skąd masz tyle pienie

dzy?“. „Byłem w Polsce zamożnym adwokatem“. To zwróciło na mnie uwagę Niemców. Zawsze im imponowała pozycja społeczna, zamożność, a zwłaszcza tzw. lepsze pochodzenie, wyrażające się chociażby dodatkiem „von“ do nazwiska. Wdał się ze mną w rozmowę pewien porucznik niemiecki, asystujący przy rewizji, i mianował komendantem namiotu. „Pańscy koledzy — mówił — pomieszczą się wszyscy po jednej stronie namiotu. Drugą zajmują już Żydzi. Czynię Pana osobiście odpowiedzialnym za to, aby pomiędzy obu stronami nie było żadnego kontaktu ani rozmów“.

W ten sposób zetknąłem się praktycznie z pewnym wycinkiem tragedii Żydów podczas tej wojny. Nosili wszyscy, jako znak odróżniający, czerwone łaty. Zorganizowani w osobne kompanie, używani byli do najbrudniejszych robót obozowych, do czyszczenia dołów kloacnych w szczególności. Traktowani byli w sposób bardziej brutalny, niżli nasi żołnierze, bądź żołnierze francuscy. Jeśli żołnierz niemiecki dojrzał Żyda, który stanął powtórnie do kolejki po zupe, kopał go tak długo, aż się biedak unurzał w błocie jak świnia. Jeszcze brutalniej obchodzono się z tymi, którzy rzucali się do śmietników, by wybierać kości czy obierzyny wyrzucane z kuchni. Bezlitośnie ich wówczas bito. Natomiast warunki jedzenia i spania mieli te same, co i my. Ponieważ nie były to jednak warunki ludzkie (przynajmniej w tym okresie, w którym ja w obozie przebywałem), przeto nie było powodu zazdrościć im ich losu.

Stosunek naszych żołnierzy względem Żydów był wzorowy. Ani cienia niechęci, natomiast dużo ludzkiego współczucia. Były nawet wypadki stawania w obronie nad znęcanym, co zawsze związane było ze smutnymi konsekwencjami dla interweniujących. Część Żydów głęboko była poruszona w swej ambicji, wielu spośród nich cierpiało nad tym, że nie mają możności manifestować swego przywiązania do Polski, z której kulturą i tradycją byli już ściśle związani. Większość znosiła swe położenie biernie. Ich nadzieje ożywiły się, gdy zaczęto odsyłać transporty jeńców - Żydów do Polski. Na roboty publiczne, jak mówiono — do ghetta, jak się w przyszłości okazać miało. Wojsko niemieckie nie chciało, widać, brać na siebie odpowiedzialności za masowy mord jeńców i zwalniało ich z niewoli. Rozprawić się miały z nimi cywilne władze niemieckie.

W długie wieczory zimowe, przy temperaturze dochodzącej czasami do 30 stopni mrozu, pod namiotem leżały po obu stro-

nach rzędem mumie ludzkie. W płaszczach nasuniętych na uszy, w czapach na głowie. Jeno żywy wzrok tych żołnierzy wyrażał rozpacz i tęsknotę, czasem także odrętwienie. Chcąc ich wyrwać z tych nastrojów i korzystając ze swego przywileju, siadałem zazwyczaj na stole, na środku linii demarkacyjnej, i rozpoczynałem zbiorową dyskusję z obu grupami. Dyskusje te powoli zaczęły pochłaniać środowisko. Nikt nikomu nie ubliżył, ani też wrogo się nie odniósł. Odwrotnie. Zaczęły pękać lody, a Żydzi poczuli się z powrotem ludźmi.

Szybko rozeszła się sława mojego pobytu wśród Żydów całego obozu. Miejscem giełdy wszystkich plotek była oczywiście latryna. Tam schodzili się przedstawiciele wszystkich namiotów i nacji i tam, siedząc na drążku, czy po prostu ociosanej gałęzi, wymieniało się między sobą wiadomości. „Czy wiesz, kto tu jest?“ — usłyszałem kiedyś jak Żyd pytał Żyda. „No, kto?“ — „Ten Stypulkowski, ten poseł“. „Co on tu robi? On musi być przecież co najmniej porucznik?“ — „Porucznik? on napewno jest pułkownik“. Wiadomość poszła. Skrystalizowała się na podpułkowniku. Wkrótce w całym obozie już mówiono, że jestem podpułkownikiem i mam do wypełnienia szczególne zadania. Miało to później przykre dla mnie konsekwencje.

Po kilku dniach zorientowałem się, że na obóz nasz składają się różne ciekawe środowiska. Pewnego wieczoru zaprowadzono mnie do Polaków z Niemiec. Była ich spora gromada, przeważnie z Berlina. Niektórzy pochodzili z Czech, zawojowanych przez Niemcy. Internowani jako obywatele polscy zaraz po wybuchu wojny, mieszkali pod takimi samymi namiotami, jak my. Traktowano ich nieco uprzejmiej, a nadto mieli wielki przywilej otrzymywania od rodzin paczek żywnościowych i odzieży. Było wśród nich sporo mężczyzn w średnim wieku, było też dużo starców. Nie wszyscy już umieli mówić po polsku. Od kilku generacji mieszkali poza Ojczyzną. A jednak serca ich były takim promiennym uczuciem dla Polski, że zmuszało to do pokory niejednego z nas, uważających się za najlepszych patriotów. Kiedy byłem znużony codziennymi, drobnymi przykrościami i zgiełkiem zbiorowego pożycia, przychodziłem do nich po wiarę. Bo choć to było w momencie, gdy polska leżała rozbita, a Niemcy były już u szczytu niemal swojej pychy i potęgi, ci Polacy właśnie najtwardziej wierzyli w ostateczne zwycięstwo naszej sprawy. Jedno słowo wyrzeczenia z ich strony dałoby im wolność, przywróciło dostatek i związałoby z „narodem wybranym“, do którego wed-

ług oznak zewnętrznej kultury, a niekiedy nawet wedle swej mowy już należeli. Odmówili, dochowali wierności krwawiącej i umęczonej Ojczyźnie. Twardyśmy zaiste naród — nie zginiemy.

Odwiedzałem ich zawsze wieczorami — najłatwiej było dostać się do nich niespostrzeżenie. Uczylem ich o Polsce, o warunkach naszego życia, o planach na przyszłość. Słuchali chętnie. Nie robiłem tego za darmo. Dostawałem szklankę ocukrzonej herbaty, a niekiedy i kawałek sucharka.

Niektóre namioty zajmowali jeńcy francuscy, wzięci do niewoli na przedpolu linii Maginota. Halaśliwi, niefrasobliwi, brudni. Obladowani co niemiara paczkami, które ich dochodziły od rodzin, od Czerwonego Krzyża, od rządu. Mieli też całkiem spore zapasy perfum, damskiej jedwabnej bielizny i różnych łakoci. Oficerowie niemieccy — śmiech powiedzieć — stali w ogonku do ich namiotu, dokonywując zakupów. W tych warunkach oczywiście, położenie żołnierza francuskiego było niezwykle, w stosunku do polskiego, uprzywilejowane. Nie trwało to długo. Po klęsce Francji żołnierz francuski zaczął odczuwać tak samo nędzę niewoli.

Posterunki kucharzy obsadzone były z reguły przez Francuzów. Było zupełnie zrozumiałe, że nie odejmowali sobie od ust, aby dokarmiać naszych biedaków. Pomagali raczej swoim. Na tym tle dochodziło czasem do nieporozumień, ale na ogół stosunki pomiędzy żołnierzami polskimi i francuskimi były dobre. Czuliśmy nad tym inteligentniejsi koledzy obu narodowości, odwiedzając się nawzajem, ucząc się czasem języka, organizując nawet coś w rodzaju związku przyjaźni polsko-francuskiej.

Wielką atencją i serdecznością nacechowane były stosunki polsko-brytyjskie. Jeńców Anglików było kilku zaledwie, ale nosili się bardzo dumnie. Pamiętam, jak kiedyś oficer niemiecki liczył jeńców maszerujących w kolumnie i każdego mijającego dotykał po ramieniu. Przeszedł Polak, Nic. Przeszedł Francuz, Nic. Przechodził Anglik — i oto natychmiast po dotknięciu go przez oficera obrócił wzrok ku swemu znieważonemu ramięciu i palcami drugiej ręki pogardliwie strzepnął zeń kilkakrotnie ślady dotknięcia. Gdyby to zrobił kto inny, spotkałaby go niewątpliwie surowa kara. Anglikowi uszło na sucho. Niemcy w stosunku do Anglików mieli, wówczas przynajmniej, wyraźny kompleks niższości.

Było też trochę Arabów z francuskich wojsk kolonialnych. Niezwykle uzdolnieni językowo, po krótkim czasie mówili zupełnie

nieźle po polsku. Zwłaszcza doskonale przeklinali. Kiedyś, drze-
miąc na swej pryzy, całą noc słyszałem „Psiakrew, cholera“...
wypowiadane po polsku tak śmiało, że byłem przekonany, iż
śnie. Okazało się nad ranem, że to ukryty w naszym namiocie
Arab zgrywał się w towarzystwie Polaków w karty i dla dodania
sobie fantazji nieustannie mlął językiem. Każdy Arab był naj-
lepszym dostawcą, pośrednikiem i nabywcą wszystkich przed-
miotów, które mogą wchodzić w rachubę „na czarnym rynku“
jenieckim. Każdy, bez wyjątku, był przyjacielem Polaków. Do te-
go stopnia, że zgłaszali masowo prośby, by ich przenoszono z ba-
raków francuskich do polskich.

Najliczniejszym środowiskiem było, rzecz zrozumiała w tym
okresie czasu, polskie. Lepiej nam było w tym obozie, aniżeli
w Mühlbergu. Nie było takiego przerażającego błota. Panował
ład. Była opieka sanitarna, rzecz niesłychanie ważna dla tych
chorych i kalek, trzymanych bez sensu w niewoli. Ale, mimo to,
i tu życie nie było łatwe.

Styczeń 1940. Mróz dochodzi do 30 stopni C. Zabrano nam, ja-
ko potrzebne dla żołnierzy niemieckich na froncie, ciepłe niesfał-
szowane koce polskie, które niektórzy spośród nas nieśli na swych
plecach przez cały ciąg bolszewickiej niewoli i dotarli z nimi
w odwrotnym kierunku aż do Moosburga. W zamian dostaliśmy
po dwa pedy „ersatze“ z papieru. Spimy więc po trzech przytu-
leni do siebie. Trzy koce rozkładamy pod siebie, trzema pozosta-
łymi otulamy sobie nogi, tułowiu i twarzy. Zasilamy się głównie
cieplem ciała, leżącego obok kolegi. Jednak kości złożone na zie-
mi, pokrytej niezbyt dużą warstwą słomy, tak bołą, że co pewien
czas trzeba się odwrócić na drugi bok. Musimy to robić wszyscy
razem równocześnie. Misternie utkane pedy trzeba jakoś układać
na nowo, by nie wiało żadnym otworem. Usypiamy. Ale te pęche-
rze! Te pęcherze nagminnie chore u żołnierzy, którzy przeszli
ze mną wszystkie wędrowki, powodują, iż niekiedy trzeba w no-
cy wstawać dziesięć do dwunastu razy. Gdy jeden opuszcza le-
gowisko, dwaj pozostali budzą się automatycznie i bądź idą jego
śladem, bądź też czekają na niego. Do „latryny“ było z górą
150 m. Gdy ktoś zamierzał załatwić swą potrzebę gdzieś bliżej,
strzelał do niego posterunek.

Na tych kolejnych opatulaniach i wędrowkach schodzi noc. Ra-
no pedy pokryte są grubym szronem. Na wewnętrznych ścia-
nach namiotu jest go jeszcze więcej. Żołnierze przynoszą w mis-
kach gorącą kawę, płucami swymi rozgrzewają temperaturę na-

miotu. I oto niebywałe w namiocie zjawisko: pada gęsty deszcz. Wszystko jest mokre, nie ma gdzie wysuszyć, chyba że znowu zmarznie. Tak mieszkaliśmy całe miesiące; dopiero w lutym wykończono drewniane baraki.

Nie wiele lepiej było z jedzeniem. Tyle milionów ludzi cierpiało w obozach niemieckich, że nie będę się nad tym rozwodził. Podstawą egzystencji w niewoli niemieckiej były paczki nadsyłane przez rodziny i organizacje międzynarodowe. Nie dostawaliśmy ich przez pierwsze miesiące, gdyż rodziny nasze długo jeszcze nie знаły naszego losu. Ja miałem nie otrzymywać ich wcale — dlatego opowiem za chwilę. Dość powiedzieć, że cierpiałem z głodu więcej, niżli w niewoli bolszewickiej. Szczególnie dokuczał mi brak chleba. Gdy kiedyś dojrzałem w rękę przyjaciela bochenek wytargowany w jakichś nieczystych kombinacjach od któregoś z Niemców pracujących przy budowie baraku, nie wytrzymałem. Nie czekając na dobicie targu, urwałem kawał chleba i wpakowałem go drżącą ręką do ust. Długo się potem wstydziłem tego wybuchu. Dla uzyskania „repety“ żołnierze ryzykowali najcięższe kary. Przy ich sprycie udawało im się zazwyczaj zmylić czujność dozorczy. Trzeba przyznać, iż osobiście nigdy nie potrzebowałem ryzykować stawania w ogonku po raz wtóry. Sami żołnierze przynosili mi na zmianę i z własnej ochoty drugą porcję.

Jedynie rano kawy mieliśmy dosyć. Ponieważ jednak nie była słodzona i bardzo przypomina wodę, korzystaliśmy z tego, by nią przemyć choć czubek nosa i oczy. Dobrze odmoczywyszy sobie palce można też było zetrzeć z nich brud. Przez dwa miesiące było to chyba jedyne mycie.

Różne były reakcje naszych żołnierzy na te warunki życia. Jedni, nie mogąc usnąć z zimna, cele noce przemierzali namiot tam i z powrotem z uporem maniaków, powtarzając: „Niech nas zamordują, niech nas zamordują, ale po co nas męczą“. Inni wpadali szybko w odrętwienie, wstając tylko dla koniecznych potrzeb z usłanego ze słomy gniazdko. Ludzie prości raczej histeryzowali, inteligenci, trzymając w rękę zatłuszczone karty, drewnianym głosem zza podniesionych kołnierzy płaszczy całymi dniami powtarzali mechanicznie: „Dwa piki. Contra. Pass“. Zdrowi psychicznie starali się utrzymać w formie, przebywając godzinami na powietrzu, wnikając w życie wewnętrzne obozu, interesując się problemami, które narzucali Niemcy.

Władze niemieckie zajęte były przede wszystkim fabrykowaniem *volksdeutschów*. Kto władał językiem niemieckim, mógł być

uznany za Niemca. Kto mógł się wykazać przodkami niemieckimi był Niemcom. Kto pochodzi z dzielnic, włączonych do Rzeszy, zaliczony mógł być do Niemców. W nagrodę bywał zwolniony z obozu i wracał do domu. Różne komisje egzaminacyjne służyły jeno za narzędzie pozyskania krwi polskiej dla germańskich celów. Niestety, sporo żołnierzy tak nieugiętych wobec agitacji bolszewickiej, dawało się nabrać na te niemieckie mamidla. „Do domu, na wolność! Niech będzie, co chce, idę! Na wolności będę mógł lepiej służyć Polsce. Od poboru niemieckiego — ucieknę. Zdrady nie popełniam, bo wroga oszukuję“. A była i garść oportunistów, Polaków świeżej jeszcze daty, co mówili: „Niemcy wygrali, temu przecie sam nie poradzę“.

Potrzebna była kontrakcja. Gdzie mogłem, chodziłem i przekonywałem, zapalałem wiarę w przyszłość naszą, groziłem gniewem narodu, tłumaczyłem konsekwencje. Aby tylko nikt nie powiedział, że nie było komu doradzić lub przestrzec, choć byli tacy, których obowiązkiem było to uczynić.

Były i inne problemy, bezpośrednio już dotyczące mojego losu. Do takich np. należała sprawa cywilów, niesłusznie przebywających w obozie jeńców-żołnierzy. Gdy tylko wróciliśmy z Rosji, postanowiliśmy w gronie przyjaciół zadeklarować się Niemcom, jako osoby cywilne, bezprawnie przez bolszewików zabrane i wywiezione w głąb Rosji, do obozu jeńców, stamtąd zaś przekazane do ich niewoli. Miałem różne argumenty: przedstawiałem książeczkę wojskową starannie zachowaną, z której niedwuznacznie wynikała moja niezdolność do odbywania służby z bronią w ręku. Posługiwałem się dalej swoją pozycją społeczną, jako adwokata i działacza politycznego antybolszewickiego, aby uważać to za wystarczającą przyczynę zagarnięcia mnie przez wojska sowieckie. Fakt posiadania munduru uzasadniłem tym znowu, że w głębi Rosji panowała surowa zima i musiałem o mundur taki postarać się za dużą nawet cenę u przypadkowych towarzyszy mego losu, żołnierzy, aby nie zamarznąć w swym letnim cywilnym ubraniu, w jakim zostałem przychwycony. Broniąc losu nie tylko swego, ale i wielu innych, zgłaszających się w charakterze osób cywilnych, pisałem, w oparciu o prawo międzynarodowe, memoriały do władz niemieckich, w czym zresztą pomagali mi niektórzy oficerowie niemieccy.

Nie dowierzając całkowicie skuteczności tamtego wybiegu robiłem z siebie w dalszym ciągu niebezpiecznie chorego. Okoliczności temu sprzyjały. Któregoś dnia zbudziłem się rano z pie-

kielnym bólem prawej strony głowy: wskutek przeziębienia odezwały się konsekwencje poranienia, doznanego w Lublinie. Nastąpiło zapalenie zatoki czołowej i jamy Heimora, powodując temperaturę i nieopisane cierpienia. Codziennie w określonych godzinach, między 7.30 rano a 1. z minutami po południu, wilem się w boleściach, aż do utraty przytomności. Wywieziono mnie do szpitala w Landshut.

Gdy przemierzałem pieszo pod strażą ulice tego starego bawarskiego miasteczka, przypomniałem sobie, — o ironio losu — jak rok przedtem przejeżdżałem przez nie swą piękną limuzyną w charakterze podejmowanego z wielkimi honorami turysty, Niemcy bowiem liczyli jeszcze wówczas na to, iż Polska nie stanie na przeszkodzie ich planom. I oto tak się złożyło, że wracając do Kraju przez Wrocław, zatrzymałem samochód na rynku i powiedziałem do swego otoczenia: „Zobaczycie, że miasto to za pięć lat wróci do Polski“. Usłyszał to przechodzień, w robotniczej bluzie. „O, dla Boga — zwrócił się do mnie w śląskim nareczu — co też Pan mówi. Jaka byłaby to radość. Ale cicho! bo tu Gestapo wszystko słyszy“. Uśmiechnąłem się. Mimo wszystko nie rozumiałem grozy, zawartej w tym słowie: Gestapo. W swej przepowiedni nie pomyliłem się wiele więcej ponad rok.

W lutym 1940 r. byłem jednak tylko mizernym jeńcem, którego „wielkoduszne“ Niemcy leczyły w Landshucie przy użyciu wszystkich środków, będących w ich dyspozycji i w pierwszorzędnych warunkach szpitalnych. Szpital bowiem i urządzenia jego przygotowane już były do następnej rzezi, tym razem na zachodnim froncie. W oczekiwaniu na ofiary nowej ofensywy przyjmował chwilowo chorych polskich.

Wiodłem w tym szpitalu, niezwykle tryb życia. Rano wszelkie wysiłki kierowałem ku stworzeniu pozorów neuleczalności choroby. Przy pierwszej wadze nakładałem niespostrzeżenie do kieszeni ciężarków, przy następnych stopniowo się odciążałem. Stąd waga moja wskazywała na katastrofalnie szybki ubytek. Rzecz inna, że od chwili wymarszu na wolność do dnia przyścia do szpitala, to jest mniej więcej w ciągu pół roku, straciłem istotnie 22 kg. Nauczyłem się podbijać termometr, znałem wszystkie objawy zewnętrzne chorób, których lekarz nie może ocenić w drodze zwykłego badania. Stąd byłem stale kwalifikowany jako ciężko chory i podlegający zwolnieniu do domu. W ciągu dnia zajmowałem się innymi rzeczami. Służyłem np. za tłumacza pomiędzy księdzem niemieckim i odbywającym swą ostatnią spo-

wiedź umierającym żołnierzem. Powiecie, że to niemożliwe z punktu widzenia prawa kanonicznego. A jednak tak było. Poczciwy bawarski księżuło odszukał mnie sam i prosił najpierw o przekonanie ciężko chorych o konieczności pojednania się z Bogiem, a potem o dopomożenie w zrozumieniu ich. Drewniana tabliczka z wypisanymi grzechami nie wystarczała im do duchowej rozmowy. Myślę, że ksiądz znalazł w swym sumieniu jakieś rozwiązanie tej kanonicznej trudności. Ja osobiście byłem bardzo swą funkcją wzruszony. Trzeba dodać, iż wielu żołnierzy odmawiało dokonania spowiedzi wobec księdza niemieckiego. W swym narodowym, zapiekłym bólu, nie byli w stanie odróżnić duchownego niemieckiego od Niemców — oprawców.

W inne znowu dnie zabawiałem się wesoło z moimi towarzyszami niedoli. Bywało i tak, że w stroju szpitalnym tańczyłem w charakterze panny najnowszy taniec sezonu 1939, podobny do *Lambeth - Walk'a*, z tą tylko różnicą, że klepało się nie swoje uda, ale tylną część ciała. Nauczył mnie tego tańca pewien żołnierz francuski, syn zamożnego plantatora z Algieru, który okres przed samą wojną spędzał w Juan les Pins na Riwierze. Ktoś ślicznie akompaniował na grzebieniu, a cennym urozmaiceniem takiego „*five o'clocku*“ był to poczęstunek czekoladą przez bogatych Francuzów. Niejeden z nich zdołał już w tym czasie nagromadzić sobie po dwadzieścia i więcej puszek przeróżnych konserw. Nie mogli tego znieść wygłodniaли Niemcy. Pod pozorem rewizji, przy wręczaniu paczek, kazali konserwy otwierać. Był to znowu raj dla naszych żołnierzy — trzeba było szybko konsumować zawartość puszek. „*Five o'clocki*“ znacznie nabrały efektywnej wartości.

Popołudnia spędzałem najczęściej w towarzystwie lekarzy Polaków, przydzielonych do szpitala dla pomocy Niemcom. Otoczyli mnie serdeczną opieką, mogłem w ich pokoju spokojnie pracować i uczyć się. Zauważyłem, że potworne zbrodnie, jakich Niemcy dopuszczali się na Narodzie Polskim, wywoływały u jednego z lekarzy, młodzieńckiego podporucznika, wybitnie zdolnego bakteriologa wprost patologiczną zawziętość. Nie wierzył jednak w pokonanie Niemiec. Wszystkie swe myśli i plany ześrodkowywał na szukaniu sposobu zemsty nad nim. W wielu dyskusjach przekonywał mnie, iż dojdzie szybko do wyhodowania bakterii dżumy o takiej sile, iż rozpyłone umiejętnie a zupełnie niepostrzeżenie w jakimś środowisku, np. w czasie przedstawienia w dużym kinie, wygubią więk-

szość ludności Rzeszy, zanim Niemcy zorientują się w środkach ratunku. Żył tylko tą myślą — licząc się ze śmiercią własnego Narodu. A w stosunkach z poszczególnymi ludźmi odznaczał się niebywałą dobrocią i miękkością.

Wieczory, już po zgaszeniu świateł, poświęcaliśmy wspomnieniom. Żołnierze chętnie dzielili się nawzajem swymi przeżyciami. Najmilszym tematem były wrażenia z niedawnej kampanii wojennej. Jeden opowiadał o wyprawie kilku pułków kawaleryjskich w pierwszych dniach pamiętnego września w głąb Prus Wschodnich, z których później musiano się wycofać w związku z ogólną sytuacją na frontach. Inny mówił o szarży konnej na czołgi. Trzeci o bohaterskiej śmierci przyjaciela mojego, komandora Edwarda Szystowskiego, który w Drugiej Wojnie Światowej padł jako pierwszy, dnia 1 sierpnia o piątej rano, podczas bombardowania lotniska w Pucku. Ktoś inny opowiadał, jak to oddział marynarzy przebił się ze swymi dziewczynami w okolicach Błot Pińskich przez hordy otaczających ich bolszewików, jak się żaden z nich nie poddał, a kobiety wspomagały ich do ostatniego strzału. Wszystkie te opowiadania, dochodzące gdzieś z kątów wielkiej sali szpitalnej, tchnęły sentymentem dla tej przeszłości. Tylko z jednego łoża przyskała negacja, odór rozkładu. „Oficerowie nas zdradzili. Rewolwerami zmuszali do walki. Rozkradali kasy wojсковe i uciekali nic nam nie pozostawiając“. A gdy jeszcze dodał: „Co mi tam Polska, ja chcę jeść“ — niedługo trzeba było czekać na konsekwencje. Kilku jednonogich kulasów, posunawszy się po ciemku po podłodze w kierunku rezonującego, zarzucili mu koc na głowę i spontanicznie sprawili potężne lanie. Ta koleżeńska kara odniosła skutek. Delikwent przyrzekał potem uroczyście, że więcej już kalumnii rzucać nie będzie.

Czułem się dobrze w tym środowisku. Mając w dodatku silne poparcie ze strony polskich lekarzy, oddawałem się złudzeniom, że zostaną szybko zwolniony do cywila. Marzenia te rozbiły się jednak w okolicznościach bardzo nieprzyjemnych. Ten sam żołnierz, który niedawno dostał lanie, za dwa bochenki chleba sprzedał strażnikowi niemieckiemu wiadomość, iż między jeńcami ukrywa się oficer polski w szarży podpułkownika, — i wskazał na mnie. Czasem, w przykrych snach, widzę jeszcze sylwetkę tego osobnika. Chory na liszaje, miał całą głowę, twarz i ręce pokryte grubą warstwą białej maści. Ostry, haczykowany nos, wygolone brwi, małe oczy i długie paznokcie u rąk, nadawały mu przytem niesamowity wyraz.

Pewnego dnia kazano wszystkim opuścić salę. Z odgłosów, jakie dochodziły, zrozumieliśmy, że dzieje się w niej coś niezwyklego. Do sali weszli komendant szpitala, lekarz naczelny i, najgroźniejszy z nich, intendent, w życiu cywilnym sprawujący funkcje naczelnika więzienia. Po chwili wywołano mnie. W miejsce panującego zazwyczaj wielkiego porządku wszystko było poprzewracane do góry nogami. Góry słomy na łóżkach wskazywały, iż robiono poszukiwania we wszystkich siennikach. Na stole leżał „*Mein Kampf*“, otrzymany przeze mnie od lekarza z dość ryzykowną dedykacją: „Trzeba poznać to, z czym się chce walczyć“. Leżały też obok: konstytucja sowiecka, którą przywiozłem sobie na pamiątkę z Rosji, paczka listów do rodzin od oficerów, z którymi się tam rozstałem, ostatnie ich słowa skierowane do bliskich przed męczeńską śmiercią w Katyniu. — wreszcie dwa złote krążki dziesięciodolarowe. Faktu posiadania książek nigdy nie ukrywałem, dolary znalezione w chlebie, a listy w podszewie od butów. Była to trzydziesta trzecia, tym razem fatalna, rewizja, jaką przebyłem w niewolach.

Zawieziono mnie natychmiast do obozu pod silną eskortą. Z górą miesiąc byłem w dyspozycji wojskowego Gestapo. Muszę stwierdzić, że w metodach postępowania różniło się ono bardzo od tych, jakich używano w Polsce. Sposób badań był przyzwoity, choć wyczerpujący i przykry. Z zarzutu, że jestem podpułkownikiem, stosunkowo łatwo się wytłumaczyłem, natomiast fakt ukrywania korespondencji pochodzącej jeszcze z Rosji, był w oczach Gestapo dowodem uprawiania przeze mnie konspiracyjnej pracy narodowej, posiadanie zaś złotych dolarów — dowodem planowania ucieczki. Przyjmowali już wtedy chętnie antybolszewickie wyjaśnienia, a posiadanie złotych monet uzasadniłem tym, że dała mi je przy ślubie babka mojej żony i poleciła się z nimi nigdy nie rozstawać. Wierny temu poleceniu, przetrwałem z nimi wszystkie moje przygody wojenne, traktując je raczej jako talizman niżli pieniądze.

Nie wiem, czy wiele osiągnąłbym swymi tłumaczeniami, zwłaszcza, że nazwisko moje było już znane z działalności w Kraju, celem zaś Gestapo było od początku niszczenie aktywu polskiego, a nie dochodzenie sprawiedliwości i prawdy. Miałem jednak w owym już czasie kontakty z trzema oficerami niemieckimi spośród dowództwa obozu, którzy pomagali mi szczerze i skutecznie w wybrnięciu z niedoli. Jeden z nich był Bawarczykiem, i po kilku rozmowach zadeklarował się wobec mnie jako zwolennik kato-

lickiego państwa południowo-niemieckiego, w wypadku klęski Hitlera. Temu Polacy imponowali swoją prostą, niefalszowaną religijnością i przyzwoitością, z jaką zachowywali się w obozie. Dwaj pozostali byli Ślązakami, którzy na wypadek przegrania przez Niemcy gotowi byli rozwinąć w sobie tradycje polskie, jakie zachowali choćby w postaci znajomości gwary śląskiej.

Oni to, niemieccy oficerowie, zawczasu uprzedzali mnie o poszczególnych fazach śledztwa zasiągnąwszy języka przy stole w kasynie, lub przy innej okazji w rozmowie z gestapowcami. Oni poprawiali moje memoriały, traktujące o przysługujących jeńcom prawach z punktu widzenia zasad Konwencji Haskiej. Od czasu do czasu przynosili jakieś jabłka, kawałek chleba, czasem gazetę. Wynajdywali mi zajęcia w pomieszczeniu cieplejszym. Im też w dużym stopniu zawdzięczam, że obóz opuściłem. Zostałem więc nagrodzony za chwile strachu, jakie przeżywałem, gdy zdecydowałem rozpocząć z nimi szczerą rozmowę, mogącą łatwo zaprowadzić mnie na tamten świat. Oni jednak bali się jeszcze o wiele więcej. Każdemu doręczonemu jabłku towarzyszyły takie zaklęcia o dochowanie tajemnicy, jakgdyby już przez ten fakt popełniali akt zdrady państwa.

Przy każdej rozmowie z Niemcami nie mogłem się powstrzymać od tego, by nie skorzystać z okazji zastrzyknięcia im wątpliwości, bądź zgola niewiary w ostateczne zwycięstwo ich sprawy. Szeregowi na ogół niewzruszenie byli przekonani o zwycięstwie, budowali jednak to przekonanie na dwóch przesłankach: po pierwsze, że wojna skończy się najpóźniej jesienią 1940 r., po drugie zaś, że Stany Zjednoczone do wojny nie przystąpią. Słyszało się to od każdego jako pewnik. Oficerowie mieli szacunek dla potęgi morskiej Wielkiej Brytanii, ale wierzyli, iż Niemcy posiadają nowe niezwykle wynalazki, które wagę marynarki wojennej unicestwią.

W początkach marca 1940 r. zwiedzali obóz w Moosburgu dostojnicy hitlerowscy. W mundurach bogato szamerowanych zachowywali się wesoło i buńczucznie. Przedstawiano im mnie. „Czym Pan jest z zawodu?“ — „Jestem adwokatem“. — „Ach, to wy, polska inteligencja, jesteście odpowiedzialni za wojnę, za zniszczenie kraju, za utratę państwa. To wy, szowiniści, nie chcecie oddać nam „korytarza“, pójść z nami ręką w rękę. Śniła wam się przyjaźń z Anglią, z Francją. Wierzyliście, że nas pobijecie“. Tu któryś z boku podpowiedział dygnitarzowi usłużnie: „A może on jeszcze dalej wierzy w zwycięstwo?“ — „No co wie-

rzy Pan?" — „Wojna jeszcze nie skończona“ — odpowiedziałem. Wybuchnęli śmiechem i poszli dalej. Dziś się już z pewnością nie śmieją.

Losy moje ważyły się przez dłuższy czas. Były czynniki w administracji obozu, które myślały o przekazaniu mnie cywilnemu obozowi koncentracyjnemu, a nie chciały za nic dopuścić do zwolnienia — były i takie, które parły do tego zwolnienia. W tę grę wprowadzeni byli nawet niżsi funkcjonariusze, różni feldfeble i „unteroficery“. Co parę godzin przynosili mi oni sprzeczne informacje. Nerwy moje napięte były do granic wytrzymałości. Wiedziałem, że to już ostatnia szansa wolności. Po wysegregowaniu cywilów przyjdzie mi siedzieć tu do końca. W dodatku siły słaby, a nie otrzymywałem żadnych paczek z domu, bowiem władze prowadzące śledztwo konfiskowały je. Rodzina nie otrzymywała żadnych listów ode mnie, bo je Gestapo zabierało do siebie. Wskutek starań bliskich zaczęły się interwencje nie tylko zza granicy, ale nawet od moich przedwojennych klientów z Niemiec. Ci ostatni ciężko za to odpokutowali, a interwencje zza granicy podnieciły jeszcze podejrzliwość Gestapo. Zrozpaczona brakiem wszelkich wiadomości matka napisała wreszcie wprost do komendanta obozu z zapytaniem, czy żyję. O dziwo, komendant, pułkownik starej daty, który często stykał się ze mną w obozie, odpisał osobiście, że żyję i że niedługo przyjadę do Kraju.

Rzeczywiście, wkrótce potem wrócono mi wolność.

Trudno jest przetrwać niewolę w dobrej formie. Nie w ilości kalorii pożywienia, ani w warunkach snu leży ciężar zagadnienia. Istota tkwi w psychice zbiorowej środowiska. W środowisku tym nikt nie walczy, bo nie ma o co, położenie każdego jest mniej więcej uregulowane, to samo i co dzień takie same. Meta: wolność jest celem, za który nie płaci się ani wysiłkiem, ani wolą, ale jako ceną jedyną — trwaniem. W tych warunkach nieuchronnie następuje zbiorowe odrętwienie, które przygniata psychikę jednostki. Trzeba wielkiej siły ducha, by się temu zbiorowemu bezwładowi nie poddać. Aby to osiągnąć, konieczne jest postawić sobie własne cele i stworzyć indywidualną użyteczność własnej osoby. Na to trzeba posiadać silny bodziec życia, jaki daje wiara. Wiara w Boga, rzetelna wiara w idee, którym się służy i które się wyznaje.

Czasu niewoli ludzie dążą do Boga. Nigdy nie słuchałem bardziej wzruszających mszy świętych, jak te śpiewane u ołtarza zbudowanego własnym wysiłkiem jeńców za drutami obozu. Śpie-

wały na przemian chóry żołnierzy polskich i francuskich. Tęskne melodie duszy słowiańskiej łączyły się u stóp Pana ze skocznymi rytmami galickiego temperamentu. Mszę św. odprawiał kapłan niemiecki. Opodal namiotu stawał często Arab i wywracał ku niebu oczy.

IV.

Na ziemi polskiej stanąłem w Ostrzeszowie, któremu Niemcy „przywrócili“ znów nazwę Schildberg. Nie była to tylko zmiana nazwy miasta. Na ulicach śnieg i błoto uprzętały pod niemiecką strażą polskie kobiety. Były w chustkach na głowie i bez ciepłej odzieży, a przecież każdy rozpoznałby w nich niedawne obywatelki tego miasta. Nie widać było ani jednego szyldu polskiego. Dokoła gimnazjum, miejscowej fabryki i wielu innych budynków rozpięte były druty kolczaste — to obozy jeńców i internowanej ludności polskiej. Na dworcu kolejowym roilo się od mundurów niemieckich.

Przejeżdżałem przez Kalisz już bez asysty niemieckiej. W mundurze polskiego żołnierza, z dużą czarną brodą i nielada wąsikiem wywołałem ogromne poruszenie w tłumie młodych dziewczyn, czekających cierpliwie na załadowanie do wagonów towarowych. „A wy dokąd?“ — zapytałem po polsku, korzystając z nieuwagi kręcących się po peronie nowych „volksdeutschów“. „My na roboty do Niemiec. Ojcom naszym zagrozili wyzuciem z gospodarstw, musimy jechać. Pan Bóg Szwabów ukarze“.

W Łodzi, którą w owym właśnie czasie przechrzczono na Litzmannstadt, wyrzucono nas z przedziału. Wsiedli nowi panowie. jacyś Niemcy, nam kazano stać w korytarzu.

Warszawa przywitała mnie ciemnościami. Pocziwa, nie chciała przerazić żołnierza, co z dalekiej powrócił do niej wędrówką, niezaschlými jeszcze ranami. Wśród śmiertelnej ciszy godziny policyjnej, kroczyłem Alejami Jrozolimskimi, Nowym Światem, na Krakowskie Przedmieście. Ruiny, zgliszcza. Tu i ówdzie nieusunięty jeszcze grób. Ale przecież nie wszystkie domy zniszczone. Jak tam z numerem 30 Krakowskiego Przedmieścia? Front zniszczony. Furta prowizoryczna. Targnąłem silnie za dzwonek. „Kuchennymi się wchodzi teraz schodami“ — objaśnił mnie wzruszony wyraźnie dozorca domu. W domu czekali wszyscy. To jakiś instynkt bliskich serc mówił im, że mają czekać. Ką-

piel odbyła się z całym namaszczeniem. Spalenie bielizny, wymiana na czystą. Boże, befszytk, masło, herbata i konfitury, za którymi tak przepadam! Niewola, Rosja, przygody wojenne, wszy, głód, tęsknota straszliwa, Gestapo — wszystko to wiruje w rozmowie. Gdzie bracia? Starszy uciekł z niewoli niemieckiej, ukrywał się tu i już jest w Estonii, czeka na statek, śpieszy dalej via Szwecja do naszych, na Zachód. Gdzie Janusz? Niejasne tłumaczenia, oczy matki i żony umykają spod mego spojrzenia. Nie chciały zaprawić mi goryczą pierwszych chwil radości spotkania. Janusz, młodszy ukochany mój brat, zginął śmiercią żołnierza jako dowódca baterii w obronie Modlina 17 września 1939 r. To były moje wrażenia z pierwszego dnia wolności.

Tydzień cieszyłem się szczęściem rodzinnym. Po tygodniu Niemcy aresztowali moją teściową, 60-letnią pisarkę pod zarzutem utrzymywania kontaktu z Anglią i uprawiania anglofilskich nastrojów. Jakaż była podstawa dla tego rodzaju zarzutów? Podobno fakt odbycia podróży na Wyspy Brytyjskie przed kilkunastu laty. Dla pewności aresztowano z nią całe grono bibliofilów. Idyllą był jednak jeszcze w owym czasie terror niemiecki w porównaniu z tym, jaki rozwinęli później, w latach 1942-45. Po miesiącu matkę mojej żony udało się uwolnić.

W dniu, w którym opuszczała „Pawiak“, córka jej przestąpiła próg tego więzienia. Zdołały się jeszcze spotkać w ubikacji, jedynej sali recepcyjnej dla więziennych pensjonariuszek. Ta niezwykła sytuacja odbiła się w Warszawie szerokim echem.

Żonę moją aresztowano w lokalu Rady Adwokackiej, w którym zorganizowana była tania kuchnia dla adwokatów, sędziów i ich rodzin, pozbawionych często domu, mienia i źródeł zarobku wskutek zbombardowania Warszawy i niedawnej klęski narodowej. Żona była jedną z czynniejszych organizatorek tej kuchni i nieraz chciała się przede mną pochwalić wynikami swej pracy. Wiedziony instynktem, niechętnie tam zaglądałem, choć w taniej kuchni zawsze spotkać mogłem dobrych przyjaciół i wielu mądrych, przyzwoitych ludzi. Krytycznego dnia zobowiązałem się żonie przyjść po nią, wracając do domu na obiad. Gospodarz z Podlasia, któremu pomagałem załatwiać tego dnia jakieś kłopoty w Banku Rolnym, zaprosił mnie nieśmiało „na poczęstunek“. Wymawiałem się trochę, ale odmówić kategorycznie nie mogłem, bo bardzo by to obraziło ambitnego chłopca. Więc choć wątrobę miałem jeszcze dobrze spuchniętą, jako uboczny produkt

warunków niewoli, wychyliłem z nim po drodze jeden i drugi kieliszek. Zegar wskazywał, że spóźniłem się na rendez-vous z żoną. Pewny, że czeka mnie ona już na obiedzie, pośpieszyłem wprost do siebie. Mijając dom Rady Adwokackiej, zawahałem się na sekundę. Wtedy to właśnie w Taniej Kuchni gospodarowało od paru godzin Gestapo zatrzymując każdego, kto tam przyszedł. Po dłuższym czasie udało się zwolnić kilku starców i trzy, zdaje się, kobiety. W liczbie tych kobiet szczęśliwie znalazła się moja żona. Z górą 40 pierwszorzędnych adwokatów, filarów naszego społeczeństwa, po aresztowaniu wywieziono do różnych obozów. Żaden z nich nie żyje. Nie było mi sądzone znaleźć się w ich gronie. Narzędziem przeznaczenia bywa i kieliszek wódki.

Wspomnianą wyżej grupę kolegów moich aresztowano wskutek denuncjacji ze strony młodego adwokata, z pochodzenia Rosjanina, niejakiego Georga von Janowski'ego dawniej poprostu Janowskiego. Obrzydliwy był to osobnik. Wysługiwał się Gestapowcom do tego stopnia, że towarzyszył im nawet w nocnych wizytach u żon swoich byłych kolegów, o których wiedział, że są bądź w niewoli, bądź za granicą. On to, wiedziony zemstą za łodowate przyjęcie, z jakim się spotkał gdy zaszedł kiedyś do adwokackiej kuchni, wskazał Niemcom, że tam się gromadzi inteligencja o poglądach antyniemieckich. Zanim zdążyli się rozprawić z nim Polacy, wykończyli go później sami gestapowcy na tle porachunku w łupach.

Wkrótce liczbę ofiar powiększyło stu innych adwokatów. Jeden z nich, mniejszej klasy, bronił sprawy o eksmisję przed sądami polskimi, które istniały z łaski Niemców w zakresie sporów cywilnych i drobnych spraw karnych. Dobierając argumentów, które mogłyby przeważać szalę na jego rzecz, użył między innymi zwrotów patriotycznych. „Nie ma tu miejsca — tak mniej więcej zakończył — dla tych, którzy należą do narodu, co wbił nam nóż w plecy, w chwili, gdy tocymy śmiertelną walkę z okupantem“. Jak widać z tego przemówienia, przeciwniczka jego, zalegająca z komornym, była Rosjanką. Spomiedzy słuchaczy, podnieconych tak górnym tonem obrony, padło podobno kilka oklasków. Sędzia nie zareagował. Rzecz doszła, może z inicjatywy tejże Rosjanki, do wiadomości władz niemieckich. Następnej nocy aresztowano tytułem represji sędziego i 100 adwokatów wybranych z listu tych, których jako adwokatów przyjął i za twierdził niedawno niemiecki wydział sprawiedliwości. Nie będąc na tej liście unikałem branki, a w następstwie najprawdopo-

dobniej i śmierci. Nie był to już tym razem przypadek, gdyż świadomie nie zgłaszałem się Niemcom w roli adwokata. Nie chciałem nawet w tym charakterze składać żądanych przez nich oświadczeń, przede wszystkim zaś byłem przekonany, że każda lista inteligencji polskiej w ich ręku będzie listą proskrypcyjną. I tak było w istocie.

Niemniej przeto nie ominęło mnie w tym czasie aresztowanie. Leżałem chory na grypę i przygnębiony złymi wiadomościami, jakie mi przyniesiono o losie żony, która już podówczas drugi miesiąc siedziała na „Pawiaku“. Przy łóżku czuwała pocieszając mnie matka i przyjaciel, dawny mój sekretarz polityczny. Dzwonek drzwi otworzył 11-letni wtedy synek mój, Andrzej. „Tatulku, Gestapo! Po Ciebie!“ — wbiegł do pokoju. Stało się. Sprawdzenie personaliów poczem suchy rozkaz: „Proszę się ubierać“. Krótkie pożegnanie, ostatnie spojrzenia. Syn, który dotąd wierzył, że się ojcu nic nie stanie i szerzył w domu dziecięcy optymizm, zapłakał. „Nie, nie, wszystko będzie dobrze“.

Piękne są Aleje Ujazdowskie. Gdy przemierzałem je w pędzie zieloną limuzyną Gestapo, nigdy mi się nie wydawały piękniejsze, ani świat cudowniejszy, ani życie ciekawsze.

Zawieziono mnie wprost do głównej siedziby Gestapo, w Aleje Szucha. Gdzie przed tym mieściło się polskie Ministerstwo Oświaty Publicznej i Wyznań Religijnych, tam zorganizowali Niemcy centralę zbrodni publicznej i zeznań śmiertelnych.

Byłem przesłuchiwany dwa razy. Oświadczone mi, że jestem podejrzany o udział w kierowaniu ruchem oporu, t.zw. *Aufstandsbewegung*. Zaczęło się naturalnie od życiorysu. Widziałem, że gestapowiec trzyma w ręku akta, pochodzące jeszcze z okresu moich przygód w niewoli. Zbyt one były silne w mej pamięci, bym zapomniiał choć jedno słowo z tego, co wówczas mówiłem. Powtarzałem wszystko dosłownie, udając jednak, że się nie orientuję, skąd indagujący mnie oficer może posiadać tyle materiału z mego życia. Wyrażałem swoje zdumienie. „*Gestapo weiss Alles*“ — chępił się zadowolony oficer niemiecki.

Doszliśmy do okresu mej działalności poselskiej. Powiedziałem, iż do Sejmu zostałem wybrany jako przedstawiciel Młodych i należałem do Klubu Narodowego. W tym momencie z niespodziewanym ratunkiem przyszła mi asystująca przy badaniu stenografka. „*Ach, Herr Obersturmführer* — zawołała — on, on nie jest winien. On walczył z tymi łobuzami i degeneratami, co Polską rządzą! Pan *Obersturmführer* wie, do czego wtedy dochodziło! Żona pre-

miera generała Składkowskiego, Żydówka francuska, tańczyła nago przed korpusem dyplomatycznym. Wiem to dobrze, ona właściwie Polską rządziła! A on z nią walczył, on nie jest winien, ja to wiem dobrze!“ Ani pani generałowa Składkowska nie była Żydówką, ani też prawdopodobnie nigdy przed korpusem dyplomatycznym w Polsce nie tańczyła, a już napewno nie tańczyła nago. Nie mam też danych do twierdzenia, że pani Składkowska rządziła Polską, choć czytelnicy wiedzą, że niekiedy żona premiera wywiera duży wpływ na rządy poprzez rządy nad swym mężem. Nie nadaje się też do roli wojującego z kobietami, choćby dlatego, że je za bardzo lubię. Muszę jednak stwierdzić, że ta fantastyczna opowieść kobiety, „która dobrze wie“ wywarła na przesłuchującym mnie oficerze piorunujące wrażenie. Zaczął odnosić się do mnie uprzejmie, z dużym szacunkiem. Atmosfera się rozładowała.

Gdy owa stenotypistka jeszcze kilkakrotnie wmieszała życzliwe komentarze do moich zeznań, Niemiec powiedział: „No widzi Pani, prześladuje się takiego przyzwoitego człowieka, a tylu łotrów nie wolno mi osiągnąć“. Późem zwrócił się do mnie: „Pan ma jeszcze wielkie zmartwienie. Pańska żona siedzi u nas, oskarżona o zdradę państwa niemieckiego“. Gdy się wyjaśniło, że zamierza mnie zwolnić, zwróciłem się z prośbą o żonę. „Jutro wieczór wyjeżdżam do Berlina na swój ślub. Pragnę zrobić dobry uczynek. Zwalniam Pana, proszę jutro przyjść z podaniem. Mam wstęp wolny do „Komandaura“, postaram się coś zrobić w sprawie żony Pańskiej“.

Dopiero ta ostatnia wizyta w Gestapo, w charakterze wolnego człowieka, wywołała we mnie uczucie potwornego strachu. Dopiero wtedy zauważyłem wszystko to, czego się nie widzi będąc człowiekiem bezpośrednio atakowanym. Widziałem ludzi skutych, słyszałem cudze krzyki i jęki z pokojów, w których odbywały się badania, wywoływały we mnie grozę te postacie spasionych byków o twarzach degeneratów, które tam królowały. Dopiero wtedy straciłem całą fantazję, język mi kolatał przy najprostszych objaśnieniach.

Gestapowiec spełnił obietnicę: żona moja wróciła do domu. Zamieszkałem z nią pod Warszawą, często jednak obowiązki publiczne zmuszały mnie do przebywania w stolicy. W któryś wrześniowy wieczór, czekając na pociąg, który miał mnie zawieść do żony, spotkałem przypadkowo na peronie swego młodszego kolegę, aplikanta adwokackiego. Po pełnej nerwowego napięcia pracy podziemnej również chciał odetchnąć przez niedzielę świeżym po-

wietrzem. Przez całą drogę zwierzał się ze swoich trudności, ze swoich planów, ze swoich nadziei.

Nazajutrz rano zbudził mnie wysłaniec z Warszawy. W mieszkaniu moim w nocy zrobiono szczegółową rewizję, aresztowana została matka. Z grypsu, jaki nadszedł w parę dni później z więzienia, dowiedziałem się, że główną osobą, której Gestapo w tej sprawie poszukuje, jest ów aplikant adwokacki, mój towarzysz podróży krytycznego wieczoru. Matka moja padła ofiarą nieostrożności jednej z łączniczek, która przejmując funkcje od swej koleżanki, pozapisywała w notesie potrzebne adresy i nazwiska, w tym i nazwisko mojej matki. Z tym notesem ją aresztowano. Trzy miesiące z górą trwała walka o niewysłanie matki do obozu koncentracyjnego, a następnie o wypuszczenie jej z więzienia. Udało mi się to tym razem przy pomocy adwokata Ukraińca, mającego stosunki z Gestapo. Stosunkowo nawet niewielką wziął zato ode mnie sumę.

Dość łatwo mi dziś opowiadać dzieje mojej rodziny z okresu tych kilku miesięcy. Jeszcze łatwiej będzie prześlizgnąć się po nich wzrokiem Czytelnikowi na kilku stronach książki. Za to o wiele trudniej sobie uzmysłwić, jak wielką musiała być żywotność sił samorodnych społeczeństwa, na którego barkach od pierwszego dnia okupacji spoczęła obrona życia i wolności tylu tysięcy rodzin, podobnych do mojej. Dopiero należyte wniknięcie w skalę wysiłku zbiorowego i w stopień solidarności narodowej, jaki to społeczeństwo, czasem wbrew pozorom, ożywia, pozwoliłoby rozwiązać zagadkę animującą wielu cudzoziemców: skąd w Polsce, mimo straszliwego terroru wrogów, szalejącego na jej ziemiach od dwunastu prawie lat, tylu jeszcze obywateli pozostało żywych, tylu walczy i wierzy w zwycięstwo.

Ktoś został aresztowany, była rewizja, coś wyniesiono z domu. W olbrzymiej większości wypadków odbywało się to w nocy. Trzeba natychmiast zawiadomić o tym właściwe osoby. Zaniedbanie tego pociągnąć może za sobą dziesiątki nowych ofiar w ciągu najbliższych dni, albo teźże nawet nocy. Któż się tego zadania podejmował? Ten, kto był najbliższy rozwijających się wypadków. Czasem był to pozostawiony w domu członek rodziny, czasem sąsiad najbliższy, dozorca domu, a czasem osoba zupełnie przypadkowa. W nocy telefony nieustannie jęczały: „Halo, czy Pan X? Pański brat ciężko zachorował. Dziś, przed chwilą, w nocy“. „Pan Franek dostał ataku, przed chwilą go wywieźli“. „Państwa Leonów władze wezwwały dziś do siebie. Tak, nie wrócili. Dom został

bez opieki“. Albo też: „Słyszałem, że byli Państwo proszeni do Tadeuszów. Proszę tam nie chodzić. Jakaś zaraźliwa choroba, lekarze nie wpuszczają“. Gdyby ktoś mógł podsłuchać telefoniczne nocne rozmowy w Warszawie, nabrały z pewnością przekonania, że miasto ogarnęła jakaś masowa zaraza. Tylu „chorych“ wywieszono co noc.

Telefon nie załatwiał wszystkiego. Od rana rozpoczynało się bieganie w poszukiwaniu bliskich, przyjaciół, współtowarzyszy pracy podziemnej, którym można by było przekazać tak ważną wiadomość i zlokalizować w ten sposób skutki aresztowania. Czasem też trzeba było godzinami wystawać na ulicy i uprzedzać w ten sposób grożące niebezpieczeństwo. Dom jest obstawiony, a za chwilę miało się tam odbyć jakieś tajne zebranie. Gestapo weszło do mieszkania, a widziano na moment przed tym, jak szczęśliwi młodzi małżonkowie wyszli z niego na spacer w Aleje. Każda sekunda drogocenna, każde zaniedbanie, każda nieostrożność, groziły nową katastrofą.

Zaraz potem powstawała sprawa zajęcia się losem aresztowanych. Zabrani zostali, tak jak stoją. Mogą ich zaraz wywieść do obozu. Dostarczenie ciepłej odzieży, zmiany bielizny, mydła, szczotki do zębów, było kwestią pierwszorzędną wagi. A jedzenie? Dostarczenie tzw. paczek z jedzeniem służyło nie tylko dla podtrzymania organizmu więźnia w chwili, gdy przychodziło mu składać ciężki, być może, egzamin ze swego hartu i inteligencji, ale było przede wszystkim dużym podtrzymaniem psychicznym. „Ktoś za mną stoi, nie jestem sam. Zaopiekowano się mną i moimi“.

Na te paczki trzeba było pieniędzy. Dużo pieniędzy. Nie można posyłać nagotowanej kaszy, czy kartofli, którymi się aresztowany, będąc na wolności, nieraz się karmił. Trzeba go podtrzymać na zdrowiu. Tłuszcz, cukier, chleb, witaminy — oto, co się wysyłało do więzienia. Coś trzeba sprzedać, ktoś musi dać, — nie ma państwa, nie zawsze można dotrzeć do organizacji, rządziej jeszcze organizacja ma środki, by dopomóc. Nie znam jednak wypadku, by aresztowany przez Gestapo w Polsce nie dostał paczki. Chyba był to jakiś zagubiony nieszczęśliwiec.

A teraz konieczne jest napisać i dostarczyć aresztowanemu do więzienia „gryps“, tak aby była odpowiedź. Będzie ona zawierała wyjaśnienie, co mu zarzucają, w jakim kierunku idzie śledztwo. Co zeznawał, jakie dać wskazówki innym oskarżonym. Kto jest zagrożony. A może jakieś polecenia, jak nawiązać dalej robotę, z kim się porozumieć, co trzeba schować, gdzie są ukryte kompro-

mitujące dokumenty. Czasem przyznał się biedak, że nie wytrzymuje bicia i znęcania się. „Wsypał“ adresy, wymienił nazwiska: „Na miły Bóg, niech się chowają, lokale zlikwidować natychmiast!“

Nowe zadania, nowe wysiłki, nowe niebezpieczeństwa. Czasem ślusarz dobrał szczęśliwie klucze do opieczętowanego lokalu. Zdarzało się, że odważny chłopak spuścił się po linie z mieszkania, położonego na wyższym piętrze, wyciął szybę i dostał się w ten sposób do zagrożonego lokalu. Niekiedy organizacja w jasny dzień urządziła napad i pod ferorem opanowywała zagrożony punkt. Za wszelką cenę trzeba się tam było dostać — „grypsem“ przyszła wiadomość, że w lokalu, gdzieś w kanapie, czy pod podłogą, zostały spisy ludzi, adresy tajnych spotkań. Każda godzina ważna.

Nie zapomniano przy tym o zorganizowaniu obrony aresztowanego. Oczywiście, nie obrony w pojęciu świata zachodniej cywilizacji, gdzie interesy oskarżonego obejmuje adwokat poważany w społeczeństwie i mający znajomość prawa oraz doświadczenie sądowe. Tak się rozumiało obronę w Polsce przedwojennej. Polska w niewoli musiała opłacać „obrońców“ dla swych bojowników. Najczęściej i najsolidniej wykonywały swe obowiązki kochanki gestapowców za cenę futra, pierścionka, lub po prostu za gotówkę. Były następnie typy „gentelmenów — wylamywaczy“. Rekrutowali się oni ze sfery adwokatów spod ciemnej gwiazdy, najczęściej już przed wojną pozbawionych prawa praktyki, różnych szantażystów i pośredników. Powiązani oni bywali z poszczególnymi gestapowcami i tak długo, jak ci gestapowcy urzędowali, lub jak długo się z nimi przy podziale honorariów nie pokłócili, tak długo mieli wpływ na los aresztowanych. Następną kategorię tworzyli adwokaci — Niemcy, których możliwości jednakowoż były niewielkie. Najczęściej bali się Gestapo równie jak my.

W miarę aklimatyzowania się Gestapo w Kraju, największy handel życiem ludzkim „odchodził“ bezpośrednio z gestapowcami. Przy wódce, w knajpie, a najczęściej w mieszkaniach prywatnych, dobijano targów. Był to handel, którego stawką była już nie tylko głowa aresztowanego, nie tylko pieniądze, które najczęściej w poważnych kwotach szły na stracenie jako zadatek. Stawką mogła być zawsze wolność, a w następstwie i życie tego, kto do handlu z gestapowcem przystępował.

Byli i nieliczni ludzie, którzy, ryzykując nawet swą opinię, wyzyskiwali swe stosunki zawodowe, czy pozycję indywidualną jaką

ze szczególnych względów u Niemców posiadali, dla interweniowania w obronie pokrzywdzonych. Liczyli się niekiedy gestapowcy z tymi interwencjami, które dawały im pojęcie o tym, co się dzieje wewnątrz społeczeństwa polskiego i od czasu do czasu uwzględniali je. Nie zazdrościłem tym osobom ich roli, ale szanuję ich poświęcenie. Nie myślę się, gdy powiem, że mieli oni tysiące, oczywiście bezpłatnych, klientów.

Tak oto los jednego Polaka poruszał natychmiast całe kręgi społeczeństwa. Nie tylko wyciskał lzy u najbliższych, ale wysiłał energię i inteligencję dziesiątków innych, dla zorganizowania ratunku. Brali w tym wysiłku udział niemal wszyscy. Starzy podpisywali podania do władz, ujawniając swe prawdziwe lub fikcyjne pokrewieństwo z niebezpiecznym aresztowanym. „Nic mi już nie grozi, śmierć i tak blisko“ — powiadali. Młodzi hazardowali życiem, ryzykując wejście do zagrożonego lokalu, uprzedzając o niebezpieczeństwie aresztowań, nawiązując zerwaną łączność. Kobiety dawały schronienia, gromadziły odzież, przygotowywały paczki. Dzieci służyły za łączników. Biedni stanowili wzór dla bogatszych. Bogaci wyzbywali się stopniowo wszelkiego przywiązania do dóbr materialnych. „Co mi tam pieniądze, majątki. Abyśmny tylko doczekali się wolności!“ Doświadczeni służyli życiową radą. Tej trzeba było więcej niż czegokolwiek. Gdzie się zwrócić o pieniądze? Jak doręczyć „gryps“? Co powiedzieć łobuzowi, który się podjął zwolnienia? „Mojego męża mają wysłać do obozu — czy to dobrze, czy lepiej starać się wstrzymać wysyłkę jego z więzienia aż do następnego transportu?“

W tej atmosferze wyrastali masowo bohaterzy. Cisi, nie zdający sobie z tego sprawy, nie pretendujący do wynagrodzenia ich zasług, do stanowisk, do orderów. W biegu wydarzeń padali prędej, czy później ofiarą swej służby narodowej. Niechaj wymienię tu jako przykład Irenę Wirszyłło, podkomisarza służby więziennej. W męskich więzieniach bardzo krótko, natomiast w kobiecych oddziałach stosunkowo długo, utrzymali Niemcy dawną straż polską. Funkcjonariuszki tej straży były głównymi łącznikami między aresztowanymi a światem zewnętrznym. Wirszyłło do ostatniego dnia nie odmówiła nikomu przekazania „grypsu“, których czasem tuziny nosiła ukryte przy sobie. Bywały dni, gdy w jej łazience widywałem całe składowiska paczek, którymi tak umiała rozdysonować, że „jak amen w pacierzu“ docierały do właściwych rąk. Największych tajemnic organizacyjnych była łącznikiem. Najlepszym informatorem o tych, którym groziło bezpośrednio

wywiezienie lub śmierć. Ona to uprzedzała, że więzienie gotuje się na przyjęcie nowych ofiar, że jutro będzie „łapanka“. Spokój i uśmiech na twarzy, wdzięk i staranność w ubiorze, umiejętność rozmawiania z Niemcami służyły jej długo za tarczę ochronną. Nakryto ją wraz z kolegami i koleżankami tejże służby na tajnym zebraniu. Znalaziono przy niej dowody rzeczowe. Nic jej nie mogło już obronić. W dniu, gdy przesądzał się jej los w lochach Gestapo, jej mąż, jej brat i najserdeczniejszy przyjaciel, wszyscy, których kochała i za którymi tak tęskniła, wymienieni zostali równocześnie przez Niemców w gazetach na kolejnej liście zidentyfikowanych ofiar mordu bolszewickiego w Katyniu. Zaprawdę ta haniebna epoka, jaką przeżywamy, nie ma stylu nawet w swym obrzydliwstwie.

Powoli zaczęli się Polacy przyzwyczajać do warunków życia konspiracyjnego. Zaczynały się zżywać z niebezpieczeństwami. Zaprawa w walce o wolność osobistą, rodziny, krewnych i przyjaciół dawała swobodę poruszania się w świecie podziemnym. Już wiadomo było, jak nawiązać łączność, kto stanowi ogniwo roboty, która, jak się dało wyczuwać, nosiła charakter szerszy, miała jasno wytknięte cele. Czyjeś słowa budzą szczególny respekt, czyjeś oko płonie dziwnym ogniem, który rozpala nagłą żądzą pójścia za nim. „Jestem do waszej dyspozycji. Mogę się na coś przydać“. Tak masowo rosły szeregi tajnych organizacji, tworzących się natychmiast po podbiciu Polski przez okupantów niemieckich i bolszewickich.

Gdy wróciłem z niewoli, zastałem już mniej więcej zarysowany obraz podziemia. Życie polityczne poczęło się kształtować przede wszystkim wokół czterech stronnictw, które stały w ostrej opozycji do systemu rządów trwających w Polsce nieprzerwanie od czasu zamachu stanu marszałka Piłsudskiego. Prezydent Rzeczypospolitej powołał spośród działaczy tych stronnictw, mianowicie Stronnictwa Narodowego, Polskiego Stronnictwa Ludowego, Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Pracy nowy rząd, na emigracji, z generałem Władysławem Sikorskim na czele. Rząd ten oparł się w swej pracy w okupowanym przez Niemców i bolszewików Kraju zasadniczo na tych samych kierunkach politycznych. Obok nich poważną rolę w życiu podziemnej Polski odgrywali sprawujący przez tyle lat przedtem władzę piłsudczycy, rozdzieleni na dwie grupy. Czynne były też różne mniejsze organizacje polityczne, które w ciągu trwania walki bądź wsiąkały w łożyska wielkich stronnictw, bądź stopniowo rozwijając się,

stawaly się wykładnikiem pewnej części opinii publicznej. Nie było natomiast w owym czasie nawet śladu działalności ośrodków komunistycznych.

Można by z tego przedstawienia rzeczy wyciągnąć wnioski o dużym skłóceniu życia wewnętrznego Polski w pierwszym okresie jej katastrofy. Utarta opinia w świecie o „niezgodzie między Polakami“, opinia bardzo wygodna dla tych, którzy chcieliby nią uspokoić ciężkie nieraz wyrzuty sumienia w stosunku do sprawy polskiej, sprzyja też temu pogładowi. Pogład taki byłby jednak z gruntu fałszywy.

Polska stanęła nagle w obliczu groźby całkowitej zagłady ze strony dwóch totalizmów, które się nią zgodnie podzieliły: bolszewickiego i niemieckiego. Straciła na swych ziemiach, z dnia na dzień, narzędzia obrony swego istnienia w postaci organów państwa. Musiała całkowicie odrzucić dotychczasową swą hierarchię, która w opinii masy odpowiedzialna była za klęskę państwa, i zastąpić ją nową, z sił społecznych zrodzoną. Musiano dalej w pozytywnym, codziennym działaniu wykuwać plan dalszej walki z okupantami o całość i niepodległość, bo taka była żywiołowa wola każdego członka narodu. Trzeba było w tych warunkach uczyć się sztuki życia w konspiracji, szukać właściwych metod obrony przed groźbą utraty życia i wolności najlepszych z pośród siebie; organizować warunki egzystencji gospodarczej, bez czego ginęłyby z nędzy i głodu całe warstwy narodu; sięgać wyobraźnią do odległych wydarzeń w skali światowej, które pozwolą odzyskać i ugruntować byt Polski.

Jeśli sobie uprzytomnimy, że cały ten proces zastępowania państwa we wszystkich jego funkcjach przez wpędzone w podziemie społeczeństwo odbywał się w czasie największych triumfów jego prześladowców, wśród ogromnego zniszczenia gospodarczego, wywołanego niedawną kampanią wojenną, w czasie gdy blisko połowa narodu odbywała wędrówki ze wschodu na zachód i z powrotem do centrum Kraju, wyrzucana przez wrogów i poszukująca nowych siedzib i zarobków, gdy wreszcie nie do pomyslenia był jakikolwiek wyraz jawnej opinii publicznej, która normalnie harmonizuje wysiłki społeczne — wtedy dopiero zdamy sobie sprawę, że wspomniane wyżej rozproszkowanie wysiłku, podjętego przez naród, choć niewątpliwie ujemne, było całkowicie jego warunkami bytu usprawiedliwione.

Spory ówczesne nie miały u podstaw namiętności, czy demagogii klasowej. Przeciwnie. Polski chłop i polski robotnik prze-

szedłszy przez tyle cierpień ugruntował w sobie przekonanie, że los jego jest ściśle związany z losem Ojczyzny. Że jego niedola, nędza, śmierć, co mu stale w oczy zagląda, nie ma przyczyny w tym, że jest chłopem, czy robotnikiem, ale w tym, że go wróg Polski chce zniszczyć jako Polaka. Że nie znajdzie pomocy ani liłości u robotnika sowieckiego, niemieckiego ani nawet innego. Mógłby się Polski wyprzeć tylko za cenę wyrzeczenia się mowy ojczyściej, obyczajów i religii. A tego nie uczyni. I to właśnie jest wielki dorobek Polski w ostatniej wojnie.

Panowała natomiast całkowita, spontaniczna zgodność poglądów w sprawach, które decydowały o losie Kraju. W najtrudniejszych chwilach świata zachodniego, gdy nad Wyspami Brytyjskimi huczały nieustannie niemieckie motory, a Hitler ogłaszał, iż przestał się interesować wojną, jako sprawą już rozstrzygniętą, w Polsce nie znalazł się ani jeden człowiek, który by opowiedział się jawnie za nawiązaniem rozmów z wrogiem, a tym bardziej za zaniechaniem walki. Nie było ani jednego głosu, aby porzucić aliantów tłumacząc się swą słabością, zmienionymi okolicznościami, czy nawet stanem miażdżącego przymusu fizycznego, — i zmienić front walki. Mogę stwierdzić z całym poczuciem odpowiedzialności, że nie grały tu tylko rachuby polityczne, wiara w ostateczną przewagę sił anglosaskich. W szerokich masach Narodu Polskiego ważnym czynnikiem jego nieugiętej postawy przez cały tragiczny dla Zachodu rok 1940 była lojalność wobec słowa danego swym aliantom, był wzgląd na zawarte umowy międzynarodowe. Ani niedotrzymanie paktu w stosunku do Polski przez Rumunię, ani też opuszczenie wspólnej sprawy przez Francję Pétaina w czerwcu 1940 r., nie zachwiało zasadami moralności, jakimi opinia polska uważała za konieczne kierować się w stosunkach z innymi państwami, a przede wszystkim w odniesieniu do aliantów. Człowiek, który by w jakimkolwiek środowisku — w domu inteligenta, mieszkaniu robotniczym, czy pod strzechą wiejską, — w okresie bitwy powietrznej o Londyn wspomniał, że za cenę porzucenia samotnej Anglii Polacy mogliby wytargować u Niemców zmianę swego położenia, byłby natychmiast potraktowany jako świnia. Nie jako zły polityk, ale po prostu jako świnia — tak, jak człowiek, który w życiu osobistym nie honoruje swoich czków, lub nie dotrzymuje danego słowa. Wielu polityków świata nazywa tę prostolinijność, tę skłonność przenoszenia elementarnych zasad moralności, obowiązujących w życiu osobistym, także w dziedzinę stosunków między narodami — polską donki-

szoterią. Świat zrobił wiele w ostatnich latach, by wybić Polakom z głowy i sumień taką politykę. Być może, pod ciężarem wypadków, lekcja będzie na przyszłość skuteczna. Ale czy możliwa jest koncepcja Stanów Zjednoczonych Europy, a za nią koncepcja zjednoczenia wszystkich narodów trwałymi więzami, bez uznania podstawowych zasad moralności chrześcijańskiej w stosunkach pomiędzy narodami?

Nawet w kształtowaniu obrazu przyszłego odrodzonego państwa większe ugrupowania polityczne nie ujawniały zasadniczej różnicy poglądów. Nie było nie tylko stronnictwa, ale nawet najmniejszego środowiska, które by w owym czasie chciało rozszerzać granice nasze na zachodzie kosztem utraty ziem wschodnich, lub odwrotnie. Dojrzało w masach powszechne dziś przekonanie, że tylko linia Odry i Nisy łużyckiej może zabezpieczyć Polskę od nowego najazdu ze strony Niemiec.

Wszystkie obozy polityczne godziły się na koncepcję silnego powiązania z sobą w przyszłości krajów położonych między Bałtykiem a Morzem Czarnym, w t.zw. blok środkowo-europejski. Panowały jedynie różnice poglądów co do formy jego realizacji. O koncepcji tego bloku, której autorem według opinii Kraju naszego był prezydent Roosevelt, dowiedziałem się po raz pierwszy w niewoli niemieckiej, leżąc pod namiotem na słomie, przytwierdzony do ziemi warstwą lodu, która tworzyła się na kocach pod wpływem pary z piersi ludzkich. Jeden z oficerów, o których miałem okazję wspomnieć, przyniósł mi gazetę niemiecką z dużym artykułem, zatytułowanym: „*Polen bis zur Adria*“. Rozważano w nim właśnie niebezpieczeństwo dla Niemiec, tkwiące w planie oddzielenia ich od Rosji wałem, zbudowanym z krajów słowiańskich ciągnących ku Zachodowi. Do artykułu tego dołączona była fotografia premiera Francji Reynaud, pokazującego tę koncepcję na mapie Europy. Gdy czytałem ten artykuł, odczułem taką radość, że na chwilę zapomniałem o namiocie, mrozie, brudzie i wszach, co mi zżerały ciało. Wydało mi się, że nareszcie na Zachodzie poważnie myślą o realnych sposobach zabezpieczenia świata przed nową wojną.

Pogląd na układ przyszłych stosunków wewnętrznych w Kraju krystalizował się w tym okresie w opinii poszczególnych obozów bardzo powoli. Wywoływał niekiedy wewnątrz nich rozdzwigi. nawet rozłamy, ale nie animował mas. Zdrowy instynkt narodu mówił, że podstawowym zagadnieniem jest odzyskanie wolności. a dopiero wtórnym sposób jej zorganizowania. Wszyscy, z wy-

jątkiem znacznej części Piłsudczyków uznawali, że konstytucję, która Polskę obowiązywała od roku 1935, należy zmienić, ale wszyscy bez wyjątku pragnęli stać na straży jej postanowień tak długo, aż nie zastąpi jej nowa, uchwalona przez wolny naród. Wszyscy z wyjątkiem może jednej, całkiem odosobnionej grupy, stali zdecydowanie na stanowisku demokracji, ale mało kto ulegał magii tego słowa, tak jak to jeszcze niedawno działo się niestety na Zachodzie. Cóż znaczy bowiem dziś pojęcie „demokracja”? Czy to, co przez nie rozumieją Mołotow i Beria, Tito i Bierut czy też to, co mają na myśli Wiston Churchill, Prezydent Truman, albo premier Attlee? A jednak zawarto pomiędzy zwolennikami obu tych, tak różnych poglądów, tyle podstawowych układów międzynarodowych, z całym spokojem pieczętując je słowem „demokracja”. To tak, jakby dwaj malarze ułożyli się, że wspólnie wymalują mieszkanie na kolor zielony, — tylko, że jeden z nich przez kolor zielony rozumie w istocie czerwony. Malowali, malowali, i dziwią się potem, dlaczego tak się wszystko w tym wspólnie odnowionym domu gryzie, dlaczego nie ma w nim harmonii barw.

W Polsce podziemnej słowo „demokracja“, jako wyraz poglądów na przyszłe stosunki wewnętrzne w Kraju, było pojmowane uczciwie. Znaczyło ono tyle mniej więcej: Ustrój i podstawowe prawa ustali w Polsce Sejm, powołany w warunkach wolności od wszelkich obcych wpływów, na zasadach tajnego i powszechnego głosowania, przy równym i bezpośrednim udziale wszystkich obywateli. Nienaruszalne są prawa wolności osobistej, wolności religii i wolności słowa dla każdego obywatela. Pozbawienie wolności dokonywane być może jedynie na mocy ustawowych przepisów i decyzji sądu, niezależnego od władzy wykonawczej państwa. Podstawą egzystencji narodu, któremu państwo służy, jest rodzina i tej zapewniona będzie szczególna opieka. Ustrój ekonomiczny państwa oparty zostanie na prawie własności i inicjatywie prywatnej obywateli. Dla wzmożenia zbiorowej siły gospodarczej Kraju i dla podtrzymania warstw ekonomicznie słabszych niezbędne będą niekiedy dotkliwe ograniczenia w tych podstawowych zasadach. Nie będą one jednak wyrazem dyktatury klasowej, a tym samym pogwałcenia zasad równości, lecz będą oparte na prawie i znajdą wyrównanie na zasadach sprawiedliwości. Jako wyraz zasady równości w demokracji państwo będzie miało za swój szczególny obowiązek dokładanie starań, aby każdy obywatel miał pełną możliwość startu życiowego, — jedynie od

jego charakteru, zdolności i umiejętności życia w zorganizowanym społeczeństwie zależą jego dalsze możliwości. Państwo Polskie, jak wskazuje historyczna nazwa „Rzeczypospolitej“, jest wspólnym dobrem wszystkich członków narodu i musi być kierowana przez rząd silny oraz mający autorytet, ale w oparciu o ustawy i zaufanie narodu, wyrażane przez jego przedstawicielstwo.

Dopiero w obrębie tych pojęć toczyły się dyskusje, rysowały się różnice zdań. Stronnictwu narodowemu, z którym zawsze wiązałem swe prace, stawiano między innymi zarzut, że wykazuje za mało śmiałości w podchodzeniu do wielkich reform społecznych, przed którymi Polska stoi. Świat powojenny będzie szedł „na lewo“ i nasz Kraj musi do tego swą politykę stosować — mówiono. Odpowiadaliśmy, że jedynym dla nas kryterium wszelkich reform społecznych musi być ich rzeczowa potrzeba, a nie wzgląd na demagogię, czy przypodobanie się światu. Nie my się musimy wstydić naszego ustawodawstwa pracy, któremu tylko Szwecja i niewiele innych krajów europejskich dorównywały. Nikt też nie może kwestionować dobrej woli ze strony Polski w przeprowadzaniu należytej i wszechstronnej reformy ustroju rolnego. Natomiast uleganie pustemu hasłu „na lewo“ dla rzekomej mody, bez wypełniania go żywą treścią zgodną z realnym interesem narodu, jest niebezpiecznym posuwaniem się po równi pochyłej do punktu, od którego zaczyna się już żer dla bolszewizmu.

W takim klimacie ideowym nie trudno było spotkać się prawdziwym przywódcą opinii Kraju przy wspólnym warsztacie odbudowy Państwa, nawet w podziemiu. Bywałem później, chyba w roku 1941, u księcia Janusza Radziwiłła w jego pałacu przy ul. Bielańskiej. Radziwiłł, były prezes Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu i zwolennik rządu piłsudczyków, opowiadał mi ze wzruszeniem, prowadząc do jednej z sal konferencyjnych: „Wie Pan, ot tu siadywali u mnie na zebraniach po zajęciu Warszawy przez Niemców — prof. Rybarski*), prof. Staniszkis**), Mieczysław

*) *Prof. Roman Rybarski* — były dziekan wydziału prawnego Uniwersytetu Warszawskiego, b. prezes Klubu Parlamentarnego Stronnictwa Narodowego, był czołowym politykiem tego Obozu, nadto człowiekiem nauki o europejskim zasięgu. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

**) *Prof. Witold Staniszkis*, b. dziekan Szkoły Głównej Gospo-

Niedziałkowski***), marszałek Rataj****). Nie ma już żadnego z nich. Zostałem już tylko ja sam“. I jego srodze dotknął los, wspólny Polakom. Wywieziony w czasie powstania do Berlina, odsiedział swoje więzienie. Przyszli wybawiciele bolszewicy i oni z kolei go aresztowali, a potem, wywieźli w głąb Rosji. Nie żyje redaktor Moszyński, przy którym Radziwiłł mi to opowiadał. Rejestrując w pamięci minione wydarzenia, nader często przychodzi mi ustalać, że pozostałem omal że samotnym ich archiwariuszem.

Janusz Radziwiłł przekazał mi wtedy jedną jeszcze cenną wiadomość. Marszałek Rataj był dwukrotnie aresztowany przez Niemców. Między pierwszym okresem aresztowania a ponownym był krótki czas na wolności. Wtedy odwiedził Radziwiłła i opowiadał mu, iż w więzieniu nawiązał serdeczną przyjaźń z księdzem prałatem Marcelim Nowakowskim, jednym z nieugiętych duchownych i wybitnym przywódcą Stronnictwa Narodowego. Postanowili mówić sobie po imieniu i ślubowali nawzajem dążyć po wyjściu na wolność do jak największego zbliżenia braterskiego pomiędzy ruchem ludowym i narodowym.

W tym samym okresie czasu siedziała na „Pawiaku“ moja żona. Na krótko przed rozstrzelaniem odbywał spacer na więziennym podwórzu Mieczysław Niedziałkowski. Żona moja wychylała się przez kratę okna — i Niedziałkowski ją poznał. Zbliżając się do muru, niepostrzeżenie zapytał: „Pani tu? Czy i Pan Zbigniew?“. Miał mnie na myśli. Gdy dowiedział się, że jestem na wolności, szepnął: „Chwała Bogu, chwała Bogu“.

darstwa Wiejskiego w Warszawie, b. poseł na Sejm, był jednym z czołowych polityków Stronnictwa Narodowego. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

****) Mieczysław Niedziałkowski, b. prezes Polskiej Partii Socjalistycznej, redaktor naczelny „Robotnika“, jako przywódca swej partii cieszył się bardzo dużym autorytetem w całym społeczeństwie.*

*****) Maciej Rataj, b. marszałek Sejmu, przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego, przez urzędy, które pełnił i szacunek, którym się cieszył, zaliczony być musi do grona przywódców całego narodu. Rataj, Niedziałkowski, a najprawdopodobniej wraz z nimi i ksiądz Nowakowski, zostali rozstrzelani przez Niemców w okresie podpisywania rozejmu z Francją.*

Po powrocie z niewoli jednymi z pierwszych, z którymi się przypadkowo zetknąłem, byli Mikołaj Dolanowski i Krzysztof Siedlecki, przywódcy obozu pilsudczyków, byli wiceministrowie w wielu rządach. Pierwszym ich pytaniem było, czy czego nie potrzebuję. Był to maj - czerwiec 1940 roku, a więc okres ofensywy niemieckiej na Francję. Dla zdobycia ostatnich wiadomości każdy był gotów ryzykować życiem. Z Dolanowskim i Siedleckim korzystaliśmy z tego samego utajonego radia, widywaliśmy się więc czas jakiś często. Zbiżały nas wielkie nadzieje i ogromna rozpacz. Choć różnice poglądu na dawne w Polsce rządy nie zanikły między nami, choć nieraz i punkt widzenia na przyszłość Kraju się różnił, poczuliśmy się wtedy silnie synami jednej Matki. W jakiś czas potem Krzysztof Siedlecki miał poważny spór z grupą swych przyjaciół ideowych. Powołał on mnie na swego arbitra. Krzysztof Siedlecki zmarł w czasie okupacji.

Do służby podziemnej zgłosiłem się na następny dzień po powrocie z niewoli. Wprowadzał mnie w stosunki w kraju ówczesny prezes Stronnictwa Narodowego, adwokat Mieczysław Trajdós. Mógł on być wtedy rzeczywiście dumny z potężnego rozwoju sił naszego obozu. Garnęła się do niego tłumnie młodzież, zgłaszali się masowo ci, którym stosunki przedwojenne nie pozwalały na branie czynnego udziału w stronnictwie opozycyjnym.

Ponieważ naród szybko odprężył się po depresji, wywołanej klęską wrześnieową, wszystko co było żywe uważało za konieczne wciągnąć się do pracy publicznej. Młodzi mogli zaspokoić swe aspiracje w organizacjach wojskowych. Starszym pozostawały tylko ściśle kadry stronnictw jako jedynych komórek społecznych, które zachowały nieprzerwany wpływ na życie kraju, kierując nim z podziemia. Ludzie przed wojną zgola obojętni dla układu stosunków politycznych Kraju stawali się teraz żarliwymi wyznawcami swej partii. Widzieli w niej cząstkę żywej Ojczyzny, wiązali z nią najsilniejsze swe przeżycia, w jej szeregach składali ofiary z wolności i życia. To ich silniej przykuwało do stronnictwa niżli wyrozumowana tylko doktryna społeczna, czy określony program gospodarczy. Tym się przed wszystkim tłumaczył gwałtowny rozwój sił stronnictw pod okupacją.

„Nie ma w Polsce ani jednego powiatu, w którym nie byłoby już zorganizowane tajne kierownictwo i robota naszego Stronnictwa“ — pamiętam te słowa Trajdosa, wypowiedziane do mnie przy pierwszym spotkaniu. Znaczyło to, że już w pierwszej połowie 1940 r. sami tylko narodowcy zdołali wprowadzić w podzie-

mie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, przenikając kordony ustawione na Bugu i Sanie przez bolszewików, a na zachód i północ od Warszawy przez Niemców. Polska bowiem w tym czasie podzielona była na trzy części. Zachodnią włączono do tzw. Wielkiej Rzeszy Niemieckiej i systematycznie wyrzucano z niej wszystkich Polaków. Ze środkowej zrobiono tzw. Generalgouvernement, traktując je jako kolonię niemiecką i zlewisko dla wszystkich niewymordowanych przez sąsiadów, a przepędzonych ze swych siedzib Polaków; do tej części Polski należała Warszawa. Wschodnia część Kraju przypadła w podziale łupu Związkowi Sowieckiemu. Żadna wyobraźnia nie uprzytomni dziś, ile trudu wymagało zorganizowanie w tych warunkach łączności pomiędzy poszczególnymi ogniwami, ile było okrutnych doświadczeń w uczeniu się pracy w warunkach konspiracyjnych, ile charakteru i wytrwałości trzeba było dla wytrwania na posterunku. Przede wszystkim jednak Stronnictwo, chcąc w takich warunkach zastąpić choćby częściowo państwo w jego funkcjach a nadto otoczyć opieką wszelkie przejawy życia narodowego, musiało szybko organizować kadry swej inteligencji, kadry fachowców. Podjąłem się pracy na tym odcinku.

Zadanie było bardzo trudne. Już krótka obserwacja metody sprawowania władzy przez Niemców nad okupowaną Polską prowadziła do wniosku, że dążą oni przede wszystkim do zniszczenia warstwy kierowniczej narodu, a za taką uważają ludzi nauki, wolnych zawodów i to wszystko, co określamy mianem „inteligencji“. To nie przypadek że jako jedni z pierwszych wywiezieni zostali do obozów koncentracyjnych profesorowie Wszechnicy Jagiellońskiej, najstarszej w Polsce wyższej uczelni. Zwabiono ich uprzednio pod pozorem odbycia konferencji do jednej z tych auli uniwersyteckich, w których służyli dotychczas młodzieży światłem swej wiedzy.

Landrat powiatu lipnowskiego zwołał zebranie ziemian wkrótce po zajęciu Kraju przez Niemców. Wprost z tego zebrania i oni powędrowali do *Konzentrationslager*. Nie wiem, ilu spośród czcigodnych profesorów pozostało żywych; wielu w każdym razie zamęczono na śmierć. Spośród ziemian powiatu lipnowskiego na 58, którzy dostali się do rąk niemieckich, wrócił z obozu, zdaje się, jeden. Przed wojną powiat ten liczył 62 ziemian. Kiedy opuszczałem ziemię polską, umiano się doliczyć tylko dwóch żywych. Być może, któryś błąka się jeszcze po świecie. Nie były także przypadkiem branki adwokatów, o których już wspominałem, ani też stra-

szliwa hekatomba wszystkich wybitniejszych księży. Zorganizowano dla nich specjalne obozy koncentracyjne. Z równą pasją niszczone lekarzy i nauczycieli. Cel był wyraźny: przemienić Polskę w naród chłopów i robotników, którzy w charakterze niewolniczej siły roboczej służyć będą wielkości i potędze zwycięskiej Rzeszy.

Inteligencja była zawsze pod wpływami idei narodowej. Jej ofiarność w służbie publicznej znana była nawet wrogom. W świetle jednak zamierzeń niemieckich pociąganie do jakiegokolwiek pracy zespołowej tej warstwy społecznej wymagało szczególnej ostrożności. To też największa liczebnie komórka, która podejmowała wspólne zadanie, obejmowała pięć osób. Sieć tych komórek tworzyła dopiero pewną grupę, która swymi wpływami oddziaływała na pracę, nastroje i kierunek ideowy danego środowiska.

Sama Warszawa liczyła przed wojną ponad 1.000 adwokatów. Aby kierować takim środowiskiem, wytworzyć w nim tajne władze mające posłuch, wydawać i rozpowszechniać z ukrycia polecenia i instrukcje, przyspasabiać i egzaminować nowych kandydatów do tego zawodu, opracowywać zbiorowo plany na przyszłość i przygotowywać lub oceniać projekty ustawodawcze na zlecenie swego obozu politycznego lub podziemnych władz państwa, trzeba było powołać do życia wiele dziesiątków tych komórek. W mniejszym lub większym stopniu w podobny sposób organizowały się inne kierunki ideowe naszego życia, stopniowo dopiero wlewając swój dorobek we wspólny nurt pracy, kierowany już pod auspicjami Delegatury Rządu jako ekspozytury Rządu Polskiego w Londynie. Na tym tylko przykładzie można ocenić, ile trzeba było pracy i czasu, aby dobrą wolę i zbiorową energię społeczeństwa przemieniać stopniowo w celowy wysiłek i sprzężoną organizację.

Na dziś np. wyznaczone było zebranie komórki prawniczej. Nie wolno tego sobie pod żadnym pozorem zanotować: ani nazwiska, ani adresu, bo na wypadek aresztowania, musiałbym natychmiast tłumaczyć się ze związku, jaki mnie z tym nazwiskiem lub adresem łączy. Kosztowne to byłoby tłumaczenie się, najprostszym sposobem do rozszerzenia kręgu aresztowań, albo nawet zdekonspirowania prowadzonej roboty. A więc muszę dobrze pamiętać nie tylko ten nowy często dla mnie adres, ale także wszystkie inne, pod którymi odbędą się posiedzenia w tym dniu i w szeregu następnych. W lokalach tajnych nie otworzą drzwi, względnie nie wpuszczą do zewnątrz bez wskazania hasła. Czasem są to całe

formułki: „Mam mąkę na sprzedaż“. „Po czemu?“. „A ile Pani da? „Proszę zaczekać, zaraz się dowiem, czy potrzeba“. Dopiero dokładne wypowiedzenie takiego dialogu wywoływało wzajemne zaufanie czuwającego przy drzwiach i tego kto zmierzał na zebranie. Trzeba i to pamiętać, — nie wolno się pomylić, bo mogą być później przykre konsekwencje.

Zebranie się nie odbyło. Dla tysiąca przyczyn, tak dobrze znanych tym, co przebywali w Polsce pod wrogą okupacją. Niespodziewana „łapanka“ na ulicach spłoszyła zmówionych. Nagie przesunięcie godziny policyjnej z 10 na 7 wieczór zdeorganizowało plany. Aresztowanie kogoś z uczestników pracy nakazało ostrożność. Dodajmy, strzelanina na ulicy w okolicy umówionego miejsca spotkania, niedopatrzenie łącznika i wiele, wiele innych wydarzeń tego rodzaju powodowało nie tylko stracony czas, ale często także i przerwanie kontaktów. Trzeba je nawiązać natychmiast, by robota nie utknęła, albo, co ważniejsze, aby nie pozwolić na zakradnięcie się do środowiska apatii.

Bo najgłębszym celem pracy w każdej takiej komórce życia społecznego było umocnienie wiary w zwycięstwo naszej sprawy. Ponad konkretne rezultaty wysiłku, ponad opracowane deklaracje, instrukcje, statuty, ustawy, ponad przejawy aktywności organizacyjnej cenilem dorobek zbiorowego podtrzymywania się na siłach wytrwania i wiary przez udział w walce w takich formach, jakie w danych warunkach dla poszczególnego obywatela Kraju przy jego wieku, z jego siłami, inteligencją i wyrobieniem były możliwe. Z tego punktu widzenia nawet prace nad poprawianiem ustawy o komornikach sądowych, prowadzone przez grupę prawników z tym samym bodźcem służenia Polsce, miały pewne znaczenie, jakkolwiek przeciwstawiłem się im, uważając, iż zachodzi zbyt jaskrawa już dysproporcja pomiędzy ryzykiem podejmowanej pracy w konspiracji i tym, co pod kątem widzenia aktualnych potrzeb miała ona w tym wypadku przynieść.

Zebranie się odbyło. Przyniosło pożyteczne rezultaty. Uchwalało na przykład projekt ustawy o trybie zabezpieczenia mienia państwowego w chwili zakończenia okupacji niemieckiej. Albo instrukcję dla adwokatów, zabraniającą przyjmowania spraw o eksmisję przeciw rodzinom tych, którzy przebywają w obozach jenieckich lub koncentracyjnych. Albo też sporządzono szyfrem spis prawników, według ich przydatności do sprawowania funkcji państwowo-administracyjnych na przyszłość, względnie teraz, w życiu podziemnym. Trzeba to spożytkować. A więc przede

wszystkim zabrać z sobą. Czy wsadzić do buta, czy niedbale włożyć w środek dzisiejszej gazety, którą trzyma się w kieszeni paltka, czy może, jeśli to jest mała karteczka, ścisnąć ją w garści, a wtedy nawet na komendę „*Hände hoch*“ można ją niepostrzeżenie upuścić.

Dziś podobnych zebrań mam kilka. Po pięciu ludzi na każdym. A potem jeszcze dwie, trzy konferencje z pojedynczymi osobami. Czy zdążę przed godziną policyjną opuścić miasto? Środków lokomocji prawie nie ma. Tramwaje, które przetrwały oblężenie Warszawy, a nie zostały później wywiezione do Berlina, są tak przeladowane, że o dostaniu się do nich mowy nie ma. Zresztą zbyt często Niemcy je wypróżniają do „Pawiaka“. Lepiej jużjechać „rikszą“, czyli wózkiem dwukołowym, popychanym z tyłu przez rowerzystę. Olbrzymi trud fizyczny tego człowieka, użytkowany dla mej wygody, przywodził mi na myśl pracę niewolnika. Wolę już starą, pocziwą dorożkę, ciągnioną powoli przez „zdechłą“ szkapę. Można czasem coś niecoś i ukryć w fałdach budy, czy też wsunąć w siedzenie dryndy.

Po pewnym czasie miałem już dwadzieścia parę komórek organizacyjnych inteligencji, spośród inżynierów, księży, adwokatów, sędziów, profesorów uniwersytetu, kupców, przemysłowców, seniorów korporacji. Trzeba temu nadać wspólny rytm, połączyć z dorobkiem inych.

Umówilem się na czwartą po południu na konferencję z prezesem Stronnictwa, Trajdosem. Ale go w domu nie zastałem. „Przyjdę jeszcze raz później“ zapowiedziałem służbie. Nie przyszedłem, gdyż zaabsorbowały mnie inne zajęcia. Zostałem jednak na noc w Warszawie z myślą, by na następny dzień, w niedzielę zobaczyć się z nim. Już rano jednak dowiedziałem się, że poprzedniego dnia o 6 zabrano go z domu. Nigdy więcej się z nim nie zobaczyłem. Został skazany na śmierć i wyrok został wykonany, choć rodzina się łudziła, iż wskutek interwencji Papieża zamienili mu Niemcy tę karę na dożywotnie więzienie.

Wraz z nim zlikwidowano szereg wybitnych narodowców. Tych przede wszystkim, którzy łudząc się zachowali swe nazwiska i legalne mieszkania. W liczbie ich został aresztowany wspomniany przeze mnie wyżej prof. Roman Rybarski. Byłem w jego mieszkaniu bezpośrednio po aresztowaniu. Rodzina znalazła wśród książek w bibliotece ukrytych przeszło 700 stron rękopisu, które były rezultatem jego pracy naukowej w ciągu niecałego roku niewoli. Niemcy szczęśliwie nie natrafili na ten „przestępczy“ mate-

riał przy rewizji. Mimo to, niestety, osadzony został w obozie koncentracyjnym, gdzie nie ustając w optymizmie zagrzewał innych do wytrwania. Zgasł i on.

Praca publiczna zużywała gros moich sił i zainteresowań. Musiałem jednak równocześnie zorganizować w nowych warunkach życie swojej rodziny. Kolejne aresztowania bliskich mi osób, moje szczęśliwe uratowanie, szereg przykładów aresztowania przyjaciół i towarzyszy pracy wskazywały jasno, iż nie utrzymam się dłużej na powierzchni życia jako człowiek „legalny“. Po wyjściu z „Alei Szucha“, jak się mówiło zwięźle o siedzibie Gestapo, zmieniłem nazwisko i jako Zbigniew Czempiński zamieszkałem w jednej z miejscowości letniskowych pod Warszawą, unikając zameldowania się i licząc na to, że pierwsze złożenie wizyty przez Gestapo w mieszkaniu warszawskim, gdzie mnie już nie znajdują, będzie hasłem do pogłębienia mego konspiracyjnego trybu życia.

Jako Czempiński musiałem natychmiast znaleźć pracę zarobkową, uznaną przez Niemców za pożyteczną dla celów „Wielkiej Rzeszy“. Przyjaciele dali mi takie zatrudnienie. Otrzymałem wspaniałą legitymację, opatrzoną wszystkimi stemplami, a stwierdzającą, że jako zbieracz śmieci i odpadków pracuję dla „Vierjahresplan“ Goeringa i jestem zwolniony od wszelkich innych prac i obowiązków, władze niemieckie zaś mają mi udzielać wszelkiej pomocy. Zazdroszczono mi powszechnie tej legitymacji, służyła mi blisko rok. Istotnie, nikt się do mnie nie wtrącał i mogłem spokojnie usprawiedliwiać nią podróże codzienne do Warszawy i przebywanie w towarzystwie wciąż innych ludzi, a nawet niezbyt bać się łapanek. Wszystko pod warunkiem, że nie zostaną doprowadzony do Gestapo, gdzie śledztwo zaczynało się od tego, że fachowcy „łapacze“ oglądali twarze przychwytych i wybierali na oko podejrzanych. A ja tam miałem już trochę za dużą kartotekę. Twarzy jeszcze wtedy nie zmieniałem.

Mnóstwo energii i środków finansowych wyczerpywały mi starania o zwolnienie swoich najbliższych. O pieniądze było w Polsce w r. 1940 bardzo trudno. Co drugi, trzeci sklep na ulicach Warszawy był przedsiębiorstwem komisowym, w którym wyprzedawano wszystko — od starej garderoby do najbardziej cennych klejnotów rodzinnych. Zarabiać jako szmacciarz na usługach Goeringa oczywiście nie zamierzałem. Stanowisko to kosztowało mnie dodatkowo, gdyż przy sposobności każdego przedłużenia legitymacji musiałem dla pozorów kupić w prezencie memu „przełożonemu“ trochę starych butelek, czy śmieci.

Zmuszony więc byłem sprzedać swoją nieruchomość. I to wcale nie było bezpieczną czynnością. Akt notarialny trzeba było sporządzać oczywiście na swoje prawdziwe nazwisko, uwidocznione w księdze hipotecznej i na to nazwisko odebrać od władz niemieckich zgodę na sporządzenie aktu. Było zawsze ryzyko, że Gestapo, które kontrolowało każdy przejaw życia, nawiąże przy tej okazji ze mną nową „łączność“.

Niemcy wyobrażali sobie, że za pomocą zarządzeń formalnych i represji karnych utrzymają w Polsce ceny na poziomie przedwojennym. Rzeczywistość temu zaprzeczyła szybko, bo już w pierwszych miesiącach okupacji nieruchomości podskoczyły w cenie kilkakrotnie, co i tak nie było współmierne do kursu dolara ani do cen artykułów pierwszej potrzeby, które kształtowały się w praktycznym życiu chwilami dziesięciokrotnie wyżej. Władze okupacyjne nie chciały tego widzieć. Akt kupna-sprzedaży musiał zawierać nie tylko długą formułkę zawierającą cały mój rodzinny rodowód aż do dziadków włącznie, z którego będzie wynikało, że nie nam wśród swych przodków Żydów. Co najważniejsze, musiał on opiewać na cenę nie wyższą od przedwojennej, w przeciwnym razie władze niemieckie odmawiały zatwierdzenia go. Powodowałyoby to z kolei uznanie aktu za rozwiązany ze wszystkimi tego konsekwencjami prawnymi. Tak więc trzeba było sporządzać akt z ceną fikcyjną, co dawało pole do olbrzymich nadużyć, szantaży i więzienia, gdyby któryś z kontrahentów nie był uczciwy. W praktyce okazało się, że konspiracyjna solidarność wobec wroga wytrzymała i pokusę finansowych korzyści. Prawie nie było wypadków, żeby ktoś korzystał z faktu niezatwierdzenia aktu przez Niemców i żądał zwrócenia mu na tej podstawie nieruchomości, choć mógłby ją sprzedać w zmienionych już przez czas warunkach za cenę wielokrotnie wyższą, oddając pierwszemu nabywcy tylko fikcyjnie wykazaną, a w każdym razie mocno zdewaluowaną kwotę pieniędzy.

Na tym przykładzie można zdać sobie sprawę, jak bardzo Niemcy w całym swoim systemie psychologicznym, organizacyjnym i gospodarczym wierzyli w fikcje formalne. Do końca swych rządów, gdy ceny nieruchomości w naszym kraju były już pięćdziesięciokrotnie, powiedzmy, wyższe od przedwojennych, Niemcy zatwierdzali tylko te akta sprzedaży, które wykazywały cenę przedwojenną, choć za nią nawet ogrodzić nabytej nieruchomości nie można już było. I wierzyli, że rzeczywiście są tacy wariaci, którzy za tę cenę wyzbywają się swego mienia. Finansowo tracili

na tym olbrzymie sumy w opłatach alienacyjnych, ale za to we wszystkich sprawozdaniach gospodarczych generalny gubernator Frank stwierdził, że ład gospodarczy w jego „państwie“ jest nienaruszony.

Oszustwo, fałszowanie dokumentów, jawne i prowokacyjne łamanie prawa, chociażby zagrożone najsurowszą sankcją, kłamstwo, powoli stawały się jako podstęp wobec wroga niezbędną potrzebą życia codziennego. Tylko do stosowania obłudy Polacy zdolni nie byli. Zdawałem też sobie od początku sprawę, jak wielką stanowić będą w przyszłości w ogólnym bilansie strat narodowych pozycje straty moralne.

Kiedyś podbiega do mnie dziewięcioletnia brataniczka i woła rozentuzjasmowana: „Wujku, widziałam dziś, jak pan Henryk na maszynie fałszował dla kogoś legitymację“. Albo też wraca do domu trzynastoletni wychowanek i powiada z dumą: „Już od tygodnia udało mi się ani razu nie wykupić biletu tramwajowego“. Prowadzona była akcja jazdy bez biletów, w których wpływ szedł do kas niemieckich, a dawania na to miejsce datków tramwajarzom, pracującym przymusowo za płacę, nie dającą możliwości wyżycia. — Przynosi kucharka masło: „Skąd je dostałaś?“. Sprzedaż tłuszczów na wolnym rynku była karana śmiercią. „Sklepiarka mi je spod lady sprzedała“. — Powiesili dwóch piekarzy za wypiek białego pieczywa. Mimo to w każdym ożywionym punkcie miasta, osadzie czy miejscowości letniskowej można je było nadal otrzymywać. Gdy nadszedł niespodziewanie policjant i sprzedająca baba nie zdążyła uciec z koszykiem, zaczynał się formalny targ o wysokość łapówki. — Także i ja, chcąc możliwie zabezpieczyć się przed aresztowaniem, musiałem swych chłopców długo nauczać, jak mają kłamać w szkole swoim nauczycielom i kolegom, że ten pan, z którym razem mieszkają pod Warszawą a który nosi inne nazwisko, nie jest ich ojcem i opiekunem, oraz co się z ojcem stało. Uczęszczali do pierwszej klasy gimnazjum. Ponieważ jednak Niemcy uważali, że tak wysokie wykształcenie nie jest już odpowiednie dla Polaków i pozwalali młodzieży na naukę jedynie w szkołach początkowych, przeto gimnazjum prowadzone było pod pozorem takiej szkoły początkowej. Wszyscy uczniowie musieli na wylot wiedzieć, jak należy w razie potrzeby okłamać niemieckiego wizytatora.

Przez szereg miesięcy uważałem się za jednego ze szczęśliwszych spośród Polaków. Choć z fałszywym nazwiskiem i dokumentami, choć niemeldowany, a to chyba jest największą zbro-

dnia w państwie policyjnym, choć nie miałem już prawa wstępu do swego ulubionego mieszkania w Warszawie, uratowałem przecie całą swą rodzinę, miałem ją blisko siebie, nie potrzebowałem się martwić o środki egzystencji dla niej. W mieszkaniu było ciepło, dużo jeszcze przyjaciół wokoło i jakie takie poczucie bezpieczeństwa.

Miałem więc wszystkie warunki po temu, by szerzyć optymizmu wokoło. To zaś uważałem za największe swoje zadanie. Sytuacja kraju była tragiczna. Po klęsce 1939 roku społeczeństwo szybko się otrząsnęło. Ambicja narodowa była głęboko dotknięta, energia jednak w dalszym ciągu niespożyta. Zarysowałem wyżej, jak społeczeństwo spontanicznie organizowało swą samoobronę, jak żywo pulsowało jego życie polityczne już w pierwszych miesiącach niewoli. Będę musiał z kolei scharakteryzować olbrzymi wysiłek zbrojny podjęty przez podziemie. Nie sposób też zupełnie pominąć systemu walki gospodarczej o swe istnienie. Gdy wszystko to było dopiero w stanie kształtowania się, gdy niezaprawiony jeszcze naród wił się z cierpienia od pierwszych zadawanych mu ran, upadek a potem kapitulacja Francji były ciosem w samo serce. Polacy wierzyli we Francję. Powszechny był kult dla jej bohaterstwa w latach Pierwszej Wojny Światowej. Powszechny podziw dla geniusza rasy łacińskiej, zdolnego w chwili niebezpieczeństwa zajaśnić najwyższymi wartościami. Niesporny też był szacunek dla wartości armii francuskiej i jej dowódców. Skoro ta Francja padła w walce, w ciągu okresu nie wiele się różniącego od długości kampanii polsko-niemieckiej w 1939 r., społeczeństwo polskie przestało już tylko siebie obciążać winą za poniesioną klęskę, zdało sobie obiektywnie sprawę z potęgi Trzeciej Rzeszy. Z rozpaczą szukało wokoło, kto zdolen będzie zmóc śmiertelnego wroga. A gdy Francja Pétaina złamała zobowiązanie solidarności w prowadzeniu wojny aż do zwycięstwa i zawarła rozejm z Niemcami, na ustach wszystkich było tragiczne pytanie, komuż zatem można będzie zaufać, że niezmierne ofiary, jakie Naród Polski składa i składać ma dalej w nieskończoność na podstawie zawartych układów międzynarodowych w obronie wspólnej sprawy, nie pójdą na marne?

Na ratunek Polsce przyszedł jej wewnętrzny optymizm, oparty przede wszystkim na powszechnym przekonaniu nie tylko o słuszności, ale i o świętości sprawy, za jaką cierpi i o jaką walczy. Był to optymizm narodu, który wiele set lat służył światu za przedmurze chrześcijaństwa, niszczał i wykrwawiał się w każdym

pokoleniu, który utracił swą wolność. najlepszych synów oddawał w ofierze za wolność innych, którzy trzykrotnie w ciągu swych 150 lat niewoli powstawał przeciw przemożnej potędze wrogów, ale nigdy się im nie poddał. Zahartowani na klęski, wytrwali w swym dążeniu do zwycięstwa i wolności, zdecydowani na dalszą walkę Polacy szukali gorączkowo w rozmowach z sobą, w audycjach radiowych świata całego, w gazetach wroga — argumentów, które by dały rozumowe i uczuciowe wsparcie dla tej ich postawy. Było to niezbędne nawet dla fizycznego przetrwania setek tysięcy ludzi. Kto w obozach jenieckich tracił wiarę, najczęściej dostawał melancholii, w wielu wypadkach rzucał się na druty i ginął. Kto w obozach koncentracyjnych załamał się duchowo, umierał nieodwołalnie w ciągu kilku, kilkunastu dni. Jeśli kto przebywając nawet na wolności, w podziemiu wycieńczony fizycznie, bez swego domu, w stałym podnieceniu nerwów, raz się załamał, można było ze stuprocentową pewnością przewidzieć, że wolności nie doczeka.

Wdzięczne to było zadanie zaszczepiać ludziom wiarę, leczyc zachwianych, lub ścierać się z wywodami tzw. trzeźwo patrzących osób, które dla dania upustu swej żółci, swemu jałowemu krytycyzmowi, bezpłodnie zatruwały innych. Każdy się chciał z tobą widzieć, wszędzie byłeś najmiłszym gościem. Nawet ten największy niedowiarek, jeśliś go ofuknął, tłumaczył się pokornie: „Ja tak naumyślnie cię prowokuję, żebyś mnie pocieszył“.

Pamiętam te setki par oczu osób mi drogich lub zupełnie obojętnych i przypadkowych, które wyrażały nieme pytanie: „Co będzie, co będzie?“. Nie wszystkim trzeba było w tym czasie nieodpartych dowodów i na żelaznej logice opartych uzasadnień. Ludzie powszechnie się orientowali, jak ciężkie i niebezpieczne jest położenie naszego kraju; mocna i niezachwiana wiara, bijąca od rozmówcy, była dla nich najlepszym podtrzymaniem na duchu.

W sierpniu czy też wrześniu 1940 r. tłumaczyłem wielu: „Była dziś w radiu brytyjskim niezwykle ważna wiadomość. Pod Londynem otwarto wyścigi końne. W uroczystościach brał udział król Jerzy i królowa. Panowie byli w cylindrach, panie w sukniach nowej kreacji. Czy rozumiecie, że Anglicy zachowali całą swą zimną krew i spokój, a to jest niezbędnym czynnikiem, by przetrwali kryzys?“. Ten argument służył mi co najmniej dwa tygodnie, a w tym czasie co dzień rano przed kupnem „Warschauer Zeitung“ chodziłem do kościoła zmówić wprzód pacierz na in-

tencję przeczytania komunikatu wojennego, który by mi dał jakieś nowe, może nieco mniej oderwane, uzasadnienie dla głoszonej wiary. Było to w okresie bitwy powietrznej o Wyspy Brytyjskie.

Gdy brakło mi argumentów, a chciałem podważyć tupet sceptyka, zakładałem się kolejno o to, że Niemcy nie zajmą do 1 listopada 1940 r. wysp, później, że do 1 lipca 1941 wybuchnie wojna niemiecko-rosyjska, później, że do 1 grudnia 1941 Niemcy nie zajmą Moskwy, że Aleksandria i Kair nie będą wzięte. Wiadomość o tych zakładach rozchodzila się szeroko, a na przekór tzw. oczywistości wygrywałem je „w cudłach“. I pijaństwa było z tego co niemiara i dużo radości. Takie to były w owych czasach dziwne zakłady, że najbardziej zadowolonym czuł się ten, kto je przegrał. Bo wygrał wiarę.

Optymizm — to nie fałszywa karta. Nie można się nim posługiwać, nie posiadając go samemu w dostatecznej mierze. Masa, społeczeństwo, jest zbyt czułym aparatem odbiorczym, by natychmiast się na tym nie poznała. Optymizm — to skłonność psychiczna, oparta na głębszych pokładach duszy, do widzenia prawdy od pogodnej strony, to zdolność do znajdowania w najtrudniejszych sytuacjach elementów, na których wesprzeć można wiarę w ludzi, przyszłość, zwycięstwo dobrej sprawy, to wreszcie umiejętność jej zachowania nawet wtedy, gdy w drodze do zamierzonego celu spotkają nas zawody ze strony ludzi i losu.

Nazywano mnie, czasem z odcieniem pobażania, czasem z dużą dozą wdzięczności słonecznym optymistą. Przyjmowałem ten tytuł z wielkim zadowoleniem. W epoce radia, specjalnych ministerstw propagandy i „piętych kolumn“, jedną z decydujących broni jest zaszczepienie niewiary w wrogim społeczeństwie. Za niewiarą krok w krok idzie rozkład woli i sił. Tą bronią wygrywać będą potężne państwa całe wojny bez ich wypowiedania. Od tej broni ginąć mogą narody, wygrawszy wielkim wysiłkiem wojnę na polach bitew. Ci, co chcą oddziaływać dziś na losy społeczeństw, muszą to dobrze rozumieć. Co więcej muszą sami promieniować taką siłą przekonania w zwycięstwo słusznej sprawy, że pójdzie za nimi społeczeństwo, nie podda się rozkładowej propagandzie wroga i nie opuści ich w trudnej chwili. Naród polski bez wiary zginąłby tak, jak ginęli jego synowie w chwili, gdy jęcząc w koncentracyjnych obozach, ją tracili.

Nie boję się dziś broni atomowej ani żadnej innej śmiertelności w ręku wroga. Boję się, by postępujący upadek ducha

i powszechna niewiara nie zniszczyły sił narodów cywilizacji chrześcijańskiej, potrzebnych w chwili, gdy zmuszone będą wystąpić do ostatecznego boju o zwycięstwo zasad wolności, sprawiedliwości i prawdy w świecie.

Mijał rok 1940. Zwycięską bitwę o Wyspy Brytyjskie, bohaterstwo Greków w walce z przemożnymi siłami włoskimi, wreszcie opór u bram Egiptu śledzili Polacy z zapartym tchem. Najciemniejszy kmiotek na wsi, najprostsz robotnik w mieście, sypał jak z rękawa nazwami oaz lub szczytów górskich, o które toczył się bój, i liczbami zestrzelonych danego dnia samolotów. Wydać by się mogło, że w każdym domu polskim jest zainstalowane najlepszego typu radio, tak dokładnie i tak szybko rozchodziły się po Kraju pierwsze pomyślne wieści. A przecie za posiadanie radia, ba, za jego słuchanie, wydawano już wtedy masowo wyroki śmierci.

Ostatni jeszcze raz targnął Polakami silny niepokój. Było to na przełomie roku, w okresie wizyty Mołotowa w Berlinie. Zgotowano mu przyjęcie iście wspaniałe. Przepychowi towarzyszyły triumfalne fanfary na cześć współpracy niemiecko-sowieckiej i trwałości układu stosunków w świecie, stworzonego przez tę współpracę. Propaganda niemiecka robiła wszystko, aby dobić psychicznie Polaków narzuceniem im poglądu, że wszelka nadzieja na rozerwanie pęt nałożonych wspólnie przez bolszewizm i hitleryzm jest ostatecznym złudzeniem. Towarzyszyły temu zgodnym chórem wypowiedane, czy jeśli kto woli wypływane z Moskwy i Berlina ataki na „angielsko-amerykańskich podżegaczy wojennych“, jako jedyne niebezpieczeństwo, zagrażające tej idylli. Zatrwożenie jednak minęło szybko, gdy zapowiadana na szereg tygodni wizyta Mołotowa, któremu towarzyszył cały sztab fachowców różnych dziedzin, zakończyła się nagle już po dwóch dniach bodaj.

Plotka rozniosła szybko wiadomość, że towarzyszący w drodze powrotnej premierowi sowieckiemu aż do granicy ambasador, akredytowany przy Hitlerze, został „zaproszony“ do jej przekroczenia i że w Małkini NKWD go natychmiast aresztowała. „Widać Sowiety grubo zostały nabrane z tą wizytą“ — powtarzano sobie wokół. Niedługo trzeba było czekać na oznaki przygotowań zbrojnych ze strony Niemiec na ziemiach polskich. Opowiadano o tym sobie z ust do ust, umacniając się w wierze w sprawiedliwość Boską. Naród, który nieledwie przed rokiem przeżył na swych ziemiach przekleństwo jednej wojny, a później w cichej,

żarartej walce podziemnej, ponosił codziennie setki i tysiące nowych ofiar, gotował się po raz wtóry do niesienia tego krzyża, jak na wesele. Powie kto, że to naród grzesznie lekkomyślny, zapamiętałe wojowniczy. Nie. To byłaby nieprawda. To tylko naród ponad spokój, ponad mienie, ponad życie nawet miłujący wolność.

Od stycznia - lutego 1941 r. nikt już w Polsce nie wątpił, że konflikt zbrojny niemiecko-rosyjski jest sprawą najbliższej przyszłości. Szarego człowieka śmieszyły i złościły wiadomości, płynące z Zachodu falami eteru wskazując na dezorientację, jaka długo panowała w świecie w tej dziedzinie. Co prawda obie strony robiły wszystko, by taką dezorientację wywołać. Niemcy rozpuszczali do końca wieści, iż maszerujące we wspaniałym ekwipunku poprzez ziemię polską olbrzymie armie — będą na podstawie układu z Sowietami przepuszczone na Środkowy Wschód dla zadania Anglii decydującego ciosu. Rosja na 48 godzin przed wybuchem wojny dementowała wszelkie wiadomości o nieporozumieniach z Niemcami i ogłosiła oficjalny komunikat stwierdzający, że między Związkiem Sowieckim a nimi panują jak najpoprawniejsze stosunki. Nikogo to już w błąd nie wprowadzało, chyba kilku zaciepłych „realistów“, którzy powołując się na radio londyńskie, oficjalne oświadczenia i inne autorytatywne dowody, gromili niepoprawnych „marzycieli“.

W tym czasie musiałem już gruntownie zmienić swój tryb życia. Zbieracz śmieci i odpadków, noszący niesplamione niczym nazwisko Czemiński, wypróbowałem parokrotnie wartość swej legitymacji, zatracił stopniowo poczucie niebezpieczeństwa. Chodziłem obławowany nielegalną bibułą, wypracowanymi w moich komórkach referatami, wreszcie komunikatami radiowymi. Niezbyt kryłem nawet swą siedzibę, przyjmując w niej coraz liczniej różnych poszukiwanych działaczy podziemia. Oczywiście, kręcąc się nieustannie po Warszawie, miałem różne przygody, z których każda mogła grozić życiu.

Razu pewnego udało mi się wydostać z tramwaju, z którego Gestapo wygarniało wszystkich. Pokazując dokumenty zrobiłem minę bardzo siebie pewną. Żandarm mimo to zakwalifikował mnie do rzędu ofiar. „Wassss?“, krzyknąłem tak groźnie, że Niemiec natychmiast z szacunkiem cofnął się w tył. Czasem się to udawało.

Innym razem, w czasie odprawy wyższych wojskowych, posłyszeliśmy koło domu ożywioną wymianę strzałów. Wyjście na ulicę groziło natychmiastowym aresztowaniem. Obserwując przez

okno z ukosa rozwój wydarzeń, zorientowaliśmy się, że cała dzielnica otoczona jest żandarmerią, która rewiduje poszczególne domy i mieszkania. Okazało się, że niektórzy z moich towarzyszy mają przy sobie rewolwery. Za to była śmierć bez pardonu. Wrzuciliśmy je do rezerwoaru klozetowego wypełnionego wodą, wiszącego pod sufitem. Zasiadliśmy zaraz do bridża, aranżując wszystko tak, jakbyśmy grali już od szeregu godzin. Wymieniliśmy między sobą nazwiska, na które wystawione były dokumenty osobiste, aby nie popełnić błędu w razie konfrontacji. Uniknęliśmy szczęśliwie i wtedy wielkiego niebezpieczeństwa.

Kiedyś znowu otarłem się o śmierć w związku ze sprawą Stanisława Piaseckiego, przed wojną redaktora poczytnego tygodnika literackiego „Prosto z Mostu“ a w czasie okupacji redaktora pisma podziemnego „Walka“. Piasecki, to jedna z najpiękniejszych postaci Polski Walczącej. Siedząc w więzieniu, skazany na śmierć i oczekując wykonania wyroku, potrafił pisać jeszcze stamtąd artykuły do prasy podziemnej, które zagrzewały do walki i tchnęły wiarą w zwycięstwo. Na wieść o jego aresztowaniu próbowałem dopomóc w zorganizowaniu obrony jego osoby i placówki, którą kierował. Prowadził on mianowicie restaurację i kawiarnię w budynku Filharmonii warszawskiej, w środku miasta, zatrudniając tam wielu swych zaufanych i ogniskując w niej wszystkie tajne kontakty. Przez dwa dni przychodziłem do tej restauracji, odbierając ostatnie informacje o przebiegu wydarzeń i nalegając na natychmiastowe rozbiegnięcie się personelu. Oczywiście była to wielka lekkomyślność. W trzy kwadransy po moim wyjściu żandarmeria otoczyła lokal i wybrała z niego wszystkich, tak personel jak i przygodną publiczność. Z życiem uszły tylko niektóre kobiety, przeważnie po pięcioletnim blisko pobycie w obozie koncentracyjnym. Z mężczyzn, o ile mi wiadomo, nikt się nie uratował.

Takich i innych przygód miałem w tym okresie jeszcze kilka w dalszych latach o wiele więcej. Stopniowo przyzwyczajałem się do nich, tak jak przyzwyczaić się do nich musiało tysiące innych ludzi. Każdy musiał pójść do pracy i wrócić następnie do domu. Każdy musiał organizować sobie życie codzienne. A tymczasem na ulicy, czy w tramwaju, kawiarni, a nawet w kościele, w ogrodzie, czy na plaży, wszędzie, nieznanego dnia i godziny, czyhała śmierć. Działaczowi konspiracyjnemu łatwiej jej było nieraz uniknąć, niżli szaremu obywatelowi, bo miał wyostrzony instynkt, lepsze wiadomości i lepsze, zawczasu preparowane do-

kumenty. To też przygody te, jako normalny objaw towarzyszący życiu codziennemu obywatela „Generalgouvernement“, przestały oddziaływać na moją psychikę.

Inna jest zupełnie reakcja człowieka, gdy poczuje się ścigany indywidualnie. Gdy zrozumie, lub dowie się, czasem w bardzo przykry sposób, że to do niego osobiście mają interes i są tak natrętni, że trafiają do krewnych, odwiedzają miejsca przez niego uprzednio uczęszczane, wyaresztowują ludzi tego samego nazwiska, lub nazwiska, którego używał w organizacji jako pseudonimu. Odbija się to bardzo na psychice jednostki. Pod wpływem tych okoliczności niektórzy kończyli się nerwowo bardzo szybko i — można powiedzieć — przeznaczeni już byli z góry na „wpadnięcie“ przy pierwszej okazji. Inni hartowali się w niebezpieczeństwie, ale z biegiem czasu i oni nie mogli uniknąć wielkich przemian w swej sylwetce duchowej.

Los poddał mnie próbie takich oto okoliczności. Mieszkając pod Warszawą, stykałem się często z młodzieżą, której fantazję, humor i patriotyzm wysoce ceniłem. Jeździłem z nimi na wycieczki, grałem w bridża, ale najczęściej słuchałem przy zaimprovizowanej zakąsce i kieliszku wódki, i ch opowiadań z niedawnej kampanii wojennej, lub zwierzeń na temat ich pracy w konspiracji. Była to młodzież zżyta z sobą od najmłodszych lat, przeto wzajemne ich zwierzenia traktowałem jako objaw zupełnie naturalny. Wśród nich był także Jerzy Nakoniecznikoff, podchorąży szwoleżerów, wielkiej urody chłopak, który wybijał się ponad innych tupetem i fantazją. Otoczony był przez kolegów pewnym nimbem, gdyż jakiś czas musiał ukrywać się przed Gestapo. Oskarżono go, że był oficerem wojska polskiego i nie zarejestrował się u władz niemieckich. Za to groziła mu naturalnie kara śmierci. Jerzego ukrywano w różnych dworach ziemiańskich tak długo, aż matka jego i siostra nie zamazały tej sprawy przez odpowiednie stosunki i pieniądze.

Tyle o nim wiedziałem, gdy oto pewnego razu, zostawszy ze mną sam na sam, zaczął tak opowiadać: „Czuję potrzebę poradzenia się Pana Mecenasu. Matka i siostra moja dotarły do gestapowców, od których zależało zaprzestanie poszukiwań skierowanych przeciwko mnie, urządziły im libacje w swoim prywatnym mieszkaniu. Po kilku takich przyjęciach, Niemcy zadowolili się u nas, zaczęli nazywać moją matkę „Mütterchen“, mówili, że jest im tak „gemütlich“. a wreszcie dali słowo honoru, że „Georg“ może bezpiecznie wrócić do domu. Gdy wróciłem, liba-

cje nie tylko nie ustaly, ale i ja zostałem w nie wciągnięty. Co drugą noc piję z nimi do rana i nie uniem się z tego wydobyć. W ten sposób prowadzę podwójny żywot, ale staram się wyciągnąć z tego korzyści dla sprawyⁿ. Sytuacja była jasną. Rozmawiał ze mną człowiek bez charakteru, mogący każdej chwili przynieść wielką krzywdę środowisku, w którym się obracał. Zakląłem go, żeby natychmiast zlikwidował niepostrzeżenie swe sprawy i uciekł z paniami gdzieś na prowincję. Przerwałem z nim na wszelki wypadek kontakty i przestrzegłem jego kolegów.

W parę dni później rodzina moja została zaalarmowana przez Nakoniecznikoffa. W jednej ze spędzonych na pijaństwie nocy gestapowcy przyznali mu się, że wybierają się na wyprawę po „ładnego“ ptaszka. Wymienili nie tylko moje prawdziwe imię i nazwisko, wskazując przy tym na charakterystyczną bliznę na twarzy, ale także podali dokładnie miejscowość i położenie willi, w której mieszkałem. W ciągu paru godzin zlikwidowałem przy pomocy przyjaciół mój punkt oparcia na prowincji, rodzinę ulokowałem z powrotem w mieszkaniu warszawskim, sam poszedłem na tułaczkę.

W poszukiwaniu działaczy politycznych Niemcy prześladowali często ich rodziny. Ukryć moich bliskich z dnia na dzień w podziemiu było niepodobieństwem. Trzeba było radzić inaczej. W tajnym porozumieniu z księżmi żona moja wystąpiła do sądu duchownego o uzyskanie separacji „od stołu i łoża“ na czas nieograniczony, podając jako przyczynę mój zły tryb życia. Doszło do formalnej rozprawy, na której po raz pierwszy tak łatwo przyznałem się wobec żony do swych grzechów i za wszystko brałem winę na siebie. Stojąc naprzeciwko, bez nadwyrężenia powagi sądu, uśmiechaliśmy się kącikami ust i spoglądaliśmy na siebie tak widać mile, że nie wtajemniczony ksiądz protokółant nie mógł się uspokoić, iż tacy ludzie mogą się rozchodzić. Coraz to podchodził do przydującego, poważnego prałata i w głos błagał: „Księżo prałacie, niech ich ksiądz pogodzi“. Ksiądz prałat, taki zawsze dobry, w tym wypadku był dziwnie zimny i wydał niezwłocznie obowiązujące orzeczenie o rozłączeniu nas na czas nieograniczony od łoża i stołu. W czasie, gdy w kancelarii przygotowywano pośpiesznie odpowiednie dokumenty, dla pewności z datą wsteczną i w tłumaczeniu na język niemiecki, nowo separowana para małżeńska wraz z sędziującym prałatem w ukrytej, ale dobrej restauracyjce oblewała tę dziwną uroczystość rodzinną. „Obym czymprędzej mógł pobło-

gostawić wasze złączenie“ — składał nam, wzruszony. życzenia.

Wystarczyło to dla zapewnienia bezpieczeństwa moim bliskim na dłuższy czas. Żona uchodziła oficjalnie za rozwiedzioną i tym uzasadniała brak wszelkich wiadomości o mężu. Dzieci i domownicy byli dokładnie poinformowani, co mają mówić. „Pan Mecenas — powtarzała wyuczona gosposia — był bardzo zły dla Pani Mece-nasowej i już dawno ją porzucił“. „Tatuś — mówili chłopcy — przychodził czasem do nas dawniej. Teraz już od roku nie był. Pewno został złapany na ulicy“.

Rozpocząłem nowe życie. Żona i matka wiedziały każdorazo-wo, gdzie się znajduję i odwiedzały mnie przy zachowaniu odpo-wiednich ostrożności. Niekiedy przeraźliwie tęskno mi było za dziećmi i atmosferą rodzinną. Toteż czasem w niedzielę w po-ludnie, w porze, w której zazwyczaj Gestapo nie grasowało po mieszkaniach, zajeżdżała na Krakowskie Przedmieście dorożka, z której dawałem susa do naszego mieszkania. Cóż to było za święto! Wszyscy odświętnie ubrani, z uśmiechem na ustach i ser-cem na wierzchu. Mieszkanie jasne i miłe, każdym swym szcze-gółem też się do mnie wdzięczyło, jakby rozumiało charakter uroczystości. Stół zastawiony smakolymi i przybrany kwiatami mówił o troskliwych naradach gosposi z moimi paniami, „co by tu dobrego Panu Mecenasowi wymyślić“.

Po obiedzie chodziłem po pokojach, dotykałem ulubionych ksią-żek, stawałem przed obrazami, z którymi najrozmaitsze łączyłem wspomnienia. Oto obraz wspaniałego malarza Żukowskiego przedstawiający „Puszczę Swisłocką“; brałem udział w rewindyka-cji tej puszczy jako adwokat dla spadkobierców gen. Tyszkiewicza, któremu Moskale skonfiskowali całe mienie za udział w powsta-niu 1831 r. Oto malowidło Rosena, wyobrażające atak polskich grenadierów w okresie walk Napoleona, z którym Polacy wzięli swe losy, wydzierając kolejno Prusakom, Austriakom i Moska-lom zrabowaną niepodległość. A oto obraz Grottgera, malujący gehennę marszu skazańców na Sybir po śnieżnych bezkresach, pod konwojem szarych szyneli i długich bagnetów zatkniętych na broń.

Siadywałem na fotelu za biurkiem i myślą przebiegałem wszyst-kie te sprawy, interesy i kłopoty ludzkie, wszystkie te zbrodnie, namiętności i słabości, których na tym miejscu byłem codziennym spowiednikiem, chirurgiem i tłumaczem. Spoglądałem na stosy aktów adwokackich, w których zawarte były dowody, dotyczące wielomilionowych dóbr będących przedmiotem sporu, i odczuwa-

łem, że wszystko to już tylko makulatura: że już nikt o to zabiegać nie będzie, bo życie nagle zmieniło swój normalny bieg i pieśni się wzburzoną falą po skalistych urwiskach. Gdy zapadał mrok, podnosiłem kołnierz u pałta, wciskałem głęboko kapelusz, zakładałem na oczy okulary i śpieszyłem do swego tajnego lokalu.

Tajny lokal — instytucja tak niezbędna w Polsce dla życia wielu, wielu tysięcy, jak niezbędne jest do oddychania powietrze. Tajny lokal to cała gama warunków, problemów i przeżyć.

Nikt nie powinien być wiedzieć, gdzie mieszkasz, gdyż każdy, najsilniejszy nawet człowiek, może wydać twój adres pod wpływem katowania. Musisz dokładnie pamiętać, komu dałeś swój adres, musisz przypilnować, by go czasem gdzieś nie zanotowano, musisz być pewny, że nikt nikomu twego adresu dalej nie podał. Powinieneś tak wybierać swój lokal konspiracyjny, by jego współlokatorzy nie byli zaangażowani w robotę podziemną, a także by ze względu na swe kwalifikacje nie byli materiałem do aresztowań zbiorowych lub indywidualnych. Pamiętaj, żeby mieszkanie nie było obciążone zadawnionymi grzechami poprzednich lokatorów czy sublokatorów. Strzeż się lokalu, w których przebywa młodzież, bo ta napewno konspiruje. Szukaj kwater u kobiet z małymi dziećmi, lub u starszych, samotnych osób.

Jeśli się musisz zameldować, zrób tak, aby meldunek twój nie był świeżej daty. Najlepiej zaś znajdź drogę przez świat podziemny do odpowiedniego urzędnika, by twą kartę rejestracyjną usunął natychmiast z kartoteki, bo i twój pseudonim może dojść do wiadomości wroga. W ten zaś sposób nie znajdą twego adresu. Jeśli dozorca domu jest pewny, a właściciel mieszkania zna twe położenie, obejdz się bez meldowania, w dokumentach zaś miej meldunek wiejski, — wtedy nawet w wypadku aresztowania zatrzasz swe ślady.

Pilnuj się zasady nieprzechowywania niczego „trefnego“ w domu: ani bibuły, ani broni, ani zapasowych dokumentów. Nie pisz nic na swej maszynie do pisania. Nie miej w domu podręcznika języka angielskiego, bo za to jedno możesz wpaść na parę lat do więzienia czy obozu koncentracyjnego.

Miej zawsze w pogotowiu drugi lokal. Jeśli tylko powstaje realne niebezpieczeństwo, lub masz po prostu uczucie niepewności, zmieniaj bez zastanawiania się swe locum. Niektórzy mieli system ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, ja starałem się wszędzie mieszkać jak najdłużej. Może dlatego, że na ogół

spotykałem tyle serca i zrozumienia u ludzi. Mimo to w ciągu lat konspiracji zmieniłem kilkanaście kryjówek.

Praktyka nie odpowiada teorii. W miarę wrastania Polski w życie podziemne, coraz w nim było ciasniej. Trudno już było znaleźć mieszkania, których lokatorzy starzy i młodzi, mężczyźni, czy kobiety, nie należeliby do konspiracji. Wiele spośród najlepszych lokali zostało w głuchej niez mordowanej walce codziennej „spalonych“*). Coraz więcej tych lokali było potrzeba na punkty łączności, na miejsca zebrań i odpraw wojskowych, na archiwa, na redakcje, na podręczne składy broni. Coraz bardziej gorączkowo wrzała robota. Już nie było czasu chodzić na specjalne punkty dla opracowania materiału, pisania artykułów, czy przeglądania prasy. Brało się papiery do kieszeni i maszerowało do domu, pilnując tylko, by nie zapóźnić się poza godzinę policyjną. Wieczór w domu zachęcał najbardziej do pisania, do studiowania sytuacji w świecie, u wroga i w Kraju, — wreszcie do przeprowadzenia jakiejś poważnej narady z przyjacielem, po uszy nieraz siedzącym w konspiracji, którego w tym celu sprowadzało się do siebie na noc. A jeżeli jeszcze w domu była maszyna i ktoś, co na niej biegle pisał, nie było siły, która by powstrzymała od tego, by nieraz do białego ranka wystukiwać odezwy, rozkazy, memoriały.

Świadomość, że jestem poszukiwany przez zgrają gestapowców, nie naruszała mej równowagi psychicznej w ciągu dnia. Jeśli musiałem za widna wyjść na ulicę, miałem tak beztroski wyraz twarzy, byłem tak starannie ubrany i najczęściej tak zajęty towarzyszącą mi kobietą, że doprawdy nie budziłem podejrzliwości w najbardziej krytycznych momentach. Pamiętałem przy tym, by nie nosić długich butów, bo to w pewnych okresach czasu Niemcy uważali za dostateczną wskazówkę, że mają przed sobą „bandytę“, czyli członka zbrojnej organizacji, ani też nigdy, przy największym nawet mrozie, nie chowałem rąk do kieszeni palta. Wielu to przyzwyczajenie zapłaciło życiem, gdyż osobnik, który trzymał ręce w kieszeni, na pewno był obrewidowany, a nieraz i bez rewizji zabrany na „Pawiak“, skąd się już w ostatniej fazie okupacji rzadko kiedy wracało. Czasem, czując się niepewnie, wskakiwałem nagle do rozpedzonego tramwaju, czasem, pozornie bez

*) „Spalony“ — pojęcie używane w języku konspiracji dla określenia, że dany osobnik lub dany lokal jest już rozpoznany przez wroga.

żadnej przyczyny, błądziłem po ulicach godzinę i dłużej, zanim dotarłem do domu straciwszy z pola widzenia jakiegoś podejrzanego osobnika.

Trzeba też było mieć dużo przytomności umysłu.

Było to w okresie największego terroru. Niemal co dnia zbierano z ulic setki ofiar, upatrzonych „na oko“, które następnie publicznie rozstrzeliwano jako zakładników. Walczyłem wtedy o życie mojej rodziny, tkwiącej w więzieniu i przestawałem się liczyć z czymkolwiek. Pewnego dnia wyszedłem rano z domu obładowany sprawozdaniami wojskowymi, projektem układu Narodowych Sił Zbrojnych z Armią Krajową i odezwą do społeczeństwa w związku z układem w Teheranie. Nikt nie zdążył mnie uprzedzić, że na ulicach Warszawy szaleją łapanki. Zamykając furtę żelazną ogrodu obróciłem się twarzą do wylotu ulicy. Z odległości 10 metrów ode mnie zbliżała się tyraliera żandarmerii z pistoletami maszynowymi w ręku. Na czele szedł feldfebel ze służby S.D., byk potwornych rozmiarów, o wylupiastych oczach zwyrodnialca. Zastanowienie się trwało ułamek sekundy. Jeśli otworzę furtę i zawrócę do domu, niechybnie zdążą mnie złapać. W każdym razie otoczą willę i wybiorą mnie z niej. Siłą się na najbardziej obojętną postawę, wolnym krokiem poszedłem wprost na feldfebela. Obrzucił mnie wzrokiem i przeszedł mimo. Za nim cała tyraliera. „*Halt, Hände hoch*“ — posłyszałem z tyłu. To już nie było do mnie. W polu widzenia ulicy przesuwiał się za mną jeden jeszcze biedny człowiek. Zabrali go. Gdy się przekonałem, że już bezpieczny, nogi mi odmówiły posłuszeństwa.

Najlepiej się czułem, gdy mrok zapadał. Warszawa była okresami zupełnie prawie nieoświetlana. Wtedy brykałem po ulicach w sposób najbardziej ryzykowny. Czasem spacerowałem z żoną pod rękę, a ona mi mówiła: „Teraz niczego się nie boję“. Czasem syna prowadziłem na ciastka, naznaczywszy mu rendez-vous gdzieś na rogu ulicy.

Najciężej było przeżyć noc. W dzień, nawet w nierównej walce, miałem zawsze do dyspozycji władzę umysłu, zmysły i instynkt. W poczuciu niebezpieczeństwa były one wyostrzone i stale czujne. W nocy organizm bronił się też podświadomie przed ich uspieniem nawet na chwilę — zwłaszcza, że noc przynosiła z sobą spotęgowaną groźbę niebezpieczeństwa. Dlatego też sen był zawsze tylko dalszym ciągiem czuwania.

Każdy zatrzymujący się w pobliżu domu samochód budził człowieka automatycznie. Każde łomotanie w bramę nakazywało zro-

bić rachunek sumienia: czy to, co przeznaczone do ukrycia, jest ukryte dobrze? Czy mam pod ręką wszystkie papiery? Czy przez jakieś niedopatrzenie lub lekkomyślność nie narażam siebie i drugich? Skok do okna: wyteżam oczy i słuch. Czemu dozorca nie otwiera tak długo bramy? On dobrze wie, co robi. Choć dostanie kolbą kilka razy po głowie lub plecach, zwleka, aby obudzić czujność tych, do których ta nocna wizyta może być skierowana. „Prowadź pod nr. 8 mieszkania“ — rozkazuje gestapowiec, a dźwięk jego głosu dociera wśród nocnej ciszy do wielu uchylonych okien. To nie po mnie, mieszkam pod nr. 12. Słyszę tylko stuk kilku par ciężkich butów po schodach i dobijanie się do drzwi o dwa piętra niżej. Ale spać już trudno. Dobrze, że nie zniszczyłem przedwcześnie papierów, owocu pracy wielu ludzi w najcięższych warunkach. Jest cicho. Wyprowadzają aresztowanych. Mąż i żona. Co będzie z małym ich dzieckiem? — szepcą przy mnie.

Zrozumiałe będzie, że w tych warunkach wielkie znaczenie dla utrzymania równowagi psychicznej i poczucia bezpieczeństwa miało otoczenie, w którym się wiodło swój podziemny żywot. Otoczenie — to te osoby, które mi dały schronienie, a wśród których pracuję i przebywam większość dnia i całą noc. Prawie zawsze były to kobiety. One wzięły na siebie spontanicznie gros wysiłku w zapewnieniu mężczyznom warunków do prowadzenia walki i powiem, że przy wypełnianiu swych obowiązków zachowywały lepszą często od mężczyzn postawę.

W pamięci mam szczególnie jedno takie schronienie, które mi służyło blisko rok. Należało ono do pani, która straciła męża już w biegu wydarzeń wojennych i w ścisłym z nimi związku. Miała matkę w rodzinnym swym majątku niedaleko wprawdzie, bo o sto kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, ale w rzeczywistości dalej niżli za oceanami, dzieliła ich bowiem niemiecka granica, która przerywała polskie ziemie w samym ich rdzeniu. Miała syna w niewoli. Zięć przedostał się na Węgry, a stamtąd na Zachód, by dalej pełnić służbę swą w szeregach armii polskiej. Przy niej była tylko córka z małym wnuczkim.

Mimo to nie było pusto, ani nawet nie mogło być smutno w tym dużym, ślicznym mieszkaniu. Wypełniało je bowiem serce obu kobiet. Gdy toczył się bój o Warszawę we wrześniu 1939 r., każdy strudzony żołnierz znajdował tam schronienie, pożywienie i dobre słowo. Gdy trzeba było dopomóc tym, którzy nie chcieli iść potem w niewolę i musieli zrzucić mundury, na cel ten rozdane

zostały wszystkie zapasy męskiej garderoby. Kto się chciał poskarżyć, kto wypłakać, wiedział, że nigdy nie znajdzie wdzięczniejszych słuchaczek i pocieszycielek. Wystarczyło w tych ciężkich chwilach napomknąć, że się nie ma bielizny, albo że kogoś obrabowano, a już widziałem, jak obie kobiety schylały się do swych komód i wybierały co lepsze szmatki dla pocieszenia strapionych. Myślicie, że same były szczęśliwe — nie, one podporządkowały swe wielkie, rzeczywiste zmartwienia osobiste sprawie ogólnej. Myślicie, że były bogate? Przeciwnie, majątek rodzinny zabrali Niemcy. Dawna zamożność przedwojenna skończyła się bezpowrotnie — żyły ze sprzedaży obrazów, mebli i książek.

Powoli dom zaczęli zapełniać lokatorzy. I ja się miałem zaliczyć do ich rzędu. Panie nie miały na mnie ochoty tak długo, póki matka moja, która pośredniczyła w tej transakcji, nie zwierzyła się: „Ale jeszcze jedna byłaby trudność, że mój Zbyszek nie mógłby być meldowany“. Z tą chwilą przestały robić jakiegokolwiek trudności i zostałem przyjęty z całą serdecznością.

Dziwni tam byli lokatorzy. Pierwsza spotkana kobieta została mi przedstawiona innym zgoła nazwiskiem, niżli tym, jakiego używałem dla jej oznaczenia przed wojną. Ja również przedstawiłem się z całą powagą: „Czempiński“, a pani domu nie rozumiała z początku, czemu nam obojgu drgały kąciki ust. Przy kolacji, na którą zostałem zaproszony, siedział inny lokator, młody człowiek, który wykazywał niezwykle słabą orientację w stosunkach warszawskich. Był bardzo sztywny, nosił się trochę z angielska, a co dziwniejsze nie wiadomo było, jak go mienić. Dopiero wśród żartów i po paru kieliszkach gospodyni nasza nadała mu imię. Zorientowanie się nie przedstawiało dla mnie większych trudności. Moja współlokatorka, dzielna łączniczka Armii Krajowej, z powodu swego pochodzenia rasowego musiała zmienić całą swą osobowość, by żyć. Mój współlokator — był to tzw. „ptaszek“, który dopiero co sfrunął na spadochronie z samolotu angielskiego i przebywał w tym mieszkaniu na stażu u „cioci“ *) dla zaaklimatyzowania się w warunkach okupacji niemieckiej, zanim miał przystąpić do wypełnienia powierzonych mu zadań.

*) *Ciocia* — tak nazywano kobiety, których zadaniem było opiekować się skoczkami spadochronowymi w pierwszych kilku tygodniach ich pobytu, orientować ich w stosunkach, w środkach ostrożności itd.

Młodsza pani łomu miała brzydki zwyczaj opuszczać nasze towarzystwo w czasie największego w nim ożywienia — i pisała, pisała listy. Czasem rozchodziliśmy się po pokojach dopiero o drugiej w nocy, a ona z noskiem wetkniętym w stos listów, wciąż jeszcze coś gryzmołiła. Wszystkie listy były adresowane do obozów jenieckich. A więc: szyfry.

Zorientowawszy się w tym wszystkim, chcąc uchodzić za klasycznego konspiratora, powinienem był już na drugi czy trzeci dzień przenieść się na inną kwaterę. Ale urok atmosfery panującej w tym domu, niezmienna wielka serdeczność i troskliwość, okazywana przez obie panie, spokój nerwowy i pogoda, przyciągały tam z magnetyczną siłą każdego, kogo tylko los sprowadził.

Po paru miesiącach zgłosił się do mego rodzinnego domu jakiś osobnik, zażądał rozmowy z moją żoną i całując ją w rękę, komunikował: „Jestem agentem Gestapo, służę sprawie Polski. Wydano dziś surowy nakaz odnalezienia i aresztowania pana mecenasa Stypułkowskiego. Rozkaz pochodzi od szefa „Sonderdienstu“. Na błagania żony opuściłem Warszawę danym mi do dyspozycji, odpowiednio bezpiecznym samochodem i wyjechałem na głuchą wieś. Wytrzymałem tam tydzień. Ósmego dnia już nie czekałem na konie, pieszo wyrывałem do najbliższej stacji kolejowej i po ciemku wróciłem na swą kwaterę. Zresztą szczęśliwie, bo właśnie następnego nocy jedna z grasujących już wtedy band ograbiała dwór, służący mi za chwilowe schronienie, a domowników dość silnie poturbowała.

Zgotowano mi przyjęcie, jakby na powrót syna marnotrawnego. Panie zdążyły być nawet u fryzjera i włożyły coś w rodzaju wizytowych sukienek. Na stole widniał na honorowym miejscu fałszywy śledź (autentycznego w Polsce dostać nie można było), do tego były pieczone kartofle, obtoczone mąką. Humor i swawola trwały do ranka niemal, bo wyciągnięto też skądś stary gramofon i tańczyliśmy na umór.

Okazji do takich uroczystości było zawsze sporo. Tadeusz, który dziś miał wyjechać z transportem dynamitu do Wilna, został zawrócony już za rogatkami miasta. Przyjechał łącznik w przebraniu niemieckiego żołnierza, aby ostrzec, że na miejscu przeznaczenia, transportu czekają już — Niemcy. Zdążył na ostatnią sekundę. Jakże tu nie wypić za uratowane życie! Niestety, Tadeusz postradał swe życie później w czasie powstania, — i to wśród wielkich męczarni. Ale tymczasem radował się jak dziecko. A z nim razem cieszyła się i „ciocia ptaszkowa“, i szyfrantka od

obozu jeńców, i inna pani, co to wczoraj po pięciu miesiącach opuściła więzienie i już znowu była zagrożona — i inna jeszcze niewiasta, co utrzymywała łączność między wschodnimi okręgami armii podziemnej, a centralą, i „Pietrek“, który dopiero niedawno zeskoczył ze spadochronu i przy tym bardzo sobie głowę i wszystkie wnętrzności wstrząsnął, i „Centus“, co objął właśnie kierownictwo oddziałów leśnych na powiat Biała Podlaska i do Warszawy wskoczył tylko po transport broni. Wreszcie i ta pani, która miała kłopoty z pochodzeniem żydowskim, a bardzo swego męża, Tadeusza, kochała. Ja też się z nimi wszystkimi cieszyłem. Zabawa znowu trwała długo w noc.

A kiedy „Pietrek“, ulubieniec moich gospodyń, który wkrótce potem zaczął raz po raz wysadzać dynamitem w powietrze tory kolejowe, został rozpoznany na dworcu, ale zdołał między wagonami uciec Niemcom spod nosa — toż to była radość i wesele! Niestety, radość krótkotrwała, bo nie było komu „Pietrka“ zastąpić w robocie. Ufając swemu szczęściu poszedł kiedyś na ten sam dworzec i już drugi raz nie udało się. Zameczyli biedaka.

Chwile radości i zapomnienia, które się najchętniej wspomina, to były tylko sekundy wśród długich godzin życia. Ale te sekundy były bezcenne dla tych, których obowiązkiem było przetrwać w walce ciężkie godziny, dzielące nas od osiągnięcia celu.

Chwil, w których cichła mowa, w których skurcz chwycił zaprawione w bólu serca, a w oczach błysnęła łza lub śmiertelny niepokój, było o wiele, wiele więcej: „Łapanka zabrała znowu trzy tysiące ludzi“. „Czy pamiętasz tego pułkownika, co się z Tobą dopiero co przekomarzał, że lepiej od ciebie rozpala piec w moim pokoju? — dzisiejszej nocy go zabrali“. „Wczoraj o jedenastej wieczór dzwonił do mnie Andrzej Tarnowski i umówił się na dzisiejsze spotkanie — o pierwszej w nocy zabiła go w mieszkaniu Łomba bolszewicka“. „Jest już piętnaście minut po godzinie policyjnej, nie ma Ali — co robić?“. Zbyszku, Mamusia aresztowana!“

Rano wszyscy rozchodzili się do pracy. Ja przeważnie zostawałem w domu i za cichą zgodą pań zrobiłem ze swego pokoju jeden z niebezpieczniejszych punktów pracy w podziemiu. Kto u mnie tam nie był! i komendant Narodowych Sił Zbrojnych i wyżsi dowódcy, generałowie i pułkownicy Armii Krajowej, ministrowie i politycy. Dziesiątki ludzi, z których każdy był stokrotnie narażony i swą obecnością narażał dom. A w przerwach z przyjemnością chodziłem do kuchni, żeby zamienić z panią domu choć kilka

zdań i urozmaicić jej pracę. Najpoufniejsze i najserdeczniejsze to były pogawędki. Zwykle obierała wtedy kartofle lub gniotła ciasto. Córnka zaś, jeśli wróciła już ze zwykłego obchodzenia skrzynek pocztowych, w które z osobna wrzucała po liście, i odbyła swe odprawy u wyższych władz, na pewno jeździła gdzieś po pokojach elektroluksem albo paliła w piecach.

Nie trzymały bowiem panie służby domowej w tym sześciopokojowym, załadowanym ludźmi i rzeczami mieszkaniu. Pewnie trochę odgrywały rolę i względy finansowe, ale decydującym było zapewnienie maksimum warunków dyskrecji dla wszystkiego, co się tam działo. Obie kobiety nosiły to brzemie, tak dla nich niezwykcyjne, tak przeciwne ich tradycjom i dobrobytowi, z pogodą ducha. Czasem zakęły, częściej przywoływały do pomocy domowników. „Piotruś, nie leń się, przynieś wody z podwórza, bo filtry zamknięte“. „Chodź no, Tadius, ze mną po węgiel“. Tylko ja byłem w sposób widoczny wyróżniany, do obowiązku powszechnej służby nie powoływany, i życie pod względem wygod wciąż jeszcze było mi rajem. Dobre były te moje panie.

Życie nasze regulowała godzina policyjna. Czesem była to siódma wieczór, czasem ósma, czasem nawet dziesiąta, kiedy trzeba było wracać do siebie. Wtedy wszyscy domownicy i przeznaczeni na tę noc goście zbierali się obowiązkowo... w kuchni. Tam widać usadowiły się dobre duchy domu. Tylko tam było nam przyjemnie, ciepło i serdecznie i tam najlepiej odprężyły się nerwy po całodziennym napięciu. Siadywaliśmy przy okrągłym stole, gdzie nie było pierwszych miejsc. Każdy był równy wobec niebezpieczeństwa, które mu zagrażało. Nad stołem była lampa gazowa, która się świeciła gazem kradzionym, bo go legalnie używać nie było wolno. Za to nie siedzieliśmy przy świeczkach, kiedy w porze najbardziej przykrej wyłączano Polakom prąd elektryczny. Kolacja była prosta ale smaczna — dbała o to gosposia. Czasem i kieliszek wódki wpływał na ożywienie nastroju, o co dbał zwłaszcza Tadius. Najmilsze jednak były przy tym rozmowy. Każdy z mężczyzn przynosił ze swego podwórka coś ciekawego do opowiadania. Potem czytało się na głos komunikaty radiowe ostatniej doby, co ciekawsze artykuły tajnej prasy. W okresach ożywionych walk ślęczeliśmy nad mapami, a gdy omówiło się wszystkie hipotezy wojenne i polityczne, sięgało się do bogatych już wtedy wspomnień. Ten mówił o Londynie, tamten o swych wspomnieniach z więzienia hiszpańskiego, inny o tym, jak to trzy razy uciekał z węgierskiego więzienia. A gdy już raz potoczyły się zwie-

zenia na temat więzień, każdy miał coś dodania.

W tym czasie panie zakładały fartuszki i zmywały talerze po jedzeniu, ale nawet zza parawanu nie dawały się wyeliminować z dyskusji. Potem stawiały pasjansa, a gdy kogoś gniółł jakiś niepokój wróżyły mu z kart. W wypadkach szczególnej wagi posyłały do takiej wróżki, która oczywiście „wszystko wiedziała“ i zawsze w czas ostrzegła. I ja raz byłem wysłany do tej wróżki. Przepowiedziała mi, że jeszcze przed końcem wojny odbędę wielkie podróże. Sprawdziło się, jak amen w pacierzu. Byłem już w Moskwie i z powrotem w Warszawie. Byłem w Niemczech, we Włoszech — teraz jestem na Wyspach Brytyjskich. A gdzie dalej?

Późno już się robiło, gdy pani domu rozsyłała nas do łóżek. Przed tym jeszcze przypilnowała, aby „grubsze“ przedmioty tajnego przeznaczenia zaniesione były w bezpieczny schowek pod węgiel do piwnicy, a co cenniejsze chowano do misternie skonstruowanej stolnicy, w której za włożeniem szpilki w niewidzialną dziurkę otwierało się ukryte dno.

Umówiliśmy się, że po wojnie otworzymy w tej kuchni sezon wielkich przyjęć towarzyskich. Mieli w nim wziąć udział wszyscy skoczki, którzy się kolejno ukrywali w tym mieszkaniu; i wszyscy ci z niewoli, do których młodsza pani domu pisywała listy miłosne, mieszczące w sobie szyfry, i ci, co u mnie często bywali, i wszystkie dzielne kobiety, co się przesunęły przez to mieszkanie w latach konspiracji. Tyle cennych dóbr materialnych i moralnych rozsypało się w proch od tego czasu w naszym Kraju! Zaważyła się w czasie powstania od bomb lotniczych i ta nasza kochana kuchnia.

Pierwszemu okresowi wojny niemiecko-bolszewickiej towarzyszyła w polskim społeczeństwie fala entuzjazmu. Przynajmniej przez te kilka miesięcy nie było powodu do zmartwień z tytułu sytuacji wojennej. Kiedy bolszewicy dostali w skórę, człowiek ulicy mówił: „Mają za hultajską spółkę z hitlerowcami“ — i cieszył się, że choć jeszcze w domu niewoli złączyliśmy się już przecie z rodakami z Małopolski Wschodniej i pod wspólnym jęczymy najeżdżąc z Wileńszczyzną i Wołyniem. Gdy surowej zimy 1941 r. rozpoczął się odwrót armii niemieckiej, czuliśmy wszyscy, że to pierwszy znak nieuchronnej katastrofy Hitlera.

Dnia 22 czerwca 1941 r. porzuciłem cały swój styl konspiratora i poszedłem w towarzystwie przyjaciół nacieszyć się chwilą do szczytków starej, słynnej w Polsce kilkusetletnią tradycją

winiarni i restauracji Fukiera. „Tego dnia nie mi się stać nie może“ — powiedziałem sobie. W winiarni zachowały się jeszcze wówczas księgi pamiątkowe, w które wpisywali się królowie, posłowie cudzoziemscy, znakomici goście. Ktoś zdążył już wpisać pod datą dzisiejszą: „W najszcześniejszym dniu mojego życia i wszystkich Polaków, piję u Fukiera“.

Przygnębienie wywołały dopiero wieści z naszych ziem wschodnich. Wprawdzie Niemcy dłuższy jeszcze czas utrzymywali kordon między swoim dotychczasowym terenem okupacji a zajętymi świeżo województwami południowymi, Wileńszczyznę zaś, Polesie i Wołyń do końca separowali od wszelkiego kontaktu z centrum Polski. Jednak szybko dowiedzieliśmy się, iż setki tysięcy Polaków Moskale deportowali w znacznej mierze przed samym wybuchem wojny lub w pierwszych dniach walki w głąb Rosji, często do swych posiadłości azjatyckich. Wywozili nocą, bez rzeczy, dając ledwie czas na ubranie się. Wywozili całe rodziny, nie szczędząc ani starców, ani kobiet, ani chorych, ani dzieci. Miserne resztki tych deportowanych wyprowadził później z Rosji gen. Anders. Podobno kilkadziesiąt tysięcy pozostałych jeszcze przy życiu stopniowo wraca z łaski Kremlu na ziemie zachodnie Polski, trzymanej dalej silnie w kleszczach sowieckich. O tej masie, która zginęła z głodu, chłodu i chorób, w oddaleniu wielu tysięcy kilometrów od swej Ojczyzny, ludziach rozłączonych od swych najbliższych, mężów, żon i dzieci, zżeranych przez robactwo, upadających pod ciężarem fizycznej pracy przy wyrębach lasów, regulowaniu rzek i w kopalniach, a później zakopanych do ziemi jak zwierzęta bez chrześcijańskiego pogrzebu — nie wolno było na Zachodzie przez długi czas mówić. Uchodziło to za nietakt nie tylko wobec Związku Sowieckiego, ale wobec całego niemal świata, który kosztem tych ofiar miał wcióż nadzieję uzyskać pokój z potężnym imperium bolszewickim. Była to hekatomba, równa w swym natężeniu późniejszej likwidacji ghełt żydowskich w Polsce przez Hitlera, ale kto wie czy nie okrutniejsza w swych formach. Kto tego nie przeżywał, nie jest w stanie zrozumieć.

Przygnębienie osiągnęło swój szczyt, gdy Niemcy ogłosili o znalezieniu w miejscowości Katyń pod Smoleńskiem zbiorowych mogił, w których, jak się okazało, mieszczą się zwłoki oficerów polskich, wziętych przez Związek Sowiecki do „honorowej“ niewoli w r. 1939. Bolszewicy skupili oficerów naszych, po pewnych przesunięciach, ostatecznie w dwu głównych obozach: Ko-

zielsku i Starobielsku. Z tych obozów, w grudniu 1939 r. i styczniu 1940 w okresie doskonałych stosunków niemiecko-rosyjskich, przysłyły jednorazowo depesze względnie kartki zawiadamiające rodziny o tym, że ich bliski jest zdrowy i że się tam znajduje. Odtąd wszystkie najlepsze myśli, uczucia i modlitwy kilkunastu tysięcy matek, żon i kilkudziesięciu tysięcy małych dzieci kierowały się w stronę Kozielska i Starobielska, nazw odtąd w Polsce znanych tak dobrze, jak nazwy wielkich stolic świata. Jak grom nadeszła wiadomość, podana przez Goebbelsa: „Rosja wymordowała swych jeńców. Są to oficerowie z Kozielska. Zwłoki będą identyfikowane. Specjalna komisja międzynarodowa, złożona z uczonych i specjalistów, została zaproszona do ustalenia faktów“.

Wśród katastrofy narodowej o niebywałych rozmiarach, nowy cios uderzył w kilkanaście tysięcy rodzin inteligencji polskiej, szarpanych to bezmierną rozpaczą to złudzeniami przez wiele miesięcy. Rozpacz dyktowały fakty — ludzono się natomiast tym, że podane są one przez propagandę niemiecką, która dla swych celów nie cofa się przed prowokacją i profanacją najświętszych uczuć ludzkich. A więc może i tym razem łą?

Niestety, przez długi okres czasu codziennie ukazywały się w gazetach niemieckich i w tych, które Niemcy wydawali po polsku, listy zidentyfikowanych ofiar, z wymienieniem przedmiotów, z określeniem strzępów munduru, które wykopano wraz z ciałem z ziemi. Były to fakty prawdziwe. Niektóre z wymienionych przedmiotów widziałem w rękach tych, z którymi początkowo przebywałem razem w niewoli sowieckiej.

Tak zidentyfikowano parę tysięcy zwłok. Gdy poczęła zbliżać się do Smoleńska linia frontu, skwar letni był w pełni. Niemcy pod pozorem, że stopień rozkładu ciał nie pozwala nawet w maskach gazowych na prowadzenie w porze upalnej dalszych robót, przerwali identyfikację, na którą dotychczas czekały jeszcze tysiące wdów i matek w nadziei, że między nierozpoznanymi nie ma ich ukochanego. Może uciekł. Może dostał się już po przysłaniu depeszy do innego obozu, może do więzienia i tą drogą się uratował. Może, może...

Przez kilka miesięcy codzien, z chwilą ukazania się nowych gazet i nowych spisów, społeczeństwo polskie bez pogrzebu i manifestacji grzebało swych najlepszych synów. Cicho, aby nie zbudzić u Niemca radości, że oto doniósł sukces, trafiając nas w samo serce ciosem, który dla najeźdźcy miał tylko wartość

propagandy. Dumne kobiety nie chciały przyjmować z rąk okupantów ochłapu „emerytury“, jaki podrzucano dla spotęgowania efektu. Wstrzymywano się od udziału w delegacjach na groby, aby nawet hold najdroższym zmarłym nie był profanowany przez Niemców dla ich użytku. Ale ta rana, która krwawiła miesiące, a której imię Katyń, nie zaschła w Narodzie Polskim.

Gdyby Rząd Polski w Londynie z gen. Sikorskim na czele nie zaprotestował podówczas przeciw masakrze jego żołnierzy, przeciw największej zbrodni świata, jaką popełniono mordując strzałem w kark tysiące wziętych sąsiadowi jeńców, nawet bez wypowiedzenia mu wojny — rząd taki jako niegodny straciłby wszelki w kraju posłuch. Nie obroniłby go pogląd, że protest taki to wyzwanie rzucone przemożnej potędze. Bo są wartości, dla których obrony nie ma ceny, jeśli się nie chce zatracić sensu swego istnienia i stać się następnie mierzwą dla innych.

Związek Sowiecki nie zaniedbuje niczego, co by mogło narzucić opinii powszechnej pogląd, że nie ponosi odpowiedzialności za Katyń. Powołał komisję złożoną z mianowanych przez siebie członków z udziałem między innymi jednego ze swych literatów i jednego ze swych popów i sprawozdania tej komisji ogłosił drukiem w wielu językach i wielu setkach tysięcy egzemplarzy. Nie dopuścił natomiast na miejsce zbrodni nawet przedstawicieli swego „rządu“ warszawskiego, by mogli oni okazać swoje zainteresowanie dla faktu, co się stało z 15,000 obywateli polskich, korzystających z ochrony i opieki potężnego przyjaciela sowieckiego.

Bolszewicy wnieśli do swego aktu oskarżenia w procesie norymberskim oskarżenie o wymordowanie w Katyniu oficerów polskich. Ich rzecznik, prokurator Rudenko, stawiał jednak sprawę na ostrzu noża, gdy oskarżeni lub ich obrońcy usiłowali złożyć dowody, że sprawcami mordu są oskarżyciele. Wyrok sądu norymberskiego, wyliczając szczegółowo zbrodnie popełniane przez nazistów, milczy wszakże o największej zbrodni, jakiej w tej wojnie dokonano, zbrodni w stosunku do polskich oficerów-jeńców. Oznacza to, że nie było rzeczą możliwą uznać ponad wątpliwość, iż dokonali tego Niemcy. Tylko obawą skompromitowania potężnego alianta można tłumaczyć, iż sprawa ta została przemilczana w motywach wyroku, mimo, że widniała w treści aktu oskarżenia. Jako prawnik uważam to za rzecz bez precedensu. Polityka pokrywania zbrodni, dokonywanych na Pol-

sce, odniosła raz jeszcze tryumf w stosunkach międzynarodowych.

W czasie, gdy Naród Polski wstrząsały raz po raz wiadomości, jakie nadchodziły z terenów byłej okupacji sowieckiej, na naszych ziemiach centralnych dowództwo niemieckie pozakładało dla wziętych do niewoli żołnierzy sowieckich olbrzymie obozy jeńców. Jeździłem wtedy po kraju i miałem dokładne wiadomości, co się w tych obozach dzieje. Warunki życia w nich były fatalne: jeńców trzymano w gołym polu, niedożywionych, bez jakiegokolwiek opieki sanitarnej. Nie były odsobnione wypadki ludobójstwa. Jeńcy zrozpaczeni i zdecydowani na wszystko rzucali się na dany znak na druty kolczaste i płacąc setkami ofiar wydostawali się czasem na wolność, lecz zaraz stawało przed nimi tragiczne pytanie: co dalej?

Byli tacy, którzy szukali schronienia u miejscowej ludności. Choć Niemcy natychmiast ogłosili, że za udzielenie jakiegokolwiek pomocy zbiegłemu jeńcowi bolszewickiemu grozi kara śmierci, pomocy z reguły nikt nie odmawiał. Jeśli nawet bano się udzielić noclegu, nie odmawiano kawałka chleba i ciepłej strawy. Ja osobiście nie słyszałem o wypadku wydania uciekiniera, choć i pod tym względem przepisy były surowe. Ze szczególną pomocą śpieszyły plebanie i dwory wiejskie. Zdarzało mi się w owym czasie słyszeć z ust niejednego bolszewika-uciekiniara: „Nas okłamywano, że ksiądz to nasz największy wróg, a przecie on jak ojciec“.

Uczucia ludzkości względem ludzi bardzo nieszczęśliwych silniejsze się okazały od pragnienia zemsty za zrabowanie naszej niepodległości i mordowanie braci. Dopiero później, gdy znaczna część jeńców bolszewickich włożyła mundur niemiecki i pod komendą „narodu panów“ wykonywała najokrutniejsze ich w stosunku do nas zarządzenia, gdy uciekinierzy połączyli się w bandy i otrzymaną z samolotów broń zrzuconą, miast obrócić przeciw Niemcom, najczęściej kierowali w stronę ludności cywilnej dla pospolitego rabunku, gros społeczeństwa polskiego zdecydowanie odwróciło się od nich. Zostali wtedy uznani już jedynie za forpocztę sowieckiego porządku.

A ten porządek został zniechęcony po półtoraletnim z górnym doświadczeniu na ziemiach wschodnich, zwłaszcza przez polskiego robotnika i chłopca, który tę ziemię zamieszkuje. Jest wprost zadziwiające, jak szybko i jak gruntownie dorobek bolszewicki został oceniony przez ludzi prostych, niekiedy bardzo niezamoż-

nych i przez los pokrzywdzonych. Mimo to w pewien czas po wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej robota komunistyczna ruszyła z miejsca. Powołano do życia „Polską Partię Robotniczą“ (PPR) i grając na powszechnych uczuciach społeczeństwa nadano jej charakter organizacji patriotycznej, licytującej się w tym z najbardziej skrajnymi organizacjami narodowymi. PPR początkowo odgradzał się od wszelkich kontaktów ze Związkiem Sowieckim, nawoływał zaś tylko do nasilenia walki sabotażowej z Niemcami kosztem wszelkich ofiar i bez względu na sytuację wojenną, nazywając przeciwników takiej nieskoordynowanej z ogólnym planem wojennym akcji tchórzami i zdrajcami. Nawoływał innych, ale sam aktywnie prawie nie występował. Można na ich rachunek zapisać działalność rozwielnionych już w latach 1943 i 1944 wielu band, które kolejno ograbiały dwory i co zamożniejszych chłopów. Bandy te podsywały się pod „Armię Ludową“ (A. L.) i głosiły często, że to co robią, robią w imię sprawy, ale mam zbyt wielki szacunek nawet względem swych wrogów, by im przypisywać pospolite wyczyny bandyckie jako jedyny wykładnik ich idei.

W przeciwstawieniu do Jugosławii, Grecji, Włoch oraz innych podbitych krajów, w których na znak dany przez Moskwę powstawały silne bojowe organizacje komunistyczne i oddawały znaczne usługi w walce sabotażowej przeciw Niemcom, w Polsce ciężar walki zbrojnej spoczywał od samego początku aż do klęski wroga wyłącznie na barkach organizacji patriotycznych. Podobnie jak przy formowaniu życia politycznego w podziemiu, główną trudnością w ukształtowaniu właściwych ram dla kontynuowania działalności zbrojnej przeciw wrogowi pod okupacją był fakt, że opinia publiczna powszechnie odwróciła się od wyższych dowódców wojskowych, czyniąc ich, słusznie czy niesłusznie, odpowiedzialnymi za niedawną klęskę. O ile jednak można było, w znacznym przynajmniej stopniu, usunąć z życia politycznego leaderów dotychczasowego obozu rządowego, o ile, choć z trudnościami, można jednak było zastąpić siłami społecznymi aparat państwowy — o tyle niemożliwe było zrezygnować z doświadczenia i autorytetu zawodowych wojskowych przy organizowaniu tak olbrzymiego przedsięwzięcia, jakim było tworzenie pod butem najeźdźcy wielkiej armii podziemnej. Toteż jednoznacznie wysiłku zbrojnego dokonywało się powoli wokół Związku Walki Zbrojnej (Z. W. Z.), kierowanego przez oficerów zawodo-

wych, którym udało się uniknąć niewoli, lub którzy z niej w pierwszym zamieszaniu uciekli.

Wyżsi wojskowi w Polsce przedwojennej to przeważnie byli uczestnicy legionów Piłsudskiego. Zasłużeni w wielu bojach, które wiedli za swych lat młodzieńczych, nie zawsze byli najlepszym materiałem na polityków. Biorąc asumpt z ich niedawnej jeszcze postawy politycznej i pod wpływem nastroju w masach, stronnictwa początkowo nie chciały pracować z nimi w tworzeniu organizacji wojskowej. Tworzyły ją same na własną odpowiedzialność i rachunek.

Tak powstały „Bataliony Chłopskie“, będące pod dyspozycją Polskiego Stronnictwa Ludowego, z tych samych przesłanek organizowała się „milicja Polskiej Partii Socjalistycznej“, zasłużona już w obronie Warszawy. Dla tych samych względów żywiłowo rozrosła się jeszcze w pierwszych miesiącach okupacji Narodowa Organizacja Wojskowa (N. O. W.), kierowana przez Stronnictwo Narodowe. Ani przez chwilę nie były to bojówki partyjne. W świadomości uczestników każdej z tych organizacji tkwiło przeświadczenie, że ich zadaniem jest kontynuować walkę z wrogiem zewnętrznym w imię interesu Polski, a nie poszczególnej partii. Także przywódcy stronnictw wychodzili z założenia, że zastępują w swych funkcjach niezdolne chwilowo do działania państwo, nie zaś by przy pomocy zbrojnych oddziałów umacniać wpływy swego obozu na dalsze kształtowanie się stosunków wewnętrznych w Kraju. Obok tych głównych zrębów wojska podziemnego inicjatywa miejscowa, inicjatywy mniejszych ośrodków ideowych, akcja oderwanych oddziałów wojska, które uniknąwszy niewoli podejmowały natychmiast dalszą walkę zmieniając jeno formy swej egzystencji, a przede wszystkim szerzący się niepowstrzymanie bunt przeciw klęsce i woła stawiania dalszego oporu — wszystko to wytworzyło początkowo jeszcze kilkadziesiąt innych organizacji wojskowych działających w mniejszym lub większym zasięgu terytorialnym. Dawało to barwną charakterystykę narodu, który nie czeka na rozkazy, ale po zawałeniu się wszystkich form organizacyjnych swego życia podejmuje w najmniejszych nawet komórkach natychmiast i samodzielnie inicjatywę dalszej walki o swą egzystencję.

Stan ten jednak nie był do utrzymania. Rząd Polski uznał Związek Walki Zbrojnej, przemianowany ostatecznie na Armię Krajową, za podstawę organizacyjną wysiłku zbrojnego i począł wywierać nacisk na jednoczenie się w tej armii wszystkich in-

nych związków i stowarzyszeń zbrojnych w kraju. W połowie f. 1942 także ówczesny prezes Stronnictwa Narodowego Stefan Sacha zdecydował się podporządkować Narodową Organizację Wojskową (N. O. W.) jednolitemu zrębowi sił zbrojnych.

Decyzja była słuszna. Byłem jej zwolennikiem od chwili powrotu z niewoli. Nie można skutecznie wypełniać celowego planu walki z wrogiem, jeśli prowadzona jest ona osobno przez czterdzieści parę czy choćby tylko przez cztery samodzielne organizacje. Walka taka pociągnęłaby za sobą ofiary wielokrotnie liczniejsze, niż to było konieczne. Istnienie obok siebie szeregu związków zbrojnych o różnych ośrodkach dyspozycji musiałyby w biegu wydarzeń pogłębiać ich wzajemną niechęć. Dublowanie państwa przez każdy kierunek polityczny z osobna prowadziłyby nieuchronnie do przyszłej wojny domowej.

Brakowało jednak przygotowania psychologicznego do tej decyzji. Nie powstały jeszcze warunki, w których żołnierze N. O. W. mogliby się wyzbyć głębokiej nieufności do Związku Walki Zbrojnej, tworzono go głównie wysiłkiem ludzi dawnego reżymu. Zaufanie zaś w podziemiu jest czynnikiem decydującym, którego nie może zastąpić ani dyscyplina ani argumenty rozumowe. Świadomość, że każdy uczestnik mojej piątki czy siódemki decyduje swą odpornością, umiejętnością ograniczenia swej gadatliwości, zmysłem ostrożności i sumiennością w wykonaniu powierzono mu zadania, nie tylko każdego dnia ale i każdej chwili, o życiu moim, ba, także o życiu mojej rodziny i otoczenia—nakazywała mi dobierać grono towarzyszy, do których miałem ślepe zaufanie. Ta zasada musiała jeszcze silniej tyczyć się dowódców, w rękę których spoczywał los dziesiątków i setek istnień ludzkich. Toteż nie można było narzucać światu podziemnemu hierarchii ani rozkazem, ani groźbą — tworzyła się ona zawsze, bez względu na formy zewnętrzne, drogą doboru i ewolucji.

Kierownictwo Związku Walki Zbrojnej, polegając na swej hierarchii szarż, ufne w swe doświadczenia, nabyte w armii regularnej, a lekceważąc często „partyjne“ wojsko cywilów, nie rozumiało jeszcze wówczas dostatecznie tych praw psychologicznych. Wydawało mu się, że ogłoszony rozkaz powinien byłby rozstrzygnąć rzecz ostatecznie, a czynienie komcesji na rzecz czynnika zaufania drogą ograniczenia swoich kompetencji lub wprowadzenia odchyłek od norm postępowania ustalonych regulaminem wojskowym — godziłoby w autorytet kierownictwa.

Stąd też znaczna bardzo część Narodowej Organizacji Wojsko-

wej nie podporządkowała się Związkowi Walki Zbrojnej, przemianowanemu — jak wspomniałem — w ostatecznej formie na Armię Krajową, i postanowiła działać dalej samodzielnie. Gdy po tym fakcie zwrócono się do mnie z prośbą o ustalenie wytycznych dla narodowego ruchu zbrojnego w Polsce i o wzięcie współodpowiedzialności za kierowanie tym ruchem, sformułowałem następujące zasady: Wysiłek zbrojny w Polsce musi być jednolity. Dążyć będziemy do osiągnięcia tego przede wszystkim przez połączenie wszystkich luzem dotychczas działających organizacji wojskowych o charakterze patriotycznym, nie wchodzących w skład Związku Walki Zbrojnej. Likwidując tą drogą skutecznie dotychczasowe rozbitcie wysiłku narodowego na szereg grup, zjednoczeni wystąpimy sami do Związku Walki Zbrojnej o wzajemną konsolidację. Połączenie się tych dwóch pionów, jako ostateczny akt zjednoczenia wysiłku zbrojnego kraju, będzie musiało się jednak dokonać na warunkach równości, szczerości i takiego klimatu psychologicznego, który zjednoczy ten wysiłek rzetelnie nie tylko od góry, ale i w szerokich masach.

Dokoła tych zasad zdołaliśmy skupić kilkanaście organizacji wojskowych, które niemal wszystkie nie wchodziły jeszcze w skład tworzonej Armii Krajowej. Byłem autorem ich wspólnej nazwy: Narodowe Siły Zbrojne.

Świat słyszy wiele o „N. S. Z.” w Polsce. Informatorem jego są Sowiety i kontrolowany przez Sowiety tzw. rząd warszawski. Czynniki te przedstawiają N. S. Z. jako ostoję reakcji, antysemityzmu i bandytyzmu. Przypisują też Narodowym Siłom Zbrojnym największą ohydę, jaka splamić może imię Polaka — współpracę z hitleryzmem w okresie wojny. Wszystko, co żyje, co broni Kraj i siebie przed zagładą, nosi u nich nazwę „terroru”, uprawianego przez NSZ. Także wszystkie akcje spowodowane zaliczane są następnie na rachunek tego symbolu.

Nie ma już żadnych wątpliwości, że konto to uzupełniać mają pospolite akty bandytyzmu, zwykłego rabunku i huligaństwa, aby na tym tle jeszcze barwniej wyglądała działalność tych, którzy się nie podporządkowują dyspozycjom Moskwy.

Związek Sowiecki ma kapitalny system propagandy, przy którego pomocy panuje nad opinią świata w ocenie wydarzeń, mających dlań wagę. Oto wybiera jakiś fakt, drobny nieraz w swej istocie. Albo zatrzymuje się przy działalności stowarzyszenia lub związku zbrojnego, która zdawałoby się, nie powinna budzić nadmiernej jego czujności. Przy pomocy swego sprawnego

aparatu międzynarodowego ześrodkowuje uwagę całego świata wokół tego faktu czy organizacji i nadaje im znaczenie symbolu działalności wrogiej demokracji, porządkowi świata, idei pokoju czy też uprawnionym interesom Rosji — najczęściej wszystkiemu łącznie.

Świat nie ma elementów do krytycznej oceny takiego poglądu. Zagadnienie wyskakuje nagle, nie jest znane szerszej opinii, często nie jest dla niej dostępne i nie może być przez nikogo innego naświetlone w sposób odmienny od rosyjskiego. Pod wpływem gwałtownego ostrzału propagandy stopniowo pogląd sowiecki nabywa prawo powszechności. Wówczas wszystko, cokolwiek na danym terenie się dzieje, a nie jest wygodne dla interesów Rosji, jest natychmiast podciągane pod ten szyld, mający w świecie urobioną już z góry opinię. Nie potrzeba wtedy „przestępcy“ udowadniać czynu, wystarczy nazwać go „eneszetowcem“. Nie trzeba tłumaczyć się z prowokacji przeciwdziałowskich, urządzanych w Krakowie czy Kielcach przy pomocy swej administracji i policji — wszystko pochłonie rachunek NSZ. Dla tej uproszczonej propagandy każdy objaw oporu w stosunku do bolszewickiej zachłanności, stawianego przez poszczególnego obywatela, przez jakiegokolwiek ogniwo szarpanego na kawałki narodu — kwalifikowany jest jako działanie NSZ. Działalność licznych dezertersów armii sowieckiej, błądzących po lasach, gromady byłych żołnierzy armii generała Własowa, tworzonej w czasie wojny u boku Niemców, i buntów nacjonalistów ukraińskich dających odpór przeciwko wywożeniu ich do Rosji, były też tylko... objawami aktywności N. S. Z. A świat, idąc ślepo po utworowanej uprzednio przez propagandę sowiecką ścieżce myślowej, wierzy i potępia.

Dlatego też zdaję sobie sprawę, jak szyfrowy trud podejmuję usiłując na kilku kartkach tej książki przywrócić należne miejsce prawdzie. Ale trud ten trzeba było podjąć choćby dla uczczenia pamięci moich towarzyszy, którzy ginęli za swoją ojczyznę i za lepszy porządek świata w szeregach tej właśnie organizacji. Wierzę, że wysiłek mój nie będzie bezowocny.

Narodowe Siły Zbrojne skupiły w swych podziemnych szeregach w czasie największego terroru okupanta niemieckiego około stu tysięcy żołnierzy. Działały we wszystkich częściach kraju, rekrutowały się ze wszystkich warstw społecznych, z dużą przewagą chłopów, robotników i młodzieży akademickiej.

Ich słabością a zarazem wielką siłą było to, że do końca niemal

okupacji nie korzystały z żadnej pomocy z zewnątrz. W tych warunkach nikt z tych, co przysięgali służyć Ojczyźnie swym wysiłkiem, krwią i życiem w szeregach tej organizacji, nie mógł w zamian liczyć nawet na to, że otrzyma jakieś choćby środki egzystencji lub opiekę materialną nad rodziną w wypadku nieszczęścia. Dlatego do NSZ szli fanatycy, którzy oddawali się sprawie bezgranicznie, nie żądając niczego dla siebie. Przywykli do braków, nie załamywali się w ich obliczu.

Broń kupowali z różnych mętnych źródeł — wytargowując ją u żołnierzy niemieckich, od różnych złodziejasków, a najczęściej od komunistów, którym Rosja Sowiecka przysyłała całe transporty. Trzeba przyznać, że był to najlepszy, bardzo rozpowszechniony system pokojowego rozbijania polskich komunistów w latach 1943 i 1944. Gros jednak broni oddziały NSZ musiały zdobywać w walce wręcz lub w organizowanych napadach na magazyny niemieckie. Siłą rzeczy oddziały te nie mogły być należycie uzbrojone i każdą swą akcją przypięcały wielokrotną niezbednych ofiar.

Dla roboty podziemnej potrzebne są pieniądze, duże pieniądze, nawet wtedy, gdy jej uczestnicy poświęcają się tej robocie najbardziej bezinteresownie. Ofiary ludzi dobrej woli, niekiedy wzruszające, nie mogły wystarczyć na prowadzenie walki przez organizację setk tysięczną. Trzeba było pójść po linię zdobywania środków siłą. W tym celu specjalnie dobrane grupy bojowe dokonywały napadów na transporty, magazyny i kasy niemieckie. Powstawał niezwłocznie problem rozsprzedaży cukru, spirytusu czy skór, zagadnienie umiejętnego rozprowadzenia seryjnych banknotów, uzyskanych w wyniku tych akcji.

Ale najważniejszym zagadnieniem, jakie rodziło się równocześnie z koniecznością decydowania się na ten rodzaj zaopatrywania organizacji w narzędzia walki, była troska o uniknięcie w szeregach demoralizacji. Obowiązywały więc kategoryczne zasady: każda poszczególna akcja eksterminacyjna musiała być zadecydowana przez czynniki, mające możliwość oceny jej wszechstronnie i przeprowadzenia następnie jej kontroli. Nie wolno było w żadnym wypadku stosować akcji eksterminacyjnej w stosunku do mienia, nie będącego w posiadaniu władz niemieckich. O ile w danych dobrach materialnych zainteresowany był obywatel polski, należało udzielić mu pełnego odszkodowania. Dobrze na tym wychodzili właściciele np. cukrowni. Zabrano, powiedzmy, transport

tysiąca metrów cukru. Reprezentowało to według cen urzędowych, które wypłacali Niemcy, 150 tysięcy złotych. Z tych tysięcy zasekwestrowanych metrów organizacja oddawała w tajnym porozumieniu właścicielowi 200, dostarczając mu je na umówione miejsce składu. Właściciel sprzedawał ten cukier potajemnie na swoją rzecz po cenie realnej i uzyskiwał dwa do trzech milionów złotych, odbijając suto swą stratę 150 tysięcy. I on był zadowolony, i organizacja zdobyła środki.

Dużą trudność sprawiało przechowanie zdobytego towaru, a następnie jego „upłynnienie“. Musiał być powołany dla tego celu zespół ludzi o doskonałym zmyśle kupieckim, o ogromnej ostrożności, a zarazem odwadze — przede wszystkim zaś o krystalicznej uczciwości. Nie mogło być mowy o biurokratycznym aparacie normalnej intendenty. W każdej okoliczności, zależnie od stopnia bezpieczeństwa z jakim się akcją przeprowadzało, od miejsca, w którym rzeczy udało się złożyć na skład, od potrzeb pieniężnych, od tysięcy różnych względów, trzeba było przyjmować za towar inną cenę. Musiano wierzyć temu, kto ją przyjmował.

Największe niebezpieczeństwo od strony moralnej groziło jednak tym młodym chłopcom, którzy brali udział w akcji bezpośredniej. Trzymając w jednym ręku rewolwer czy „tomigan“, drugą sięgał często po ogromne pieniądze, czy też dobra o dużej wartości. Pierwszy, piąty, dziesiąty raz oddawał taki chłopak wszystko swemu dowódcy ze skrupulatnością starego kasjera z londyńskiej City. Ale pewnego razu przychodziła na niego pokusa: „Mam starą matkę, nie ma z czego żyć“. — Albo: „Nie mam jesionki. Przecież ryzykuję życie. Mam prawo się ciepło ubrać“. — Albo: „Dostatecznie już mam poszarpane nerwy — chyba po takiej robocie mogę się napić wódki“. I dzielił się częścią swego łupu. To wystarczyło. Następowало szybko dalsze ośpienie moralne. Najlepsi, najbardziej ideowi chłopcy, stawali się w takich okolicznościach łatwo w dół. Toteż dbano specjalnie o dobór ludzi do oddziałów t. zw. „specjalnych“. Przeznaczony do tych oddziałów żołnierz musiał się odznaczać nie tylko dużą odwagą i przedsiębiorczością, ale także twardym charakterem. Zdarzały się i w tej dziedzinie ofiary tragicznego boju, jaki Polska wiodła o swój byt. Tych ofiar, synów najlepszych niekiedy rodzin, najwięcej mi zawsze było żal. Muszę przy tym podkreślić, że wśród Narodowych Sił Zbrojnych, rekrutowanych

w warunkach największej bezinteresowności osobistej, takich ofiar było bardzo niewiele.

Akcję ekspropriacyjną prowadziły w różnych okresach z konieczności wszystkie siły podziemne w Kraju, także i te, które czerpały środki zza granicy czy też od Rządu Polskiego w Londynie. W ostatniej fazie okupacji niemieckiej oddziały komunistyczne bez żadnej ceremonii pod pozorami zdobywania środków na walkę, obrabowywały doszczętnie ziemian i zamożniejszych włościan polskich.

Znaczenie takiej armii, jak Narodowe Siły Zbrojne, dla losów walki z potężnym nieprzyjacielem, rozporządzającym wspaniałym sztabem generalnym, tysiącami samolotów, czołgów i armat, docenić może ten tylko, kto wczuł się w istotę nowoczesnej wojny. Jej narzędziem nie jest tylko broń dalekonośna czy stalowe pociski. W szeregach wroga często o wiele dotkliwsze zadaje się straty umiejętnym posianiem rozkładu psychicznego, dezorganizacją tyłów czy paraliżowaniem życia gospodarczego.

Żołnierzami wojny nowoczesnej, jak się okazuje, są nie tylko ci, co chodzą w mundurze, ale w tym samym stopniu wszyscy inni obywatele, mężczyźni i kobiety, często nawet i dzieci — zwłaszcza gdy znajdują się na szeroko pojętym terenie walki. Narodowe Siły Zbrojne małą tylko mogłyby odegrać rolę, gdyby je ustawić w dywizjach, pułkach i kompaniach i nakazać stoczyć im otwarty bój, przy pomocy ich rewolwerów, rzadziej karabinów, a jeszcze rzadziej broni maszynowej, z uzbrojonym po zęby najeźdźcą niemieckim. Natomiast każda sekcja, każdy pluton NSZ-tu w terenie to była zwarta częśćka społeczeństwa, które w całości jako naród toczyło planowy bój o wolność w każdej osadzie, wsi i chałupie, przy udziale przede wszystkim mężczyzn, kobiet i podrostków, wchodzących w skład oddziałów. W tym charakterze Narodowe Siły Zbrojne miały warunki do spełnienia roli o dużym znaczeniu.

Podstawą ich sił nie był ani pobór, ani zaciąg przypadkowy, ani tym bardziej nęcące perspektywy kariery, czy doraźnych korzyści materialnych. Członkowie ich dobierali się najczęściej z narodowych organizacji ideowych, które pracowały w terenie społecznie czy politycznie od dziesiątków lat i miały tradycje walk niepodległościowych jeszcze z czasów caratu moskiewskiego, Hohenzollernów czy Habsburgów. Chociaż więc nie stać ich było na zorganizowanie w sztabie wzorowego oddziału personalnego, znały swoich ludzi lepiej, niżli najlepsze biura personalne

świata. Kiepskie z punktu widzenia nowoczesnej armii były ich oddziały informacyjne, ale w terenie nic się nie mogło przed nimi ukryć, bo informacją służyli wszyscy żywi ludzie. Kierownicy nie znali może należycie zasad defensywy, ale niemal z matematyczną pewnością mogli twierdzić, iż zdrada się u nich nie zalegnie. Bolszewicy, gdy zajęli z kolei nasz kraj, wylapali przy pomocy swego wywiadu szybko duży procent ludzi z innych, przypadkowo niekiedy dobieranych, oddziałów Armii Krajowej. Natomiast trafić do oddziałów, które pochodziły z organizacji narodowych, było im o wiele trudniej.

Jednoliły, twardy pion ideowy tego środowiska wpływał na postawę całego społeczeństwa przez głębokie z nim powiązania i nie dawał mu w ciężkich chwilach upaść na duchu lub ulec kłamstwu i obłudzie wrogiej propagandy. Obcując na codzień ze społeczeństwem komórki NSZ mogły stwarzać łączność między wszelkimi samorodnymi aktami sabotażu zarządzeń wroga i niszczyć celowo jego system gospodarczy. Mogły też w każdym czasie paraliżować tyły nieprzyjaciela, który w końcowej fazie wojny musiał już je zdawać na łaskę lub niełaskę anarchii, bądź też obsadzać je dużymi oddziałami ochronnymi. Oddziały Narodowych Sił Zbrojnych broniły też społeczeństwa od bandyckich napadów, które w miarę trwania wojny, rozluźnienia się dyscypliny w wojsku niemieckim, dziczenia ukrywających się jeńców bolszewickich i ogólnego upadku moralnego mnożyły się z dnia na dzień.

Szczególną wartość przedstawiały Narodowe Siły Zbrojne dla Polski przez to, że składem swym dawały rękojmię, że bronić będą niepodległości i wielkości swej Ojczyzny tak samo nieugięte przed każdym innym zewnętrznym wrogiem, jak przed Niemcami. Istniała pewność, że nie ulegną rozkładowej propagandzie Rosji. I to była przyczyna, że stosunkowo tak wcześnie, bo jeszcze zanim wojska sowieckie wkroczyły na rdzenne ziemie polskie, radio w Moskwie podjęło gwałtowne ataki na NSZ.

Nie zawsze jednak tak było. W okresie, gdy ważyły się losy wojny niemiecko-sowieckiej, bolszewicy robili wszelkie wysiłki, by dopomóc sobie przez wywołanie w Polsce powstania, bez względu na nieuchronne masakry, jakimi to Krajowi w tym wypadku groziło. Wtedy Narodowe Siły Zbrojne były w oczach komunistów dzielne, patriotyczne, „bratnie“... Licząc na ich żywiołowość i wyzyskując napięcie w społeczeństwie, wywołane takimi wypadkami jak masowe wypędzanie chłopów polskich w Zamojsz-

czyźnie z ich siedzib, z pozostawieniem wielu tysięcy dzieci na łasce losu, komuniści apelowali do NSZ, by wystąpić wspólnie do otwartej walki. Grali wtedy na niechęci do Związku Walki Zbrojnej i próbowali także tą drogą rozbić jedność postawy polskiej.

Gdy się i to nie udało, spróbowali taktyki klócenia sił polskich w innej płaszczyźnie. Okazję po temu miał im dać fakt, iż Narodowe Siły Zbrojne potykały się często nie tylko z oddziałami niemieckimi, ale także i z bandami maruderów bądź pospolitych bandytów. Pewien oddział zniszczył bandę, która świeżo podpaliła i dopuściła się gwałtów we wsi. Fakt ten stał się podstawą do tezy, że NSZ walczy z chłopami, wytrąca ich i wobec tego jest największym ich wrogiem. Tezę tę, mającą skłócić walczącego o wspólną sprawę w szeregach NSZ chłopą polskiego z masą chłopską, w którą się te kłamstwa wtłaczało, głosił w swych przemówieniach między innymi „marszałek“ Żymierski wkrótce po objęciu swej władzy z ramienia Komitetu Lubelskiego. Nie było zbrodni, które by Narodowym Siłom Zbrojnym wówczas nie przypisał. Widocznie uważał za konieczne tą drogą oczyścić się z podejrzeń, że był kiedykolwiek z nimi w kontakcie.

A właśnie, o ile pamiętam, w końcu r. 1942 zakomunikowali mi przedstawiciele ONR-u, skrajnej organizacji narodowej, iż będąc w owym czasie w kontakcie towarzyskim z gen. Żymierskim, spotkali się u niego z gotowością objęcia jednego z czołowych stanowisk w Narodowych Siłach Zbrojnych. Ewentualność ta nie została przez nas wzięta pod uwagę; wiedziałem już wówczas od gen. Bora-Komorowskiego o odrzuceniu takiejże oferty skierowanej przez Żymierskiego do Związku Walki Zbrojnej. Decyzja ZWZ zapadła z osobistego rozkazu gen. Wł. Sikorskiego. Na tym przykładzie można by snuć domysły, czy NSZ były rzeczywiście tak „demokratyczne“, że marszałek Żymierski, późniejszy wódz naczelny „Armii Ludowej“ w skomunizowanej Polsce, mógł się mieścić w ich składzie, czy też Żymierski uległ tak wielkiej metamorfozie w swych ideowych poglądach w okresie około jednego roku, że z eneszetowego „faszysty“ stał się „marszałkowym“ komunistą.

W istocie Narodowe Siły Zbrojne ożywiał duch demokratyczny w tym naturalnie rozumieniu, jak je przedstawiłem na poprzednich stronach książki. Były jak najdalej od narzucenia jakichkolwiek poglądów społeczeństwu siłą i dlatego właśnie zdecydowane były dać odpór terrorowi band komunistycznych, działają-

cych pod opieką obcych wojsk. Niemniej, pamiętam dokładnie posiedzenie, na którym przyjęto wbrew jednemu tylko głosowi zasadę, iż Narodowe Siły Zbrojne nie są uprawnione do występowania czynnie przeciwko Polakom za jakiegokolwiek ich przekonania ideowe, nie wyłączając komunistycznych, o ile ludziom tym sądownie nie udowodniono, iż znajdują się na służbie wroga.

Nie chcę ani przez chwilę wywołać wrażenia, że Narodowe Siły Zbrojne wolne były w swej działalności od błędów — przeciwnie. W piekielnie trudnych warunkach życia i pracy, w jakich 100 tysięcy członków tej organizacji przez wiele lat ryło ziemię pod stopami wroga, musiały być błędy, musiały być wybryki. Błędy popełniało zresztą całe podziemie polskie. Ten tylko ich nie popełniał, kto bezwzględnie poddał się losowi i gotów był służyć każdemu nowemu panu — albo ten, kto czekał bezradnie, aż mu inni Polskę urządzają, i trawił czas na krytyce wszystkiego, w czym sam nie brał udziału. Gdyby społeczeństwo składało się w większości z takich obywateli, nie można by im zarzucać, że popełniali błędy. Ale na barki takiego narodu nikt już w przyszłości nie złożyłby ciężaru odpowiedzialności za losy Europy, a przynajmniej tej jej części, która jest przedmiotem pożądań każdego imperializmu, zmierzającego do opanowania całego kontynentu.

Narodowe Siły Zbrojne nie spełniłyby należycie swego obowiązku wobec Kraju, gdyby nie osiągnęły jedności ze Związkiem Walki Zbrojnej w ramach jednolitej Armii Krajowej. Poświęciłem się temu z kolei całą duszą. Rozwiązanie tego najtrudniejszego problemu, który formalnie sprowadzał się do takiego czy innego układu, dotyczącego dowodzenia, metody ujednoczenia sił, awansów, środków finansowych, równości praw dla żołnierzy obu organizacji w obliczu Państwa Polskiego, w istocie swej balansowało między nadszarpniętym w przeszłości zaufaniem z jednej strony i poczuciem konieczności solidarnego działania wobec wrogów z drugiej. Jak zawsze w chwilach ciężkich dla Polski instynkt solidarności narodowej zwyciężył. Mimo poszarpania wszystkich węzłów prawnych, mimo braku wszelkich niemal sankcji, nigdy w Polsce tęsknota za legalizmem w działaniu nie była tak silna, jak w czasie niewoli w podziemiu. I dlatego ludziom dobrej woli z obu stron pomocna była zawsze opinia publiczna.

Dzień 7 marca 1944 r., w którym nastąpiło uroczyste podpisanie układu o podporządkowaniu Narodowych Sił Zbrojnych dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju i włączeniu ich w ramy Armii Kra-

jowej, był najszcześniejszym moim dniem w całym okresie przebywania w podziemiu. Uważałem, że fakt ten nie tylko musi zaciążyć na sprawności w dalszej walce z wrogiem, ale że także zespoli w ogniu tej walki wszystkie żywe siły społeczeństwa. Poza Armią Krajową stały już tylko słabiutkie oddziały komunistycznej „Armii Ludowej“ i półkomunistycznej „Polskiej Armii Ludowej“, nie odgrywające praktycznie żadnej roli. Ponieważ układ nie był mechaniczny, ale przeciwnie dawał nadzieję, że szereg błędów w dotychczasowej działalności podziemia będzie usuniętych, a w szczególności zapowiadał politykę ochrony aktywu polskiego przed jego trwonieniem w niecelowych, prowokowanych często przez wrogów, działaniach — widziałem w takim sformułowaniu zasad również cenny wkład naszej myśli politycznej.

Niestety, część Narodowych Sił Zbrojnych, stosunkowo niewielka ale żywotna, będąca pod wpływami organizacji narodowo-radykalnej (ONR), nie dojrzała psychicznie do realizacji układu o jedności wysiłku polskiego. Przywódcy krajowi tej małej zresztą grupy politycznej uznali, iż podpisanie układu z Armią Krajową daje im narzędzie do uchwycenia w swe ręce władzy nad całym podziemiem. Gdy im się to oczywiście nie udało, rozpoczęli gwałtowną, nieprzebierającą w środkach akcję przeciwko Armii Krajowej oraz tym Narodowym Siłom Zbrojnym, które wstąpiły w szeregi Armii Krajowej. Podjęli znowu działalność na własną rękę i na swój wyłączny rachunek. Swe siły zmobilizowali w szeregach Brygady Świętokrzyskiej, która zapadła w lasach kieleckich. Oddziały tej brygady przedostały się w czasie ofensywy niemieckiej do Niemiec i tam zastało je zakończenie wojny.

W związku z tym Brygada Świętokrzyska była również przedmiotem najbardziej obelżywych ataków ze strony sowieckiej. Ataki te oburzają mnie jako Polaka do głębi. Masa żołnierska Brygady Świętokrzyskiej — to dobrzy synowie Ojczyzny, którzy przez wiele lat nie oszczędzili ani swej krwi ani wysiłku w służbie dla niej. Na ataki te jednak odpowiadać dziś nie mam możliwości. Zbyt mało wiem o działalności tej grupy, począwszy od zerwania przez nią układu z Armią Krajową. Zbyt wiele mnie różniło z jej przywódcami politycznymi. Wieloletnia działalność w podziemiu wywarła jakże często chorobliwy wpływ na wyobraźnię i psychikę poszczególnych jednostek. Ludzie tacy muszą być pozbawieni wpływu na życie publiczne, choć należy im się szczere współczucie i opieka.

Armia Krajowa, z chwilą gdy w jej szeregach znalazły się także oddziały Narodowych Sił Zbrojnych, uosabiała w pełni naród zbrojny i oddawała najszlachetniej jego postawę, zwróconą frontem przeciw nieprzyjaciółom i wszelkim przeciwnościom losu, jakie mógłby napotkać na drodze do wolności. Żaden historyk i żaden teoretyk wojskowy na świecie nie byłby w stanie dać przykładu istnienia podobnej organizacji. Kadry A. K. stanowiły w 1944 roku kilkuset tysięcy, zakonspirowane przed wrogiem, szeregi mężczyzn i wielotysięczne szeregi kobiet. Kadry te rozporządzały jako rezerwą, powoływaną do każdego niezbędnego wysiłku, całym narodem. W ten sposób wypełniano ślubowanie, które Polacy składali dawniej w pieśni przez dziesiątki lat: „Nie damy ziemi skąd nasz ród... Twierdzą nam będzie każdy próg, Tak nam dopomóż Bóg“.

Nikt chyba w ocenie wydarzeń nie ośmieli się stawiać żołnierzom A. K. zarzutów, że nie wypełnili w całości swych obowiązków. Można natomiast oczywiście wysuwać różne zarzuty pod adresem tych czy innych jej przywódców na płaszczyźnie psychologicznej, organizacyjnej, gospodarowania materiałem ludzkim. Należałem do tych, którzy to czynili w biegu lat niejednokrotnie i zawsze otwarcie. Jestem przekonany, że sami ci przywódcy przyznają wiele błędów. Żeby ocenić obiektywnie całokształt ich działania, trzeba rzucić na szalę po drugiej stronie ten stopień oddania sprawie, jaki wykazali, i wielkość osiągnięcia, jakim była Armia Krajowa.

Najmniej uzasadnienia miałyby jakieś pretensje do Armii Krajową daje im narzędzie do uchwycenia w swe ręce władzy nad ca-Warszawskiego, gdy Niemcy i działający z ich ramienia Ukraińcy mordowali ludność cywilną na każdej zdobywanej w początkach ulicy, w tymże czasie oddziały Armii Krajowej zapewniały prawa jeńców wojennych wszystkim żołnierzom wziętym do niewoli, a rozstrzeliwały tych tylko, którym sąd udowodnił winę. Wojskom sowieckim jako „aliantom naszych aliantów“ oddziały Armii Krajowej dopomagały w osiągnięciu na polskiej ziemi zwycięstw nad Niemcami. Między innymi przy ich to udziale bolszewicy zdobywali Wilno, po to by następnie wyrzucić z tego miasta wszystkich mieszkańców Polaków. Anglicy, Amerykanie i Francuzi mieli w Armii Krajowej najwierniejszych towarzyszy, którzy przez sześć lat nie opuścili frontu walki ani na jeden dzień. W podzięce słuchali pochwał nadawanych przez radio i obietnic, iż dzięki ich trudom Polska wyjdzie z tej wojny silniejsza i po-

większona. W toku walk o Warszawę rządy Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii nadały im prawa kombatantów. W ponurym epilogu kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy A. K., podstępnie rozbrojonych i porwanych bezpośrednio po stoczeniu szeregu zwycięskich bitew we współdziałaniu z armią sowiecką — gnije i wymiera na dalekich bezkresach Rosji. Drugie tyle „kombatantów“ zmuszonych zostało do ucieczki z Polski przed terrorem komunistycznym, bądź też znalazło się w Niemczech w wyniku niewoli czy przebywania w obozach koncentracyjnych. Szereg lat stali przed alternatywą: albo wrócić do kraju i podzielić tam przedziej czy później los swoich kolegów, albo godzić się na pozycję „*displaced persons*“, przerzucanych z obozu do obozu, nikomu niepożądanych, o których się myśli i mówi niechętnie jak zwykle o tym, co budzi wyrzuty sumienia.

Ten stan rzeczy nie jest tylko wynikiem postawy czy polityki poszczególnych gabinetów lub mężów stanu, będących aktualnie u władzy. To jest problem, na który dziś odpowiedzieć musi cała ludzkość. Albo porzuci zdecydowanie podstawę cywilizacji chrześcijańskiej, na której wspierało się dotychczas jej życie i pójdzie do walki z barbarzyństwem Wschodu jako masa bezideowa, gotowa dla dobrej czy złej polityki sprzedać zasady, które były jej drogowskazem, lub się ich wyrzec. Honor przestaje wtedy być wartością. Nawet najwierniejszych towarzyszy można wtedy zawsze porzucić, jeśli przestają być potrzebni. Bronić elementarnych praw ludzkości, takich jak wolność od strachu i nędzy, należy wówczas tylko, gdy to nie kosztuje nic lub najwyżej trochę pieniędzy. Albo też ludzkość okaże zrozumienie, że egzystencja jej w dosłownym już, fizycznym rozumieniu, zawisa od tego, czy wytrwa w dotychczasowych swych zasadach i gotowa będzie o nie walczyć z żarliwością ryćczy pierwszych wypraw krzyżowych. Wówczas przywrócone będzie honorowi miejsce w psychice narodów wolnych, dźwigających ciężar odpowiedzialności za cywilizację chrześcijańską. I wówczas będę spokojny o los moich towarzyszy z lat walki przeciwko niszczycielskiej potędze hitlerizmu, bez względu na to, kto będzie aktualnym ministrem jednego ze sprzymierzonych narodów. Więcej, zobaczą wówczas świat duchowo odrodzony przez wiarę w swą przyszłość.

Gdy obejmuję myślą losy milionów Polaków po tej zwycięskiej wojnie, chwilami chcę kierować apel nie do polityków i mężów stanu, ale do wszystkich członków tak licznych na Zachodzie i tak pożytecznych w swej działalności Towarzystw Ochrony Zwierząt.

Czy nie uznaliby za stosowne utworzyć sekcji ochrony ludzi przed znęcaniem się nad nimi? Człowiek, według pewnych teorii, to też gatunek zwierzęcia. Może nawet nie najniższy. Odrzućmy nawet jego wartość duchową, jeśli nie jest ona w cenie, ale przecież jako zwierzę zasługuje również na takie współczucie, jakie jest udziałem psa czy bydła: pociągowego. Wierście mi, Polak to naprawdę człowiek.

Mógł się jednak w owych latach łatwo w zwierzę przemienić. To, co przeżywał każdego dnia, co widział i co go otaczało, było tak do głębi bestialskie, że aż dziw, iż nie przygłuszyło instynktów ludzkich i nie zabiło sumienia.

Już wkrótce po moim powrocie do kraju rozeszły się pogłoski o planie wydzielenia części Warszawy i okolenia jej specjalnie budowanym, wysokim murem. Głowiono się dłuższy czas, jakiemu to ma służyć celowi. Na zapytania ze strony polskiej Niemcy odpowiadali: Stan sanitarny dzielnicy żydowskiej przedstawia groźbę dla reszty ludności, wobec tego trzeba ją odseparować. W ślad za planami poszły fakty. Mur stanął, przecinając ulice, w wielu miejscach tory tramwajowe i arterie komunikacyjne, a w innych biegnąc wzdłuż jednej tylko strony chodnika. Zamknięto nim szczerlnie dwa kręgi, jeden mały a drugi znacznie większy, łącząc je przerzuconym górą, drewnianym mostem. Tak powstało w stolicy małe i duże ghetto. W ślad za nim zbudowano w różnym czasie i w przeróżny sposób ghetta we wszystkich miastach i miasteczkach „Generalgouvernement“.

To był okres pierwszy. Żydzi mieli jeszcze pełną swobodę ruchu. Obowiązani byli nosić na ramieniu opaski z gwiazdą syjońską, musieli zarejestrować u władz niemieckich swój majątek, utracili prawo rozporządzania nieruchomościami, ale poza tym los ich nie różnił się od losu przeciętnego mieszkańca. Aresztowano ich rzadziej od innych — najczęściej za brak opaski — z reguły nie szukano między nimi „spiskowców“ czy członków „*Aufstandsbewegung*“. Toteż niejedyn polski działacz podziemny nakładał odznakę żydowską, aby pewniej poruszać się po mieście. Wygląd fizyczny nie budził w takim wypadku podejrzenia, ponieważ za Żyda, w rozumieniu prawa niemieckiego, uchodził każdy, kto w swym rodowodzie miał dwóch przodków pochodzenia semickiego, a także Aryjczyk, o ile nie przeprowadził separacji ze swym małżonkiem żydowskim. Żydom niekiedy nawet losu ich zadróżono.

W drugim etapie władze okupacyjne nakazały Aryjczykom.

którzy dotychczas mieli swe mieszkania w obrębie nowowzniesionych murów, wynieść się do tak zwanej dzielnicy polskiej, a wszystkim uchodzącym za Żydów przenieść się do ghetta. Tym ostatnim wolno było unieść z sobą w teorii tylko bagaż ręczny, i to tyle, ile go udźwigną.

Zarządzenie o przymusowym przesiedleniu nie przyszło nagle i niespodziewanie. W każdym chyba mieście było ono wydawane odrębnie, odkładane, a nawet czasowo wycofywane. Gra szła o złoto — widocznie obawiano się, że zostanie ono tak ukryte, iż nawet po wymordowaniu Żydów nie dojdzie rąk oprawców. Zarządy żydowskich gmin wyznaniowych, do czasu uznawane przez Niemców, zbierały periodycznie wśród współwyznawców ten kruszec i odpowiednią daniną na rzecz Wielkiej Rzeszy okupywały przedłużenie wolności. Żądania katów jednak rosły, terminy odroczenia wprowadzenia ghetta były coraz krótsze. Wreszcie pod groźą kary śmierci w stosunku do każdego, kto się znajdzie poza ghettem, zmuszono Żydów do zamknięcia się w nim.

Potworne stało się teraz obcowanie z milionową rzeszą ludzką, jeszcze tak samo żywą jak i my, przedzieloną od nas tylko sztucznym murem o grubości jednej cegły, a przecie pogrążoną już w przedśmiertelnej gorączce, układającą się apatycznie do snu wiecznego, niekiedy rozedrganą ostatnimi konwulsjami.

Przez długie jeszcze miesiące pozostawiono ghetta w spokoju — likwidowano tylko niemilosiernie Żydów, których wykryto poza nimi. Sporo Żydów od początku zdecydowało się ryzykować raczej śmierć, niżli wejść do ghetta. Byli to ci przede wszystkim, którzy niezależnie od swego wyznania związani już byli tak silnie z kulturą polską i z polskim społeczeństwem, iż nawet za cenę życia nie chcieli dać się oddzielić od niego murem przez wroga. Byli i tacy, którym godność osobista dyktowała bunt przeciw pohańbieniu ich praw ludzkich. Wielu podejrzewało słusznie, iż po zamknięciu ghetta może nastąpić jego likwidacja.

Ukryć się można było tylko wśród społeczeństwa polskiego i przy jego pomocy. Ale za udzielenie pomocy Żydowi była jedna kara — kara śmierci. Mówiły o tym rozlepione na murach afisze, mówiły i fakty. Jakiegoż trzeba było samozaparcia i jakiego bódźca, by służyć taką pomocą? Nie skąpiono jej z reguły tym wszystkim, których przed tym coś z polskim społeczeństwem wiązało, którzy mieli w nim przyjaciół, życzliwych, lub choćby dobrych znajomych. Nie mogło jednak wystarczyć ludzkie uczucie miłosierdzia, trzeba było mieć obok tego zaufanie, że uczucie to nie będzie

nadużyte. Od chwili udzielenia noclegu Żydowi, nakarmienia go, czy nawet wskazania mu drogi, w grę wchodziło nie tylko ocalenie temu biedakowi życia, ale i własne życie, los całej rodziny. Co będzie, jeśli tenże sam Żyd schwytyany w godzinę, dwie później, schwytyany po dwóch lub trzech dniach, pod wpływem nerwów, załamania się lub zadawanych mu mąk ujawni, skąd czerpał możliwości ukrywania się?

Widziałem Żydów, którzy w najgorszym okresie prześladowań zamurowano w polskich mieszkaniach i piwnicach, dostarczając im w ciągu całego roku przez zamaskowane otwory jadła i odbierając w ten sam sposób ich odchody. Widziałem wielu Żydów, którzy obracali się bezpiecznie wśród kół polskiej inteligencji, zaopatrzeni we wszystkie niezbędne dokumenty i przecharakteryzowani na Aryjczyków. Nikt się słowem ni gestem nie zdradził, iż zna ich pochodzenie, nikt się nie zapytał, gdzie mieszkają. Stykałem się i na wsi z gromadami Żydów koczującymi po lasach — a w nocy zachodzącymi do dworów lub zagród chłopskich z biaganiem o trochę kartofli czy mleka. Najwięcej ukrywało się po samotnych willach podmiejskich, korzystając z pomocy dobrych ludzi osłaniających ich obecność, ostrzegających o niebezpieczeństwie, dokonywających zakupów i stanowiących jedyny łącznik z życiem wokół. Trochę Żydów uratowało się biorąc udział od początku w pracach podziemnych organizacji polskich, które ich ochraniały.

W rezultacie na ziemi polskiej pod hitlerowską okupacją ocalały dziesiątki tysięcy Żydów. Mają to do zawdzięczenia Polakom. Czy zawsze tylko ich postawie bohaterskiej, bezinteresownej, dyktowanej względami miłosierdzia chrześcijańskiego? Nie. Były i liczne wypadki, gdy ratujący i osłaniający pobierali wynagrodzenia pieniężne, czerpiąc tą drogą środki na własną egzystencję. Były i wypadki, że to wynagrodzenie pobierane było w granicach przekraczających słuszne uzasadnienie — czasem, niestety, z cechami szantażu. To już jednak były zwykłe postęпки kryminalne, od których żadne społeczeństwo nie jest wolne. Władze podziemne ścigały je sądami, karały nawet śmiercią. Piszę o nich dla odmalowania całości obrazu, ale w imię obiektywizmu podnoszę również jak mało ich było w dobie, gdy wszystko pomagało zwyrodnieniu uczuć ludzkich.

Pewna Żydówka uważała, iż nie ma możliwości przetrwania poza obrębem ghetta — chciała jednak ratować swą paroletnią córeczkę. Umyśliła oddać ją na wychowanie jednej z gospodyń

wiejskich, którą za lat poprzednich nauczyła się cenić jako dobrą choć prostą kobietę, a przede wszystkim jako wzorową matkę trojga małych również dzieci. Wykradła się z ghetta, wydostała z Warszawy i dotarła na wieś. Ubiłagała polską chłopkę o wzięcie w opiekę największego swego skarbu. Ponieważ jednak kobiecie tej było bardzo ciężko — mąż zaginął gdzieś w zawierusze wojennej — przeto bogata Żydówka wyposażyła ją należycie.

Odtąd czworo bachorów chowało się razem pod troskliwą opieką tej dobrej kobiety. Po wsi rozeszła się wieść o poprawie jej położenia materialnego, zaczęto komentować fakt pojawienia się w jej mieszkaniu nieznanego dziecka. Wieść dotarła do posterunku żandarmerii niemieckiej. W pewnym momencie zjawilo się dwóch gestapowców i rozpoczęło indagacje. Włościanka okazała się godną zaufania i nie chciała wydać małej Żydówki. Niemcy poradzili sobie inaczej: zażądali od dzieci zmówienia pacierza. jedno z nich nie umiało... Wystrzałami z naganów rozbili polskim dzieciom główki, a to, co pacierza nie umiało, zostawili żywe oszalałej z bólu kobiecie.

Jeden z wybitnych chirurgów poznańskich po wyrzuceniu całej polskiej inteligencji i mieszczaństwa z ziem naszych zachodnich osiadł w Warszawie i zdobył szybko dzięki swym kwalifikacjom rozgłos. Władając biegle językiem niemieckim zdołał nawiązać także pewne konieczne stosunki z władzami okupacyjnymi. Stąd też był w posiadaniu glejtów i przepustek, które uprawniały go do poruszania się w dzielnicy żydowskiej, ilekroć zachodziła potrzeba udzielenia pomocy choremu. Wezwano go kiedyś do asystowania przy niebezpiecznej operacji jakiegoś starego Żyda. Nie odmówił, choć rodzina błagała go, by się nie narażał. Na prowizorycznie urządzonym stole operacyjnym, w małym mieszkaniu chorego, w którym równocześnie przebywało kilkunastu innych Żydów, dokonywał trudnego zabiegu. W tym momencie wbiegła tłuszcza rozbestwionych gestapowców. Bez żadnych ceregieli wystrzałami z broni maszynowej położyli kres życiu zachloroformowanego chorego z otwartą jamą brzusznią, wszystkich jego współlokatorów i trzech lekarzy dokonywających operacji, a wśród nich i wspomnianego chirurga polskiego. Fała oburzenia przeniknęła nawet do sfer niemieckich. Pan gubernator przesłał na ręce żony lekarza pismo z wyrazami ubolewania... Lekarz był czwartym z kolei spośród braci, których straciła rodzina w ciągu kilku lat okupacji w tragicznych okolicznościach germańskiego zezwierzecenia.

Nieporównanie smutniej od losu Żydów, którzy byli ścigani na „wolności“, przedstawiało się położenie tych, co żyli życiem ghetta. Społeczeństwo polskie miało dokładne informacje, co się tam działo: długo jeszcze czynna była sieć telefoniczna, wchodzili też do ghetta pracownicy miejscy, urzędnicy podatkowi, administratorzy nieruchomości i ci, co mieli jakieś kontakty z życiem gospodarczym. Bywałem tam i ja przy pomocy różnych fałszywych przepustek. Na terenie ghetta pozostał przecież do końca symbol naszej narodowej martyrologii: „Pawiak“ — więzienie, przez które przeszli wszyscy nasi najlepsi bracia w drodze do kaźni, do obozów koncentracyjnych i do swej wieczystej chwały. Było zawsze pełne i ścigało ku sobie nieustannie nasze rzyśli i troski.

Obraz ghetta z lotu ptaka to było niby rozkopane mrowisko. Za dnia wszyscy jego mieszkańcy, zdawałoby się bez wyjątku, żyli na ulicach. Było to zrozumiałe — przepelnieni niepokojem szukali ratunku w kontakcie z bliźnimi. Wolno im było się posuwać tylko w jednym kierunku, toteż fale ludzkie zgęszczone do niebываłych granic płynęły nieustannie w przeciwnych sobie biegach po obu stronach chodników. Przy każdym skrzyżowaniu ulicy stały posterunki: niemiecki żandarm w hełmie i z bronią maszynową w rękę, granatowy policjant (tak nazywano byłych policjantów, będących obecnie w służbie niemieckiej), i wreszcie żydowski milicjant, na drwiny ubrany w strojny mundur z wielką gwiazdą syjońską na czapce. Każdy Żyd obowiązany był zdejmować nakrycie głowy przed umundurowanym Niemcem i zatrzymywać się na jego kiwnięcie. Masa ludzka coraz to kamieniała w bezruchu, czasem zgięta w pokłonie, po to by za chwilę znowu zadrgać niespokojnym życiem wielotysięcznego skupiska.

Stróże tego skupiska ulegli szybko głębokiej demoralizacji. Pewni bezkarności, w znęcaniu się nad bezbronnymi i poniewieranymi widzieli drogę do przypodobania się swym władzom lub nawet do osobistego bogacenia się.

Kiedyś znalazłem się w gronie przypadkowych towarzyszy z niewoli niemieckiej. Do mieszkania położonego opodal dzielnicy żydowskiej dobijał się granatowy policjant, strofując nas za nieszczelne zamknięcie okien. Gospodarz, chcąc uniknąć kary albo i gorszych konsekwencji, zaprosił policjanta do towarzystwa na wódkę. Uwagę moją zwrócił niezwykle elegancki jego mundur, a przede wszystkim rzadkie już w owym czasie, podbite futerkiem, skórzane rękawiczki na rękach.

— „Skąd ma Pan takie rękawiczki?“

— „Kupiłem je sobie wczoraj za 1500 zł.“

— „A ile Pan zarabia miesięcznie?“

— „Moja pensja wynosi około 800 zł. miesięcznie. Ale co tam pensja, mogę sobie teraz uezierać co dnia po trzy cztery tysiące.“

— „W jaki sposób?“

— „Pełnię służbę przy ghecie. Hans, tak się nazywa żandarm niemiecki, z którym najczęściej służbę odbywam, to dobry chłop. Dzieli on się z nami swoimi zyskami. Ot dziś, na przykład, staliśmy na posterunku od dwunastej w nocy do dwunastej w południe. Przemaraliśmy do szpiku kości. Rano żydowski milicjant mówi: Hans, trzeba by zarobić na wódkę. — Zaraz się zrobi — usłyszał odpowiedź. Od tej chwili Niemiec odwrócił się bokiem do chodnika i robił wrażenie, że przestał się interesować tym co się dzieje na ulicy. Mijający nas, nieliczni jeszcze o tej porze Żydzi, korzystali z pozycji żołnierza niemieckiego, by nie wyjmować zziębniętych rąk z kieszeni dla złożenia mu ukłonu. Kiedy w takich okolicznościach przechodził obok nas ktoś, co z wyglądu robił wrażenie zamożnego, wówczas albo milicjant albo ja trącałiśmy Niemca w bok. Hans natychmiast wołał: „Halt“ i rozpoczął indagację Żyda: dlaczego mu się nie ukłonił, czy chce iść do więzienia i t. d. Żyd się tłumaczył, że był przekonany, iż Niemiec go nie widzi, przeproszał, ale to nic nie pomagało. W końcu wstawiał się za nim żydowski milicjant i wskutek jego interwencji Niemiec „poprzestawał“ na grzywnie. Czasem dawało się tą drogą zarobić 200, a czasem i 500 zł. Przez dwie godziny dzisiejsze zebrał Hans około 5000 zł., po czym spytał: „Genug?“ — i podzielił tę sumę sprawiedliwie między nas trzech“.

— „Zdarzają mi się i lepsze zarobki“ — ciągnął policjant dalej: — Żydzi otrzymują od czasu do czasu zezwolenia na opuszczenie ghetta dla ważnych przyczyn na przeciąg kilku, kilkunastu godzin. Mimo to nie czują się pewni, że ich jakaś władza w obrębie polskiej dzielnicy nie schwyta, nie uwięzi, lub zgola nie zastrzeli. Wynajmują więc sobie dla asysty granatowego policjanta. Płacą wówczas bardzo dobrze, bo w grę wchodzi ich życie“.

To się dzieło na poziomie ludzi prostych służących złej sprawie. Gorsze obrazki dało mi się widzieć lub słyszeć na szczeblu wyższym. Wskutek wymiany ludności znaczna część mieszkań żydowskich w bezpośrednim sąsiedztwie ghetta została opróżniona i oddana do użytku Polaków, których przedtem wyrzucono

z dzielnicy żydowskiej, bądź z tak zwanej dzielnicy niemieckiej. Pewne świeżo poślubione małżeństwo otrzymało w przydziale dwa pokoje z balkonem wychodzącym już na ghetto. Miłość i słońce rządziły tym mieszkankiem. Do czasu. Pewnego popołudnia zastukano do drzwi. Weszli dwaj oficerowie niemieccy i przeprasząc za najście najuprzejmiej poprosili gospodynię o zezwolenie udania się na balkon. Wystraszona kobieta ucieszyła się, że wizyta przybrała ten nieoczekiwany obrót i spełniła rozkaz. Oficerowie zamknęli się. Po chwili gospodarze usłyszeli strzały. Okazało się, że Niemcy urządzili sobie polowanie, coś w rodzaju „*tire-aux-pigeons*“ na ludzi. Dobierali sobie ciekawsze okazy spośród tłumu przesuwającego się po chodnikach i strzelali do nich to z wyrzutu broni, to z oparcia o ramę balkonu. Po godzinie czy więcej skłonili się gospodarzom i opuścili mieszkanie.

Znany był taki zwyrodnialec z Gestapo, który mawiał, iż nie może zjeść śniadania, dopóki nie ustrzeli przynajmniej kilku Żydów. Rano wyjeżdżał dorożką konną do ghetta i od czasu do czasu strzelał — zazwyczaj do kobiet, które mu się podobały.

Znieprawienie duszy ludzkiej sięgnęło i do pewnej części społeczeństwa żydowskiego. Dla ocaleń swego życia, liczni milicjanci żydowscy nie znali granic upodlenia, choćby kosztem swych współrodaków. Dobierani spośród co silniejszych młodych mężczyzn rekrutowali się w znacznym stopniu z warstw inteligencji — jeśli jednak wolno mi sądzić, z tej inteligencji, która świeżo wyrosła z dołów społecznych i której nie zdążyła jeszcze przeniknąć cywilizacja europejska. Wypełniali oni na ślepo wszystkie rozkazy swych niemieckich zwierzchników, zmierzających przecież jawnie do eksterminacji żywołu żydowskiego. Byli zniechęceni przez swoich współplemieńców. Nie można się temu było dziwić. Pewien poważny Żyd, który uciekł z ghetta już w trakcie masowego wywożenia do obozów śmierci, sam będąc jednym z milicjantów, opowiadał mi rozmowy, jakie się toczyły w ich gronie:

— „Kolego czy wypełniliście kontyngent na dzisiaj?“ Mowa była o kontyngencie Żydów, który Niemcy kazali dostarczyć z danej dzielnicy na wywóz.

— „Mamy tylko czterystu sześćdziesięciu. Zjem obiad i idę dalej na służbę“. Służba polegała na wypędzaniu przez milicjanta-Żyda własnych pobratymców z ich domów, dopilnowaniu by nie uciekli z konwoju i dostarczeniu ich do wagonów bydłych, mających ich wywieźć na rzeź. Niemcy chętni się, iż likwidację

ghett dokonali rękoma samych Żydów. Tak było istotnie w wielu ghettach w Polsce. Ghetto warszawskie po wywiezieniu z niego bardzo znacznej ilości ofiar wybuchło buntem i w bohaterskiej walce zmyło hańbę żydowskich renegatów.

Po spełnieniu wszystkich swoich posług renegaci otrzymali od Niemców zapłatę. W jednym z powiatowych miast podlaskich przy pomocy około siedemdziesięciu milicjantów „zlikwidowano“ zgrabnie i szybko całą tamtejszą ludność żydowska. Rekami ich rozebrano następnie drewnianą dzielnicę miasta, w której Żydzi mieszkali, aby po nich nie zostało i śladu. Czego nie można było rozebrać spalono. Po dokonaniu tego wszystkiego wyprowadzono milicjantów w kolumnie marszowej poza miasto. Przed frontem ich stanął wyższy oficer niemiecki w otoczeniu sztabu i wygłosił przemówienie, w którym dziękował za lojalne i wzorowe wypełnienie służby. Następnie kazano milicjantom dokonać zwrotu w tył i wówczas ukryte karabiny maszynowe zagrały serią strzałów. Niemcy tłumaczyli się później, iż nie mogą zostawiać przy życiu takich zwyrodniałców.

Tragizm Żydów w ciągu długich miesięcy, poprzedzających ich likwidację, miał swe odbicie nie tylko na ulicy i w kontakcie z władzą czy siepaczami. I po mieszkaniach życie ich było straszne. W każdym pokoju i w każdej kuchni ghetta gnieździł się w kilkoro ludzi, których przydzielano często jak popadło: Obok wybitnego nieraz profesora, kulturalnego adwokata czy lekarza, leżał na kojcu ciemny, brudny, zawszony tragarz z Nalewek. Obok kobiety, która do niedawna sprowadzała modele tylko z Paryża, gryzła cebulę łachmaniarka coraz to drapiąc się w rudą perukę. Obok starozakonnego modlącego się z talmudu klęczał i bił się w piersi katolik. Głosy polskie mieszały się gęsto z żargonem. Jeden jadał na codzień kury, drugi obok umierał z głodu. Nie było zgody w tym środowisku: wzajemne wyrzuty, wrzaski i ataki rozpoczy wypełniały mieszkania przez dzień i noc. Słowem piekło za życia.

Niemcy pozwolili na otwarcie w obrębie ghetta luksusowej restauracji. Przygrywała tam jedna z najwspanialszych orkiestr jazzowych. Lał się szampan, można było zajadać nawet homary. Za zrabowane za dnia mienie obżerali się w tym lokalu i upijali gestapowcy. Uczęszczali też tam bogaci Żydzi, aby, jak mawiali, przed śmiercią użyć jeszcze życia. Z tego to źródła pochodzi tragiczna, choć prawdziwa, anegdota: Do wspomnianej restauracji wchodzi biedak, zbliża się do stolika zastawionego jadłem i trun-

kami i prosi biesiadników o jałmużnę. — „Głodny jestem, głodny jestem“ — szemrze natarczywie. Od stołu odpowiada jakiś zniecierpliwiony Żyd: „Sam nie zje i drugiemu nie da!“.

A równocześnie po wielu kątach ghetta modlono się do Pana Zastępów o zmiłowanie, szukając w modlitwie ukojenia, a w dobrych uczynkach odkupienia swych win. Szanują każdą modlitwę do Boga, nie przez jednostronność więc ale dla podkreślenia cech charakterystycznych obrazu wspomnę o moralnej sile oddziaływania katolicyzmu na tych ginących Żydów.

Prócz jednego księdza pochodzenia żydowskiego, kilku jeszcze księży Polaków dobrowolnie pozostało w ghecie, aby służyć pociechą religijną tym, którzy będą jej łaknęli. Księża ci mieli do dyspozycji kościół katolicki na Lesznie — w nim kolejno odprawiali Mszę Św., spowiadali bez przerwy i rozdawali Komunię Św. Taka, widać, wiara i moc płynęła z tej placówki służby Bożej, że w przeciągu kilku miesięcy ponad dwa tysiące Żydów przyjęło naukę Chrystusową. Jak za czasów pierwszych chrześcijan, zbierających się w katakumbach, co wieczora wypełniały się brzegi tego kościoła nowymi uczniami. W półmroku, wśród śpiewu, modlitwy i szlochania rosło uniesienie religijne, które dawało siłę zmierznia się ze straszliwą rzeczywistością. Bo nie dla ucieczki przed śmiercią zmieniali Żydzi wyznanie, tak, jak to robili ongiś ich przodkowie za czasów inkwizycji. Niemców wyznanie religijne nic nie obchodziło — w tym wypadku decydujące dla nich było pochodzenie rasowe, a tego zmienić nie było można.

Strach przed śmiercią i głód obezwładnił masę żydowską. Biernie zezwoliła ona na to, aby wydzielono z niej mężczyzn mających uzdolnienia fachowe w zakresie różnych rzemiosł, ważnych dla niemieckiej maszyny wojennej. Mężczyzn tych formowano w kolumny pracy i koszarowano osobno, oddzielając ich od żon, matek i dzieci. Reszta jako bezużyteczna przeznaczona była w pierwszym rzędzie na rzeź. Wszystkie więc wysiłki Żydów skierowane były ku takiemu zaszeregowaniu, które by dało indywidualną szansę przetrwania jak najdłużej. W miarę upływu czasu, szarpaniny, próżnych wysiłków, woła oporu słabła, wiara w ocalenie nikła. Cała pozostała jeszcze energia obracana była na zdobycie żywności.

Niemal w tej samej chwili, w której zawarły się hermetycznie wrota ghetta, otwierały się przekopy poprzez mury, piwnice domów i rury kanalizacyjne. Tymi drogami płynęła żywność. Przeprowadzano całe krowy, a nawet i świnie, choć to mięso nieko-

szerne. Przy pomocy obfitych łapówek także żandarmi niemieccy przepuszczali duże transporty. Wymagało to jednak złota, dolarów, dużych pieniędzy. Służyło więc bogatym, jeszcze do cna nie obrabowanym. Biednym starała się przyjść z pomocą gmina żydowska, ale środków na to nie starczało, a Niemcy robili różne trudności. Toteż na ulicach leżały gęsto nie tylko trupy zastrzelonych, ale i zwłoki, które mieszkańcy domów wynosili co noc, nie mając możliwości ich pochowania. Nikt się tym nie przejmował. Władze okupacyjne miały teraz „uzasadnienie“, by twierdzić, że dalsze trwanie ghatt grozi wybuchem epidemii.

Tak nadszedł trzeci okres dziejów ghatta — jego likwidacja. Pewnego dnia na określonym odcinku nakazano wszystkim Żydom opuścić mieszkania i zejść na podwórza domów. Stamtąd przeprowadzono ich już pod konwojem w jedną z ulic, zbitych w gromadę, osłupiałych z niepewności i przerażenia. Trzymano ich na chłodzie i o głodzie wiele niekończących się godzin, aż wreszcie przesunięto pod silną strażą ku bocznicy kolejowej, specjalnie przygotowanej w środku miasta dla transportu tego „bydła“ ludzkiego. W zaplombowanych wagonach towarowych jechało dziennie do obozów śmierci po parę tysięcy Żydów.

Żydzi polscy mieli na ogół pełną świadomość tego, co ich czeka z chwilą wywiezienia. Mimo to instynkt życia, tak silny w każdym człowieku, do końca podsuwał złudzenia. A nuż mnie się uda, a może się uratuję? A może ulegamy wszyscy atmosferze grozy, a Niemcy w istocie chcą nas tylko odosobnić, użyć na swoim terenie do pracy i życie nam darują. Niektórym chęć złudzeń podsuwała naiwne argumenty, iż okupanci nie poważą się dokonać tak potwornej zbrodni, jaką byłoby wymordowanie masy bezbronnych, skoro wiedzą, że w Stanach Zjednoczonych mają potężnego przeciwnika, który trzyma w zastawie wiele milionów ludności niemieckiej. Takie i inne złudzenia powodowały między innymi, iż każdy niemal Żyd, jadący na śmierć, wioził ze sobą jeszcze coś niecoś w podarunku dla siepaczy. Ów miał zaszytych pod podszewką trochę dolarów, inny krył w obcasie parę krążków złota. W niejednej peruce kryły się brylanty. Futro, chleb, gorset, gałgany, mydło służyły za utajone schronienie dla wielkich nieraz bogactw.

Niczym to było oczywiście w porównaniu z ekwipunkiem Żydów zachodnich, którzy jechali do obozów śmierci rozrzuconych po ziemi polskiej w przeświadczeniu, że więzieni są do miejscowości wypoczynkowych na okres działań wojennych, przygo-

towujących się w Europie zachodniej w drugiej, końcowej fazie wojny. Tych transportowano w wygodnych pullmanowskich wagonach, pozwalając im zabrać w podróż wszystko, co im nakazywała ich dotychczasowa stopa życiowa i na co pozwalała ich możliwość. Pewnego dnia jeden z kupców polskich, mających poważną pozycję na rynku obrotów międzynarodowych, zetknął się na stacji w Lublinie z takim właśnie extra-pociągiem. Ku swemu zdumieniu spotkał na peronie holenderskiego Żyda, z którym przed wojną łączyły go stosunki handlowe.

— „Skąd się Pan tu wziął?“

— „Widzi Pan, położenie Żydów na naszym terenie stawało się coraz trudniejsze w związku z koniecznościami wojny i postawą hitlerowców. Niemcy jednakowoż liczą się z Zachodem, a zwłaszcza z Ameryką i nie chcą nam wyrządzać krzywdy w sposób jaskrawy. Zdecydowani na ograniczenie swobody naszych ruchów, zaproponowali nam wyjazd do jednego z uzdrowisk polskich. Jedziemy do Tremblinki — wykrztusił tę nazwę tak trudno dla cudzoziemca — czy są tam jakieś luksusowe hotele?“ Na otrzymane szeptem wyjaśnienia, kiwał powątpiewająco głową. Poprzez okno wagonu, pod którym stał, rzuciły się w oczy góry wspaniałych waliz ze świńskiej skóry.

Zaiste, makabrycznie luksusowy był ten „hotel“ w Treblince. Służba hitlerowska odbierała żwawo, nawet dość natarczywie wszystkie rzeczy pasażerów opuszczających wagony, po czym wprowadzała „gości“ do kąpieli. Nagich odurzano gazem śmiertelnym, a gdy stosownie do naukowych obliczeń nikt już przy życiu nie mógł pozostać, otwierała się automatycznie podłoga i „goście“ sami układali się do wiecznego snu w zawczasu wykopanych, głębokich rowach.

Z każdego transportu wyłączano po kilkunastu lub kilkudziesięciu Żydów, z wyglądu najzdrowszych i najsilniejszych. Ci uzupełniali kolumnę roboczą, której tładaniem było zasypywać rowy i pełnić najniższe posługi. Gdy któryś spośród nich zasnął, włączano go do kolejnego transportu dla wysłania na tamten świat.

Wkrótce odór rozkładu ciał, niedostatecznie zasypanych w liczących, coraz bardziej przepelnionych rowach, roztoczył się nad całą okolicą. Nierównie jeszcze silniejszy od fizycznego był odór moralnego rozkładu i zdziczenia.

Największego nawet łotra, gdy zamorduje człowieka, nurtują wyrzuty sumienia. I kat po wykonaniu pewnej liczby wyroków

śmierci staje się nerwowo niezdolny do dalszej służby. Tutaj mordowano tysiącami, mordowano w sposób bestialski, mordowano niewinne dzieci i bezsilnych starców, mordowano co dzień od rana do nocy, przez długie miesiące a nawet lata. Nic więc dziwnego, że oprawcy hitlerowscy i ich różni najemnicy głuszyli swe sumienia w pijaństwie i zmysłowym wyuzdaniu. Do dyspozycji mieli złoto, brylanty i dolary, które znajdowali w odzieży swoich ofiar. Wprawdzie wszystko to miało wzbogacać skarb państwowy Wielkiej Rzeszy, ale nieunikniony był w tym też udział każdego funkcjonariusza obozowego.

Wódki szukali po sąsiednich wsiach i tam jedynie mogli znaleźć dziewczyny. Za butelkę „bimbru“ (t. j. nielegalnie pędzonego alkoholu) placili po kilkadziesiąt dolarów, za jedną noc spędzoną na rozkoszach cielesnych ofiarowywali brylanty, pierścienie, futra. Była to pokusa ogromna dla biedaków, którym nieraz ciężko było żyć na świecie. Załamanie jednych służyło zaraźliwym przykładem dla innych. Tu i ówdzie rozkład trupi zaczął się przenosić wrzodami na ciało żywego społeczeństwa. Przed podziemiem polskim stało nowe wielkie zadanie.

Któregoś dnia zaniepokoiły mnie strzały. Lotem błyskawicy rozeszła się po Warszawie wieść, iż Żydzi bronią się przed wywiezieniem ich z ghetta. Walka była zacięta, toczyła się z początku o każdy dom. Niemcy musieli sprowadzić posiłki. Było coś niesamowitego w obrazie ówczesnej Warszawy. Na zewnątrz murów ghetta rozstawione były gęsto posterunki Łotyszów. Żołnierze trzymali gotowe do strzałów karabiny, wysunięte w kierunku okien żydowskich. Wewnątrz grały salwy, rozlegały się śpiewy, krzyki rozgrzanych walką, jęki rannych. Widziało się transparenty rozwieszane na górnych piętrach: „Za wolność naszą i waszą“, a opodal: „Dostarczajcie broni, płacimy złotem“. W wielu miejscach powiewały sztandary polskie obok żydowskich z gwiazdą syjońską pośrodku. A o parę kroków dalej, w należnym jeno oddaleniu od zbrojnych posterunków, płynęło normalnie życie milionowego miasta. Dzwoniły tramwaje, przesuwały się dorożki i riksze, śpieszyli nerwowym krokiem mieszkańcy polskiej dzielnicy. Nikt się nie zatrzymywał, rzadko kto spojrział w górę w obawie, by za okazanie zbyt dużego zainteresowania nie zostać aresztowanym, albo i z miejsca zastrzelonym.

Wkrótce potem, pamiętam, wypadła niedziela: synek mój poszedł do kościoła na Mszę Św. Przy wyjściu spotkał kolegę z tajnych kompletów nauczania. Jego ojciec, z zawodu właściciel pod-

rzędnej karczmy, chciał chłopcom zrobić jakąś przyjemność. Zaprowadził ich na karuzelę, którą Niemcy ustawili na placu Kraśińskich, o parę metrów od żydowskiego muru, gwoli uciesze gawiedzi. Dźwięk podłej katarynki mieszał się z hukiem salw, wymierzonych w piersi bezbronnych. Rozbujane wysoko huśtawki przez ułamek sekundy pozwalały dojrzeć niejedną scenę okrucieństwa. Za tło zabawie służyły podpalane domy. Gdy doszła mnie o tym wiadomość, zakazałem synowi wszelkiego kontaktu z owym kolegą. Inna rzecz, że w czasie powstania warszawskiego okazał się on dzielnym chłopcem. Zginął z odniesionych ran, bo biednego dziecka nikt nie mógł opatrzyć na czas.

Tygodnie całe trwało likwidowanie poszczególnych ognisk buntu. Obrońcy ghetta budzili swą postawą nie tylko powszechne współczucie ale i szacunek. Tych, co się poddawali, wywożono samochodami przez miasto wśród ryku syren, w bogatej asyście hełmów i broni konwojentów. Kto widział wyraz oczu tych biednych ludzkich ofiar tryumfującego barbarzyństwa, temu chyba długo nie będzie towarzyszyła beztroska. W ślad za postępami „ofensywy“ szalał pożar. To Niemcy, zrabowawszy uprzednio wszystko co się dało w zdobytych domach, podpalali je systematycznie. Nocami można było obserwować w środku miasta olbrzymią lunę, otoczoną kłębami dymu. Słychać było syk palących się wielkim płomieniem bierwion, przemieszany z hukiem walących się murów. W dzień wiatr coraz to przynosił ze sobą deszcz spopielenych papierów, czasem chmurę pierza.

Nadleciały samoloty bolszewickie. Niejednemu Żydowi musiało serce zadrzeć nadzieją. Zrzuciły dużo bomb na miasto, przeważnie w rozpalone ghetto, potęgując jeno ogień, śmierć i zniszczenie. To była jedyna pomoc, jaką Żydzi otrzymali od swoich potężnych przyjaciół z tamtej strony frontu.

Ogarniało nas zdumienie, jak wielką obojętność wykazywał świat w stosunku do bezprzykładnego w dziejach faktu systematycznego wymordowywania milionów ludności żydowskiej. Wymordowywania jako wyniku przyjętej doktryny, na zimno, z naukową dokładnością. Społeczeństwo polskie zdobywało się nawet na ten stopień obiektywizmu, że od mordów tych odróżniało swoje straty, liczone też w miliony, ale będące w znacznej mierze wynikiem świadomej postawy walki z najeźdźcą. Brało też trzeźwo pod uwagę, że nasi współrodacy w Stanach Zjednoczonych czy w innych krajach zachodnich są biedni i pozbawieni większych wpływów. Że na sprawie naszej leży ciężarem kolos

sowiecki, dla przypodobania się któremu świadomie przygiuszany jest rozgłos naszych wołań, umniejszana wielkość naszego problemu. Ale Żydzi, mający tak wielki wpływ na opinię międzynarodową, władający olbrzymim bogactwem na obu półkulkach, rozporządzali takimi wpływami we wszystkich parlamentach Zachodu i w kierowniczych ośrodkach Związku Sowieckiego — w owe czasy jak gdyby ogłuchli na wołanie swoich braci.

Trudno powiedzieć, czy osłupienie to wywołane zostało bezmiarem katastrofy, jaka spadła na świat — czy też może grai wciąż rolę sceptycyzm w stosunku do wiadomości, przekazywanych światu z całym pietyzmem, wśród wielkich niebezpieczeństw, przez źródła polskie? A może u dna przyczyny leżało, tak głęboko zakorzenione u Żydów przywiązanie i szacunek dla Niemców, który nie pozwalał, wbrew wszystkim dochodzącym wiadomościom, na uznawanie ich za prawdziwe? Kiedy obserwuję z jaką solidarnością Żydzi na całym świecie budują dzisiaj swe państwo w Palestynie, ile wysiłków wkładają w poprawę położenia swoich uchodźców, tym bardziej trudno jest mi rozwiązać tajemnicę ich biernej postawy w r. 1941 i w następnych latach.

Równoległe do masowego mordowania Żydów postępował proces niszczenia żywiołu polskiego. W przeciągu całego okresu okupacji nie było ani jednego dnia, który by się nie znaczył licznymi stratami. Mordowano Polaków w czasie badań w więzieniach, rozstrzeliwano ich w Palmirach pod Warszawą, w lasach okolicznych, w każdym województwie i w każdym powiecie. O ile w pierwszych miesiącach okupacji potrzebne do tego było zatwierdzenie ze strony władz centralnych w Berlinie, o tyle później egzekucje zarządzał na własną rękę każdy wyższy oficer SS i SD w obrębie Generalnej Gubernii. Ginęli dalej tysiącami ci, których wywieziono do obozów koncentracyjnych: jednych już z góry z wyrokami śmierci, innych z poleceniem wyniszczenia zwykłym trybem porządku obozowego. Ginęli jako aktywni działacze w walce z najeźdźcą, ginęli jako zakładnicy, ginęli jako przynależni do tych kategorii ludzi i do tych warstw społecznych, które Niemcy zdecydowali zniszczyć w narodzie — ginęli wreszcie schwytni w przypadkowych łapanek ulicznych. Była w tej tragedii jakaś dziejowa sprawiedliwość. Nikt się nie mógł uchylić od niesienia krzyża sprawy narodowej. Zagłady mógł uniknąć raczej świadomy bojownik, czujny na każde niebezpieczeństwo — ten, co sądził, iż wszystko co się dokoła niego dzieje, jego nie dotyczy, bo nie bierze udziału w ogólnej walce i sprawy publiczne

podśluchiwała naszą rozmowę. Zadzwonił dzwonek od kuchni. go nie obchodzą, wrogowi się nie naraża — najprędzej stawał się ofiarą masowych branek, przypadkowej rewizji w mieszkaniu, czy ulicznego zamieszania. Iluż takich, co uważali, że oto nadeszła pora, by na katastrofie narodowej robić w łatwy a podejrzany sposób olbrzymie fortuny, którzy chętni się pierwszorzędnymi zdawałoby się glejtami bezpieczeństwa, zapłaciło za to wyłącznie się z ogólnego nurtu, za dorobkiewiczowski tupet — życiem! Z drugiej strony zdolność do ofiary z siebie dla ratowania innych lub w imię sprawy — czasem zgoła podświadoma — przynosiła owoce. Gruntowała w zbiorowej duszy narodu wielkie wartości, które dają mu jasne spojrzenie w przyszłość. Czyniła życie bujnym, bogatym, pozwalającym nam Polakom wspominać je nie tylko od stron ponurych, ale i dojrzeć w nim głębszy urok i piękno.

Kiedyś kryłem się w małym mieszkanku na ulicy Świętokrzyskiej. Osaczony przez Gestapo, zidentyfikowany pod fałszywym nazwiskiem, którego ostatnio używałem, rzadko tylko opuszczałem swe schronienie. Opiekowała się mną właścicielka mieszkania, pani z małą córeczką.

W jednym z pobliskich domów ulokowano skoczka spadochronowego, młodego oficera marynarki, którego przeznaczeniem było dokonywać akcji sabotażowej w porcie gdyńskim. Zanim jednak go tam przerzucono, pozostawał na stażu u „cioci“. Ponieważ nie była już młoda, chłopakowi bardzo się nudziło. Użyłem „protekcji“ i wyrażono zgodę, aby przychodził do mnie codzień z rana. W swobodnej pogawędce o tym, jak to „w każdym porcie dziewczyna“, dawał mi pierwsze lekcje języka angielskiego. I on nie przedstawiał sobą wielkich rękojmi bezpieczeństwa: dokumenty tymczasowe wskazywały, iż jest wysokim urzędnikiem „Distriktu“, a tymczasem nie miał pojęcia ani o warunkach życia w Warszawie, ani nawet o języku niemieckim. Z całej jego postaci, choć przybranej w ubranie cywilne, wycierał marynarz. Wystarczyło odchylić rękawa, by zdradziły go tatuowania.

Przy śniadaniu humoru było co niemiara. Z sąsiedniego pokoju dobiegały śmiechy gospodyni, która leżąc jeszcze w łóżku podśluchiwała naszą rozmowę. Zadzwonił dzwonek od kuchni. W drzwiach ukazał się staruszek, ojciec pani domu.

— „Co tam słyhać, ojczu, nowego?“

— „A nic dziecinko, tylko w podwórzu aż zielono.“

— „Dlaczego zielono, ojczu?“

— „Gestapo, dziecinko, gestapo“.

Rzuciliśmy się do okien. Na podwórzu rozstawiała się u wejść do klatek schodowych dużego pięciopiętrowego budynku kompania niemieckich żandarmów. Nie było dla nas ratunku. Dom był otoczony, dostęp na dach zamknięty. Żeby stworzyć jakieś pozory, kazałem mej gospodyni wyjąć co prędzej z szafy futra i rozłożyć je w pokoju. Przyszliśmy do niej jakoby w charakterze kupców. Nie zna nas i nigdy nie widziała przed tym. Papiery rzuciłem do węgla — może na razie nie zdążą zrobić szczegółowej rewizji.

Tupot okutego obuwia i wrzaski Niemców mieszały się na klatce schodowej z głośnym łkaniem kobiet. Zadzwonił telefon: to ktoś mi bliski pytał, jak się czuję i co u mnie słychać? Usłyszeliśmy już dobijanie się kolbą karabinu do naszych drzwi frontowych. Staliśmy wtedy we troje w kuchennym korytarzyku. Ucałowałem serdecznie w czoło panią domu i zarządziłem: „Otwórz, Marysiu, my tu jesteśmy obcy“. Usłyszałem odpowiedź, której się nie spodziewałem: „Nie otworzę, ja was nie wydam“. Tłumaczyłem miękko, serdecznie, aby jednak otworzyła, gdyż nam nic nie pomoże, a siebie z pewnością zgubi. Dobijanie się było coraz silniejsze, a gdy nie odnosiło skutku, żandarm próbował wyważać drzwi od dołu bagnetem.

— „Otwórz, Marysiu, bo inaczej ja pójde otworzyć!“.

W kobietę wstąpiła jakaś nieznana dotychczas energia. Uchwyciła mnie i marynarza rękoma, wpijała się paznokciami w ciało i nie dawała się uwolnić z uścisku. Trwało to może sekundę, może kilka sekund, mnie się jednak wydawało to czymś nieznośnym i bardzo długim.

A tymczasem tupot nóg żołnierskich na klatce schodowej się zwiększał. Poprzez ich odgłos i trzask pękających drzwi dobiegały głosy kobiet w łamanej niemieczyźnie: „*Kinder, Schule, gegangen*“. To sąsiadki tłumaczyły, że gospodyni wyszła z dzieckiem do szkoły. Nic by to nie pomogło, Niemcy najstaranniej przeszukiwali i puste mieszkania, gdyby równocześnie nie padł z dołu rozkaz oficera: „*Alles fertig? rauss!*“. Żandarm zapóźniony w swym dziele zrezygnował z dostania się do wewnątrz. Do dziś jeszcze słyszę jego ciężkie oddalające się kroki.

Z domu wybrano osiemdziesięciu dwóch mężczyzn. Pomiędzy nimi byli starcy, dzieci, ułomni. Niewielu tylko z nich wróciło. Dwaj młodzi ludzie, biorący czynny udział w walce, łup dla Niemców niewątpliwie cenny, zawdzięczali swe ocaleńnię wyłącznie

uczuciowemu uniesieniu kobiety, jej gotowości do irracjonalnej ofiary.

W życiu codziennym poświęcenie kobiety dla sprawy często znajdowało odbicie w stosunku uczuciowym do mężczyzny, który w jej oczach tę sprawę symbolizował. Łączniczka w swoim dowódcy, sekretarka w swoim szefie, koleżanki we współtowarzyszach akcji bojowej widziały wcielenie najpiękniejszych cnót. Opromieniała ich tajemniczość, groza nieustannego niebezpieczeństwa, fantazja, czyny niepospolite. Z drugiej strony mężczyzna musiał odczuwać głęboką wdzięczność względem codziennej towarzyszki swojej doli i niedoli. Bez niej nieraz nie miałby co jeść, nie wiedziałby, gdzie się schronić, ona przносиła mu papiery lub broń. Splecione w ten sposób życie rodziło wzajemne uczucie. Czasem było to tylko uczucie podziwu, tkliwej serdeczności, niekiedy wybuchało wielkim płomieniem miłości. Ogrzewało serca, skłaniało do uniesień. Nie liczyło się z czasem, z okolicznościami a nawet i z dotychczasowymi więzami.

Kiedyś późną nocą, w konspiracyjnym mieszkaniu, układaliśmy się już do snu. Ostatnią wymianę myśli przerwały nam wybuchy ręcznych granatów rzuconych gdzieś w pobliżu. Odpowiedziała im seria z karabinów maszynowych. O dwa, trzy domy od nas toczyła się walka. Nastąpiły zwykłe czynności zabezpieczające, gorączkowa wymiana swoich nazwisk paszportowych, ustalenie okoliczności, które nas zgromadziły w mieszkaniu — i trwożne oczekiwanie, co los nam za chwilę przyniesie. Bo gdy walka wybuchła w jednym domu, można było być niemal pewnym, iż rewizją i wybieraniem ludzi objęty będzie cały odcinek ulicy. A tymczasem zawzięta walka trwała dalej długie godziny.

Okazało się, iż w naszym sąsiedztwie wykryto tajną radiostację nadawczą. W jej schronieniu bronił się mężczyzna — sekundowała mu jego towarzyszka. Mielę dużo broni i amunicji, położyli trupem wielu Niemców. Niemcy sprowadzili do pomocy straż ogniową, usiłowali podpalić dom, wreszcie opanowali polską placówkę. Wewnątrz znaleźli już tylko dwa trupy, leżące obok siebie i splecione ostatnim miłosnym uściskiem.

Już na parę dni przed wybuchem powstania warszawskiego wypadło mi wziąć udział w uroczystościach ślubnych swego siostrzeńca, którego ojciec znajdował się w szeregach armii polskiej daleko, hen, w Wielkiej Brytanii. Chłopak miał niespełna dwadzieścia lat, uczył się w konspiracyjnej szkole, potem odbył służbę w oddziałach leśnych. Zakochał się w szesnastoletniej koleżance

i w obliczu nadchodzących wydarzeń nie chciał się z nią rozłączać. Pełno było w kościele młodzieży wesołej, pewnej siebie, bo po kieszeniach już miała broń. Niemcy niekończącymi się kolumnami uciekali z frontu w kierunku zachodnim.

Matki urządziły dzieciakom przyjęcie. W podnieconej atmosferze krążyły gęsto toasty na cześć miłości i wiosny. „Odbudujemy Polskę, będziemy służyli jej swoim ramieniem, młodość zwycięży!“. „Kochajmy się, bo w tym największe wsparcie dla jednostki, największa siła dla społeczeństwa, największa nadzieja dla Narodu!“.

— „Panie Mecenasiu, mamy do Pana wielką prośbę“ — usłyszałem nieśmiało głosy. Przysunął się do mnie młody chłopiec, którego dopiero niedawno wydobyto z więzienia, i panienska, córka wybitnego polityka i profesora, zamężonego w Oświęcimiu. „Jacek i Kryśka już się pobrali i są tacy szczęśliwi. Nam mamusia nawet się zaręczyc nie pozwala. Niech Pan Mecenasiu dopomóż!“.

Obiecałem solennie. Chłopak był dzielny, inteligentny, z dobrej rodziny. Mój przyjaciel, profesor, gdyby żył, na pewno w tych warunkach pobłogosławiłby swej córce. Ponieważ z jego woli miałem opiekować się losem jego dzieci, zgodziłem się interweniować u twardej mamy w tej sercowej sprawie.

Minęło parę tygodni. Warszawa była w ogniu. Śmierć kołysa ludzi, pożary szalały wokoło, coraz to waliły się domy. Zagrała „katusza“. Zawirowało w powietrzu kurzem gruzu, kłębamii dymu i kawałami cegieł. Gdy podniosłem się z ziemi, zobaczyłem z dala posuwającą się po jezdni jakąś parę. On utykał wyraźnie na nogę, ona podtrzymywała go za ramię. Usłyszałem wołania: „Panie Mecenasiu, Panie Mecenasiu!“. Nie mogłem rozpoznać, kto to mnie woła. Oboje zasmoleni, pokryci płacami błota, niczym nie przypominali uroczych, zakochanych w sobie dzieciaków. Mimo to humor ich nie opuszczał.

„Gdy wybuchło powstanie, poszłam za Władkiem“ — ciągnęła opowieść moja pupilka. — „Nie mogłam go przecież opuścić. Po zdobyciu więzienia na Daniłowiczowskiej oddział nasz miał tam swój posterunek. Chwilami było bardzo gorąco, stukasy zbombardowały nas doszczętnie. W tym piekle Władek został ranny. Nie wydawało nam się prawdopodobne, abyśmy stamtąd wyszli żywi. Postanowiliśmy pójść do Pana Boga razem. Koledzy sprowadzili nam księdza. Związał nas stulą, no i jesteśmy małżeństwem“. Tu wybuchnęła perlistym śmiechem.

„Następnego dnia dowództwo zdecydowało oddać Stare Miasto Niemcom. Ranni mieli pierwszeństwo w wywakuowaniu się kanałami. Była to nasza podróż poślubna. Przed chwilą wyszliśmy z włazu“. Choć strój panny młodej był doprawdy oryginalny — to przecież nawet w kosmykach włosów pozlepianych ilem kanałowym, w białej popelinowej bluzeczce, gęsto nakrapianej czarnymi plamami błota, w podartej spódniczce i z dziurami na jedwabnych pończoszkach, wyglądała uroczo.

To miłość opromieniała ich oboje, nakazała zapomnieć co było wczoraj, dała niezbędną energię na jutro. Spotkałem ich ponownie już po powrocie z Moskwy. Mają synka, przełamują wszelkie trudności życia codziennego i gotowi są do dalszej służby publicznej, byle razem.

Był taki pan, młody jeszcze, o którym można było powiedzieć, że znał się na powabach życia. Lubił sztukę, posiadał dużą wiedzę, tkwił koneksjami w życiu międzynarodowym. Mówiono o nim, że znał się i na kobietach. Los sprawił, że w biegu pracy konspiracyjnej zetknął się ze światem dziewcząt publicznych. Jedna z nich ruda, podobno o wyglądzie całkiem pospolitym, stała się jego codzienną towarzyszką. Poszła za nim w powstanie — gdy został ciężko ranny wyniosła go z placu boju na własnych ramionach. Otoczyła go tak tkliwą i pełną samozaparcia opieką, że nikt chyba w owych czasach nie mógłby mu dać silniejszego wyrazu uczucia. Miłość prawdziwa, głęboka, wzajemna, niosła ulgę cierpieniom umierającego. Niosła i ulgę wszystkim cierpiącym wokół, bo budziła szacunek dla człowieka, podtrzymywała w tym momencie wiarę w wartości głębsze ponad własne fizyczne ocalenie i ratowanie swego dorobku materialnego.

Skrzydła miłości opadły wtedy dopiero, gdy wraz z przyjściem bolszewików zkradło się w życie polskie gorzyc i zniechęcenie. W miejsce idealizowania każdego porywu serca, każdego szlachetnego obowiązku czy poświęcenia, poczęły się szerzyć argumenty przyziemne, te same, które uchodźstwo polskie na emigracji ujęło określeniem „urządzania się“. Żony przez pięć lat czekające wiernie na swych mężów, jęczących w niewoli czy w obozach koncentracyjnych lub walczących gdzieś w świecie, zaczęły mówić: „Mam też prawo do życia, zanim się całkiem zestarzeję“. Inne kobiety przestały szukać radości w uniesieniach serca, a poczęły się oglądać za takimi powiązaniem, które by im zapewniły życiową wygodę, czasem środki dla przetrwania ciężkich, pozbawionych dalszego horyzontu, długich lat.

Prawodawstwo narzuconego Polsce porządku komunistycznego celowo poszło na rękę tym nastrojom. Aby zniszczyć wszelkie hamulce i rozłożyć podstawową komórkę życia społecznego, jaką jest rodzina, udostępniono rozwody w takim zasięgu, że węzeł małżeński stał się jeno bezduszną formą, którą można w każdej chwili odrzucić lub zamienić na nowy związek. To protegowanie rozwiązań płciowej jest charakterystyczne dla pierwszej fazy każdej rewolucji komunistycznej. Przechodziła przez nią i Rosja Sowiecka. Z prawa do wolnej miłości, do rozwodu za opłatą administracyjną dziesięciu rubli, czyniła jedno ze swoich podstawowych hasel. Gdy przeorała grunt, zniszczyła tradycyjne więzy społeczne i zaczęła budować nowe społeczeństwo sowieckie, zmieniła swą politykę o 180 stopni. Dziś już w Rosji o rozwód trudniej niż w wielu krajach zachodnich. A poza tym niebezpiecznie jest starać się oń z własnej woli, chyba że współmałżonek siedzi w więzieniu lub w obozie koncentracyjnym za przestępstwo polityczne. Spędzenie płodu jest dziś w Rosji karane kilkoletnim więzieniem. Związek Sowiecki zaczyna się tym bardziej troszczyć o swą siłę biologiczną, im bardziej równolegle dąży do rozłożenia jej u innych, preparowanych systematycznie do łatwego podboju, a później i wchłonięcia.

Na straży poziomu życia moralnego naszego społeczeństwa stał przede wszystkim Kościół. Opinia publiczna, w latach poprzednich dławiona przez Niemców, jest nadal bezwzględnie duszona przez reżym komunistyczny. Niemcy, tak jak i bolszewicy orientowali się doskonale, że siłę społeczeństwa polskiego stanowi jego tysiącletnie nieprzerwane powiązanie z Kościołem Rzymsko-Katolickim. Ba, z równą nienawiścią odnosili się do kościołów ewangelickich, które broniły swej polskości z całą godnością. Dzieje Kościoła pod okupacją hitlerowską to jeszcze jedna karta martyrologii. Szereg biskupów i kilka tysięcy księży osadzonych zostało w obozach koncentracyjnych. Niewielu spośród nich zostało przy życiu. Seminaria duchowne pozamykano, zniszczonych przez działania wojenne kościołów nie pozwalano odbudowywać. Uczęszczanie na nabożeństwa stawało się niebezpieczne, gdyż narażało na obławy i aresztowania.

Jako szef polityczny Narodowych Sił Zbrojnych byłem w częstym kontakcie z wikariuszem generalnym armii podziemnej, księdzem pralatem Jachimowskim. Ścigany przez Niemców, w przebraniu, ani na chwilę nie ustawał w pełnieniu swych trudnych obowiązków pasterskich. Parafie jego stanowiły rozrzucone po ca-

łym kraju, pod obu okupacjami oddziały zbrojne po lasach, wsiach i miasteczkach. Obejmował swą jurysdykcją, a nade wszystko wielkim wpływem moralnym, przeróżne organizacje zbrojne w fa-
zie, gdy były ze sobą w sporze, gdy były jeszcze trudności w ich
łączeniu. Jego dobroczynnemu wpływowi należy zawdzięczać wiele
z jednolitej postawy społeczeństwa wobec wroga — wroga rów-
nie zacieklego wobec Narodu Polskiego, jak i wobec Kościoła.

Gdy kończył obowiązki publiczne, znajdował zawsze czas na
przeegzaminowanie duszy swego towarzysza broni. Siedząc
wraz z nim gdzieś w zakrystii czy na strychu, doprowadzał w ser-
decznej pogawędce do takiej wewnętrznej potrzeby pogodzenia
się z Bogiem, iż sam akt spowiedzi był później już tylko natural-
ną formalnością. Pobłogosławił i przebaczył, a umiał zrozumieć
człowieka jak ten tylko, kto był między nami, wszystko z nami
przeżywał i wszystko umiał dostrzec i zrozumieć. Jego łaska była
łaską Bożą. W końcu przygotowywał w możliwie bezpiecznych
warunkach wysłuchanie Mszy św. i przyjęcie Komunii na dalszą
drogę. Zginął zaraz po wybuchu powstania, zamordowany w swo-
im schronieniu przez tłuszcę żołnierską.

Niemal co dzień pierwszych lat wojny miałem okoliczności-
wą rację wysłuchania Mszy św. Były to nabożeństwa żałobne
za dusze tych licznych przyjaciół i znajomych, o których śmierci
nadechodziły depesze z obozów koncentracyjnych. Po mszy zga-
dywaliśmy w coraz to mniejszym gronie: kto z nas z kolei da
sposobność zebrania się w tych samych okolicznościach. Później
chodzenie na te msze ustalo. Agenci niemieccy wybierali swoje
ofiary bądź w samym kościele, bądź na stopniach świątyni, uwa-
żając, że obecność na mszy żałobnej stanowi żywy dowód współ-
działania ze zmarłym „bandytą“. Przestali się też Niemcy faty-
gować zawiadamianiem rodzin o zgonie ich bliskich. Dowiady-
wały się one o tym drogą pokątną, nie zawsze tym wieściom wie-
rzyły, stąd niekończąca się szarpanina i codzienne zmaganie się
rozpaczy z przebłyskami złudnej nadziei.

W kościele św. Aleksandra miał się odbyć ślub młodej pary.
Nowożeńiec — jeden z zuchwalszych skoczaków — chciał widocz-
nie rzucić wyzwanie tej posępnej, codziennej rzeczywistości, jaka
go otaczała. Do ołtarza przystąpił z narzeczoną, strojną w we-
lon i suknię z długim trenem. Za nimi postępował bogaty orszak
weselny. Kościół wypełniało wielu przyjaciół. W chwili, gdy
ksiądz miał związać parę małżeńską stulą, wkroczyło Gestapo.
Wiele dziesiątków ofiar powędrowało znowu do więzień, do obo-

zów koncentracyjnych i na tamten świat. Poszli tam, zamiast na wesele.

Nie dziw, że wiele ślubów odbywało się w inny sposób. Wchodzono do świątyni ukradkiem, spisywano dokumenty na fałszywe nazwiska, często rodzice panny młodej nie znali prawdziwego nazwiska jej męża. Czasem wdowa dopiero po śmierci męża dowiadywała się, jakim nazwiskiem nazwać wspólne dziecko.

Za to tłumy zapępiały kościoły w dniu niedzielne i świąteczne. Kogóż tam nie można było dojrzeć! Przychodzili i „osobiści nieprzyjaciele“ Pana Boga, i ci, którzy do swych programów politycznych z uporem wstawiali ograniczenie praw kościelnych, i ludzie chępiący się dotychczas swym indferentyzmem religijnym. Wszyscy przychodzili tu szukać pociechy i źródła siły do przetrwania. Religijność społeczeństwa nie tylko nie osłabła wskutek prześladowań kościoła, ale przybrała na głębi, na powadze i jak zawsze w chwilach dla Narodu Polskiego ciężkich zespoliła się z patriotyzmem w stop jednolity.

Kiedy się zastanawiam nad przyszłością, nie mogę pominąć wielkiego niebezpieczeństwa, jakie dla życia duchowego naszego społeczeństwa stanowi fakt wymordowania tylu tysięcy wybitnych kapłanów, uniemożliwienie wychowania nowego ich pokolenia, zniszczenie tylu kościołów, stanowiących naturalny łącznik człowieka z Bogiem. Z drugiej jednak strony o sile moralnej Kościoła decyduje wartość jego wyznawców, ich czynna postawa. Krąg ludzi świeckich, którzy weszli w szranki walki o ideały religijne, rozszerzył się w Polsce wskutek przeżyć i doświadczeń bardzo znacznie. Aby dać im właściwe kierownictwo duchowe, jest rzeczą wielkiej wagi jak najszybsze uzupełnienie kadry oświeconych kapłanów. Powinny powstać, przede wszystkim w krajach katolickich, seminaria duchowne dla wychowanków polskich. Powinny one pielęgnować tradycje narodowego życia polskiego, zachować łączność z uczuciami i dążeniami w Kraju. Wtedy spełnić będą mogły ważną rolę w przyszłym budowaniu porządku chrześcijańskiego w świecie. Pamiętajmy, że gdy fala barbarzyństwa cofnie się na wschód, zostawi za sobą nie tylko ruiny i zgliszczą na powierzchni ziemi, ale i wielkie zniszczenia w duszach ludzkich. Dlatego pomoc w tej dziedzinie Narodowi Polskiemu byłaby nie tylko nakazem solidarności wyznawców jednego Kościoła, ale i ważnym czynnikiem odbudowy Europy.

Obok zagadnień duchowych wielkie oczywiście miejsce w życiu społeczeństwa polskiego pod wrogą okupacją zająć musiało

zorganizowanie własnego życia gospodarczego. Z początku było ono improwizowane z dnia na dzień. Zasoby każdej rodziny były, jak się okazało, tak duże, iż pozwalały przetrwać okres pełnego chaosu i służyć nawet pomocą tym, których dotknęły pierwsze zniszczenia wojenne. Antykwariaty, liczne sklepy komisowe powstawały jak grzyby po deszczu i służyły za organy pośredniczące między nieszczęściem ludzkim, które zmuszało do wyprzedawania się, a potrzebę ludzi, którzy zachowali na czarną godzinę trochę złota czy dolarów. Wieś nie dostarczała do miast swoich produktów masowo. Zbyt skąpe były jeszcze wówczas środki komunikacji, brakło doświadczenia w przystosowaniu się do nowej rzeczywistości. Za to rolnicy korzystali obficie z owoców swojej pracy: nie mogąc sprzedawać produktów, spożywali je w skali wyższej niż kiedykolwiek. Okupant nie od razu narzucił system rekwizycji, kontyngentów, nie od razu próbował go realizować, nie ściągał jeszcze opłat i podatków.

Ten stan rzeczy uległ jednak szybko zmianie. Niemcy rozpoczęli eksterminację Polaków na ziemiach zachodnich, ich sowieccy sprzymierzeńcy niszczyli polskość na ziemiach wschodnich. Z zachodu ściągały ku ziemiom centralnym, objętym nazwą „General-Gouvernement“, miliony bezdomnych, cały swój życiowy dorobek unosząc w ręcznych tobołkach. Ze wschodu wracali, omijając strażę wroga, ci wszyscy, którzy przed tym uciekli tam przed nawałnicą wojenną. Setki tysięcy Polaków, rdzennych mieszkańców Małopolski wschodniej, Wołynia, Podola i Wileńszczyzny, korzystało z umów repatriacyjnych niemiecko-rosyjskich, by uniknąć dostania się w piekło bolszewickie. Po krótkim okresie otepienia odprężyli się ci nędzarze zmuszeni do szukania pożywienia i schronienia. Gdy katastrofa francuska otworzyła ludziom oczy na to, że czas klęski nie minie szybko i że ratunek od śmierci głodowej i całkowitego unicestwienia jest w nas samych jeno, rozwinęły się i zakwitły przymioty społeczeństwa, zahartowanego przez wieki na największe przeciwności losu.

Życie, które żywił polski począł sobie budować, można było nazwać systemem ekonomicznym narodu w niewoli, gdyby nie to, że był on równocześnie systemem konsekwentnej walki z najeźdźcą i wspaniałym, świadomym wkładem do zmagania demokracji zachodnich z tryumfującym hitleryzmem. Był to więc system, który stwarzał możliwości przetrwania najbiedniejszych i bezbronnych, a jednocześnie podcinał potęgę rządzących i uzbrojonych po zęby, a więc niszczył i sabotował. Co więcej, trudno

mówić o systemie, skoro nikt nim nie kierował, nie wpływał on z żadnej doktryny ekonomicznej, lecz był tylko wynikiem samorodnych sił płynących ze społeczeństwa. Trwał on lata całe i umacniał się. Wyników jego nic lepiej nie charakteryzuje, jak spostrzeżenia, poczynione kiedyś w rozmowie przez pewnego dyplomatę włoskiego, który odwiedził po kilku latach wojny Warszawę:

— „Jestem szczęśliwy, że mi się udało przyjechać tu na parę tygodni — mówił. — Zrobiłem tym wielką przyjemność mojej żonie, która, jak pan wie, jest Polką. Chciałem też zaczerpnąć trochę tego waszego czystego klimatu patriotyzmu, który tak nauczyłem się cenić będąc tu na placówce. Może będę mógł wam w czym pomóc. Przede wszystkim jednak, szczerze powiem, chciałem się trochę odżywić. Byłem ostatnio we Włoszech, w Berlinie, w Hadze i w wielu innych punktach Europy. Najesć się mogę dopiero tu, i to — dodał z uśmiechem — tylko pod waszą opieką“.

Niemcy ujęli stopniowo gospodarkę rolną w żelazne karby. W każdym powiecie ustanowili swego funkcjonariusza, który miał uprawnienia dyktatorskie w stosunku do wszystkich warsztatów wytwórczych, od większych majątków ziemskich poczynając aż do najmniejszych gospodarstw włościańskich. Przy pomocy tych uprawnień wyrzucał on bezlitośnie z majątków zarówno tych ziemian, którzy władzy niemieckiej nie wydawali się dostatecznie lojalni, jak i tych, których gospodarka się mu nie podobała, albo też odwrotnie, którzy byli właścicielami gospodarstw wzorowych. Folwarki te obsadzał swymi mężami zaufania, prawie bez wyjątku Niemcami. Mniejsze gospodarstwa, gdzie się dało, łączył w większe. Ustalał plany zasiewu przymusowo i bezapelacyjnie dla każdego, nawet kilkuhektarowego gospodarstwa. Rozdzielał nawozy sztuczne oraz ziarno na zasiew. Odbierał w określonych terminach produkty za pośrednictwem rozwiniętej i podporządkowanej całkowicie Niemcom sieci spółdzielni. Miłyny, rzeźnie i mleczarnie znajdowały się pod ścisłą jego kontrolą. Na wszystkich drogach publicznych i prywatnych, zwłaszcza w okresie większych dostaw, czuwały niezliczone posterunki żandarmerii i „kominarzy“ względnie „czarnych“ — tak nazywano w gwarze ludowej wszelkiego typu *Volksdeutschów*, którzy znając język polski i obyczaje miejscowe najlepiej nadawali się do szpiegowania ludności.

Za swą produkcję rolnik otrzymywał wyznaczoną cenę niezmie-

nioną bodaj do końca i całkowicie fikcyjną w zestawieniu z warunkami życia. Dość powiedzieć, że kiedy za metr żyta płacono rolnikowi około 20 złotych, cena worka mąki wahała się w wolnym obrocie w różnych okresach w granicach od 300 do 1000 złotych, lub nawet wyżej. W późniejszych latach, dla zachęty, w zamian za część należności producent mógł wybierać w spółdzielni pewne towary, liczone wtedy także po cenie urzędowej. Były to jakieś podstawowe narzędzia rolnicze, żelazo, skóra, trochę tandety tekstylnej, a przede wszystkim wódka. Tę ostatnią przydzielano w olbrzymich ilościach. Niech się niewolnicy rozpiją!

Rolnik polski przyjął z tego systemu wszystko co było w nim użyteczne i ulepszało jego warsztat pracy. A więc bez większego oporu podporządkował się gospodarce planowej i stosownie do zarządzeń Niemców obsiewał pola tym, co mu zapewniało zbiór największy, względnie najbardziej wartościowy. Zmusił się do obfitego korzystania z nawozów sztucznych. Chętnie przyjmował selekcyjne ziarno do siewu, czy kartofle do sadzenia. Bacznie obserwował wyniki produkcji na powiększonych polach. Nie spodziewanie dominująca w polskim charakterze cecha indywidualizmu — niekiedy cenna, zgubna jednak gdy chodziło o koordynowanie wysiłku zbiorowego, w szczególności w dziedzinie gospodarczej, została przelamana pod naciskiem wroga. Dało to niewątpliwie w efekcie duże podniesienie wydajności gospodarstw rolnych. Mam nadzieję, że będzie trwałym naszym dorobkiem w przyszłości.

Natomiast od razu i bez najmniejszego wahania zarówno ziemianin jak i drobny rolnik zaczęli sabotować wszystkie zarządzenia okupanta, zmierzające do odebrania im plonów. Dopóki nie utorowali sobie dróg do handlu pokątnego, zwiększyli — jak powiedziałem — znakomicie własną konsumpcję. Ale już od początku zakopywali worki żyta i pszenicy, wynajdywali dla nich najbardziej niedostępne kryjówki. Ziemianin czy drobny rolnik wprędce weszli w kontakt z właścicielami mniejszych młynów i gdzieś w nocy, w słoje, czy w godzinach, gdy w wyniku przyzwyczajenia żandarmów straż ich była rozluźniona, dostawał zboże do tajnego przemiału. Gdy to mu było trudne, nauczył się mleć na żarnach domowych, na domowych młynkach, dla których też miał już schowania. Posiadł sztukę fałszywego znaczenia bydła, nierogacizny, wiedział, kiedy je wypędzić w odległe pola, do lasu, lub do sąsiednich wsi. Miał swój wywiad, czy tylko węch, który go ostrzegał zawczasu, kiedy do wsi przyjedzie żandarmeria

po nowe rekwizycje czy na kontrolę. A już najlepiej administrował swoim wiernym towarzyszem pracy — koniem. Zawsze wiedział, kiedy koń ma być okulały, jak uczynić go niezdolnym do służby dla zwycięstwa Rzeszy.

Do rolnika dotarł szybko konsument miejski. Dotarł, bo musiał dotrzeć — inaczej umarłby z głodu. System kartek żywnościowych, tak znany w całej Europie i stosowany długie lata po wojnie, zawiódł na terenie General-Gouvernement całkowicie. Nie korzystali z niego nie tylko ci liczni, którzy żyli na fałszywych dokumentach, ale i ogół ludności. Trochę kartofli na jesieni, czasem parę metrów węgla, nieco czarnego pieczywa — ot było i wszystko, co okupant rozdzielał między tubylców. A tymczasem pracownicy miejscy, robotnicy i urzędnicy fabryk pracujących pod zarządem niemieckim otrzymywali płace równie fikcyjne, jak fikcyjny był cały system cen. „Wasser-zupka“ w czasie przerwy obiadowej i „zulagi“ dla ciężko pracujących niewiele zwiększały szanse przeżycia człowieka. Znana jest z tego czasu taka anegdota: Pyta się ktoś ojca rodziny, złożonej z pięciorga dorosłych osób: „Co tam u was słychać?“. „Ano, ja pracuję w fabryce motorów. Żona w fabryce igieł. Syn mój, Franek, jest konduktorem, Wacek pracuje w zakładzie oczyszczania miasta“. „No to z czego żyjecie?“. „Zapominasz, że jest jeszcze Katarzyna, żona Wacka. Ona nic nie robi!“. „Teraz to rozumiem“.

Otóż taka Katarzyna „nic“ nie robiąca musiała się znaleźć w każdej rodzinie, nie żyjącej z kapitału. Ona stawiała się żywicielką rodziny. Ona przenikała wszystkie stráže, omijając wszelkie zasadzki, i docierała do wsi. Tam dokonywała szybko targu i objuczona workami mąki, kosztami wędlin i nabiału wracała do miasta. Jej spryt decydował, jak ukryć ten bezcenny skarb po drodze: czasem w węglarce u kolejarza, czasem w przedziale „Nur für Deutsche“, nierzadko w ubikacji lub na dachu — co zaś było cenniejsze, na sznurze pod obszerną sukienką, na piersiach pod stanikiem. Nic to, smakowało później wszystko warszawiakowi!

Nieprzebrane były sposoby żywienia miast tą drogą, niezliczone rzesze tak zwanych szmuglerów. Mieszkańcy miast musieli się ratować przed śmiercią głodową; przedsiębiorczość i ryzykanctwo w obronie przed nią przekraczało najśmielszą wyobraźnię. Nie pomagały setki tysięcy straży rozstawionych w całym kraju, nie odnosiły rezultatów rewizje w każdym niemal pociągu. Niewtajemniczony obserwator, który z przestrawem i głębokim

współzuciem przypatrywał się jak „czarni“ wynosili po rewizji wagonów całe stosy żywności, ze zdumieniem dostrzegał następnie zapasy, jakie z tych samych wagonów unosili ze sobą szmuglerzy po osiągnięciu celu podróży. Nie było na nich rady ani w postaci specjalnych obozów karnych, ani więzień, ani strzałów, jakie do nich kierowano.

W pewnym momencie Niemcy otoczyli Warszawę wokół kordonem. Obsadzili wszystkie rogatki, dworce kolejowe i autobusowe. Pozostała jednak wierna Wisła. Widziałem sam, jak kobiety i mężczyźni wyskakiwali tłumnie ze statku w wodę z workami na plecach i w bród dosięgali brzegów, leżących w obrębie granic miasta. Parowiec przybijał do portu pusty. W ten sposób zaopatrywały się w żywność co dnia wszystkie większe miasta polskie, w tę żywność, której przeznaczeniem było służyć wykarmieniu Niemiec.

W miarę czasu system się udoskonalał. I rolnik nauczył się podchodzić wroga. Korzystając z zamieszania, wynikłego wskutek gąszczy różnych przepisów, rozporządzeń, kontyngentów, doprowadzał niejednokrotnie do takiego stanu rzeczy, że wszystko, co odstawił ze swego plonu do jednego urzędu, odbierał w drugim w postaci ziarna selekcyjnego czy rasowej trzody. Nauczył się też przekupywać niższych funkcjonariuszy niemieckich, wchodził z nimi w spółkę. Rozwinął się tajny handel hurtowy, szczególnie przy pomocy młynarzy. W wielu zagrodach chłopskich pędzono domowym sposobem spirytus. Rolnik na wsi bogacił się szybko.

Przyjeżdżał wtedy do miasta po zakupy. Ożywiały w ten sposób drobną wytwórczość chałupniczą. Powstawały warsztaty rzemieślnicze dla potrzeb, których zaspakajanie było przez Niemców zakazane. Nasze panie nauczyły się na przykład prążyć na domowych wrzecionach piękne samodziały z surowej wełny, dostarczanej po kryjomu ze wsi. Gdy rósł gwałtownie popyt na narzędzia rolnicze, zaczęto zajmować się nielegalnie ich produkcją. Gdy i tego nie starczało, rozwinął się specjalny przemysł „podbierania“ części wielkich transportów, jakie szły z Niemiec na Ukrainę. Do tego oczywiście trzeba już było albo roboty zbrojnej, albo też sprytnych machinacji z frachtami kolejowymi. Wspecjalizowano się również nieźle w fałszowaniu wykazów wielkich firm produkcyjnych, znajdujących się pod kontrolą okupanta.

Tylko część osiągniętego dochodu rolnik był w stanie umieścić

w mieście. Za resztę kupował dolary, a zwłaszcza złoto. Przyzwyczajenia w społecznościach ludzkich są zakorzenione głęboko. Świadczy o tym fakt, iż chłop polski, pamiętny strat swoich ojców w Pierwszej Wojnie Światowej, poniesionych w wymianie obcych znaków i przez dewaluację pieniądza, zachował największe zaufanie do złotych rubli carskich, które podówczas wartość swą utrzymały. Złote pięcio- i dziesięciorublowki najwięcej były poszukiwane w tajnym handlu i osiągały stosunkowo najwyższy kurs. Oplacało się bić je w mennicach holenderskich i przemycać do Polski. Niestety, wieś nie mogła się odbudowywać, gdyż Niemcy surowo tego wzbraniali, a postawienie nowej stodoly czy domu mieszkalnego ukryć się nie dało.

Równocześnie umacniała się organizacja życia miast. Robotnicy i pracownicy umysłowi fabryk i instytucji, podporządkowanych gospodarstwu niemieckiemu, nie na żarty przyjęli hasło przyniesione z Zachodu: „Pracuj powoli“. Obok znaku V (zwycięstwa) na wielu murach ulic, a już prawie na każdym parkanie fabrycznym, wymalowany był żółw. Coraz więcej trzeba było ludzi dla wykonania tej samej pracy, coraz mniej można było wywozić na pracę do Niemiec. Nie pomagały aresztowania i obozy, zjawisko było powszechne.

Ten zbiorowy wysiłek uzupełniały akcje podziemnych organizacji zbrojnych. Wśród przedsięwzięć przemysłowych w Warszawie znajdowała się wielka fabryka czekolady i wyrobów przetwórczych Fuchsa. Doniesiono, iż zmagazynowane zostały w niej duże ilości produktów, przeznaczonych na wywóz. Budynki i składy fabryczne były oczywiście pod strażą niemiecką. I oto pewnego dnia do środka wjechał szereg samochodów transportowych z obsługą wojskową. Rozkazy wydawane były po niemiecku, papiery były w porządku, nic nie budziło wątpliwości. Gdy już przecięto druty telefoniczne i zerwano sygnały alarmowe, a oddziały podziemne, przebrane w mundury Wehrmachtu, rozstawiły się należycie, w mgnieniu oka rozbrojono załogę wroga. Potem przez szereg godzin najspokojniej załadowywano samochody, które wywoziły towar i przyjeżdżały z powrotem. Gdy już zabrano wszystko, „*die polnische Banditen*“ ulotnili się tak samo spokojnie, jak się zjawili. W następne dni Warszawa zaopatrzona była w czekoladę, kawę, cukier, mąkę, a ważne ogniwo gospodarki niemieckiej zostało rozstrojone na dłuższy czas. Podobne akcje przeprowadzano we wszystkich miastach ziem polskich.

Straty zadawane okupantowi przez rozbijanie transportów były dlań szczególnie dotkliwe. Wspominałem już, że tą drogą zostawał w Kraju znaczny procent cukru. Nie piliśmy, jak za poprzedniej wojny, herbaty z melasą czy słodzonej żółtymi, mokrymi odpadkami. Podobnie nie odczuwało się jakiegoś strasznego braku skóry. Panie chodziły wprawdzie często na podszwach drewnianych, łączyło się to jednak nie tylko z trudnościami w otrzymaniu obuwia skórzanego, ale także z rozpowszechnioną modą. Pod Piasecznem zdołano zatrzymać pociąg i wyładowano z niego dwa wagony sera holenderskiego. Na rynku w całym kraju pojawił się nagle ten smakołyk niedostępny od lat. Gdzie indziej udało się wypróżnić parę samochodów ze szpulkami nici czy pasmami bawełny. Kobiety jęły się gwałtownie zaopatrywać w ten niezbędny dla domowego życia produkt. Na tej czy innej stacji kolejowej tłum w mgnieniu oka rozbierał stosy zrzuconego węgla. Cena tego podstawowego artykułu spadała w takich wypadkach na czarnym rynku z godziny na godzinę, stając się dostępną dla biedniejszych i marznących.

Zaopatrywanie ludności wykazywało więc pewne podobieństwa do tego, co obserwuję dziś w niektórych krajach Europy zachodniej, gdzie ograniczona ilość produktów i nie zawsze szczęśliwy sposób ich rozprowadzania powoduje, że w jednym mieście jest nadmiar pomarańcz a nie można dostać kartofli, w drugim zaś gniją pomidory zagraniczne a odczuwa się dotkliwy brak tytoniu. Jeden sklep zarzucony jest szpilkami, a w drugim są one chwilowo nie do nabycia. Tylko okoliczności i metody zaopatrywania pod okupacją były bardzo różne w zestawieniu z krajami, które cieszą się wolnością i mają swój własny, legalny porządek.

Ważnym czynnikiem w naszym życiu gospodarczym było wysysanie przez okupantów materiału ludzkiego na pracę do Niemiec. Wedle założenia miało to być przeprowadzane w drodze systematycznej rekrutacji wyselekcjonowanego materiału na wzór poboru wojskowego. Powołano w tym celu tak zwane *Arbeitsamty*, które obejmowały rejestracją ogół polskiej ludności od lat bodaj 14 aż do późnej starości. Akcja taka groziła sprawie Narodów Zjednoczonych większym niebezpieczeństwem, niżli pobór miliona rekruta polskiego, o który starali się Niemcy w r. 1917, chcąc przy jego pomocy przeważać wówczas szalę zwycięstwa. W wojnie obecnej waga robotnika oddanego na usługi przemysłu zbrojeniowego co najmniej równa była

żołnierzowi w linii. A okupant planował wydobycie z Polski wielu milionów pełnowartościowych robotników.

Werbunek wprost nie dawał wyników. Przyczyniał się do tego patriotyzm robotnika polskiego, jego instynkt trwania na własnej ziemi, pracowało nad tym usilnie polskie państwo podziemne. Gdy w centrum Warszawy, na Nowym Świecie, nad niemieckim biurem propagandowym rozwieszono wielki transparent: „Jedźcie z nami do Niemiec“, ktoś niezwykle zgrabny i odważny zdołał w nocy przemalować ten napis na: „Jedźcie sami do Niemiec“. Przeróbka tych dwóch liter zrobiona była tak znakomicie, iż Niemcy zorientowali się dopiero po kilku dniach. Napis budził tymczasem powszechne uznanie dla maksy i podziw dla jej autora.

Gdy nie pomagały ani kuszenia ani groźby, okupant zastosował środki gwałtu masowego. Służyły do tego specjalnego typu obławy uliczne, tak zwane „na pracę“, przeprowadzane głównie po miastach, w pociągach, kościołach i na drogach. Najczęściej obława taka zaczynała się we wczesnych godzinach rannych, gdy ludność szła do pracy. Czasem trwała parę tylko godzin, czasem ograniczona była do jednej tylko dzielnicy miasta. Niekiedy obejmowała równoczesnym zasięgiem całe połacie kraje i niby akcja wojenna ciągnęła się przez kilka dni. Oznaką nadchodzącej burzy było zagęszczenie posterunków żandarmerii, dyskretnie pochowanych po bramach domów. W określonej sekundzie wiązały się kordony, przecinające spokojnym mieszkańcom wszelką drogę ucieczki. W pościgu za uciekającymi strzelano, wdzierano się do poszczególnych domów. Nagromadzone z góry kolumny krytych wozów ciężarowych zwoziły materiał ludzki do punktów zbornych, za kraty, za druty kolczaste.

Organizacje podziemne broniły swych rodaków. Przez swą tajną sieć wśród polskich urzędników *Arbeitsamtów* zdobywały niekiedy ściśle daty zamierzonych łapanek. Czasem zdołały uchwycić tylko „klimat niespokojny“. Wówczas dzwonki telefoniczne brzęczały nerwowo: „Niepogoda dzisiaj, nie wychodzić na ulicę“. Rozbiegali się w najniebezpieczniejszym momencie łącznicy, a zwłaszcza łączniczki, aby ratować innych, odwoływać zebrania, ustalać późniejsze kontakty.

Najbliższe 24 godziny — to niesłychany wysiłek schwytych. ich rodzin i całego społeczeństwa w kierunku uwolnienia ofiar. Przekupienie straży, ucieczka, dostarczenie na czas prawdziwych lub fałszywych dokumentów, uzasadniająca konieczność pozostawienia

stawienia schwytanego przy jego dotychczasowej pracy, świadectwa zaraźliwej choroby, wreszcie odbijania transportów — oto cała gama inicjatyw, decyzji, wykonania, nadziei, próżnego często trudu, jaką grało życie polskie w owych chwilach.

Najsmutniejszy był los licznych rodzin urzędniczych. Skazane na głodowe pensje swoich ojców nie miały tej werwy, jaką przejawiał człowiek prosty. Toteż gruźlica zbierała obfite żniwo w ich zwłaszcza szeregach. Przyjęło się płacić za każdą usługę w urzędzie obsadzonym Polakami cenę dodatkową. Nie były to łapówki w rozumieniu normalnego ustroju — to była tylko samopomoc społeczna, niezbędna dla ratowania tych biednych ludzi przed śmiercią głodową. Ze wzruszeniem wspominam następujący fakt: W jednym z niemieckich urzędów podatkowych istniała sprawna poufna komórka mojej organizacji. Było zasadą, iż funkcjonariusze polscy dezorganizowali niemiecki system podatkowy, wymierzając płatnikom stawki fikcyjne, umarzając podatki zaległe, niszcząc dokumenty, a gdzie się dało stwierdzając fałszywie niemożność wyegzekwowania należności. Za to otrzymywali z kolei od zainteresowanych wysokie wynagrodzenie. Komórka naszej organizacji potrafiła przeprowadzić u siebie ścisłą kontrolę tych datków i co miesiąc regularnie wpłacała je na fundusz pracy podziemnej. Zarządziłem, aby część tej sumy rozdzielać równo między polskich pracowników tego urzędu dla podtrzymania ich własnej egzystencji.

Gdy maszyna niemiecka w trzecim czy czwartym roku wojny zaczęła się już rozpręgać, otwierało się pole do olbrzymich nadużyć znakomicie potęgujących to rozprężenie. Okupant nie mógł się obyć całkowicie bez polskiego pośrednika i dostawcy. Ten, nie mając żadnych skrupułów, czynił wszystko, aby zdobyć na Niemcach fortunę, oszukać ich, a potem zniknąć pod fałszywym nazwiskiem. Korzystał przy tym z niezwykle ciężkości aparatu biurokratycznego, skomplikowanego podziału kompetencji, no i bardzo obniżonego „morale“ funkcjonariuszy niemieckich.

Konieczność objęcia administracją całej niemal Europy wpłynęła na to, że urzędnik niemiecki nie był już na poziomie, jaki cechował go dawniej. Na dygnitarzy w Polsce wyrosli hitlerowcy, którzy przed wojną gdzieś w Magdeburgu czy Dreźnie golili klientom brody albo łątali spodnie. Wypełniali teraz misję dziejową szerzenia „wyższej kultury“ w podbitym kraju, ale nie cofali się równocześnie przed maczaniem palców w ciemnych afe-

rach finansowych — gdy w tym samym czasie ich bracia krwawili się na frontach.

Oto np. zarząd kolei niemieckich podpisał umowę na dostawę kilku wagonów blachy. Załadowano ją na jednej ze stacji warszawskich. Wydane zostało potwierdzenie załadowania. Na następnej stacji podmiejskiej wagony zostały wypróżnione, towar wracał potajemnie do Warszawy i stawał się po raz drugi i trzeci przedmiotem transakcji. W jaki sposób można było ukryć takie nadużycia? Frachty adresowane były, powiedzmy, do Krzywego Rogu, Taganrogu, czy Rostowa nad Donem, bo z przebiegu działań wojennych jasne było, iż Niemcy lada dzień tę pozycję utracą. W najgorszym razie można było zrzucić odpowiedzialność na zamieszanie wojenne, czy na akcję partyzantów. Sprzedawano tą drogą przy pomocy przekupnych urzędników mosty na Pilicy, które nigdy nie były rozebrane, złom, którego już dawno nie było, podkłady kolejowe z wyrąbanego przed tym lasu. Czasem historia taka się wydała — i wtedy paru ludzi traciło głowy, częściej jednak uchodziło wszystko bezkarnie; potrafiąco na czas sprawę zatuszować. Wyrastali nowi bogacze, którzy kupowali domy, akcje, przede wszystkim zaś dewizy i złoto.

Dolar był faktyczną obiegową walutą kraju. Złotówka służyła tylko w zakresie drobnego codziennego obrotu. Stopniowo powstawały tysiące punktów kupna i sprzedaży „sztywnej waluty”. W każdym banku było po paru urzędników, którzy się tym tajnie zajmowali. Transakcje, dokonywane w korytarzach czy w kłozetach, były na pewno większe od oficjalnych operacji całego banku. Sub-agentów można było znaleźć w mieszkaniach każdej ulicy, ba nawet na samych ulicach w ożywionych częściach miasta. „Złoto kupuję, złoto, dolary“ — słyszało się niezmiennie. Niemcy próbowali chwycić tych przekupniów, zaskakując ich obławami. Częściej jednak — korzystali po kryjomu z ich pomocy, aby zaopatrzyć swój skarb w niezbędne dla maszyny wojennej, a tak skąpe środki. Jakaż głęboka była w tym ironia losu, jakież pomieszenie zasad ekonomicznych!

Istniała też regularna tajna giełda. Co dzień koło 12-ej w południe, można się było dowiedzieć o kursie walut, który następnie ściśle się obserwoowało. Kursy wahały się gwałtownie, ale miały swoje prawa i swą logikę. Wpływał na nie przebieg wydarzeń wojennych, stopień nasilenia rynku walutą, którą na swoich piersiach, w odpowiednio zabezpieczonych pasach przywozili skoczkiwie spadochronowi — a wreszcie pora roku. W lecie

na przykład kursy walut gwałtownie spadały, haussa zaczynała się znowu na jesieni.

Każdy niemal obywatel, chcąc jakoś utrzymać się na powierzchni życia, musiał nawiązać styczność z tym przedziwnym rynkiem finansowym. Gdybym zachował osiągniętą przez sprzedaż domu sumę w mieszkaniu, czy odniósł do banku, po paru zapewne miesiącach musiałbym już szukać kupca na następną nieruchomość. Nie miałem ich wiele — wobec czego stawała przede mną decyzja, jak zabezpieczyć swe środki materialne. Wpędce nauczyłem się tej sztuki. Gdy zbliżała się wiosna, kupiłem jakąś mniejszą nieruchomość, pozostawiając na przeżycie tylko część sumy. Nieruchomość tę odsprzedałem w okresie lata, gdy stosunkowo najbardziej zyskała na cenie. Wtedy kupiłem dolary, po najniższym kursie. W okresie jesiennej haussy wymieniłem znowu walutę i po potrąceniu środków na dalsze przeżycie kupiłem inną nieruchomość. Tą drogą można było nie tylko zachować, bez codziennej pracy zarobkowej, substancję majątku, ale i pokrywać duże koszty, związane z podstawowymi wymogami bezpieczeństwa.

W tych nieprawdopodobnych warunkach starałem się jednak coś niecoś i zarobić. Oczywiście nie mogłem prowadzić kancelarii adwokackiej w normalnym pojęciu tego słowa. Ale zdarzało się, że uparty jakiś klient z dawnych, dobrych lat dotarł w podziemie i odnalazł mnie. Tematem konferencji były zazwyczaj zagadnienia podstawowego zadysponowania jego majątkiem. Czy kupić w danych warunkach dom? Czy wyzbyć się portfela akcji w przemyśle? Jak zabezpieczyć nieraz poważne prawa majątkowe? Jak rozstrzygnąć w drodze polubownej spór spadkowy? Jak napisać testament, skoro się nie wie, kto żyje i kto żyć będzie? Za takie konferencje pobierałem bez skrpułów wysokie honoraria od klientów, którym w ciągu wojny portfele napeczniały.

Pewien skromny urzędnik akcyzy skarbowej w moim dawnym okręgu poselskim wykorzystał w pełni swoje doświadczenie, aby w ciągu lat wojny zrobić na Niemcach fortunę w handlu spirytusem. Stąd dalsze jego zainteresowania prawno-gospodarcze i przyczyna nawiązania ze mną kontaktu. Człowiek był miły i odważny, nie bał się pójść ze mną po konferencji na wódkę, którą szczerze fundował. Kiedyś po dobrym śniadaniu, spytał, jak zamierzam dalej rozporządzać swoim czasem. Odpowiedziałem, że idę do jednego z zaufanych antykwariuszy. Wśród cudownych ksiązek, pochodzących ze starych zbiorów, które wojna rozbiła

i poniszczyła, a które wyprzedawane były z nędzy, najlepiej kołem rozstrojone nerwy. Spędzałem tam czasem po parę godzin i największą było dla mnie przyjemnością wybrać sobie dwa czy trzy naprawdę ciekawe tomy. „Czy pozwoli Pan, że pójdę z nim?“ — zapytał.

Właściciel antykwarni potrafił wzbudzać kult dla książki. Mój towarzysz słucał, przyglądał się, a wreszcie zapytał, jakie tu widzę najcenniejsze komplety. Kupił przy mnie kilka książek, ale na drugi dzień poszedł już sam i wybrał według uzyskanych wskazówek cały ich stos. Gdy w jakiś czas później odwiedziłem ponownie antykwariusza w towarzystwie swego klienta, zauważyłem, że jest on przyjmowany co najmniej z tym samym szacunkiem, co ja. Stał się najpoważniejszym odbiorcą książek, które chował u siebie w domu w skrzyniach jako wiano dla jedynej, młodziutkiej jeszcze córeczki. Chciałbym posiadać ten jego księgozbiór, którego on sam nie miał zresztą okazji przeczytać. I ten księgozbiór spalił się w Warszawie w czasie powstania.

Na tle takiego obrazu stosunków rozrastała się równocześnie nowa stosunkowo warstwa społeczna, mieszczaństwo polskie. Na miejsce zamkniętych w ghełtach, a potem bestialsko przez Niemców wymordowanych Żydów ich gospodarczą pozycję z dnia na dzień przejmował polski robotnik, chłop i inteligent, przekształcając się w sklepikarza, pośrednika czy właściciela warsztatu rzemieślniczego. Przystępował do tego z wielką zaiste fantazją. W ciągu kilku lat powstały z niczego tysiące drobnych przedsiębiorstw z towarem, który trzeba było w dzień ukrywać przed okupantem, a na noc wynosić go w obawie przed rabunkiem. Przedsiębiorstwa te powstawały bez kredytu, wśród najróżniejszych trudności, spowodowanych przez restrykcje i braki terenu działań przyfrontowych. W doświadczenie bogaci byli tylko kupcy poznańscy, którzy — postradawszy wszystko — dochodzili szybko w nowych warunkach do znacznych majątkości. Reszta zastępowała całkowity brak przygotowania intuicją, ryzykanctwem i ciężką pracą.

Ileż na przykład kobiet spośród inteligencji żyło i utrzymywało swe rodziny jedynie dzięki umiejętności gospodarczego wykorzystania tych małych paczek z kawą, migdałami, figami, które drogą przez Turcję czy Portugalię przychodziły od bliskich z Zachodu. Kuchnie wspaniałych ongiś mieszkań stawały się warsztatem pracy zarobkowej. Przepisy kulinarne naszych prababek, z pokolenia na pokolenie przekazywane gospodyniom domu, poma-

gały teraz do pieczenia najlepszych na świecie tortów, ciast i smakołyków. Rodziły się jak grzyby po deszczu małe kawiarrenki, w których można było się tymi produktami delektować przy czarnej kawie, podawanej wprawdzie niemal w napastkach, ale przyrządzanej z takim kunsztem, o jakim nie ma się pojęcia w krajach bogatych, nietkniętych przez wojnę. Kawiarrenki te były solą w oku Niemców. Służyły z reguły za punkty łączności świata podziemnego. Miałem i ja taką ulubioną kawiarrenkę na ulicy Wspólnej — kofeina była mi potrzebna do podtrzymania organizmu. Wpadałem tam dziennie po kilkakroć, za każdym jednak razem stojąca za ladą właścicielka umówionym znakiem głowy dawała mi znać, czy przekroczenie progu nie będzie połączone z niebezpieczeństwem. Znała wszystkich swych klientów znakomicie.

Jestem świadom nie tylko wielkich wartości, jakie społeczeństwo polskie wykazało w walce gospodarczej o swe zachowanie się — ale zdaję sobie też dokładnie sprawę, ile kalek moralnych walka ta, prowadzona przy pomocy nadużyć, spekulacji, z całkowitym lekceważeniem jakiegokolwiek porządku prawnego, musiała w skutkach przynieść. Jednego żądam: aby na tej podstawie opinia Zachodu nie formułowała poglądu, że to, co się dzieje w Europie Wschodniej, nosi cechy strukturalne, że tam „zawsze tak było“ i tak być musi. To nieprawda. Niemcy ze swą „wyższością cywilizacyjną“, Rosja ze swym barbarzyństwem dążą do przekształcenia narodów Europy Środkowo-Wschodniej w trzody niewolników. Niewolnik musi się bronić sposobami, które mu zostają do dyspozycji. Gdy nie staje oręża, walczy podstępem, rwie wszystkie więzy, które go krępują, nie licząc się z tym, że sam się przy tym rani. Niechaj inne narody pamiętają, że i one w wyniku obrony swej wolności i swoich celów politycznych posiadają wielu wojennych inwalidów. Leczy się ich, dokonywa zabiegów chirurgicznych, otacza troską i współczuciem. Nikt przecie nie twierdzi, że społeczeństwa te składają się z samych inwalidów, lub że kalectwo jest ich stanem organicznym. Chyba, że komuś na tym bardzo zależy — ale dla tych, którzy z inwalidztwa innych robią przedmiot szyderstwa i nieuczciwych spekulacji politycznych, mam pogardę.

Wskazówki na zegarze historii posuwały się szybko. Szczególnie szybko biegł czas w kraju pod okupacją wroga. Konieczność wyłączenia maximum energii w zakresie spraw osobistych, ścisłe powiązanie losu jednostki z kataklizmem, który przeżywało spo-

leczeństwo, codziennie inna sytuacja, co chwila nowe niebezpieczeństwo — oto był żywioł, który pochłaniał uwagę do tego stopnia, iż kalendarzem naszym była tylko jesień i wiosna. Na jesieni mówiło się z całym przekonaniem: byle przetrwać do wiosny... na wiosnę mówiło się: do jesieni będzie koniec.

Dzień liczył się tylko od komunikatu do komunikatu. Komunikat to pokarm dla głodnych i spragnionych. To niezbędna dawka morfiny dla narkomanów. To źródło nadziei, to jedyna nić łącząca nas z przyszłością — to wreszcie ostateczny sprawdzian celowości składanych ofiar. Dlatego nie było ryzyka, na które człowiek podziemia by się nie powążył, byle zdobyć codzienny komunikat i rozszerzyć wiadomości w nim zawarte wśród grona przyjaciół, znajomych, towarzyszy walki.

Każda większa organizacja miała ambicję posiadania własnego nasłuchu radiowego. Nie koniec na tym. Zamotowane wiadomości należało puścić natychmiast w obieg. Tajne drukarnie nie mogłyby podjąć zadania w należyтым tempie, toteż dziesiątki maszyn do pisania tłukły komunikaty na woskówkach, następnie zaś odbijano je na powielaczu. W ten sposób już około 10-ej rano co dnia i bez żadnej przerwy ukazywały się na mieście drogocenne wiadomości, oparte na nadaniach stacji angielskich, amerykańskich, francuskich i moskiewskich a nadto szwajcarskich i niemieckich — z całego dnia poprzedniego i nocy aż do 6.30 rano. Jedna tylko warszawska sieć Armii Krajowej rozprowadzała w pewnych okresach wojny do siedemdziesięciu tysięcy egzemplarzy tych komunikatów. Z równą szybkością obsługi czytelnika niewielka chyba tylko część prasy światowej! Śmieliśmy się nieraz serdecznie, gdy z Zachodu dochodziły oficjalne informacje o losach wojny z parotygodniowym nieraz opóźnieniem. Nasze informacje były nie tylko wcześniejsze, ale i dokładniejsze.

A teraz proszę zastanowić się na chwilę: ile maszyn do pisania trzeba było ukryć przed okiem najeźdźcy. Ile papieru trzeba było zdobyć w drodze nielegalnej. Ilu mężczyzn i kobiet pracowało w największym napięciu nocy całe przy drukowaniu i odbijaniu tych wiadomości. Jak olbrzymi aparat kolportażowy był potrzebny do rozprowadzenia komunikatów na tajne punkty odbiorcze. Ile takich punktów odbiorczych trzeba było zorganizować i czuwać nad ich bezpieczeństwem. Ileż ofiar kosztowało, co dnia, co godzina, aby bez względu na łapankę, bez względu na masowe aresztowania, bez względu na „wpadki“, dostarczyć na czas społeczeństwu wiadomości!

Przez długi czas korzystałem z punktu odbiorczego umieszczonego w magazynie konfekcji męskiej. Około 12-ej w południe poczynało się roić od klientów, którzy pozorując zamiar kupna pary skarpetek, koszuli czy krawatu przemykali się chyłkiem do położonego w tyle małego pokoiku. Ktoś stał na straży zewnątrz, ktoś inny czytał półgłosem ostatnie wiadomości. Przy zapuszczonych storach rozdzielano później między nadchodzących łączników po kilka egzemplarzy biuletynu. Jeden wkładał je w but, drugiemu do tego celu służyło podwójne dno w teczce, kobiety lubiły chować je pod stanikiem czy gorsetem. W kwadrans później sklep pustoszał, punkt spełnił na dzisiaj swoje zadanie. A jeśli kolporterka się spóźniała — jakaż niesamowita cisza panowała w tym gronie!

Codzienne komunikaty to tylko drobny wycinek prasy podziemnej. Delegatura Rządu, organizacje zbrojne i ruchy polityczne wydawały swoje periodyki, odbijane już na zwykłych maszynach drukarskich. Co więcej, ukazywały się też pisma o podłożu religijnym, pisma, mające za przedmiot kulturę narodową, wychodziły książki, podręczniki. Ideę miały wspólną: zagrzewały do walki, rysowały przyszłość kraju, budziły czujność. Styl ich był rozmaity: jedne były na poziomie wysokim, inne przesadny kładły nacisk na różnice wewnętrzne, dolewając goryczy do tragicznej i tak już rzeczywistości. Oczywiście nie każde go było stać na ogarnięcie całokształtu problemu, gubiono się niekiedy w drobiazgach, we własnych krzywdach, grzebano się w przeszłości. Natura ludzka nie zmienia się szybko pod wpływem najsilniejszych nawet doświadczeń. Można więc powiedzieć, że przegląd treści tych wydawnictw podziemnych dawał rzeczywisty obraz wszystkich cech, zalet i ułomności, jakie charakteryzują każde żywe społeczeństwo. Bez względu jednak na poziom, u podstaw tej prasy był zarliwy patriotyzm i chęć służenia sprawie.

Panowała bezwzględna wolność prasy, taka jakiej na świecie w normalnych warunkach w ogóle nie ma. Jedyną cenzurą było sumienie obywatelskie jej wydawców, jedynym ograniczeniem śmierć, jaka czyhała zza progu.

Na autorze ciążyła za artykuł wielka odpowiedzialność. Nie zawsze można było zgromadzić na czas komitet redakcyjny, który by artykuł skontrolował. Ileż to razy trzeba było zapelnąć numer w ostatniej sekundzie, bo zabrakło pisarza, który miał dostarczyć materiału. Wówczas siadał do pisania nawet student,

co czekał na ekspedycję. A przecież każde słowo drukowane w podziemiu było przez czytelnika przyjmowane jako dogmat, czytane z czcią niemal religijną.

Drukarnia nie była przedsiębiorstwem mieszczańskim w określonym domu, na określonej ulicy miasta, do którego by redaktor zajeżdżał z rękopisem, troszczył się o korektę — a reszta go nie obchodziła, co najwyżej martwił się o honorarium, jeśli przedsiębiorstwo kulało.

Gdzieś w rozwalonym domu czy w piwnicy nieczynnej fabryki, z dala od ruchu wielkomięjskiego, budowano zakłady wydawnicze. Znalazły się już pieniądze, trzeba teraz kupić maszyny. Wielkie firmy skupu złomu, licencjonowane przez Niemców, miały w swoich magazynach wiele pierwszorzędných linotypów i inne prymitywniejsze maszyny, które choć przeznaczone na rozbicie, mogły doskonale służyć naszym celom. Należało nacisnąć odpowiednie sprężyny, umieć zainteresować finansowo kierowników firm, trafić do patriotycznych uczuć tamtejszych polskich pracowników i dostarczywszy na zamianę odpowiedniej ilości złomu, pod osłoną nocy czy innych sprzyjających warunków, przejąć te maszyny w swoje posiadanie.

Z kolei narastało zagadnienie przystosowania siedziby do potrzeb rozrastającego się przedsiębiorstwa i do wymogów bezpieczeństwa. Jedną z najlepiej wyposażonych drukarni podziemnych w Warszawie, jaka była w dyspozycji Narodowych Sił Zbrojnych, budowała młodzież w ten sposób, że miesiące całe wynosiła ziemię spod budynku fabrycznego w teczkach, aby dokonywujące się roboty nie budziły uwagi Niemców. Tak wyniesiono kilka tysięcy metrów sześciennych ziemi i gruzu, zbudowano nowoczesną halę maszyn, pokrytą w górze pozorowanymi zakładami pracy, z tajnymi przejściami, z ukrytą siłą elektryczną, doskonałą instalacją alarmową. Zdawało się, iż tej drukarni wróg nie odnajdzie. Przypadek zdarzył, że stało się inaczej.

Ta sama obszerna posesja służyła jako schronienie dla innej placówki pracy konspiracyjnej, kierowanej przez inną organizację. Albo jedna nie wiedziała o istnieniu drugiej, albo też rozrastająca się sieć podziemna i zwiększająca się stale liczba wykrytych, t. zw. „spalonych“, siedzib, zmuszała do równoległego korzystania z tego samego terenu. Dość, że idąc śladami tamtej organizacji Gestapo otoczyło pierścieniem cały teren wokół.

Nastąpiła szczegółowa rewizja. Niemcy chodzili nad drukarnią, weszli, ale nic podejrzanego nie znaleźli. Usuając z we-

wnętrz posterunki rozluźnili kontrolę na zewnątrz. W tym czasie pracowało w drukarni dwudziestu paru mężczyzn. Ich zwierzchnik, inżynier i zarazem oficer rezerwy, wydawał spokojnie rozkazy niby kapitan na tonącym okręcie. Wypuścił kolejno najmniej niezbędnych dla Sprawy i najmłodszych. Kilku szczęśliwie wydostało się. Wkrótce jednak Gestapo wróciło znowu na posesję, tym razem w zwiększonej liczbie. Badało ściany, podłogi — natrafiło na zamaskowane wejście. Nie było rady, trzeba było walczyć. Wybuchły granaty, padły serie strzałów, rozwinęła się regularna bitwa. Równocześnie zaczęto palić wydrukowane świeżo w języku niemieckim i przygotowane do ekspedycji ulotki, przeznaczone dla demoralizowania szeregów armii niemieckiej — niechaj się wróg nie dowie ich źródła. Niszczono się też wszystkie dokumenty, aby ślad nie zaprowadził wroga ku dalszym rewizjom, aresztowaniom i mordom. Nie poddał się nikt. Po kilku godzinach zaciętych zmaganiach Gestapo zdobyło już tylko zdemolowany lokal i zwłoki kilkunastu drukarzy, żołnierzy-bohaterów.

Podziemie rozrastało się, pęczniało tak dalece, że wszystko, co było na jego powierzchni chwiało się w posadach. Centrum jego energii leżało w Warszawie. Tu zbiegały się wszystkie nici, stąd szły wszystkie rozkazy. W oczach Niemców „*Aufstandsbewegung*“ nabierało charakteru jakiejś hydry, której macki sięgały wszędzie, a odcięte rozrastały się na nowo jeszcze rozleglej. Bo rzeczywiście, do jakichże to dziedzin nie sięgała tajna działalność!

Oto z obozów jeńców uciekają Anglicy. Trzeba na gwałt się nimi zająć, to przecież nasi przyjaciele i sprzymierzeńcy. Powstaje specjalna komórka, złożona z osób, które władają językiem angielskim i mają odpowiednie warunki mieszkaniowe a także materialne, aby przechować bezpiecznie naszych towarzyszy broni przynajmniej tak długo, aż nie uda się zorganizować przetransportowania ich poza zasięg władzy wroga. Sporo było tych Anglików. Mili chłopcy, wdzięczni, ale zgoła nie orientujący się w ogromie niebezpieczeństwa, jakie było związane z ich ukrywaniem. Nie mogli usiedzieć w domu — jeździli tramwajami, nie umiając zażądać po polsku biletu, widziało się ich u fryzjerów, jak wyrażali swe życzenia na migi. Panny nasze marzyły o tym, aby ich gościć na five o'clockach, smakowała im wódka w polskich restauracjach. W mieszkaniach prywatnych leczono się ich natyfuś plamisty albo dokonywało zabiegów chorurgicznych. Przez długi czas uchodziło to bezkarnie ponad wszelkie spodziewanie. Sieć

podziemia funkcjonowała znakomicie i przesyłała raz po raz Anglików do Rosji w kierunku na Odesę, albo do Turcji poprzez Węgry i Bułgarię — wreszcie gdzie się dało. Razu pewnego jednak żołnierz angielski schwytyany został na bułgarskiej granicy. Badany, opowiedział swe fantastyczne przygody z całym uznaniem dla ofiarności jego polskich przyjaciół. Sprowadzono go do Warszawy i skonfrontowano z kobietami, którym zawdzięczał opiekę. Zaprzeczały wszelkiego z nim kontaktu. — „Przyznaj się Wando. dali mi przecież słowo honoru, że wam nic nie zrobią“ — nalegał w dobrej wierze Anglik. Powędrował on z powrotem do Oflagu, ale Wanda i jej matka utraciły życie. Nie miały doń żalu — na ich miejsce podejmowały się tego samego trudu dalsze Polki. Akcja ochraniań Anglików w podziemiu kosztowała wiele ofiar, wśród nich życie byłego ministra i wybitnego ekonomisty Antoniego Olszewskiego oraz jego całej rodziny.

Założono na ziemi polskiej obozy dla żołnierzy włoskich, którzy wierni rozkazom króla, zaprzestali działań wojennych na froncie wschodnim. Całą pasję nienawiści wyładowywali teraz Niemcy na tych bezbronnych a zbuntowanych sprzymierzeńcach. Biedakom niewiele można było pomóc, niemniej Polacy starali się pokazać im choćby odrobinę serca, by zmanifestować swą sympatię dla narodu, z którym wiąże ich głęboka tradycyjna przyjaźń. Znowuż starania o paczki żywnościowe, o bieliznę, znowuż próby ułatwiania ucieczki.

Na szlaku swych wędrówek spotkałem oficera węgierskiego, który rzuciwszy broń zablakał się w polskie społeczeństwo. Ukrywali go chłopcy tak długo, aż trafił pod opiekę polskiej organizacji zbrojnej. Węgra uważało się za brata, nigdy za wroga, nawet wtedy, gdy go Niemcy zmuszali do walki przeciw naszej sprawie.

W r. 1948, już w trakcie spisywania tych wspomnień, poznałem w Paryżu oficera jugosłowiańskiego, byłego adiutanta generała Michajłowicza. Mówił płynnie po polsku. Skąd? Oto i jego burza dziejowa zagnała na ziemię polską. Walczył czas jakiś w szeregach Armii Krajowej, stanął na czele oddziału partyzackiego, zdobył przyjaźń i zaufanie podkomendnych. Dziś uznaje on Polskę za swą drugą ojczyznę. Taką oto drogą prowadziło podziemie swą „politykę zewnętrzną“.

A teraz parę przykładów z „bieżących“ zagadnień polityki wewnętrznej. Rozważamy opiekę społeczną. Rozpijanie mas przez okupanta zaczęło przybierać groźne rozmiary. Chłop na wsi pę-

dził potajemnie ze zboża czy kartofli olbrzymie ilości spirytusu. Używał do tego chemikalii czy po prostu karbidu i zatrzymywał swe zdrowie. Trzeba było przeprowadzić szeroką akcję propagandową tajnymi ulotkami, tworzyć specjalne komórki pracy podziemnej w związku z tym zagadnieniem, a wreszcie niszczyć siłą domowe gorzelnie, nawet karać opornych.

Niemcy postanowili w sercu Polski, w Zamojszczyźnie, urządzić jeszcze czasu wojny coś w rodzaju niemieckiego rezerwatu. Wszystkich dorosłych mężczyzn i kobiety, a nawet подростki, wywożono z obszaru całego powiatu w głąb Rzeszy. Ich ziemie i warsztaty pracy przydzielono w nagrodę za zasługi oprawcom z Gestapo. Na miejscu zostały tylko maleńkie dzieci i niemowlęta. Wyrwane siłą rodzicom, pozbawione opieki, czekały na śmierć. Wywołało to ze strony społeczeństwa polskiego taką żywiołową odzież oburzenia, że Niemcy zatrzymali się w pół drogi. Zgodzili się ostatecznie przekazać maleństwa pod opiekę Rady Głównej Opiekuńczej, jedynej instytucji charytatywnej, działającej za ich upoważnieniem. Wśród wielkiego chłodu, w fatalnych warunkach higienicznych, transporty tych dzieci rozrzucone zostały po kraju. Nikt nie wiedział, kiedy i dokąd przybędą. Tłumy kobiet oblegały dniami i tygodniami dworce na każdą pogłoskę o zamierzonym nadejściu tego czy innego transportu. W oczach żandarmerii zaczynała się szlachetna rywalizacja. Ani jedno dziecko zamojskie nie pozostało bez przybranych rodziców, choć wiele spośród nich nie umiało jeszcze wskazać swego pochodzenia a nawet imienia. Nie było obawy, aby którekolwiek zostało pokrzywdzone, był natomiast strach, aby najmniejsze opóźnienie w działaniu nie przyczyniło się do tego, że polskie dziecko dostanie się w ręce niemieckie. Nad wszystkim czuwało państwo podziemne.

Niemcy założyli w Warszawie kasyno gry — dla Polaków. Nie podobna zrozumieć, jakimi się tu kierowali względami, chyba konsekwentnym dążeniem do moralnego rozkładania społeczeństwa. Bilet wstępu do kasyna służył, rzecz charakterystyczna, jako przepustka do obracania się po mieście nawet w godzinach nocnych. Było to jedyne miejsce publiczne, w którym nie przeprowadzano obław. Uczęszczały doń tylko meły społeczne. Był namiętność gry nie wciągała do kasyna słabszych charakterem, tajne organizacje ogłaszały w prasie nazwiska uczęszczających, sądy publikowały wyroki potępiające.

Radą Główną Opiekuńcza była pomyślana przez okupanta ja-

ko instytucja, która pozwoli zachować pozory troski o los nędzy polskiej, a w gruncie rzeczy służyć będzie za posłuszne narzędzie w przystosowywaniu społeczeństwa do nowej roli sług Wielkiej Rzeszy. Wielu ofiarnych Polaków, którzy podjęli się pełnienia czołowych funkcji w tej instytucji, musiało nieustannie przeprowadzać rozróżnienie pomiędzy obowiązkiem ulżenia niedoli społeczeństwa a przyjmowaniem narzuconego im charakteru przedstawicieli narodu, pogodzonego z rzeczywistością polityczną. Jeśli wyszli z honorem z tej trudnej sytuacji mają to do zawdzięczenia przede wszystkim moralnemu wsparciu, jakie czerpał od niezłomnego księcia kardynała Sapięhy, metropolity krakowskiego, i lojalnemu posłuszeństwu władzom państwa podziemnego, które w ten sposób kierowało rozwojem wydarzeń, będących nawet pod formalną kontrolą władz „General-Gouvernement”.

Stan oświaty w Polsce, w miarę jak od chwili najazdu wrogów upływały lata, groził samym podstawom naszego bytu. Co będzie, jeśli wraz z systematycznym niszczeniem naszej inteligencji nie zdołamy wychować nowych jej kadr? Co stanie się z naszą młodzieżą, jeśli kształciła się będzie tylko na nienawiści ludzkiej, na szalejącej spekulacji, żyjąc w ucieczce od pracy, planując tylko z dnia na dzień?

Samorzutnie zaczęły powstawać tajne komplety nauczania. Stopniowo ujęto je w sieć organizacyjną, przeprowadzono system egzaminów, świadectwom z ukończenia nauk nadawano „placet” państwowe. Co dzień lekcje odbywały się w innym mieszkaniu. Młodzież, ba dzieci, musiały osiąść całą sztukę konspiracji — narażone były przy każdym wyjściu na ulicę, choćby z powodu książek do nauki, które niosły pod pachą. Zgromadzenie większej liczby chłopców, czy nawet dziewcząt w lokalu stanowiło nieustanne ryzyko. Mimo to we wszystkich miastach, miasteczkach, w miejscowościach letniskowych, w osadach fabrycznych i nawet po wsiach tajna nauka ogarniała olbrzymie zastępy uczniów. W Warszawie stanowiło to jedno z najbardziej ożywionych ogniw pracy podziemnej.

Tak samo rozwinęła się szybko inicjatywa w zakresie studiów uniwersyteckich. Ot, na przykład, jeden z wybitnych lekarzy, docent Uniwersytetu Warszawskiego, uzyskał zgodę władz niemieckich na założenie szkoły pielęgniarstwa. Ten stopień kształcenia młodzieży polskiej był jeszcze tolerowany przez okupanta. Dzięki niezłomnej energii kierownika szkoły i milczącego sprzyśięnia wykładowców oraz słuchaczy wykłady, laboratoria,

ćwiczenia zaczęły przybierać pod okiem Niemców charakter tajnego studium medycyny. Naturalnie były później aresztowania, były i dochodzenia — ale odpowiadały im natychmiast nowe wysiłki, nowe poczynania. Społeczeństwo broniło się żywiołowo przed sprowadzeniem go do poziomu pastuchów.

W podobny sposób wszyscy niemal profesorowie wyższych uczelni, którzy pozostali przy życiu, i nie zostali jeszcze aresztowani, podejmowali trud kształcenia młodzieży. Powstały lotne studia prawa, humanistyki, chemii, handlu. Wykładowcy powtarzali swoje wykłady po kilkakroć dziennie w gronie 8—10 słuchaczy, biegając z jednego końca miasta w drugi. Musieli przy tym pokonywać tak zwykle u czcigodnych profesorów roztargnienie i zachować należycie w pamięci wszystkie adresy, nie zmylić konspiracyjnego hasła. W rezultacie zorganizowane zostały regularne uniwersytety podziemne z rektorami i dziekanami na czele.

Młodzież przykładała się do swych obowiązków lepiej niż kiedykolwiek. W jej oczach dodawało nauce uroku to, że była prześladowana. Uczono się samodzielnie i z zapalem. Jedyłą przyczyną nieobecności na wykładzie były łapanki, aresztowania, zagrożenie lokalu. Administracja zajęć znajdowała się w rękach samej młodzieży. Więzy między profesorem a studentem zadzierzgały się silniej, niżli w najlepiej prowadzonych college'ach sławnych uczelni zachodnio-europejskich. O sukcesie w dziedzinie poczynił oświatowych, jak i we wszystkich innych, zdecydowało to, że mało w nich było teoretycznych rozważań, szerokich planów, a dużo realnego wykonania.

Polityka wewnętrzna polskiego podziemia polegała przede wszystkim na akcji samoobrony. Niemcy, załatwiwszy się z Żydami, rozpoczęli na naszych ziemiach wschodnich, na Wołyniu i Podolu, stałą swoją grę szczytia Rusinów i Ukraińców przeciw sąsiadom-Polakom. Rozgnienie doprowadziło do rzezi. Dziesiątki tysięcy obywateli postradało w niej życie. Wykluwano oczy dzieciom, wieszano księży na koronie cierniowej, robionej z drutu kolczastego. Okupanci niemieccy przez długi czas przyglądali się temu biernie. Szukaliśmy pomocy u wojsk węgierskich, które w tym czasie stacjonowały na naszych kresach, głównie jednak trzeba było liczyć na własne siły. Potrzebna była broń i pieniądze.

Tajna organizacja zbrojna w Małopolsce wschodniej była pod rządami „General-Gouvernement“ stosunkowo słaba. Przetrze-

biła ją uprzednio okupacja sowiecka lat 1939—41. Ta część ludności, która ocalała z pogromu bolszewickiego, żyła nadzieją, iż nowy okupant niemiecki, pogrążony w ciężkiej walce z Rosją, zostawi te ziemie w spokoju. Przeważała wśród tubylców opinia, że nie należy go drażnić zbyt silnym rozbudowywaniem podziemia. Okazało się jednak raz jeszcze, że Polacy w żadnej okoliczności nie mogą liczyć na to, iż słabość i nieprzygotowanie stanowiąc będzie ich atut.

W niezmiernie trudnych warunkach, gdy cały kraj gotował się już do powstania a terror niemiecki szalał, trzeba było organizować a właściwie improwizować obronę zdziesiątkowanej polskości na ziemiach wschodnich przed zdziczeniem Ukraińców. Ludność ściągała do miast, na terror zaczęła odpowiadać terrorem i w walce pozycje swe utrzymała, a nawet powoli je rozbudowywała. Wtedy dopiero Niemcy w obawie, że ich zaplecze frontowe ogarnie chaos wojny domowej, w kilku wyprawach sami wyniszczyli podburzone przez siebie bandy i przywrócili spokój. Przez cały ten czas podziemny Rząd Polski czynił wszystko, aby odpowiedzialne czynniki ukraińskie, a zwłaszcza duchowieństwo grecko-katolickie, uświadomić o istotnych celach gry hitlerowskiej i nakłonić do rozmagi. Niestety, niewiele tą drogą osiągnięto, a prowadzących rozmowy ktoś zadenuncjował. Tak zginął, między innymi, w lochach Gestapo redaktor Moszyński.

O wiele lepiej zorganizowana była Wileńszczyzna. Na przełomie lat 1943—44 w województwach północno-wschodnich Niemcy panowali tylko w miastach i na drogach. Prowincja była w rękach polskich. Delegatura Rządu Polskiego w Wilnie sprawowała faktyczną władzę, a oddziały zbrojne, łączone w większe już jednostki, pilnowały porządku. Siły skoncentrowane w lasach liczyły po parę tysięcy ludzi uzbrojonych, jako tako umundurowanych, zdolnych do przeprowadzenia poważniejszych nawet akcji. Oczyszczono całkowicie teren z band, w kilku poważniejszych uderzeniach rozbrojono i wzięto do niewoli większe oddziały quislingów litewskich, będących na służbie okupanta. Istniała poprzez kordony regularna łączność pomiędzy Wileńszczyzną i Warszawą. Tutaj też pracowały specjalne komórki tę łączność utrzymujące, organizujące dostawy materiału wojennego i zaopatrzenia.

Niemcy nie mieli już na zapleczu dostatecznych sił, aby zdusić tam podziemie polskie. Spróbowali raz innej taktyki: Zwrócili się do miejscowego dowódcy polskiego z propozycją odzyskania roz-

mowy. Do polskiego lokalu podziemnego w Wilnie przywieziono trzech generałów niemieckich. Bez zwykłej sobie buty zaproponowali zawieszenie broni. Najstarszy szarżą zwrócił się pod koniec do dowódcy polskiego ze słowami: „Uważałbym sobie za największy zaszczyt, gdybym mógł tę wojnę dokończyć pod pańskim dowództwem“. Nie ukrywał grozy niebezpieczeństwa bolszewickiego, potępiał zbrodniczą politykę swego rządu w stosunku do Polaków i parł do stworzenia jednego frontu walki w obronie Europy. Nie trzeba dodawać, iż generałowie niemieccy zostali odprawieni z kwitkiem.

Byłem w kontakcie z dowódcą Armii Krajowej na Wileńszczyźnie ze względu na to, że miał on sobie podporządkowane oddziały Narodowych Sił Zbrojnych. Chwalił je za ofiarność, podkreślał ich liczebność, żądał tylko, aby nie kładły przesadnego nacisku na swą odrębność. Miał natomiast wiele kłopotu z Bolesławem Piaseckim. Kłopoty te opowiem, jako że dają one obraz trudności, na jakie narażona była praca wewnętrzna podziemia, oparta przede wszystkim na dobrej woli jednostek.

Bolesław Piasecki to było kiedyś „cudowne dziecko“. Wybitnie zdolny student, młodzieniec o ogromnych ambicjach, hołdował poglądom skrajnie nacjonalistycznym. Wywierał też duży wpływ na najbliższe sobie grono kolegów, a zwłaszcza koleżanek, które widziały w nim, wodza“, stawały przed nim na bacność, gotowe były do spełnienia każdego jego rozkazu. Nie mógł się pomieścić w ramach ogólnego ruchu narodowego, coraz to dokonywał jakichś rozłamów. Uwierzył w swoje posłannictwo. Gdy jednak przesiedział parę miesięcy w obozie odosobnienia w Berezie, zamienił gorzki chleb opozycji na gorącą współpracę z rządzącym obozem „sanacyjnym“. Wykazał wtedy po raz pierwszy, że o wiele większą wagę przywiązuje do swoich genialnych pomysłów taktycznych, niżli do zasad, jakie głosi. W wieku młodzieńczym jest to tendencja bardzo niebezpieczna, niezależnie od tego, czy u jej podłoża jest chęć osobistej kariery, wypłynięcia za wszelką cenę na wierzch, czy też tylko chorobliwe przekonanie o swoim powołaniu.

Przyszła wojna. Niemcy aresztowali go bardzo szybko — podobno skazali nawet na śmierć. Dzięki wpływom włoskim został mimo to wypuszczony na wolność. Uruchomił wtedy własną organizację podziemną, na którą składała się młodzież inteligentna, ofiarna, dzieci najlepszych rodzin. Zbudował dla niej teorię, iż Polskę wielką, naprawdę niepodległą, może odbudować jeno jakiś

legendarny czyn zespołowy, który swą niezwykłością i bohaterstwem uderzy tak w wyobraźnię świata, iż nikt nie ośmieli się odmówić nam należy praw. Kto czynu tego dokona, będzie miał rząd dusz w Polsce! Widział się w tej roli.

Kiedyś prosił o rozmowę ze mną. Było to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Dowodził, że postawa podziemia nie odegra większej roli w wyznaczeniu granic zachodnich Rzeczypospolitej. Od nas jednak w przeważającej części zależeć będzie, jak ukształtuje się jej obszar wschodni. W tym więc kierunku należy zrobić największy wysiłek i zdobyć dla niego legendę bohaterstwa. Zamierza wobec tego rzucić swoje oddziały za Bug do walki już nie tylko z Niemcami, ale przede wszystkim dla niszczenia bolszewików, którzy dążą do nasilania ziem wschodnich oddziałami partyzanckimi celem objęcia ich później w swe posiadanie na stałe. Rzeczywiście tak było. Rosja Sowiecka, korzystając z właściwości terenu, utrzymywała tam resztki rozbitych oddziałów, wzmacniała je przez zrzućy spadochronowe, zasilając systematycznie bronią i pieniędzmi. Drobne te grupki nie walczyły z Niemcami, nie prowadziły nawet żadnej akcji sabotażowej, natomiast czekały na dalszy rozwój sytuacji, grabiąc tymczasem ludność miejscową i przejawiając tendencję uważania się za gospodarzy kraju.

Zaklinałem Piaseckiego, aby porzucił swój plan. Wysłanie kwiatu polskiej młodzieży w lasy i błota pińskie bez należytego przygotowania wojkowego, bez dostatecznej broni, bez zaopatrzenia zimowego, w ogień natychmiastowej walki i z armią niemiecką i z bandami bolszewickimi musiałoby się równać wydaniu jej na śmierć. Nie posłuchał ani mnie ani wielu innych. Natomiast młodzież wypełniła jego rozkaz. Już po kilku tygodniach przysły wiadomości hiobowe. Niemal wszyscy oddali swe życie w patriotycznym uniesieniu. Następnej zimy Piasecki powtórzył swój manewr, tym razem przygotowawszy go lepiej.

Wynurzył się z lasów nowogródzkich na czele trzystu bodaj kawalerzystów. Nie tyle liczbą ile fantazją rycerską oddział ten przedstawiał dla dowódcy Armii Krajowej na tym obszarze wartość nie do lekceważenia. Gdy więc zameldowali swą gotowość do wykonania rozkazów, zostali przyjęci z otwartymi rękoma. — „Musiałem tylko przedyskutować z Piaseckim — ciągnął problem do dowódcy Armii Krajowej na Wileńszczyźnie — o stosunku tego oddziału do miejscowej ludności. Wychodząc z jakichś swoich założeń doktrynalnych zmuszali chłopów do nazywania się „kmięciami“. Chłopi, nie rozumiejąc obcego dla nich

miana, oburzali się: „Cóż to, przyjechał nie wiadomo skąd i mówi do nas — śmiecie“. Omówiony został z Piaseckim plan stoczenia bitwy z jakimś większym oddziałem stacjonujących w okolicy quislingów litewskich. Piasecki miał objąć w tej walce określony odcinek. W parę godzin później bitwa rozgorzała, ale Piaseckiego na miejscu nie było. Okazało się, że „wódz“ obraził się w przekonaniu, iż rola jego będzie za mało wybitna, może za mało „legendarna“ i wycofał się wraz ze swymi towarzyszami.

Upłynęło znowu parę miesięcy. Bolszewicy zalali ziemie polskie. Znaleźli Piaseckiego pod Warszawą, aresztowali go i skazali rzekomo na śmierć. Ale i w tym wypadku zamiast wykonania wyroku wypuszczono go na wolność. Na drugi czy na trzeci dzień po tym złożył wizytę ówczesnemu ministrowi rządu warszawskiego, ex-księdzu Matuszewskiemu, jednemu z licznych agentów komunistycznych w partii pseudo-socjalistycznej. Otrzymał od niego licencję i przydział papieru na wydawnie pisma... nacjonalistycznego i katolickiego. Głosi w nim teraz dla odmiany, że stan rzeczy w Polsce jest realizacją jego snów młodzieńczych o sprawiedliwości społecznej, o silnym i niepodległym państwie narodowym. Brak temu państwu tyłko podkładu pierwiastków duchowych, których pogłębienie zapowiada. Ma nawet kilku posłów w „sejmie“ z łaski reżymu. Nowa „genialna“ taktyka, czy też wciąż zarabianie na czyn legendarny?

Zasięg przenikania podziemia polskiego przekroczył nawet granice wschodnie Rzeczypospolitej. Przecież za tą granicą zostały ziemie, na których cywilizacją swą Polska promieniowała przez wiele setek lat. Okazało się, iż Związek Sowiecki nie zdołał z nich przed r. 1939 wyrugować wpływów polskich całkowicie. Nawet według przedwojennych statystyk sowieckich na obszarze Z. S. S. R. przynależało się wciąż jeszcze do polskośći dobrych kilkaset tysięcy ludzi.

Jeden z kolegów, ten sam, którego poszukiwano w związku z pierwszym aresztowaniem mojej matki, miał nielada przygody. Niemcy schwytali go w tajnym lokalu, przy robocie. Odebrano mu kompromitujące papiery i czekano na samochód policyjny, aby przewieźć nową ofiarę w aleję Szucha. W tej sytuacji nie dziwota, że zabrał go żołądek. To zdecydowało o jego ocaleniu. Odprowadzony przez żandarmów do ubikacji, zdołał równocześnie ze spuszczeniem wody przecisnąć się przez małe uchylone okienko. Skoczył szczęśliwie i uciekł. Tułając się dalej trafił do firmy francuskich *Volksdeutscheów*, wykonywują-

cej roboty dla władz niemieckich na obszarze Rosji. W ten sposób znalazł się w Płoskirowie, mieście oddalonym od południowo-wschodnich granic Polski zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów.

Nie wiedzieliśmy wiele poprzednio, co się tam działo, gdyż granica Rosji była przez cały czas zamknięta hermetycznie. Listy nie dochodziły, a zresztą ktośby się ośmielił stamtąd pisać do Polski. Mój towarzysz, ku swemu zdumieniu, odkrył w Płoskirowie wiele tysięcy Polaków. Po wymordowaniu Żydów stanowili oni większość zaludnienia miasta. Ostrożnie rozpoczął wśród nich pracę, pomógł odszukać rodziny w Polsce, nawiązał nowe nici wspólnoty narodowej. Powiadał mi, że biją tam takie same serca polskie, jeno bardziej zżarte tęsknotą za wolnością i za ojczyzną. Aresztowany później przez bolszewików i wywieziony w głąb Rosji, zdołał jednak wrócić do kraju. Czeką pewnie chwili, aby upomnieć się o los tamtych braci.

Z natury rzeczy najwięcej trudu i troski poświęcano zagadnieniom bezpieczeństwa na obszarze centralnym kraju. Ochrona pracy konspiracyjnej, czuwanie nad zabezpieczeniem ludności w okresie łapanek, opieka nad więźniami i wywozonymi nie wyczerpywały jeszcze całokształtu zadań. Do rzędu ich należała także obrona przed agentami niemieckimi. Społeczeństwo było zdrowe i w łonie swoim nie wytwarzało zdrajców. W biegu jednak lat system wroga potrafił wprowadzić tu i ówdzie szpiega bądź prowokatora. Przede wszystkim jednak zaczął wykorzystywać dla swoich celów ludzi załamanych uprzednio torturami i więzieniem lub widmem śmierci.

W tych warunkach zaczęły działać sądy podziemne. Były one w zasadzie prerogatywą delegata Rządu a więc funkcją cywilnych organów państwa. Warunki pracy dla tych sądów były niezmiernie trudne, nie mogły one bowiem wzywać przed swe forum oskarżonych, słuchać ich obrony. Toteż wyroki śmierci — a tylko takie obok kary infamii mogły mieć sens — zapadały, gdy nie tylko wina oskarżonego była oczywista, ale gdy dalsza jego bezkarność zagrażała bezpieczeństwu publicznemu. Jeśli powstały wątpliwości, sądy odraczały wydanie wyroku do czasu ustąpienia okupanta z ziem polskich.

Gorączka wydarzeń, zagrażająca bezpośrednio niebezpieczeństwem, trudność w nawiązaniu kontaktu z właściwymi organami władzy, słowem życie ówczesne zmuszało do postępowania często w sposób mniej zgodny z regułą prawidłowego wymiaru sprawiedliwości. Oto w jakimś oddziale leśnym znalazła się parszywa

owca, lub gdzieś we wsi zawistny gospodarz denuncjował swoich sąsiadów, albo przyjechał łącznik zza zachodniego kordonu, zapatrzony we wszystkie adresy, a w ślad za nim szły informacje, że jest agentem Gestapo. Nie było wtedy czasu na przekazywanie sprawy zwykłym trybunałom. Organizacje zbrojne zwoływały na odpowiedzialność swego sumienia sądy „ad hoc“ i one to już wydawały wyroki. Starano się niekiedy legalizować te wyroki po ich wykonaniu. Czy były błędy? Czy poczucie odpowiedzialności w atmosferze zupełnego zubożenia dla śmierci stało na należytych poziomach u tych, którzy sądzili? Na ogół tak. Co charakterystyczniejsze — ilekroć można było mieć wątpliwości co do słuszności wydanego wyroku, jeśli np. wydany on został przez czynniki nieodpowiedzialne, z podrażnionej albo chorobliwej ambicji organizacyjnej, nie był on z reguły wykonywany. Czuwał nad tym instynkt zbiorowy narodu tak straszliwie krzywdzonego, że tym bardziej wyczulonego na krzywdę czyjąkolwiek.

Na poddaszu pewnego domu, pod pozorem dokonywania robót naprawczych, zebrano się kilku mężczyzn. Była to komórka „likwidacyjna“, mająca za zadanie między innymi wykonywanie wyroków śmierci. Przyszedłem na kontrolę jej działalności. Machinalnie podjąłem fotografię leżącą na jakiejś starej skrzyni. Była to fotografia Jerzego Nakoniecznikoffa, tego samego młodzieńca, który mi się spowiadał przed paru laty ze swej słabości, z kontaktów z Gestapo, i który mnie pierwszy zawiadomił o trafieniu Niemców na moje ślady. Zrozumiałem, że los jego jest przesądzony i zapytałem o przyczyny.

Nakoniecznikoff brnął dalej, nie mógł się już wyplątać z zarzuconych na niego i jego charakter sieci. Próbuje lawirować między zbrodnią zdrady narodowej, swoją wygodą życiową, a pomocą okazywaną poszczególnym Polakom, przyjął na siebie rolę agenta. Został między innymi „ekspertem“ do oceny wartości mienia po mordowanych Żydach, gromadzonego na skład w bóżnicy na Tłomackim. Czerpał z tego bez trudu olbrzymie korzyści finansowe. Kiedyś w gronie kolegów, nieświadomych stanu rzeczy, dyskutował ciężkie ich położenie materialne. Zaproponował jednemu z nich rolę, jaką sam zaczął odgrywać. Spotkał się z reakcją, która go wzburzyła — może przestraszył się konsekwencji zbyt szczerego postawienia sprawy. Na ulicy wyjął rewolwer i kolegę swego zastrzelił. Nadbiegli Niemcy i aresztowali go. Po czterdziestu ośmiu godzinach wypuszczony

został na wolność. Za zadaną śmierć, za zdradę mógł teraz oczekiwać z rąk podziemia tylko śmierci.

Trzy razy wrywał się z jej objęć. Ratowało go szczęście, przypadek, kondycja fizyczna. Wtedy ktoś ogłosił w prasie niemieckiej, wydawanej po polsku, nekrolog: „Zmarł nagle, o czym zawiadamiają w nieutulonym żalu...”. Nakoniecznikoff przyjmował kondolencje osobiście ku straszliwemu przerażeniu przyjaciół rodziny, którzy, nie związani z nurtem rzeczywistości, przyszli oplakiwać jego zgon. Uciekł potem przy pomocy Gestapo na Węgry, stamtąd przedostał się do Włoch. Miał tyle bezczelności, iż zgłosił się do wojska polskiego. Za dużo jednak było świadków jego działalności. Aresztowany, skazany został następnie przez sąd polowy na dożywotnie więzienie. Sąd przyjął jako okoliczność łagodzącą, iż uratował mnie życie.

Niemcy doszli do przekonania, iż nie poradzą hydrze podziemnej, podzielonej na tysiące członów, przenikającej do wszystkich dziedzin życia, paraliżującej cały plan ich gospodarki wojennej a nadto zagrażającej podstawom ich bezpieczeństwa. Postanowili uciąć jej głowę — obezwładnić Warszawę krwawym terrorem publicznym.

Najpierw zaczęli wieszać na balkonach domów, a wkrótce potem, na jesieni 1943 r. przystąpili do rozstrzeliwania zakładników w najruchliwszych punktach miasta seriami, po kilkudziesięciu mężczyzn.

Na Pawiaku ruch zaczynał się już o świtaniu. Do cel wpadali dozorczy, wywołując nazwiska. „Rzeczy nie zabierać!“. Wśród nieustannego świdrującego uszy popędzania: „Prędko; prędko!“ albo „*Schneller!*“ wyprowadzano więźniów na korytarz. Ostatnie pożegnanie towarzyszy wzrokiem, czasem wyraz osłupienia na twarzy, czasem rozpacz niewysłowiona, niekiedy rysy zastygały w nadludzkim bezruchu. Postać niejednego promieniała nieziemskim już blaskiem. Byli i tacy, zwłaszcza z początku, którzy sądzili, że idą na wolność, sprawa ich była przecież błaża, niczego im nie udowodniono, nie byli nawet badani...

Gromadzono ich gdzieś na dole w piwnicy. Kazano rozbierać się do naga. Odzież przyda się dla ludności niemieckiej, bombardowanej na zachodzie. Będzie przesłana wagonami w głąb Niemiec jako dar ludności polskiej, szczęśliwej, że nareszcie zapomniał u niej ład pod wielkodusznymi rządami Trzeciej Rzeszy. Skazańcom wkładano odzienie z papieru. Będzie zimno na dworze, nie szkodzi — rozgrzeją się wkrótce.

Potem ich wiązano. Po pierwszej egzekucji doświadczenie oprawców wzbogaciło się. Polacy ośmielali się w ostatniej jeszcze sekundzie wołać do swej ukochanej Warszawy: „Niech żyje Polska, walczcie za nas!“. Od następnego już razu w usta zakładników pakowano gips, który szybko tężał i uniemożliwiał wydobywanie głosu. Niech świat wie, że Polak się nie buntuje, że swój los przyjmuje biernie. Wszak Hitler powiedział, że nowy porządek rzeczy ustalili co najmniej na tysiąc lat.

Tłumoki ludzkie rzucono do samochodu ciężarowego. W szalonym pędzie, wśród ryku syren, w licznej asyście stalowych hełmów i wysuniętych wieżyczek karabinów maszynowych wyjeżdżano na miasto. Tu już wszystko było przygotowane do przedstawienia, w jakim tak bardzo celują systemy totalitarne. Ruch dokola miejsca kaźni zamykało. Setki opasyłych żandarmów z krwią nabiegłymi oczyma tworzyło szpaler. Na rogach rozstawiano broń ciężkiego kalibru.

Z wozu gestapowcy wynosili kolejno po siedem, osiem ofiar i układali je pod murem ulicznym. Wtedy padała komenda — szereg gardłowych, urywanych dźwięków, tak, zdawałoby się jednakowych w czasie parady armii niemieckiej, na polu walki, jak w więzieniach, obozach koncentracyjnych i przy egzekucji ludzi powiązanych w tłumoki, z gipsem w ustach. Suchy trzask serii strzałów rozlegał się echem i zapadał głęboko w sercach mieszkańców całej okolicy. Krew opryskiwała mury, bluzgała po chodnikach, mieszała się z błotem ulicznym i spływała do rynsztoków.

„*Schneller!*“ — przynoszą następnych aż do ostatniego, który leży jeszcze na wozie i czeka na swą kolej. Trzeba się śpieszyć, mogą się zjawić „*polnische Banditen*“ i zepsuć uroczystość triumfującego hitleryzmu.

Gdy już było po wszystkim, ciała ładowano z powrotem na wóz i zabierano do Zakładu Oczyszczania Miasta. Nikt nie będzie wiedział, czy zostały one oddane na przechowanie ziemi, czy też je spalono, czy może kości przerobiono na mydło dla użytku Wielkich Niemiec. Przy rozlanej krwi zostawiano posterunki, bo te stacje męki narodowej ludność Warszawy natychmiast zarzucała kwiatami, ustawiała przy nich własną straż z krzyżyków i świętych obrazków.

Jeden z księży, wielki przyjaciel i wychowawca młodzieży, przechodząc w parę godzin potem koło miejsca egzekucji, przeżegnał je. Wtrącono go natychmiast do więzienia, potem wysłano do

obożu koncentracyjnego. Inny wypadek: młody student poślizgnął się o krew pomieszaną z błotem i pochylił się. Aresztowano go pod zarzutem, że chciał dotknąć tej krwi. Inny znowu zdjął nakrycie głowy — to była również zbrodnia niewybaczalna.

Miejsca straceń wybierano jak gdyby symbolicznie. Pierwsze — w Alei Niepodległości, drugie — pod murem zbombardowanej w r. 1939 ambasady niemieckiej, a naprzeciwko gimnazjum imienia Cecylii Plater. Następne — na ulicy Pułaskiego. I tak niemal co dnia, przez długą jesień i zimę lat 1943—1944 rozstrzelano publicznie ludzi w Warszawie.

Ulice pokryte były w owym czasie różnobarwnymi plakatami. Taki był mniej więcej schemat ich treści:

„Do obywateli Generalgouvernement (nie nazywano już nas Polakami...). W ostatnich dniach bandy A. K. i N. S. Z. popełniły szereg aktów zbrodni. Ofiarą ich padło tylu i członków niemieckich sił zbrojnych, żandarmów, funkcjonariuszy państwowych, lub obywateli sprawujących swe funkcje w interesie państwa niemieckiego.

„Następujące osoby zostały skazane wyrokami sądów policyjnych na karę śmierci. (Tu następował rejestr przeważnie stu nazwisk).

„Wymienieni pod liczbą 1 do... przeznaczeni są do ułaskawienia. O ile w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia nie nastąpi na terenie miasta Warszawy żaden dalszy akt gwałtu w stosunku do obywatela niemieckiego, lub pozostającego w służbie interesu niemieckiego, kara śmierci przeznaczonym do ułaskawienia będzie darowana“.

Ogłoszenie podpisywał wyższy oficer SS. i policji na miasto Warszawę, przeważnie jakiś generał.

W ślad za tym ukazywały się w parę dni później plakaty innego typu: „Wobec zamachu na życie żołnierza niemieckiego, zamordowania jakiegoś agenta lub napadu na niemiecką instytucję rozstrzelano nocy ubiegłej dwudziestu, pięćdziesięciu, czy też stu zakładników“. Następowały nazwiska straconych. Powtarzały się one na obu listach, choć niecałkowicie. Gdzieś za przesłoną, dokonywała się dramatyczna walka o uratowanie każdego istnienia ludzkiego.

I tak na zmianę, co dzień, co dwa.

Szybko zabrakło Niemcom w więzieniach warszawskich zakładników. Nie wszystkich więźniów Niemcy chcieli rozstrzeliwać, bo niektórzy byli im potrzebni do uchwycenia dalszych nici kon-

spiracji. · Potrzebny też był materiał do stałego zasilania obozów koncentracyjnych. Zaczęły się więc poszukiwania zakładników na ulicy. Zarządzono w tym celu nowy rodzaj łapanek.

Ten trzymał ręce w kieszeni palta, trzeba go wziąć, pewno ma broń. Tamten nosił długie buty, na pewno jest z „lasu“. Przy takich założeniach chwymano codzien setki najczęściej młodych ludzi i czyniono z nich zakładników. Matka, brat, córka wyszedłszy na miasto czytali w parę dni później na murach: „skazany na śmierć, przeznaczony do ulaskawienia... o ile w ciągu trzech miesięcy...“.

6 listopada 1943 r. w nocy przyszło Gestapo do mieszkania mojej rodziny na Krakowskim Przedmieściu. „Gdzie jest Kowalski? Powiedźcie prawdę bo inaczej będziecie rozstrzelani“ — mówił żandarm do ustawionych pod ścianą domowników. Przybysze obejrzelisi książki meldunkowe, przeszukali pokoje, coś spisywali i poszli, Kowalskiego nikt z nas nie znał, nigdy u nas nie mieszkał. Powstało podejrzenie, że chodzi o jakieś nazwisko konspiracyjne lub też, że wizyta Gestapo jest wstępem do dalszej akcji, skierowanej przeciwko mnie.

Tak upłynęło dziesięć dni. Nakazałem, aby mężczyźni przestali nocować w naszym mieszkaniu. Wszystkie najmniejsze ślady po mnie poleciłem usunąć, przestrzegalem przed czytaniem w mieszkaniu jakichś biuletynów czy komunikatów. Niepokój mnie jednak nie opuszczał. Matka uspakajała, a jej instynkt był dotychczas niezawodny: „To naprawdę chodziło o jakiegoś Kowalskiego — gdzie nas ukryjesz bezpieczniej?“.

Dnia 16 listopada wszyscy byli w domu. Także i p. Śliwiński, jeden z naszych przyjaciół, który od czasu pierwszej wizyty Gestapo tułał się po różnych kątach, został na noc. — „Nie przyjdą przeciw właśnie dzisiaj!“ . Przyszli, całą tłuszcza, o trzeciej nad ranem. Wymierzywszy broń w piersi matki, żony i dzieci, wołali: — „Gdzież jest ten bandyta Stypułkowski — jeśli nie powiecie od razu, zabierzemy was z sobą, zginiecie“. Zabrali wszystkich: sześćdziesięcioletnią matkę, żonę, bratową, Śliwińskiego z żoną, mojego czternastoletniego syna, wychowanka i dziewięcioletniego bratanka. Zabrali też gospodynię. Zostawili tylko psa pod opieką dozorczy domu. Mieszkanie opieczętowali.

Okolo piątej nad ranem zbudził mnie telefon. Przyjaciele wzywali, abym się stawił natychmiast. Nie trzeba było bliższych wyjaśnień. Ubrałem się szybko, pożegnałem z dotychczasowym

schronieniem, uporządkowałem papiery i wyszedłem na ulicę. Było bardzo zimno i straszno.

W parę godzin później znajdowałem się już w gronie serdecznych i oddanych mi ludzi. Odnalazł się wychowanek, prowadząc za rękę mego dziewięcioletniego bratanka. Mały chłopiec rozplakał się tak rzewnie w więzieniu, gdy go oddzielali od matki, i przyznał się tak szczerze gestapowcom, że się ich boi, że śmiejąc się zdecydowali go zwolnić. Nie wiedzieli jednak, co z nim zrobić i dlatego dodali mu wychowanka jako opiekuna. Wychowanek nosił inne nazwisko, miał lat dopiero piętnaście i nie wiązali go z moją osobą. Podwieźli ich do środka miasta i wyrzucili na ulicę.

Trzeba było najpierw rozlokować dzieci, a potem zorganizować zbiórkę koniecznej odzieży dla tylu aresztowanych. Przygotować dla nich paczki, obmyśleć, kto bezpiecznie będzie je mógł zanieść do policji czy więzienia. Następnie sporządzić plan obrony każdego z aresztowanych z osobna, z uwzględnieniem stopnia jego zagrożenia, płci i wieku. Dalej zastanowić się nad wydobyciem z mieszkania przynajmniej tego, co będzie służyło mi pomocą w dalszej egzystencji materialnej i pozwoli na obronę rodziny. Musiałem też znaleźć sobie jakieś bezpieczne schronienie przynajmniej na najbliższe dni; dotychczasowego nie miałem prawa nadal używać.

Dużo więc było do przemyślenia i podjęcia szybkich decyzji dla człowieka, rażonego jak gromem. A dnia tego miałem właśnie szereg ważnych konferencji organizacyjnych, których opuścić nie mogłem. Dzięki pomocy przyjaciół, zanim nadeszła godzina policyjna wszystko już było wprawione w ruch. Dzieci znalazły opiekę i zatarto za nimi ślady. Naznoszono tyle ciepłej bielizny dla mojej rodziny, że przekraczało to wielokrotnie dozwoloną do przesłania ilość. Każda paczka zaadresowana była inną ręką, każdą zaniósł inna kobieta. Wprowadzeni zostali w sprawę najbieglejsi w sztuce kontaktowania się z Gestapo. Przygotowano dla nich argumenty; niezbędne podania do Niemców podpisane były ręką staruszek. Zdecydowałem się odrzucić propozycję dokonania natychmiast napadu zbrojnego na mieszkanie, obawiając się, iż może to pogorszyć los moich bliskich. Po chwili wahania zrezygnowałem też z planu spuszczenia kogoś nocą po linie z wyższego piętra, aby przez uchylone w kuchni okno przedostał się do wnętrza. Mogliby za to grubo zapłacić sąsiedzi. Ostatecznie ślusarz, uczestnik tajnej organizacji, wraz z moim wychowankiem zakradli się

do piwnicy i stamtąd wykopali trochę ukrytego grosiwa.

Zbliżała się już godzina 7 wieczór, a z nią godzina policyjna. Przerwałem konferencję kierownictwa N. S. Z. i pobiegłem na róg ulicy, gdzie przyjaciel miał mnie czekać i zawieźć na nową kwaterę. Spóźniał się, bo go Niemcy przetrzymali na libacji, na której załatwiał sprawę zwolnienia pewnej ilości maszyn rolniczych od wywieżenia do Niemiec. Biłem się z myślami, kogo w ostatniej sekundzie obciążyć moją osobą, kogo najmniej narażę, ale przyjaciel mnie nie opuścił i wywiózł za miasto do małej willi, położonej w obrębie fortów mokotowskich. Wojsko niemieckie teren ten miało pod swoją ochroną i wydawało się, że nie można było znaleźć miejsca bardziej zabezpieczonego przed poszukiwaniem ze strony Gestapo.

Zasiedliśmy do kolacji postanawiając, że nie będziemy mówili o tragedii ostatniej doby, natomiast wrócimy do wspomnień z lat młodości, z bujnego życia korporacyjnego. Staraliśmy się utrzymać w klimacie tych wspomnień, próbowaliśmy żartować i śmiać się. Koło północy zabrzączał telefon — mówiono z Krakowa. Widać również ktoś bliski był po drugiej stronie drutu telefonicznego, bo rozmowa iskrzyła się dowcipem, humorem i pozorną beztroską. Gdy się skończyła, przyjaciel komunikował niżej ukrytą treść: pojutrze przyjadą dwa samochody ciężarowe z bronią; proszą, by je odebrać.

Niedługo popasałem w tym mieszkaniu. Syn właścicielki willi, młody chłopiec, zatrzymał się chwilę w drodze ze szkoły przed miejscem ostatniej egzekucji publicznej, gdzie deszcz jeszcze nie zmył krwi. Przechodzący agent zabrał go na policję. Zbito go i skopano, a potem wypuszczono. Zanotowano jednak jego dane personalne i adres. Matka, przerażona o los dziecka, zwróciła się do mojego przyjaciela z nieśmiałą prośbą, „aby ten pan, który tu mieszka niemeldowany, opuścił dom jak najszybciej“. Choć nie wiedziała niczego o mnie, instynktem matki wyczuwała niebezpieczeństwo.

Na drugi dzień rano wszyscy unikali mego wzroku. Na ulicach plakaty ogłosiły listę ostatnio rozstrzelanych. Na liście figurował: Śliwiński, jeden z domowników, aresztowany wraz z moją rodziną, Stanisław Froelicha, najserdeczniejszy mój przyjaciel i 17-letni chłopiec, Witalis Stypułkowski. Stąd gruchnęła po mieście wieść, iż zamordowano mojego syna. I taką właśnie wiadomość miano mi początkowo zakomunikować.

Przestałem zważać na względy ostrożności. Biegałem po uli-

cach w biały dzień w poszukiwaniu dróg, które by mi pomogły w ratowaniu rodziny a przede wszystkim syna, błagałem o jakieś informacje.

Znajomi, o ile mnie rozpoznali, patrzyli jak na wariata. Nikt się nie kłaniał, to byłoby zbyt niebezpieczne. Nieraz minąłem szczęśliwie sekcję żandarmów dokonywujących obławy, nieraz przyszło mi czekać godziny w jakieś bramie domu na spotkanie z takim panem, który chodził do Gestapo. Bał się spotykać ze mną gdzie indziej.

Miałem wkrótce dokładny obraz położenia. Dotarto nawet osobiście do Dr. Hahna, ówczesnego wszechpotężnego komendanta S. S. i S. D. Polizei. Zażądał, abym się stawił do Gestapo. Sprawa jest poważna i moje „wyjaśnienia“ mogą mieć wpływ na dalszą politykę „Gouvernement“ w stosunku do ludności polskiej. Zakładników nie wypuści, ale obiecuje, że kobiety i dzieci nie będą rozstrzelane.

Nieprzejednani też byli referenci sprawy, nieczuli na jakiegokolwiek obietnice pieniężne, gdyż, jak powiadali, rozkaz aresztowania pochodził z Berlina. Wynagradzali sobie to sowicie: co dzień, co drugi w okresie zbliżających się świąt Bożego Narodzenia przychodzili na Krakowskie Przedmieście, zdejmowali pieczęcie i wynosili z naszego mieszkania kolejno: wina i trunki, zapewne dla siebie, futra i bieliznę dla swoich kochanek, a także inne cenne rzeczy jako nagrodę za ciężką i ofiarną służbę dla dobra Wielkiej Rzeszy. Podobno każdy wydział Gestapo miał jakieś określone zamiłowanie do cudzych rzeczy. Referenci sprawy mojej rodziny wyspecjalizowani byli w dywanach. W pierwszym od razu dniu wynosili na swych barkach dywany perskie według porządku ich wartości. Szło to na rachunek prywatny, państwu niemieckiemu miała się dostać dopiero reszta. Okoliczność ta stanowiła dodatkowe obciążenie sprawy: referenci bali się, by przez wypuszczenie aresztowanych nie ujawnił się rabunek. Stałem się bardzo przez pośredników uspokoić ich pod tym względem.

Dowiedziałem się też o losie Śliwińskiego. Niemcy nie znali jego działalności, która była bardzo wydajna w obronie ludzi przed wywożeniem ich na pracę do Rzeszy. Być może nazwisko Kowalski było jednym z jego pseudonimów. Nie uchwycili tego, lecz jako niepotrzebny, rozstrzelali dla siania terroru.

Niesamowity łańcuch okoliczności przyczynił się do śmierci Stanisława Froelicha. Szukał on pokoju dla zorganizowania

punktu łącznikowego w pracy konspiracyjnej. Od pośrednika handlowego, z którym przeprowadzał różne swoje interesy majątkowe, otrzymał adres. Wynajął lokal pod pozorem założenia kancelarii adwokackiej, swego łącznika zamianował sekretarzem tej kancelarii i robotą szła. Kiedyś w nocy przyszło Gestapo po pewnego studenta, żołnierza Armii Krajowej. W mieszkaniu jego znaleziono również współpracownika Froelicha. Zabrano obu. Gdy się do winy nie przyznawali, sprowadzono do nich skatowanych rodziców i przeprowadzono konfrontację. Któryś z nich tego nie wytrzymał i w rezultacie oprawcy dowiedzieli się adresu konspiracyjnego lokalu i prawdziwego nazwiska Froelicha. Właścicielka mieszkania zeznała, że lokatora wskazał jej pośrednik. Przeprowadzili u niego rewizję, a ponieważ w domu go nie zastali, nakazali, aby się zgłosił nazajutrz rano do siedziby Gestapo w alei Szucha. Całą noc ważył, czy rozkaz wykonać. Dęczyję przesądził fakt, iż miał chore małe dziecko i nie wiedział, gdzie się z nim ukryć. Poszedł. Zapytano go o Froelicha, grożąc natychmiastowym aresztowaniem, jeśli nie ujawni jego adresu. Aresztowanie młodego mężczyzny równało się w owych czasach niemal śmierci. Oświadczył, iż nie zna adresu, ale przyznał, że komunikuje się z Froelichem od czasu do czasu przez telefon. Kazano mu wrócić niezwłocznie do domu i dzwonić pod wskazany numer regularnie co kwadrans, tak długo, aż poszukiwany się nie zgłosi.

Miałem umówione spotkanie z Zygmuntem Berezowskim, późniejszym ministrem Rządu Polskiego w Londynie, a w owe czasy jednym z przywódców politycznych podziemia. Tak się zdarzyło, że w tym samym, obszernym lokalu firmy handlowej, która pokrywała sobą wiele tajnych prac, urzędował także Froelich. Uboczne jakieś względy zadecydowały, że po chwili opuściliśmy z Berezowskim wspomniany lokal i przenieśliśmy się do gabinetu wojennej restauracji, mieszczącej się w tym samym domu. W trakcie śniadania przybiegł dyrektor firmy, aby nas ostrzec, że dom jest otoczony przez żandarmerię, a w pokoju jednego z prokurentów urzędują agenci Gestapo. Z podsłuchanej rozmowy wynika, iż chodzi im o Froelicha, który szczęśliwie wyszedł przed ich przybyciem.

Mniej więcej po upływie pół godziny zawiadomiono nas o zdjęciu posterunków. Niemcy uprowadzili ze sobą prokurenta firmy, prawdopodobnie pojechali z nim do Leśnej Podkowy, gdzie zamieszkiwał. Wiedziałem, że tam też znajdowała się ukryta sie-

dziba Froelicha. Wnioskowałem, że pojechał do siebie na śniadanie, a w takim wypadku Gestapo go złapie. Samochodem do Leśnej Podkowy jechało się drogą okrężną, tor kolejki elektrycznej prowadził wprost. To pomyślawszy, wezwałem telefonicznie swego wychowanka i powiedziałem mu: — „Możesz uratować życie człowieka. Musisz działać rozważnie. Jeśli znajdziesz ślady Niemców, uciekaj. Jeśli zdążysz pierwszy, ratuj pana Froelicha. Każdy nieostrożny krok, to nie tylko twoja śmierć, ale być może i wielu innych“.

Chłopiec się nie wahał. Dobrnął po ciemku na miejsce, zobaczył opodal samochód policyjny, ale mimo to wszedł śmiało do klatki schodowej. Gdy zapukał do mieszkania, usłyszał głosy niemieckie. Pod pozorem, że pomylił się w adresie, nie czekając na otwarcie drzwi, ulotnił się.

Gestapo zdążyło zajechać wcześniej, ale Froelicha nie zastało. Nieuprzątnięte talerze wskazywały jednak, że był tam przed chwilą. Zaczęły się indagacje gospodyni mieszkania, a żony prokurenta: — „Jeśli pani nie powie gdzie jest Froelich, mąż będzie natychmiast aresztowany!“. Nie wytrzymała groźby, powiedziała, iż poszukiwany poszedł do jednej z will, oddalonych stamtąd o parę kilometrów.

Nikt nie znał drogi. Na nieszczęście przyszedł mechanik celem naprawienia dzwonek. Pod rewolwerami kazano mu się prowadzić.

W czasie, gdy u państwa X. toczyła się narada polityczna, rozległo się ciężkie łomotanie do drzwi. Gospodarz spokojny, opanowany, ociągał się z otwarciem, tłumacząc, iż boi się bandytów. Gestapowcy wylegitymowali się i wymienili nazwisko Froelicha. Gospodarz odpowiedział głośno, tak, aby go słyszano: „Froelich, a, Froelich był tu dopiero co“. Pani domu uchyliła szybko okno na piętrze i wskazała Froelichowi drogę. Wskoczył szczęśliwie w ogród i uciekł.

W domu przeprowadzono szczegółową rewizję. W jednym z pokojów znaleziono walizkę z bronią. Lokatora tego pokoju nie było. Niemcy wracali zawiedzeni, prowadząc z sobą dalej prokurenta. Było ciemno, deszcz mżył. — „*Wer da?*“. Cienie zatrzymały się. Mężczyzna pokazał papiery, wskazujące, iż jest stałym mieszkańcem Leśnej Podkowy i wyjaśnił, iż odprowadza ze stacji kolejki swoją młodą towarzyszkę. Puszczono go wolno. Przeszedł nieświadomie koło śmierci, bo był właśnie tym lokatorem, w którego pokoju przed chwilą Niemcy znaleźli broń.

A tymczasem Froelich, zagubiony wśród dżdżystej listopadowej nocy, bez palta i bez kapelusza na głowie, zatracił instynkt. Zamiast skryć się w którymkolwiek z polskich domów, pobiegł do swego mieszkania. Chciał zabezpieczyć papiery, które tam trzymał w ukryciu, przede wszystkim jednak opanował go strach, że bez stosownego przyodziewku budzić będzie podejrzenie. W podnieceniu nie widział samochodu policyjnego, był głuchy na dźwięk głosu starej służącej, która na pukanie do drzwi odpowiedziała, że „to pomyłka, tacy tu nie mieszkają“. „Gospościa mnie nie poznaje, to ja, Froelich“ — były jego słowa. Gestapowcy, czekający wewnątrz na ewentualne przybycie „ptaszka“, zorientowali się w sytuacji i stanęli u progu z wymierzoną bronią.

Na przeglądzie więziennym mój syn spotkał się z Froelichem. „To ja, Andrzejek Stypułkowski“ — trącił go nieznacznie. Wsadzono ich później do wspólnej celi. Którejś nocy wrócił Froelich z badania. — „Pytali się mnie o błahe szczegóły, sądzę, że lekceważą moją sprawę“ — uspakajał sam siebie. Następnego ranka wyprowadzono go na egzekucję.

Mojego syna nie rozstrzelano zadecydowawszy w ostatniej sekundzie, że jest mimo wszystko za młody. Rzeczywiście, z ogoloną głową, wychudzony, wyglądał nie więcej, jak na lat trzynastcie. Postanowiono jednak rozstrzelać wszystkich Stypułkowskich, jakich mieli w swoim zasięgu. Stąd zapewne i tragiczna ofiara z życia młodziutkiego Witalisa Stypułkowskiego.

Łączniczki przerzucały mnie co noc do innego mieszkania. Miałem sporo szczęścia, że opuściłem willę w obrębie fortu mokotowskiego. W najbliższą niedzielę z rana Gestapo otoczyło ten fort i wybrało z miejscowych will mieszkańców-Polaków; wśród nich aresztowana została i właścicielka domu, który służył mi za chwilowe schronienie. Po pewnym czasie zainstalowano mnie w dzielnicy fabrycznej miasta, położonej jednak blisko centrum i dogodnie dla moich prac.

Ciekawą miałem teraz siedzibę. Wokół ruiny, pozostałość po bombardowaniu Warszawy w r. 1939. Z gruzów probione były po bokach ulic ślepe mury na wysokość piętra. Wydawało się, iż nikt nie mieszka w bezpośredniej okolicy. W jednym z tych murów osadzona była ciężka, żelazna brama fabryczna. Gdy się ją otworzyło, oczom ukazywał się starannie wypielęgowany ogródek, a w głębi jego nienaruszona przez działania wojenne masywna, staroświecka, parterowa willa. Budynek ten miał olbrzymie piwnice, wyłożone betonem. Mieściły się tam kotły do

centralnego ogrzewania, zapasy węgla i wiele urządzeń gospodarczych. Nic nie budziło podejrzania. Jednak za naciśnięciem ukrytej sprężyny jedna ze ścian usuwała się i w małej ukrytej komórce można było na wypadek niebezpieczeństwa znaleźć schronienie. Z komórki tej prowadziło przejście podziemnym korytarzem na ruiny domów sąsiedniej ulicy.

Właścicielką nieruchomości była pani lat czterdziestu paru. Jej mąż, bogaty przemysłowiec, właściciel ponadto kilku kamienic, dużego portfela akcji, niejakich zapasów złota i zasobnej piwniczki trunków, zmarł na początku wojny. Był od niej starszy o lat z górą trzydzieści. Później wprowadził się do tej willi młody lotnik polski. Brakowało mu chyba jeszcze sporo do trzydziestki. Czynnny, wesoły, lekkomyślny nie tał swych uczuć względem tej kobiety i... alkoholu. Pobrali się. Życie ich układało się na podstawie dwóch czynników: ona musiała zapomnieć, że miała przedtem męża surowych zasad, że tryb domowy i rodzinny toczył się według ustalonych, odwiecznych reguł. Musiała przestać za dnia krzątać się po gospodarstwie z pękiem kluczy za pasem, a do łóżka małżeńskiego kłaść się w czepku na głowie. On zaś powinien był odczepić swe skrzydła i więcej chodzić po ziemi.

Dobra wola była u stron obu. Lotnik otrzymywał zazwyczaj z piwniczki swój przydział, zwłaszcza gdy temperatura wydarzeń w świecie zewnętrznym nakazywała pokrzepienie. Gdy mu jednak czasem tego odmówiono, wpadał w gniew. Szedł do najbliższego robotniczego baru, nie zważając na niebezpieczeństwa, na godzinę policyjną, i wracał późno. Szukał wówczas zemsty na swej poskromicielce i wyrażał ją w ten sposób, że kładł się spać w ogródku pod altanką, okrywając się tylko własnym płaszczem, z jakąś łopatą czy grabiami pod głową. W takich wypadkach zaczynało się moje dodatkowe zajęcie w konspiracji. Na prośby pani domu spędzałem długie godziny na przekonywaniu jej męża o niewygodach sytuacji, w jakiej spoczywał, o tym że lepiej jednak noc przespać w łóżku, choćby z żoną. Buntował się, płakał nad swoją niedolą, zaklinał, że już nigdy... Na drugi dzień słońce w tym domu się rozpogadzało, burza mijała.

Kiedyś, w styczniową, mrozną noc powtórzyła się cała historia. Istniała obawa, że człowiek ten zamarznie na śmierć, jeśli zaśnie. Argumenty moje nie trafiały mu do przekonania. Zaniepokojona żona narzuciła futro i przybiegła do ogródka. Jej czułe słowa rozdrażniły go jeszcze bardziej: podskoczył jak sprężyna i z niezwykłą zgrabnością zaczął się wspinać po murze dzielącym ogró-

dek od ulicy. Przerzucił już jedną nogę na drugą stronę. Księżyc świecił na wyskrzonym gwiazdami niebie. Posterunek niemiecki dojrzał z dala sylwetkę, zaczął strzelać. Puściłem nogę mego lotnika i pędem zawróciłem ku domowi. Ukrytym korytarzem wydostałem się na ruiny sąsiedniej ulicy i tam czekałem na dalszy rozwój wypadków. Ale Niemcy, jeśli mieli jakąś słabość, to właśnie względem pijaków. Skończyło się wszystko znów pogodnie, tylko ja tym razem przemarzłem straszliwie.

Walkę o syna ostatecznie wygrałem. Pieniądze, wysiłki wielu ludzi dobrej woli, docieranie do wszystkich instancji gestapowskich przy pomocy osób trudniących się tym zawodowo, a na pewno i modlitwy osiągnęły skutek. Odegrał tu rolę niemiecki wywiad wojskowy, który gryzł się z aparatem policyjnym, starając się w jaskrawych wypadkach łagodzić wzburzone zaplecze frontu. Podobno i w Szwajcarii toczyły się na ten temat rozmowy.

Zorganizowano mi spotkanie z dzieckiem. Chłopiec wyrósł przez te parę miesięcy, był wymizerowany, ze świerzbem na ciele, ale psychicznie się nie zmienił, choć przecież spoglądał w oczy śmierci i patrzył na męczarnie ludzkie. By zatrzeć za nim ślady, wysłałem go zaraz na wieś do przyjaciół. Wkrótce ogarnęła mnie tęsknota za kimś bliskim i pewnego dnia postanowiłem go odwiedzić. Okrężnymi drogami zajechałem do majątku państwa Z. Zamożni ziemianie wyprawili wspaniale przyjęcie, na które zjechało się szereg osób z okolicy. Po obiedzie zasiedliśmy w salonie. Ktoś zatańczył, inni grali w bridża. Wtem przybiegł zadyszany stróż nocny: — „Panie dziedzicu, bolszewiki przyszli!“. Zdażyłem tylko zdjąć pierścionek i wraz z portfelem wyrzucić go przez uchylone szczęśliwie okno, gdy do dworu wpadło kilku drabów z bronią w rękę. — „Ręce do góry!“.

Rozdzielili mężczyzn i kobiety, przy nas zostawili straż. Reszta rozbiegła się po gospodarskich częściach mieszkania. Szukali przede wszystkim wódki, potem mięsa i wędlin. Gdy wynieśli parę worków, zaczęły się długie targi o okup pieniężny. — „To na Armię Ludową“ — powiadali właścicielowi folwarku. Wreszcie dokonali przeglądu wierzchniej odzieży, którą znaleźli w hallu i wybrali co było lepsze. Na koniec zabrali się do nas.

„Gdzie macie zegarki, pokażcie portfele, zdejmujcie pierścionki, Są tu fotografie, musi być i aparat fotograficzny. Nie dacie, będzie z wami źle!“. Mówili różnymi językami, przeważał rosyjski z domieszką obcego akcentu. Byli zdenerwowani i wy-

straszeni, co chwila potrzęsali bronią. Gdy się już zdawało, że sprawę z nimi skończyliśmy po добremu, wpadli nagle w złość. „Zdejmujcie kurtki, zdejmujcie spodnie, bo będzie z wami źle“. Nie było rady.

Gdzieś od jesieni 1943 r., w miarę rozprzegania się frontu niemieckiego, bandy złożone z żołnierzy sowieckich, przeważnie uciekinierów z obozów i maruderów, coraz śmieiej zaczęły wychodzić z lasów wschodniej części Polski i przesuwać się ku zamożnym ziemiom centralnym. Dołączały się do nich różne męty polskie i ukraińskie. Bandy te czasami nie ukrywały swego bandyckiego oblicza, częściej jednak przybierały miano oddziałów Armii Ludowej, która niesie Polsce wyzwolenie, jako straż przednia Sowieców. Łatwiej było tą drogą uzyskiwać okup w drodze pokojowej, przyjemniej rabować „dla idei“.

Wież zdążyła się już żyć z tym stanem rzeczy i przystosować do nowych warunków. W każdym gospodarstwie przygotowany był pewien zapas żywności i trochę pieniędzy, aby bandytów zbyt nie rozgniewać — resztę starannie ukrywano. Był nawet z tego tytułu pewien profit materialny: Niemcom natychmiast notyfikowano, iż bandyci zrabowali cały kontyngent przeznaczony do odstawienia.

Niespodzianką w danym wypadku było obrabowanie mężczyzn z odzienia. Nikt się tym zbyt nie przejął. Po wyjściu bolszewików zasiedliśmy do stolika dla dokończenia partii bridża. Gospodarz na rozgrzewkę wyciągnął starannie schowaną butelkę starego wiśniaku. Panie musiały darować nasz negliż, tak nie harmonizujący z ich wieczornymi sukniami. Dobrze, że znajdowałem się w podziemiu pod troskliwą opieką i że moja bielizna była wobec tego bez zarzutu.

Na drugi dzień zaczął się kłopot z poszukiwaniem ubrania. Karbowy wyciągnął z kufra swój strój weselny i pożyczył mi go na wyjazd do Warszawy. Musiałem się przede wszystkim zatroszczyć o syna. Wszystko, co miał przedtem w domu, zabrali Niemcy. Ubranie, w którym poszedł do więzienia, trzeba było spalić, nowe teraz zrabowali bolszewicy. Przeleżał kilka dni w łóżku, póki nie wysłałem mu paczki z Warszawy.

Niedługo potem wezwwała go stara ciotka, której nazwisko figurowało pod wszystkimi podaniami, składanymi do władz niemieckich w obronie moich bliskich. Otrzymała nakaz stawienia się w Gestapo: „Zapadła decyzja zwrócenia rzeczy rodzinie Pana Mecenasa“ — powiedziano jej — przedtem jednak musimy wy-

jaśnić sprawę obrazów Bacciarellego, które były w jego mieszkaniu. Prawda, że ich było tylko trzy?" Staruszka nie orientowała się w tym: w rzeczywistości było ich około dwudziestu. Jedną z polskich instytucji kulturalno-naukowych, licząc się z rychłym wywiezieniem moich rzeczy, wystąpiła do niemieckich władz konserwatorskich o przydzielenie jej tych obrazów ze względu na ich wartość muzealną. W ten sposób samorzutnie próbowano ratować mienie narodowe. Urząd Konserwatorski skierował zapytanie do Gestapo. Ponieważ zostały już tylko trzy obrazy, bo resztę zdążyli poszczególni gestapowcy zrabować na swój prywatny rachunek, przeto potrzebne było „alibi“. Oczywiście staruszka podpisała żądany protokół.

Całą noc żyła nadzieją i wiarą, że uratuje mi mienie. — „Po raz pierwszy nazwali Cię mecenasem, a nie bandytą“ — dała mi znać podziemnym kanałem. — „Jutro jadę z chłopcami do magazynu Gestapo po rzeczy. Powiedzieli, że rozumieją ich los i przyodzieją należycie“. W magazynie długo szukali moich rzeczy — w rezultacie syn mój dostał dla siebie mundur weterana 1863 roku, a wychowanek surdut bez spodni.

W pewnej chwili syn stał samotnie w kącie wielkiej hali. Podszedł do niego żandarm niemiecki i zapytał półgłosem: — „Co ty tutaj robisz?“ Odpowiedział stylem konspiratora: — „Mój ojciec, bandyta, jest poszukiwany przez władzę. Zostaliśmy aresztowani jako zakładnicy, bo go nie można znaleźć. Wypuszczono mnie jednak z więzienia i przyszedłem po rzeczy, które mi obiecano zwrócić“. Żandarm pokręcił się wokół, a po chwili przysunął się jeszcze bliżej i zaszeptał: — „Wypuszczony zostałeś na pewno na wabią, aby twego ojca tym łatwiej można było złapać. Nie spotykaj się z ojcem za żadną cenę. I nie mów o nim nigdy, że jest bandytą. Twój ojciec walczył o Polskę, to nieładnie tak o nim mówić“. Ostatnie słowa wypowiadał po polsku z silnym akcentem śląskim.

Nie na tym się kończy historia ubrań mego syna. Poszedł w parę miesięcy później na powstanie w nowym garniturze. W końcowej fazie walk przeżył kilkunastogodzinną wędrówkę kanałami ściekowymi. W błocie i ekskrementach zniszczył ubiór zupełnie. Na jego miejsce włożył dreluchy niemieckie, które tak często zastępowały mundur powstańcy. Wyszedł z Warszawy w spodniach sztuczkowych, które mu ofiarni ludzie podarowali. Gdy przyjechałem z Moskwy, liczyłem się z tym, że w kwaterze konspiracyjnej, bolszewikom nie ujawnionej, zastanę cho-

ciaż swoją garderobę. Okazało się, że moi przyjaciele wytłomaczyli synowi: — „Ojciec pewno nie wróci, nie wydawaj resztek pieniędzy, przerób ubranie z ojca na siebie“. Radę wykonał dokumentnie. Nareszcie był bogaty w ubrania i witając mnie pocieszał: — „Tatusź da sobie zawsze radę“. Los zrównał nasze szanse, bo wkrótce potem uciekaliśmy z Kraju znowu w jednych tylko garniturach.

Troska o resztę rodziny nie dawała mi chwili spokoju. Każdego dnia rozstrzeliwano ludzi na ulicach; z obozów kobiecych przychodziły najbardziej ponure wiadomości. Szalał tam tyfus, który dziesiątkował mieszkanki obozów. Sięgałem po każdą pomoc, choć nie tudziłem się, że wiele z podsuwanych mi rozwiązań jest nierealnych, a inne mogą mieć na celu przynętę celem schwywania mnie.

Jeden z najbardziej wprowadzonych w stosunki z Gestapo Polak, bezinteresownie pracujący z upoważnienia władz podziemnych nad zwalnianiem więźniów, oświadczył mi pewnego dnia: — „Zaczepił mnie dziś w alei Szucha zastępca Hahna i zapytał: „Pan interesuje się losem rodziny Stypułkowskich? Proszę oświadczyć gdzie należy, że za wskazanie miejsca pobytu Stypułkowskiego wyznaczona została nagroda. Każdy, kto to uczyni, będzie miał prawo do wybrania z list zakładników, skazanych na śmierć trzydziestu osób, które zostaną ulaskawione. Może się Pan tego podjąć?“. Gdy mu odpowiedziałem, że nie pełnię roli denuncjatora, zdziwił się: — „Jeśli Pan pracuje nad ulżeniem doli swoich współziomków, to niech Pan weźmie pod uwagę, że za jednego ratuje Pan trzydziestu“. W tych warpnkach — ciągnął sprawozdanie mój rozmówca — nie mogę już niczego więcej zrobić dla pańskiej rodziny ani też spotykać się z Panem. Proszę mnie mieć za wytłomaczonego, że spóźniłem się dziś dwie godziny, ale zrobiłem co możliwe, aby zatrzeć swe ślady“.

Obecnie każda matka czy siostra, widząc na murach nazwisko swego ukochanego, oszalała z bólu, mogła wskazać mnie na ulicy byle agentowi, aby ratować w ten sposób życie dla niej najcenniejsze. Nie mógłbym nawet do niej mieć żalu. Choć jednak oprawcy grali na najczulszych strunach duszy ludzkiej, wyników to nie dawało.

Okres styczeń—kwiecień 1944 r. poświęciłem przede wszystkim sprawie zjednoczenia wysiłku zbrojnego w kraju. Udało się ją po wielu wysiłkach rozwiązać drogą podpisania porozumienia pomiędzy Narodowymi Siłami Zbrojnymi i ówczesnym dowód-

cą Sił Zbrojnych w kraju, generałem Borem-Komorowskim. Był to uczuciowo moment tak podniosły, że gospodarze mieszkania, w którym toczyły się ostatnie obrady, uważali sobie za zaszczyt podjąć niecodziennych gości tak wspaniałym, jak się to tylko w Polsce mogło zdarzyć, obiadem. Przy stole ujął nas wszystkich generał Bór swoją bezpośredniością i osobistą skromnością. Powiedział mi między innymi wobec licznych słuchaczy, którzy dotychczas byli z nim w długotrwałym sporze: — „Swoje stanowisko osiągnąłem dzięki przypadkowi. Wielu wybitniejszych ode mnie zginęło, wielu innych wskutek różnych okoliczności nie może mnie zastąpić. Skoro jednak na mnie przypadł los, będę swój obowiązek pełnił, rządząc się praktycznym rozumem i słuchając rad innych. Ustąpię, gdy znajdzie się lepszy“.

W dalszej rozmowie okazał duże współczucie i zainteresowanie dla losu mojej rodziny. — „Może będę mógł Panu pomóc. Czy sprawa nie leży w granicach kompetencji Wenera?“. Odpowiedziałem twierdząco. Radca Wener, kiedyś urzędnik kryminalny, był szefem wydziału Gestapo i jednym z tych, którzy na wysokim szczeblu decydowali o losie moich bliskich. — „W takim razie — mówił generał Bór — oddaję do Pańskiej dyspozycji następujący stan rzeczy: Wenerowi przysłał ktoś wyrok śmierci. Nie było to robione z naszego polecenia, gdyż nie mamy zwyczaju uprzedzać Niemców o zapadłym wyroku, dopiero po jego wykonaniu ogłaszamy go w prasie podziemnej. Ale Wener jest przekonany, iż wyrok pochodzi z Armii Krajowej i na wszystkie strony stara się o jego uchylenie. Nic nie będzie szkodziło sprawie, jeśli pozostanie w błędzie. Może Pan to wykorzysta, a ja postąpię według Pańskich życzeń. Wener spośród tych oprawców nie jest jeszcze najgorszy“.

Wróciłem do domu rano, gdy pozwoliła na to godzina policyjna. Nie zdążyłem się jeszcze ogolić, przebrać, kiedy wpadła łączniczka, widocznie wzruszona: — „Panie Mecenasie, przed dom na Krakowskim Przedmieściu zajechały wozy ciężarowe z Kalmukami. Pod dowództwem niemieckich oficerów wynoszą z Pańskiego mieszkania wszystkie meble“.

Nie chodziło już o straty materialne, o dorobek mojego życia, ale był to znak, że sprawa zwolnienia siedzących w więzieniu jest na złej drodze. Wzięła mnie przekora. Nacisnąłem kapełusz głęboko na czoło, narzuciłem na siebie futro (pożyczone od przyjaciół) i biorąc pod ramię swą towarzyszkę, powiedziałem: — „Chodźmy, zobaczymy, jak to wygląda“.

Stałem po drugiej stronie ulicy. Było dżdżysto, błoto walało się po cnodnikach. Kałmucy nosili właśnie w rękach moje ukochane książki i wrzucali je do wozu niby węgiel czy kartofle. Która upadła na ziemię i unurzała się w mazi, zostawała w rynsztoku. Wokoło zebrało się trochę ludzi, patrząc ze zgrozą na tych barbarzyńców i na to łupiestwo. Nasycałem swój wzrok tym obrazem, który starczy za wszystkie argumenty przy ocenie „wyższości“ rasy niemieckiej, jej posłannictwa w Europie, jej roli dobroczynnej w wychowaniu innych narodów — choćby sowieckich Kałmuków, przebranych w mundury Wehrmachtu.

Ważylem teraz długo, co robić z propozycją generała Bora. Zagrać na nerwach Wenera to stawka bardzo ryzykowna. Jeśli połączy swój los z losem moich bliskich, może ich wykończyć w jednej sekundzie, a jeśli nie skorzystam z nadarżającej się szansy, będę miał później do końca życia wyrzuty, bo przecież tak czy owak grozi im śmierć.

W tym okresie skomunikował się ze mną hr. Ksawery Grocholski. Znałem go dobrze jako administratora interesów wielkiego Polaka i czcigodnego mojego przyjaciela, Seweryna ks. Czetwertyńskiego. Sędziwy książe był już od lat w obozie koncentracyjnym i jego pełnomocnik przychodził czasem zasięgnąć moich rad w jego majątkowych i osobistych sprawach. Tym razem wizyta Grocholskiego miała inny cel. — „Werner jest śmiertelnie zaniepokojony o swe życie — mówił mi. — Dostał wyrok śmierci wydany przez podziemie i wie, że przed nią nie ucieknie. Szuka gwałtownie dróg porozumienia“.

Wiedziałem, jaką drogą Grocholski nawiązał kontakt z Wernerem. Aresztowany w początkach okupacji, wydobyty został staraniami żony, Austriaczki z pochodzenia. O uwolnieniu zdecydował Werner, który, jak to nieraz było w zwyczaju u Niemców, zaczął odwiedzać swoje ofiary; mówił, że lubi „*Wiener Kaffee*“, którą pani domu świetnie przyrządzała. Przy takich okazjach Grocholskiemu nieraz udawało się zwolnić ludzi z więzienia lub uzyskać ulaskawienie od śmierci. Teraz z kolei Werner żądał rewanżu.

Wierzyłem Grocholskiemu. Obserwowałem jego pracę konspiracyjną i nie mam wątpliwości, iż działał w dobrej wierze. Jego wizyta, w połączeniu z propozycją generała Bora, stanowiła tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności, iż wydała mi się wskazówką Opatrzności. Powiedziałem mu: — „Zaproponuję Panu jedną rzecz. Pójdzie Pan natychmiast do Wenera i powtórzy

dosłownie to, co ja spiszę na kartce“. Rozważałem każde słowo i myślę, że dziś jeszcze tekst notatki mogę przytoczyć niemal dosłownie. Brzmiała ona: „Podziemie jest zdania, iż Werner nie jest jeszcze najgorszy spośród prześladowców Polski. W pewnych warunkach kara śmierci w stosunku do niego mogłaby być cofnięta. Musi w tym celu dać wyraz dobrej woli wobec społeczeństwa polskiego, przynajmniej w tych wypadkach, gdy to na pewno nie będzie kolidowało z jego obowiązkami jako funkcjonariusza bezpieczeństwa Rzeszy. Do rzędu takich wypadków należy zwolnienie z więzienia starców, kobiet i dzieci, przetrzymywanych w charakterze zakładników za ich ojców, synów i mężów. W szczególności przypomina się, iż dotyczyłoby w więzieniach warszawskich siedzących następujące niewinne osoby, itd.“ Na liście, złożonej mniej więcej z trzydziestu osób, umieściłem moją matkę.

Werner w pierwszej chwili zagroził Grocholskiemu aresztowaniem, krzychał, że dopiero teraz Polacy go poczują. Ale po paru dniach przyjechał do Grocholskiego i zaczął się tłumaczyć: Stypulkowskiej zwolnić nie może, bo pozostaje ona w dyspozycji wyższych od niego władz. W innych wypadkach postara się coś zrobić. Przekonywano go, że tylko szeroki gest z jego strony zadowolni podziemie. Skręcał się jak piskorz, był wyraźnie wystraszony. Po paru dniach wziął urlop i wyjechał do Niemiec. Gdy wrócił, zapowiedział między innymi i zwolnienie mojej matki.

Wykonanie wyroku na arcyłotrze, szefie Gestapo, Kutscherze, zniweczyło nadzieję, jaka zabłysła. Niemcy w odwet zamordowali kilkuset więźniów w Warszawie i w obozach koncentracyjnych. Od Himmlera przyszedł zakaz wypuszczania na wolność kogośkolwiek. Gdy nastąpiło pewne uspokojenie, Wernera nie było już na urzędzie. Ze strachu zwariował.

Matkę, żonę, bratową, p. Śliwińską oraz gospodynię wywieziono kolejno do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Oprawcy dawkowali zadawany ból. Wszystkie dalsze niezliczone starania okazały się daremne.

Hr. Grocholskiego spotkałem później pod okupacją sowiecką. Łączył go wtedy stosunek znajomości z ówczesnym ambasadorem W. Brytanii, p. Cavendish-Bentinckiem, oparty na dawnej przyjaźni rodzinnej. Nie krył się z nią. Miało się to stać przyczyną jego tragedii. Rząd warszawski oskarżył Grocholskiego o szpiegostwo na rzecz W. Brytanii, a przy okazji zarzucił mu kolaborację z Niemcami. Starania o uwolnienie mojej rodziny służyć miały jako jeden z dowodów. Zapadł wyrok śmierci.

Z chwilą, gdy w Kraju nastąpiło pełne zjednoczenie wysiłku zbrojnego, usunięta została główna przyczyna trwającego od pewnego czasu sporu pomiędzy dwoma nurtami Stronnictwa Narodowego. Jakkolwiek spór ten był poważny i sprawił, że przez kilka lat równoległe działały dwie odrębne organizacje polityczne i podporządkowane im pionierzy wojskowe, propagandy oraz administracji kraju, nie było wątpliwości, że ruch narodowy nie ulegnie trwałemu rozbićciu. Ma on przecież za sobą tradycję nieprzerwanej pracy kilku pokoleń nad odbudowaniem niepodległości, nad wykształceniem myśli politycznej, a ponad wszystko nad wychowaniem społeczeństwa w moralnej postawie wobec spraw publicznych. W tych warunkach można było mieć zaufanie, że towarzyszące zazwyczaj rozłamom politycznym ambicje personalne, nawarstwienia odmiennych przeżyć, rozognienie w sporach „rodzinnych“ i ciasny kąt widzenia frakcyj, nie odegrają w przyszłości wielkiej roli. Tak się też i stało. W ciągu kilku miesięcy zespolenie ruchu poczęło się dokonywać żywiołowo, w oparciu o silne podstawy psychologiczne. Kto liczył na rozbićcie sił Stronnictwa Narodowego, zawiódł się sromotnie.

Jednak w połowie 1944 r. zręby organizacyjne pozostawały wciąż jeszcze odmienne. Jeden z pionierzy stronnictwa wchodził do tak zwanego „porozumienia czterech“ i brał na siebie współodpowiedzialność polityczną za kierunek działania Delegata Rządu i jego agend. Uczestniczył w pracach Rady Jedności Narodowej, zastępującej parlament. Od r. 1942 konsekwentnie popierał wszystkie poczynania Armii Krajowej, w którą włączył oddziały Narodowej Organizacji Wojskowej, liczące kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Drugi odłam stronnictwa, który rozwijał koncepcję Narodowych Sił Zbrojnych, rozbudował równoległe własną sieć propagandy i wziął czynny udział w zorganizowaniu osobnego aparatu przyszłej administracji państwa, nazwanego Służbą Cywilną Narodu (S. C. N.). Dokonał tego we współpracy z innymi ruchami politycznymi oraz przy udziale dużego środowiska narodowców bezpartyjnych. Stąd powstała konieczność powołania do życia Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, która by koordynowała wysiłek wszystkich tych różnorodnych grup i wytyczała wspólny kierunek działania. Stałem na czele tej instytucji.

Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna stawała się potężnym czynnikiem podziemia. Dysponowała wielką siłą około stu tysięcy żołnierzy N. S. Z., poważną kadrą w wielu dziedzinach

przyszłej administracji państwa, prasą i aparatem propagandowym, który docierał do wszystkich zakątków kraju, przede wszystkim zaś prężnym materiałem ludzkim o dużym poziomie wyrobienia ideowego. Rada odnosiła się krytycznie do pewnych poczynań polityki, kierującej państwem podziemnym. Opozycja nosiła jednak charakter legalny i wbrew podejrzeniom tu i ówdzie rozsiewanym, nigdy nie próbowano zamienić się we władzę konkurencyjną, ani też narzucać istniejącemu państwu swojej władzy siłą. Jeśli były takie tendencje w grupie O. N. R., to nie pozwolono się im ujawnić w działaniu. Zdawałem sobie sprawę, jak wielką wartość przedstawiał fakt, iż naród, zepchnięty w podziemie, dobrowolnie, bez policji i bez stosowania środków przymusu skupia się koło władz swego państwa i uznaje jego dyspozycje. Przy tej postawie należało wytrwać, taka też była wola społeczeństwa, które w latach klęski wykazywało niezwykłą dojrzałość.

Jednak lojalność wobec państwa nie mogła oznaczać nawet i w owych warunkach rezygnowania z krytycznej oceny działalności jego organów i postawy politycznej kierownictwa. Ocena ta przejawiała się w prasie podziemnej, w deklaracjach i ulotkach. Jednak taka forma walki o własny pogląd i o jego realizację nie wystarczała w kręgu wydarzeń, zabarwionych codziennie świeżą krwią, pogłębiających nieustannie morze cierpień, stawiających co chwila wobec jednostek, rodzin i całego społeczeństwa pytanie: być lub nie być. Zagrożony, niespokojny, pełen namiętności żywioł szukał rozwiązań szybkich, był skrajny w krytyce, skory do akcji bezpośredniej.

Rządzący zaś państwem podziemnym — jak wszyscy, których faktyczna odpowiedzialność ogranicza się do odpowiedzialności wobec „Boga i historii“ — ulegali nieraz naturalnej skłonności do uważania krytyki swych poczynań lub działania, nie pochodzącej z ich woli, za czyn przestępczy w stosunku do sprawy narodowej. Wynikającym z tego niebezpieczeństwom zapobiec mogła tylko wytrawność opinii publicznej, która narzucała pewną miarę opozycji, a odpowiedzialnych za sprawowanie władzy zmuszała do liczenia się z tą opozycją przynajmniej w niektórych wypadkach.

Jakież były zasadnicze różnice poglądów pomiędzy Tymczasową Narodową Radą Polityczną i jej zapleczem, a oficjalnymi czynnikami państwa podziemnego?

Zarysowały się te różnice najprzód w zakresie metod i warun-

ków zjednoczenia ruchu zbrojnego Kraju, o czym już pisałem na innych kartach książki. Wielki wysiłek z naszej strony sprawił, iż spór ten został zakończony. Tymczasowa Rada Polityczna podporządkowała Narodowe Siły Zbrojne (N. S. Z.) Dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju. Układ zapewniał rozsądne rozporządzenie krwią polską. Obiecywał, że Armia Krajowa stanie się podstawą organizacji takiego wojska polskiego w przyszłości, które służyć będzie tylko państwu, w granicach, jakie zakreszą mu obowiązujące ustawy, ustroj demokratyczny i interes Narodu.

Tym samym można było mieć nadzieję, że owa olbrzymia energia, jaką wyzwoliło z siebie społeczeństwo w postaci wysiłku zbrojnego w obronie ojczyzny, skierowana będzie na właściwą drogę i przestanie nęcić tych, którzy w oparciu o siłę chcieliby „zbawiać“ czy urządzać Polskę na swój indywidualny, klikowy czy cianopartyjny sposób.

Wyłom, dokonany przez pewne elementy O. N. R. w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych, osłabiał powagę naszego stanowiska. To, co tak długo zwalczaaliśmy u innych, ujawniło się również między nami. Musieliśmy się rozprawić z tymi tendencjami choćby kosztem rozstania się z towarzyszami, z którymi łączyła nas niedola i wspólnie przelana krew. Krew ta była tak cenna, niedola Narodu tak wielka, że nie wolno było z niej kuć kapitału dla harców politycznych lub zaspokojenia nieusprawiedliwionych ambicji grupowych. Toteż ze swej strony zrobiliśmy wszystko, aby układ o zjednoczeniu wysiłku zbrojnego Kraju, zawarty na rozsądnych podstawach, doprowadzić lojalnie do końca.

Drugie zagadnienie, które różniło Tymczasową Narodową Radę Polityczną z oficjalnym kierownictwem państwa podziemnego, dotyczyło zrębów budowanej administracji cywilnej. Materiału ludzkiego do tej administracji dostarczały przede wszystkim stronnictwa polityczne ze swych zakonspirowanych w terenie szeregów, a nadto Armia Krajowa, która przez długi okres czasu pretendowała do objęcia zarządem wojskowym również i cywilnych dziedzin życia. Ta ostatnia dysponowała w tej dziedzinie przeważnie elementem byłych urzędników państwowych, bardziej przygotowanych fachowo, obciążonych jednak często „sanacyjną“ przeszłością polityczną, którą społeczeństwo oceniało bardzo krytycznie. Przeciwwstawiając się im, na stanowiska kierownicze w przyszłej administracji państwa powoływano z reguły według klucza partyjnego, nie licząc się dostatecznie z rzeczowymi kwalifikacjami kandydatów. Panowała dążność do powierzenia tych waż-

nych posterunków jednostkom, które najhałaśliwiej głosily poglądy radykalne i utożsamiały je z demokracją. Dla baczących obserwatorów stawało się jasne, że ludzie ci ani nie posiadają dostatecznego autorytetu w społeczeństwie ani też w krytycznym momencie nie zdołają opanować sytuacji. Wójt gminy nie mógł rodzić nadziei, że da sobie radę na stanowisku wojewody w utrzymaniu ładu na terenie tak uprzemysłowionym jakim jest okręg łódzki lub Zagłębie Dąbrowskie, jeśli jedyną jego kwalifikacją będzie pochodzenie chłopskie. Taki „demokrata“, którego stać tylko na frazesy, łatwo przedzierzgnie się w „ludowego demokratę“ i stanie się pionkiem w rękach bolszewików, gdy ci posiadą władzę w kraju. Niektórzy spośród licytujących się w radykalizmie stanowili wtyczki komunistyczne do poważnych i patriotycznych stronnictw lewicowych, inni pośpiesznie tworzyli nowe „stronnictwa“, aby zdobyć głos w istniejącym układzie stosunków. Tak na przykład powstało coś pięć stronnictw rzeczywiście „kanapowych“, które w różny sposób odmieniały słowo „demokracja“ i „demokratyczny“.

Nie myliliśmy się w naszych przewidywaniach. Brak należytej przezorności w dobieraniu kandydatów do administracji spowodował później szybkie jej rozszyfrowanie przez N. K. W. D. Różni dygnitarze podziemni w rodzaju Kocioła-Dęba czy Wycecha stali się następnie podporą reżymu Bieruta. Te różne kilkunastoosobowe, ale pełne tupetu „stronnictwa demokratyczne“ rozleciały się natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich, a przeważająca część ich członków oddała się na usługi nowej komunistycznej rzeczywistości.

W tych warunkach dążyliśmy do reform w administracji podziemnej. Przygotowywaliśmy równocześnie przyszłe jej kadry, zwane „służbą cywilną narodu“, licząc się z tym, że we właściwym momencie wniesiemy ten wkład do budowy państwa, chroniąc własne szeregi przed niebezpieczeństwem współpracy z *fel-low-travellersami*. Sieć naszego aparatu rozrzucona po kraju była w r. 1944 tak poważna, iż mogła zaważyć wiele w podtrzymaniu autorytetu legalnych polskich władz, gdy przyjdzie czas na ich ujawnienie. Tragedia następnych lat uniemożliwiła spełnienie tego zadania.

Co nas jednak najbardziej różniło z linią taktyczną, którą przeprowadzał Delegat Rządu w kraju na podstawie instrukcji Rządu Polskiego w Londynie, to była postawa wobec nadchodzących wydarzeń ze wschodu. Sprzeciwialiśmy się wszystkimi na-

szymi siłami przeciwko robieniu ze społeczeństwa królika doświadczonego, na którego ciele miano by doświadczać lojalności Sowieców. Formułka: Związek Sowiecki jest aliansem naszych sojuszników i dlatego należy mu nie tylko przyjąć wszystkie rozporządzeniami środkami z pomocą w walce z Niemcami, ale i ujawnić pośrednio dorobek całego podziemnego Państwa Polskiego — wydawała nam się chimera. Konsekwencją takiej postawy, w naszym rozumieniu, było zaciskanie sobie samemu sznura na szyi.

Jakże miała wyglądać praktyczna realizacja przyjętej formuły? W miarę przesuwania się frontu ku zachodowi, jednostki Armii Krajowej otrzymały rozkazy wchodzić do akcji na tyłach Niemców, zajmować punkty strategiczne, wywoływać powstanie w miastach, niszczyć środki komunikacji. Nawiazawszy kontakt z wojskiem sowieckim dowódca jednostki obowiązuje w następnym stopniu podporządkować się koncepcji strategicznej swego partnera, składając równocześnie oświadczenie, iż czyni to na rozkaz Rządu Polskiego, któremu wszystkie siły zbrojne kraju są podporządkowane. Na terenach oswobodzonych od Niemców szefowie administracji cywilnej podziemia mieli objąć natychmiast jawne urzędowanie i zgłosić się do władz sowieckich jako reprezentanci politycznej władzy Państwa Polskiego.

Zarówno w Kraju jak w Londynie oczekiwano z napięciem rezultatów takiego stanowiska. Sądzę, że także rządy mocarstw sprzymierzonych spodziewały się sporo po nawiązaniu praktycznej współpracy podziemnego Państwa Polskiego z armią sowiecką. Mogło to umożliwić wejście na drogę ugody, której tak bardzo pragnęły. Dlatego tak silnie namawiały Rząd Polski w Londynie, aby wbrew wszelkim trudnościom, kroczył po linii tej współpracy. Inicjatywa działania politycznego w układaniu przyszłości Europy wysunęła się jednak w owym czasie z rąk angielskich i ster wydarzeń dzierżył silnie w ręku dyktator Stalin. Nie liczone się więc z rzeczywistością, nie szukano właściwych argumentów siły, lecz chciano się karmić złudzeniami.

Złudzenia przysły jak bańka mydlana. Pierwsze od razu oddziały Armii Krajowej, które się ujawniły wojskom sowieckim w postaci czynnej walki z Niemcami na tyłach frontu, zostały po skończonej bitwie rozbrojone i internowane. Kiedy się czegoś bardzo pragnie, można poddawać się złudzeniom dosyć długo. Toteż próbowano tłumaczyć sobie te brutalne fakty wynikiem nieporozumienia, braku odpowiednich rozkazów ze strony naczelnego dowództwa sowieckiego. Czekano na dalsze wydarzenia.

Potwierdziły one najbardziej ponure przewidywania. W walkach o Wilno dywizje Armii Krajowej wzięły udział w takiej liczbie i z takim napięciem wysiłku, iż nie można było tego nie zauważyć. (O bohaterstwie Polaków wzmiankowały nawet komunikaty sowieckie, dowódcom ofiarowano odznaczenia. Gdy zadanie operacyjne zostało ukończone polecono jednostkom Armii Krajowej zajęcie nowych stanowisk, z dala od linii działań wojennych. Tam zostały otoczone siłą wielokrotnie przeważającą i zmuszone do kapitulacji... na rzecz Sowietów. Żołnierze polscy znaleźli się w głębi Rosji, w obozach koncentracyjnych. Niewielu tylko spośród nich wróciło do kraju w późniejszych latach, po tak zwanej amnestii.

Nie były to przypadkowe, bądź wynikające z chaosu wojennego, wydarzenia. Do rąk kierownictwa polskiego ruchu podziemnego dostały się autentyczne rozkazy pochodzące ze sztabów sowieckich. Brzmiały one wyraźnie: rozbrajać, a w wypadku oporu rozstrzeliwać. Świat zaś zachodni upominał nas w dalszym ciągu: pomagajcie Związkowi Sowieckiemu w zwycięstwie, umacniajcie z nim przyjaźń przez braterstwo broni. Uprzedzając jakiegokolwiek nasze wahania w tym kierunku strofował surowo: jesteście tymi, którzy przez swą nadmierną ambicję i brak wyczucia politycznego uniemożliwiają podjęcie trwałej współpracy z Rosją Sowiecką dla przyszłego pokoju i zwycięstwa demokracji.

Może więc należało zacisnąć zęby, pokryć milczeniem tragedię rozgrywaną się na ziemiach, do których Rosja jawnie zgłosiła pretensje, i szukać dalszych form współpracy w walce z Niemcami tam, gdzie według oświadczeń „wielkodusznego“ Stalina ma się odbudować Polska wielka, silna i niezależna?

Front przesunął się szybko poza linię Bugu. Wraz z pierwszymi oddziałami sowieckimi zjawilo się na terenie centralnych ziem polskich grono ludzi starannie przygotowywanych od szeregu lat w Moskwie do odegrania roli „ludowego rządu“. Zupełnie tak samo w r. 1920 bolszewicy stojący u bram Warszawy wzięli z sobą gotowy rząd polski Marchlewskiego, Kona i Dzierżyńskiego. Tym razem nazywał się on Związkiem Patriotów, Komitetem Chełmskim od nazwy pierwszego miasta na zachodnim brzegu Bugu, potem Komitetem Lubelskim, a wkrótce już Tymczasowym Rządem Rzeczypospolitej Polskiej.

Ciekawy był dobór personalny tej bolszewickiej agentury i technika jej poczynań. Znaczna część członków Komitetu Lubelskiego składała się z osób nie tylko nikomu nieznanym, ale których

nazwiska o brzmieniu niepolskim lub zgoła sztucznym wskazywały, że ci ludzie mają coś do ukrycia wobec polskiego społeczeństwa ze swej przeszłości, no i ze swych zamiarów. Do nich należał „prezydent“ Bierut, którego nazwisko składa się z części dwu innych poprzednio używanych: Biernacki-Rutkowski, także nie jego prawdziwych nazwisk. Ci panowie nie zawsze nawet płynnie mówili po polsku, a z okrucich biografii, które się przedostawały do opinii publicznej, wiadome było, iż w ciągu ostatnich lat pełnili na różnych szczeblach funkcje w N. K. W. D. lub w światowych agendach Kominternu. Szereg spośród nich było obywatelami sowieckimi. Nimi właściwie obsadzone były wszystkie istotnie ważne posterunki w tym ośrodku władzy nad Polską. Ale obok niewątpliwych agentów Rosji, na liście Komitetu Lubelskiego figurował szereg nazwisk o charakterze dekoracyjnym, mającym na celu wywoływanie złudzeń u tych, którzy ich pragnęli, że Komitet Lubelski jest co najmniej złożony z Polaków. Stąd na przykład w pierwszej fazie chwalili się nazwiskiem Andrzeja Witosa. Był to mały, zastraszony człowieczek, który im był potrzebny na pewien czas, aby zdeorientować masy włościańskie, przywiązane do wielkiego swego przywódcy Wincentego Witosa. Z tych samych przyczyn tolerowali w swym gronie dra Emila Sommersteina, syjonistę, byłego posła na Sejm, sądząc, że tym pozyskają dla swej koncepcji skomunizowania Polski żydostwo światowe.

Przywódcy sowieccy są mistrzami w operowaniu psychologią mas. Wiedzą najlepiej jak je zjednywać, a także jakimi sposobami brutalnie je łamać, gdy tego zachodzi potrzeba. Rozumieli, że społeczeństwo polskie po pięciu latach terroru germańskiego cieszyć będą wszelkie oznaki, choćby zewnętrzne, powrotu do wolności, dające satysfakcję jego uczuciom patriotycznym i religijnym. Bez wahania zdecydowali dawać tych oznak dowoli, aby pod ich osłoną łatwo i zgrabnie chwycić kraj w swe szpony. Tym się tłumaczy, że przysłali wraz z Komitetem Lubelskim dywizję „Wojsk Polskich“ sformowaną z różnych biedaków, których swego czasu nie wypuścili z obozów i miejsc zesłań do armii, tworzonej w ramach układu polsko-rosyjskiego przez generała Andersa. Nazwali ją „dywizją Kościuszkowską“ od imienia bohatera narodowego, ubrali żołnierzy w tradycyjne mundury, przykrywając nawet oko na to, że olbrzymia ich większość nosiła „beprawnie“ na czapkach orzełki z koroną. Sowieccy oficerowie,

k którzy dowodzili tymi oddziałami, musieli też nosić polskie odznaki.

W letnie dni 1944 roku po miastach i osadach polskich odbywały się parady tych wojsk. Omówiawkowo poprzedzane były mszą polową, której dowódcy słuchali leżąc często krzyżem. Bierut był też fotografowany, gdy klęczał w czasie Podniesienia. Widziałem później przemarsz wojskowej kolumny samochodowej przez ulice miasta. Nad wozami, udekorowanymi sztandarami biało-czerwonymi, zielenią, unosiły się rozwieszane transparenty: „Niech żyje Wielka Polska“, „Niech żyje Armia Narodowa“, „Realizujemy testament Chrobrego“...

Nie do pomyslenia było, aby tak podbudowywany „Rząd Narodowy“ mógł spotkać się z konkurencją w postaci polskiego Państwa podziemnego, choćby na moment. Nie można było pozwolić, aby organy tego państwa ujawniły się opinii publicznej czy to w postaci Armii Krajowej, czy też administracji politycznej. Dlatego też było jasne, że władze sowieckie, z innych założeń aniżeli poprzednio na naszych Ziemiach Wschodnich, tępić będą równie bezwzględnie każdy przejaw aktywności niezależnych sił polskich.

Tak się i stało. Gdziekolwiek Polacy rozpoczęli funkcjonowanie w charakterze gospodarzy kraju, natychmiast byli aresztowani i wywiezieni. Dokonywano tego po cichu starając się, aby nie przeniknęło nic do opinii publicznej. Oddziały zbrojne, które się organizowały do walki z Niemcami, wcielano w jednych miejscach siłą do dywizji kościuszkowskiej, gdzie indziej rozbrajano po dawnemu i odsyłano w głąb Rosji. Sam fakt, że administracja polska usiłowała objąć urządowanie, a oddziały Armii Krajowej występowały jawnie, posłużył następnie jako materiał do oskarżenia przywódców polskich w czasie procesu moskiewskiego. Przewodniczący sądu generał Ulrich zadał między innymi w czasie rozprawy wicepremierowi Jankowskiemu takie pytanie: „Czy mógł Pan sądzić, że Z. S. S. R. nie uzna powstania polskiej administracji cywilnej na waszym terytorium za akt wrogi względem siebie i że do tego dopuści?“.

Na kanwie tych wydarzeń z jednej strony, a pod presją sytuacji międzynarodowej z drugiej strony, należało zdecydować o postawie, jaką ma zająć wobec zbliżającej się Armii Czerwonej dumna i nieugięta Warszawa. Była ona nie tylko stolicą wielkiego narodu, który wytrwał w nieprzerwanej dotychczas ani na chwilę walce z wrogim najazdem, ale także i źródłem niewyczerpanych jego sił moralnych. Warszawa była symbolem oporu przeciw

gwałtowi w oczach wszystkich wolność miłujących. W niej miały schronienie centralne władze podziemnej Polski. Ona hodowała gromadzoną latami pasję patriotyczną.

Bez wahania powiem, iż pasji tej trzeba było dać ujście, jak konieczne jest znalezienie ujścia dla pary, której ciśnienie grozi wybuchem kotła. Nastrój wybuchu był w drugiej połowie lipca tak wyczuwalny we wszelkich skupiskach ludzkich, a szczególnie na ulicach miasta, że niemieccy oficerowie, choć niezaczepiani, przesuwali się po Warszawie trzymając instynktownie broń w ręku. Było jasne, że każdy strzał, każda przypadkowa reakcja będzie hasłem do powszechnej walki. Prócz nastrojów działali i agenci komunistyczni — mogli oni w dogodnej chwili rzucić swą zapalną na palny materiał.

W tej czy innej postaci Warszawa musiała zmanifestować wolę suwerenną Narodu Polskiego w momencie, gdy zrzucała pęta germańskie, a zbliżał się do jej bram najeźdźca wschodni. Warszawa żyła wolą przypomnienia świata, im bardziej zdawał się o tym zapominać, że druga wojna powszechna toczy się nie o to, czy łup przypadnie hitlerowskiemu Niemcom czy też sowieckiej Rosji, ale o to, że bez wolnego Narodu Polskiego żaden inny naród w Europie nie może być pewien swej wolności. Gdyby to nie nastąpiło, cały sens blisko sześcioletnich zmagania, cały sens wielomilionowych ofiar z życia ludzkiego i przeogromnych cierpień byłby zamazany. Po prostu niejednemu mężowi stanu na Zachodzie podsunęto by argument, iż w trzydziestoletniej wojnie (1914—1944) Rosja wróciła jeno do swego dawnego stanu posiadania.

Na wojnie, w kręgu działań zbrojnych i rozszalałego terroru manifestuje się z bronią w ręku, jeśli się chce być usłyszonym. Deklaracje, oświadczenia słowne, przekazane słabiutką radiostacją podziemną, nie idą w świat, ale giną w szufladach biurów referentów i przechodzą szybko do archiwów zagranicznych ministerstw. Polacy z dawna już przywykli pisać swe manifesty o wolności krwią.

Poza sferą możliwości było nakazanie milczenia Warszawie, narzucenie jej biernej postawy. Ale do przywódców narodu, którym przez cały ciąg zmagania społeczeństwo dawało karny posłuch, należała decyzja, jakie rozmiary miała przybrać siła wybuchu nagromadzonej tu energii narodowej. Ich było obowiązkiem wymierzyć rozmiar strat, podsumować korzyści polityczne i w swych decyzjach liczyć się z trzeźwym obrachunkiem, na który miliony

szarych obywateli pochłoniętych wolą walki, rozpalonych żądzą odplaty, zżartych tęsknotą za wolnością, nie było stać.

Przywództwo naszego społeczeństwa spoczywało w dwóch ośrodkach dyspozycji politycznej: w Rządzie Polskim w Londynie i w kierownictwie polskiego państwa podziemnego w kraju. Rząd Polski miał na miejscu wszystkie elementy dla oceny sytuacji międzynarodowej. Wiedział o tym, w co społeczeństwo w Kraju uwierzyć nie chciało, iż los Polski będzie poświęcony na rzecz współpracy między aliantami i sprzymierzeńcem bolszewickim. W tych warunkach każdy krok, który prowadzi do dalszych ofiar, winien był rozważyć szczególnie starannie. W każdym razie nie wolno mu było wypuścić z rąk decyzji tak brzemiennej w następstwa, jaką jest rozpoczęcie walk cywilnej ludności przeciw armatom, czołgom i samolotom wciąż jeszcze potężnej armii niemieckiej. Wielkim błędem rządu było, iż upoważnił Kraj do powzięcia tego historycznego postanowienia i do określenia daty wybuchu powstania w Warszawie. Błędu tego nie pomniejsza, że Rząd Polski w Londynie był w tragicznym położeniu i w obliczu gotującej się zagłady chwycił się każdej szansy ratowania niepodległości narodu.

Bo z tą chwilą ciężar decyzji przeniesiony został z szali rachunku politycznego na szalę czynników emocjonalnych. W Warszawie nawet wybitni politycy w swych osądach nie mogli być wolni od tych czynników — każdego pochłaniała gorączka działania, przysporzenia sprawie polskiej atutów, a obracał się w kręgu wydarzeń, w których niewiele znaczyły perswazje, konferencje dyplomatyczne czy przedkładane memoriały. Przedstawiciele stronnictw politycznych w Polsce podziemnej wykazywali w tym okresie i tak dużo chłodnej rozwagi. Ich poglądy formułowały do końca na posiedzeniach Rady Jedności Narodowej, przestrzegał stanowczo przeciwko nierozważnemu wybuchowi akcji zbrojnej w stolicy. Nieuniknienie jednak w takich okolicznościach malał wpływ polityków, natomiast rosła rola wojskowych. Formalnie do nich należała ocena sytuacji na froncie. Ta ocena ze strony żołnierzy podziemia musiała być subiektywna. Nie tylko dlatego, że mieli jeno ograniczone środki techniczne dla śledzenia rozwoju działań wojennych, rozmieszczenia sił po obu stronach frontu i poznania planów zarówno niemieckich jak i sowieckich, ale także dlatego, że u olbrzymiej większości wojskowych dominowała wola jak najszybszego wystąpienia do jawnej walki, do której sposobili się w podziemiu od lat. Nie jeden z nich bał się, wy-

rażnie bał się, że decyzja o wybuchu powstania wypadnie zbyt późno i utraci w ogóle do niej okazję — parł więc by ją przyśpieszyć. Stąd atmosfera sztabu Armii Krajowej była tym czynnikiem, który faktycznie przesądził o wybuchu powstania i narzucił Delegatowi Rządu jego termin.

Czym się kierowano wyznaczając termin powstania w Warszawie na dzień pierwszy sierpnia 1944 roku? Trzeciego dnia walki dotarł do mnie przedstawiciel Delegata Rządu przy kwaterze dowódcy sił zbrojnych. Usiedliśmy w ogródku, w którym tak jeszcze niedawno wytworna publiczność gromadziła się dla słuchania muzyki, a aktorki usługiwały przy stolikach z właściwym sobie urokiem, by zarobić na życie, a nie grać w teatrach i teatrzykach służących niemieckiej propagandzie. Szereg mogił, głębokie leje, połamane fotele stworzyły teraz inne zgoła tło, jeno promienie słońca i zapach zieleni kazały tutaj poszukać wytchnienia.

„Cztery były przyczyny, dla których uznano za niezbędne rozpoczęcie akcji“ — wyjaśniał mi rozmówca. — „Pierwsza — to nastrój powszechny miasta, który groził nieprzygotowanym wybuchem. Nawet część oficerów była gotowa podjąć go na własną odpowiedzialność. Łączyła się z tym obawa, że Niemcy wykryją przygotowania do zbrojnego wystąpienia, zwłaszcza, że jak Panu wiadomo, poprzednie próbne mobilizacje czyniły prawie niemożliwym ukrywanie tych przygotowań“.

„Druga przyczyna, to zarządzone przez Niemców branka stu tysięcy mężczyzn do robót fortyfikacyjnych dla obrony Warszawy przed atakiem ze strony Rosjan. Na wyznaczone punkty zborne stawilo się zaledwie czterdziestu siedmiu Polaków. Taki stan rzeczy, należało się spodziewać, spowoduje masowe represje, którym zapobiec można było tylko drogą walki“.

Następnym względem była chęć dopomożenia premierowi Mikołajczykowi, który za namową aliantów wyjechał do Moskwy na pertraktacje ze Stalinem. Zyskał on teraz ważką kartę w postaci naszej współpracy z armią sowiecką w pobiciu Niemców.

Ostatnim argumentem, który przeważył szalę decyzji, był huk armat od strony Pragi. „Jeśli nie rozpoczniemy działań natychmiast, rozumowano, utracimy możliwość wystąpienia zbrojnego w ogóle. Cofające się wojska pancerne niemieckie zaleją miasto, a w ślad za nimi wkroczy armia sowiecka“.

Zapytałem jeszcze: „Na ile dni obliczali Panowie możliwość stawiania przez Warszawę samodzielnego oporu?“. Odpowiedział: „Na trzy dni — do pięciu przeciągniemy“. „A jeżeli po pięciu

dniach bolszewicy nie przebiją się do Warszawy?“. „Wtedy Niemcy wymordują nas wszystkich“.

Rozmowę przerwała gwałtowna wymiana strzałów w pobliżu. Zachowałem ją jednak głęboko w pamięci, jako że była odzwierciedleniem „na gorąco“ poglądów, które leżały u podstaw wybuchu powstania warszawskiego. Nie podzielałem ich, przytoczone argumenty były bądź niewystarczające, bądź zgoła błędne. Kto miał świadomość, jaka katastrofa grozi stolicy w wypadku opanowania przez Niemców zbrojnego jej wystąpienia, winien był zawnazu zwrócić uwagę na kierowanie nastrojami mas. Przy pomocy podziemnej prasy, poprzez tajne organizacje, można było przestrzec przed groźbą prowokacji, zaapelować jeszcze raz do karności społecznej, odwołać się do zaufania, jakim się cieszyły władze narodowe. A już w żadnym razie nie wolno było samemu przyczynić się do podnoszenia temperatury, mobilizując młodzież na szereg dni przed powstaniem i trzymając ją zgromadzoną po mieszkaniach uzbrojoną i niecierpliwie wyczekującą hasła do walki.

Niewystarczającym był też argument o zagrożeniu branką. W momencie powszechnego rozprzężenia tyłów i masowej ewakuacji administracji niemieckiej groźba natychmiastowych represji nie była zbyt realna, jeśli zaś liczone się z tym, że wróg będzie miał siłę je stosować — czy bezpośrednio czy w dalszej przyszłości — znaczyło to, że był on jeszcze zbyt silny na nasze karabiny ręczne, na nasze w domu produkowane granaty, kije i gołe pięści.

Jak wielkim błędem była chęć podtrzymania premiera Mikołajczyka w jego pertraktacjach moskiewskich przez zbrojne uderzenie Warszawy na tyły armii niemieckiej, wykazała historia. Mikołajczyk, zamiast toczyć walkę ze Stalinem o sprawę polską, musiał błagać i żebrać o pomoc dla powstańców. Stalin drwił, realnej pomocy nie udzielił i korzystając raz jeszcze z współdziałania Niemiec zniszczył Warszawę, której postawa stanowiła w jego oczach główną przeszkodę w realizowaniu powziętych już z dawna planów opanowania całej Polski.

Niewątpliwie największy wpływ psychologiczny na tych, którzy decydowali o powstaniu, wywarły oznaki bezpośredniego zbliżania się frontu niemiecko-bolszewickiego do wschodnich granic miasta. Wystarczyło wejść na dach kilkopiętrowej kamienicy, by gołym okiem obserwować linię działań wojennych. Huk armat niemal bez przerwy podniecał wyobraźnię warszawiaków.

Towarzyszył temu nieustający ciąg odwrotu rozbitych oddziałów i kolumn niemieckich poprzez wszystkie mosty Wisły ku zachodowi. Ewakuacja urzędów, intendentury, banków, policji przeprowadzana była w pośpiechu i z oznakami popłochu.

Wtedy to, 29 lipca 1944 roku, Moskwa nadała przez radio „Wezwanie do Warszawy: Walczcie przeciwko Niemcom... Dla Warszawy, która się nigdy nie poddała i nigdy nie ustąpiła w walce, godzina czynu wybiła... W potopie zagłady hitlerowskiej przepadnie wszystko, co nie będzie ocalone czynem. Bezpośrednio czynną walką na ulicach Warszawy, po domach, fabrykach, magazynach, nie tylko przyspieszamy chwilę ostatecznego wyzwolenia, lecz ocalimy również majątek narodowy i życie naszych braci. Polacy, czas wolności nadszedł. Polacy do broni! Nie ma momentu do stracenia!“. A nazajutrz wołano z Moskwy: „Warszawa drży od ryku dział. Wojska sowieckie nacierają gwałtownie i docierają już do Pragi... Niemcy wyparci z Pragi, będą się chcieli bronić w Warszawie. Ludu Warszawy do broni!... Milion ludności Warszawy niechaj się stanie milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność“.

Rosja bolszewicka oceniła widocznie, iż jej piąta kolumna w Polsce jest za słaba, aby na własną rękę mogła wywołać powstanie. Postanowiono zwrócić się z apelem wprost do społeczeństwa, grając na jego najszlachetniejszej ambicji. Dokonano tego w chytrej formie, która pozwalała się dorozumiewać, iż walka w Warszawie włączona jest w ogólny plan strategiczny wojsk sowieckich, podchodzących do miasta. Każdy laik wiedział przecie, że umożliwienie tym wojskom szybkiego sforsowania Wisły stanowić może o wygraniu całej kampanii. Jeśli by Polacy pozostali głusi na to wezwanie, jakaż znowu wspaniała gratka rodziła się dla Stalina, by ogłosić światu, iż Polacy w decydującym momencie odmówili współdziałania w pobiciu Niemiec, że kolaborują z Niemcami...

Polskie władze podziemne w dalszym ciągu konsekwentnie wykonywały instrukcje płynące z Zachodu, aby Rosji nieść pomoc w zwycięstwie nad wspólnym wrogiem. Apel radia moskiewskiego stanowił dla nich ostatni bodziec do rozpoczęcia akcji zbrojnej w Warszawie. Był to bodziec tak silny, że w gorączce zlekceważono nawet wiadomość o wzmocnieniu frontu niemieckiego przez dwie świeżo przybyłe, świetnie wyposażone dywizje pancerne.

Liczono wkroczenie wojsk sowieckich do stolicy już nie na dnie, ale niemal na godzinę.

Nie wszyscy podzielali ten nastrój. Były głosy burzliwej krytyki nawet ze strony poszczególnych wyższych wojskowych. W środowisku narodowym krytyka przybierała charakter poważnego protestu. Znamienne było ostatnie posiedzenie Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, której przewodniczyłem na dwa dni przed katastrofą. Wypowiadał się na niej rektor Uniwersytetu Warszawskiego Rafacz, szereg innych dziekanów i profesorów, księża, przedstawiciele wolnych zawodów i organizatorzy oraz przywódcy zbrojnych szeregów. Opinia była jednomyślna: nie wolno dopuścić do przedwczesnego wystąpienia, które może się skończyć zniszczeniem miasta i wyrżnięciem ludności. Z poważnymi przedstawieniami występował do ostatniej chwili Prus, skazany później na śmierć przez komunistów, a w owym czasie kierownik warszawskiej organizacji Stronnictwa Narodowego, którego oddziały odegrały tak bohaterską rolę z chwilą, gdy powstanie wybuchło. W opisanych okolicznościach nie liczone się z tymi głosami. Sytuację uważano za dojrzałą do tego stopnia, iż Delegat Rządu wicepremier Jankowski na podstawie zakomunikowanej mu opinii sztabu Armii Krajowej zdecydował w popołudniowych godzinach 31 lipca o rozpoczęciu akcji zbrojnej dnia następnego o godz. 5 po południu.

Stało się. W jednej chwili umilkły wszelkie dyskusje i protesty. Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju mógł śmiało stwierdzić, iż Warszawa skupiła się, jak jeden mąż, dokoła historycznego zadania, które przed nią postawiono.

Wezwanie do walki nie trafiło na czas do wielu powstańców. Zajęli natychmiast postęperunki tam, gdzie się przypadkowo znaleźli. Kilkadziesiąt tysięcy młodzieży sformowało plutony, kompanie, a w toku akcji i dywizje. Obok nich w szeregu obrońców miasta stanęła cała ludność. Wydarzenia zaskoczyły ją w chwili największego ruchu. Oto dziecko poszło na komplety uczyć się, oto matka wyszła na miasto w poszukiwaniu trudnej do zdobycia żywności, robotnik, urzędnik był w codziennej pracy lub w drodze do domu, a ten kogo trawiła gorączka niepokoju, biegł po ulicach, zasięgając języka. Pierwsze strzały unieruchomiły ich, fala nastroju porwała. Nie upłynęły godziny, jak rękoma tych ludzi ustawiano barykady, przebijano piwnice, dokonywano przekopów pod ulicami, organizowano kuchnie. Nie upłynęły dni, gdy rozpoczęły śmiertelną walkę z falą pożarów, z widmem gło-

du i chorób, gdy zapracowani byli aż do utraty sił w grzebaniu poległych i wydobywaniu spod gruzów zasypanych i rannych. W ciągu tygodni wyrastali na bohaterów, z butelkami benzyny rzucając się na czołgi, przemiernając kilometrami kanały ściekowe, by dostarczyć na linię frontu wiązkę granatów wytwarzanych w skleconych na prędcę warsztatach. Mało kto z nich zdołał wrócić do swego domu, niewielu tylko odnalazło później swe rodziny. Ale wtedy nie to było najważniejsze. Każdy mieszkaniec Warszawy stał się częścią zbiorowej siły oporu, bez której nie wytrwano by na pewno dłużej niżli „trzy do pięciu dni“.

Na rzecz umiłowanej przez siebie wolności warszawiacy oddali życie tylu istnień ludzkich, ile ich nie ma w obrachunku strat Wielkiej Brytanii w ciągu całej Drugiej Wojny Światowej. Mienie prywatne i publiczne, kościoły, biblioteki, dzieła sztuki, które stały się pastwą płomieni, bombardowania i rabunku, nie mogą być oszacowane tylko w miliardach — nic nie zastąpi ich wartości cywilizacyjnej w kraju, który jest ostatnim u wschodu bastionem Europy. Taki jest olbrzymi ciężar strat niepowetowanych nie tylko dla społeczeństwa polskiego, ale i dla całej ludzkości, jeśli się ma ona kiedykolwiek odrodzić i zajaśnieć wartościami ducha.

A jakież jest rachunek zysków? Czy w postaci wpływu na rozwój operacji militarnych przeciwko Niemcom? Niemcy oceniali swą sytuację na froncie wschodnim, wywołaną wybuchem powstania w Warszawie, jako bardzo krytyczną. Liczyli się z tym, że wojska rosyjskie wykorzystają realną sposobność sforsowania Wisły i uderzenia na ich tyły, niczym nie zabezpieczone. Wybitny niemiecki komentator wojskowy generał Dittmar ogłosił, iż stłumienie powstania było z tego względu najszcześniejszym zdarzeniem w ciągu całej kampanii r. 1944. Zdrada Związku Sowieckiego, nagle zatrzymanie u bram Warszawy ofensywy rosyjskich armii umożliwiło Niemcom to „najszcześniejsze dla nich zdarzenie“. Praktycznie więc znaczenie powstania sprowadziło się do związania kilku wrogich dywizji w ciężkich walkach na przeciąg paru miesięcy i do zadania im wysokich strat. Były to chyba największe ofiary w ludziach, jakie nowoczesna armia zmuszona była kiedykolwiek ponieść w starciu z cywilami. Niemcy nie ukrywali, iż niektóre ich kompanie potraciły do 80% swego składu.

Sens historiozoficzny powstania sierpniowego leży jednak w innej płaszczyźnie. Gruzy i groby warszawskie stanowiąc będą po

wieczne czasy świadectwo, że nie ma takiego szaleństwa, do którego Polacy by nie byli zdolni w obronie lub na rzecz swej wolności. Nie ma takiej sytuacji, w której beznadziejność zgasiłaby wolę życia w tym narodzie. W jego zbiorowej psychologii nie ma zadatków rozkładu, toczącego dziś tyle innych społeczeństw, gdzie zachowanie dóbr materialnych cenione jest wyżej ponad zachowanie dóbr duchowych.

W krytycznych momentach swych dziejów Naród Polski składał kilkakrotnie podobne świadectwa. Dzięki temu przetrwał rozbiory i po 150 latach wrócił do swej państwowości, w pełni psychicznie do niej przygotowany. Dzięki temu w ciągu szeregu pokoleń nie dał się zniszczyć, choć to było wspólnym celem i istotnym spoidłem imperializmu pruskiego i carów moskiewskich. Wszak to nie był wynalazek Hitlera, aby rozwiązać problem polski przy pomocy wymordowania Polaków. Już w 1861 roku ks. Bismarck pisał: „Bijcie w Polaków, by ich ochota do życia odeszła; osobiście współczuję ich położeniu, ale jeśli pragniemy istnieć, nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytepić“. A bitwa o Warszawę w 1920 roku, która uratowała Europę przed zalewem bolszewickiej rewolucji i Naród Polski przed całkowitą zagładą? Zali zwycięzców nie ożywiał ten sam duch, chociaż towarzyszyła walce ta sama dysproporcja sił i, co smutniejsze, ten sam brak zrozumienia u społeczeństw Zachodu?

Patriotyzm, który nie zna granic ofiary, jaką na ołtarzu Ojczyzny gotowi są złożyć jej synowie, jest wielkim kapitałem. Zazdrościć go nam będzie w niedalekiej przyszłości niejeden jeszcze silniejszy i bogatszy naród. Dzięki niemu możemy stawiać czoło dziejowej zawierusze i tylko dzięki niemu wyjdziemy z tej zawieruchy niepokonani. Warszawa sierpnia i września 1944 roku jest tak pojętego patriotyzmu przepiękną wykładnią. Niechaj skarga i żal po tym, co się stało, nie umniejsza jej wartości.

Skarga, surowa krytyka i głęboki żal niech przyobleką się w sformułowania pozytywne, ważne dla dalszej walki. Oto one: Przywódców społeczeństwa musi cechować głębokie poczucie odpowiedzialności za decyzje, które ważą na szali naszego losu. Decyzje te muszą być przemyślane do końca i podejmowane w rozumieniu wszystkich ich następstw. Dowódców wojskowych obowiązuje zawsze gotowość do boju i ofiar z życia własnego i swoich żołnierzy, ale właśnie dlatego decyzja o boju i konieczności ofiar nie może należeć do nich.

V.

Piękne były dni lipcowe 1944 roku. Nie promienie słoneczne jednak stanowiły o ich głębokim uroku, ale wyraz oczu ludzkich, które jaśniały przedziwnym światłem. W milionie par oczu można było wyczytać nadzieję, że zbliża się koniec ofiar i cierpienia w niewoli, cichy tryumf nad wrogiem, który w tych oczach chciał zabić wszelki blask — można było wyczytać wiarę, że skoro Bóg daje łaskę patrzenia na pogrom hitlerowskiej potęgi, da także siłę przetrwania groźnej burzy nadciągającej od wschodu wśród grzmotu armatnich wystrzałów.

Postawa ludności Warszawy była godna. Mimo jawnych oznak rozprzeżenia władzy okupanta porządek w mieście panował wzorowy. Policja przestała się ukazywać na ulicach od tygodnia, wiele dobra publicznego i prywatnego porzuconego przez wystraszonych Niemców pozostało bez jakiegokolwiek opieki, a przecież nie słychać było w ogóle o wypadkach samosądu czy samowoli, a tym bardziej o rozboju czy kradzieży, tak zwyczajnych nawet w normalnym biegu życia wielkomiejskiego.

Tłumy wypełniały od wczesnego ranka do późnego wieczora arterie komunikacyjne, wiodące ze wschodu na zachód, aby nasycić się radością oglądania odwrotu armii niemieckiej. Przelewały się w niemym upojeniu gęstniejąc tam wszędzie, gdzie *Uebermenschen* w popłochu załadowywali na ciężarowe wozy wojskowe sprzęt, mienie skarbowe i grabiony od lat dobytek prywatny. Rzecz charakterystyczna dla nastroju tych tłumów: nie było w nich oznak małej zemsty. Nikt wtedy nie uderzył bezbronnej kobiety niemieckiej, która jeszcze tak niedawno z dziką pasją pomagała gestapowcom w każdej ulicznej łapance, nikt nie kopnął dziecka niemieckiego w zapłacie za sponiewieranie, wywiezienie i wymordowanie tylu tysięcy dzieci polskich, nikt nie strzelił do samotnego żołnierza niemieckiego, zagubionego w fali ucieczki. A przecie tłum mógł to uczynić w owe dni z pełną rękojmią bezkarności. Po raz pierwszy od pięciu lat ludzie zatrzymywali się

po rogach ulic, wymieniając między sobą wiadomości, witając z oznakami radości tych, którzy ukryci w podziemiu przez niejednych już uważani byli za straconych. Człowiek cieszył się człowiekiem.

Wśród takiego nastroju powszechnego spotkałem na krótko przed wybuchem powstania adwokata Henryka Świątkowskiego. Byłem jego kolegą nie tylko z tytułu zawodu, ale i zasiadałem z nim razem w Sejmie, gdzie reprezentował Polską Partię Socjalistyczną. Uścisnął mnie serdecznie, mówiąc: „Jakże się cieszę, że się uratowaliście“. Mijał nas właśnie w towarzystwie swej żony największy artysta sceny polskiej, Maszyński. Choć mnie nie znał osobiście, przyłączył się z oddali do tej manifestacji uczuć. Państwa Maszyńskich Niemcy zamordowali w pierwszych dniach powstania w okrutny sposób.

Zgadałem się z Świątkowskim na temat oenerowców. Z dużym ożywieniem wykladał mi wówczas: „Naiwni są nieraz w swych poglądach, ale nigdy się nie zgodzę, aby ich uważać za faszystów. Siedziałem z niejednym z nich razem w obozie koncentracyjnym u Niemców. Nauczyłem się szanować ich patriotyzm, walczą z hitleryzmem, równie jak i my wszyscy“. Przyjąłem to jako wyraz obiektywizmu i dobrej woli ze strony człowieka, którego skłonność do ustępstw na rzecz porozumienia się z komunizmem była mi już znana. Parę miesięcy przed tym miałem okazję złożyć mu gratulacje z powodu jego szczęśliwego wydostania się z obozu koncentracyjnego. Wskoczyliśmy do dorożki pod spuszczoną budę i wymienialiśmy poglądy na sytuację polityczną. Świątkowski przekonywał mnie, że Rząd Polski w Londynie popełnia błąd nie godząc się za przykładem Czechów na wprowadzenie do swego składu jakiegoś komunisty. „Co by to szkodziło? — mówił. — Czesi zamianowali ostatnio ministrem zdrowia członka partii komunistycznej, dentystę. W ważnych sprawach mogą się porozumiewać poza nim, tą jednak drogą uzyskali dla siebie dobry klimat w Rosji. Po tej samej linii powinna iść Polska. Śmieszne są obawy, że taka taktyka doprowadzi do skomunizowania kraju“.

Pan Henryk Świątkowski w rok później wyciągnął ze swych poglądów daleko idące konsekwencje. Przyjął stanowisko ministra sprawiedliwości w „rządzie warszawskim“, ale nie on w nim decyduje poza komunistami, ale komuniści decydują poza nim. On zaś żyruje wszystko: pełną bolszewizację kraju, likwidację własnego stronnictwa i mord sądowy tysięcy tych, których tak

niedawno „szanował za ich patriotyzm“, oraz tysięcy swoich najbliższych przyjaciół politycznych. Stara się być najgorliwszym z najgorliwszych w imię dobrych stosunków z Rosją Sowiecką, ale nie nadaremno sędzia śledczy na Łubiance zbierał starannie w czasie przesłuchiwania przywódców polskich dane do jego kartoteki. Bolszewicy mu nie darują, że był kiedyś socjalistą i patriotą, choćby dzisiaj zasiadał w Politbiurze.

Dnia poprzedzającego powstanie spotkałem jednego z szefów departamentu Delegatury Rządu na Kraj. Odnosił się z wielkim sceptycyzmem do decyzji, która już była przesądzona, aby z chwilą wkroczenia bolszewików do miasta ujawnić im całe kierownictwo Ruchu Podziemnego. „Mamy się zebrać z Delegatem Rządu na czele w ratuszu miejskim i tam ich witać. Robione są już odpowiednie w tym kierunku przygotowania, sala będzie dekorowana kwiatami...“. — „Czy i Pan ma się tam znaleźć po to, by zostać w krótkim czasie aresztowanym? Przecież Pan jest kierownikiem resortu fachowego, a nie politycznego?“. — „Otrzymałem takie polecenie i oczywiście je wypełnię“. Ostatnie słowa powiedział bez najmniejszego wahania, jak żołnierz na posterunku. Nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że moje przewidywania spełnią się dokładnie.

Trawiony niepokojem udałem się następnego przedpołudnia na kwatery oficera Armii Krajowej, który pełnił funkcje wywiadu ofensywnego. „Niech mi Pan przedstawi położenie na froncie niemiecko-rosyjskim“. Narysował na kartce papieru rozmieszczenie niemieckich jednostek i z naciskiem podkreślił fakt przybycia na front dwóch świeżych i doskonałych dywizji pancernych. Pożegnał mnie słowami: „Jakie szczęście, Panie Mecenasie, że w tych warunkach szaleństwo rzucenia Warszawy do walki zostało zaniechane“. Na schodach minąłem młodą dziewczynę, która zatrzymała się przed drzwiami siedziby oficera. Jak się później domyśliłem,niosła mu zawiadomienie o godzinie wybuchu powstania.

Na ulicy spotkałem dwóch swoich oficerów, którzy wracali z kolejnej narady nad organizacyjnym łączeniem oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych w ramach Armii Krajowej. „Zażądano od nas wszystkich elementów dla wezwania przy pomocy radiostacji oddziałów do zbrojnej akcji. Powstanie wisi w powietrzu“. „Głupstwo — odpowiedziałem — przed chwilą otrzymałem obraz sytuacji na froncie, wynika z niego, że czas walki powszechnej jeszcze nie nadszedł“.

Spóźniłem się na śniadanie, na które zaprosiłem swego syna. Chciałem w ten sposób uczcić piętnastolecie jego urodzin i spełnić jego marzenie, ujawniając mu swoją kwaterę konspiracyjną. Byłem zgorzszony, iż nie czekając kończył pośpiesznie zjadać kure, rarytas nielada w owe czasy. Tłumaczył się pokornie: „Tatunku, tylko w drodze wyjątku zostałem na godzinę zwolniony, aby się z tobą zobaczyć. Zarządzony jest alarm, muszę natychmiast wracać na stanowisko“.

Powiedziałem sobie, że to pewno rozgorączkowaną młodzież chcą w ten sposób ująć w karby, ale ogarnął mnie niepokój. Pożegnałem syna zdążywszy się dowiedzieć, iż biegnie na Mokotów. Od tej chwili nie widziałem go już, aż do schyłku powstania. Szczęśliwie jeszcze przed rozpoczęciem walk przemierzył odcinek ulicy Marszałkowskiej pomiędzy placami Zbawiciela i Unii Lubelskiej, na którym Niemcy wymordowali wszystkich mężczyzn, i dotarł do swego oddziału, rozlokowanego w gmachu Państwowego Instytutu Hygieny. Oddział, liczący stu kilkudziesięciu powstańców, w znacznej części równie dorosłych jak mój syn, miał trochę ręcznej broni i dużo zapala. Okazało się zaraz w pierwszych dniach, iż dokoła Niemcy urzymali swój stan posiadania. Nic by pewnie nie uratowało tej garstki chłopców od wyzniesienia, gdyby nie szczęśliwy przypadek. Oto dołączył się do nich żołnierz niemiecki, Polak z pochodzenia. Miał karabin do dyspozycji i mundur. Przy tej pomocy na zewnątrz budynku wystawiono posterunek, który dawał pozory, że wewnątrz są Niemcy. Pod osłoną nocy oddział na bosaka, albo w butach poobwijanych szmatami, przemknął się pomiędzy pozycjami wroga i połączył się z powstańcami, którzy już opanowali znaczną część Mokotowa.

Wybiegłem na miasto, aby się dowiedzieć, czy nie ma wiadomości dla mnie na „punkcie“. Odebrałem pocztę, przeczytałem ostatnie komunikaty radiowe, ale żadnych konkretnych danych o tym, co miało za chwilę nastąpić, nie zastałem.

Zbliżała się godzina czwarta po południu, gdy wracałem do domu, śpiesząc na wyznaczoną odprawę organizacyjną. Po drodze złapał mnie zadyszany łącznik: „Panie Mecnasie, proszę natychmiast biec do domu względnie na swoją kwaterę — na godzinę piątą zostało wyznaczone uderzenie na Niemców“. Nie zdążyłem jeszcze wejść do bramy domu, gdy usłyszałem pierwszą serię strzałów z karabinów maszynowych. W tej dzielnicy miasta atak zaczął się o godzinę wcześniej.

W mieszkaniu zrobiłem porządek z papierami. Przez otwarte w upalny dzień okno odgłosy walki docierały tak bezpośrednio, iż wkroczenie Niemców do domu wydawało się prawie pewne. Pobieglem na górne piętro. W dużej kamienicy panowała zupełna cisza. W jednym z mieszkań klęczała u łóżka kobieta, odmawiając głośno modlitwę za ginących w obronie ojczyzny. Za wysokim murem w sąsiadujących ogrodach rysowały się sylwetki cywilów częściowo uzbrojonych, przebiegających tu i tam, szukających schronienia przed obstrzałem. Obarczony doświadczeniami tylu lat ubiegłych nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że za chwilę zobaczę opasłych gestapowców w hełmach i ciężkim rynsztunku, pastwiących się nad tymi szaleńcami.

Zbliżał się już zmierzch, gdy po gałęziach drzewa wdrapał się od strony ogrodu na mur żołnierz - powstaniec. Na ramieniu miał opaskę biało-czerwoną, widoczny symbol munduru Armii Krajowej. Z tej wysokości udzielał kamienicy pierwszych komunikatów wojennych. „Hura, zdobyty został drapacz chmur na Placu Napoleona. Na szczycie zawisł polski sztandar“. To młody podchorąży w towarzystwie kilku kolegów zaskoczył w pierwszych minutach walki Niemców, którzy tam pełnili straż, wygniółł ich i rozwinął sztandar. Suchotnik, pod wpływem szalonego wysiłku i wzruszenia dostał krwotoku, przyjaciele odnieśli go zaraz do szpitala.

W pierwszych godzinach walki nie można było domu opuścić. Karabin maszynowy siekł wzdłuż ulicy. Jakiś młodzieńki podchorąży próbował przeskoczyć z bramy do bramy i padł ugodzony serią kul. Dla uzyskania połączenia z walczącymi mieszkańcy domu przystąpili do pierwszej pracy — zrobienia wylomu w murze, dającego wyjście na ogrody. Zapał do niej był ogromny, ale kwalifikacje żadne. Ani kilofów nikt nie posiadał, ani umiejętności. Mimo to zadanie zostało wykonane gołymi niemal rękoma i front powstańczy rozciągnął się wkrótce na naszą kamienicę.

Zamilkły strzały opodał. Ulica Świętokrzyska była wolna. Mieszkańców pobliskich domów wezwano do stawiania barykad. Mężczyźni, kobiety, dzieci zrywały płyty z chodników, sypali ziemię do worków, wynosili skrzynie i ani patrzeć jak powstały silne zapory przeciw spodziewanemu atakowi czołgów. Na balkonach ukazały się sztandary narodowe, u bram rozstawione strażę, rozdano pierwsze hasła.

Było już późno wieczorem, gdy stanąłem przed domem u bo-

ku dowódcy odcinka. Był to elegancki starszy pan, o sztywnej nodze, w cywilnym ubraniu, jeno na głowie miał ułańską czapkę z odznakami rotmistrza. Przechował ją widać starannie na ten czas walki. Miał trudne zadanie do wykonania: chociaż gmach „Prudentialu“ i położona przy nim część ulicy Świętokrzyskiej była w naszych rękach, po przeciwległej stronie Placu Napoleona Niemcy utrzymali silne stanowisko w gmachu Głównej Poczty. Stamtąd panowali nad terenem i uniemożliwiali łączność z powstańcami, którzy zajęli ulicę Górskiego. Trzeba było tę łączność nawiązać jak najszybciej. Ale jak? Mała dziewczynka podjęła się przenieść rozkazy. Pod osłoną nocy przemknęła się przez plac niezauważona i wróciła szczęśliwie. Dowódca odebrał meldunek i zatroskał się — musiał posłać nowe rozkazy. Dziewczynka z rozszerzonymi źrenicami szeptała tym razem: „Boję się, boję się“, ale po chwili zdecydowała: „Pobiegnę, tylko zdejmię buciki, to się będę mniej bała“.

Powstańcy skoncentrowanym atakiem opanowali gmach poczty i w ten sposób oczyścili śródmieście z wroga. Było to nie tylko wynikiem ofiarnej ich walki, znaczną część zasługi miała ta dziewczynka. Mogiły wielu podobnych dzieci są przedmiotem głębokiego kultu na cmentarzu wojskowym na Powązkach. Pod krzyżkami można tam nierzadko wyczytać napisy w rodzaju takiego: „Kapral Janek lat 13... st. szeregowiec Wandzia, lat 12... odznaczeni Krzyżem Walecznych, polegli na polu chwały“.

Pierwsze dni powstania — to nastrój pijamy swobodą. Jest wreszcie cząsteczka ziemi, parę przynajmniej ulic miasta, na których nie ma władzy okupanta. Jest władza polska, która jawnie ogłasza rozkazy, jest wojsko polskie, które z bronią w ręku odpiera zamach na naszą niezależność. Można nareszcie nazywać się prawdziwym imieniem, bez obawy witać swojego przyjaciela, wypowiadać głośno swe myśli, czuć się człowiekiem, a nie zwierzęciem szcztutym w „kotle“. Nastrój ten górował nad niepokojem, że minął już zakreślony przez najśmielsze przewidywania czas trwania oporu, że milkną działa na froncie niemiecko-sowieckim, górował nad uczuciem bólu po pierwszych stratach, nad ludzkim strachem powodowanym bombardowaniami, zniszczeniem i fałgą pożarów. Nie jest w stanie pojąć tego powszechnego uczucia warszawiaków ten, kto nie przeżył wraz z nimi pięciu lat męki w niewoli, pięciu lat zmagania z wrogiem, pięciu lat nieustannych złudzeń i rozczarowań i tyle czasu tęsknoty za wolnością.

Nikt nie był beczynny i co tak bardzo charakteryzuje Poia-

ków w momentach naprawdę ciężkich, nikt nie czekał na cudzą inicjatywę. Pomysły rodziły się momentalnie, przechodziły w wykonanie i łączyły się harmonijnie w całość zbiorowego wysiłku.

W oficynie mojego domu miał swą pracownię krawiec. Nigdy pewno nie było takiego ruchu w jego warsztacie, jak w pierwszych dniach powstania. Ściągnął do pomocy nawet sąsiadki — dzień i noc szył berety z materiału, którego pierwotnym przeznaczeniem było przybrać piękne panie. Przyozdobił nimi batalion żołnierzy formowany z mieszkańców okolicznych domów. Stał się w ten sposób jak gdyby twórcą jego munduru. Nosilem z dumą taki beret i podobno było mi do twarzy.

W innym mieszkaniu praktyczna gospodyni zorganizowała w tychmiast kuchnię polową dla oddziału żołnierzy skoszarowanych w kamienicy. Długi okres czasu rozdawała gorącą strawę — czerpiąc ze swoich zapasów i z tego, co jej znosili współlokatorzy. Nie było przecież intendentury, która by była w stanie zaopatrywać wojsko powstańcze regularnymi dostawami.

W obszernym lokalu frontowym mieściła się szwalnia. Prowadził ją w warunkach okupacji znany przed wojną fabrykant krawatów. Ten bez chwili wahania przeznaczył wszystkie zapasy na potrzeby walczących. Wydawały się niewyczerpane, bo dopóki dom się nie zawalił, nie było wypadku, aby nie zaspokoił prośby pobliskiego szpitala, dowódców, żołnierzy czy pogorzalców.

U bramy mieszkańcy pełnili nieustanną służbę wymieniając między sobą jedyny karabin, jaki był w dyspozycji. Mimo to od zmierzchu aż do ranka wartownik czuwał nad bezpieczeństwem domu i linii komunikacyjnej, która wiodła przez podwórze, wołając co chwila: „Stój, kto idzie, hasło!”

W salach pierwszego piętra rozmieścił się mały oddział, złożony z ochotników starszych wiekiem. Jego zadaniem było odeprzeć atak czołgów w wypadku, gdyby wdarły się na ulicę Świętokrzyską z pobliskiej linii frontu. Każdy z takich ochotników zaopatrzony był w butelkę z benzyną i granat przeróżnej konstrukcji, najczęściej domowego wyrobu. Zabawne ale i wzruszające były ćwiczenia odbywane w takich koszarach. Nie zapomnę widoku łysawych postaci z wysuniętymi brzuskami jak przymierzają się do krawędzi okna lub występu balkonu z wyciągniętą do tyłu ręką, odliczając sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy, lub skupione ich miny, gdy instruktor tłumaczył po kolei mechanizm i sposób użycia każdego „jajka”.

Na podwórzu panował ogromny ruch. Było ono miejscem, gdzie lokatorzy mogli zaczerpnąć najświeższych wiadomości, dodać sobie nawzajem otuchy, że już niedługo, że przecie wytrzymamy, że w radio usłyszeli... Po nieskończoną ilość razy trzeba było zbiegać z górnych pięter, przemierzać podwórko, aby się skryć w piwnicy przed bombardowaniem z samolotów, obstrzałem artylerii lub moździerzy. Przez podwórze przenoszono rannych, szły oddziały do walki, ciągnęły sznury uciekinierów z dzielnic, opanowanych przez Niemców, przesuwały się matki, ojcowie zagubieni w odmęcie wydarzeń, próbując przedostać się do swoich domów rodzinnych, odnaleźć dzieci i bliskich.

Tak było przez pierwszych kilka dni. Później obraz przeciętnego dziedzica warszawskiego spotężniał grozą. Ataki Niemców na stację filtrów miejskich spowodowały zmniejszenie ciśnienia wody, która dochodziła już tylko do mieszkań parterowych. Trzeba ją było czerpać w podwórzu dla potrzeb całego olbrzymiego domu i gromadzić na nieznaną przyszłość. Tłumy mieszkańców ustawiały się w ogonku, sącząc ten bezcenny skarb w wiadra i naczynia. Wkrótce i to ustało. Po wodę trzeba było biegać w chwilach wolnych od obstrzału do studni, położonej o szereg kamienie dalej — w cudzym podwórku.

A tymczasem zaczęły się pożary. Niemcy w przeciągu trzech tygodni zdołali rozpalić pożar w naszym domu dziewięć razy. Dziewięć razy został on ugaszony niewprawnymi rękoma mężczyzn, kobiet i dzieci. Na dachu wystawione były stale posterunki, które po każdym zrzuceniu bomb, rozniecających ogień, umiejętnie alarmowały mieszkańców. Długi wąż ludzi, ustawiony aż do źródeł wody, podawał z rąk do rąk wiadra. Inni zrywali deski, sypali piasek, a inni jeszcze pomagali wynosić ruchomości z palących się mieszkań.

Wroga rozwścieczał sztandar polski, powiewający na szczycie najwyższego budynku miasta, jakim był drapacz chmur „Prudentialu“. Na ten budynek skierowali ogień artylerii kolejowej z pozycji w Pruszkowie. Przez wiele dni z wybiciem godziny siódmej rano przeszywał powietrze groźny przeciągły świst, a po chwili dopiero rozlegał się ogłuszający huk. W regularnych odstępach dziesięciominutowych świst ten się powtarzał przez siedem do dziesięciu razy, tylko nie zawsze powtarzał się wybuch. Bowiem szczęściem dla Warszawy było, iż pociski niemieckie często się nie rozrywały. Podwójny był z tego zysk — i życia ludz-

kiego się szczeniło i z niewypałów czerpało się bogaty materiał dla własnej produkcji amunicji .

Potężny gmach „Prudentialu“ wchłaniał w siebie kule wrogów i trwał poskręcany w spirale stalowej konstrukcji. Na jego szczycie pełnili bez przerwy służbę obserwacyjną powstańcy dokonujący nieraz cudów, aby po obstrzale zsunąć się na ziemię poprzez wyrwy wyżłobione na niższych przęsłach.

Okres czasu, w którym grała artyleria kolejowa, był jednym z cięższych dla mieszkańców domu, oddzielonego tylko jezdnią wąską ulicą od „Prudentialu“. Najmniejsza pomyłka w obliczeniu celowniczego, a pod gruzami niechybnie zginą wszyscy — Niemcy pruli pociskami wagi około tony. Toteż najpóźniej z usłyszeniem pierwszego świstu szukano schronienia w piwnicach. Dom chwiał się jak pijany pod wpływem każdego wstrząsu. Twarz pokrywały sadze, sypał się tynk, w ustach było pełno piasku. Powszechne milczenie było wyrazem grozy. Bliscy sobie w takich momentach starali się wzajem przytulić, jak-gdyby osłonić, a ręce wiązały się silnie. Gdy poznano obyczaje niemieckie, urozmaicano sobie czas między jednym a drugim wystrzałem, wyskakując na podwórze a potem przed bramę, aby dojrzeć skutki ostatniego wybuchu. Wszyscy w głos liczyli: trzeci... szósty... dziesiąty. Na dziś dość, możemy wracać do mieszkań.

Taki uregulował się tryb życia rankami. Trochę klusek z mąki lub kasza na wodzie, własna lub ofiarowana przez sąsiadów, stanowiło o śniadaniu ugotowanym na drzazgach z pobliskich, już zrujnowanych budynków. Kto pełnił obowiązki w szerszym zasięgu, wybiegał na miasto. Reszta czekała u siebie na dalszy program dnia.

W godzinach przedpołudniowych zaczęły się pojawiać na niebie samoloty. Nie było alarmu syren, nie dzwoniły dzwony. Gołym okiem można było rozpoznać eskadry lecące bezpiecznie na niewielkiej wysokości. Instynkt ludzki podpowiadał jeno, czy kierują się one w naszą dzielnicę, czy też ich celem jest sianie zniszczenia na Stare Miasto, Powiśle, lub gdzieś dalej na północ. Jakies zaobserwowane zniżenie lotu to były najczęściej wskazówki, że warto wracać do piwnic. Pierwsze detonacje były już groźnym nakazem. Samoloty startowały z lotnisk warszawskich, po zrzućeniu ładunku bomb niewiele potrzebowały czasu, aby przylecieć na nowo. Obrany cel niszczyły systematycznie, toteż w odstępach półgodzinnych serie wybuchów powtarzały się niemal aż do zmierzchu. Licząc na systematyczność niemiecką, można

było być spokojnym tylko w godzinach obiadowych. Lotnicy byli ludźmi i należał im się posiłek.

Zanim zmierzch zapadł dla urozmaicenia nadlatywały jeszcze pojedyncze samoloty myśliwskie, które wykonując ewolucje niemal nad dachami, ostrzeliwały podwórza seriami z karabinów maszynowych. Był to taki drobiazg w ogólnym obrazie, że ludność chowała się już tylko do bram lub sieni, przyglądając się z zainteresowaniem stalowym ptakom.

Noc oświetlały dookoła pożary przy akompaniamencie grzechotu karabinów. „Trzydziestu ludzi na ochotnika do gaszenia ognia na Mazowieckiej, na Placu Dąbrowskiego, na Królewskiej...”. Szyby już dawno wyleciały, ukryć się przed tym piekłem niepodobna. Kto miał siły, szedł nieść pomoc braciom, kogo paliła gorączka niepokoju, gromadził się w wartowni koło radia, szukać nadziei na falach eteru. Polskie audycje nadawane z Londynu kończyły się często pięknym starym hymnem: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej do Ciebie, Panie, wznosimy dłoń...”. Warszawiaków drażniła wówczas ta melodia. Do Pana Zastępów płynęła błagalna modlitwa wśród morza ognia i rozlanej krwi tu, na miejscu. Tam — szukaliśmy znaku pomocy ze strony ludzi. Oczywiście żal do naszych rodaków był nieuzasadniony. Czynie wszystko, co było w ich mocy, by zainteresować świat tragedią losu stolicy. Hymn był szyfrem, nadawał rozkazy i wiadomości. Uwagę jednak naszych sprzymierzeńców, trzeba to zrozumieć, pochłaniał całkowicie rozwój akcji inwazyjnej na Europę Zachodnią, akcji, która mogła już wtedy zdecydować o zwycięskim zakończeniu wojny. W ich pojęciu walka o życie miliona ludności Warszawy była tylko drobnym epizodem.

Mniej więcej w połowie sierpnia Niemcy użyli nowej broni dla pogwałcenia obłożonych. Były to sprzężone moździerz, plujące z sześciu luf na niewielką stosunkowo odległość materią zapalającą, bądź kruszącą. Pewnego dnia zmęczony nocną służbą leżałem na łóżku ustawionym przy przeciwległej ścianie do okna, wychodzącego na wewnętrzne podwórze. Usłyszeliśmy nieznanym mi dotąd odgłos sześciu po sobie następujących zgrzytów, coś jak gdyby naciąganie zardzewiałych sprężyn, przeciąganie ciężarów po skrzypiącej podłodze, lub ryk wzdętej krowy. Potem nastąpiła cisza trwająca parę sekund i wreszcie ogłuszający huk, powtarzający się w szybkim tempie tyle razy, ile przed tym było zgrzytów. Przerażonym oczom ukazał się w oknie olbrzymi jeźor ognia, który przesunął się na odległość mniej więcej dwu me-

trów do łóżka. Tehnął na mnie żarem, później — pewnie pod wpływem wiru powietrza — zawinął się z powrotem i znikł. Przyłgałem twarzą do ściany, myślałem, że się w nią wcisnął całym ciałem. Gdy oprzytomniałem, zobaczyłem, że framuga okna i połowa podłogi były zwęglone, pokryte tłustą mazią. Na zewnętrznej stronie muru widniał ślad uderzenia pocisku.

Strasliwa, szarpiąca nerwy to była broń — nazywana różnie przez powstańców w poszczególnych dzielnicach miasta: „krową“, „grającą szafą“, czasem „organami Stalina“. Kiedyś, w piękny ranek szedłem na kwatere prasową Narodowych Sił Zbrojnych, mieszczącą się w wielopiętrowym budynku na ulicy Jasnej. Z oddali widziałem w bramie sylwetki kilkunastu osób — uciekli przed Niemcami z Woli i tu szukali chwilowego schronienia. Zatrzymał mnie ryk „krowy“. W niespełną minutę później zamiast żywych ludzi leżały na trotuarze już tylko zwęglone, pokurczone figurki. Schodziła w tym czasie po schodach jedna z najdzielniejszych naszych łączniczek, plama rozgnionej mazi dotknęła jej ciała. O własnych jeszcze siłach zdołała wejść na trzecie piętro do punktu opatrunkowego — mimo to w parę godzin później zmarła w męczarniach.

I ten element został wprowadzony do programu dnia codziennego kamienicy śródmieścia. Zdawało się, że życie podobne trwać będzie jeszcze długo, aż w nieokreśloną przyszłość. O trzydniowym terminie, zakreślonym jako granica możliwości prowadzenia samodzielnej walki, jak gdyby zapomniano. Pierwsze ulotki, wzywające do poddania się, przyjęto powszechnie z lekceważeniem. Rosnące widmo głodu nie budziło przerażenia. Przetrwamy, bo musimy przetrwać — oto, co było jedynym pokrzepieniem. Pryskały przecie kolejne złudzenia: że wojska bolszewickie rychło nadejdą z pomocą, że samoloty alianckie zrzucają zaopatrzenie, a może i oddziały spadochronowe, które pozwolą rozzerwać zaciskającą się obręcz wroga. Wypełniano swe obowiązki z niezmienną a nawet wzrastającą zawziętością — i z wprawą nabywaną w miarę doświadczeń, wierząc już tylko w Boga.

Aż przyszedł taki dzień, gdy znowu eskadra bombowców pochyliła swe skrzydła nad domem — redutą. Mieszkańcy, schronieni w piwnicach, usłyszeli kilka detonacji, przy których ziemia się zakolysała. Pogasty światła, pył wypełnił powietrze, zasypały się wyjścia na zewnątrz. „Spokój, spokój! Proszę się wziąć za ręce, posuwać powoli w prawo“ — głos nateżony energią panował nad sytuacją. Nie wszyscy już mieli się wydostać spod ruin. Jedna

z bomb przebiła sklepienie piwniczne i zawałiła gruzami pięciopiętrowego budynku dziewiętnaście osób. Pozostali przy życiu zdołali odkopać po wielogodzinnym trudzie tylko jedną dziewczynę. Próbowała ona później sama po nocy wyrwać z ziemi ciała swojego brata i sióstr.

W schronach podziemnych, nad którymi sterczały już tylko szkielety domów, zagrzebały się teraz istoty ludzkie. Ktoś wdrapał się do obnażonego ze ścian pokoju i zebrał ocalałe resztki dobytku, kto inny wyciągnął spod gruzów koldrę, połamane krzesło. Przeworniejsi zawnazę już przygotowali w piwnicach walizki i węzłki z niezbędnymi dla egzystencji rzeczami. Życie obliczone na godziny i dni znalazło swój nowy wyraz. Trwało to tak długo, aż Niemcy nie podsunęli się bezpośrednio do ulicy Świętokrzyskiej, aż języki ognia nie wślizgnęły się w podziemie. Wtedy rozpalil się do białości węgiel, przygotowany na zimę przez zapobiegliwe gospodynie, i morze płomieni zniszczył wszystkie ślady męki ludzkiej.

Przypadek zrzadził, że „schwycilem za broń“ w domu, w którym zaskoczyło mnie powstanie. Bronią moją była butelka z benzyną, granat, a na warcie karabin. W nocy pełniłem służbę szeregowca w oddziale Armii Krajowej, w dzień zajęty byłem czuwaniem nad oddziałami Narodowych Sił Zbrojnych, rozrzuconymi w wielu częściach miasta, kontrolą naszej prasy, która się co dnia ukazywała, naradami politycznymi i kontaktami z dowództwem powstania.

Noc szósta czy siódma z rządu. Nad miastem pogrążonym w ciemnościach zaległa cisza, przerywana tylko od czasu do czasu głosem wartownika, który dostrzegł z dala łączniczkę idącą z rozkazami, lub jakiś oddział maszerujący dla zluźniania załogi barykady. U wylotu ulicy, łączącej się z Placem Napoleona, odbijał się blask ogniska, roznieconego przy wielkich białych płachtach. To znak dla samolotów, które z dalekiego Zachodu przywieźć nam mają broń i amunicję, że tu jest miejsce zrzutu. Do rządu wielkiego zaszczytu należało pełnienie straży dla odbioru tych zrzutów. Jeżeli były w czasie powstania jakie akty niesubordynacji, to polegały one przede wszystkim na wzajemnym wrywaniu sobie stenów i piatów, znalezionych w zasobnikach.

„Dziś powinny nadlecieć samoloty, radio nadawało szyfry“ — gwarzyli powstańcy na posterunku, podtrzymując się na duchu, przytaczając tysiące argumentów na bliskie i zwyczajne zakończenie walki. Ciszę przerwał huk motorów. „Są, są, wreszcie!“.

Straże wybiegają na balkon, przed bramę, na ulicę. Niemcy są przygotowani: pokrywają niebo ze wszystkich stron miasta wielobrawną siatką świetlnych strzałów, rzucanych na płask. Widok to był wspaniały i niezapomniany, gdy stalowy olbrzymi ptak musnął cieniem mury naszego domu i przeleciał nad samymi niemal dachami, chroniąc się przed niechybną śmiercią, ale z wolą spełnienia ofiarnej misji, która go tu przywiodła. Zasobniki zrzucił tak nisko, że rozbiły się i rozsypały, dzwoniąc o bruki ulicy. Tym razem przynajmniej materiał trafił do powstańców a nie do wroga. Zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby uścisnąć dzielnego lotnika. Był to Polak, Bur czy Kanadyjczyk — serce Warszawy biło dla nich tętnem gorącym, braterskim, płynęły modlitwy o ich uratowanie; niestety wielu, bardzo wielu oddało życie w imię solidarności walczących.

Lubiłem tę nocną służbę. Dawala większe ukojenie nerwów, niżli spoczynek w łóżku w własnym pokoju naświetlonym blaskiem pożarów, pełnym grzechotu palby karabinowej z pobliskiego frontu. Atmosfera nocy pozwalała na głębszy kontakt duchowy z ogromem zjawisk, które życie postawiło przed człowiekiem, na gwałtowne przewartościowanie tego wszystkiego, czym dotychczas żył, o co się ubiegał, na wyselekcjonowanie wrażeń, zlewających się w jedną krwawą masę, na wzmocnienie własnych sił moralnych, a zatem i bodźców do dalszego wysiłku fizycznego, przez czerpanie przykładu od ludzi słabszych, naprawdę nieszczęśliwych, jednak pełnych poświęcenia i wiary. Zato w dzień nie było czasu na rozmyślanie. Zaczynałem od wędrówki po oddziałach, sformowanych przez N. S. Z. i N. O. W. Wędrówka w ogarniętej powstaniem Warszawie to określenie, które nie mówi mieszkańcowi Londynu, a coś dopiero Nowego Jorku, Chicago, Zurychu czy Sztokholmu. Postaram się je wyjaśnić.

Wyszedłem na ulicę poprzerywaną barykadami. Zamiast trotuarów, po bokach rzędy mogiłek. Na nich zatknięte krzyżyki z wyrytymi scyzorykiem napisami, czasem helm żołnierski, zdobyty na wrogu, czasem jakiś kwiatek spalony przez słońce, pokryty warstwą pyłu. Tu i ówdzie dogasające zgliszcza, które należało starannie omijać, lub kupy gruzu obsuniętego na środek jezdni. Dalej głęboki lej, na krawędzi już utorowana ścieżka, wiodąca wysoko pod górę, aż ku szczytowi domu, którego rozwalona ściana odsłoniła przekrój warszawskiego mieszkanka. Na występie zatrzymało się pianino — można je dosięgnąć palcami i wygrać takt marsza powstańczego: „Choć mundury nie zdołają nam

ramion, choć nie każdy posiada z nas broń, ale lud Warszawy jest z nami, każdy Polak podaje nam dłoń“.

Gdy dochodziłem do przecięcia ulic, rzucił się w oczy napis: Uwaga, obstrzał. Trzeba przebiec kilkanaście kroków szybko przez jezdnię, gdyż w tym miejscu barykada jest nieustannie niszczona z wyrzutni granatów — odbudować ją można tylko nocą. Każdy zaś centymetr głowy wychylonej ponad barykadę jest przedmiotem żywego zainteresowania ze strony świetnych strzelców niemieckich, którzy co dnia mają w swym plonie po kilkanaście ofiar.

Trochę dalej kończy się możliwość posuwania się po powierzchni ulicy. Droga prowadzi poprzez bramę jakiegoś domu, w dół prowizorycznymi schodami do otworu piwnicznego. Znakowanie jest wzorowe — wskazuje kierunek, dzielnicę a nawet numery domów, do których przez taki otwór można dotrzeć. W przeciągu kilku dni warszawiacy utorowali w podziemiu komunikację na całej przestrzeni tej części śródmieścia, w której utrzymały się pozycje powstańców. W tym celu musieli przebić otwory we wszystkich murach oporowych i stworzyć połączenia między rzędami piwnic, różnych w swym poziomie i wielkości. Później i to okazało się niewystarczające: gdzie nie można było przeskakiwać przez jezdnię pod barykadą, tam robiono przekopy pod ulicą, radząc sobie jakoś z omijaniem rur wodociągowych i gazowych, które biegły w poprzek otworu i stanowiły nielada przeszkodę do przebycia.

Podziemne miasto miało swoją policję, swoich przechodniów i swoich stałych mieszkańców.

Policją nazywam tych powstańców, którzy regulowali ruch jednostronny w wąskich i niebezpiecznych przejściach, udzielali wyjaśnień, jak zachować się w terenie będącym pod obstrzałem wroga, czuwali nad temperaturą ścian piwnicznych, nad którymi lub obok których szalał pożar, albo też pilnowali po prostu porządku na określonym odcinku czy na rozstaju dróg. Były też lotne patrole organizowane najczęściej na ochotnika, a spełniające niezwykle ważną misję opieki społecznej. Na ulicy Pańskiej wybuchł tyfus głodowy, gdzie indziej piwnice były pełne chorych na krwawą diarię, tu i ówdzie rodziły się dzieci — wszystko w warunkach straszliwego brudu, w olbrzymim zgęszczeniu ludzkim, na walizkach, tobołkach, czy barłogu usłanym na węglu. O szpitalach nie ma mowy, te prawdziwe są zbombardowane lub w ręku wroga, a prowizoryczne są zapchane do granic możliwości ran-

nymi i popalonymi. Można przynieść tylko trochę waty, doraźne jakieś lekarstwo, środek dezynfekcyjny, służyć radą lub pomocą fizyczną. Rozwijały również akcję rozbudowaną nawet nadmiernie placówki propagandowe — ich zadaniem było informować społeczeństwo i podtrzymywać je na duchu, ale ponieważ podawane przez nie wieści z reguły się nie sprawdzały, w dalszym biegu drażniły one tylko i raczej wyrządzały szkodę. Szerzenie optymizmu w masach ludzkich, poddanych wielkim doświadczeniom, jest rzeczą bezcenną, ale musi być robione wytrawnie.

Przechodniami byli przede wszystkim żołnierze czynnej służby i łączniczki. Ci biegali po korytarzach podziemnych jak po górach w Zakopanem. Wyprostowani macają po ciemku drogę ręką po murze, za chwilę pną się ku górze po schodach piwnicznych, przeskakując jakiś dziedziniec i znowu na dół, już pochyleni, bo otwór jest niski i o nierównym licu. Potem nieledwie się czołgają wzdłuż barykady aż do występu kamienicy, za którym nabierają oddechu i znikają w następnym otworze. Dużo trudniej było taką wędrówkę odbywać pogorzelcom i uciekinierom z dzielnic zajętych przez Niemców, ludziom starszym zazwyczaj, wyczerpanym przez wstrząsy, przeżycia i choroby. Nie mieli już piwnic swych domów, naruszony był ich instykt bezpieczeństwa — toteż nerwowo przesuwali się z miejsca na miejsce, spod domu pod dom, z coraz to większymi oznakami wyczerpania i coraz to cięższymi tobołkami, bo cięższych już unieść nie zdołali.

Ciężką pracę co dnia wykonywać musieli mieszkańcy miasta wędrując podziemnymi korytarzami po niezbędną dla życia wodę. Sznury ludzi ciągnęły o świtanie lub o zmroku z wiadrami, imbrykami, a niekiedy i z porcelanowymi miskami do zbiorników, które szczęśliwie Niemcy pobudowali parę miesięcy przed tym w różnych punktach dla zabezpieczenia się przed skutkami bombardowania, albo do studni artezyjskich tu i ówdzie zachowanych. Cóż to była za sztuka zachować w tej wędrówce chociaż połowę zawartości naczyń, nie wyrzucić się ani razu, ominąć w ciemności dążących w przeciwnym kierunku!

Dla rannych, czasem dla kuchni żołnierskich nosiły wodę także grupy „volksdeutschów“, pod strażą konwojentów. Twarze, na których malowało się piętno hańby, zdradzały wspólne wszystkim wyczerpanie fizyczne i zwierzęcy strach. Odsuwano się od zdrajców z obrzydzeniem, ale krzywdy im nikt nie robił. Ktoś tam splunął, kto inny zaklął.

Nocą spotykałem kolumny robocze rekrutowane na ochotnika

dla zdobycia żywności. Byli to mężczyźni, przeważnie ojcowie rodzin, którzy „zarabiali“ na ich egzystencję, pracując dla dobra ogółu. Musieli przemierzać wiele nieraz kilometrów podziemnego miasta, aby dotrzeć czy do barykad ustawionych na linii frontu w pierwszym zapale z worków mąki czy cukru, czy do składów położonych na „ziemi niczyjej“. W ostatnich tygodniach żywiły Warszawę zapasami jęczmienia olbrzymie zakłady browarniane „Haberbusch i Schiele“. Ten, co przeniósł na plecach dwadzieścia kilo ziarna, miał prawo zatrzymać dla siebie określoną jego część. Rozmoczone w wodzie służyło za pokarm.

Stali mieszkańcy miasta w podziemiu dzielili się na dwie kategorie. Na tych, co przebywali w nim tylko w granicach absolutnej konieczności, a więc w czasie ciężkich bombardowań lub w braku innego miejsca spoczynku, i na takich, co raz w nie wszedłszy już się stamtąd za żadną cenę nie ruszyli, aż póki ich Niemcy nie wypędzili. Pierwsi zachowali tężyznę do końca, oznaczali się fantazją i wiarą, choć udziałem ich były przeżycia o wiele w swej grozie silniejsze. Drudzy nasiąknęli szybko psychiką schronu. Zszarzeli, podobni byli raczej do trupów niżli do ludzi żywych, tylko oczy grały dziko, nienormalnie. Kłęby takich ciał ludzkich leżały po wszystkich kątach korytarzy obok swych „gospodarstw“, nieme, bierne, przysypane pyłem. Nie można już było z nich wydobyć żadnej energii i boję się, że u wielu ten okres pozostawi trwale ślady psychiczne.

Ilekróć wyszedłem znowu na powierzchnię ziemi, tyle razy odczuwałem radość fizyczną — bo można było pełnym haustem zaczerpnąć powietrza — i psychiczną — bo kontakt z życiem był bardziej bezpośredni. Ot, na przykład, wylot ze schronu zawiółał mnie w boczną ulicę zamożnej kiedys dzielnicy, nie dotkniętą jeszcze bombardowaniem, osłoniętą rzędem kamienic od bezpośredniej linii frontu. W skwarny upał przed domem bawiły się dzieci, powstańcy zakwaterowani po prywatnych mieszkaniach spędzali chwilę wypoczynku w otwartych na oścież oknach. Nagle usłyszałem radosne okrzyki z dala, zobaczyłem tłum ludzi maszerujących niemal w tryumfie. To świnia, prawdziwa żywa świnia kroczyła po jezdni pod strażą dwóch powstańców wśród wiwatów i powszechnych żartów. Żadna chyba na świecie nie była tak mile potraktowana i tak serdecznie zapraszana do każdego domu. Trochę typowego humoru warszawskiego wносиło w atmosferę dnia codziennego zbawienne odprężenie.

Każde moje odwiedziny narodowych jednostek zbrojnych były

witane serdecznie. Wszak łączył nas nie tyle stosunek zwierzchnika do podwładnych, co przede wszystkim węzeł przyjaźni ideowej, datującej się od lat młodzieńczych, a pogłębiony przeżyciami wspólnymi z okresu wrogiej okupacji. Żołnierze chwalili się każdym zdobytym karabinem maszynowym, a młotacze ognia wbiwały ich w taką dumę, jak gdyby rozporządzali co najmniej ciężką artylerią. W sumie jednak mieli broni śmiesznie mało, a do tej broni jeszcze mniej amunicji. Co piąty, szósty powstaniec mógł wejść do akcji, reszta czekała na zapowiedziane zrzućy, na zdobycz na wrogu, na rezultaty domowej produkcji granatów, na śmierć kolegi, który im stena „w testamencie zapisał“, na zmiłowanie Boże.

Na razie ginęli od bomb, „krów“, granatników i pocisków czołgowych. Byłem pewnego dnia sierpniowego na tragicznym pogrzebie całego oddziału N. S. Z. Rozłokowany świeżo w piwnicach Filharmonii Warszawskiej — zbombardowanej przez Niemców jeszcze w r. 1939 — zgromadził się po modlitwie przy wspólnym śniadaniu. Pocisk artylerii kolejowej przebił sklepienia i rozerwał się wewnątrz. Spod gruzów wydobyto zwłoki pięćdziesięciu paru powstańców. Ułożone obok, na placu Zgody, zawinięte w papier, bo nie było czasu ociosać trumien, pokropił ks. biskup połowy, a koledzy wykopali dla nich wspólną mogiłę na ulicznym skwerze.

Nic nie może bardziej demoralizować żołnierza, jak świadomość, że stoi w obliczu nieprzyjaciela niedostatecznie uzbrojony. Toteż tylko dzięki zahartowaniu się w pięcioletniej walce podziemnej z okupantem mógł powstaniec warszawski wytrwać w takich warunkach na linii frontu. Wypadki samowolnego opuszczania oddziału nie nosiły charakteru dezercji, choć je czasem tak nazywano. To był styl cywila, któremu się sprzyrzyło czekać na broń i szedł do innej dzielnicy miasta — może tam są lepiej zaopatrzeni, może dostanie coś w garść i nie będzie bierną ofiarą. W miarę kurczenia się obszaru, trzymanego przez powstańców, rozprasały się i niektóre oddziały. Kto miał jednak broń, z reguły jej nie porzucił do końca — to uważane było za wielki dyshonor.

Wiele zależało od dowódców. Starsi szarżę w szeregach N. S. Z. byli przeważnie oficerami zawodowymi, emerytowanymi jeszcze przed wojną lub zwolnionymi z armii przez marsz. Piłsudskiego po objęciu przezeń władzy w 1926 roku. Ożywiała ich najlepsza chęć służenia sprawie, ale brakło im często tego nerwu, którego wymaga walka w warunkach powstańczych. Nie można się im

było dziwić — całe życie dowodzili regularnym wojskiem, z odpowiednimi sztabami, należywym zaopatrzeniem, na podstawie ustalonej hierarchii i obowiązujących regulaminów służbowych. Tego wszystkiego nie było, był tylko entuzjazm. Urodzeni dowódcy ujawniali się w walce spośród ludzi młodszych wiekiem, najczęściej oficerów rezerwy, którzy mniej znali regulamin, a za to świetnie psychikę żołnierza-cywila i jego klimat ideowy. Nie miałem z ich strony rekryminacji pod adresem starszych funkcją, nie wnosili najbardziej nawet uzasadnionych pretensji o awans, odznaczenie — lecz nadawali je sami sobie inicjatywą w działaniu i fantazją w jego wykonaniu. Zaznaczyć zaś należy, że nawet w tych strasznych warunkach awans i odznaczenie grało ważną rolę u ludzi, którzy nosili mundur.

Często odwiedzałem oddział „majora Barry’ego“. Któż to był Barry? Syn fryzjera z małego miasteczka, wieku średniego, bez dokończonego wykształcenia. W czasie wojny pracował w charakterze magazyniera w dużej fabryce podwarszawskiej. Od najmłodszych lat związany ze środowiskiem narodowym, brał czynny i gorący udział w życiu młodego pokolenia powojennego, umiał znaleźć wspólny język ze światem pracy fizycznej. Wybuch powstania zastał go przypadkowo na Starym Mieście. W ciągu kilku godzin skupił koło siebie kilkuset chłopców z obdarzonej wielką fantazją dzielnicy drobnego mieszczaństwa. Stopień majora nadał sobie sam na podstawie jakichś bardzo skomplikowanych uzasadnień i przywiązywał do niego dużą wagę. Przede wszystkim jednak tę godność nadał mu przyrodzony widać instynkt przywódczy, talent organizacyjny i zmysł walki.

Miał wszystkie zalety i wady powstańca. Odważny na barykadzie, szybki w decyzji, bezwzględny w urzeczywistnianiu każdego zamysłu, czupurny w stosunku do zwierzchników czy dowódców sąsiednich odcinków, pobłażliwy dla samowoli swoich podwładnych i sam do niej skłonny. Zgromadził w swoim oddziale największą liczbę broni, a wrywał ją jednakowo Niemcom i swoim, gdy dzielono się zrzutami. Umiał też zaprowiantować swoich ludzi na froncie. Nigdy nie byli głodni i z reguły mieli coś do wypicia — jakimś cudem już pod koniec okresu walki częstował mnie befsztykiem z konia, nie chcę podejrzewać, że z innego stworzenia.

Bardzo szybko nawiązała się w obrębie tego przypadkowo raczej dobranego środowiska więź ideowa. Na pewno znaleźli się w szeregach oddziału i dawni piłsuducyzy i socjaliści i tacy, którzy nie

mieli uformowanego poglądu politycznego. Ale w krótkim czasie stawali się gorliwymi wyznawcami ruchu narodowego — nie tyle dzięki wykładanym teoriom, ile drogą wspólnych przeżyć, podbudowanych zdrowym klimatem duchowym. Barry żądał bezwzględ- nego posłuchu w stosunku do siebie, zwłaszcza od oficerów. Śmia-łem się w duchu, jak zawodowi majorowie, czasem dyplomowani nawet, przeżyli się przed nim, czuli na każde jego skinienie. Nie domyślali się, że ich wódz nosi rangę dość wątpliwą. Słyszałem, że później dopiero były z tego tytułu kłopoty — bowiem gdy Barry szedł do niewoli, a stopnie służbowe porządkowano, wyprosileni u generała Montera dla niego szarżę... ledwie podporucznika. Żołnierze oddani mu byli ślepo. Nie tylko żołnierze: jako adiu- tantki, markietanki czy łączniczki — nie wiem jak to dokładniej określić — służyły mu dwie dziewczyny jak lanie, studentki me- dycyny. Ściśnięte pasem żołnierskim, z coltami u boku, dzień i noc go nie odstępowały, oddając nieocenione usługi w boju i go- spodarstwie. Patrzyły w niego, jak w obraz.

Gdy poddało się Stare Miasto, Barry przywiódł ze sobą kanała- mi do Śródmieścia także i odbitych przez siebie z niemieckiego więzienia aresztantów. Był między nimi Żyd, za dobrych czasów wypychacz zwierzyny, zrzadzeniem losu jeszcze przez hitlerow- ców nie zamordowany. Mój major zrobił z niego nadwornego cyrulika, który golił jego przede wszystkim, a następnie wszyst- kich oficerów. Golił i mnie, gdy byłem w oddziale. Naprawdę byłem wzruszony, słuchając przy mydleniu twarzy jego wynurzeń z typowym dla Żydów polskich akcentem: „Uj, co to za człowiek ten pan major Barry, to samo złoto nie człowiek. Jak się on uśmiecha to ja żyję, jak tylko chodzi zasmucony, to ja czuję, że już jestem trup, to już po wszystkim“.

Z więzienia odbił też Barry kilkunastu żołnierzy sowieckich. Nie wciągnął ich do oddziału, ale służyli mu w pracach pomocni- czych. Traktował ich po koleżeńsku, na niczym im nie zbywało z tego, co mieli polscy żołnierze.

Kiedyś znalazłem się w gronie oficerów z oddziału Barry'ego. Za oknami kwatery grała zwykła wymiana strzałów. Wewnątrz panował miły nastrój, spowodowany obfitym jadłospisem: na pierwsze danie była kasza jęczmienna, a na drugie kapusta, ugo- towana z suszonych liści, a do tego po jednym kartoflu. Parę bu- telek koniaku i odstałego chambertina nie zepsuło oczywiście na- stroju. Jeden z obecnych siadł do pianina i zagrał Szopena. Inny zadeklamował piękny wiersz. Wtedy major sprowadził dwu spo-

śród sowieckich żołnierzy, którzy zaśpiewali pięknym, pełnym głosem, akompaniując sobie na mandolinie.

Udzieliła się im atmosfera bezpośredniości. Młody komsomolec zapytał, czy będzie zrozumiany, jeśli w języku rosyjskim wypowie to, czym żył w ciągu dwóch lat niewoli, po czym zadeklamował własny utwór, poświęcony matce. Była w tym wierszu i głęboka myśl i samorodny talent, a przede wszystkim rzeczywista miłość synowska. Dwudziestodwuletni chłopak, maturzysta, urodzony i wychowany na Syberii, opuścił dom rodzinny jeszcze przed wybuchem wojny, ale żył wciąż jego pamięcią. Opowiadał nam, że na dalekich kresach Rosji obcował nieustannie z Polakami. „Wy nie macie pojęcia, ilu tam jest Polaków. Są takie miasta, których jeszcze nie ma na mapie, a w których Polacy stanowią większość. Dom polski można zawsze u nas rozróżnić — jeśli już nie mówili waszym językiem, to w każdym razie cechowała go niezwykła gościnność. I kobiety są ładne, kochałem się w dziewczynie polskiej, pewno bym się z nią ożenił, gdyby nie wojna“*). Był on komsomolcem, entuzjastą, gdy mówił o Rosji skrzyły mu się oczy. Wszystkie teorie, których się nauczył w szkole sowieckiej, były dla niego święte. Jego starszy towarzysz wykazywał o wiele większy sceptycyzm, ale raczej cicho, na boku. Wieczór spędzony na kwaterze powstańczej w kleszczach germańskich i w obliczu zdrady sowieckiej nasunął mi refleksje: nie jesteśmy narodem mściwym i w największym nieszczęściu stać nas na zrozumienie duszy ludzkiej.

Warszawa nie dała się także unieść uczuciom zemsty w stosunku do jeńców niemieckich, których było sporo. Żołnierze w mundurze Wehrmachtu traktowani byli podług wszelkich zasad konwencji międzynarodowych w tym samym czasie, kiedy przeciwnik mordował, w mieszkaniach podpalał i znęcał się nad bezbronną ludnością w dzielnicach miasta, które stopniowo opanowywał. Dowództwo nie dało się zwieść z tej drogi, chociaż co dnia nadchodziły meldunki przejmujące grozą.

Hitler wydał rozkaz, iż nie wolno brać jeńców i należy każdego mieszkańca Warszawy zabijać bez względu na to, czy schwymano

*) *Opowiadanie żołnierza sowieckiego wskazuje na silną tradycję polską wśród zesłańców po powstaniach narodowych w latach 1794, 1830, 1863 i w późniejszych okresach. Nie dotyczy ono oczywiście Polaków zamkniętych w obozach karnych po r. 1939 — tych oni widzieć nie mogli.*

go z bronią czy bez broni. Do stłumienia powstania rzucono obok jednostek regularnych oddziały policyjne, zdzierających kozaków i brygady kryminalistów. Miasto miało być spalone i zrównane z ziemią.

Przebijają się Niemcy przez Wolę. Podpalają dom za domem, ulicę za ulicą. Czteropiętrowe bloki Wawelberga otoczyło S. S. Nikogo z mieszkańców nie wypuszczając, obrzuciło je granatami i wzniciło ogień ze wszystkich stron. Kto rzucał się z okna, był mordowany z karabinów maszynowych. Dwa tysiące ludzi zostało spalonych żywcem. To samo działo się z domami Hankiewicza i wielu innymi.

Do szpitala Wolskiego wpadł 5 sierpnia oddział S. S., zastrzelili na miejscu dyrektora szpitala, ordynujących lekarzy i kapelana. Zostawili przy życiu tylko trzech lekarzy, którzy przypadkowo właśnie opatrywali rannych Niemców. W Szpitalu Karola i Marii po wypędzeniu obsługi spalono główny pawilon wraz ze znajdującymi się tam rannymi. Szpital św. Łazarza spalili siepacze po wyewakuowaniu z niego rannych żołnierzy niemieckich, nad którymi opiekę sprawowały siostry — członkinie Armii Krajowej. Do schronu rzucili granaty i miny. Zginęło około 600 osób spośród obsługi szpitalnej.

W całej dzielnicy Wolskiej leżały na chodnikach i jezdniach trupy ze śladami strzałów w kark. Na podwórzu fabryk Ursusa, Franaszka, przed kościołem św. Stanisława z tych trupów nagromadzone są stosy. Niemcy podpalają je benzyną. Ofiarą bestialstwa padają mężczyźni, ale między zamordowanymi nie brak kobiet i nawet maleńkich dzieci. Tysiące nędzarzy pędzą na zachód, etapem ich drogi jest kościółek na Woli, gdzie odbywają się dantejskie sceny. Grupy mężczyzn prowadzone są z rękoma podniesionymi do góry — widziano wśród nich i takiego, którego zostały po opaleniu rąk tylko kikuty.

Nie lepiej dzieje się na Ochocie. Niemcy utrzymali w swoich rękach olbrzymi blok Domu Akademickiego przy placu Narutowicza i to przesądziło o dalszych losach walki. Po opanowaniu punktów oporu mordują żołnierzy A. K. Nad ludnością cywilną pastwią się t. zw. Ukraińcy, kałmucy i inna zbieranina międzynarodowa w mundurach Wehrmachtu lub S. S. W Instytucie Radowym chorzy, którzy nie mogli się unieść z łóżek, zostali w nich zastrzeleni. Metody bestialstwa są tutaj jeszcze dziksze: scyzorykiem przecina się gardło, nożami dźga ciała kobiece, butami żołnierskimi zdeptuje rannych i starców, rozбивa główki dziecię-

ce o słupy i występy murów. Powszechny rabunek uprawiany jest nie tylko w mieszkaniach, ale i w stosunku do pędzonych na tulaństwo. Przedmiotem szczególnego pożądanja są zegarki, na które mordercy rzucają się dziko.

Całą ludność Ochoty, kolonii Lubeckiego, Staszycy pędzi się na Zieleniak, t. j. wielkie targowisko jarzyn, wybrukowane okrągłakami i okolonę wysokim murem. Przebywa w nim jednorazowo po kilkanaście tysięcy ludzi, między nimi mnóstwo rannych, chorych i umierających. Nie otrzymują pożywienia ani wody, chyba dla naigrwania wpuszczają Ukraińcy jakąś krowę, strzelając do niej poprzez tłum ludzi. Rozerwana na kawałki przez zgłodniałych, jest za chwilę przedmiotem licytacji najniższych instynktów nędzarzy.

Grasują wewnątrz Zieleniaka Ukraińcy. Rewidują bez przerwy w poszukiwaniu łatwej zdobyczy. Odbierają, co się da: jeśli nie zegarki, to może buty, ostatnią koszulę. Pijani od rana do nocy polują przede wszystkim na dziewczęta i gwałcą je w kilku, kilkunastu. Która się broni, otrzymuje ciosy nożem, kolbą, butem. Matki zasłaniają córki. Mężczyźni układają się na kobiety, aby uchronić je od pożądlivego wzroku gwałcicieli. W tym samym czasie Niemcy robili na Zieleniaku fotografię, do której pozował jakiś dygnitarz *Herrenvolku*, gładząc dziewczynkę po głowce.

Na Rakowcu z klasztoru Jezuitów żołnierze niemieccy wyciągnęli księży. Męczyli ich, bili, a potem rozstrzelali. Księdza Salamuchę ukamienowali już przed tym na ulicy Mianowskiego.

W domu profesorskim przy ulicy Brzozowej wymordowano profesorów wyższych uczelni warszawskich, ludzi starych i bezbronnych.

A jednak powstańcy wiedząc o tym, otaczali jeńców niemieckich opieką prawa. Używano ich do kopania grobów, do wydobywania spod ruin zasypanych. Nie słyszałem, by byli kiedykolwiek użyci do budowania barykad, w czasie bombardowań korzystali ze schronów tak jak cała ludność.

Inaczej rzecz się miała z funkcjonariuszami Gestapo i specjalnych formacji hitlerowskich. Tych oddawano pod sąd polowy pod zarzutem udziału w bandzie, która ma na celu ludobójstwo, czyli mord popełniany na całym narodzie. Zanim „genocide“ znalazło zrozumienie u Narodów Zjednoczonych i wyraz w konwencji międzynarodowej, dojrzało jako pojęcie w sumieniach sędziowskich krwawiącej Warszawy. Kara za tę zbrodnię wymierzana w atmosferze bombardowań i pożarów, wśród huku walących się

domów i w zgiełku bitewnym, mogła być tylko jedna — kara śmierci. I tę karę ponosili złoczyńcy gdzieś w ruinach domów przed plutonem egzekucyjnym, w obecności księdza i prokuratora. Jak bardzo ona była sprawiedliwa i naturalna, świadczy fakt, że przy ustalaniu warunków kapitulacyjnych strona niemiecka pominęła kwestię odpowiedzialności za wydane wyroki.

Z tytułu swoich obowiązków stykałem się czasem z działalnością sądów polowych. W ich skład wchodził wybitni prawnicy, w życiu cywilnym długoletni sędziowie zawodowi, prokuratorzy i adwokaci. Nie było mowy o jakiejś improwizacji wymiaru sprawiedliwości lub o nadaniu mu tylko pozornej formy. Obok spraw błahych, przenoszonych zwykle do postępowania dyscyplinarnego, sądy polowe miały też i zagadnienia o niezwykle skomplikowanej strukturze psychologicznej, a wielkim utrudnieniem w powzięciu decyzji było to, że praktycznie rozporządzały tylko karą śmierci. Każda inna nie przemawiała do wyobraźni, bo była nierealna w obliczu rzeczywistości — za kilka dni lub tygodni panem sytuacji będzie znowu okupant niemiecki lub przyjdzie sowiecki i z więźnia zrobi albo bohatera albo go zamorduje.

Był fabrykant cukierków, który współpracował z Niemcami w czasie okupacji. Tłumaczył się, że działał w porozumieniu z tajnymi organizacjami polskimi, wydobywał aresztowanych z Gestapo; powołuje się na świadków, których oczywiście w zamęcie walk trudno odszukać i sprowadzić do sądu. Rodzina jego i przyjaciele biegają po schronach, aby zgromadzić materiał dla obrony, bo to przede wszystkim straszliwy wstyd znaleźć się w bohater-skiej i wolnej Warszawie z piętnem hańby. Zostaje uwolniony, ale nie ma sposobu opublikować wyroku; ktoś go spotyka na ulicy, w schronie i wskazuje znowu najbliższemu posterunkowi: współpracował z Niemcami, pewno jest szpiegiem.

Młody podchorąży odprowadzał jeńca — może nawet gestapowca. Wspomnił sobie, że zamordowano mu brata, rodziców wywieziono do obozów koncentracyjnych. Był zmrok, nikogo na ulicy. Zarepetował broń i zastrzelił Niemca. Sprawa się wykryła, oddany został pod sąd. Uniewinnić nie można. Uwięzić i zostawić akta Niemcom? Rozstrzelać?

Wstrząsnęło mną następujące wydarzenie: w dzielnicy południowej śródmieścia mnożyły się meldunki o nadużywaniu władzy przez jedną z komórek organizacyjnych A. K., powołaną do likwidowania aktów dywersji i szpiegostwa. Wyniki przeprowadzonego dochodzenia były fantastyczne — kilkunastu młodych chłop-

ców pod pozorem wypełniania swych zadań uprawiało systematyczny szantaż w stosunku do upatrzonych z góry ofiar. Więzili je w piwnicy niedostępnej dla nikogo, zabierając do „depozytu“ znalezione kosztowności i pieniądze. Nie stanowiło dla nich problemu, co zrobić z tym „depozytem“ i jak go przechować — uważali go za swoją zdobycz i spory wiedli tylko o to, w jakim stosunku się nim podzielić. Problemem było, co zrobić dalej ze swoimi ofiarami, wśród których byli najniewinniejsi ludzie. Sądzę, że w znacznej mierze liczyli na dalsze niemieckie bombardowanie, które gruzami pokryje i tę piwnicę. Straszliwa tragedia polegała na tym, że w skład bandy wchodził chłopcy z najlepszych rodzin, między innymi studenci i uczniowie. Przez całe lata okupacji służyli sprawie bezinteresownie, z bronią w ręku, dokonując zamachów na Niemców i aktów sabotażu wrogiego mienia. Demoralizacja, nieuniknienie związana z łatwym wchodzeniem w posiadanie dużych dóbr materialnych przez ludzi o nieukształtowanym jeszcze charakterze, sprowadziła ich na dno upadku.

Hersztem bandy była młoda dziewczyna, chyba nawet niepełnoletnia. Na rozprawie nie ukrywała ani faktów ani intencji. Ten sam duch przywódczy, jaki ujawniała naprzód w bohaterских wyczynach, później w szantażu i grabieży, promieniował też w postawie wobec obrachunku, który przyszło płacić. Sąd polowy skazał wszystkich na śmierć, chociaż sędziów — ludzi twardej — w tym wypadku wydanie wyroku wiele kosztowało. Między skazanymi był syn ich kolegi.

Przed egzekucją prokurator odwiedził celę i zapytał, czy mają jakie ostatnie życzenia. Jeden prosił o przekazanie jakiegoś listu, drugi ofiarowywał bliskim swoje rzeczy. Wizyta się przeciągała. Dziewczyna zwróciła się wtedy do towarzyszy: „Chłopcy nie nawalajcie czasu, boicie się śmierci? Jest powstanie, nie można się bawić takimi rzeczami. Pan prokurator ma ważniejsze sprawy“.

Było już ciemno, gdy skazańców wyprowadzono w ruiny bocznej ulicy. Zaczęła się egzekucja. Nagle zagrała „krowa“ i wszystko zawirowało w powietrzu. Prokurator, jak zapewne i wielu innych uczestników tej strasznej ceremonii, padł na ziemię, czy też skrył się za węglem muru. Po opanowaniu zamieszania, wydawało mu się, iż widzi obce sylwetki i huknął: „Precz stąd, to nie jest widowisko“. W odpowiedzi usłyszał głos dziewczyny: „Ha, ha, ha, pan prokurator mnie nie poznał, ja jestem następny numer“. Zginęła bez zmruczenia oka.

Nie upłynęło pół roku — już pod władzą bolszewicką przyszło

mi poszukać w Warszawie chwilowego schronienia. Drzwi do jednego z ocalałych mieszkań otworzyła gościnnie pani, ubrana w żałobę. Nie znałem jej przedtem, ale ona mnie rozpoznała i u wstępu z wyrazem wielkiego bólu oraz trawiącego ją niepokojem żaliła się: „Straciłam syna w powstaniu, jedyne dziecko. To straszna ofiara, czy była potrzebna? Niech mi Pan powie, chcę wiedzieć, czy Polskę uratuje?“. W trakcie uspakajania jej zestawilem nazwiska, fakty i uzmysłowiłem sobie nagle, że syn godnej czci kobiety był wśród rozstrzelanych — wtedy, w ruinach płonącej Warszawy. Zamilkłem, matka o tym nie może wiedzieć, ofiara z jej strony była wielka i niepokalana.

W odległości mniej więcej dwustu metrów od mojej kwatery mieściła się siedziba dowództwa frontu Śródmieście-Północ. Czasem wystarczyło przejść jeno przez dziurę w murze, minąć parę lejów w pobliskim ogrodzie, aby przez rozbitą ścianę parterowego mieszkania dostać się do wnętrza wielopiętrowego budynku, zejść potem po schodach piwnicznych i znaleźć się w atmosferze wyteżonej pracy sztabu powstańczego. Niekiedy trzeba było tę drogę przebywać pod ogniem karabinów maszynowych, wokół pożarów, lub w ucieczce przed samolotami, które brały sobie za szczególne zadanie zniszczyć bombami nasze ośrodki dyspozycji. Udało to się dopiero w drugim miesiącu walk artylerii kolejowej, której pocisk uderzył w wierzchołek ściany szczytowej domu i spadłszy wzdłuż otworu windy przebił sklepienia piwniczne. Kilku oficerów i parę kobiet zostało wtedy zasypanych.

Frontem dowodził pułkownik Radwan. Ranny w pierwszych zaraz dniach nie opuścił posterunku do końca. Surowy dla siebie, był równie wymagający względem innych. Na tle dawnych tarć między Narodowymi Siłami Zbrojnymi i Kierownictwem Armii Krajowej musiałem nieraz przewycięzać jego decyzje i to był najczęściej cel moich wizyt w sztabie. Któregoś jednak dnia powiedziano mi: „Dziś są imieniny szefa sztabu, majora Woli, oddziały przysłały dwie puszki homara, chleba, trochę smalcu i parę butelek alkoholu. Urządzimy mu przyjęcie wieczorem, niech Pan przyjdzie“. Dla głodnego człowieka gratka była niedłuda i nie omieszkałem z niej skorzystać.

Stawilem się punktualnie, ale zajęcia sztabu nie były jeszcze ukończone. Dowódca zarządził, iż wszyscy oficerowie mają być obecni na odczycie p. Zofii Kossak-Szczuckiej o Oświęcimiu, z którego dopiero niedawno się wydostała. Chciałem się usunąć, sądziłem, że nastroju pełnego napięcia atmosferą powstania nie

rozproszę wysłuchaniem tragicznych przeżyć, nawet tak znakomitej autorki, o koncentracyjnym obozie. Nie udało mi się — zasiadłem wraz z pułkownikiem w pierwszym rzędzie słuchaczy. Na dworze grała regularna wymiana strzałów, luny naświetlały pokój. Coraz to inny oficer wracał ze służby, bądź wprost z linii frontu, bądź z punktu obserwacyjnego na szczycie drapacza chmur. A p. Kossak-Szczucka snuła opowieści, jak to kobiety-Polki pędzono nagie z ostrzyżonymi głowami wzdłuż drogi brukowanej przez mężczyzn — więźniów Oświęcimia. Żaden z nich na nie nie spojrzał, świadomie odwracał się do tyłu, ku rozczarowaniu dozorców hitlerowskich. Po tym odczycie trwającym z górą godzinę, ani wódka imieninowa, ani nawet kawałek żołnierskiego chleba, którego brakło od tygodni, nie potrafiły wywołać odrobiny wesołości i odprężenia, czego tak łaknęła natura ludzka.

Rzadkie były chwile takiego odprężenia, równie rzadkie jak pożywienie i sen. Walki w mieście tym się przede wszystkim charakteryzują, że wymagają nieustannej czujności i inicjatywy w działaniu.

Stan posiadania powstańców w Warszawie zakreślony został w pierwszych dniach, a właściwie nawet w pierwszych godzinach walki. Stojąc w obliczu wroga uzbrojonego w potężne środki nowoczesnej armii, żołnierze A. K. nie mogli pozwolić sobie na rozwijanie szerszej akcji ofensywnej. Utrzymanie się na zajętych pozycjach, zachowanie przyczółka na lewym brzegu Wisły aż do czasu, gdy armia sowiecka zdecyduje się skorzystać z niego dla przelamania linii niemieckiej, było i tak zadaniem olbrzymim. Niemniej konieczne były lokalne uderzenia na odizolowane stanowiska nieprzyjaciela, które, panując nad poszczególnymi dzielnicami miasta, wyrządzały powstańcom wielkie straty. Między innymi utrzymał się nieprzyjaciel w kościele św. Krzyża i sąsiadującej z nim komendzie policji na Krakowskim Przedmieściu.

Płk. Radwan i jego szef sztabu, mjr. Wola, postanowili zlikwidować tę pozycję wroga. Przez dwa tygodnie trwały przygotowania. Trzeba było najpierw utworzyć sobie drogę do budynków sąsiadujących z kościołem, niespostrzeżenie dla wroga. Służył temu podkop, poprowadzony tak daleko, że niespodziewających się niczego Niemców można było oglądać na odległość niewielu metrów. Pewnego razu pokazywano mi przygotowania do tej akcji. Wprowadzono mnie do gmachu K. K. O. (Komunalnej Kasy Oszczędności), z którą przed wojną łączyło mnie tyle interesów finansowych, zarówno osobistych jak i mych klientów. Setki

milionów złotych wyrażone dokumentami bankowymi miały już tylko złudną wartość chwilowej tarczy przed śmiercionośnymi pociskami. Folia akt służyły dla zabarykadowania okien, a kasy pancerne ubezpieczały stanowiska strzelnicze. Różne tytuły wierzytelne i akty notarialne wały się po kątach zwęglone, rozsypane, lub pokryte warstwą gruzu. Wiedziony różnymi korytarzami, schodami, poprzez wybijane otwory doszedłem do strychu na pół rozwalonego domostwa. Był to punkt obserwacyjny, z którego widać było dziedziniec komendy policji. Krzątali się po nim SS-mani, odbierając właśnie rację chleba. W gronie oficerów, którzy mi towarzyszyli, był też starej daty pułkownik. Podniecony sytuacją, a może trochę i alkoholem wyciągnął rewolwer i chciał strzelać. Zniszczyłby w ten sposób staranniei przygotowaną robotę. Takie to były trudności w tym powstańczym wojску.

Atak rozpoczął się o godz. 4 rano z kilku stron równocześnie. Czternaście drużyn ruszyło podkopem, a dalej nawierzchnią, mając do dyspozycji pomost, przygotowany do przerzucenia ludzi z otworu sąsiedniego budynku do okna kościoła. Zaskoczenie Niemców było kompletne i walka wewnątrz Św. Krzyża skończyła się błyskawicznie. Straciliśmy tam tylko dwóch rannych.

Z domu przy ulicy Czackiego 14 wyszedł do ataku frontowego oddział jednego z najwaleczniejszych oficerów, poległego później od bomby, porucznika Harnasia. Związał on główne siły nieprzyjaciela w przeszło pięciogodzinnej walce, silny jednak ogień broni maszynowej nie pozwolił mu opanować Komendy Policji. Z drugiej strony, od ulicy Świętokrzyskiej, nastąpiło równocześnie natarcie piwnicami poprzez budynki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tu dalszemu posuwaniu się stanęło na przeszkodzie rozżarzenie wielkiej ilości węgla i koks, którego nie sposób było ominąć. Dowodzący całością akcji wycofał oddział i poprowadził uderzenie znalezione na szczęście ukrytym przejściem do magazynów gospodarczych policji. Opanowano je w walce wręcz i uderzono na Niemców od tyłu. Teraz weszły do boju odwody — wdarły się one w dziedziniec kościelny i przesądziły o losie nieprzyjaciela.

Próbowaly mu przyjść z pomocą czołgi — tygrysy. Jedne wjechały od strony placu Małachowskiego i otworzyły silny ogień aż za Bank Handlowy, drugie w ilości dziesięciu sztuk nacierały na ulicę Świętokrzyską. Powstańcy, ukryci w gruzach domów, obrzucili je butelkami z benzyną, granatami własnej produkcji

i zmusili do odwrotu. O godz. 9.45 walka była skończona.

Wróg stracił w samych zabitych ponad sześćdziesięciu, do niewoli wzięto dziewięćdziesięciu ośmiu, oswobodzono więzionych w lokalach i piwnicach siedmiu księży, dziewięćdziesięciu dwóch polskich policjantów i ponad dwieście osób cywilnej ludności. Wiele broni zniszczono. Zdobyto cztery ciężkie karabiny maszynowe, siedem granatników, ponad sto karabinów i ponad sto tysięcy sztuk amunicji. Były to prawdziwe trofea dla powstańców, którzy już nie mieli bardzo z czego, a nade wszystko czym strzelać.

W tej przedziwnej atmosferze, w jakiej toczyła się walka, nie było rzeczy niemożliwych. Między innymi mam do zanotowania fakt, iż w dniu 31 sierpnia 1944 r., po raz pierwszy od lat pięciu, byłem w kinie. Droga do niego wiodła przez piwnice, pod barykadami, wśród ryku „krów“. Ale na ulicy Złotej stał jeszcze nie naruszony piękny budynek „Palladium“. Na safianowych fotelach zasiadła „śmietanka towarzystwa“ warszawskiego: wyżsi dowódcy, oficerowie, przedzierżgnięci z inżynierów, adwokatów, lekarzy, i panie przybrane stosownie do najbardziej aktualnej mody, bo w furazerkach i strojach możliwie żołnierskich, niemniej jednak w loczkach, a i kosmetyki były w użyciu. Na filmie przez dwie blisko godziny przesunął się rzeczywisty obraz walk minionego miesiąca. Kolejno widzieliśmy bohaterską obronę elektrowni przez robotników, zdobywanie wieży Cedergrenu, atak na kościół św. Krzyża i na Komendę Policji, sceny z życia codziennego powstańców, gaszenie pożarów i ujmowanie jeńców. Wśród widzów było wielu takich, których się oglądało na filmie w akcji. Wybuchwały wtedy brawa, dowcipy i głośne komentarze. Nastrój był wciąż ufny, żarliwy i bojowy.

Po przedstawieniu, późno w nocy, zaproponował mjr. Wola, abym mu towarzyszył w inspekcjonowaniu oddziałów, zajmujących stanowiska w pobliżu. Jeden z nich stacjonował w hotelu „Metropol“ przy ul. Chmielnej, drugi w kinie „Stylowy“ na Marszałkowskiej. Było to bezpośrednio na linii frontu, Niemcy sąsiedowali niemal o ścianę. Wśród powstańców znalazłem wielu swoich kolegów i przyjaciół, których zmienione warunki przekształciły tak dalece i w sylwetkach i w psychice, że trudno ich było poznać. W urywanych zdaniach, w głębokich spojrzeniach, zawierała się treść, której nigdy nie zapomnę: to, co jest za nami, nie jest ważne, ani urok minionego życia, ani dobrobyt materialny leżący w gruzach, ani pozycja społeczna zdobyta nieraz wiel-

kim trudem. Ważne jest to, co jest przed nami, bo w grze jest wszystko, dla czego warto żyć i walczyć dalej. Będziemy więc walczyć dalej bez względu na szanse. Pewien ofiarny działacz podziemia powiedział do mnie, wskazując na roztaczający się obraz zniszczenia i nędzne odzienie, w jakie byliśmy przybrani: „Nasza kultura materialna obniży się straszliwie na pokolenia. Główną troską musi się stać czuwanie, by wraz z nią nie upadła kultura duchowa społeczeństwa — od tego zależy nasza przyszłość jako wielkiego narodu, uzasadnienie naszego miejsca w historii i nawet na mapie geograficznej“.

Z chwilą poddania się Starego Miasta nasilenie walk w północnym śródmieściu wzmogło się. Ruiny domów i piwnice kryły placówki powstańcze wśród morza ognia, szalejącego już bezkarnie. Front kurczył się co dzień o kilka, kilkadziesiąt metrów, o odcinek ulicy, o następną barykadę. Ulica Świętokrzyska była znowu pod bezpośrednim ostrzałem broni maszynowej. Pewnej nocy zerwano mnie z posłania, które sobie ułożyłem na kupie węgla w piwnicy: „Bądź gotów do drogi. Odparliśmy przed chwilą atak czołgów. Gonimy resztkami sił — jeśli nieprzyjaciel powtórzy natarcie, nie wytrzymamy“. Minął jeszcze jeden dzień i jeszcze jedna noc próby ostania się. Nad ranem zadecydowano ewakuację sztabu frontu na ulicę Widok. Nie było rady, musiałem się przenieść poza linię alei Jerozolimskiej do południowego śródmieścia.

Najtrudniej było wydostać się poprzez zwały gruzu własnego domostwa. Naciągnąłem na siebie dwie pary ubrań i zimowe palto. W rękach dźwigałem dwie walizki rzeczy, stanowiących resztkę dobra kobiet, obciążonych małymi dziećmi. Żal było rozstać się z archiwum prywatnym, które stanowiło już ostatnie powiązanie z przeszłością, obrazowało wzloty młodzieńcze, wysiłek męski, ambicje prawnika polskiego i działacza politycznego. Z przykrością też zostawiałem zebrane w podziemiu, z pasją niepoprawnego bibliofila, sto kilkadziesiąt tomów książek, ogłoszonych przez Niemców w latach wojny na temat przyszłych losów Europy Wschodniej, jej roli w gospodarce niemieckiej i jej *urdeutsch* przeszłości. Instynkt życia podporządkowuje jednak sobie w takich chwilach wszystkie „należności“ cywilizacji, choćby silnie zakorzenione w duszy człowieka.

Żar buchającego płomieniem drapacza chmur Prudentialu zapierał oddech. Mozolne drapanie się po świeżych ruinach i lejach ulicy Jasnej, w pośpiechu, po ciemku i z ciężarami w dłoniach,

stanowiło wyczyn, przed którym w normalnych warunkach zawahałby się niejeden alpinista. Poprzez ulicę Zgoda droga wiodła do Chmielnej, poprzerywanej barykadami, ale dotychczas nie dotkniętej zniszczeniem. Stamtąd zaczęła się wędrówka piwnicami i podwórzami aż do alei Jerozolimskich. Aleje były pod nieustannym ostrzałem nieprzyjaciela, który usiłował wszelkimi sposobami uniemożliwić łączność pomiędzy północną i południową częścią miasta poprzez tę ważną arterię komunikacyjną. Trochę w podskokach, trochę czołgając się przebyliśmy pod barykadą ten najtrudniejszy odcinek drogi. O węgly wypalonego domu, stanowiącego narożnik ulicy Kruczej i Alei, odbijały się na wysokości naszych głów serie z terkoczącego nieustannie karabinu maszynowego.

Południowe śródmieście wydało nam się wówczas jakimś Eldorado. Rzędy domów stały tu nieruszone, odgłosy strzałów nie dochodziły, cisza nocna i księżyc zawieszony na niebie dawały nastrój dziwnego spokoju. Ruch jednak dla bezpieczeństwa odbywał się w dalszym ciągu piwnicami, które po kilku godzinach wędrówki zawiodły mnie do przyjaciół aż na ulicę Hożą. W ich parterowym mieszkaniu zastałem dwadzieścia parę osób okupujących każdy kątek. Zdjęto ze mnie odzienie, które dosłownie wyżęto z potu. Na dwóch zestawionych krzesłach znalazłem chwilowy spoczynek.

Opisana przeze mnie tułacza wędrówka w obrębie śródmieścia nie oddaje jeszcze miary przeżyć w innych dzielnicach. W pierwszym okresie powstania najcięższe chwile były udziałem Starego Miasta. Po opanowaniu Woli wróg skoncentrował tam przede wszystkim swoje natarcia. Odpierany skutecznie, usiłował zrównać z ziemią tę dzielnicę przy pomocy systematycznego bombardowania z powietrza, nieustanego ognia artylerii, moździerzy i czołgów. Siły powstańców się kruszyły, rzuty nie dopisywały i amunicji zaczęło brakować. W tych warunkach stawało się sprawą decydującej wagi uzyskanie połączenia otoczonej zewsząd dzielnicy ze śródmieściem. Krwawa próba przerwania linii nieprzyjacielskiej uderzeniem z dwóch stron nie powiodła się. Pozostały jako jedyna droga kanały ściekowe.

Nikt nie brał ich pod uwagę jako środka komunikacji przy planowaniu akcji powstańczej. Nikt nie znał tych kanałów. Chłopcy weszli do włazów i przetarli drogę. Ilu ich przy tym zginęło, ilu zabiłako się w labiryntach, ilu dostało w ręce niemieckie — nikt już tego nie opowie. Ale była droga.

Kanałem ściekowym długości 1400 metrów odbywał się teraz ruch łączników i dostawa granatów ze śródmieścia do Starego Miasta. W zawieszynie gnilnej przesuwały się patrole skokami zaby. Dla ułatwienia tych ruchów służyły drążki wprowadzane w średnicę rury, które, przesuwane rękoma, pozwalały przerzucać ciężar ciała ku przodowi. Wysokość tego kanału wynosiła wszystkiego 70 cm. Nawet młodzież nie mogła przebyć tej drogi bez upadnięcia na kolana i spowodowania skaleczeń. Skaleczenia takie powodowały natychmiast procesy ropne i ciężkie schorzenia. Cóż dopiero mówić o ludziach starych, których mięśnie nie dopisywały. Dla nich taka podróż równała się niemal kalectwu.

Trzeba zaś było za wszelką cenę wyprowadzić ze Starego Miasta szereg jednostek, którym groziła niewątpliwie śmierć z rąk Niemców, gdyby zaszła potrzeba poddania się. Utorowano najpierw wysokim burzowcem drogę długości czterech i pół kilometra na Żolibórz — tam łatwiej będzie ujść uwadze wroga, a nawet wy dostać się poza pierścień oblężenia.

W zgiełku bitewnym sformowano kolumnę ewakuacyjną. Ktoś się wycofał w ostatniej chwili pod wpływem wiadomości, że Niemcy rzucają granaty do włazów, ktoś się zagubił, kto inny obliczył swe siły i zrezygnował z szansy. Przed dziewiątą wieczór skok przez ulicę pod obstrzałem wroga i zejście po żelaznej drabince w głąb włazu. Na czele kolumny idzie przewodnik a zaraz za nim wiceprezydent miasta Kulski, dalej dwóch księży, paru starostów, każdy z nich czynny w akcji podziemia. Za zdrowym postępuje ranny, jeden drugiego trzyma za pasek. Obowiązuje cisza bezwzględna, nawet w wypadku całkowitego załamania się, zagubienia czy akcji ze strony wroga, gdyż głos roznosi się w burzowcu tysięcznym echem i wskaże natychmiast Niemcom maszerującą kolumnę. Trzeba posuwać się możliwie szybko przez burzowiec, bo o 11 wieczór woda w nim wzbiera i można łatwo utonąć. Tymczasem trzyma się ona na poziomie jednego metra, jest ciepława, ma zapach gnilny ale znośny. Po przebyciu mniej więcej trzech czwartych drogi kanał włącza się do innego, w którym woda płynie wartkim prądem. W tym miejscu grozi niebezpieczeństwo, gdyż Niemcy czuwają nad otwartym włazem — w razie najmniejszego podejrzenia zrzucają wiązki granatów, powodując tyle ofiar wśród wędrujących. Trzeba skrócić w prawo, wymacać urwaną żelazną linę w wodzie i trzymając się jej przebyć przestrzeń około dziesięciu metrów. W ścianie u góry jest

otwór, który musi być znaleziony po ciemku — wtedy podciągający się ku górze osiągnie się wejście do kanału, prowadzącego już bezpiecznie na Żolibórz.

Kolumna zatrzymywała się kilkakrotnie. To wartownik, umieszczony na jakimś kamiennym występie, odbierał po drodze transport, to znowu ktoś się urwał z szeregu i popłynął. „Co się stało?“. „Kulski się urwał i popłynął“ — cichy szept roznosił się echem. Idą dalej, znowu przystanek. „Co się stało?“. „Kulski się znalazł — zaczepił o jakąś cegłę“. Przeszli już dwadzieścia kroków w prawo. Wzdłuż szumiącego wodą kanału zbiorczego i nie znaleźli górnego otworu. Kolumna staje, od czoła biegnie szept nabrzmiały strachem: „Zgubiłem drogę“... Chwila strasznego napięcia, lekkie zamieszanie, wreszcie cofnięcie się do tyłu — ktoś wymacał zbawczy otwór i pociągnął za sobą następnych. Przeszli wszyscy niespostrzeżenie pod okiem nieprzyjaciela i w krańcowym wyczerpaniu cel osiągnęli.

Pod koniec sierpnia powstańcy przetarli drogę przez drugi, znacznie wygodniejszy kanał, wiodący do środka miasta. Tym kanałem przeszedł gen. Bór, wicepremier Jankowski i ich otoczenie — pierwsze tygodnie przyszło im spędzić w centrum najgorętszych walk. Może się i dobrze stało, gdyż swoją postawą i spokojem dawali ludności budującej przykład. Konieczna jednak była ich obecność w śródmieściu, skąd można było należycie kierować zarówno działaniami wojennymi jak i być w biegu decyzji politycznych. Później, gdy dalsze utrzymanie Starego Miasta w rękach powstańców okazało się niemożliwe, w tajemnicy przed wrogiem wycofano tym kanałem wojsko, łżej rannych i trochę ludności cywilnej.

Byłem świadkiem takiego wypadku. Zdenerwowanie w ostatnich godzinach ewakuacji wpłynęło — mimo całego panującego porządku — na pewne zamieszanie u wjazdu, do którego każdy się chciał jak najszybciej dostać. Ktoś potrącił kobietę schodzącą po żelaznej drabince, z tobołem na plecach. Straciła równowagę i spadła na dół przygniatając swym ciężarem inną, stojącą poniżej kobietę. Ta znalazła się w kanale z gołębiami złamana tak nieszczęśliwie, że piszczał wyszła na wierzch. O zabraniu jej z powrotem na górę nie mogło być mowy wobec panującego natłoku. Stojący obok, starszy już wiekiem, fizycznie niepozorny mężczyzna, widząc tę sytuację, wziął na plecy obcą sobie zupełnie niewiastę i niósł ją kanałem przez trzy godziny bez słowa skargi. Nie jęknęła ani razu. Tego samego wieczoru amputowali jej nogę —

zakazanie otwartej rany zawartością rur kanalizacyjnych groziło śmiercią. Ów nie odosobniony zresztą przykład cywilnego bohaterstwa górował będzie nad każdym wypadkiem słabości i upadku ludzkiego w tych dniach próby charakterów.

26 września Niemcy opanowali Mokotów. Wieść ta, sama w sobie ponura, była dla mnie szczególnie tragiczną. Gdzieś na Mokotowie powinien się znajdować mój syn. Czy żyje? Czy zdołał wmieszać się na czas pomiędzy ludność cywilną i uratować się dzięki swemu młodocianemu wiekowi? Kanałami wycofywali się powstańcy, opisując straszliwe sceny ze swoich wędrówek — nie śmiałem marzyć, abym go pomiędzy nimi znalazł.

W dwa dni później w kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej, która służyła mi za ostatnią kwaterę powstańczą, usłyszałem wołania: „Gdzie jest Pan Mecenas Stypułkowski, syn go szuka”. Stał przedemną w mundurze, w oznakach starszego szeregowca, z pistoletem maszynowym na ramieniu. Wszedł do wjazdu wraz z kompanią stu czterdziestu swoich kolegów na rogu ulicy Szustra i Puławskiej. Posuwali się najpierw kanałami o średnicy osiemdziesięciu i stu dwudziestu centymetrów pod ulicą Dworską i w dół do Czerniakowskiej. Gdy dostali się do burzowca, musieli przejść duży odcinek drogi pod otwartymi wjazdami, przy których czuwali Niemcy. W trzech miejscach wrzucił nieprzyjaciel cement z piaskiem, tężejący w wodzie i formujący przeszkody nie do przebycia. Saperzy polscy wywiercili otwory w tych barykadach, trzeba było się przez nie prześlizgnąć. Woda i zawiesiny gnilne wzbierały u przeszkód, dochodząc niekiedy powstańcom pod pachę. Na przestrzeni pomiędzy dwiema takimi barykadami Niemcy wpuścili gaz. Był to prawdopodobnie karbid, który wiążąc się z wodą, powodował brak powietrza do oddychania i zatrucie. Tonący w kale chwyтали za nogi maszerujących, co chwila nadeptywano na czyjeś zwłoki. Wywołało to panikę wśród żołnierzy, którzy poczęli się cofać po to tylko, by zdeżyć się z następną maszerującą kompanią. Część oddziału zdecydowała się zawrócić na Mokotów, inni postanowili przebić się raz jeszcze. Byli i tacy, co popełnili samobójstwo. Na szczęście natrafiono na drut telefoniczny, który wskazał boczną drogę kanałem pod ulicą Myśliwiecką. Raz jeszcze obrzuceni zostali granatami. Wreszcie spotkali przewodników ze śródmieścia i przy ich pomocy osiągnęli wyjście pod barykadą na rogu ulicy Wilczej i alei Ujazdowskich. Ze stanu kompanii doszło do celu czterdziestu chłopców. Ostatnich kilkudziesięciu metrów syn mój nie

mógł już przebyć o własnych siłach. Wędrówka kanałami trwała czternaście godzin.

Kolejne schronienie znalazłem u człowieka, którego lewicowe poglądy różniły się bardzo w przeszłości od moich. Gdy nas los zetknął u warsztatu pracy publicznej na parę miesięcy zaledwie przed powstaniem, okazało się, iż różnice te nie są istotne w zestawieniu z powagą obowiązków, jednakowo przez nas pojmowanych. Na tej płaszczyźnie znaleźliśmy wspólny język i zostaliśmy przyjaciółmi. W chwilach przełomowych ludzi dzielą nie poglądy lecz charaktery.

Wielopiętrowy dom przy ulicy Hożej, w którym zamieszkałem, stanowił ogniwo zachodniego odcinka frontu: zachował się dłuższy czas dzięki temu, że samoloty nieprzyjacielskie unikały bombardowania w pobliżu własnych stanowisk. Rozlokowany w nim był oddział A. K. pod dowództwem kapitana X. Przyjemność sprawiało obserwowanie gospodarki tego oficera. Po wodę trzeba było chodzić bardzo daleko kanałami i po piętrowych zwałach gruzu — olbrzymi to wysiłek i połączony z nieustannymi stratami w ludziach. Wobec tego umyślił pozbierać różne rury ze zburzonych sąsiednich domów, połączył je jakoś w prowizorycznym warsztacie i linią powietrzną przeprowadził przewód aż do zbiorników. Z poniszczonych samochodów wydobyl motory, od nieprzyjaciela zagarnął benzynę i w ten sposób zarówno jego żołnierze jak i ludność cywilna czerpała wodę mechanicznie na miejscu. Podobnie zapewnił domowi światło elektryczne, którego już od dawna nikt nie oglądał — mogliśmy słuchać radia, jednej z najcenniejszych pożywek dla naszych nerwów. Meł w żarnach ziarna jęczmienne, dzięki czemu ludzie będący pod jego opieką nie byli głodni. Gasił z niesłabnącą energią wszystkie pożary dokoła; mieszkańcy mieli nie tylko dach nad głową, ale i ocalone, przynajmniej do czasu, dobra materialne.

Do wysiłku związanego z tymi poczynaniami pociągał bezwzględnie całą ludność cywilną; oszczędzał żołnierzy, używając ich przede wszystkim do walki na froncie. I oto znalazło się paru głuptasów, którzy w imię „demokracji“ wystąpili ze skargą do sądu wojennego przeciw kapitanowi X. o nadużycie przezeń władzy i terroryzowanie ludności cywilnej z pogwałceniem obowiązującego prawa i nieledwie przepisów konstytucji. Kapitan X. miał z tym wiele kłopotów, postarałem się, by mógł z nich wybrnąć.

Kapitan X. był człowiekiem fantazji nielada. Którejś nocy przeprowadził mi go mój gospodarz w towarzystwie dwóch innych

oficerów. Wysłuchałem następującego wywodu: „Powstanie chyli się ku upadkowi. Jeszcze parę dni, może parę tygodni, a zginiemy wszyscy bez żadnego pożytku dla sprawy. Wina leży w kierownictwie powstania, które biernie poddaje się sytuacji i nie ma żadnej istotnej koncepcji. Czas ostatni zastąpić je ludźmi młodszymi, z należytą energią. Jestem w porozumieniu z szeregiem dowódców odcinków. Proponuję zaarrestowanie dowódcy sił zbrojnych i wicepremiera. Przyszedłem po pańską radę i decyzję“.

Spędziłem czas do późnego ranka, aby go przekonać, iż i on ma tylko koncepcję negatywną, która jeszcze powiększy tragedię naszą, wywoła chaos, a niczego nie załatwi. Mówiłem z nim nie jak z buntownikiem, nie powoływałem się na przysięgę żołnierską, natomiast starałem się wyjść z tych samych założeń, które go ożywiały — troski o wspólne dobro. Żołnierz-obywatel, zapalona głowa, ale polskie serce, zrozumiał mnie i swoje pomysły, o których wiem, że potrafiłby je podjąć, porzucił.

Do obniżenia nastrojów przyczyniły się rozrzucone z samolotów niemieckich w drugim miesiącu powstania ulotki, wzywające ludność cywilną do opuszczenia miasta. Dowódca niemiecki, gen. von den Bach, zapowiadał w nich wzmożenie ataków na stolicę i zapewniał bezpieczeństwo tym, którzy niezwłocznie przekroczą linię frontu w określonych punktach z białymi chustkami w ręku. To zobowiązanie podtrzymał wobec przedstawicieli Czerwonego Krzyża, którzy się do niego zgłosili. Kierownictwo powstania zostawiło swobodę decyzji ludziom chorym, starym, kobietom i dzieciom — nie doradzało, ale i nie przeszkadzało wyjściu ich poza obręb walk. Przez parę dni na określonych odcinkach i w określonych godzinach milkły strzały z obu stron i wtedy prócz kalek i starców pewna liczba osób słabszych duchem opuściła płonąca, zrujnowaną i głodną Warszawę, po to tylko, by w olbrzymiej większości dostać się w nieludzkie warunki rozsianych po Niemczech obozów koncentracyjnych.

Choć niewielu się na to zdecydowało, wywołali ferment psychiczny. A więc jest droga do ocalenia życia: poddać się. A więc są dwa różne kryteria postępowania: jedno, które dyktuje sprawa publiczna i drugie, podpowiadane przez instynkt samozachowawczy. Nie ma w takich warunkach obiektywnej oceny, kto jest słaby, stary, kto nie może już być przydatny do dalszej walki, a kto dezertuje z posterunku. Jedni przechodzili linię barykad ze spuszczoneymi głowami, szlochając lub chyłkiem. Inni

złorzeczyli tym, co postanowili dalej bronić stolicy, jakby chcąc przygłuszyć w sobie samych wyrzut sumienia. Jedni odmawiali pożegnania tym, którzy w ich pojęciu opuszczając, zdradzali Warszawę, inni patrzyli ze współzuciem i bezbrzeżnym smutkiem na kolumnę ludzi posuwającą się ku niemieckiej barykadzie z białymi chustkami.

Zaszczepienie takich nastrojów mogło rozsadzić silną nawet twierdzę duchową. Warszawa otrząsnęła się szybko ze swej chwilowej słabości i już do końca nie opuściła jej wola walki. Na czym budowano szanse przetrwania?

Od czwartego sierpnia front niemiecko-sowiecki zamarł. Ostatnie samoloty bolszewickie ukazały się na parę godzin przed wybuchem powstania. Na próżno wsluchiowano się z nadzieją, że może rano, może wreszcie wieczorem zagra ciężka artyleria — znak nowej ofensywy. Wyczulony instynkt społeczeństwa zagrożonego zagładą szybko ocenił ten stan rzeczy: stoimy wobec zdrady. Jeśli nawet z jakichś niezrozumiałych względów niemożliwe jest podsuniecie wojsk bolszewickich o parę kilometrów naprzód, jeśli nie może być mowy o skoordynowaniu uderzenia Rosjan z powstańcami dla uzyskania wzajemnej łączności, to jaka jest przyczyna, dla której kilka, czy nawet kilkanaście samolotów niemieckich bezkarnie dokonuje niszczenia Warszawy, skoro wokół szereg lotnisk znajduje się w rękach armii sowieckiej, rozporządzającej olbrzymią przewagą w powietrzu?

Powoli docierały do oblężonego miasta fakty, które musiały ugruntować przekonanie, że Stalin zdecydował się wydać nas na łup Niemcom. Chociaż 30 lipca był zawiadomiony przez Mikołajczyka o zamierzonym wybuchu powstania, chociaż począwszy od drugiego sierpnia B. B. C. ogłaszało na świat codziennie komunikaty o przebiegu walk, chociaż niemieccy komentatorzy wojenni omawiali jawnie sytuację na froncie, przygotowując opinię publiczną do dalszych sukcesów sowieckich wskutek opanowania Warszawy przez powstańców, Wanda Wasilewska w Moskwie 6 sierpnia, a komunistyczny „Daily Worker“ w Londynie 7 sierpnia dowodzili cynicznie, iż cała bitwa w Warszawie jest wymysłem Rządu Polskiego, mającym na celu dyskredytowanie dobrej woli Związku Sowieckiego. W tydzień później, skoro nie można było sprawy załatwić drogą milczenia, agencja Tass ogłosiła komunikat, iż nikt nie próbował skoordynować akcji w Warszawie z dowództwem sowieckim i wysunęła żądanie postawienia przed

trybunałem sprzymierzonych przywódców polskich, odpowiedzialnych za sprowokowanie powstania.

Te oszukańcze manewry sowieckie wywołały pogardę tak głęboką i żywiołową, jak to jest tylko możliwe u ludu prostego, dotkniętego w swych najgłębszych wartościach moralnych. Wszyscy, co do jednego, pamiętali powtarzane wielokrotne wezwania moskiewskiej radiostacji „Kościuszkó“ z dni poprzedzających rozpoczęcie boju: „... Dla Warszawy... godzina czynu już wybiła... nasze domy i parki, nasze mosty, stacje kolejowe, fabryki, gmachy, magazyny — będą zamienione w ośrodki oporu... Niemcy będą usiłovali bronić się w Warszawie, będą starali się wszystko zniszczyć. W Białymstoku burzyli wszystko przez sześć dni, wymordowali tysiące naszych braci. Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by nie zdołali powtórzyć tego samego w Warszawie. Ludu Warszawy do broni!...“.

Kogo to wzywano do broni? Stalin w rozmowie przeprowadzonej 3 sierpnia z Mikołajczykiem zajmuje takie stanowisko: „Cóż to jest ta wasza Armia Krajowa? Co to za armia bez artylerii, bez czołgów, bez lotnictwa. Nawet broni ręcznej nie ma ona dosyć. W świetle nowoczesnej wojny to jest nic. To są drobne oddziały partyzanckie, a nie regularna siła zbrojna. Słyszę, że Rząd Polski polecił tym oddziałom wypędzić Niemców z Warszawy, nie rozumiem jak to robią, bo przecież nie mają sił“. W tej rozmowie Mikołajczyk nie doczekał się żadnej obietnicy pomocy ani nawet nawiązania łączności z powstańcami — natomiast dnia następnego Armia Sowiecka przerwała natarcie na Warszawę.

5 sierpnia zgłosił się do komendanta garnizonu warszawskiego, gen. Montera, oficer głębokiego wywiadu sowieckiego, kapitan Konstanty Kaługin, z prośbą o umożliwienie mu nawiązania przerwanej przez wypadki łączności ze swoim dowództwem. Odtąd kpt. Kaługin miał możliwość — i bezpośrednio i via Londyn — systematycznego informowania Armii Sowieckiej o sytuacji w Warszawie i o potrzebach walczących. Użyto natychmiast jego pośrednictwa, aby, niezależnie od rezultatów interwencji osobistych Mikołajczyka w Moskwie, nawiązać łączność wprost z dowódcą sił sowieckich, marsz. Rokossowskim. Raporty Kaługina były wierne, żądania pomocy powstańcom z jego strony natarczywe. Nie nadeszła nigdy odpowiedź. Ciekaw jestem, jaki go spotkał los, gdy pod koniec powstania przeprawił się przy pomocy polskiej przez Wisłę i zameldował u swoich przełożonych.

9 sierpnia w nocy marsz. Stalin wyraził na koniec wobec Mi-

kołajczyka zgodę na nawiązanie kontaktu z powstańcami pod warunkiem, że strona polska dostarczy natychmiast odpowiednich wskazówek co do miejsca i sposobu odbioru sowieckich oficerów. W ciągu kilku godzin miał już odpowiednie dane, lecz zostały one pominięte milczeniem.

O tym wszystkim wiedziano dobrze w Warszawie, bo w niej nikt powagi sytuacji nie ukrywał, cenzury prasy nie przeprowadzał, radio dostępne było dla każdego, każdy miał prawo swobodnego wypowiedzenia sądów. Nie potrzebuję dodawać, jaka w tych warunkach była opinia o „sprzymierzeńcach naszych sprzymierzeńców“.

17 sierpnia premier Churchill zwrócił się osobiście do Stalina prosząc o udzielenie pomocy polskiej stolicy, to samo uczynił prezydent Roosevelt. Gdy i to nie odniosło skutku, sprzymierzeni wyrazili gotowość przeprowadzenia wielkiej operacji, zwanej shuttling bombing. Samoloty startowałyby z baz zachodnich, dokonywały bombardowania dziennego stanowisk nieprzyjaciela i zrzutów powstańcom, a następnie lądowały na przystosowanym do tego lotnisku sowieckim w Łucku. Systematyczne rozwinięcie tych operacji mogło mieć decydujący wpływ na losy Warszawy, a już z pewnością stanowiłoby olbrzymie podtrzymanie dla armii Rokossowskiego, stojącej nad Wisłą. Marszałek Stalin odmówił; podobno jako ceny żądał głów przywódców Armii Krajowej.

Generał Bór ogłosił mobilizację oddziałów Armii Krajowej, rozrzuconych po kraju i wezwał je na pomoc stolicy. Podobny rozkaz dzienny do „żołnierzy ruchu podziemnego“ opublikował Żymierski. Bolszewicy zarządzili natychmiast poufnie, aby na okupowanym przez nich terenie nie dopuścić powstańców do przenikania w kierunku Warszawy, przy pomocy kontroli dróg i środków przewozowych, konfiskaty broni i aresztowań.

10 września odezwała się artyleria sowiecka, nad miastem pojawiły się myśliwce bolszewickie. Po trzech dniach walk marsz. Rokossowski zajął Pragę. Na śródmieście zrzucono puszki metalowe, w których wnętrzu znalazła się obietnica tak dawno oczekiwanej pomocy. Istotnie Warszawa zaczęła odtąd otrzymywać drogą powietrzną pewną ilość rosyjskiej broni maszynowej, amunicji i trochę żywności. Szczególne zainteresowanie budził u mieszkańców miasta samolot, ukazujący się zazwyczaj późnym wieczorem nisko nad domami, a terkoczący, jak nakręcona zabawka dziecinna. Nazywaliśmy go trajkotką lub taksówką — zrzucał

suchary wojskowe, czasem kawał mięsa. Kiedyś pól krowy spadającej z powietrza zabiło jakiegoś biedaka, który po nią rękę wyciągał.

Taka pomoc nie mogła rozwiązać problemu powstania, ale nadzieje odżyły. Spotęgowały się one zwłaszcza, gdy pułkownik Radosław, dzierżący rozpaczliwie odcinek Czerniakowa, przyległy do Wisły, nawiązał łączność z polską dywizją Berlinga, która w ramach armii sowieckiej stanęła w nocy z 12 na 13 września po drugiej stronie rzeki na Gocławku i Saskiej Kępie. Berling, na wezwanie powstańców, przeprowadził przez rzekę bez większych trudności batalion złożony z pięciuset żołnierzy. Był to jeszcze jeden dowód, że współdziałanie z armią sowiecką jest sprawą realną i leży w granicach najbliższych jej możliwości.

Dziwne rodziły się uczucia na widok tych polskich żołnierzy, polskie noszących oznaki a zaciągniętych do służby dla zaprowadzenia we własnej ojczyźnie sowieckiego porządku. Byli między nimi i tacy, którzy zagnani przez zawieruchę wojenną gdzieś na Syberię nie zdołali na czas wydostać się z karnych obozów pracy i dołączyć się do tworzącej się w 1941 roku armii gen. Andersa. Została im wobec tego jedyna droga powrotu do Polski, jedyna nadzieja uratowania życia własnego i rodzin ginących w Rosji — wstąpić do tego wojska, które, pod mianem polskiego, organizowały Sowiety. Większość jednak stanowili młodzi chłopcy z Ziemi Lubelskiej, zaciągnięci siłą w ostatnich miesiącach i wysłani na front bez należytego wyszkolenia. Nawet w tym sowiecko-polskim oddziale komunistów była ilość znikoma, tylko oficerami byli z reguły Rosjanie.

Przez osiem dni zbratani w boju trzymali powstańcy i berlingowcy ostatni odcinek Wisły na brzegu warszawskim, licząc każdej godziny na obiecaną dalszą pomoc. Nie nadeszła ona, nie przysłano nawet dla batalionu Berlinga zaopatrzenia i żywności. 22 września utraciliśmy Czerniaków i niewielu tylko obrońców przebiło się do śródmieścia lub przepłynęło wpraw Wisłę do pozycji rosyjskich. Rola Berlinga jest w tym wszystkim pokryta tajemnicą: wiadomo tylko, że zaraz po wysłaniu swego oddziału do Warszawy został wezwany do kwatery marsz. Rokossowskiego i od tej chwili jego nazwisko znikło z łamów prasy, z komunikatów wojennych, z listy czołowych przywódców przyszłej „Polski ludowej“. Czyżby płacił za chęć podania ręki ginącej Warszawie?

W międzyczasie zaszły nowe wydarzenia, które, w związku z zajęciem przez Rosjan Pragi, mogły wywołać wrażenie, że pomoc

powstańcom nadchodzi. 18 września duża eskadra ciężkich bombowców amerykańskich przepłynęła na wysokim pułapie nad gruzami miasta, zrzucając na różnobarwnych spadochronach zasobniki ze sprzętem bojowym i amunicją. Powychodzili z piwnic nawet ci najbardziej zdruzgotani psychicznie, wyciągnęli dłonie ku niebu i z oznakami wzruszenia na twarzach zastygli w bezruchu. Napięcia dramatycznego tego obrazu nie odda żadne pióro. Niestety, ten dar z nieba był już w znacznej mierze spóźniony, zasobniki często spadały na stanowiska, które dopiero przed paru dniami zdobyli Niemcy.

16 września bolszewicy zrzucili dwu skoczków. Jeden zmarł wskutek odniesionych ran, drugi zameldował się u gen. Montera oświadczając, iż otrzymał od marsz. Rokossowskiego rozkaz przekazywania informacji z Warszawy. Za jego pośrednictwem gen. Monter wysłał projekt wspólnego uderzenia na Niemców ze strony scwieckiej i polskiej, przy czym ofiarował pomoc przy forsowaniu Wisły nie tylko powstańców w mieście, ale i wszystkich oddziałów Armii Krajowej zmobilizowanych na tyłach nieprzyjaciela. I na to nie było odpowiedzi; taktyka sowiecka polegała obecnie na możliwym przedłużaniu konania, bez intencji ratowania konających.

Gen. Bór skierował w tych warunkach ostatnią depezę do Rokossowskiego, żądając wypowiedzenia się, kiedy Rosjanie zamierzają uderzyć na Warszawę. Oświadczył w niej, iż nie będzie się mógł bronić dłużej niż przez siedemdziesiąt dwie godziny, o ile nie otrzyma z zewnątrz istotnej pomocy. Odbiór depezy został potwierdzony, ale odpowiedź nie nadeszła. Za to gdy parlamentariusze polscy rozpoczęli rozmowy z nieprzyjacielem na temat warunków kapitulacji, komuniści ogłosili w Warszawie odezwę, nazywając gen. Bora marnym tchórzem i zdrajcą, który wydał Niemcom bohaterską stolicę Narodu Polskiego w przededniu oswobodzenia jej przez naszego „wielkiego sprzymierzeńca sowieckiego“.

Komuniści nie odgrywali jednak żadnej roli w życiu powstańczej Warszawy, nawet wpływ ich w charakterze „piątej kolumny“ był minimalny. W ramach tak zwanej A. L. (Armii Ludowej) zgrupowało się w pierwszych dniach walki około trzech plutonów na Starym Mieście. Ci bronili dzielnie swej barykady, odznaczali się duchem żołnierskiego koleżeństwa w stosunkach z innymi oddziałami polskimi, z którymi sąsiedowali. Skłonni nawet byli do wynurzeń, w których wybuch powstania uważali za konieczność,

solidarność społeczeństwa w walce z Niemcami za rzecz naturalną, a w ogóle kładli większy nacisk na zaufanie do Stalina, że dopomoże w odbudowaniu silnej i niepodległej ojczyzny, niżli byli uczeni w doktrynie leninizmu-stalinizmu i jej dobroczynnego wpływu na dalsze losy świata. W miarę upływu czasu nie ukrywali swego wzburzenia i rozczarowania taktyką sowiecką. Jeszcze niektórzy próbowali szukać usprawiedliwienia, ale widać było, że sami nie wierzą w to, co mówią. Bomba z samolotu niemieckiego przykryła ich wkrótce ziemią. W kilka miesięcy później bolszewicy wyprawili tej garstce swoich „towarzyszy“ wspaniały pogrzeb; ciała złożono w sercu Warszawy u stóp figury Matki Boskiej, otoczonej szczególną czcią mieszkańców. W przemówieniach okolicznościowych nazwano ich bohaterami, którzy przewodzili duchowi walki o wolność. Polegli musieli milczeć — dopiero na Sądzie Ostatecznym staną po stronie Narodu Polskiego do obrachunku ze zdrajcami i łotrami.

Poza garstką żołnierzy walczących na barykadzie, komuniści afiszowali się początkowo hałaśliwie i buńczucznie w postaci kilku małych oddziałów rozlokowanych w śródmieściu. Tych nie można było pociągnąć do jakiegokolwiek służby, natomiast zgłaszali pretensje do najlepszych i najbezpieczniejszych kwater, do uprzywilejowanego przydziału żywności i oczywiście do wszystkich rzutów sowieckich, które uważali za swoje. Szczególny tupet wykazywała ich organizacja półkomunistyczna P. A. L. (Polska Armia Ludowa), przeznaczona do wchłaniania elementów koniunkturalnych albo i wręcz kryminalnych, które licząc się z nadzieją lada chwila wojsk bolszewickich, wyciągały z tego praktyczne dla siebie wnioski. Ci zajmowali się głównie rozdawaniem awansów, obietnic na przyszłość i czerpaniem korzyści materialnych z doraźnej sytuacji, wymuszanych na ludności. Dopiero gdy Warszawa stała w obliczu konieczności kapitulacji wobec Niemców, oddziały te się rozplynęły, a ich uczestnicy wyciągali dłońe po legitymacje Armii Krajowej. Nie odmówiono im. Kierownictwo powstania w czasie pertraktacji z Niemcami stało twarde na stanowisku, iż jednakowe prawa muszą być zapewnione dla wszystkich bez wyjątku żołnierzy i mieszkańców miasta. Były z tego powodu wielkie trudności, gdyż Niemcy upierali się przy żądaniu postawienia komunistów poza obrębem wszelkich układów.

Choć rozum dyktował, że w opisanych warunkach liczenie na ofensywę sowiecką jest tylko łudzeniem się, instynkt życia cze-

piał się tej myśli dość długo. Później przyszły wydarzenia pod Arnheim. W wielu bramach zrujnowanych i stojących jeszcze domów obok codziennych komunikatów rozwieszono były mapy. Przy nich skupiały się grupki ludzi i wódzając palcem po linii frontu zachodniego gorączkowo dyskutowały: a! może stamtąd przyjdzie wybawienie. Jeśli nasi chłopcy z brygady spadochronowej spiszą się i dopomogą aliantom zdobyć te kluczowe mosty, może pęknie front i wojna się skończy zanim nas tu wymordują. Trzeba przetrwać.

Przetrwanie w dwumiesięcznej z górą walce dało jeden poważny rezultat — było nim oświadczenie Niemców o przyznaniu powstańcom warszawskim praw kombatantów. Od tej chwili można było założyć przynajmniej, że za cenę śmierci setek tysięcy pozostałym uratowane zostanie życie. Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych usiłowały zaraz po nadejściu wiadomości o rozpoczęciu działań w stolicy polskiej przeszkodzić bestialskim mordom przez złożenie wspólnej z Rosją Sowiecką deklaracji o uznaniu żołnierzy Armii Krajowej za regularne wojsko. Sowiety odmówiły, dopiero wróg hitlerowski, wprowadzony w podziw przez siłę moralną „armii bez artylerii, bez czołgów, bez lotnictwa“, ugiął się przed nią. Wtedy — po wyczerpaniu wszystkich zapasów broni, amunicji, żywności, po stwierdzeniu, że na pomoc liczyć nie można — honor żołnierski pozwolił przyjąć kilkakrotnie przedtem ofiarowywane propozycje kapitulacji.

W czasie, gdy Warszawa przeżywała swą martyrologię, na Zachodzie gwałtownie likwidowano sprawę polską. Mikołajczyk wrócił z Moskwy bez upragnionego przez Anglosasów porozumienia ze Stalinem. Porozumienie to, osiągnięte za wszelką cenę, było w oczach aliantów niezbędnym współczynnikiem wygrania wojny i zapewnienia przyszłego pokoju. W tej sytuacji brutalnie sprowadzono Polskę ze stanowiska sprzymierzeńca w walce o wolność świata do roli ofiary, która ma nasycić łupieżcze instynkty niepewnego partnera sowieckiego. Żądano jeszcze, aby Polska na tę rolę dobrowolnie się godziła, a wszelkie jej próby oporu nazywano „liberum veto“, stojącym na przeszkodzie dobru ludzkości. Wykładnikiem położenia był nacisk wywierany na Rząd Polski w Londynie, aby złożył on oświadczenie o gotowości oddania Rosji Sowieckiej ziem za Bugiem i Sanem, czyli czterdziestu siedmiu procent polskiego terytorium państwowego, a nadto, aby wprowadził do swego składu faktycznych agentów sowieckich z chwilą, gdy obejmie władzę w kraju.

Nie popełnię błędu, jeśli powiem, że nie było już w owym czasie ani jednego prawdziwego Polaka, który by się łudził, co oznaczał dla Polski a także dla sprawy przyszłego pokoju światowego taki stan rzeczy. Polska z namowy przyjaciół miałaby się oddać własną decyzją w ponowną niewolę, a świat nieuniknienie wkroczyłby na drogę nowego kataklizmu. Kapitał zaufania do aliantów był jednak wciąż jeszcze nie wyczerpany: myślano, że może chodzi tu tylko o manewr taktyczny, mający na celu opóźnienie rozgrywki z Rosją Sowiecką do czasu zakończenia śmiertelnej rozprawy z Niemcami. Może sprzymierzeńcom naszym zależy na uchyleniu się przed szantażem odrębnego pokoju sowieckiego z Hitlerem? Roosevelt i Churchill nie zdradzą Polski, ich wypowiedzi wskazują na to, że chcą jej bronić w okresie przejściowym przed wycięciem ludności. Czy nie trzeba jednak iść im w tym na rękę?

Tylko na tych przesłankach mógł zrodzić się plan Mikołajczyka, uchwalony przez większość jego Rady Ministrów w sierpniu 1944 r. Przewidywał on, że uregulowanie granic Polski „nastąpi na podstawie zasad uzgodnionych z Rządem Sowieckim, w duchu przyjaźni i poszanowania zasadniczych interesów Narodu Polskiego“. Polska nie może wyjść z tej wojny terytorialnie pomniejszona i przy niej pozostać muszą na wschodzie główne centra życia kulturalnego i źródła surowców. Po uwolnieniu stolicy państwa nastąpi rekonstrukcja Rządu Polskiego w tym sensie, iż w skład jego wchodzić będą w równej sile liczebnej: Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, P. P. S., Stronnictwo Pracy i komuniści. Dalej plan zawierał szereg oświadczeń i zobowiązań w zakresie przyszłych reform społecznych i organizacji państwa, które nie tyle miały wagę przez swą treść, ile przez ich interpretację dawały Sowietom pole do ingerencji w przyszłe stosunki w Polsce.

Projekt Mikołajczyka został przesłany szyfrem do Warszawy celem wypowiedzenia opinii przez przywódców kraju. Był to najsilniejszy cios, jakiego doznaliśmy w okresie powstania. Na naszych oczach zamieniała się w gruzy i zgłiszcza ukochana stolica. Niezliczone już były straty w żołnierzach i ludności cywilnej. Milion Polaków, wydawało się, skazanych jest nieodwołalnie na śmierć, jeśli ulegną na sekundę załamaniu, jeśli walka nie będzie doprowadzona do jakiegoś logicznego końca. W czasie tych śmiertelnych zmagania z Niemcami kazano nam rozstrzygać

o polityce, która prowadziła wprost do oddania się w ręce Sowietów.

Cóż bowiem oznaczał w języku praktycznym przedstawiony nam plan? Odstąpienie od zasady nienaruszalności naszych granic na wschodzie, opartych na traktacie pokojowym, zawartym dobrowolnie przez Rosję w Rydze w 1921 r., zwolnienie w ten sposób naszych aliantów od rękojmi udzielonych Polsce co do jej integralności i otwarcie drogi Stalinowi do dalszych żądań sięgających aż po linię Bugu. Plan oznaczał dalej oddanie reszty Polski pod władzę agentów sowieckich, wspartych nie tylko o siłę armii bolszewickiej, ale i o umowne prawo do wywierania wpływu na skład przyszłego Rządu Polskiego i układ stosunków wewnętrznych.

Ci, którzy mieli teraz rzucić na szalę swoją opinię, musieli rozważyć jedną jeszcze nieujętą sformułowaniem na piśmie, ale wyraźną dostatecznie konsekwencję powziętej decyzji: ostateczny wyrok śmierci na mieszkańców Warszawy, jeśli się jej przywódcy nie ugną przed Rosją.

Po czterech tygodniach powstania było jasne, że Sowiety postanowiły uczynić z tragedii warszawskiej oręż szantażu: nie zgodzicie się na nasze warunki, to my nie ruszymy z ofensywą naprzód tak długo, aż Niemcy waszą dumną stolicę wymordują.

Utrudzeni, fizycznie wynędzniali, głodni, nie myci, ze śladami przebytych wydarzeń na ciele i odzieży, pogarbieni od ciężaru odpowiedzialności, pod ostrzałem wroga zbierali się przywódcy polscy na narady. Nie słyszeli już szumu nadlatujących samolotów nieprzyjaciela, nie kryli się przed bombami, nawet czołg wstrzeliwujący się w mury sąsiedniego domu nie przerwał toczących się dyskusji.

W wyniku — dowódca Armii Krajowej depešował 29 sierpnia do Naczelnego Wodza i premiera: „Zapoznałem się z przesłanym tu do Delegata Rządu planem Pana Premiera rozwiązywania w porozumieniu z Sowietami sprawy naszej po zajęciu przez Sowiety Warszawy.

„Plan ten jest całkowicie kapitulacyjny . . .

„W tej tak ważnej dla przyszłości Polski chwili . . . wobec mającej zapasć decyzji o historycznej wadze, uważam za swój obowiązek oświadczyć w imieniu Armii Krajowej, którą dowodzę, że Polska nie na to walczyła przez pięć lat z Niemcami w najcięższych warunkach, nie na to ponosiła potworne ofiary, aby skapitulować wobec Rosji.

„Warszawa od miesiąca podjęła walkę, którą prowadzi przy znikomej pomocy z zewnątrz i nie na to wali się w gruzy, żeby Rząd ugiął się pod naciskiem okoliczności i narzucił Narodowi postawę uległą wobec przemocy zewnętrznej, postawę, którą historia potępi.

„... Potrafimy dokumentować swą twardą i zdecydowaną wolę wobec wolności, którą miłujemy nad życie.

„Jeśli zajdzie potrzeba, powtórzymy tę dokumentację“.

Delegat Rządu na Kraj, wicepremier Jankowski odrzucił również projekt premiera Mikołajczyka. Krajowa Rada Ministrów pod jego przewodnictwem sformułowała w związku z tym szereg ostrych uwag wskazujących na brak obiektywnych danych, aby przedstawiony plan ratował rzeczywiście niepodległość Narodu Polskiego. Postawa ministrów najlepiej została oddana w końcowych słowach: „... Chcemy stwierdzić, że można znieść nawet bolesne upokorzenia dla dobra Ojczyzny, gdy jest pewność, że są nieuniknione, ale przyniosą krajowi korzyść trwałą i zapewnią możliwość całości i niepodległości. Tej pewności nie mamy“.

Stronnictwa polityczne, zgrupowane w Radzie Jedności Narodowej, zastępującej parlament, położyły główny nacisk na zachowanie solidarności pomiędzy wszystkimi czynnikami odpowiedzialnymi w tym krytycznym momencie za los sprawy polskiej. Zdawały sobie bowiem sprawę, iż taktyka sowiecka zmierza przede wszystkim do wywołania rozdzielenia w obozie polskim na tle stosunku do państwa radzieckiego. Kto ulegnie zaborczym żądaniom Rosji — zostanie ogłoszony szczerym demokratą, kto stawi opór — będzie natychmiast postawiony pod pręgierz opinii świata jako faszysta i pozbawiony głosu w sprawach własnej Ojczyzny. „Osiągnęliśmy jednomyślność — głosi uchwała Rady Jedności Narodowej — nie chcąc utrudniać Rządowi jego polityki, chociaż nie wszystkie jej motywy są dla nas dostatecznie wyjaśnione. Podjęliśmy decyzję w warunkach zupełnego braku informacji o podstawowych elementach polityki międzynarodowej, mimo stałych domagań się ze strony Rady i Delegata wyczerpującego i bieżącego informowania nas. Będąc w przymusowym położeniu, postawieni wobec faktu zadecydowania, decydujemy się na ten krok“.

Po tych, jak podkreśliła uchwała, zasadniczych „zastrzeżeniach“, Rada wypowiedziała się za planem Mikołajczyka ze zmianami, mającymi na celu możliwie zmniejszyć ingerencję Rosji w pierwszej fazie odbudowywania Państwa Polskiego.

Jeśli objawi się kiedykolwiek drugi Dante, to w jego „Piekło” rozegra się śmiertelna walka o władzę diabła Hitlera z szatanem Stalinem. Ale niewątpliwie jeden z najbardziej przejmujących obrazów męki ludzkiej, zadawanych przez tych arcy-Lucyferów, zawarty będzie w scenie narad, jakie przywódcy stronnictw polskich wiedli w piekle na ziemi nad decyzją: poddać naród Stalinowi, aby go uchronić od męki z rąk Hitlera, czy zginąć z rąk Hitlera, a nie oddać się w niewolę Stalinowi. Jak w tym wszystkim uratować duszę zbiorową, jak wyjść z honorem, jak uratować jedność psychiczną, fizyczne istnienie?

Po całodziennych naradach wysmażono tę uchwałę, z której nikt nie był zadowolony, bo czyż mogła ona oddać zranione uczucia Warszawy i kraju? Narzucona została jedynie przez przymus położenia, przez wolę podtrzymania w Londynie tych, którzy powinni byli wiedzieć więcej i lepiej. Już po wysłaniu depesz odszyfrowano nowe, tym razem nadeszłe od Prezydenta Rzeczypospolitej, od władz Stronnictwa Narodowego i Komitetu Zagranicznego P. P. S. w Londynie. Potwierdziły one najbardziej pesymistyczne przewidywania co do skutków inicjatywy premiera Mikołajczyka. Rada Jedności natychmiast zebrała się ponownie i znowu jednomyślnie wysunęła warunki, które w praktyce przekreślały to, co Mikołajczyk uważał za możliwe przedstawić Sowietom. Druga uchwała Rady Jedności Narodowej żądała bowiem między innymi gwarancji wszystkich aliantów zachodnich dla ewentualnego porozumienia polsko-sowieckiego i udziału tych aliantów w pierwszej fazie odbudowywania państwa. Pierwsza uchwała została zakomunikowana państwu zachodnim i Rosji, druga podobno nigdy do nich nie doszła. Ale i tak Rosja na propozycje Mikołajczyka się nie zgodziła. Owoc dla niej dojrzewał — miała go osiągnąć w parę miesięcy później, odcinając w Jalcie od pnia Narodów Wolnych przyrzeczoną już im przedtem w Teheranie gałąź polską.

Płynęły dzień za dniem, noc za nocą. Niby jednakowe, a przecież każda chwila dostarczała tylu wrażeń, że gdzieś na innej planecie, a może tylko w innym miejscu Europy starczyłyby ludziom na okres całego życia. Dom przy ulicy Hożej zbombardowała eskadra niemiecka — i tym razem jednak wyszedłem cało. Po raz piąty w ciągu niewielu tygodni traciłem mienie najbardziej osobiste: maszynkę do golenia, szczotkę do zębów i parę chustek do nosa. W pokoju, z którego mnie mój przyjaciel ściągnął do piwnicy w ostatniej chwili, zastałem gruzy pięciu górnych pięt.

Zamigotały mi w nich frędzle pledu, którym, leżąc przed chwilą na łóżku, byłem przykryty. Żołnierze, dobrzy koledzy, odkopali mi go na pamiątkę.

Nieco później jakiś pocisk wybuchł na krawędzi rowu, którym przemierzałem ulicę. Zostałem kontuzjonowany i odtąd chodzenie w postawie schylonej w tunelach, piwnicach i wzdłuż barykad wywoływało silne bóle. Nikt się z tym oczywiście nie liczył, trzeba było tylko trochę woli, by swym wyglądem fizycznym nie okazywać słabnięcia duchowego.

Ostatnią dla siebie siedzibę znalazłem w domu przy ulicy Marszałkowskiej, w pokoiku dla służącej zamożnego ongiś mieszkania. Teraz ten pokój, położony pomiędzy grubymi murami, z małym oknem, miał większą wartość od sąsiednich salonów. Tak się zdarzyło, iż do znajomych w tym domu zjechała na krótko przed powstaniem stara moja ciotka, obywatelka ziemska, w ucieczce przed bolszewikami. Przezorna gospodyni zwoziła do miasta zapasy wędliny, mąki i kaszy. Karmiła mnie z resztek talerzem zupy i nie odczuwałem już głodu, który począł być teraz powszechną katastrofą. Nierzadko bywało, iż przychodzili do mnie ludzie, nie mający nic w ustach od dwóch dni.

Niczego nie ma na świecie za darmo. W zamian za posiłek musiałem służyć wiadomościami, krztyną pociechy. Razu pewnego, siedząc w towarzystwie właścicielki mieszkania, osoby mogącej jeszcze rościć pretensje do życia, usłyszeliśmy dobrze znany zgrzyt sprężonych moździerzy. Dom zatańczył jak na piekielnym weselu, drzwi i futryny powylały z zawias, ulicę ogarnął ciemny tuman, przez który przebijały się języki ognia. A my rzućni zostaliśmy na kanapę, wtuleni w ramiona. Mimo całej grozy sytuacji, wybuchliśmy szczerym śmiechem.

Miałem teraz pod bokiem sztab kolegów, którzy wydawali nasze pismo codzienne. Nie wiem już, który raz zmienili drukarnie, kolejno zbombardowane lub zniszczone ogniem — ale dzięki poświęceniu ideowych drukarzy, poczuciu obowiązku przygodnych nieraz dziennikarzy i sprężystości organizacyjnej, „Wielka Polska“ ukazywała się i rozchodziła po barykadach i piwnicach do ostatniego dnia.

W ostatnim szczególnie okresie przywiązywałem wielką wagę do utrzymywania bezpośredniego kontaktu z oddziałami frontowymi. Tam czułem się najlepiej i stamtąd czerpałem najwięcej siły moralnej. Wschodzi oto śliczny ranek, pierwsze promienie jesiennego słońca rzucają światło na ruiny okolicznych zabudo-

wań. Z różnych stron gromadzą się powstańcy, jakoś starannie ubrani, z pyłu poczystyczeni, i ustawiają się w szeregu. Dowódca prowadzi ich do hali gmachu bankowego, dotąd przez działania wojenne nienaruszonego. Gdzie przedtem w zgiełku targu kupieckiego królował pieniądź, teraz w ciszy i skupieniu modlono się o Królestwo Boże. Rękoma żołnierzy zbudowano na poczekaniu ołtarz Pański. Zamiast organów kościelnych w trakcie mszy świętej zagrały organy Stalina. Wśród huk strzałów kapłan udzielił klęczącym generalnego rozgrzeszenia z win, jako że zaprawdę znajdowali się w obliczu śmierci.

U progu banku-kaplicy zatrzymał mnie służący jednego z lokatorów mojego domu rodzinnego na Krakowskim Przedmieściu. „Było u nas początkowo spokojnie — wiódł swą opowieść — nie opuszczaliśmy mieszkań, głodowaliśmy i czekaliśmy na uwolnienie przez powstańców. Po nieudanym ataku na uniwersytet (położony na tyłach domu) Niemcy z zemsty podpalili nas — z pańskiego mieszkania nie zostało śladu. Mieszkańców wypędzili na ulicę i poprowadzili przed czołgi, które atakowały ul. Świętokrzyską. Zapowiedziano nam: kto będzie usiłował uciec na boki, kto się pochyli, ten natychmiast będzie zastrzelony. Powstańcy prażyli czołgi z boku, ukryci w ruinach. Pan Bóg kierował ich strzałami, gdyż zabili kilku Niemców, a żaden z nas nie został nawet ranny. W momencie zamieszania udało mi się dołączyć do powstańców. Co się później z innymi stało, nie wiem“.

Każde jego słowo, każde nazwisko sąsiada, które wymienił, budziło we mnie wspomnienia: w tym domu mieszkała żona mego kolegi, matka dwojga dzieci, które chroniła i utrzymywała ciężką pracą przez pięć lat pod nieobecność ojca, zagubionego gdzieś na szlaku wydarzeń wojennych. Syna Niemcy żywcem spalili zaraz w pierwszych dniach powstania, teraz mieli ją wypędzić z córką — na ulicę, bez przyodziewku, w zgiełk bitewny, między czołgi.

Był tam też taki stary, pocziwy, typowy warszawski dozorca. co to raz w tygodniu rzetelnie się „wstawiał“ i wtedy — broń Boże — nie należało do domu po nocy wracać, bo wówczas stało się do rana u bramy czekając na jej otwarcie — ale wierny był swym lokatorom i wierny Polsce. Bolszewicki system przenikania miast terrorem polegał na tworzeniu sieci szpiegowskiej spośród dozorców kamienic — w Warszawie to by się im nie udało. Ale jak ten schorowany, kusztykający człowiek nadażył kroczyć przed czołgami, by go nie roztratowały?

Dom był własnością Seweryna ks. Czetwertyńskiego. Jego

ojciec za udział w powstaniu 1863 r. spędził swą młodość na zesłaniu w Syberii. Seweryn w czasie Pierwszej Wojny Światowej rok blisko siedział w bolszewickim więzieniu. Teraz czwarty już rok męczy się i prawdopodobnie dogorywa w niemieckich obozach koncentracyjnych. Wielki arystokrata z ducha, prawdziwy demokratą w czynach. Ileż twórczych idei rodziło się w jego salonach, ile zbiorowej pracy i rzetelnego wysiłku tam się dokonało! Czy popiół z tych murów — mówiąc językiem nowoczesnym — zachowa w sobie siłę radioaktywną ducha ludzkiego i promieniować będzie na następne pokolenie, które tu zbuduje nową siedzibę?

Moje mieszkanie jest spalone — dokąd więc wrócą najbliżsi? Eh, to nie ważne, ale czy żyją jeszcze? Jakże muszą cierpieć na wieść o tym, co się dzieje w Warszawie!

Tak oto szamotał się człowiek w latach Apokalipsy. Chwilami żył w uniesieniu, zapamiętywał się w żywocie walki, to znowu brały górę zwykłe odczucia, towarzyszące nieszczęściom i grozie. Czasem dochodził do głosu rozum, pozwalał widzieć rzecz trzeźwo, a nie ugiął nawet słabych — czasem silni ulegali chwilowemu ośpieniu i stawali się obojętni na wszystko, co się wokół nich działo. Strach, głód, fizyczne wyczerpanie skarłało niekiedy ludzi o wysokiej wartości — ale gdy zagrało uczucie miłości kraju, rodzinnego miasta, bliskich, wtedy z małych, malutkich, wyrastali bohaterowie.

Dwie okoliczności złożyły się na to, że kto trwał w murach Warszawy w sierpniu i wrześniu 1944 r., ten dawał z siebie wszystko, co w ludzkiej leży mocy ofiarować na rzecz wielkiej idei. Jedną stanowiło to, że Ojczyznę miał pod swoimi stopami, że mu się Ona symbolizowała w progu rodzinnym, do którego dostępu wrogom bronił, w ulicy najbliższej, na której się wychował. w mieście, które ukochał. Walczył o życie narodu, chroniąc bezpośrednio przed zagładą życie swoich najbliższych. Ojciec trwał na barykadzie, gdy syn rzucał się obok na czołgi, a matka ratowała popalonych. Nigdy nie było możliwe bliższe skojarzenie pojęcia Ojczyzny z pojęciem rodziny.

A drugą okolicznością było to, że zasięg wydarzeń, ich skala i tempo wyzwalały w człowieku przede wszystkim tkwiące w nim instynkty, na kontrolę rozumu nie było czasu, na uleganie tym

słabościom, które cywilizacja materialna rodzi w człowieku, nie było atmosfery. Najsilniejszy zaś z instynktów właściwych Polakowi, to instynkt wolności. Gdy się on odezwał, gdy znalazł dla siebie ujście, zagłuszył wątpliwości, zahartował wolę, spotęgował siły i zapanował nad uczuciami.

VI.

Warszawa poddała się przemocy niemieckiej po sześćdziesięciu trzech dniach krwawych zmagañ.

Ucichły strzały, dogasały płomienie. Zaroily się ulice szarymi postaciami, podobnymi raczej do duchów niż do ludzi. Ci zwłaszcza, którzy ogarnięci psychozą schronu przesiedzieli w piwnicach, podziemnych korytarzach lub wykopanych rowach większą część walki, swoim ziemistym wyglądem harmonizowali doskonale z obrazem gruzów, po których stąpali.

Według warunków kapitulacji wszyscy mieszkańcy musieli natychmiast opuścić miasto, mając prawo zabrać spośród swego mienia to tylko, co z sobą mogli unieść. Każdy mężczyzna czy kobieta, którzy brali czynny udział w walce, zostają wzięci do niewoli na prawach jeńców wojennych. Pozostali, jeśli będą uznani za zdolnych do pracy, będą wywiezieni do Niemiec. Ileż więc nowych problemów powstało dla tych nieszczęsnych ośmiuset z górą tysięcy ludzi, którzy się jeszcze w dniu 1 października 1944 roku przy życiu ostali?

Niemal każdy z nich w dniu rozpoczynania walki miał w Warszawie bliskich sobie członków rodziny, z którymi od pierwszych strzałów wszelki kontakt ztracił. Tego rozdzieliła linia frontu na Starym Mieście od ukochanej matki, tamten wiedział od dawna, iż jego brat będzie dowodził plutonem na Żoliborzu, ów znowu rozstał się przed wybuchem powstania ze swoim synem, który na znak „burzy“ pobiegł na wyznaczony punkt, innego wreszcie przypadek rozdzielił z małymi dziećmi. A więc naprzód trzeba odszukać swoich.

Nielada to było zadanie. Warszawa nie tylko była poorana wzdłuż i w poprzek barykadami i podziemnymi korytarzami, ale w wielkiej swej części zasypana gruzami domów i podziurawiona lejami bomb tak gruntownie, iż przesuwanie się jej arteriami po wierzchu połączone było z ogromnymi trudnościami. Znalezienie kogoś, kto mógłby udzielić bezcennej informacji, czy ura-

tował się ojciec, gdzie jest zagubione dziecko, należało już tylko do szczęśliwego trafu. Widziałem tysiące rozgorączkowanych twarzy, tysiące par oczu trawionych niepokojem, gdy spoglądał na te szare ludzkie postacie pnące się po stosach gruzów i poszukujące nadaremnie śladu życia w miejscach, gdzie ono dwa miesiące temu tak bujnie jeszcze kwitło.

Wielu ludzi nie odszukało swoich bliskich. Jedni trawieni niepewnością, ale zmuszeni przez okrutny los, opuszczali Warszawę nie wiedząc o nich nic, drudzy zdołali się dowiedzieć już tylko o ich zgonie. Goebbels w jednej ze swych mów oświadczył, iż Warszawa straciła trzysta tysięcy ludzi — byłoby to niemal tyle, ilu zginęło Brytyjczyków w ciągu całej Drugiej Wojny Światowej, a więcej niżli ofiar w ludziach poniosły Stany Zjednoczone. Ginęły czasem całe rodziny, częściej ginęli poszczególni ich członkowie.

Toteż żywi szukali nie tylko żywych — tysiące postaci schyłych u prowizorycznych mogił, rozrzuconych wzdłuż ulic, na skwerach, po podwórzach domów, w ogrodach publicznych i prywatnych, starało się mozolnie odcyfrować napisy wyryte scyzorykiem na kawałku deseczki lub na wkopanym krzyżyku. Oczywiście najczęściej próżne to były usiłowania. Tylko przez pierwsze dni powstania można było poległych zakopywać w osobnych grobach, prowadząc ściśle ewidencje. Słyszę, że do dziś jeszcze, w pięć z górą od lat od chwili opuszczenia Warszawy przez Niemców, tysiące zwłok nieodkopyanych leży pod stosami gruzów.

Wśród strat poniesionych w Warszawie wiele dziesiątków tysięcy należy zaliczyć na karb masowych mordów. Oddziały Gestapo i dywizji ukraińskich w służbie niemieckiej rozstrzeliwały przez pierwsze dni powstania wszystkich mężczyzn w tych dzielnicach miasta, które opanowywały. Nieznane były w owym czasie miejsca zbrodni zbiorowych mogił, długo więc trwały złudzenia, silniejsze od świadectw naocznych świadków.

Nie było wiele czasu na odszukanie żywych, na odnajdywanie mogił. Trzeba było z kolei myśleć o ratowaniu siebie i tych, za których los uczynił cię odpowiedzialnym, tych którzy byli z tobą lub pod twoją komendą. Wprawdzie Niemcy zobowiązali się dochować wszystkich reguł wobec jeńców wojennych i uznali prawa kombatantów uczestników powstania, ale przecież prawa te odnosić się mogły tylko do tych kilkudziesięciu tysięcy, którzy zdecydowali się pójść w niewolę. Można było z góry być pewnym, iż w stosunku do ludności, która nie będzie już podlegała

opiece wojska a stanie się wyłącznym żerem Gestapo, żadne przyrzeczenia i zobowiązania dotrzymane nie będą.

Dla zabezpieczenia swego życia można więc było iść do niewoli. Znaczyłoby to jednak przerwać dobrowolnie wysiłek tylu lat i z za drutów przyglądać się biernie rozwojowi wydarzeń, które decydować mają o losie Ojczyzny. To nie odpowiadało mojej naturze. Olbrzymia część moich przyjaciół i towarzyszy walk, a na ogół wszyscy działacze polityczni zgrupowani w stolicy podjęli próbę wydobycia się z łap niemieckich.

Najbliższe godziny i dni musiały zrodzić plan ukrycia się w masie cywilnej w taki sposób, aby nie zostać rozpoznany. Nie łatwa to rzecz, jeśli się zważy, że pod koniec okupacji Niemcy nagromadzili ogromny materiał, dotyczący każdego aktywniejszego działacza polskiego, do owej pory jeszcze nie schwytanego. Trzeba zaś było przejść przez ich kontrolę. Mieli fotografie, mieli charakterystyki, prawdziwe nazwiska i pseudonimy. Co więcej, w ciągu akcji powstańczej wielu spośród działaczy przestało uważać za celowe ukrywanie swej identyczności i roli, jaką odgrywali w życiu podziemnym Polski. Dekonspirowało to ich całkowicie wobec Niemców.

W tych warunkach każdy z nas gorączkowo pracował nad najlepszym sposobem wydostania się z pułapki. Zazwyczaj organizował to na własną rękę: jeden angażował się w charakterze pielęgniarza, i wyniósłszy chorego poza obręb miasta próbował tam uniknąć czujnej niemieckiej kontroli; drugi płacił niemieckiemu żołnierzowi złotymi dolarami, ukrytymi gdzieś jeszcze na czarną godzinę, za przewiezienie go na wojskowym samochodzie pod plandeką ukrywającą zrabowane rzeczy. Ja się zdecydowałem zmieszać po prostu z tłumem i korzystać z pierwszej nadarzącej okazji, aby uciec z transportu.

W ogniu wydarzeń, w których żyłem przez całe powstanie, nie zdawałem sobie należycie sprawy, jak bardzo nie jestem przystosowany do nowego okresu walki, w który wstępuję. Straciłem powoli wszystko, nie wyłączając ciepłego palta, zimowego garnituru, ba, nawet ręcznika i chustki do nosa. Miałem na sobie tylko letnie ubranie, w którym już jesienią bardzo było mi zimno. Spaliły się, bądź gruzem zasypały resztki mienia, jakie udało mi się uratować przed Niemcami w poprzednich latach. Ostatnie jeszcze dolary, na wszelki wypadek zaszyte zawsze w ubraniu, reprezentowały możliwości praktycznego przetrwania najwyżej paru tygodni w dalszej tułaczce. Gorzej było z moim synem.

który był ubrany w drelich wojskowy niemieckiego pochodzenia. Był to jego mundur jako żołnierza powstańczego. W takim stroju oczywiście nie mógł wrócić do swej roli właściwej, roli dziecka jeszcze podówczas, i przejść bezkarnie przez kontrolę żandarmarii u wylotu Warszawy. Za wszelką więc cenę trzeba było zdobyć ubranie, ubrać się ciepło i zaopatrzyć w niezbędne dla życia i możliwości ukrywania się przedmioty.

W tej sytuacji byłem nie ja jeden. Tysiące ludzi odartych ze wszystkiego szukało ciepłej odzieży, bielizny, obuwia, tysiące ludzi zmieniało swoje ubiory dla zmiany sylwetek. Solidarność warszawiaków i ich bezinteresowność w owym czasie była tak olbrzymia, że dzięki niej wszyscy nawzajem jakoś swoje potrzeby elementarne pozaspakajali. Choć niejedyn, któremu mieszkanie wraz z dobytkiem ocalało, ludził się jeszcze, iż do niego wróci, dzielił się jak brat z każdym, niekiedy zupełnie obcym, który jakiegoś potrzeby wyrażał. Mój syn wyszedł z Warszawy, ubrany w spodnie żakietowe i w ciemną wizytową marynarkę, a ja ugi-nałem się pod ciężarem węzélka, gdym opuszczał ostatnią swą kwatérę na Marszałkowskiej ulicy.

Jeśli kto nie mógł sobie poradzić w znalezieniu u sąsiadów niezbędnych na dalszą wędrówkę przedmiotów, mógł je z pewnością otrzymać na rynkach ulicznych, które się samorzutnie potwo-rzyły, i dokonać tam każdej wymiennej transakcji. Niesłychana żywotność Warszawy ujawniła się także i pod tym względem.

Zanim ludność opuściła miasto, próbowała jeszcze zabezpieczyć resztki swego mienia.

W miarę jak huragan wojenny rozszalał na ziemi polskiej, zwożono z różnych stron cenne mienie i gromadzono je w Warszawie w mniemaniu, iż będzie ono tam najbezpieczniejsze. Zna-lazło się wówczas w stolicy wszystko niemal, co zdołano uratować przed grabieżą Niemców w zachodnich stronach Polski w latach 1939—1940. wszystko co zdołano na wschodzie uratować przed lu-piestwem bolszewików w roku 1939 i później po nawałnicy wojen-nej w r. 1941. Były to nieocenione skarby wartości historycznej, kulturalnej, rodzinnej, zbierane w muzeach, pałacach, po dwo-rach ziemiańskich i w zamożnych domach mieszczańskich przez wiele pokoleń, niekiedy przez setki lat.

Prócz tych wartości o charakterze publicznym każde miesz-kanko w Warszawie kryło w sobie dobytek skromnej rodziny ro-botniczej, rzemieślniczej czy urzędniczej. Była tam komoda czy szafa, stół jakiś, przy którym wszyscy siadali do jada, kilka

krzesel i łóżka meblowe z górą pościeli. Parę oleodruków na ścianie i fotografie rodzinne. Ten skromny dobytek to bodajże skarb największy, dorobek pracy ciężkiej i ucziwej całego nie-raz życia. Do niego rodzina polska jest fanatycznie przywią-zana i na nim wspiera się porządek zbiorowy naszego społeczeń-stwa. Tu w skromnym, schludnym, robotniczym czy małomiesz-czańskim mieszkanku panował niepodzielnie wykształcony przez cierpienia pokoleń nieugięty duch, który dał Warszawie tak ol-brzymią siłę moralną.

Hitler pasjonował się powstaniem warszawskim. W jego kwa-terze głównej, w sali map rozpięta była olbrzymia mapa stolicy polskiej. Wyznaczano mu na niej codziennie przez dni sześćdzie-ściąt trzy postępy armii niemieckiej w opanowywaniu poszcze-gólnych dzielnic, ulic i ruin domów. W jego rozumieniu nie była to walka o osiągnięcie celów strategicznych. Nie na to mu było potrzeba mordować co dnia dziesiątki tysięcy bezbronnych ludzi. Nie dlatego celu osobiście kazał się informować, czy wszystkich co do jednego mieszkańców Warszawy wypędzono po kapitulacji z ruin miasta. Nie na to wydał rozkaz, aby wysa-dzić w powietrze każdy ocalały jeszcze gmach, spalić resztkę do-bytku niezrabowanego przez SS-manów. Walczył on z duchem patriotycznym Warszawy, którym przesiąknięty był jej każdy kąt, który strzegł każdego progu jej domostwa, który się przy-pominał w każdym sprzęcie warszawskiego mieszkanka. Mnie-mał, że rozpedził tego ducha na cztery wiatry. Głosił, że War-szawa została zniszczona po wieczne czasy. Księgi hipoteczne miały być palone, aby z niej śladu nawet w dokumentach nie zo-stało. Ale nawet siły najpotężniejszego mocarza, operującego gwałtem i przemocą, nie wystarczą do zwalczania mocy płynącej ze zbiorowej siły ducha. Warszawiacy, ocaleni z pogromu, stra-cili niemal wszystko, unieśli jednak w sercach swoich i w węzeł-kach nienaruszone wartości moralne swego ukochanego miasta.

Tymczasem jednak wielu jeszcze ludzi ludziło się, iż wrócą przecież kiedyś do swoich ruin i że odnajdą rzeczy, które się jeszcze ostały. Znoszono je więc zazwyczaj do piwnic, możliwie starannie pakując i zabezpieczając przed kradzieżą. Zakopy-wano też głęboko lub zamurowywano w ścianach piwnic swoje drogocенności, papiery wartościowe bądź trochę gotowizny uciu-łanej na „czarną godzinę“. Wiedziano bowiem, że zabierać to z sobą jest zbyt niebezpiecznie. — Niemcy obrabują każdego z chwilą, gdy tylko przekroczy granicę barykady warszawskiej.

Życie pokazało, jak próżny był wysiłek uratowania czegokolwiek przed łupieżstwem Niemców. Raczej ułatwiono im to tylko. Wkroczywszy do Warszawy zastali w piwnicach ocalałych domów popakowane już rzeczy w walizkach i węzełkach, zniesione na dół ze wszystkich pięter. Wystarczało powyważać drzwi i possegregować na oko co warto wywieźć, a co niechaj się spali wraz z domem.

Nic również nie ocalało z tego, co było zakopane lub zamurowane. Niemcy przy pomocy specjalnych aparatów wykrywali natychmiast wszystko, co było zakopane. Chodzili w tym celu od domu do domu, nie opuścili żadnych ruin i zdobyli łup znakomity. A to co było zamurowane — spalony po powstaniu lub wysadzony w powietrze budynek zatrzymał już z reguły na zawsze.

Sądziłby ktoś, że w tych tragicznych dniach dominowała w Warszawie rozpacz. Że ludzie pogrążeni byli w bólu po zrobieniu obrażunku swoich strat. Że szarpani niepewnością najbliższego swego jutra nie byli w stanie już o niczym innym myśleć. Że przeklinali Boga i matkę, która ich na świat zrodziła. Że w najlepszym razie żywiołowy instynkt samozachowawczy dyktował im coraz to nowe, w błyskawicznym tempie zmieniające się pomysły, które całkowicie ogarniały ich wyobraźnię. Tak nie było. W atmosferze Warszawy panował spokój, warszawiaków i w tych dniach nie opuściła wiara. Olbrzymia większość spośród nich znalazła czas i miejsce, aby w ciągu tych kilkudziesięciu godzin, które ich dzieliły od ogłoszenia kapitulacji do opuszczenia miasta, dopełnić służby wobec przyjętych na siebie obowiązków publicznych, czy to w ramach organizacji politycznej, czy też tajnych związków zbrojnych.

Jakieś wielkiej miary socjolog znajdzie tu olbrzymie pole do studiów nad tajemną siłą, jaka wyzwoliła się w społeczeństwie, które umiło wolność. Nędzarze w łachmanach, którzy od kilku tygodni karmili się rozmięczonym w wodzie ziarnem jęczmienia, chwijając się na nogach ze słabości, trawieni rozpaczą po stracie swych najbliższych i niepokojem o los matek i dzieci, z którymi się rozdzielali być może na zawsze, stąpając po gruzach i popiołach całozyciowego ich dorobku materialnego, niepewni najbliższego jutra, jak tylko niepewny być musi ten, kogo czeka dostanie się w ręce oprawców Gestapo lub NKWD — ostatnie swe godziny osobistej swobody oddają służbie narodowi. Dzieje się to najczęściej bez rozkazu, bo rozkaz w tych warun-

kach już do mas ludzkich nie docierał. Dzieje się to bez przymusu i sankcji, bo cała służba w podziemnym państwie polskim oparta była na zasadach dobrowolnego udziału. Dzieje się to w warunkach klęski nie zwycięstwa. Ma to miejsce w pełnej świadomości opuszczenia przez wszystkich i przez wszystko, na co tylko Polak mógł liczyć w świecie.

Patriota polski, który przebywa dziś na emigracji i szuka dla siebie miejsca w zbiorowym wysiłku nad odbudowaniem niepodległości i wielkości swej Ojczyzny, niechaj również czerpie z bogatego źródła owych doświadczeń. Obrońca Warszawy, robotnik, student czy inteligent, człowiek prosty czy też o wielkich kwalifikacjach umysłowych, młodzieniec czy działacz, pretendujący do najwyższych godności w narodzie, nie myśleli podówczas o sprawie publicznej kategoriami mężów stanu. Nie rozstrzygali losu Europy i świata w dyskusjach. Nie układali nowej mapy świata. Nie topili całkowitej swej energii w krytyce swego rządu, swych dowódców, chociaż wiele było do krytykowania — odkładali to na później. Stojąc wobec sytuacji groźnej każdy wykonywał to, co było konkretne, co leżało w jego granicach możliwości, starając się własnym trudem zasięgnąć tych możliwości rozszerzyć. Przykładał wielką wagę do tego, co wykonuje. Nie czekając na rozkazy, wiązał swój wysiłek z wysiłkiem innych. Na chwałę imienia Warszawy, jako symbolu walki i ofiary na rzecz wolności, składał się wysiłek i poświęcenie, energia i inicjatywa bezimiennego jej obywatela po stokroć więcej, aniżeli wielkie planowania ludzi pretendujących do roli przywódców i mężów stanu.

Uwaga wszystkich była skupiona przede wszystkim na utrzymaniu między sobą łączności. Było jasne, że front walki olbrzymich mas niemiecko-bolszewickich przesunąć się będzie teraz po ziemiach polskich i że w związku z tym wszystkie środki komunikacji, takie jak poczta, telefon, koleje, będą zawodziły. Ci, którym się uda wydostać z rąk Gestapo po opuszczeniu Warszawy, muszą się przynajmniej w pierwszej fazie rozproszyć. Wielu zostanie wysłanych do Niemiec przymusowo na roboty w kopalniach, fabrykach czy na roli. Inni z pewnością wpadną do obozów koncentracyjnych. Kilkadziesiąt tysięcy obrońców Warszawy zostanie jeńcami wojennymi. Jakby tu ustalić metodę porozumiewania się między sobą? Jak i gdzie wytworzyć nowe ośrodki dyspozycji politycznych, komu przekazać dowództwo nad oddziałami zbrojnymi operującymi w kraju i tymi, które się

utworzą spośród obrońców Warszawy i czy można liczyć na to, że umkną szczęśliwie?

Punkty nawiązania łączności oznaczane były często w klasztorach i kościołach miast i miasteczek tej części środkowej Polski, która wciąż jeszcze była pod okupacją niemiecką. A więc w Częstochowie, Piotrkowie, Radomsku, Kielcach — no i naturalnie w Krakowie. W miastach tych miały się formować na nowo komórki administracji państwa podziemnego, tam też miano sobie zdać sprawę, kto się uratował i na kim spoczywać będzie dalej odpowiedzialność za kierowanie wysiłkiem zbrojnym narodu.

Wiele trudu pochłaniało decydowanie, komu nakazać względnie zezwolić na pójście do niewoli, kogo przeznaczyć do objęcia posterunku na terenie objętym okupacją sowiecką. Trzeba było w ciągu tego krótkiego czasu zanalizować położenie kraju na podstawie tych okruszyn wiadomości, jakie docierały do oblężonej Warszawy. Wydawać instrukcje najczęściej osobiście. Trzeba było dopilnować też, aby każdy udający się na nowy odcinek pracy był możliwie zaopatrzony w pieniądze, dokumenty i inne środki niezbędne dla podziemnego działania. Trzeba było dopilnować nawet, aby wszyscy żołnierze, którzy szli do niewoli, byli zaopatrzeni w odpowiednie legitymacje. Słowem, do chwili, kiedy żołnierze niemieccy w stalowych hełmach i z wysuniętymi do strzału karabinami obejmowali dzielnicę za dzielnicą, w Warszawie pulsowało życie organizacyjne przygotowujące w ostatniej jeszcze sekundzie nową fazę walki z wrogiem.

Pierwsze dni po kapitulacji spędziłem w znacznej mierze na żegnaniu oddziałów idących w niewolę. Teraz dopiero widziałem je ustawione w szeregu. Zazwyczaj czoło stanowili chłopcy w zdobycznych hełmach, ubrani w niemieckie płaszcze nieprzemakalne, zastępujące im mundury. W dalszych szeregach dojrzeć było można tylko poszczególne elementy ekwipunku żołnierskiego, wyróżniające tych dzielnych powstańców od szarej masy cywilów. Ten miał rewolwer zawieszony u pasa, ów bagnet u boku. Większość spośród nich nosiło opaskę biało-czerwoną na ramieniu, która zastępowała i mundur i broń, będąc wyrazem niespożytej woli i gotowości ofiary. Od czasu do czasu można było w tych szeregach zobaczyć karabin maszynowy, bądź zdobyczne miotacze ognia. Od czasu do czasu wysuwał się zza ramienia ręczny karabin. Ale tego nie było wiele. Mimo rozkazów powstaniec warszawski starał się z reguły swej broni Niemcom

nie oddawać i chował ją w gruzy, starannie zakopując. Wierzył, że mu się ona jeszcze przyda. Przecież to nie koniec walki.

Na placu Zgody żegnałem oddział „majora Barry’ego“. Obok kręciło się dwóch sowieckich żołnierzy, których przebrano już na cywilów. Byli to ci sami, którzy śpiewali niedawno na kwaterze. Podeszli do mnie prosząc o wskazanie jakichś adresów na prowincji, gdzie mogliby się schronić w wypadku, gdyby się prześlizgnęli przez straż niemiecką. Także i Żyd fryzjer wystraszony stał w tłumie przyglądających się defilującym i pojękiwał: „Uj, co teraz będzie, jak mnie pan major Barry opuszcza“.

Na ul. Mokotowskiej żegnałem oddział porucznika Michała Słomińskiego. Dowódca miał w oczach łzy, twarz jednak znamionowała skupienie i tę samą energię, z jaką przez cały czas kierował walką. Na piersi jego widniał krzyż *Virtuti Militari* i Krzyż Walecznych. O dalszych losach tego dzielnego oficera dowiedziałem się po powrocie z Moskwy od łączniczki, która przyjechała z Niemiec. Przeżył niewolę szczęśliwie i pełnił obowiązki oficera łącznikowego przy dowództwie amerykańskim. Szczęśliwie mogłem tę wiadomość przekazać natychmiast jego żonie, którą tego samego dnia poznałem. Przypadkowo obsługiwała mi w restauracji, tą drogą zarabiając na utrzymanie swoje i dzieci. Ktoś mi powiedział, że to pani Słomińska. Przy płaceniu rachunku szepnąłem jej do ucha: „Mąż pani żyje, jaką mam mu wiadomość przekazać“. „Czekam na niego i czekać będę tak długo, jak potrzeba“ — brzmiała odpowiedź. To było jesienią 1945 r. w Warszawie. Jesienią 1947 r. spotkali się państwo Słomińscy na wygnaniu w Anglii. Ledwo zdołali się złączyć, porucznik inżynier Słomiński zmarł wskutek przypadkowego zakażenia. Przetrwał tyle lat walki w podziemiu, przetrwał powstanie warszawskie, przetrwał niewolę. W chwili gdy żona i małe dzieci przedarli się przez straże sowieckie, by dzielić z nim wspólny los na obczyźnie, opuścił ich dla złożenia meldunku Najwyższemu Panu. Poszedł w ślad za ojcem, byłym prezydentem miasta Warszawy, którego Niemcy rozstrzelali w czasie okupacji.

Nie śpieszyłem się z opuszczeniem Warszawy, tak jak nikt się nie śpieszy z rozdzieleniem się z czymś sobie najdroższym i najbliższym. Wspinałem się przez barykady, drapałem się po lejach, docierałem do wszystkich miejsc, w których toczyły walki moi przyjaciele, i do tych, z którymi wiązały mnie moje własne przeżycia. Raz jeszcze klęknę nad grobami w ogródku u „ak-

torek", raz jeszcze przeszukałem popiół w piwnicach domu przy ulicy Świętokrzyskiej 30. Spędziłem wiele godzin na poszukiwaniu śladów mojego wychowanka, który zaginął walcząc w Mokotowie. Nie odnalazłem go wówczas i trwając w przekonaniu, że nie żyje, coraz to schylałem się nad mogiłami. Dopiero na krótko przed mą ucieczką z Warszawy — już po powrocie z Moskwy — w czasie śniadania w restauracji „Polonia“, kelner podał mi kartkę przekazaną mu przez jakiegoś nieznajomego dla doręczenia „temu panu ze szramą na twarzy“ — tak mnie najłatwiej było określić. Była to wiadomość od mego wychowanka, który, jak się okazało, został przez Niemców w czasie powstania wzięty do obozu koncentracyjnego i ocalał. Niewiadomą drogą, w niewiadomy sposób kartki takie docierały poprzez wszystkie stráže, przez wszystkie granice i przyśpieszały bicie serc wielu Polaków.

Co chwila dowiadywałem się, kto zginął od wybuchu bomby, kogo spalili Niemcy w zatarasowanym domostwie, kogo zarżnęli Ukraińcy. Czasem była to jakaś ciotka, staruszka na poły sparaliżowana, która nie miała sił schodzić ze swego mieszkania do piwnic, a nie chciała dawać się znosić każdem razem gdy nad domem pojawiały się samoloty, czasem była to stara kobieta, która nie mogła nadażyć kroku, gdy wypędzano ludność, i Niemiec kończył jej życie strzałem w tył głowy. Czasem był to chłopiec czternastoletni, nad którym pastwili się zbrodniarze. Niekiedy chodziło o człowieka szarego, którego nikt już więcej nie wspomni — w innych znów wypadkach długo będą oplakiwali Polacy i cała cywilizacja okrutny zgon sławnych artystów, wybitnych profesorów. Przecież jednak ponad żal za poległymi — silniejsza była radość na widok żywych. „Żyjesz, jesteś, nie damy się“.

Fale mieszkańców Warszawy wylewały się z niej wyznaczonymi z góry przez Niemców torami. Na szlakach tych porozbie-rano barykady dzielące do tej pory od wroga, który z chwilą przekroczenia linii frontu obejmował w swe posiadanie ludzki łup. U wylotu ostatniej barykady otrzymywało się po pół bochenka niemieckiego chleba wojskowego, niby na znak pojednania. Ale równocześnie wkraczało się pomiędzy szpaler żołnierzy, żandar-mów i gestapowców. Tragiczny i niesamowity był widok nędzarzy, uginających się pod ciężarem resztek swego dobytku, dźwi-ganego na plecach, w olbrzymiej masie posuwających się krok za krokiem w niewiadomym kierunku i w niewiadomym celu. Wy-czerpani bezgranicznie, szybko rzucali po drodze znaczną część,

a niekiedy i wszystko, co z sobą zabrali, próbując unieść chociaż życie. Szli tak krok za krokiem, godziny i dziesiątki godzin, aż póki nie doszli do Pruszkowa, miasteczka położonego o dwadzieścia parę kilometrów od granic Warszawy.

Tam kierowano ich w obręb murów szpitala wariatów, następnie segregowano. Uznanych za zdolnych do pracy wysyłano do Niemiec. Jednych kierowano do fabryk wojennych, innych wbrew już wszelkim układom kapitulacyjnym do obozów koncentracyjnych. Chorych, starców i dzieci w zasadzie wypuszczano na wolność, bądź zaraz w Pruszkowie, bądź rozsyłając ich w transportach po różnych częściach kraju. Wszystko zależne było od przypadku, od łapówki, od fantazji jakiegoś gestapowca czy żołdaka, wreszcie od tego, czy niezmordowane Polski-sanitariuszki zdążyły na czas przyjść z pomocą. Wprędce też jakiegokolwiek rozsądne administrowanie taką olbrzymią masą stało się dla Niemców niemożliwe — to było powodem, że wielu warszawiakom udało się uciec jeszcze w marszu, przed osiągnięciem Pruszkowa, lub też później stamtąd się wydostać.

Gdy natłoczenie szpitala wariatów w Pruszkowie przekroczyło już wszelką miarę, pewną część warszawiaków Niemcy kierowali do wielkich zakładów fabrycznych w Ursusie pod Warszawą. Zaczęto też przewozić poszczególne transporty koleją, skracając w ten sposób pieszą drogę tłumów do połowy i uzyskując lepszą kontrolę nad nimi. Ta ewakuacja milionowego miasta trwała sześć dni.

Piątego dnia zdecydowałem, iż pora i mnie opuścić Warszawę. Nasylenie wszystkich naprędce zorganizowanych obozów przejściowych w Pruszkowie czy gdzie indziej — rozumowałem — musi już być dostatecznie silne, aby stworzyć mi szanse dla ukrycia się. Nie chciałem zaś wychodzić w ostatniej sekundzie, kiedy czujność Niemców znów będzie zaostrzona. Pod swoją opieką miałem syna i dwie jeszcze panie z dziećmi. Wymaszrowaliśmy. Najgorzej było z początku, gdy trzeba było wspinać się po barykadach, gruzach i dołach wyżłobionych przez bomby. Ciężko palto, ciężył jeszcze bardziej węzełek na plecach, brakło sił. Powoli wlewaliśmy się w coraz to większy strumień masy ludzkiej, aż osiągnąwszy ostatnią barykadę dzielącą nas od Niemców znaleźliśmy się w nieprzeliczonym tłumie ciągnącym wolno w całkowitej ciszy, pomiędzy gęstym szpalerem wojska niemieckiego, do stacji kolejowej na krańcach miasta. Mijaliśmy po drodze spalone doszczętnie dzielnice, które wróg zajął zaraz w

pierwszych dniach powstania, wymordowawszy tam uprzednio całą męską ludność. Minęliśmy kościółek na Woli, w którym Niemcy trzymali pierwszych tak zwanych zakładników i z którego wyciągali ludzi na kaźń. Mijaliśmy stanowiska niemieckich moździerzy, które siały taką grozę i zniszczenie w Warszawie.

W pewnym momencie zatrzymano nas w pochodzie. Oto krzyżował się z nami na ulicy oddział żołnierzy Armii Krajowej, który w zwartym szeregu, w świetnej postawie, maszerował na wyznaczony punkt dla oddania broni na podstawie warunków kapitulacyjnych. Tłum wymieniał z żołnierzami nawzajem okrzyki. „Zobaczymy się niedługo, wytrwajcie“. Żołnierze niemieccy przyglądali się temu raczej z podziwem. Albo stracili już wtedy zwykłą im butę, albo też zbiorowa siła moralna tych nędzarzy fizycznych, ale ludzi tak twardych i tak pełnych wiary, imponowała im.

Niedaleko stacji dojrzeliliśmy plantacje pomidorów w polu. Wabiły one czerwienią swych owoców zgłodniałe i spragnione nasze natury tak silnie, że nie oparliśmy się pokusie i nie zważając na krzyki i groźby Niemców rozbiegliśmy się po polu. Spokojnie rozsiadłszy się na rozmokłej glebie, po raz pierwszy od dwóch miesięcy najedliśmy się do syta. Ta przerwa w marszu spowodowała opóźnienie na kolejno załadowywany transport. Bez zniecierpliwienia czekaliśmy na stacji na następny, — dokąd się śpieszyć? Okazało się, że palec Boży kierował naszymi krokami. Z ostatniego transportu nikomu nie udało się uciec, wszyscy poszli za druty.

Późnym popołudniem znaleźliśmy się w węglarce. Szczęśliwa to była okoliczność, gdyż w takiej węglarce najłatwiej zarzucić nogę za deskę i dać drapaką w odpowiedniej chwili. Pociąg wiozł nas do Ursusa. Choć podróż to niedaleka, wydawała się wiekiem. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli będę rozpoznany przez jakiegokolwiek władze niemieckie, nie ma dla mnie ratunku. Co gorsza wiedziałem, że i syna swego, chociaż miał dopiero 15 lat, nie uratuję od ciężkiej pracy w Niemczech, jeśli nie znajdę sposobu wydostania się z wrogich łap. Nie był mi obojętny też los obu kobiet, które z całym zaufaniem zawierzyły siebie i dzieci mej opiece.

Pociąg zwolnił bieg pod samym Ursusem. Mężczyźni poczęli nerwowo wyskakiwać, zostawiali swoje węzłki w wagonie i uciekali poza budynki stacyjne. Straż niemiecka pobiegła za nimi, raz po raz strzelając. Widząc ogólne zamieszanie, dałem

znak swoim i wyskoczyłem w kierunku odwrotnym od tego, w którym odbywał się pościg. Ba, zdając sobie sprawę co za bezcenny dla nas kapitał stanowi węzelek z koszulą, swetrem i przyborami do mycia, zarzuciłem go na plecy. O kilkadziesiąt metrów za stacją zaczynały się małe domki mieszczan Ursusa. Wpadliśmy pomiędzy nie, zasłoniwszy się przynajmniej od pojedynczych kul, które posłano w ślad za nami. Dalej kierowali już naszymi krokami miejscowi mieszkańcy wskazując, gdzie są placówki niemieckie, które trzeba omijać, któredy można przejść bezpiecznie i jak się przystosować, aby nie wzbudzać podejrzania przygodnie spotkanego żandarma.

Gdy w pewnej odległości od stacji, śmiertelnie wyczerpani, przysiedliśmy na jakimś progu małej chałupiny, ukazali się w jej drzwiach gospodarze. Szybko nabrali do nas zaufania i zaproponowali wtedy, że wszystkich ukryją u siebie na noc, a skoro świt wyprawią bezpiecznie w dal. Ze staropolską gościnnością nakarmili i napoili nas, po czym ułożyli na sianie. Panie nawet miały pościel. Gdym wspomniał o zapłacie, niemal się obrazili. „Przecież to nasz obowiązek“ — z oburzeniem odpowiedzieli. A trzeba pamiętać, że Niemcy wywieźliby poczciwych gospodarzy natychmiast do obozu koncentracyjnego, gdyby tylko natrafili na ślad wypełniania przez nich takich obowiązków.

Wyspani po raz pierwszy od dwóch miesięcy i nakarmieni do syta rażno nazajutrz pomaszrowaliśmy dalej. Wszystko się do nas uśmiechało. I słońce, które z wolna wstawało, i ziemia, która pachniała świeżością, i twarze naszych dzieci, z których znikł ten szary, smutny odcień. A ponad wszystko radość w nas drgała, że jesteśmy swobodni, że nie daliśmy się złapać. Toteż ten ranny marsz przyrównywanym we wspomnieniach do najmilszych, młodzieńczych wycieczek, w których wysiłek fizyczny miesza się z satysfakcją osiągnięć.

Według wskazówek naszego gospodarza dotarliśmy do kolejki elektrycznej, która wiozła nas dalej poprzez luksusowe podmiejskie miejscowości lotniskowe. Wielu mieszkańców stolicy spędzało tam lato i nagły wybuch powstania odciął ich od rodzin, domów i osobistego dobytku. Toteż tłumy czekały na każdym przystanku wypatrując od wczesnego poranka do późna w nocy, czy nie znajdą kogoś z bliskich, kto się uratował z Warszawy, czy może chociaż dowiedzą się czegoś o ich losie. Dojechałem w ten sposób do miasta X, położonego już nieco dalej od Warszawy.

Na murach wielkie kolorowe plakaty, drukowane po polsku

i niemiecku odmalowywały, ku mojemu zdumieniu, nie tylko ogrom cierpień poniesionych przez ludność stolicy, ale i przyznawały jej bohaterstwo w walce. Dopiero później zorientowałem się, o co Niemcom chodziło. Hitler, zdumiony furią patriotyczną miasta, doszedł w końcowym okresie powstania do przekonania, że należałoby przykład Warszawy przyjąć za podstawę zorganizowania systemu obrony ziem niemieckich, do których już docierały wojska sprzymierzone. Obliczając na tygodnie moment, kiedy zaczną grać nowa tajna broń niemiecka — kto wie czy nie bomba atomowa — za wszelką cenę dążył do przedłużenia oporu. Szereg miast niemieckich mogłoby spełnić to zadanie naśladowując Warszawę. Na to trzeba jednak było zaprzestać obrzucać obelgami „bandytów“. Propaganda musiała ich przedstawić w nowym świetle. Od tej więc chwili powstańcy warszawscy w oczach Niemców stawali się bojownikami o swą wolność, a ich czyn symbolem tego, do czego wznieść się winna ofiara na ołtarzu ojczyzny. Dlatego chociaż początkowo mordowano wszystkich mężczyzn w zdobywanych dzielnicach miasta, traktując ich jako pospolitych złoczyńców, później Niemcy sami zaofiarowali obróćcom prawa kombatantów. Dlatego oddawano honory żołnierskie oddziałom Armii Krajowej, składającym broń po podpisaniu kapitulacji. Dlatego tylko zachowano nam życie. W rezultacie Niemcy więcej niż Zachód doceniali wielkość trudu żołnierskiego i hojność ofiary, jaką Naród Polski dał z siebie w powstaniu warszawskim.

Przystosowałem w mieście swój wygląd jako tako do wyglądu cywilizowanego człowieka. Założyłem też na nowo okulary, aby zmienić nieco sylwetkę. Wreszcie wynająłem konną dorożkę, którą udałem się wraz z synem do jednego z okolicznych proboszczów w poszukiwaniu pierwszego schronienia. Parafia bowiem w tych czasach służyła niezawodnie za takie schronienie wszystkim bezdomnym, a przede wszystkim ściganym przez wroga. Półdechła szkapa, bo tylko takie zostawiali jeszcze Niemcy na użytek Polaków, ciągnęła nas krok za krokiem wśród pól zoranych i łąk rozmokłych. Czuliśmy się bezpiecznie i chwytałyśmy pełną piersią świeże powietrze wykasłując resztę dymu zgliszcz warszawskich i gubiąc towarzyszący nam dotąd niezmiennie odór trupi.

W pewnym jednak momencie zza przydrożnej stodoły wyskoczyli żandarmi: „Halt!“ — zatrzymano nas. Rewizja i ostre pytanie: „Powstańcy warszawscy?“. — Odpowiedziałem spo-

kojnie: „Jestem za stary już na powstańca. Zostałem zwolniony z obozu przejściowego jako chory“. Istotnie z wyglądu byłem podobny do swego własnego ojca. Straciłem przez przeciąg powstania około dwudziestu kilo, a w fałszywych moich papierach miałem datę urodzenia przesuniętą też o parę dobrych lat. Więc moje tłumaczenie przyjęto do wiadomości, natomiast przyczepiono się do syna. Nie zostali przekonani tym, iż miał dopiero 15 lat. „Właśnie ci — powiedział jeden z nich — ci młodzi bandyci wyrządzali nam największe szkody. Przez nich straciliśmy dziesięć tysięcy zabitych. Tacy smarkacze wystrzelali karabinami i rewolwerami z mojego oddziału przeszło dwie trzecie kolegów“. Puścili nas swobodnie dopiero wtedy, gdy siląc się na spokój, a nawet na uśmiech, wskazałem, iż jak stwierdzała legitymacja mego syna, jest on muzykiem. Gdzie tam muzykowi do wojaczki i strzelania.

Zastałem na probostwie już ponad dwudziestu paru uciekinierów, których ksiądz proboszcz rozlokował w swoim mieszkaniu, jak się dało, których żywił, czym się dało, a apetyty były olbrzymie. Instynktownie każdy z nas jadłby bez przerwy, jak gdyby na zapas, w obawie, żeby już nigdy więcej nie być głodnym. Po kilku dniach wytnienia wywiózł nas ksiądz do innego małego miasteczka, gdzie miał dobre stosunki z miejscową komendanturą niemiecką. Wyrobił mnie i synowi na swoją odpowiedzialność przepustki i uzyskał, że wojskowy samochód ciężarowy zabrał mnie do miasta N., w którego okolicach położony był majątek ziemski moich przyjaciół. Wkrótce szczęśliwie do nich dotarłem z tym zamiarem, aby zostawić pod ich opieką syna i umożliwić sobie dalsze wypełnienie obowiązków publicznych.

W majątku tym rozlokowanych było czterdziestu sześciu uciekinierów warszawskich. Przeważnie byli to starcy i kobiety, choć nie brakło też i ukrywających się zdrowych i silnych mężczyzn. Ci jednak nie siedzieli na łaskawym chlebie. Za zgodą i w pełnym porozumieniu z właścicielką majątku założyli na jego terenie ogniwo wojskowej pracy podziemnej, zasięgiem swoim obejmujące pół powiatu.

Surowa dyscyplina rządziła całym tym środowiskiem. Nie dziwota, jakież to olbrzymi wysiłek musiał być włożony w to, aby ciche, spokojne życie rodziny na wsi przemienić z dnia na dzień w pełen zaparcia się siebie psychologiczny i fizyczny warsztat pracy nad uratowaniem kilkudziesięciu ludzi, najczęściej obcych sobie, a przecie głodnych, obdartych, chorych, bez jutra, często

prześladowanych i ściganych. Aby doprowadzić tych nieszczęśliwych do równowagi po ostatnich przeżyciach trzeba było reguł zakonu. I doprawdy — ten dwór był placówką zakonu narodowego.

Rankiem wszyscy zbierali się u stołu. Tylko chorym i starszynom podawano śniadania do pokojów. Spóźniającego się spotykały nieme spojrzenia tak jednak wymowne, że nie ośmielił się łamać po raz wtóry dyscypliny. Jadła dla każdego było dość, choć wydzielano je każdemu osobno. Właścicielka majątku i członkowie jej rodziny żadnych przywilejów sobie nie zastrzegali. Przeciwnie, dawali przykład solidarności i porządku, choć przecie wszystko szło z ich kieszeni i spiżarni nadwyrężonej silnie rekwizycjami Niemców oraz łupiestwem band bolszewickich lub po prostu rozbójniczych, które już od roku grasowały, jako wyraz rozkładającego się autorytetu władzy okupanta.

Po śniadaniu domownicy szli do pracy. Nie ograniczała się ona do zwykłych zajęć rolnych, ani też do przygotowania jadła dla tak olbrzymiej gromady. Sporo czasu zajmowało pertraktowanie z Niemcami, wyklócanie się o wysokość kontyngentu produktów rolnych, o termin ich odstawy. Jeszcze więcej trudu kosztowało chronić swoich pracowników i co zdrowszych uciekinierów warszawskich od przymusowych robót przy kopaniu fortyfikacji. Każde osiągnięcie w tych dziedzinach traktowane było nie tyle jako korzyść osobista lub dobry uczynek względem współrodaka, ile przede wszystkim jako rezultat walki z wrogiem na odcinku gospodarczym i jego sił obronnych.

Różne były formy tej walki: czasem wysyłano bydło do lasu, czasem rozpierchła się na dany znak cała gromada ludzka po polach i okolicznych zagrodach. Czasem trzeba było po prostu upić funkcjonariuszy niemieckich, przy czym funkcja ta nigdy nie odbywała się we dworze, ani też nie zniżała się pani domu do osobistego uczestnictwa w takim przedsięwzięciu. Nie rzadko sięgało się do wypróbowanego środka oddziaływania na Niemców, którzy, w przeciwstawieństwie do poprzedniej wojny, okazywali się bardzo skłonni do przyjmowania wszelkiego rodzaju łapówek.

Ważnym zajęciem była opieka nad losem uchodźców warszawskich, rozmieszczonych w liczbie kilkudziesięciu tysięcy w granicach jednego tylko powiatu. W prymitywnych często warunkach, u gospodarzy wiejskich, chronili swe życie nieszczęśliwi ludzie, którym trzeba było dopomóc zarówno w zakresie ich po-

trzeb materialnych jak i przede wszystkim w podtrzymaniu ich moralnej siły, niezbędnej dla przetrwania. Tworzyły się komitety powiatowe, gminne, wiejskie pomocy ofiarom powstania. Czuwano w nich nad rozbudzeniem zmysłu solidarności narodowej wśród ludu wiejskiego, pociąganego do wielkich nieraz świadczeń, a przykład dawany przez dwory był zawsze najlepszą i najzdrowszą metodą prowadzącą do celu. Toteż w tym dworze, który dał mi pierwsze schronienie i tak serdeczną później opiekę nad synem, pełno było rozmów nad tym, która ze wsi okolicznych najlepiej swe obowiązki spełnia, w jaki sposób Antoniego czy Wojciecha pobudzić do lepszego traktowania przydzielonych mu na mieszkanie biedaków i co by jeszcze zrobić, aby z postawy dworu czerpał zachętę jakiś zamożny wiejski gospodarz. Wieczorami roznoszono leki, odbywano długie nieraz wycieczki wśród ciemnoty i słoty, by zmierzyć chorym temperaturę lub zmienić bandaż.

Organizowano też naukę dzieci, które po przeżytych miesiącach grozy musiały szybko wrócić do uregulowanego trybu życia. do swego świata zainteresowań dziecięcych, aby uniknąć skrzywienia psychicznego.

Obszerną bibliotekę dworu zamieniono w czytelnię, którą oddano do użytku tych licznych spośród zgromadzonych nieszczęśliwców, którzy w nowych warunkach niezdolni byli do dalszego borykania się z losem i beczynn timerali, aż się to piekło dla nich skończy.

Zazwyczaj po kolacji, gdy już trud dnia codziennego był dopełniony, wracano do niedawnych wspomnień. Nie było dziecka i nie było staruszki, która by nie miała czegoś do opowiedzenia ze swego losu. W słowach prostych, często niezgrabnych, snuły się historie, prawdziwe, a tak niesamowite, że do prawdy niepodobne. Jedna różna od drugiej, jak różne było i wielobarwne okrucieństwo losu, który dotykał w tych czasach Polaków, a tak jednakowe, jak jednolite było tło płomieni, zgliszcz, śmiertelnych ofiar i bestialstwa wrogów. Wśród tych historii zapamiętałem dwie, które podtrzymały jeszcze moje głębokie przekonanie, iż postawa wiary nie powinna opuszczać człowieka nawet w najstraszniejszych czasach do ostatniej sekundy. Muszę je tu opowiedzieć — niestety dla bezpieczeństwa tych ludzi, którzy może jeszcze żyją w kraju, bez podania ich nazwisk oraz pewnych szczegółów.

Zamożna ziemiańska rodzina X. postanowiła na krótko przed

powstaniem opuścić swój majątek, ponieważ w okolicy graso-
wały już wszędzie bandy dezertarów niemieckich, zbiegłych jeń-
ców bolszewickich, jakichś tam komunistycznych elementów lub
po prostu opryszków, które z chwilą zachodu słońca pa-
nowały już niepodzielnie. W siedemnastu olbrzymich skrzy-
niach wywieziono cały bezcenny dobytek rodziny do luksus-
owego mieszkania w Warszawie przy ulicy Flory, w jednej z naj-
piękniejszych części miasta.

Nie zdołano jeszcze skrzyń rozpakować, kiedy wybuchło po-
wstanie. Niemcy utrzymali swoje panowanie nad kilkoma ulica-
mi dzielnicy Mokotowskiej, a w tej liczbie i nad ulicą Flory.
Wspomagające ich oddziały dzikiej ukraińskiej dywizji SS. wdzie-
rały się do poszczególnych, przeważnie wielopiętrowych domów,
nakazywały mieszkańcom zejść na dziedziniec, po czym dokony-
wały masowych mordów. Państwo X., wyczuwając sytuację,
ukryli się w mieszkaniu, na dół nie zeszli i w ten sposób ocalili
pierwszego wieczoru powstania. Rankiem następnego dnia te
same oddziały Ukraińców rabując opustoszałe domy, schwyciły
nieszczęsnych ziemian. Państwo X. władali jednak doskonale
językiem niemieckim i nadrabiając tupetem twierdzili, że są cu-
dzoziemcami, że w wypadku, gdyby im się stała najmniejsza
krzywda, prześladowcy ich poniosą zasłużoną karę. Prawdopo-
dobnie Ukraińcy nie rozumieli dobrze, co do nich mówiono, sły-
sząc jednak język niemiecki i stanowczy ton zawahali się. Za-
miast natychmiastowego popełnienia mordu, zaprowadzili pod
strażą swe ofiary na pobliską ulicę Szucha, gdzie urzędowało Ge-
stapo. Tam oczywiście szybko się wszystko wyjaśniło i pań-
stwo X. bez dalszych ceregieli zostali skazani na śmierć. Zanim
zarządzono egzekucję, wzdłuż ustawionego szeregu skazańców
przechadzali się agenci Gestapo, tak zwani „łapacze“, którzy
przyglądając się twarzom i sylwetkom, czasem konfrontując je
z posiadanymi notatkami lub fotografiami sprawdzali, czy wśród
tych ofiar nie znajduje się przypadkowo ktoś wybitniejszy, z daw-
na poszukiwany, kto mógłby mieć dla nich jakąś wartość. Jeden
z takich „łapaczy“ zatrzymał wzrok na panu X., po czym szepnął
coś do komendanta całego tego tragicznego widowiska, w rezul-
tacie czego zarówno pan X. jak i jego żona zostali wyłączeni z sze-
regu. Po spędzeniu już tylko kilku godzin w lochu, państwo X.
zostali wypuszczeni na wolność.

Cóż się stało? Oto ów agent Gestapo, który przeglądał twa-
rze skazańców, widząc pana X., przypomniał sobie, iż w jego ma-

jątku nie tak dawno zabił na polowaniu pierwszego w swoim życiu kozła. Wzruszyło go to do tego stopnia, iż zdecydował się poświadczyć wobec swoich władz lojalność ziemianina i uratować mu oraz żonie życie. Wyprowadzając oboje z gmachu Gestapo zaproponował, że ich wywiezie samochodem wojskowym poza obręb Warszawy, która cała zostanie zniszczona, a gdy się dowiedział, że przyjechali do Warszawy wraz ze swoim dobytkiem zapakowanym w skrzyniach, zaofiarował się natychmiast wywieźć samochodem także i ten dobytek. W nagrodę przyjął skromny upominek: jedną z siedemnastu skrzyń z tą zawartością, którą mu przypadek wyznaczy. Los spletał figła: okazało się później, iż gestapowcowi przypadła skrzynia z naczyniami kuchennymi. W taki oto cudowny sposób państwo X., prowadzeni już na egzekucję, uratowali nie tylko swoje życie, ale także swoje mienie. Tego już nikt chyba inny w ciągu trwania powstania nie osiągnął.

A oto drugi fakt. Na jednej ze stacji podwarszawskich dokonano aktu sabotażowego w stosunku do niemieckich transportów wojskowych. Wobec tego Niemcy zaaresztowali natychmiast zawiadowcę stacji, a wraz z nim i syna jego. Synowi udało się uciec w czasie przewożenia więźniów. Uciekłszy, wstąpił do oddziału partyzanckiego. Oddział ten dokonywał wielu chwalebnych czynów, aż wreszcie zapadł gdzieś na wsi niedaleko rodzinnego miasta bohaterów opowiadania. Chłopcy, niestety, wypili za dużo dla kurażu i pospali się w dzień, nie rozstawiwszy należycie straży. Niemcy wpadli na ich trop, okrążyli wieś dużymi siłami i przystąpili do ich wyniszczenia. Partyzanci, najczęściej w bieliźnie, bronili się po bohatersku. Zginęli wszyscy z wyjątkiem kilku ciężko rannych, których Niemcy wzięli żywcem do niewoli. Wśród nich był także ów syn zawiadowcy stacji.

Los zrzucił, że ojciec i syn znaleźli się w tym samym więzieniu na Mokotowie, w Warszawie. Niemcy w obawie przed opanowaniem więzienia przez Polaków, wypuścili z niego aresztantów pochodzenia niemieckiego, a wszystkich innych wieczorem pierwszego dnia powstania pomordowali. Działo się to w ten sposób, że po wyprowadzeniu aresztantów na dziedziniec strzelano do każdego z nich w kark. Powoli urastał stos trupów. Syn był świadkiem egzekucji swego ojca, a wreszcie przyszła kolej i na niego...

Późno w nocy obudził się z omdlenia. Okazało się, iż kula przeszła mu tak szczęśliwie przez kark, iż nie naruszyła ani kręgo-

słupa, ani żadnych decydujących o życiu organów. Poddany egzekucji jako jeden z ostatnich, znalazł się niemal na szczycie stosu trupów, z którego teraz z całą ostrożnością przedostał się poza mur więzienny. Niedługo musiał się czoięać. O kilkadziesiąt metrów od więzienia stały już placówki powstańcze. Po kilku tygodniach leczenia ocalały w ten sposób młodzieniec brał już swą zapłatę na Niemczech w szeregach obrońców Warszawy. Był człowiekiem, który przeżył własną śmierć.

W opowiadaniach o niedawnych przeżyciach omijaliśmy skrętnie dzieje oddziałów zgrupowanych w Puszczy Kampinoskiej, które próbowały przyjsć z odsieczą Warszawie, a gdy się to im nie powiodło, przebiły się częściowo, aż hen, w lasy Świętokrzyskie. W ich walkach brał udział najmłodszy syn pani domu, który do domu nie wrócił. I już nie wróci.

Gdy tylko wspomnienia naprowadziły myśl na los nieobecnych a bliskich nam, zaczynały się narady, w jaki sposób dopomóc tym, którzy od lat nieraz przebywają w obozach koncentracyjnych w Niemczech, lub którzy osadzeni są tam teraz po powstaniu. Poczta niemiecka nie przyjmowała już żadnych paczek do Niemiec, wysyłanych przez prywatne osoby. Mogło to zdecydować o przetrwaniu mojej matki i moich najbliższych, o losie braci i siostr wielu spośród tych, którzy korzystali z gościny dworu. Jego właścicielka, przywódczyni duchowa i faktyczna całej gromady, znalazła i na to sposób. Potrafiła uzyskać zgodę miejscowego niemieckiego urzędu pocztowego na potraktowanie pieczętki Czerwonego Krzyża, która była w jej posiadaniu, jako pieczęci urzędowej, i pod tą pieczętką płynęły z majątku strumienie paczek dla ratowania ginących z głodu i wyczerpania Polaków w obozach wojennych.

A w niedziele obszerny hall dworu zamieniano w kaplicę. Kościoły wokół były popalone, trzeba było dać ludziom możliwość pomodlić się do Pana o odwrócenie złego losu i odzyskanie Polski wolnej, całej i niepodległej. Tłumy włościan uczestniczyły we Mszy św., obok nich uciekinierzy warszawscy. Ktoś z domowników grał na harmonii kolendy, zastępując tym organy. Ktoś inny zastępował organistę. Młody ksiądz, który musiał obsługiwać równocześnie kilka od siebie odległych posterunków Służby Bożej, mówił z gorącą wiarą o naszym posłannictwie, które się rodzi jeno w katakumbach i wśród wielkiego cierpienia.

Dwór polski, ongiś siedziba szlachty, później warsztat pracy właściciela większego obszaru rolnego, zwolna przechodzi w Pol-

sce do historii. Natychmiast po odzyskaniu niepodległości po Pierwszej Wojnie Światowej Polska stanęła wobec problemu zaspokojenia głodu ziemi licznej warstwy małorolnej i bezrolnej i rozładowania przeludnionej wsi. Wszystkie kierunki ideowe zgodnie uważały to za najważniejszy problem socjalny i ekonomiczny. Różniono się tylko w poglądach na metodę osiągnięcia właściwego rezultatu.

Stronnictwa ludowe, idąc za instynktem mas chłopskich żywiołowo przywiązanych do gospodarowania i władania rolą, uważały, że pierwszym i najważniejszym zadaniem jest rozparcelowanie większych folwarków. Żywioły bardziej umiarkowane wskazywały na to, że najbardziej nawet radykalne przeprowadzenie przymusowej parcelacji obszarów rolnych, będących we władaniu dworów, nie rozwiąże problemu, natomiast wywoła gwałtownie obniżenie poziomu gospodarstwa narodowego, a poza tym zmniejszy siłę obronną państwa przez rozdrobnienie warsztatów produkcji.

Rzeczywistość poszła po linii kompromisu. Z jednej strony uchwalono zasadę reformy rolnej, która ograniczała swobodne władanie ziemią do 180 ha użytków rolnych, przeznaczając nadwyżki na uzupełnienie wiejskich gospodarstw karłowatych i na tworzenie nowych, drobnych, samodzielnych warsztatów rolnych. Z drugiej strony, światowe kryzysy ekonomiczne na odcinku zbożowym odbijały się silnie na polskim gospodarstwie, powodując samorzną parcelację większych folwarków, które tą drogą pokrywały swoje deficyty bądź upłynniały kapitał.

Rada Jedności Narodowej, reprezentująca wszystkie główne ośrodki myśli politycznej w czasie niemieckiej okupacji, jednomyślnie uchwaliła oprzeć przyszłe gospodarstwo narodowe w Polsce na zasadzie indywidualnych warsztatów rolnych, nieprzekraczających 50 ha obszaru ornych użytków. Można było mieć zastrzeżenia co do słuszności tej uchwały z punktu widzenia założeń gospodarczych i socjalnych.

Nieprawdą jest, aby chłop polskiego wizja radykalnego zlikwidowania większych obszarów rolnych bardziej przywiązywała do sprawy niepodległości ojczyzny. Od dnia pierwszego września 1939 roku chłop polski walczył już nie o ziemię, ale o prawo egzystencji na tej ziemi, jako Polak i człowiek wolny. Natomiast często spotykałem się z opinią poważnych włościan, którzy dyskutując przyszły ustrój rolny w Polsce — opowiadali się bardzo stanowczo za utrzymaniem typu średnich gospodarstw umożli-

wiających stosowanie nowoczesnych metod produkcji. Wyobrażnię ich uderzyły rezultaty, jakie w szybkim czasie osiągnęli Niemcy dzięki sprowadzaniu najnowszych maszyn i planowej gospodarce na większych jednostkach rolnych.

Niemniej nad uchwałą, która kończy wielki spór, jaki się toczył w łonie społeczeństwa polskiego, nie wolno przejść do porządku dziennego, Fakt, że przeszła ona jednomyślnie, dowodzi, w jak olbrzymim stopniu to społeczeństwo zdolne jest do wyrzeczenia się wszelkiego egoizmu klasowego na rzecz utrzymania jedności w chwilach rzeczywistego niebezpieczeństwa. Tę jedność trzeba utrzymać w interesie kraju przez długie jeszcze lata oczekującej nas walki, czasem nawet kosztem rezygnacji z celowych założeń gospodarczych.

Wina leży w znacznym stopniu w postawie warstwy ziemiańskiej, jaką zajęła wkrótce po odzyskaniu niepodległości i w której trwała aż do wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Przyjęła walkę na gruncie klasowym, nie umiając jej przeprowadzić. Nie potrafiła w masach upowszechnić poglądu o konieczności zachowania swoich warsztatów. Nie wydała wielkich przywódców, ją reprezentujących. Natomiast zrezygnowała szybko z roli przewodniej w społeczeństwie. Do tej roli uprawniona byłaby tylko wtedy, gdyby każdy dwór był ogniskiem kultury, źródłem energii narodowej, wzorem cnót obywatelskich. Tymczasem ziemianin w czasie niepodległości Polski często przyjmował stanowisko fałszywego „demokraty“, to znaczy, pojmując jako najważniejsze swe zadanie obronę interesów klasowych, ograniczał swe oddziaływanie na bieg życia publicznego do granic szarego obywatela, w duchu jeno uważał się „za coś wyższego“. Oddawał głos przy wyborach, starał się być dobrze z władzą i biernie przyjmował przeciwności losu.

Ale przecie w warstwie tej drzemały instynkty rycerskie, nagromadzone przez tyle pokoleń. Gdy naród stanął do boju, nie zabrakło w pierwszych jego szeregach młodzieży ziemiańskiej — zapisała ona znowu chlubnie krwią swoją karty dziejów. Dwory, których nie zlikwidowały Niemcy w biegu lat okupacji, wypełniły bez reszty swe obywatelskie obowiązki: w czasie sześciu lat wojny stosunki z wsią zacieśniały się znowu bardzo silnie — niemal każdy dwór był placówką podziemnej akcji zbrojnej, w każdym chroniły swe życie sieroty opuszczone, wygnañcy z ziem zachodnich, starcy i niedołężni. Często i Żydzi, przebrani i przefasonowani, korzystali ze schronienia, choć za udzielanie takiego

schronienia groziła śmierć. W początkach można było tam znaleźć tu i ówdzie i bolszewickiego żołnierza, który uciekł z niewoli. Gdy katastrofa warszawska w epilogu swym spowodowała wypędzenie na poniewierkę blisko miliona nieszczęśliwych ludzi, dwory ziemiańskie — chyba bez wyjątku — otworzyły swe podwoje. Wtedy, jak nigdy, ich gospodarze, udowodnili, że są życzliwymi synami kraju.

Dzięki temu stali się tym bardziej zniechęceni przez system sowiecki. Pierwsze oddziały bolszewickie, wkraczając na ziemie polskie, wszystkich ziemian wypędzały bezzwłocznie z majątków. Wielu w pierwszych dniach wymordowano lub aresztowano. Do rzędu największych przestępstw należało pozostanie właściciela ziemskiego lub jego rodziny w obrębie powiatu, w którym majątek był położony — tak dalece obawiano się wpływu, jaki on mógłby wywierać na swą dawną służbę lub włościan — sąsiadów. Dwory zostały obrabowane do cna, a ziemię, mierzoną najczęściej krokami, dzielono niezliczonymi bruzdami i rozdawano chłopom, ot, według przypadku.

Liczne były fakty odmowy przyjęcia ofiarowywanej za darmo ziemi — chłop polski, tak bardzo przywiązany do jej posiadania, nie chciał nic brać z rąk wroga i na zasadach gwałtu. Składał tym dowód wielkich cnót, jakie drzeźnią w instynktach mas polskich. Za to bywał okrzykiwany jako faszysta, reakcjonista i karany.

Dziś już zostały w Polsce tylko takie dwory i związane z nimi większe gospodarstwa rolne, w których urzędują wojska sowieckie eksploatując wciąż podbity kraj, bądź też które są według wzorów Goeringa siedzibą komunistycznych dygnitarzy. W tych dworach leje się wódka i płynie życie hucznie a beztrząsco. Ale nie są to już dwory polskie.

Namiętna, wroga Polsce propaganda, osiągająca wielkie sukcesy w oparciu o całkowity brak znajomości stosunków jakie panowały w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, upowszechniła na Zachodzie pogląd, że społeczność polska to jakiś ustrój archaiczny, w którym demokracja na próżno walczyła do ostatnich chwil z zakorzenionym feudalizmem. Do dnia dzisiejszego w mniemaniu przeciętnego obywatela Zachodu w Polsce byli tylko wielcy „landlordowie“, rozporządzający dziesiątkami tysięcy hektarów ziemi i niezliczonymi bogactwami, oraz nieszczęśliwa ciemna masa, która im służyła.

Niewiele czasu upłynęło od chwili, gdy w jednym z naj-

większych pism angielskich przeczytałem, że komuniści dlatego tak odnoszą się wrogo do Polski, że w pierwszych latach jej niepodległości, gdy chcieli współdziałać z demokracją, byli prześladowani przez Państwo Polskie. Napisałem do redakcji, wykazując fałsz historyczny takiego naświetlenia rzeczy; w uprzejmej odpowiedzi dołączono mi tłumaczenie się autora artykułu. Twierdził on ni mniej ni więcej, iż jedyną przyczyną prześladowania komunistów przez pierwsze rządy w Polsce był charakter anachronistyczny i półfeudalny tych ostatnich. Autorowi nie chciało się zajrzeć do encyklopedii, gdzieby wyczytał, iż pierwszym premierem Rządu Polskiego był socjalista Moraczewski, drugim — światowej sławy artysta Ignacy Paderewski, w czasie zwycięskiej wojny z Rosją przewodniczył rządowi wódz chłopów polskich Wincenty Witos, a po nim znów zasiadł na urządzie gen. Sikorski, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie posądzał o tendencje feudalistyczne. Gdyby autorzy twierdzeń o feudalnej Polsce mieli tyle dobrej woli, aby zajrzeć do statystyk gospodarczych, musieliby się przekonać, iż odsetek większej własności rolnej w tym kraju nie przekraczał 14% ogólnej powierzchni uprawnej i miał naturalną tendencję kurczenia się. Ponieważ jednak opinia świata wciąż jest pod wrażeniem, że ojczyznę moją rządzą *big landlords* — dobrze będzie jeśli bezstronny czytelnik zaznajomi się też z dziejami dworu polskiego i jego rolę w zmaganiach ostatnich lat w tym chociaż zarysie, jaki zaczerpnąłem z własnych przeżyć.

Po kilku dniach odpoczynku, po jakim takim odkarmieniu się pożegnałem syna, zakopałem dokumenty, które uratowałem z powstania, i ruszyłem w drogę dla nawiązania znowu łączności z kierownictwem podziemia. Opuszczając Warszawę ustaliłem, że z tymi spośród moich towarzyszy, którzy zachowają wolność, spotkam się w określonym czasie w kolegiacie w Piotrkowie — na najwcześniejszej rannej mszy po prawej stronie nawy. Za wszelką cenę musiałem więc tam podążyć. Mogłem to osiągnąć jedynie przy pomocy kolei — środka komunikacji bardzo w owych czasach niebezpiecznego, za to nad wyraz interesującego i emocjonującego.

Tłumy, głównie warszawiaków, zalegały dworce, wagony, stopnie wagonów i dachy, mimo zimnej pory roku. Nie pomagało regulowanie ruchu przy pomocy przepustek. Wszystko ulegało rozprzężeniu i przepustki też można było uzyskać przy pomocy

wszelkiego rodzaju fałszerstw, podstępów, a w razie potrzeby łapówek.

W pociągach jeden tylko był temat aktualny i nieprzerwanie pasjonujący. To minione powstanie. Przekleństw miotano niewiele. Natomiast odczuwało się przeogromny wysiłek w szukaniu uzasadnienia dla celowości ofiary poniesionej osobiście, tak jeszcze świeżo przez każdego z uczestników tego dramatu. Rosły więc w opowiadaniach cyfry ofiar niemieckich, wyolbrzymiano do niebываłych granic znaczenie powstania dla rozgromienia wroga, dochodziła do białej gorączki wściekłość na Rosję i komunistów, którzy po raz drugi, podobnie jak w 1939 roku, połączyli się z Niemcami w niemej zмовie ku zniszczeniu raz na zawsze rdzenia sił polskich. Powstały legendarne obrazy bohaterstwa obrońców poszczególnych dzielnic — Woli, Starego Miasta, Grzybowskiej. Nic się nawet wtedy nie mówiło o własnej krzywdzie — była ona wspólna i nieważna w stosunku do wielkości zmagañ. Czasem tylko jakaś łza błysła w oku, czasem jakieś szlochanie wyrwało się na krótko z piersi.

A już najpiękniejszy rys tej bezdomnej gromady — to wznieciona do stopnia egzaltacji solidarność. Cóż to byłoby za piekło takie podróżowanie w tłumie, z dziećmi i tłumokami, w stałej obawie przed Gestapo, przed wyrzuceniem z pociągu wprost na pole, gdyby nie niezliczone wyrazy pomocy i opieki, z jakim się każdy spotykał ze strony przygodnych towarzyszy.

Przejechaliśmy szczęśliwie jakiś punkt, w którym Niemcy najczęściej wypróżniali wagony, zabierając co silniejszych pasażerów do robót fortyfikacyjnych na pobliskim odcinku. Niedołężnych i dzieci zostawiali na łasce Opatrzności lub pędzili do obozów. Parę westchnień ulgi — jedziemy dalej: rozmowy na chwilę przerwane ze zdwojoną fantazją potoczyły się na nowo. W godzinę później pociąg otoczyła żandarmeria niemiecka i *Volksdeutsche* każą wszystkim wysiadać. Tym razem poszukiwano walut obcych, a przede wszystkim złota i dolarów. Pociąg ma odjechać pusty, a pasażerowie po rewizji niechaj czekają na następny, który może odejść rano następnego dnia — a może dopiero w nocy. Spóźniłbym się do Piotrkowa i zgubił w ten sposób jedyne nici łączności na okres czasu niewiadomo jak długie. Ktoś dopomógł mi nawiązać kontakt z polskim kolejarzem, który zdołał przeprowadzić mnie z powrotem do opustoszałego pociągu, w chwili gdy już ruszał.

Miałem wtedy łatwą możliwość zrobienia w ciągu kilku minut

sporego majątku. W tłumie jadących zawsze było wielu takich, którzy mieli przy sobie, uratowane na czarną godzinę, drobne sumy dolarowe lub jakieś monety złote — na tym bazowali egzystencję swoją i swoich rodzin w dniach tułaczki. Poruszali się też między okolicami Warszawy i Krakowem zawodowi handlarze walut, którzy na znacznej różnicy kursów w poszczególnych częściach kraju robili fortuny i dla niej ryzykowali swe bezpieczeństwo i głowy. Strachliwsi i mniej wprawni w ukrywaniu swych skarbów, stojąc w obliczu rewizji, zazwyczaj chowali po różnych kątach wagonu posiadane przez siebie kosztowności, łudząc się często, że do pociągu powrócą. Wystarczyłoby mi zatem poszperać nieco w wagonie, w którym siedziałem sam, aby obłowić się znacznie. Nikt by pewnie o to do mnie pretensji nie miał. Ale wątpię, czy te bogactwa mogłyby przynieść komukolwiek szczęście.

Zanim dojechałem do Piotrkowa pociąg zapelniał się znowu. Ktoś z podróżnych poznał mnie mimo bardzo zmienionej sylwetki. Wskazał adres, gdzie mogę bezpiecznie spędzić noc. Było to mieszkanie prokuratora Z., pełne już warszawskich uciekinierów, ale przecie przyjęto mnie w nim ze staropolską gościnnością. Uprzątnięto jakąś komórkę, wstawiono łóżko polowe i umożliwiono mi „luksusowo“ rozprostować kości po dwudniowej, naprawdę ciężkiej podróży. Przy herbacie u gościnnych gospodarzy spotkałem jednego z sędziów Sądu Najwyższego w Warszawie, którego dobrze znałem z okresu przedwojennego. Handlował teraz ogórkami i tym podobnymi produktami i z tego utrzymywał rodzinę. Nie mógł mnie już rozpoznać, zapytał o nazwisko. Gdy mu się przedstawiłem jako „Sobota“, gwałtownie dopytywał, z których to ja jestem Sobotów...

Nazajutrz rano poszedłem na mszę do kolegiaty w Piotrkowie. Tłumy wypełniały kościół i trudno mi było z początku dostrzec kogokolwiek z wtajemniczonych. Zasłuchałem się cały w słowa kaznodziei, który wzywał wiernych do składania największych darów na rzecz tylu bezdomnych, głodnych, nieodzianych ofiar powstania warszawskiego i uchodźców z linii działań wojennych. Podwoili oni z górą dzisiaj liczbę mieszkańców miasta i mogą liczyć tylko na pomoc tych, którzy zachowali tu swoje ogniska domowe. Bóg zrządzi za to, że miasto ocaleje, choć zdawałoby się, że powinno pierwsze ulec zniszczeniu. Ktoś mnie trącił — był to młody oficer, szczęśliwy, iż mnie odszukał. Meldował szep-

tem, iż w Piotrkowie zgrupowali się niemal wszyscy, którym to polecono.

Na strychu, jako tako uprzątniętym i przybranym ręką kobiecą, w małym nie zwracającym uwagi domostwie, spotkaliśmy się w gronie przywódców narodowego kierunku ideowego. Ja reprezentowałem Tymczasową Narodową Radę Polityczną, pan Roman Prezydium Stronnictwa Narodowego, Kuba w charakterze Szefa Sztabu NSZ przywodził meldunki o stanie tej organizacji. Poza tym przybyło kilku dowódców okręgu i oficerowie-łącznicy. Jedni przyjechali, podobnie jak ja, koleją; pan Roman zajechał na podwórze wozem drabiniastym, udając gospodarza z pobliskiej wsi; niektórzy młodszy dojechali nawet rowerami.

Ustaliliśmy plan dalszej koordynacji sił, zdaliśmy sobie sprawę z naszych strat w materiale ludzkim, omówiliśmy sytuację kraju. Niełatwo było wypełnić z sensem zadania kierowników organizacji podziemnej w tym momencie. Kraj był poszatutowany na części liniami frontu, przesuwającymi się stale w różnych kierunkach. W obrębie obu wrogich okupacji ustawione były ponadto bariery wewnętrzne, bardzo silnie strzeżone: w niemieckiej — na granicy Śląska i wzdłuż zachodniej Kongresówki, a w rosyjskiej — wzdłuż Bugu i Sanu. Radiostacje uległy przeważnie zniszczeniu podczas ostatnich działań wojennych. Środki normalnej komunikacji były niedostępne, a w każdym razie nad wyraz utrudnione i korzystanie z nich połączone z olbrzymim ryzykiem. Równocześnie każdy okręg, każdy powiat wołał i błagał o instrukcje, o pieniądze, a zależnie od sytuacji także i o broń.

Wiele podobnych narad odbywało się w tym okresie czasu w różnych częściach kraju: zbierała się na nowo Rada Ministrów, kompletowało się dowództwo Armii Krajowej, zwoływano prezydium stronnictw politycznych. Niejedne obrady obciążone w dodatku były zgrzytami, spowodowanymi katastrofą warszawską, rywalizacją, czasem szlachetną, czasem mniej szlachetną, o zajęcie opróżnionych przez śmierć i niewolę stanowisk kierowniczych, sporami o metodę pracy, jaką trzeba przyjąć na przyszłość. Wszystko to było zrozumiałe i nieuniknione, ale jakże bardzo utrudniało konstruktywny wysiłek, który i tak coraz bardziej nabierał syzyfowego charakteru. Szczęśliwie w naszym gronie utrzymała się harmonia i wzajemne zaufanie.

Wobec otrzymanej wiadomości, iż wszystkie ośrodki dyspozycji państwa podziemnego przenoszą się z wolna w okolice podwarszawskie, zdecydowaliśmy, iż powinienem się tam znaleźć

jak najszybciej. Po kilkunastu więc dniach przeniosłem się do jednego z miasteczek położonych niedaleko stolicy i założyłem tam swoją kwaterę.

Mieściła się ona w dwóch pokojach, ukrytych za szynkiem, do którego w dniu targowe okoliczna ludność przychodziła napić się wódki i zagryźć ją kawałkiem chleba z salcesonem czy kielbasą. W pokojach, a raczej pokoikach tych mieszkało nas czasem pięciu, czasem ośmiu i więcej. Ponieważ mieliśmy do dyspozycji tylko jedną kanapę i tylko jedno żelazne łóżko, przeto łóżko przystawiało się do kanapy i spaliśmy w poprzek. Nie zawsze mogliśmy się rozbierać — bywało bowiem i tak, że w gronie naszym znajdowały się kobiety.

Nikomiu nie można było odmówić noclegu, nie tylko dlatego, że miasteczko było wypełnione po brzegi, ale i z tej przyczyny, że każdy kto nas o nocleg prosił, tak już miał zababraną u wroga hipotekę, że niezgrabnie było podrzucić go komuś innemu. Przyjmowaliśmy serdecznie nie tylko narodowców, bywali wśród nas gośćmi także skrajni lewicowcy, zbratani wspólną niedolą. Najgorzej było, gdy przyjechał niespodzianie jakiś łącznik w nocy i nie było go gdzie ułożyć. Wtedy zazwyczaj ten, kto mu drzwi otworzył, poświęcał się dalej — pił lub grał z nim w karty tak długo, aż ktoś litościwy nie ustąpił mu miejsca.

Nie było stać nas na koldry, nikt z nas, uciekinierów, nie miał koców, więc też do misternej sztuki należało ułożenie z płaszczów dostatecznie ciepłego przykrycia. Za poduszkę służyły własne ręce, czasem skrecona w wałek odzież.

Rzadko kiedy noc bywała spokojna. Niemcy urządzali nieustanne oblawy na warszawiaków, szukając wśród nich aktywnych działaczy podziemia, a także — materiału do przymusowych robót. Uważali, i słusznie, że dużo cennych ludzi zdołało wymknąć się z zastawionych po powstaniu sieci.

Jako podstawowe zabezpieczenie przeciwko „wpadnięciu“ przy pierwszej lepszej oblawie służyły fałszywe dokumenty, wystawione przez gminy wiejskie. Ukrywały one „karalne“ pochodzenie warszawskie. Ale i to nie wystarczało w wypadku, gdyby żandar-mowi przyszło do głowy zaprowadzić kogokolwiek z nas dla dalszej kontroli do placówki Gestapo. Żeby uniknąć takiej ewentualności, trzeba było węcchem lisa oceniać bezpieczeństwo każdej sytuacji, każdego dnia i o każdej godzinie.

Zorientowaliśmy się na przykład, że od pewnego czasu miasteczko co rano otaczane jest kordonem żandarmerii, która na-

stepnie przeprowadza rewizje w poszczególnych dzielnicach, chodząc od domu do domu i wybierając z nich setki ludzi. Zaradzi-
liśmy temu w ten sposób, że co dnia tak długo aż rewizje nie
ustaly, przed świtem wychodziliśmy poza obręb miasta i rozpra-
szaliśmy się po okolicznych polach, łąkach i zagajach. Czasem,
gdy było bardziej niebezpiecznie, zziębnięci i przemoczeni do cna
przepędzaliśmy tak cały dzień aż do zmroku. Czasem wstępowa-
liśmy do jakiejś innej podmiejskiej miejscowości i rozgrzewa-
liśmy się w przygodnym szynku czy herbaciarni. Często wyko-
rzystaliliśmy dzień dla odbycia jakichś narad w zakonspirowanym
lokalu miasteczka położonego opodal. Gdy zmrok zapadł i stra-
że niemieckie zeszyły z posterunku, wracaliśmy do siebie, by roz-
począć właściwą pracę, na której upływał czas do późna nieraz
w nocy. Ale i wtedy, gdy wydawało się, że jest zupełnie spokoj-
nie, zdarzało się, iż niespodzianie wpadał do szynku żandarm
niemiecki bardzo natrętny względem karczmarki i napraszający
się w gościnę do jej pokoju. Powodowało to, że dzielna dziew-
czyna, nie mając inego ukrycia, zamykała nas na pewien czas
w tym, co u Anglików nazywa się „lavatory“, a co w prymityw-
nym mieszkaniu naszym położone było na zewnątrz domu. Wtedy
dopiero rozprawiała się z żołdakiem energicznie.

Jestem bardzo przywiązany uczuciowo do wspomnień związa-
nych z dwoma z górą miesiącami ukrywania się za szynkiem.
Pamiętam wszystkie tego szczegóły: z jaką trudnością utrzymy-
wałem czystość mego ciała pod kuchennym zlewem. Jak trudno
było się golić, bo nigdzie nie było kawałka lustra. Z jaką ostro-
żnością wstępowałem do fryzjera, by mnie choć od czasu do czasu
ostrzygł, boć jego zakład zawsze był zapełniony opasłymi gesta-
powcami i podejrzanymi typami. Ile kilometrów przemierzyłem
po błocie, w wodzie i śniegu w tych, zdawałoby się, beznadziej-
nych spacerach. Jak bardzo smakowała mi jajecznicza i wódka,
gdy sponiewierany wichurą, oblepiony błotem, zmęczony codzien-
ną wędrówką, wracałem do domu. Ilu dzielnych i ciekawych lu-
dzi spotykałem co dnia na swej drodze.

Pamiętam też dziś każdy szczegół twarzy, każdy wyraz siły
moralnej, czy chwilowego zmęczenia psychicznego tych spośród
towarzyszy łoża, których nazwiska ukazywały się ostatnio wielo-
krotnie na łamach prasy światowej, jako ofiar procesów poli-
tycznych w Polsce. Dokonano na nich legalizowanego pozorami
sądu — mordu w nagrodę za ich trud niezmierny, za nieustępli-
wość w walce z Niemcami, za ich patriotyzm i oddanie sprawie

narodowej. Wielu innych ówczesnych moich współtowarzyszy odbywa karę dożywotniego więzienia, niektórzy czekają jeszcze na swój los.

Na przestrzeni od rogatek Warszawy aż do Grodziska, w pasie mniej więcej pięćdziesięciokilometrowym rozciągają się wśród ogrodów i licznych stosunkowo lasów miejscowości letniskowe. Znalazły tam schronienie duże rzesze warszawiaków, którzy z kolei stworzyli najlepsze warunki dla ukrycia wśród siebie całego kierowniczego aparatu państwa podziemnego. Poszczególne jego ogniwa musiały, chcąc działać efektywnie, znowu się skupić. Odległość pomiędzy poszczególnymi letniskami sięgała kilkunastu i więcej kilometrów, a łączyła je w zasadzie tylko jedna linia kolejki elektrycznej, będąca pod stałym nadzorem Gestapo. Stąd też poprzez wszystkie drogi i ścieżki, wśród pól i lasów, przemykali się co dnia ministrowie, przywódcy polityczni, wyżsi oficerowie armii podziemnej i spora garść łączników, a zwłaszcza łączniczek. Na tle wielkich plam śniegu, które o tej porze zalegały już pola i lasy polskie, wywierało to nieodparte wrażenie obrazu stada zajęcy, które u zachodu słońca na sinym horyzoncie harczą swobodnie, kpiąc sobie z bezsilności myśliwych. Myśliwi rzeczywiście nie ogarniali sytuacji. Od czasu do czasu wpadała im w zasadzkę jakaś grubsza zwierzyna, ale wśród gęstwiny płotek trudno było im ją wybrać.

Z pasją natomiast Niemcy przeżuwali łup zdobyty w samej Warszawie. W dzień oglądaliśmy tysiące wojskowych samochodów ciężarowych, załadowanych walizkami i bagażami, wybieranymi z ocalałych od bombardowania i całkowitego zniszczenia domów. W nocy ogień pożarów, który Niemcy w ślad za rabunkiem systematycznie zażegali dzielnicą za dzielnicą, potęgował grozę. Powstały rozległe rynki, na których po drodze pozbywano się łupów mniej wartościowych lub osiągniętych na własny rachunek z pominięciem interesu *Gross-Deutschland*. To tragiczne w swej naturze zjawisko było dobrodziejstwem dla wielu. Było to przecież przez długi czas jedyne źródło zaopatrzenia się w zmianę bielizny, kołdrę, prześcieradło lub zapasowe buty.

Na tle prób ratowania resztek dobytku, zostawionego w Warszawie przez ludzi zamożnych, a narażonego obecnie nieuchronnie na spalenie lub zabranie przez Niemców, rozwinał się ohydny proceder. Przez cały czas okupacji kręciło się koło Niemców trochę ludzi o giętym karku, małych skrupułach, dużym sprycie i niepohamowanej żądzy robienia pieniędzy. Ci szybko zwęszyli no-

wą koniunkturę. Powołując się czasem na swe zasługi, często wabiąc Niemców mirażami wielkich zysków, uzyskiwali od nich prawo wjazdu do Warszawy. Pojawienie się normalnego śmiertelnika w Warszawie, wyewakuowanej z ludności, było natychmiast karane śmiercią. Taka jednak hiena, zaopatrzywszy się we wszystkie *Bescheinigungi*, grasowała bezkarnie i nawet, gdy pozwolenie opiewało tylko na wstęp do określonego mieszkania, nikt i nic nie mogło jej przeszkodzić w obrabowaniu wszystkich sąsiednich. Osobnicy ci często zgłaszali się do ludzi znanych ze swej zamożności i ubijali interesy. W zamian za przywiezienie ukrytych w Warszawie kwot pieniężnych, drogocennych obrazów, dywanów czy kosztowności zapewniali sobie trzydzieści do pięćdziesięciu procent wartości. Obserwowałem kilku takich panów. Niektórzy cieszyli się nawet przed wojną pewną pozycją społeczną. Wszyscy oni bez wyjątku tej samej godziny, w której pierwsze bolszewickie oddziały wkroczyły w okolice podwarszawskie, opowiedzieli się za „Polską ludową“ i stanęli w pierwszych szeregach jej „budowniczych“. Im i ich wiernopoddańczym usługom może Rosja ufać najwięcej.

Życie wyrzuconych za burtę miało obok tych ponurych refleksów także swój wielki wdzięk. Humor i fantazja, a przede wszystkim zaradność towarzyszyły warszawiakom nieprzerwanie. Najelegantsze panie z towarzystwa wcale się tym nie przerażały, że w chustkach na głowie stały teraz za stoiskiem na targu i sprzedawały nabiał, wędliny, lub handlowały niemi czy pończochami, które wieczorami wiązały na drutach. Mężczyźni, jeśli nie pochłaniały ich obowiązku publiczne, odbywali długie podróże, by sprowadzić trochę towaru z dalszych stron Polski, by zaopatrzyć rodzinę lub szukać jakiegoś zarobku. Jeśli kto zdołał unieść trochę grosza, a nie miał swego domu, mógł do syta nakarmić się w maleńkich, malowniczo położonych i wspinał się zaopatrzonych restauracyjkach. Kunszt warszawskiej gospodyni znajdował tam swój najwyższy wyraz. Piękno natury koilo nerwy rozigrane falą wydarzeń. Wszyscy żyli świadomością, że to tylko krótki przystanek w dalekiej jeszcze do celu podróży.

W takich oto okolicznościach urzędowało podziemne Państwo Polskie na przełomie 1944-45 roku, w okresie gdy okupant niemiecki krok za krokiem opuszczał ziemię zlaną krwią i męczeńskim potem, a nowy, barbarzyński najeźdźca ze wschodu wlewał się olbrzymią masą ludzi i żelaza, siejąc zgrozę i zniszczenie.

Dwa przede wszystkim naczelną problemy zaprzętały wówczas.

nasze umysły i wyczerpywały naszą energię. Pierwszy — to zagadnienie przyszłości sił zbrojnych w kraju.

General Bór-Komorowski w czasie oblężenia Warszawy wydał rozkaz ogólnej mobilizacji i pośpieszenia stolicy z odsieczą. Oczywiście nie wszystkie oddziały mogły spełnić taki rozkaz dosłownie. Nielicznym tylko udało się pokonać opór Niemców na swej drodze i dotrzeć do lasów podwarszawskich, skąd próbowały nacierać na oblegających. Natomiast żołnierze armii podziemnej zgłaszali się w atmosferze dużego entuzjazmu w różnych częściach kraju na punkty koncentracji, formując bataliony i łącząc się nawet w dywizje. Szczególnie silne było takie zgrupowanie w lasach Świętokrzyskich, województwa kieleckiego.

W nowej sytuacji, gdy powstanie uległo likwidacji, front sowiecko-niemiecki zastygł, zaopatrzenia brakło, a widoczne było, że liczenie na jakiegokolwiek współdziałanie z armią sowiecką skończy się w przyszłości rozbrojeniem polskich żołnierzy oraz w najlepszym razie wywiezieniem ich do obozów koncentracyjnych w głąb Rosji — należało natychmiast przystąpić do demobilizacji i rozproszenia wielkich jednostek zbrojnego podziemia. Każdy dzień zwłoki wzmagał niebezpieczeństwo, że Niemcy odprowadzą z frontu potrzebne siły i wytną po prostu niedostatecznie uzbrojonych i niewyszkolonych do długotrwałej walki z regularną, nowoczesną armią partyzantów. Zdemobilizowanie ich nie było jednak rzeczą łatwą.

Każdy z tych, który na rozkaz porzucił wioskę i warsztat robotczy, aby bić Niemca w jawnej walce, przestał się z tym ukrywać. Nie mógł zatem powrócić do domu bez obawy, że natychmiast zostanie przez miejscowych agentów Gestapo zaaresztowany, z wszystkimi dalszymi tego następstwami. Co więcej, żyjąc miesiąc lub dwa w oddziale działającym jawnie i z bronią w ręku, zdołał już najczęściej zmienić swą skórę cywila na wojaka. Ambicją każdego było nałożyć choćby spodnie wojskowe lub buty zdobyte na Niemcu. Aby zatem przystosować z powrotem uczestnika zmobilizowanego oddziału Armii Krajowej do życia cywilnego, trzeba mu było zapewnić środki, rozlokować w odpowiednich częściach kraju, ułatwić uzyskanie nowych, zazwyczaj fałszywych dokumentów.

Jeszcze groźniej wyglądała sprawa oddziałów Armii Krajowej, które od wielu już miesięcy toczyły regularne walki z Niemcami na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Rzucone do tej walki na rozkaz rządu w Londynie dla zmanifestowania roli go-

spodarzy tych ziem, miały one równocześnie wyraźne polecenie współdziałania z nacierającymi wojskami sowieckimi. Czynnikiem kierującym polityką polską chodziło o podkreślenie, że chcemy z całą determinacją utrzymać solidarność narodów sprzymierzonych w wysiłku nad pobiciem Niemiec. Mimo, że wówczas już opinia naszego kraju doskonale orientowała się w ostatecznych zamiarach Rosji, mimo, że zgrzytano zębami — rozkaz był wykonany. W ten sposób Polska płaciła pierwszą, bardzo kosztowną cenę na rzecz doświadczalnego wykazania Zachodowi, że współdziałanie z Rosją w nadziei na jej lojalność poczyna ona co najwyżej jako wyraz słabości partnera i wykorzyststa dla dalszego jego pogwałcenia.

Oddziały Armii Krajowej walcząc w taktycznej współpracy ze „sprzymierzeńcami naszych sprzymierzeńców“, jak lapidarnie określano wówczas istotę naszej postawy względem Rosji, wygrały szereg bitew na polskiej ziemi. W trakcie zmagani bohaterstwo Polaków, ich energia i ofiarność w dążeniu do wyzwolenia ojczyzny, były wysławiane przez dowódców frontu i wyższych oficerów sowieckich. Bezpośrednio po tym wydawano polecenia, które, pod pozorem wykonania zadań strategicznych wobec wroga, miały na celu okrażenie sił polskich wielokrotnie przeważającymi siłami sowieckimi. Wówczas już „sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców“ zrzucali maskę obłudy. Rozbrajano polskie oddziały i natychmiast wysyłano je transportami w głąb Rosji.

Tu i ówdzie wybuchały buntury zbiorowe. Częściej jeszcze notowane były akty indywidualnej samoobrony ze strony tych, którzy przez sześć lat walki nie poddali się Niemcom, a teraz nie chcieli ulec gwałtom i chytremu podstępowi wschodniego barbarzyńcy. Tępiono je bezlitośnie, uruchamiając przy tym całą aktywność propagandy sowieckiej na rzecz tezy, iż „resztki polskiej reakcji“ zdecydowały się wytoczyć walkę Rosji demokratycznej, która jednak nie pozwoli, aby hitleryzm ostał się w świecie w jakiegokolwiek postaci...

Świat zachodni milczał, a wszelkie próby ze strony Polski ujawnienia rzeczywistości uważane były za nietakt, który mąci zgodę sprzymierzeńców. Bogu chwała i ludzkości szczęście, żeśmy się już nieco oddalili od tego klimatu ideowego, który podówczas rządził opinią publiczną potężnych narodów cywilizacji chrześcijańskiej!

Nad wyraz jasny obraz stosunków, jakie zapanują na ziemi polskiej, gdy Rosja „wyzwoli“ ją z rąk hitleryzmu, nakazywał też

włożyć wiele trudu w postawienie zagadnienia podziemnych sił zbrojnych na zmienionej płaszczyźnie. Te prace, które kontynuowano dalej, gdy wojska sowieckie zajęły Polskę centralną i środkową, przedstawiano jako świadome dążenie do zorganizowania działań wrogich Związkowi Sowieckiemu. Oskarżenie takie, jako naczelne, zostało sformułowane w procesie szesnastu przywódców Polski podziemnej w Moskwie i stanowiło treść wielu procesów politycznych w Polsce pod okupacją sowiecką. Jest ono z gruntu fałszywe i zarówno z punktu widzenia prawa międzynarodowego jak i logiki, niedorzeczne.

Niepodległe Państwo Polskie, żywe i działające nieprzerwanie przez cały czas wojny światowej, było faktem. Państwo to miało uznawany przez cały świat rząd, z siedzibą po części w Londynie po części na miejscu, na ziemi polskiej. Rząd miał w swej dyspozycji armię, która się biła na wszystkich frontach świata, ale gros sił której walczyło w kraju. Armia ta miała przyznane przez sprzymierzeńców prawa kombatantów, ba, nawet Niemcy przyznali im te same prawa ostatecznie po powstaniu warszawskim. Czyż wobec tego państwo to nie miało prawa, więcej, nie miało obowiązku pamiętać również o tym, aby mieć w swej dyspozycji i w należyty zasięgu siłę zbrojną — nie tylko w okresie, gdy Niemcy siedzieli na polskiej ziemi, ale także i dla obrony swoich podstawowych interesów na przyszłość? Czyż takie stanowisko Rządu Polskiego, choćby urzędującego w lasach podwarszawskich i stamtąd wydającego polecenia, może być przez jakiegokolwiek inne państwo uważane za akt nieprawny, podlegający ściganiu karnemu? Czyż takie stanowisko wreszcie mogło być uważane przez Związek Sowiecki za akt nieprzyjazny w stosunku do siebie dlatego tylko, że uwzględniano w nim fakt powszechnego wyaresztowywania uczestników Armii Krajowej przez wkraczające na ziemi polskie wojska rosyjskie i sowiecką służbę bezpieczeństwa?

Niemniej trudny był problem drugi — zagadnienie przyszłej administracji państwa i organizacji jego sił społecznych.

Na kartach tej książki wspominałem już nieraz o wysiłkach nad ustanowieniem we wszystkich zakątkach Rzeczypospolitej normalnej administracji, która by, działając w okresie okupacji w podziemiu i w zakresie przez to ograniczonym, mogła przejąć z chwilą wypędzenia Niemców władzę całkowitą. Administracja ta w r. 1944 była niemal już całkowicie przygotowana do spełnienia swej roli. Rozporządzała policją, miała gotowe kadry dla ad-

ministracji samorządowej. Sądownictwo wyjątkowe, sprawujące swe funkcje jedynie w odniesieniu do wypadków zdrady lub nielejalności narodowej, miało siły dostateczne, aby w każdej chwili przekształcić się w organ wymiaru sprawiedliwości powszechnej. Rozwinięto nawet w wielu częściach kraju takie działy, jak administrację dróg i środków komunikacji, jak służbę zdrowia. W miarę ustępowania Niemców z granic Rzeczypospolitej, kierownicy miejscowej administracji podziemia mieli polecenie bezzwłocznego ujawniania się przedstawicielom wkraczających wojsk sowieckich i obejmowania władzy cywilnej. Podobnie jak współdziałanie militarne z Rosją na ziemiach polskich, jawne ustanowienie administracji cywilnej miało być wyrazem suwerennych praw Narodu Polskiego do tej ziemi. Miało także służyć za wyraz dobrej woli przez szybkie ustanowienie porządku wewnętrznego i dopomożenie armii sowieckiej, operującej na tym terenie, w jej zadaniach w zakresie prowadzenia wojny z Niemcami. Taktyka ta, nakazana jako zasada postępowania przez Rząd Polski w Londynie, miała całkowite poparcie rządów mocarstw sprzymierzonych.

Przedstawiciele administracji polskiego podziemia wykonali polecenie z całym heroizmem. Miałem wśród nich wielu przyjaciół i znajomych. Niektórych żegnałem osobiście, gdy jechali do wyznaczonych im siedzib w przewidywaniu bliskiego odwrotu Niemiec. Pokonywali wszystkie trudności i przyjmowali na swą głowę pełne ryzyko przodostania się do strefy przyfrontowej. Na ogół nie mieli jednak złudzeń i wiedzieli, co ich czeka. Mimo to obejmowali urzędowanie.

Nie trwało ono nigdy dłużej jak cztery, pięć dni, chociaż społeczeństwo polskie podporządkowywało się swej władzy spontanicznie. Zazwyczaj wojewodę czy starostę, mianowanego przez legalny Rząd Polski, zapraszano do przedstawiciela władzy sowieckiej „na konferencję” — i już z niej nie wracał. Znikał. Nikt o jego losie nie wiedział i nie było bezpiecznie o los jego się dowiadywać.

Wbrew przypuszczeniom, działo się tak nie tylko w obrębie ziem wschodnich Rzeczypospolitej, które Rosja włączyła w swe granice. Podobnie postępowano z przedstawicielami polskiej administracji, gdy wojska rosyjskie posunęły się w głąb kraju i znalazły się na jego ziemiach centralnych. Tą drogą budowała Rosja fundament władzy nad Polską dla przywiezionych z sobą agentów, którym w niedalekiej przyszłości miała nadać tytuł Rzą-

du Polskiego, na co — niestety — uzyskała po konferencji w Jaitcie zgodę i aprobatę narodów z Polską sprzymierzonych.

Ten stan rzeczy wymagał całkowitej zmiany udzielonych instrukcji i Państwo Polskie, chcąc czy nie chcąc, trzeba było z powrotem ustawiać w podziemiu.

Nad całością sytuacji ciążyła, jak gradowa chmura, zarysowująca się wyraźnie u kierowników podziemia świadomość, że mocarstwa zachodnie gotowe są za cenę swego spokoju wyrazić zgodę na skomunizowanie Polski i wydanie jej na łup Rosji.

Świadomość ta nie dotarła do mas walczącego Narodu. Wierzył on wciąż w wielką ideę wolności, dla której rozpoczął nierówną walkę. Wierzył w solidarność wolnych narodów i wszystkie docierające doń wiadomości o tej czy innej postawie rządów anglosaskich tłumaczył ich taktyką, koniecznością prowadzenia podwójnej gry z nielojalnym rosyjskim partnerem, gry, nie mogącej przecież obalić zasad, na jakich świat przyszłości, świat sprawiedliwości, świat wolny od gwałtu ma być zbudowany.

Żadna taktyka w zrozumieniu przeciętnego, uczciwego, szarego człowieka w Polsce nie mogła naruszyć wartości zobowiązań potężnej Anglii, wspaniałej Ameryki, zaciągniętych wobec biednego materialnie, nieszcześliwego losem, ale rycerskiego, bogatego w tysiącletnią tradycję państwową narodu.

Za zdrowie Churchilla modlono się co dnia dalej; to że pali on za dużo cygar hawańskich było przedmiotem powszechnej i poważnej troski. Prezydent Roosevelt był w oczach każdego Polaka w kraju gwarantem uczciwości świata w stosunku do sprawy polskiej.

Co więcej, zdrowy instykt mówił społeczeństwu polskiemu, że nie do pomyślenia jest, aby świat dał się tak straszliwie oszukać przez swych przywódców. Czy możliwe jest, pytano, aby zginęło kilkadziesiąt milionów ludzi, aby zniszczona została cała prawie Europa, aby poświęcono tyle cierpień i trudu tylko dla wymiany totalizmu hitlerowskiego na barbarzyństwo dyktatury Rosji bolszewickiej? Czy możliwa jest kooperacja pomiędzy cywilizacją zachodnią i bezwzględnym w dążeniu do opanowania świata Wschodem? Czy możliwe jest bezpieczeństwo Zachodu kosztem oddania we władanie Rosji Europy Środkowo-Wschodniej z jej kluczową sytuacją geopolityczną, z jej bogactwami naturalnymi i z jej stukilkunastu milionami ludności, zwiększającymi łącznie potencjał gospodarczy i militarny groźnego przeciwnika niemal po dwakroć?

Pytano w ten sposób i odpowiadano sobie: tam na Zachodzie są przecież ludzie mądrzy. Może nie znają tak dobrze Rosji, jak my ją znamy, ale przecie oszukać się nie dadzą. Trzeba czekać końca. Nie wolno oddawać się rozpacz... I walczyć dalej.

Wśród takich nastrojów olbrzymi trud musiał być włożony przez kierownictwo podziemia w okresie obejmowania ziem polskich przez wojską sowieckie w ostrożne zorientowanie społeczeństwa co do ogromu zaćmienia, jakie ogarnęło przywódców Zachodu. Robiono wszystko, aby przez nieogledną brawurę w walce z nowym najeżdżcą nie powiększać ogromu katastrofy, jaką zaćmienie to gotuje przyszłości naszego narodu.

Zarysowało się też nowe, może największe niebezpieczeństwo. Było widoczne, iż Rosja po zajęciu Polski przystąpi natychmiast do próby rozsadzania spójności społeczeństwa polskiego. Będzie się starała rozpętać demagogię klasową. Rozigra wyobraźnię tłumu możliwością bezkarnych gwałtów i rabunku. Do słabych dotrze groźbą terroru, oprze się na współpracy winnych, których błędy czy zbrodnie w przeszłości dźwżyć będzie w zastawie, gwarantującym wydajny rezultat. Przelamywać będzie opory ludzi, którzy utracili wiarę i w nowym układzie stosunków skłonni będą widzieć cechy trwałości, nakazujące całkowite odwrócenie się od Zachodu, od jego „zgnilej cywilizacji“ i tego wszystkiego, co sami niejednokrotnie własnymi rękoma i z całym poświęceniem budowali. Przede wszystkim jednak poczną grać natychmiast wszystkie „pięte kolumny“ światowego komunizmu, przeciw którym podziemne Państwo Polskie nie mogło być należycie zabezpieczone.

Cała uwaga tego państwa zwrócona była na walkę śmiertelną z Niemcami. W warunkach konspiracyjnego działania niezmiernie trudno było uchwycić wszystkie nici pajęczyny, którą Rosja misternie zarzucała na ziemie polskie w miarę biegu wojny. Przenikanie agentów komunistycznych do życia wewnętrznego polskiego było silne i wielorakie. Ułatwiało je bezpośrednie sąsiedztwo z Rosją, styk podziemia z olbrzymią masą jeńców sowieckich, dezertków, zrzuty samolotów sowieckich, nieograniczone środki pieniężne z tego samego źródła. Chociaż rodzimych polskich komunistów było nawet w okresie 1944 roku bardzo niewiele, nie podobna było we wspomnianych warunkach lekceważyć groźby rozkładu wewnętrznego życia polskiego pod zbliżającą się okupacją sowiecką.

Ten stan rzeczy nakazywał podjęcie przez Stronnictwo Naro-

dowe i siły przez to stronnictwo kierowane nowego zadania. Wartość tego stronnictwa w życiu polskim polegała w dużym stopniu na tym, że ześrodkowywało żywioty politycznie i narodowo najbardziej świadome. Ofiarne w walce z każdym zewnętrznym i jawnym wrogiem na równi z innymi polskimi patriotycznymi stronnictwami, było najbardziej odporne na rozkładową działalność, prowadzoną umiejętnie przez różnych wrogów na wewnątrz. Wszelkiego rodzaju agenci do Stronnictwa Narodowego nie mieli nigdy dostępu. Masy jego nie były czule na propagandę klasową, a zaufanie w przyszłość Polski było tu ugruntowane przez tradycję kilku już pokoleń.

Jest ciekawe, że nawet do tego środowiska usiłowała Rosja dotrzeć. Pamiętam takie oto wydarzenie z okresu r. 1943. Z jednym z środowisk młodzieży narodowej nawiązało łączność dwóch rzekomych oficerów armii polskiej, którzy, jak twierdzili, byli w niewoli u Rosjan w 1939 r., spędzili jakiś czas w obozach, zostali następnie zwolnieni i zrzućeni samolotami do kraju dla podtrzymania walki z Niemcami. W szeregu wykładów rozwijali oni wizję wspaniałej przyszłości Polski w oparciu i przymierze z Sowietami. Wykazywali całkowite zrozumienie dla problemów polskiej kultury. Zapewniali, że Rosja nie tylko ją uszanuje, ale i na jej dorobku chce budować swe stosunki ze światem zachodnim. Patriotyzm polski jest zbyt wielką wartością, by go można było zniszczyć czy rozłożyć. Na solidarności Słowian, na energii narodów młodych trzeba oprzeć wspólną przyszłość.

Wykłady, prowadzone z dużym zapalem i talentem, wywierały na młodzieży spore wrażenie. Zetknięto tych oficerów z śp. redaktorem Janem Bajkowskim, jednym z moich przyjaciół, który odgrywał wcale poważną rolę w pracy podziemia. Skończyło się to dla niego tragicznie. Jak już wspominałem, po pewnym czasie znaleziono go zamordowanego, ze śladami stoczony zaciętej walki, na jednej z bocznych ulic Warszawy. Dochodzenia nasze ustaliły niemal niezbitie, iż Bajkowski został zamordowany przez wywiad sowiecki. Przyczyną było wpadnięcie jednego z owych oficerów w ręce Gestapo. Dla zapobieżenia możliwości rozszerzenia się kręgu aresztowań w środowisku agentury sowieckiej likwidowano szybko wszystkich, z którymi schwytyany oficer miał jakikolwiek kontakt.

Były i inne próby — późniejsze, już w czasie okupacji sowieckiej, kierowane w stronę tych, u których liczone na całkowite załamanie się psychiczne. Kończyły się one zawsze tym samym

— aresztowaniem, sądem lub likwidacją. Ponieważ były bezskuteczne, zarzucono je całkowicie.

Uważałem, że należy poświęcić teraz cały wysiłek na rzecz przeorganizowania Stronnictwa Narodowego. Z jednej strony trzeba było ubezpieczyć jego szeregi przed wytepieniem przez bolszewików, z drugiej trzeba je było rzucić do walki o postawę psychiczną społeczeństwa wobec wroga sowieckiego. Należało przede wszystkim rozszerzyć krąg promieniowania na opinię publiczną, a w szczególności na te ośrodki polityczne, które poczynaly zdradzać chwiejność i dezorientację.

Chwiejność nie rodziła się w masach, była ona wyrazem dezorientacji wywoływanej przez wiadomości, jakie przychodziły z Londynu. W szczególności przywódcy Polskiego Stronnictwa Ludowego już wówczas zaczęli opowiadać się za taktyką Stanisława Mikołajczyka. Opierali się oni na osobistym przywiązaniu do swego przywódcy i wierzyli, iż posiada w swym portfelu poważne atuty, które go skłaniają do szukania dróg porozumienia z Rosją. Nie zdawali sobie zupełnie sprawy, do czego ta taktyka doprowadzić może, w żadnym zaś wypadku nie myśleli o rezygnowaniu z niepodległości Kraju, na rzecz której składali dotychczas razem z Narodem cały swój wysiłek. Toteż, mimo wszystko, rozumienie potrzeby utrzymania solidarnej postawy Kraju nie tylko wobec Niemców, ale i w dalszej walce o niepodległość, było silne, zaufanie przywódców poszczególnych grup politycznych względem siebie duże i ożywiona, szczerza wymiana poglądów wciąż trwała, dając nam możliwość oddziaływania na zajęcie słusznej postawy przez cały Naród.

W tym okresie doszło do pełnej konsolidacji sił Stronnictwa Narodowego. Dawne spory o metody organizacyjne, czy sposób podejścia do zagadnienia sił zbrojnych, przestały ważyć. Panowała zgodność w ocenie postawy, jaką zajmowali przywódcy stronnictwa z prezesem Bieleckim na czele w Londynie. Mieli oni całkowite nasze poparcie, gdy wbrew naciskowi sprzymierzonych z Polską mocarstw odrzucali dyktat sowiecki i bronili niezależności polityki polskiej. Panowała też jednomyślność w usiłowaniu utrzymania wspólnego frontu w kraju, choćby kosztem wielkich ofiar z prestiżu naszego obozu. Rezygnowano z wszelkich ambicji własnych, aby tylko nie dopuścić do rezygnacji z żywotnych interesów ojczyzny. Godzono się nawet na to, by w obliczu nadchodzących groźnych wydarzeń odłożyć przeprowadzenie obrachunku politycznego za wybuch powstania warszaw-

skiego. Wielu spośród działaczy stronnictwa, którzy w porę przestrzegali przed tym aktem nieprzemyślanym, uważali za konieczne przeprowadzenie zmian w kierownictwie kraju — ustępowali jednak wobec argumentu, że zmiany takie pogłębią kryzys, wywołany przez równoczesne przesilenie rządowe w Londynie i ustąpienie Mikołajczyka. Umiarkowano te żywioły, które miotane rozpaczą chciały dalszej pełnej walki zbrojnej, podejmowanej natychmiast wobec wschodniego najeźdźcy. Uzupełniono władze naczelne stronnictwa, a dla formowania jego przyszłej linii politycznej powołano Komitet Polityczny. Wtedy zostałem powołany na urząd stałego wiceprezesa Komitetu Politycznego oraz doradcę prawnego i politycznego Prezydium stronnictwa.

Tendencją jednoczenia sił obozu narodowego poszła jeszcze dalej. Tymczasowa Narodowa Rada Polityczna, która obejmowała żywioły o szerszym wachlarzu politycznym, a ponad to liczne szeregi bezpartyjnych, uznała za konieczne włączyć we wspólny nurt ze stronnictwem będące w jej rozporządzeniu siły i instytucje, zarówno na odcinku zbrojnym, jak i administracji państwa podziemnego. Tą więc drogą Narodowa Organizacja Wojskowa (N. O. W.) i Narodowe Siły Zbrojne (N. S. Z.), podporządkowane wojskowo dowództwu Armii Krajowej, poczęły występować wspólnie jako N. Z. W. (Narodowe Zjednoczenie Wojskowe).

Wśród wielu inicjatyw podejmowanych wówczas na uwagę zasługują próby powołania do życia „Związku Warszawiaków”. Mieszkańcy stolicy zaleli kraj wnosząc wszędzie żarliwość patriotyczną rozpaloną do białości, gotowość do dalszych ofiar, żądze natychmiastowego działania, niepokój trawiony gorączką. Był to olbrzymi kapitał, który, należycie administrowany, mógł przynieść w dalszej walce ogromną korzyść sprawie. Zaniedbany — groził katastrofą. Wszyscy ci nędzarze, gdy ich spali gorączka nim osiągną cel, stałiby się czynnikiem rozkładu i rozkładem zaraziłoby innych.

Tok prac polskiego podziemia u schyłku okupacji niemieckiej przerwała ofensywa bolszewicka rozpoczęta 10 stycznia 1945 roku. W jej wyniku Rosjanie wkroczyli 17 stycznia do Warszawy, a następnego dnia zajęli okolice miasta od strony zachodniej. W ten sposób praktycznie całe kierownictwo polskie znalazło się pod rządami „sprzymierzeńca, naszych sprzymierzeńców”, jak mówiono na Zachodzie, pod rządami tych, którzy „wyzwolili Polskę”, jak brzmi obowiązująca dotychczas nomenklatura sowiecka,

w istocie zaś pod rządami nowych, bezwzględnych najeźdźców wschodnich.

Otraskani do syta z hukiem armat, widokiem pożarów dokoła, szumem przelatujących nad naszymi głowami eskadr bojowych, nie szukaliśmy schronienia przed działaniami wojennymi. Przeciwnie, świadomość, że już teraz nie w głowie Niemcom „łapanie polskich buntowników“, dawała nam swobodę ruchu i poczucie bezpieczeństwa.

Panorama była przepiękna. Na tle wspaniałych drzew iglastych i wielkich plam śniegu świeżo opadłego, w lekko mroźne dnie, skąpane w słońcu, i nocami pod roziskrzonym gwiazdami niebem odbywał się na naszych oczach odwrót wspaniałej ongiś armii niemieckiej. Trzeba przyznać, że i wówczas jeszcze odbywał się we wzorowym porządku, rzekłbyś jak na manewrach. Rozkazy oficerów, wydawane sucho, spokojnie, wykonywane były bez najmniejszego zamieszania, choć dla laika nawet było jasne, iż oddziały, które widzieliśmy, były już otoczone. Cofając się do ostatniej chwili walczyli, wykorzystując każdą możliwość, każde załamanie gruntu. Gdyśmy spoglądali na tego świetnego żołwygląd i postawę żołnierzy sowieckich, ogarniało nas mimowoli zdziwienie, że tamten żołnierz przegrał, a ten zwyciężył.

Na kilka dni przed wkroczeniem bolszewików zmieniłem dla ostrożności kwatere i przenieśliem się do jednej z miejscowości letniskowych, położonych w odległości kilku mil od miasteczka, w którym dotychczas rezydowałem. Obowiązki zmuszały mnie do odbywania teraz codziennego spaceru do dawnej siedziby, gdyż tam koncentrowało się jeszcze nasze życie organizacyjne. W przeddzień przybycia bolszewików wstąpiłem właśnie do mego szynku, gdy samoloty sowieckie niespodzianie zaatakowały miasto. Usłyszałem świst, potem huk, dźwięk rozbitego szkła, trzask pękających murów. Leżałem na ziemi, w ustach czułem pełno pyłu, wokoło było kłębowisko kurzu. Gdy wstałem, okazało się, iż ani mnie ani nikomu spośród towarzyszy nic poważnego się nie stało. Bomba cudownym zrządzeniem losu wpadła do głębokiej studni w podwórzu, o dwa metry od nas, a refleksem tego było uszkodzenie domostwa. Zdmuchnęła natomiast budkę dozorczy, zabijając obecnych tam ludzi. W mieście wiele było ofiar. Wśród nich znaleźli się i domownicy księdza proboszcza, który dał mi pierwsze schronienie po powstaniu. Przyjechali do miasteczka po zakupy, a w kilkanaście minut potem leżeli na ulicy zmasa-

krowami niemal nie do poznania, odarci przez siłę podmuchu zupełnie z odzieży.

Nazajutrz, w dwie godziny po przesunięciu się pierwszej linii frontu sowieckiego, trawiony niepokojem o los przyjaciół, zdecydowałem się wyruszyć znowu do miasteczka. Po drodze wszędzie widać było ślady walki: rozbite samochody, porzucone armaty, trupy żołnierzy niemieckich i sowieckich, padlinę końską. Jacyś podejrzani ludzie przeszukują kieszenie i torby poległych. Inni rozkradają części samochodów, zdejmują ogumienia. Są tacy, którzy wycinają polędwicę z padliny. Są i tacy, którzy zbierają strannie broń.

Ciemno już niemal było, gdy dochodziłem do miasta. Zatrzymał mnie jakiś bolszewik wyglądający tak ponuro, jak ponuro śni się bolszewik komuś, co przeszedł gehennę sowiecką. W rozchełtanym ubraniu, spoglądając dziko przekrwionymi oczyma, z naganem w rękę, krzychał: „Skąd, dokąd, kto“. Pokazałem mu dokumenty, jedyne jakie miałem, to jest fałszywe niemieckie. Nie wiem, czy umiał je odczytać, w każdym razie zawołał „*Germaniec*“ i skierował nagan w moją stronę. Można łatwo przewidzieć, jak skończyłaby się ta historia, gdyby nie jakiś chłop, który towarzyszył bolszewikowi. Widocznie żał mu się mnie zrobiło, bo spokojnie, zrównoważonym głosem i niezłą ruszczyzną zaczął mu tłumaczyć: „Zostaw tę broń towarzyszu. To dobry człowiek, ja go znam“. Bolszewik upierał się jeszcze pewien czas, że na pewno jestem szpiegiem, wreszcie zmierzył mnie wzrokiem i ocenił chyba, że nie wiele będzie miał korzyści ze skrócenia mego życia, bo zawołał: „*Udiraj*“, co znaczy po prostu: uciekaj. Sam zaś począł manipulować koło leżącego obok trupa niemieckiego.

W mieście pełno było żołnierzy sowieckich, którym wyznaczono tu nocny wypoczynek. Od czasu do czasu słychać jeszcze było pojedyncze strzały. Wylapywano Niemców spośród różnych służb administracyjnych i cywilnych, którzy zaskoczeni postęпами ofensywy nie zdążyli w czas uciec, poza tym odbywał się rabunek sklepów z żywnością, w szczególności z zapasami alkoholu. Tu i ówdzie osobiste porachunki. Pierwsze sylwetki milicji czerwonej na ulicach. Żresztą odprężenie i spokój.

Zostałem zaproszony na nocleg do miejscowego adwokata. Znalazłem tam kilka osób, omawiających nową sytuację. Byli i tacy, którzy z najlepszą wolą dowodzili, że przyjście bolszewików przyniesie jednak zmianę położenia Polaków na lepsze. „Będą

musieli się liczyć choć trochę z Zachodem“ — tłumaczyli. Najgorętszy rzecznik tej tezy po upływie roku znalazł się w więzieniu. Syn drugiego skazany jest na 8 lat więzienia.

W czasie kolacji zjawił się jakiś młodszy oficer sowiecki i w bardzo uprzejmej formie prosił o zakwaterowanie pięciu oficerów na kilka nocnych godzin. Taka prośba była rozkazem. Gospodyni uprzątnęła jeden z pokojów z legowisk bardziej miłych sercu gości, warszawskich pogorzalców, i oddała go do dyspozycji oficerów. Zjawili się oni za chwilę i zostali poczęstowani tym „czym chata bogata“, jak mówi polskie przysłowie.

Za stołem nakrytym czystym obrusem zasiadło pięciu oficerów sztabowych. Na prośbę pani domu najstarszy szarżą wyraził zgodę, aby zasiadł również porucznik, który przyprowadził gości. W armii rosyjskiej panuje bowiem duch arystokracji — oficerowie do kapitana włącznie, choć noszą odznaki, nie są na równych prawach towarzyskich z oficerami sztabowymi i ci ich nie bardzo za oficerów uważają.

Rozmowa potoczyła się gładko. W miarę jej ożywienia zaczęły się pojawiać na stole coraz to nowe smakołyki, tym razem przynoszone przez ordynansów. „Radzi się czymś zrewanżować“ — mówił jeden z oficerów. Baczny obserwator mógł łatwo rozpoznać, że jadło pochodziło ze sklepów miasteczka obrabowywanych równocześnie. Oczywiście pojawiła się na stole i wódka. Ona rozwiązała ostatecznie języki, ale w niczym nie naruszyła stylu tego zgromadzenia, pełnego dystynkcji i wymiany uprzejmości.

Najgorzej było z używaniem sztuczków i z nakładaniem jadła na talerze. Jeden z oficerów uchodził widać w tym gronie za najbardziej światowego, pozostali coraz to przekładali nóż z ręki lewej do prawej i oglądali się nań zakłopotani co robić, gdy uprzejma gosposia obchodziła ich kolejno z półmiskami. „My już dawno przy takim stole nie siedzieli“ — bąknął najstarszy z nich.

Jakiś spóźniony oficer nie miał okazji czerpać przykładu ze swych kolegów. Gdy podeszła do niego pani z półmiskiem, nie wiedział, jak sobie poradzić. Zaczerwienił się po białka, zrobił kilka niewyraźnych ruchów i czekał. Któryś z jego kolegów szturchnął go i szepnął dość głośno: „Tu nie nakładają, trzeba wziąć z półmiska samemu“. Ta uwaga skonfundowała go jeszcze bardziej i po chwili wahania zadeklarował: „Ja nie głodny“ i w ten sposób wybrnął z trudności. Pił tylko wódkę.

Ci poczciwi ludzie wyrażali się z ogromnym uznaniem o Pol-

sce i o Polakach. Oświadczali, że nieporozumienia dadzą się łatwo wyrównać. Rosja ma dosyć ziemi i nie potrzebuje wcale ziem polskich. Niektórzy z nich byli we Lwowie i twierdzili, że to najpiękniejsze polskie miasto i na pewno batuszka Stalin zwróci je Polsce. W ogóle byli nastroszeni bardzo serdecznie, hojnie, tak jak prawdziwi Słowianie, bez domieszki azjatyckiej, gdy otoczy ich miłą i ciepłą atmosfera. Odczuwało się, iż są szczerzy w wypowiedziach, a podnieceni alkoholem nie boją się w tej chwili NKWD.

Dyskusja była przerywana różnymi towarzyskimi ewenementami. Oto w pewnym momencie u progu drzwi stanęło coś podobnego do kobiety. Gruba, na krótkich nogach, o bardzo obfitej piersi, twarzy niemal kwadratowej, z rozczochraną głową, w mundurze żołnierza. Popatrzyła na obecnych i skoczyła na kolano jednego z majorów. Tak zastygła w bezruchu. Major bąknął coś zmieszany: „*Eto moja...*“ — nie dokończył. Siedziała mu na kolanach do końca biesiady, nie wypowiedziawszy ani słowa i nie drgnąwszy ani przez chwilę. Gdy lody towarzyskie pękły już zupełnie, major od czasu do czasu brał kaski z talerza palcami i wkładał je w usta swego skarbu.

Po kolacji „światowy“ oficer poprosił panią domu do tańca, któremu wtórował zbiorowy chór oficerskich głosów. Późną nocą pożegnali goście gospodarzy, dziękując im za tak miłą gościnę i udali się na godzinny wypoczynek.

Spałem tej nocy z konieczności w jednym łóżku z przyjacielem państwa domu. Zastanawialiśmy się, jakie będzie zakończenie miłego wieczoru. Rano obudziła nas gospodyni wiadomością, iż oficerowie wyjechali zabrawszy sobie na pamiątkę z pokoju szereg przedmiotów. Nie pogardzili też porcelaną, na której jedli.

Pierwsze dni okupacji sowieckiej były bardzo ciężkie, dla tych zwłaszcza, którzy nie mieli zorganizowanego życia domowego i zapasów żywności. Natychmiast po przyjściu bolszewików wydano zarządzenie o unieważnieniu znaków pieniężnych, obowiązujących na ziemiach polskich pod okupacją niemiecką. Obiecano wymieniać te znaki do wysokości pięciuset złotych, co odpowiadało mniej więcej wartości półtora kila masła. Ale i ta obietnica zawieszona była w próżni, gdyż urzędy, mające dokonywać zamiany, nie działały. W rezultacie cały obrót gospodarczy z miejsca stanął.

Konfiskata majątku, dokonana tą drogą, dotknęła przede wszystkim ludzi biednych: robotników, urzędników i ich rodzi-

ny. Obracając uzbieranym, a często dopiero zapożyczonym kapitałem prowadzili oni powszechnie handel ze wsią, pomagając w latach okupacji niemieckiej przeżyć miastom i miasteczkom. Sami zaś uzupełniali w ten sposób głodowe prace, za które musieli przymusowo pracować. Teraz pozbawiono ich za jednym zamachem nie tylko kapitału obrotowego, ale i środków na przeżycie najbliższych dni. Ci, którzy przyszli „aby wyzwolić chłopą i robotnika z niewoli kapitału“, tak oto realizowali swoje obietnice już na początku.

Ludzie zamożniejsi w czasie okupacji z reguły umieszczali swoje rezerwy kapitałowe w walucie dolarowej lub w złocie, toteż ich zarządzenia o unieważnieniu waluty obiegowej nie martwiły. W rezultacie jednak wszelki dowóz żywności ustał. Restauracje zostały zamknięte. Kto nie miał zapasów w domu lub przyjaciół, którzy by go nakarmili, mógł umrzeć z głodu.

Przez całe tygodnie schodził mi czas na poszukiwaniu jedzenia. Odbywałem wielokilometrowe wędrówki, aby dostać na wsi trochę mąki, szmalcu lub cukru. Na szlaku tych wędrówek spotykałem biednych i bogatych, młodych i starców, lewicowców i prawicowców. Ale nie był to jedyny cel wędrówek.

Szybkie przesuwanie się frontu na zachód wywołało żywiołowy ruch ludności, zdążającej z powrotem ku swym dawnym siedzibom. Przez styczeń i luty 1945 roku fala wzbierała, aż ogarnęła całą ziemię polską, upodabniając ją w obrazie do rozkopanego olbrzymiego mrowiska. Wszystkie szosy, tory kolejowe, drogi i ścieżynki zalane były masą ludzką, która przesuwała się w najrozmaitszych kierunkach ciągnąc wózki, dźwigając tobołki, odpoczywając w przydrożnych karczmach lub zgoła w rowach.

Nie było w owym czasie żadnego środka komunikacji. Niemcy, uchodząc, wysadzili w powietrze elektrownie i unieruchomili pociągi podmiejskie. Zniszczone też były mosty i powysadzane tory na wszystkich liniach kolejowych. Wsie obrabowano z koni, a jeśli nawet ostała się u kóregoś z gospodarzy zabiedzona szkapą — właściciel jej nie dał się skusić największym nawet zarobkiem do niebezpiecznej podróży. Toteż setki nieraz kilometrów odbywano pieszo, bez względu na swe pochodzenie, zamożność i rozporządzone siły fizyczne.

W tłumie mieszały się twarze proste i bardzo inteligentne, chustki na głowie i komicznie wyglądające w tej sytuacji warszawskie modne kapelusze, wyszarzałe palta, proste kozuchy i uratowane nieraz z pożogi wspaniałe futra, które raczej ciążyły

w takiej podróży. Wszyscy ogarnięci byli tylko jednym pragnieniem: byle prędzej, do siebie, do domu. A jeśli okaże się, że z domu nic się nie ostało, to i tak trzeba szukać nowej siedziby i organizować nowe życie, bo nędza zagląda w oczy.

Skupienie, siła woli i pogoda ducha znamionowały oblicza tych wędrowników. Nie padały między nimi przekleństwa, nie słyzałem ani razu kłótni tak zwyczajnej w każdym tłumie. Co najważniejsze, nawet przybycie bolszewików nie rozwieliło frazeologii klasowej. Kto odważyłby się w dyskusji użyć słowa: burżuj, operować pojęciem proletariatu przeciwstawiając je warstwowi posiadającym, uzasadniać swą krzywdę walką klasową, walką nurtującą rzekomo nasze społeczeństwo, cieszyć się nie-szczęściem innych, liczyć na korzyści nowej sytuacji socjalnej głoszonej przez sowieckiego okupanta — ten w najlepszym razie naraziłby się natychmiast na całkowite odosobnienie. Ostrzegano by przed nim szeptem wszystkich po drodze i wytykano palcami.

Panowało nie pisane i nie zorganizowane sprzysiężenie solidarności narodowej, któremu inicjatywę i charakter nadawał szary, prosty człowiek. Czasem jakiś inteligent, czasem jakiś załamany psychicznie były fabrykant uważał za celowe ukrywać swą przeszłość mniej lub więcej niezgrabnym ukłonem w stronę nowych władców; robotnik miał zdanie jasne i wyrażał je dosadnie. Można śmiało rzec, iż w tych wędrownikach, w których mieszała się wszyscy, utrwaliła i pogłębiła się ostatecznie postawa psychiczna społeczeństwa.

Powstawała tam też samorodna hierarchia oparta wyłącznie na kwalifikacjach autorytetu moralnego. W każdej z grup, które się po drodze łączyły według celu podróży i zapasu posiadanych sił, liczącej czasem po kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób, można było dojrzeć przodownika, który przewodził nie tylko swą energią i przedsiębiorczością, ale i miarą swych sił duchowych, wiarą i fantazją. Dzieci były zawsze nakarmione, kobiety miały pierwszeństwo w zdobyciu noclegu, mężczyźni nie zostawiali w polu opuszczonych przez siły starców.

Pamiętać należy, że nie było w owym czasie ani policji, ani urzędów opieki społecznej. Przyjechały już z Rosji „urzędy bezpieczeństwa“, pomnażając na gwałt swe szeregi spośród polskich komunistów i różnych ciemnych typów, ale te miały inne zajęcia na głowie aniżeli opiekę nad tą wędrującą, bezbronną i nie mogącą niczym zagrozić władztwu sowieckiemu wielomilionową rzeszą.

Natomiast tłumy spotykały na swym szlaku rosyjskie transporty wojskowe, niekiedy jadące dużą gromadą, czasem w postaci pojedynczych samochodów. Mijały one obojętnie rojowska ludzkie, obryzgując je błotem czy grudami, chyba że... któryś z konwojentów dostrzeżę znak, powodujący z reguły zatrzymanie się. Był to znak wódki — jedyna, obiegowa, bezcenna waluta w obrocie z bolszewikami. Zamożniejszy czy bardziej zapobiegliwy obywatel, który chciał osiągnąć cel swej podróży szybko i możliwie wygodnie, zaopatrywał się w pewną ilość butelek alkoholu. Stawał na skrzyżowaniu dróg i machał butelką w kierunku pierwszego przejeżdżającego samochodu sowieckiego. Wówczas mógł dojechać tym samochodem dokąd chciał, nawet jeśli powodowało to pewne odchylenie od drogi, jaką służba wytyczyła kierowcy.

Wielką atrakcję stanowiła taka jazda i nic nie mogło powstrzymać od prób korzystania z niej, choć pasażerowi groziły nielada niebezpieczeństwa. Ot, na przykład w pół drogi w szczerym polu samochód się zatrzymuje. Kierowca każe pasażerowi wysiąść i pomóc w dokonaniu reparacji. Następnie korzysta z pierwszej jego nieuwagi, zapuszcza motor i odjeżdża bez pasażera, ale z jego tobołkami. Bywało i gorzej.

W kilka miesięcy po moim powrocie z Moskwy musiałem odbyć podróż z Krakowa do Katowic w towarzystwie swej łączniczki. Pociągi wciąż jeszcze chodziły bardzo nieregularnie. Zależało mi także ze względów konspiracyjnych na tym, aby nie korzystać z usług kolei. Stanęliśmy więc wieczorem na rogatkach Krakowa i dobiliśmy targu z szoferem dużego transportowego wozu sowieckiego. Dołączyła się do nas pewna pani w balzakowskim wieku. Bardzo się bała tej podróży, ale decydowała się na nią spiesząc do chorego dziecka. Swoją łączniczkę, która przewoziła znaczną sumę organizacyjnych pieniędzy, umieściłem dla bezpieczeństwa w głębi samochodu pod plandeką. Moja przygodna towarzyszka natomiast ulokowała się na samym brzegu samochodu, aby móc w razie czego wyskoczyć.

Po pół godzinie jazdy szofer zatrzymał auto, podszedł do nas i uczynił pod adresem owej pani w najbardziej przymilnym tonie konkretną ofertę. Był trochę podchmielony, skłonny do targów i pryncypialnej dyskusji. Dłuższy czas zeszedł, zanim zdołałem wytłumaczyć, iż takiemu jak on „gierojowi“ nie wypada, żeby zadawał się z „taką starą babą“. Dał się wreszcie przekonać i powiół nas dalsze 20 czy 30 kilometrów. Po czym znowu

stanął i powtórzył swoją propozycję z większą jeszcze natarczywością. Musiałem znowu grać na jego ambicji — „młodego i wspaniałego mężczyzny“, która nie pozwalała na wymianę uścisków i emocji miłosnych ze staruszką, w dodatku „wredną“. Było bardzo ciemno i nie mogłem dostrzec na twarzy mej towarzyszki, co się bardziej na niej maluje: czy strach przed niebezpieczeństwem uwiedzenia jej przez skośnookiego dzikusa, czy też oburzenie, że jej wdzięki oceniałem tak mizernie. Bardzo ją zresztą za każdym razem uprzejmie przeproszałem.

Historia powtarzała się systematycznie pięć czy sześć razy i w rezultacie przyjechaliśmy do Katowic z kilkugodzinnym opóźnieniem. Wsiadając, wydobyłem spod plandeki moją łączniczkę. Przyglądał się temu kierowca i roześmiany od ucha do ucha zawołał: „Ot, oszukałeś mnie. Wystawiłeś na front staruchę, a dziewczynkę schowałeś. Zapłać choć za to napiwek“.

Nazajutrz z wyrzutem opowiadałem tę przygodę swemu znajomemu, który miał służbowy samochód do swej dyspozycji i obiecywał uprzednio przewieźć mnie nim' do Katowic. „Ma Pan szczęście“, odpowiedział, „że zrobiłem Panu zawód. Jechałem tą samą drogą parę godzin wcześniej. 30 kilometrów za Krakowem zostałem zatrzymany przez grupę żołnierzy sowieckich salwą karabinu maszynowego. Nie pomogły papiery stwierdzające, że jestem wysokim urzędnikiem. Obrabowano mnie doszczętnie i tylko dlatego Pan tu widzi, że z dala ukazały się światła innych samochodów, do których pośpieszyli moi prześladowcy po nowy łup“.

Magnesem, który przyciągał setki tysięcy ludzi, była wciąż Warszawa. Wbrew zakazom, już w parę godzin po wkroczeniu wojsk sowieckich śpieszyły ku niej tłumy. Na czwarty dzień znalazłem się również w jej ramionach. Nie podobna opisać jej widoku ówczesnego. To, co zostało jeszcze po kapitulacji, szczyrzyło jamami wypalonych otworów i golizną murów. Monumentalne budowle, takie jak świeżo przed wojną wykończony Dworzec Główny, wspaniałe pałac Brühla — siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a w czasie wojny gubernatora niemieckiego — i wiele innych Niemcy wysadzili w powietrze. Zostało tylko kilka budynków mniej lub więcej uszkodzonych, które Niemcy do końca użytkowali jako swe koszary. W ten sposób ocalał wielki hotel „Polonia“, w którym koncentrować się zaczęło jawne życie polityczne kraju w nowej sowieckiej rzeczywistości. Barykady, przekopy i leje z czasów walki powstańczej pozostały. Powstały no-

we, będące wynikiem obronnych przygotowań niemieckich. Gdzieś tam dymy jeszcze pełzały z niedopalonych murów. Tu i ówdzie trupi odór kazał się domyślać, iż pod ruinami rozwalonego domu znalazła śmierć gromada ludzi, których ciała dotychczas nie odkopano. Na murach dziesiątki tysięcy napisów, wskazujące na niebezpieczeństwo min. Większość dzielnic miasta niedostępna z uwagi na góry gruzów, zalegające ulice. Od czasu do czasu z hukiem padała ściana rozwalonego domu pod wpływem ciśnienia lodu. Wszystko — pokryte grubym całunem śniegu, tak obfitego o tej porze w Polsce. Odwilż mieszała topniejący śnieg z grubą warstwą pyłu gruzowego, tworząc maź trudną do przebycia. Gdy zapadał zmrok, jakaś budząca trwogę cisza zalegała nad tym miastem śmierci. Słychać było tylko przeraźliwe piski olbrzymich zdziczałych kotów, które wykarmione na ludzkiej padlinie olbrzymimi susami przerzucały się z gruzów na gruzy, z piwnicy do piwnicy.

W tej to Warszawie w ciągu kilku tygodni zamieszkało już kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Za pierwsze siedziby służyły im najczęściej piwnice. Następnie niehumanitarnym wysiłkiem przystosowywano dla celów mieszkalnych jakiś jeden pokój w niedopalonym mieszkaniu, wdrapując się doń po klatce schodowej, w której uratowali się poszczególne stopnie. Czasem trzeba było tylko załatać dach wybierając materiał z gruzów sąsiednich domów. Niekiedy znowu mieszkanie cudem ocalałe trzeba było bronić przed opryszkami, którzy przychodzili tu po łup, jak po swoje.

Ciężko było z początku o aprowizację. Przeprowadzono się w tym celu na drugą stronę Wisły, gdzie okupacja sowiecka trwała od miesięcy i za nową walutę można było otrzymywać nawet kawior rosyjski i herbatę gruzińską. Tylko tej waluty nie było... Wkrótce jednak zmysł przedsiębiorczości warszawiaków wybudował w punktach przelotowych miasta setki drewnianych budek, w których można było się ogrzać gorącą zupą, dostać chleba, zjeść kiełbasy i wypić kieliszek bimbru. Ściągało to nowe rzesze mieszkańców stolicy, którzy już bez obawy o zmarznięcie i głód mogli sprawdzić naocznie ogrom swej klęski osobistej oraz rozważyć na miejscu, czy starczy im energii i sił na odbudowanie swego życia na gruzach dawnych siedzib.

W lutym odbywałem już pierwsze narady podziemia w Warszawie. Znaleźli się ofiarni ludzie, którzy zdolawszy pokonać wszystkie trudności w zorganizowaniu swego życia osobistego, służyli kątem dla ogniw pracy podziemnej. W marcu kierownic-

two polskiego państwa podziemnego urzędowało z powrotem w znacznym stopniu w stolicy.

Urzędowanie to było teraz ponad wszelki wyraz trudne. Miejsce niemieckich, zielonych samochodów z napisem z tyłu: „Pol.“ zajęły wkrótce z dużym sukcesem zwykle *jeepy*, załadowane sowieckimi funkcjonariuszami w mundurach NKWD, posuwające się szybko i z wielką częstotliwością po miastach, osiedlach i wsiach zdobytego świeżo obszaru. W towarzystwie enkawudzystów widziało się zazwyczaj po jednym cywilu. Był to agent piątej kolumny, który sprzedawał teraz swe wiadomości, nabyte w podziemiu w ciągu lat pracy konspiracyjnej. Gdy widziałeś, że w przeładowanym *jeepie* jest więcej osób cywilnych, miałeś dowód, że bolszewicy wracają z łupem. A łup był od początku obfity.

Złożyły się na to różne przyczyny. Stronnictwa lewicowe były rozszyfrowane od początku. Komuniści, jak zresztą we wszystkich krajach europejskich w okresie okupacji niemieckiej, zamazywali granice przedziału między sobą i środowiskami politycznymi, społecznie radykalnymi. Szczególnie w Polsce licytowali się oni werbalnie w patriotyzmie i, maskując się, tysiącami ogniw pośrednich przenikali w teren pracy podziemnej stronnictw robotniczych i chłopskich.

I Armia Krajowa miała w swym łonie zamaskowane jacejki. Tkwiły one przede wszystkim w oddziale sztabu zwanym B. I. P.*), znajdującym się pod zwierzchnictwem pułkownika Rzepeckiego. W trakcie narad nad jednolicieniem wysiłku zbrojnego w kraju w r. 1943 i na początku 1944 wkładałem wielki wysiłek w przekonanie kierownictwa wojskowego o niebezpieczeństwie tego stanu rzeczy. Gen. Bór-Komorowski tłumaczył mi wówczas, iż jest pewien lojalności także i tych swoich podwładnych, którzy skłaniają się ku komunizmowi. Swym udziałem w Armii Krajowej mają oni przyciągać do solidarnego wysiłku elementy, które nie zatraciły jeszcze instynktów narodowych i choć społecznie skrajnie radykalne nie są w zasięgu dyspo-

*) *Biuro Informacji i Propagandy. Biuro to w olbrzymiej większości składało się z dzielnych żołnierzy i działaczy politycznych, którzy nic wspólnego z komunizmem nie mieli. Spośród nich wielu padło ofiarą kontaktów, jakie utrzymywali w podziemiu z t.zw. polskimi czy patriotycznymi komunistami.*

zycji sowieckiej. Z perspektywy czasu możemy ocenić błędność tego poglądu.

Pułkownik Rzepecki zastąpił kolejno generała Okulickiego po jego aresztowaniu w Moskwie na stanowisku szefa sił zbrojnych w podziemiu pod okupacją sowiecką. Gdy i jego aresztowano, ukorzył się — po rocznym pobycie w więzieniu — na procesie publicznym wobec Sowietów. Tłumaczył, iż oddział sztabu A. K., którym kierował, miał szczerą intencję przekształcenia polskich sił zbrojnych w siły rewolucyjne, które by zapewniły Polsce charakter „państwa ludowego“, związanego ideowo z Rosją Sowiecką. Na przeszkodzie stanął mu układ, zawarty przeze mnie w 1944 roku z gen. Borem, który przesądził o obliczu ideowym polskiego wysiłku zbrojnego w podziemiu. Taka była różnica w interpretacji zadań jacejek komunistycznych, będących w zasięgu Armii Krajowej. Pułkownikowi Rzepeckiemu uwierzyły władze sowieckiej Polski. Skazany na szereg lat więzienia został za swą dobrą wolę ulaskawiony, do łask dopuszczony i zajmował czas jakiś wysokie stanowisko w hierarchii wojskowej „ludowego państwa“.

Druga przyczyna sukcesu sowieckiego w niszczeniu polskiego podziemia leżała w psychice społeczeństwa. Pod wpływem przejść w powstaniu warszawskim, jeszcze bardziej pod wpływem zmęczenia długotrwałością wysiłku ukrywania swych myśli, uczuć, nazwisk, sylwetek, swej działalności i każdego swego kroku, załamała się wola zbiorowa wytrwania w konspiracji. Już ostatnie miesiące panowania Niemców dawały pole do obserwacji tego zjawiska. Najczynniejsi przestawali się ukrywać, najostrożniejsi wypowiadali głośno swe poglądy, najtchórzliwsi buntowali się jawnie. Proces ten spotęgował się po przełomie w sytuacji, wywołanym zmianą okupanta. W każdym skupisku ludzkim można było teraz słyszeć śmiało sądy o nowych władcach, krytykę poczynań komunistów i wyrazy ufności, że niewola Polski znajdzie swój szybki kres. Powychodzili na wierzch ludzie, których nie można było zobaczyć przez sześć lat poprzednich. Ta idiosynkrazia społeczna, wywołana przesytem konspiracji, kosztowała Polskę wiele ofiar wywiezionych w latach 1944 i 1945 w głąb Rosji.

Zanik wszystkich środków komunikacji zmuszał do skupiania się czynników kierowniczych w niedalekiej od siebie odległości. Nie było mowy o kolejach, nie było do dyspozycji samochodów, nie działały telefony. Po wysadzeniu elektrowni nie podobna było ustalić trwałego kontaktu przy pomocy radiostacyj. Z dru-

giej strony niesłychana trudność w zdobyciu kąta do przespania się, a cóż dopiero do zorganizowania pracy mającej szanse utrzymania tajemnicy, powodowała, że nie można już było zmieniać dostatecznie często kwater. Wszystkie te okoliczności przyczyniały się także do dużych strat podziemia.

W początkach marca Stronnictwo Narodowe poniosło pierwszy poważny cios ze strony nowych okupantów na obszarze centralnych ziem polskich. Aresztowano trzech członków Prezydium stronnictwa w kwaterze organizacyjnej, w czasie narad z innymi przedstawicielami podziemia nad sytuacją wytworzoną przez nową okupację. Pod Warszawą, w skromnym mieszkaniu kolejarza, w pokoiku, w którym stał tylko tapczan, prosty stół i parę krzeseł, przez kilka miesięcy koncentrowały się wszystkie nici kontaktu pomiędzy trzydziestomilionowym społeczeństwem, rozczłonkowanym liniami frontu olbrzymich, obcych armii najeźdźczych, a jego przywódcami narodowymi. Lokal ten postanowiono już zlikwidować. Konieczność odbycia ważnej narady i niemożność znalezienia innego dla niej miejsca sprawiły, iż zebrano się tam raz jeszcze. Taki „raz jeszcze“ kosztuje zazwyczaj w konspiracji bardzo wiele.

Wśród aresztowanych ofiar znalazł się Aleksander Zwierzyński, sędziwy wicemarszałek Sejmu, przywódca Ziemi Wileńskiej, jeden z najbardziej umiarkowanych polityków polskich. Po zamordowaniu przez Niemców śp. Mieczysława Trajdosa i śp. Stefana Sachy, był to trzeci kolejny prezes Stronnictwa Narodowego, czynny w czasie okupacji niemieckiej na ziemiach polskich. Spotkałem się z nim później w czasie procesu szesnastu przywódców polskich w Moskwie.

Drugi spośród aresztowanych członków Prezydium przeżył koleje nielada. Przewieziony do siedziby NKWD pod Warszawą, został tam osadzony w piwnicy, w której już przybywało kilkunastu żołnierzy Armii Krajowej różnych stopni. Jeden z nich, podchorąży, kilkakrotnie już zdołał uciec śmierci sprzed nosa w czasie okupacji niemieckiej. I tym razem nie dał za wygraną. Przez szereg nocy obluźywał kraty i rył w murze. W dwa dni po przybyciu mojego przyjaciela do celi rozhułała się na dworze wichura ze śnieżycą, ostatnia tej zimy. Nadludzki wysiłek podchorążego był już ukończony. Tej nocy wszyscy aresztowani uciekli szczęśliwie przez okno piwnicy, oszukawszy czujność straży.

Z akt sprawy w Moskwie dowiedziałem się, iż wkrótce po moim aresztowaniu schwymano ponownie mojego przyjaciela. Było to

w kwietniu. Osadzono go w Rembertowie pod Warszawą, w obozie zbiorczym, z którego wywożono Polaków transportami w głąb Rosji. Odbierano im tam wszystkie oznaki pochodzenia, legitymacje, dokumenty i mieszano z *Volksdeuschami*. Odtąd mieli być tylko numerami i nie mogli nigdy więcej liczyć na to, że będą wyspecyfikowani, że w jakichś przyszłych warunkach ktoś się będzie mógł za nimi upomnieć i wrócić ich ojczyźnie. Na szczęście oddziały Armii Krajowej opanowały zbrojnie w czerwcu obóz w Rembertowie i uwolniły skazańców. W ich liczbie był znowu mój przyjaciel. Ujęto go po raz trzeci w obławie i odsiadauje karę wieloletniego więzienia.

Ostatni z tej grupy, August Michałowski, znalazł się też w transporcie przeznaczonym do wywiezienia w głąb Rosji. Po rozbiciu obozu w Rembertowie zdołał się ocalić i natychmiast stanął do dalszej pracy. Prowadził ją nieprzerwanie aż do chwili, gdy z polecenia władz przedostał się za „żelazną kurtynę“.

Dzięki przypadkowi nie znalazłem się w gronie uczestników konferencji, która się tak katastrofalnie skończyła. Przyjaciele pozostali na wolności zaczęli mnie szukać. Trafiono do syna, który jedynie wiedział, gdzie mieszkam. Udał się on tam natychmiast i nie czekając aż przybędę i czy przybędę, robił „porządek“ w moich papierach. Gdy się zjawiłem, miał oczy pełne łez. Nigdy nie widziałem go bardziej wzruszonego. Nie było czasu jednak na roztkliwienie się.

Należało natychmiast przystąpić do ratowania organizacji. Na kwaterę mogli przybywać jeszcze z różnych stron Polski i różnymi drogami łącznicy, działacze polityczni, dowódcy oddziałów. A wiadome było, iż bolszewicy założyli „kosz“. Polegało to na tym, że NKWD podejrzany dla siebie lokal obsadzało agentami, którzy, maskując swą obecność, przesiadywali w nim po parę nawet tygodni. Każdy, kto z jakiegokolwiek przyczyny wszedł do tego lokalu, nie miał go już opuścić. Zbierało się w ten sposób nieraz kilkadziesiąt osób różnej płci i wieku, które w końcu zmuszone były spać po nocach na podłodze, na stołach, lub nawet na ciałach przygodnych swoich często towarzyszy. Jeśli w mieszkaniu były jakieś zapasy żywności — służyły one na wykarmienie tej gromady ludzi. Jeśli jednak nic tam nie było do jedzenia, aresztowani cierpieli wielki głód, chyba że litościwi sąsiedzi korzystając z uchylonych a czasem wybitych okien rzucili parę bochenków chleba czy trochę wędliny.

Po aresztowaniu jednego z pułkowników Armii Krajowej bol-

szewicy założyli „kosz“ w jego mieszkaniu. Było to w moim sąsiedztwie. Pułkownik mieszkał wraz z żoną i dwoma synami, młodymi chłopcami. Koledzy, zaniepokojeni ich nieobecnością w szkole, przyszli w odwiedziny. Nie wrócili do domu. Z kolei ich matki i ojcowie, nieświadomi jeszcze metod bolszewickich, chodzili do domu pułkownika dowiedzieć się, co się stało z dziećmi. W ten sposób w dwupokojowym mieszkanku nagromadziło się czterdzieści osób, głównie dzieci, które w opisanych przeze mnie warunkach przeżyły trzy tygodnie. Wreszcie przyjechał jakiś wyższy oficer sowiecki i posegregował zatrzymanych. Część z nich wypuszczono na wolność, inni powędrowali do więzień.

W ciągu kilku godzin zorganizowaliśmy sieć bezpieczeństwa wokół dawnej kwatery organizacyjnej i wszystkich mieszkań, zagrożonych w związku z aresztowaniami naszych przyjaciół. Na okolicznych przystankach kolei elektrycznej, która zaczęła już funkcjonować, przez szereg dni czuwały posterunki rozstawione na zmianę. Drogi i ścieżki obserwowano z sąsiednich ogrodów od rana do późnej nocy pilnując, by nie przemknął się ktoś z zamiarem przekroczenia progu, za którym czekałaby go już śmierć lub obóz koncentracyjny w głębi Rosji. Schwywanie jednej osoby musiałoby z kolei powodować podobny los dla szeregu następnych. Toteż w mroźne lutowe czy marcowe dni stał na posterunku, często w bardzo lekkim płaszczu i przemakalnym obuwiu, nie tylko młody robotnik czy rozentuzjasmowany swym posłannictwem student. Pełniły tę straż z największą fantazją kobiety, nie uchylał się od tego obowiązku i starszy człowiek, będący nieraz na wysokim szczeblu hierarchii społecznej. W takiej bowiem walce nie ma zadań mało ważnych, ani tym bardziej zadań, których wypełnienie godziłoby w autorytet sprawowanej rangi. W rezultacie tak pojętego wysiłku wszyscy, którym groziło niebezpieczeństwo, zostali uratowani, wszystkie dokumenty zabezpieczone, nie łączności utrzymana, organizacja mogła działać dalej.

Ten tylko, kto obdarzony jest nieprzeciętną wyobraźnią, kto potrafi nie tylko rejestrować w swym umyśle opowiedziane tu fragmenty wydarzeń, ale i głęboko je przeżyć, odmałować sobie na ich podstawie obraz życia Narodu Polskiego z dnia na dzień, z godziny na godzinę przez sześć lat walki o prawo do życia, a przy tym oderwać się choć przez chwilę od tak odmiennej rzeczywistości, w której — być może — sam także walczył o los swego narodu czy jego uzasadnione prawa — jest w stanie pojąć, co się musiało dziać w duszy zbiorowej społeczeństwa polskiego, gdy

w lutym 1945 r. dowiedziano się o postanowieniach konferencji jałtańskiej.

Na cios taki nie byliśmy w Kraju przygotowani. Wiara w zwycięstwo zasad sprawiedliwości była dla całego narodu wciąż bazą jego siły. Zaufanie do sprzymierzeńców i do ich względem nas zobowiązań dawały tej wierze niezbędną podkład.

Toteż przeciętnego, szarego Polaka nic od zaufania do Anglii i Stanów Zjednoczonych odwieść nie mogło. W swym czystym sumieniu rozważał on rzecz tak: Walczymy w pierwszym szeregu w krucjacie chrześcijańskiej. Nic w tym dziwnego, że ponosimy ofiary, bo ofiar wymaga każda wielka sprawa. Śwymi trupami i zgliszczami utorowaliśmy drogę następnym szeregom, formowanym spośród sprzymierzeńców, którzy wreszcie odniosą upragnione zwycięstwo. Zwycięstwo będzie udziałem całej ludzkości, z owoców jego czerpać będzie każdy naród w tym przynajmniej stopniu, w jakim się okaże godnym tego zwycięstwa przez wkład świadomej woli, charakteru, trudu i cierpień jego synów. Walkę przyjęliśmy pierwsi, ale we wspólnym froncie z innymi potężnymi narodami, wolność miłującymi. Ich obowiązkiem, jak godnych towarzyszy broni, będzie pamiętać o losie Polski, której najlepsi synowie w trakcie walki o wspólne cele polegli w znacznej mierze z tej przyczyny, że na czas pomocy nie otrzymała. Otoczona będzie opieką, bo tak nakazuje honor rycerski. Zapewnione jej będzie korzystanie z owoców wolności, bo taki jest sens całej walki. Synom wyznaczy świat odrodzony miejsce strażników wolności, bo są z ojców, którzy udowodnili, że o tę wolność walczyć potrafią nie tylko dla siebie, ale i za innych, zapóźnionych w szeregu lub zgoła nieświadomych stopnia jej zagrożenia i katastrofy w wypadku jej utracenia. Nie było na ziemi polskiej takich, którzy by rozumowali według rozpowszechnionej później na Zachodzie zwężonej antytezy: lepsza jest żywa świnia niż poległy bohater.

W te to najgłębsze wierzenia uderzył grom. Churchill i Roosevelt podpisali 11 lutego 1945 roku zgodę na czwarty rozbiór Polski.

Na wieść o tym ogarnęło ludzi w pierwszej chwili odrętwienie. Koniec. Nie ma żadnej nadziei. Byli tacy co uważali, że z utratą wolności i niepodległości narodu traci się sens życia i wyciągali z tego konsekwencje. U innych ródził się bunt — przeklinali sprzymierzeńców, potępiali swych przywódców i szli do lasów. Słabsi płakali, jeszcze słabsi rozpoczęli poszukiwania za legity-

macją PPR-u, czy którejkolwiek z innych przybudówek komunistycznych.

Olbrzymia jednak większość narodu nie ugięła się pod ciosem. Pograżenie w rozpacz ustąpiło znowu nieugiętej woli dalszej walki. Walka ta jednak wymagała nowych założeń, aby prowadzących ją nie zżarła beznadziejność.

Po raz pierwszy zaczął przybierać na sile pogląd, który odrzuca bezkompromisowe założenia ideowe, jakimi dotychczas przepełniona była postawa społeczeństwa. „Świat rządzi się w polityce wyłącznie interesem egoistycznym“ — argumentowano. Dla swego spokoju, dla korzyści ekonomicznych, dla swych doraźnych celów gotów jest poświęcić każdej chwili swój honor, wymogi porządku prawnego i moralnego, wolność innych. Musimy i my porzucić „przestarzałe“ pojęcia i wejść na drogę polityki realistycznej, którą dyktować będzie wzgląd na nasz interes, na zachowanie się biologiczne. Ufać nie możemy nikomu, wierzyć w tryumf sprawiedliwości to znaczy ponosić dalej ofiary dla innych i w rezultacie uzyskać zapłatę w postaci jakiegoś nowego układu jałtańskiego. Należy się przyczaić, być gotowym do ułożenia się z diabłem nawet, jeśli pozwoli to zmniejszyć rozmiary katastrofy narodowej.

Prąd ten niełatwo torował sobie drogę. Społeczeństwo polskie, pozbawione życia niezależnego przez 150 blisko lat, przeniosło w sferę stosunków publicznych tę samą miarę moralną, jaka dotychczas służyła mu za kryterium w życiu osobistym, rodzinnym, wewnętrznym. Nie nauczyło się stosować podwójnej moralności: innej w życiu prywatnym a innej w życiu publicznym. Zdrowy, ideowy, wychowany w kulturze katolickiej naród organicznie nie był w stanie przyjąć postawy walki przy pomocy obłudy wobec wrogów, zakłamania wobec siebie i zdrady wobec przyjaciół.

Toteż zwykłemu uczciwemu człowiekowi w Polsce trudno było nagle przyjąć, że jego obowiązkiem obywatelskim jest głosić publicznie zachwyt z powodu zrabowania mu połowy ojczyzny — gdy zaborców moskiewskich za ten rabunek nienawidził z całej duszy. Trudno mu było przyjąć stan rzeczy w Polsce jako realizację wolnego, silnego i niepodległego państwa, skoro żywił dla nowego okupanta bezgraniczną pogardę. Zbyt głęboko był przywiązany do swojej religii, by w zamian za utrzymanie zewnętrznych form miał zrezygnować z całego jej głębokiego wpływu na życie rodzinne i społeczne. Zbyt wiele ofiarłożył na rzecz wol-

ności przez wiele pokoleń, aby godził się na zachowanie jedynego prawa niewolnika — buntu, gdy tylko ciemniejszy noga się powinie.

Polacy nie są dobrym materiałem na Wallenrodów. Kto próbuje wejść na tę drogę, szybko kończy swą karierę w więzieniu u wroga, demaskując się odrazą do lajdactwa, które musiałyby się stać jego codziennym chlebem. Jeśli zaś nie cofnie się w pół drogi i zabrnije w tym lajdactwie głęboko, nie masz większego od niego szubrawca. Odrzuciwszy raz wspólną naszemu narodowi cechę niezależności duchowej, najpierw z pozoru, dla taktyki politycznej czy życiowej, a później z całą żarliwością neofity płaszczy się wobec każdej przemocy. Ten typ polityka czy przywódcy nie ma żadnych warunków, aby kierować opinią publiczną.

Choć w owym czasie wielkie panowało zamieszanie pojęć, społeczeństwo w swej przeważającej masie odrzuciło podszeptowaną z wielu stron taktykę oportunistów wobec wroga swej wolności i swej cywilizacji. Przyjęło ono założenie, zgodne z istotnym stanem rzeczy, iż Naród Polski trwa nadal w wojnie rozpoczętej w 1939 roku przez Związek Sowiecki we współdziałaniu z zaborcą hitlerowskim. W biegu lat wojny najeźdźca hitlerowski legł, natomiast Rosja Sowiecka rozszerzyła swe władanie z ziem wschodnich na całość Rzeczypospolitej. Nie mamy sił ani środków dostatecznych, aby prowadzić walkę zbrojną z okupantem, będąc całkowicie osamotnieni. Prowadziłoby to do dalszego olbrzymiego wyniszczenia swych sił i nie mogłoby przynieść pożądanego rezultatu. Tym nieugiętej należy prowadzić walkę o utrzymanie postawy duchowej i zachowanie wszystkich wartości znamionujących naród niepodległy, świadomy celów, jakie ma przed sobą w najtrudniejszym momencie dziejowym.

Najważniejszym celem jest odzyskanie swego państwa — tak silnego, aby było zdolne zabezpieczyć Polsce trwałą byt pomiędzy imperializmem germańskim i zaborczością wschodniego sąsiada. Nie wystarczą po temu odpowiednie granice i należny potencjał ekonomiczny, a zwłaszcza przemysłowy. Naród Polski musi wywalczyć przez swą konsekwentną i wytrwałą postawę takie jeszcze dla tego państwa miejsce w świecie, aby nikt nie śmiał już nigdy w przyszłości czynić losu jego przedmiotem przetargów w tajnych konwentykłach obcych dyplomatów. Przetargi takie na pewno nie leżą w interesie trwałego uporządkowania stosunków w Europie. Nie będą też wyrazem zasad sprawiedliwości i porządku moralnego, który ma przewodzić światu. Kusić one

jednak będą zawsze obcych polityków i dyplomatów, ilekroć drogą *appeasementu* prowadzone będą usiłowania zaspokojenia apetytów żarłocznych bestii.

Dlatego dziś każdy krok, który by bezpośrednio lub pośrednio mógł być poczytany za uległość wobec zamachów na niepodległość Państwa Polskiego, na jego całość i suwerenne prawa, godziłby nie tylko w interesy żywotne narodu, ale i przesądzałby w dalszej przyszłości o jego istnieniu. W tym miejscu geograficznym Europy może się utrzymać przy życiu tylko naród wielki — w swych granicach, w swej sile potencjalnej, ale nade wszystko niezłomny duchem i wiarą w swe przeznaczenie.

Wartości duchowe, wartości ideowe nie są dziś w cenie. To prawda. Deklaracje polityków, mężów stanu pełne są zapewnień, że świat rządzić się musi zasadami demokracji, że wolność zatrumfuje, że prawo zapanuje w stosunkach międzynarodowych ponad gwałtem, ale w obecnej rzeczywistości są to tylko fałszywe karty, rzucane na stół w przekonaniu, że żyruje je siła. Tymi fałszywymi kartami próbuje się wygrać pokój kosztem słabszych fizycznie. Są oni przedmiotem naigrawań: kto wierzy naprawdę w sprawiedliwość, kto walczy o nią nie tylko pieniędzmi i środkami materialnymi, ale w ich braku rzuca na szalę wszystkie swe zasoby z żywego ciała i krwi, jest naiwny w polityce. Gdy nie ulega przemocy siły, a oszustwo nazywa po imieniu — mówi mu się, iż niczego się jeszcze nie nauczył w swych dziejach i swym „*liberum veto*“ hamuje prawidłowy rozwój stosunków między narodami pokój miłującymi. Stalin jest wielkoduszny, skoro żąda tylko granic Bugu i Sanu — przecież Rosja po rozbiorach Rzeczypospolitej sięgała po Kalisz i z tej wojny trzydziestoletniej wychodzi wciąż jeszcze ze stratami w Europie. Rosja ma prawo do zabezpieczenia swych granic na zachodzie nowymi nabytkami terytorialnymi. Ta biedna, pokojowa Rosja musi zabezpieczyć granice przed agresywną, imperialistyczną Polską... Widocznie Polska zagrażała jej w 1939 r. najazdem i w tym celu zawierała z Hitlerem w przededniu wojny układ o rozbiorze Związku Sowieckiego?

Tego wszystkiego dowiadywało się stopniowo społeczeństwo w kraju. Mówiły o tym trzeźwe fakty w postaci uchwał alian-tów, ubranych w pompatyczne zwroty o „silnej, niezależnej i wolnej Polsce“, podawanych ze złośliwymi komentarzami przez komunistyczną prasę codzienną... O wiele bardziej bolesne były wieści przez radio, słuchane wówczas jeszcze gdzieś w piwnicy,

na strychu lub w leśnym schronieniu, a przekazywane dalej w biuletynach drukowanych pośpiesznie na powielaczu. Bo tym wierzone, że nie są sfalszowane. Widziałem, jak w Leśnej Podkowie kilku milicjantów wyprowadzało pod dowództwem NKWDzistów z jednej takiej kryjówki siwego, pochylonego radykała, redaktora-maniaka, który w ostatnich już miesiącach nie dojadł, chodził oberwany, ale na własny koszt drukował i sam kolportował słowo z Zachodu. Niósł pod pachą staruszek plikę komunikatów z ostatniej nocy, które zapowiadały niewolę bolszewicką w imię pokoju ludzkości, a w nagrodę maszerował do więzienia.

Wielkie to szczęście dla Narodu Polskiego, że w tych ciężkich miesiącach nie załamał się na duchu pod wpływem wiadomości dochodzących z obozu sprzymierzonych — skąd tylko mogło przyjść wsparcie dla zdziesiątkowanych w walce, wyniszczonych materialnie i zagubionych w odmęcie chaosu. Jeszcze większe było to szczęście dla ludzkości. Pomyślcie bowiem, na jakich fundamentach wspierać by się wówczas mogła budowa w najodleglejszej nawet przyszłości porządku w Europie, opartego na zasadach cywilizacji chrześcijańskiej?

Polska była sprzymierzeńcem Zachodu, Polska była w obozie aliantów, Polska była nominalnie zwycięzcą, Polska była największym krajem w tym miejscu Europy i krajem jednej z najstarszych cywilizacji. Gdyby porzuciła sztandar tej cywilizacji i z rozpacz czy zemsty, bądź w poczuciu bezsilności przeszła naprawdę do obozu sowieckiego, czyż nie połużyłoby to za przykład dla innych mniejszych, w gorszym położeniu politycznym się znajdujących narodów? A wówczas 115 milionów: Polaków, Czechów, Słowaków, Węgrów, Rumunów, Jugosłowian, Bułgarów i Bałtów, rozczarowanych do zgniłego, zakłamanego Zachodu, przesunęłoby granice barbarzyństwa do samego serca Europy, to znaczy w serce świata.

Nie można budować porządku, sprawiedliwości, wolności i dobrobytu powszechnego na papierowych deklaracjach i bezdusznych, nieopromienionych wiarą wewnętrzną oświadczeniach mężów stanu. Jeśli się nie ma siły lub woli ich realizować, lepiej milczeć. Choć takie deklaracje niewiele kosztują ich autorów, płaci za nie ludzkość cenę ogromną. Bo wśród milionów i setek milionów ludzi rodzi się i pogłębia tą drogą przekonanie, iż sprawiedliwość na tym świecie jest nieosiągalna. Wolność może być oparta tylko na sile własnej i poświęceniu wolności innych. Dobrobyt powszechny jest mrzonką — własny, ciasno pojęty, inte-

res egoistyczny jest jedyną wartością istotną. Czyż węzeł międzynarodowej solidarności robotniczej miał kiedykolwiek niższy wyraz w stosunku do opuszczonych, pozbawionych ojczyzny, wolności i pracy towarzyszy, jak dzisiaj, gdy frazes o tej solidarności panuje wszechwładnie? Tak straszliwe zdeprecjonowanie wartości ideowych w masach społecznych jest w znacznej mierze spowodowane tym, iż w polityce stało się rytuałem używanie szczytnych haseł dla pokrywania hańbiących tranzakcji.

Ale społeczeństwo polskie, poczynając od prostego włościanina, czy zwykłego robotnika poprzez skromnego urzędnika, drobnego kupca, rzemieślnika, a kończąc na przywódcach narodu, dokładnie zdaje sobie sprawę, iż w ostatecznej fazie rozgrywka o to, na jakich zasadach toczyć się będzie życie na ziemi, dokona się w płaszczyźnie walki ideowej. Burzowiny, przesłaniające dziś zagotowaną materię ludzką, opadną. Wtedy okaże się, iż oko w oko stanęły wobec siebie dwa potężne wyznania wiary. Jedno fanatyczne, dynamiczne, w zachłanności nie mające granic czasu i przestrzeni, które głosi zagładę świata starej cywilizacji. Nie sie ono z sobą śmierć narodom, niewolę człowiekowi, wyzwolenie najniższych instynktów i zaprzeczenie wartości duchowej życia. Do rozprawy z nim stanie wyznanie drugie, oparte na dorobku tysięcy lat, które jest naszą własnością, świata chrześcijańskiego. Ma ono niezliczone miliony wyznawców, rozproszonych po świecie, nie wyłączając obozu wroga. Jego treścią jest miłość człowieka, wypływająca z przykazań Boga; jego fundamentem wolność jednostki i społeczeństw, oparta na prawie, mierzona sprawiedliwością; jego spoidłem jest wspólny dla wszystkich porządek cywilizacji zachodniego chrześcijaństwa. Między tymi wyznaniem kompromisu nie ma.

Toczy się śmiertelna walka materii z duchem. Kto głosi, że osiągnie pokój zakreślając dla świata ducha granice na linii Łaby czy Odry i Nisy w Europie, na granicy Mandżurii czy przez środek Korei w Azji, a pozostawiając władztwu ślepej, groźnej materii resztę kuli ziemskiej, ten popełnia więcej niżli zbrodnię. Popełnia straszliwy błąd. Kto przenosi tę walkę gdzieś na nieokreśloną przyszłość, a teraz pragnie tylko trochę spokoju i trochę dostaw produktów żywności z za „żelaznej kurtyny“, ten rozczaruje się szybko i głęboko.

Mechaniki nadchodzących wydarzeń nikt tak nie rozumie, jak mieszkaniec Polski. Jest bogaty w doświadczenia historyczne, w naoczne świadectwa milionów swoich współrodaków, którzy

byli w Rosji, w jej więzieniach, w jej obozach koncentracyjnych, poznali szkołę ideową komunizmu. Co dnia obserwuje we własnym życiu bezwzględne prawa, rządzące totalitarnym, barbarzyńskim bolszewizmem, jego wewnętrzną logikę. Nie ma tych złudzeń, jakimi się karmią różne pięknoduchy na Zachodzie, nie popełnia tych błędów, jakie są udziałem wielu nieszczęśliwych, zmęczonych, szukających zmiany w swym trudnym położeniu osobistym, biednych ludzi zniszczonej Europy.

Polacy w kraju wierzą w ostateczne zwycięstwo cywilizacji zachodniej. Wiara ta wypływa z głębokiego instynktu narodu tak doświadczonego przez los. Ona podtrzymuje jego siły i daje mu potrzebne wytrwanie. Może niejeden przewrażliwiony, histeryzowany inteligent machnął w owe czasy ręką i powiedział sobie: „wszystko stracone“. Ale robotnik, chłop zachował niewzruszone zaufanie, że „diabli wezmą bolszewików, tak jak wzięli Niemców. Tylko niech się tam coś w głowie uporządkuje u tych Amerykanów i Anglików“.

Ta naiwna formuła, którą często zdarzało mi się słyszeć na wsi, w lesie lub przygodnej wędrownicy, wyraża istotę zagadnienia. Lapidarnie ujmuje ona warunek zwycięstwa.

Zwycięstwo nad pohańbieniem praw i wolności ludzkiej, nad nędzą powszechną, nad strachem wszechwładnym zależy od tego, jak szybko społeczeństwa anglosaskie, odpowiedzialne dziś za losy świata, „uporządkują“ w swej opinii problem bolszewizmu. Zależy od tego, kiedy sobie uświadomią, że nie wystarczy w oczekiwaniu na atak trzymać w pogotowiu samolotów na lotniskach czy nawet bomby atomowej. Trzeba bez chwili zwłoki przejść samemu do generalnego ataku najpotężniejszą z broni w walce idei — siłą własnych idei.

Te idee muszą się jednak ukazać w majestacie prawdy. Tylko wtedy porwą one za sobą miliony wyznawców, tylko wówczas światło ich przeniknie do obozu wroga. Pamiętać trzeba, że najczulszym odbiornikiem jest masa ludzka. Ona natychmiast uchwyci każdą nutę fałszywą, każdy odcień niepewności czy ton niewiary.

Te idee muszą mieć siłę w konsekwencji, z jaką będą realizowane. Jakaż może być siła przyciągająca wolności, za którą wczoraj kazano walczyć Polakom, a dziś ogranicza się ją do Greków. Jutro może przestać obowiązywać Francuzów, pojutrze zawiśnie groza nad Zjednoczonymi Stanami Ameryki.

Wielkie idee powołują zawsze duchowych przywódców. Czas,

aby się oni ujawnili. Aby ujęli ster opinii wolnych narodów silnie w swoje dłonie. Aby przerwali to tragiczne widowisko, którego jesteśmy bezsilnymi świadkami. Istnieje stare ludowe powiedzenie: „Diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni“. Oddaje ono wiernie obraz naszej rzeczywistości: Stalin, który dzierży w swych koncentracyjnych obozach kilkadziesiąt milionów ludzi, głosi dziś słowo o pokoju. Stroi się w szaty oswobodziciela narodów, zagarnąwszy świeżo w niewolę co najmniej dziewięć spośród nich w samej Europie. Rozdaje komunę demokracji jako najwyższy kapłan, zatruwając dusze wiernych jej zasadom społeczeństw przez sianie nienawiści, rozkładu wewnętrznego i zwątpienia we wszystko, co w demokracji jest szlachetne i prawdziwe. A do mszy służą mu reprezentanci zachodniej cywilizacji w obawie, że inaczej msza się w ogóle nie odbędzie... Inni się ludzą, że może diabeł, gdy ornat nałoży, przemieni się w archaniola...

Wolność i sprawiedliwość dla każdego człowieka i dla każdego społeczeństwa, pokój dla wszystkich dobrej woli, są tak wspaniałym dobrem a równocześnie tak potężnym orężem, że przynoszą zawsze zwycięstwo tym, którzy o nie potrafią walczyć, walkę prowadzą nieustępliwie i bezkompromisowo, stawiając na swym czele uduchowionych przywódców, a nie tchórzliwych oportunistów.

Polacy w kraju wciąż wierzą, że tę walkę narody cywilizacji zachodniej poprowadzą i świat będzie uratowany. Jeśli zaś w jej biegu dojdzie do ponownego straszliwego kataklizmu zbrojnego i ogromnych ofiar, to nie dlatego, że wypowiedziana została wojna idei, lecz dlatego tylko, że ją obrońcy cywilizacji chrześcijańskiej wypowiedzą za późno, trwając w beznadziejnej, bezideowej, pełnej wahań i niekonsekwencji, defensywie.

Takie było stanowisko olbrzymiej większości Narodu Polskiego w 1945 roku — po sześciu blisko latach walki z najeżdżcą hitlerowskim, a po kilku miesiącach powtórnego najazdu sowieckiego na jego ziemię, zgliszczami i mogiłami pokryte. Przy nim Naród Polski trwa nadal.

VII.

W kilka tygodni po podpisaniu układu w Jaltie Sowiety zainicjowały grę jedną z najbardziej perfidnych, jakie zna historia. Zdecydowały zwrócić się wprost do polskiego państwa podziemnego z propozycją wszczęcia bezpośrednich rozmów.

Jak wiadomo, pomiędzy Rosją a Rządem Polskim w owym czasie nie było żadnych stosunków dyplomatycznych. Zdawaliśmy sobie też dokładnie sprawę, iż Związek Sowiecki chciał za wszelką cenę uniknąć pośrednictwa rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w rozwiązywaniu problemu polskiego. Dlatego logiczne było, iż oferta prowadzenia rozmów zgłoszona została przez przedstawicieli dowództwa armii okupującej polskie terytorium.

Oferta, sformułowana w dniu 6 marca na piśmie przez pułkownika gwardii Pimonowa, mówiła o konieczności spotkania się delegata rządu w kraju z przedstawicielem dowództwa frontu, generałem - pułkownikiem Iwanowem, „w atmosferze wzajemnego zrozumienia i zaufania, które pozwoli na zdecydowanie bardzo ważnych zagadnień i nie dopuści do ich zaostrzenia“.

Takie ogólnikowe ujęcie celu nawiązania łączności pomiędzy dowództwem obcych wojsk i delegatem Rządu Polskiego na Kraj, dawało wszelkie podstawy do komentowania inicjatywy rosyjskiej jako mieszczącej się w granicach uprawnień wojsk okupacyjnych, zakreślonych przez umowy i zwyczaje międzynarodowe.

Każda armia, zajmwszy obcy kraj, ma prawo a nawet obowiązek zwrócić się do miejscowych władz cywilnych o powołanie, względnie utrzymanie administracji kraju, zapewniającej ład i porządek w obrębie okupowanego terytorium tak długo, aż przyszłe traktaty międzynarodowe nie przesądzą o dalszym losie tych ziem. O tej zasadzie prawnej nie pamiętał wprawdzie w tej wojnie Hitler, nie śniło się stosować jej i Rosji. Niemniej przeto stworzenie pozorów, choćby najbardziej mglistych, że polityka rosyjska przystępując do rozwiązywania problemu polskiego za-

mierza uszanować normy prawa międzynarodowego, nadawało od razu inicjatywie rosyjskiej duże znaczenie.

Kierownicy polityki W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych musieli się w owym czasie dokładnie orientować, że Związek Sowiecki zmierza do pochłonięcia całej Polski. Próbowali stawiać temu opór przy pomocy perswazji dyplomatycznych, sądzili początkowo naiwnie, iż zaspokoją jego apetyt połową terytorium polskiego, a później troszczyli się, sądząc szczerze, już tylko o zachowanie substancji narodu. Pochłonięci niedorzeczną ideą zbudowania trwałego pokoju na świecie kosztem ofiary z wolności Polski, powracali często myślą do jej losu, głośząc wyrzuty sumienia i ludzkie współczucie gruntowaniem w sobie poczucia bezradności.

Ale oto Rosja znowu wystąpiła z wielkoduszną inicjatywą — przez długie lata tak w języku dyplomatów zachodnich nazywano każdy krok Stalina zmierzający konsekwentnie do zniszczenia Narodu Polskiego. Rosja wyciąga rękę w stronę społeczeństwa polskiego. Nie można jej odrzucić. Nie możecie brać na siebie odpowiedzialności za mącenie dobrych stosunków między wielkimi sprzymierzonymi narodami. Nie gubcie swojego narodu stawianiem sprawy zbyt zasadniczo, może nie będzie drugiej tak wspólniejszej okazji do porozumienia się z wielkim Stalinem, który nas zapewnia, iż chce Polski wielkiej, potężnej i niepodległej — takie oto były echa z Zachodu na pierwszą wieść o liście pułkownika Pimonowa.

Rząd Polski w Londynie, który niezwłocznie informował państwa sprzymierzone o wszystkich krokach podejmowanych przez stronę sowiecką, lojalnie przekazywał Krajowi gorącą zachętę rządów W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych do przyjęcia zgłoszonej oferty. Równocześnie jednak nakłaniał do wielkiej ostrożności i przestrzegał przed niebezpieczeństwem zbyt dowiezania lojalności sowieckiej.

Stanowisko rządów państw sprzymierzonych przesądziło o decyzji polskiego podziemia. Bez względu na to, co się kryje za propozycją sowiecką, odrzucenie jej w tych warunkach pozwoli głosić Rosji, że chciała szczerze porozumieć się z Polską i usunąć wszystkie przeszkody stojące na drodze do ustanowienia dobrych i trwałych z nią stosunków, że chciała powierzyć władzę na terytorium Polski w ręce jej prawdziwych gospodarzy, ale stanowisko samych Polaków jej to uniemożliwiło. Było widoczne, że i Wielka Brytania i Stany Zjednoczone pogląd ten zaakceptują.

Oczywiście, były i inne względy: rozpaczliwy stan chaosu, gra-

bież i masowe wywożenie mienia polskiego pod pozorem, że stanowi ono łup zdobyczny na Niemczech; nieustanne wywożenie tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi prostych, Bogu ducha winnych, w głąb Rosji na zaturę; brak perspektywy jutra, przeświadczenie o kompletnym opuszczeniu. Wszystko to kazało szukać jakiejś drogi wyjścia z sytuacji — choćby najtrudniejszej, drogi najbardziej nieprawdopodobnej, aby ulżyć dolę narodu.

Na przyjęcie oferty sowieckiej nalegali przedstawiciele polskich ludowców, którzy za przykładem Mikołajczyka w Londynie postanowili oprzeć politykę polską na zaufaniu do dobrej woli Rosji Sowieckiej. Istniało realne niebezpieczeństwo, że Polskie Stronnictwo Ludowe zdecyduje się nawet porzucić wspólny front narodowy na rzecz tej polityki.

Polska Partia Socjalistyczna rozszyfrowana już była przez komunistów w znacznym stopniu. W związku z tym nosiła się z zamiarem ujawnienia swej organizacji. Z kolei musiałaby też szukać jakiegoś „modus vivendi“, aby uchronić wszystkich swych działaczy przed natychmiastowym aresztowaniem.

Ten stan rzeczy nakazywał przywódcom polskiego podziemia rozważyć również, czy należy dopuścić w tym najtrudniejszym momencie historycznym Polski nawet do pozorów załamania się jednolitej dotychczas postawy Kraju wobec najeźdźców, a politykę Państwa Polskiego zmienić w politykę poszczególnych partii polskich. Wzgląd ten tym bardziej był doniosły, że kapitał jedności w szerokim społeczeństwie był nienaruszony i powszechnie doceniano jego wartość. Przynależność partyjna przestała być problemem — każdy chciał tylko być dobrym Polakiem. Toteż i wielu spośród moich przyjaciół politycznych, którzy oceniali sytuację niezmiernie trzeźwo, godzili się, aczkolwiek z ciężkim sercem, na drogę nowych doświadczeń, które wykażą nie tylko opinii Zachodu, ale i niektórym spośród rodaków całą bezpłodność i szkodliwość ich złudzeń.

Powyższe przesłanki zdecydowały, że Rada Jedności Narodowej, zastępując parlament, jednomyślnie zaakceptowała decyzję wicepremiera i delegata rządu na kraj, Jankowskiego, rozpoczęcia rozmów z przedstawicielem władz sowieckich.

Pismo pułkownika gwardii Pimonowa doszło do podziemia za pośrednictwem jakiegoś byłego oficera armii polskiej, usuniętego z niej jeszcze przed wojną za nadużycia. Generał Okulicki, jak to potwierdził na rozprawie sądowej w Moskwie, znał tego oficera dawniej, uważał go za pokrzywdzonego niesłusznym posądzeniem

i żywił do niego zaufanie. Toteż autentyczność listu i szczere intencje oficera w oparciu o opinię Okulickiego nie budziły podejrzeń. Mimo to postanowiono działać ostrożnie.

Zbadanie gruntu i przeprowadzenie wstępnych pertraktacji polecono panu Józefowi Stemmlerowi, byłemu wieloletniemu prezesowi Macierzy Polskiej, czcigodnemu obywatelowi kraju, który za swą działalność na polu oświaty i opieki społecznej zdołał już odsiedzieć w czasie wojny kilka lat w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Niezaangażowany w żadnym kierunku życia politycznego, obiektywny w sądzie, a przy tym świetnie władający językiem rosyjskim, wydawał się być odpowiedni do tej roli.

Strona sowiecka wyznaczyła jako swego łącznika niejakiego pana Chodkiewicza. Osobnik ów twierdził, iż jest Polakiem z pochodzenia, a nawet wywodził swe koligacje od wielkiego polskiego hetmana. Chodkiewicz, starszy, cywilny mężczyzna, starał się okazywać jak największą życzliwość i zrozumienie dla położenia Polaków i w sprytny sposób rozwijał wspaniałe perspektywy dla bezpośrednich rozmów sowiecko-polskich. Zaprowadził on p. Stemmlera do dowództwa wojsk sowieckich, gdzie go zetknął z pułkownikiem gwardii Pimonowem.

Pimonow okazał się oficerem niezwykle gładkim i bardzo inteligentnym. Zgodził się łatwo na postulat, aby ewentualne pertraktacje pomiędzy przedstawicielami Rządu i przywódcami polskiego podziemia z jednej strony, a przedstawicielami władz sowieckich z drugiej strony, poprzedzić nieoficjalnymi rozmowami, które by wyjaśniły, jaki ma być zakres tych pertraktacji i czy jest dla nich dostatecznie przygotowany grunt. Potwierdził też uroczyście swe oświadczenie, zawarte już uprzednio w piśmie do wicepremiera Jankowskiego, iż gwarantuje słowem oficera sowieckiego całkowite bezpieczeństwo Polaków, którzy w tych rozmowach będą brali udział.

Na tej podstawie odbył się w czasie pomiędzy 17 i 27 marca szereg poufnych rozmów. W umówionym miejscu samochód sowiecki czekał na reprezentantów polskiego podziemia i zawoził ich do głównej kwatery wojsk rosyjskich. Po odbytej naradzie odstawiono Polaków z kolei tam, dokąd żądali. Otaczała te przejazdy atmosfera całkowitej dyskrecji.

Pierwszą rozmowę odbył osobiście wicepremier Jankowski z pułkownikiem Pimonowem, w następnych brali udział kolejno ministrowie i przedstawiciele głównych partii politycznych w Polsce. Pułkownik Pimonow oświadczył, iż do prowadzenia rozmów

z nami otrzymał pełnomocnictwo od rządu moskiewskiego marszałek Żukow, głównodowodzący wojskami sowieckimi. Celem tych rozmów jest przede wszystkim zabezpieczenie porządku i bezpieczeństwa na tyłach Czerwonej Armii w czasie, gdy przystępuje ona do swej ostatniej ofensywy przeciw Niemcom. Okazało się, że Komitet Lubelski tego bezpieczeństwa zapewnić nie jest w stanie, gdyż nie posiada posłuchu w społeczeństwie polskim. W ogóle cała impreza z tym Komitetem jest nieudana. Dlatego zrodziła się myśl, aby nawiązać łączność z rządem podziemnym w Polsce i spróbować oprzeć się na jego autorytecie w uporządkowaniu stosunków na „wyswobodzonych“ ziemiach. Wojsku sowieckiemu chodzi o wyjaśnienie w związku z tym, czy polskie kierownictwo podziemne gotowe jest się ujawnić, a w szczególności czy i na jakich warunkach ujawnią się stronnictwa polityczne? Czy gotowe są zapewnić całkowite bezpieczeństwo tyłom armii sowieckiej i nakazać zaprzestanie prowadzonej akcji terroru i sabotażu? Czy i na jakich warunkach mogłaby się ujawnić i rozpocząć działanie administracja cywilna? Zakreślając w ten sposób plan rozmów Pimonow oświadczył, iż dyskusowanie wielu innych podstawowych różnic, jakie dzielą Polskę z Rosją, jak na przykład kwestii granic, czy sposobu ustanowienia rządu nie należy do kompetencji wojska. Jednakowoż podkreślił, iż dojście do skutku porozumienia na płaszczyźnie bezpieczeństwa armii sowieckiej, operującej na ziemiach polskich, będzie uważane przez Rosję jedynie za wstęp do dalszych przyjaznych pertraktacji w szerszej skali.

Stronie polskiej dogadzało takie postawienie sprawy. Idąc po linii zasad prawa międzynarodowego, nie naruszało, przynajmniej w teorii, suwerenności Państwa Polskiego. Pozostawiało też w rękach Rządu Polskiego w Londynie ster w zagadnieniach, które wysunięte zostały na czoło przez decyzje jałtańskie, i nie zmuszało kraju do podejmowania historycznych decyzji bez możliwości należytego zorientowania się w sytuacji międzynarodowej. Równocześnie dawało szanse poprawy i jakiejś takiej pacyfikacji stosunków w kraju. W kołach polskich zaczęto przypuszczać, iż Rosja Sowiecka chce nawet drogą pewnych ustępstw na rzecz Polski wymanewrować W. Brytanię i Stany Zjednoczone od udziału w dalszych decyzjach co do jej losu i postawić państwa te przed faktem dokonanym.

Przystąpiono następnie do przedyskutowania poszczególnych zagadnień, objętych planem rozmów. Pimonow czynił gorzkie

wyrzuty twierdząc, iż nieujawnianie się polskiego podziemia i pozostawanie w ukryciu dowodzi *implicite* wrogości stosunku do Rosji. Gdy omawiano zagadnienie sabotażu na tyłach armii sowieckiej, Pimonow przedstawił listę strat poniesionych przez Sowiety w ludziach i mieniu na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w ciągu ubiegłych kilku miesięcy swej władzy. Domagał się rozwiązania Armii Krajowej. Równocześnie sondował możliwości współpracy społeczeństwa polskiego z władzami wojskowymi na odcinkach administracji cywilnej. Bardzo starannie badał postawę polityczną poszczególnych stronnictw w stosunku do Rosji.

Postawa wszystkich przedstawicieli polskich była godna. Choć na ogół dyskutowali z Pimonowem osobno, zajmowali stanowisko całkowicie jednolite. Pomiedzy ludowcami, którzy szli na te rozmowy bez zastrzeżeń, i przedstawicielami Stronnictwa Narodowego, którego opinia była w stosunku do podjętej inicjatywy krytyczna, w wypowiedziach nie było żadnych różnic.

Oświadczali oni, iż aparat podziemnego Państwa Polskiego miał służyć ustanowieniu ładu w granicach tego państwa z chwilą, gdy Niemcy opuszczą okupowane terytoria. Zgodnie z tym założeniem funkcjonariusze polscy obejmowali swe posterunki po nastaniu pierwszych możliwości. Winą jedynie Rosji jest, iż aresztując ich wszystkich nie dopuściła do ujawnienia się administracji państwa w całym kraju. Stronnictwa polityczne nie tały faktu swego istnienia z chwilą, gdy wojska sowieckie zajęły ziemie polskie. Nie rejestrowały się, gdyż zgodnie z prawami polskimi do rejestracji nie były obowiązane. Miały zamiar przystąpić do jawnej i wielostronnej działalności. Od chwili wkroczenia wojsk sowieckich do centralnych ziem polskich do daty rozpoczęcia rozmów obecnych upłynęło zaledwie około sześciu tygodni — w tym zaś okresie czasu zaaresztowano już szereg wybitnych przedstawicieli tych stronnictw, którzy oczywiście nie zdołali, nawet gdyby chcieli, rozwinąć wobec Rosji jakichkolwiek działań wrogich. Ten przede wszystkim stan rzeczy powstrzymuje stronnictwa od ujawnienia się w pełni. Kierownictwo polskiego podziemia nie ma wiadomości o faktach sabotażu i terroru na ziemiach wschodnich, stosowanego przez Polaków przeciw armii sowieckiej i jej urządzeniom. Brak środków łączności i oddzielenie frontami armii i kordonami policji bezpieczeństwa uniemożliwiało otrzymywanie stamtąd regularnych informacji. Rozkazów jednak prowadzenia takiej akcji nie było, a fakty strat poniesio-

nych przez wojska sowieckie tłumaczyć się mogą jedynie samoobroną Polaków, których się pozbawia prawa przynależności do Polski, gromadnie arestuje i wywozi w głąb Rosji.

Rozmowy były niekiedy bardzo burzliwe, zawsze jednak utrzymane na poziomie. Gospodarz podejmował swych gości w kwarterze dowództwa wojsk sowieckich śniadaniem, zakrapianym czasem wódką. Uwagi strony polskiej pilnie notował. Wreszcie oznajmił przyjęcie wszystkich warunków wysuniętych przez stronę polską, których dopełnienie miało poprzedzić rozpoczęcie formalnych pertraktacji polsko-rosyjskich.

Strona sowiecka, jako wyraz dobrej woli w stosunku do społeczeństwa polskiego, zwolni wprzód tych przywódców podziemia, których zdołała już arestować, przede wszystkim zaś zwolni Aleksandra Zwierzyńskiego, prezesa Stronnictwa Narodowego. Następnie władze sowieckie umożliwią jeszcze przed rozpoczęciem rozmów oficjalnych bezpośredni kontakt przywódców Kraju z Rządem Polskim w Londynie. Uzgodniono, iż władze wojskowe dostarczą samolotu sowieckiego, którym uda się do Londynu ośmiu upełnomocnionych reprezentantów kraju dla odbycia narad ze swoim Rządem, przy czym zobowiążą się oni słowem, iż wszyscy powrócą.

Pimonow dodał ze strony sowieckiej tylko jeden warunek, a mianowicie, by przed wyjazdem reprezentantów kraju do Londynu odbyło się pierwsze oficjalne spotkanie pomiędzy stroną polską, reprezentującą kierownictwo polityczne i zbrojne podziemia a stroną rosyjską, której imieniem wystąpi najprawdopodobniej marszałek Żukow, mający od Stalina szerokie pełnomocnictwo do działania. Stronie sowieckiej, jak wyjaśnił, zależy na spacyfikowaniu w ten sposób nastrojów w polskiej opinii publicznej i stworzeniu właściwego klimatu dla dalszych skutecznych pertraktacji. Jako formę spotkania zaproponował Pimonow śniadanie, które władze sowieckie wydadzą na cześć reprezentantów polskich. Gorąco nalegał, aby w tym śniadaniu wziął udział również generał Niedźwiadek-Okulicki, dowódca Sił Zbrojnych w kraju, który w dotychczasowych nieoficjalnych rozmowach nie uczestniczył.

Pierwotnie ustalono termin tego śniadania na dzień 26 marca. Jest bardzo interesujące, iż Pimonow niemal w ostatniej chwili przełożył ten termin na dzień następny, dając do zrozumienia, iż oczekuje na przybycie z Moskwy jakichś wybitnych przedstawicieli sfer rządowych, którzy prawdopodobnie wezmą

udział w tym spotkaniu. Nie wyobrażam sobie, aby NKWD potrzebowało jeszcze dodatkowych dwudziestu czterech godzin dla technicznego uchwycenia nas w pułapkę. Natomiast odwrotnie, mogło się obawiać, iż każda godzina opóźnienia w wykonaniu ich planu spowoduje jego udaremnienie, czy to przez informacje płynące z Londynu, czy też wskutek nieufności, jaka przecież grała bardzo silnie w środowisku polskim. Musiała zatem istnieć jakaś poważna przyczyna zwłoki. Sądzę na podstawie i późniejszych już obserwacji biegu wydarzeń, iż początkowe intencje władz wojskowych sowieckich mogły być inne od użytku, jaki władze polityczne postanowiły następnie zrobić z kontaktu z kierownictwem podziemia polskiego. Ta różnica poglądów może tłumaczyć odłożenie o 24 godziny zamierzonej naszej likwidacji.

W dotychczasowych nieoficjalnych rozmowach nie uczestniczyłem. Nie miałem do nich zaufania. Zgadzałem się zresztą z moimi przyjaciółmi politycznymi w tym, iż biorąc od szeregu lat udział w kierowaniu zbrojnym wysiłkiem obozu narodowego w walce z okupantami, nie powinienem być pierwszym, który im się ujawni. Byłem jednak w biegu wszystkich rozmów, odczuwałem konieczność określenia im ram nieprzekraczalnych. W Kraju wyrażałem zawsze opinię żywiołów nieulegających psychicznie naciskowi sytuacji. Toteż z chwilą, gdy zakomunikowano mi o uzgodnionym planie wyjazdu pełnomocnych reprezentantów społeczeństwa do Londynu, uznałem za ważne wziąć udział w tej reprezentacji. Na tle tekstu uchwał jałtańskich było logiczne, iż przedstawiciele polscy będą „konsultowani“ przez rządy wielkich mocarstw co do stanowiska Kraju względem powziętych przez nich uchwał o przyszłym losie Państwa Polskiego. Uważałem, iż nie wolno mi w tym wypadku uchylić się od możliwości wyrażenia wobec świata tego, co było niezłomną wolą wszystkich żywych sił w społeczeństwie. Decydując się na wyjazd do Londynu, musiałem przed tym wziąć udział w pierwszym spotkaniu z marszałkiem Żukowem.

Piękny był ranek 28 marca. Słońce przygrzewało tak silnie, iż choć się w Polsce zima ledwo o tej porze kończy, narzuciłem na siebie tylko lekki płaszcz gumowy i ruszyłem w drogę do Pruszkowa, wspomnianego już wyżej miasteczka podwarszawskiego, w którego pobliżu mieściła się siedziba dowództwa wojsk sowieckich. Kilku przyjaciół, wyraźnie zaniepokojonych, żegnało mnie silnym uściskiem dłoni. Obawiali się o mój los, choć na ogół nikt nie przewidywał, aby aresztowanie mogło nastąpić już

w tym etapie pertraktacji. Punkt zborny członków delegacji wyznaczony był na stacji kolejki elektrycznej. Z różnych stron zaczęli się zjeżdżać i schodzić po raz pierwszy tak licznie i od sześciu lat po raz pierwszy tak jawnie przywódcy Kraju.

Różne mieli frasunki. Oto na śniadanie do naczelnego wodza potężnej armii rosyjskiej nie wypada pójść w tych lachmanach, w których, po szczęśliwym ocaleniu się z powstania warszawskiego, zwykł był człowiek chodzić. Rosjanie gotowi to potraktować jako wyraz lekceważenia ich i obrazić się. Zapomnieli już przecie o okresie rewolucji 1917 roku i dziś błyszczą im mundury świetnością barw i mnogością orderów.

Kazimierz Bagiński nie miał na sobie przyzwoitych butów. Uprosił więc żonę, która gdzieś się wystarała o nowe zamszowe buty i przywiozła mu je do Pruszkowa na stację. Wdziął przy nas nowe buty, a stare zostawił u sprzedawcy gazet na dworcu, mówiąc, iż przyjdzie je odebrać mniej więcej za dwie godziny.

Drugi nasz towarzysz miał w swej dyspozycji spodnie sztuczkowe. Zamiast jednak marynarki została mu się tylko zielona kurtka myśliwska, w której nijak było brać udział w dyplomatycznym zebraniu. Z trudem odnalazł jakiegoś znajomego krawca warszawskiego, który uruchomił po powstaniu swój warsztat w jednej z okolicznych wiosek — i pożyczycył od niego ciemną marynarkę. Krawiec kroił ją na obstalunek dla swojego klienta. ponieważ jednak spodnie nie były jeszcze gotowe, mógł ją śmiało odstąpić na jeden dzień dla tak ważnej okazji. Biedak ani się domyślał, że kurtka powędruje aż do Moskwy i wróci do niego dopiero po wielu, wielu miesiącach.

Nic to jednak było w porównaniu z kłopotami generała Okulickiego. Bronił się on przed myślą wzięcia udziału w pertraktacjach z Rosjanami bardzo długo. Ciężyły mu okrutne wspomnienia z pobytu w więzieniu moskiewskim w latach 1939-41. Znał już Rosję *from personal experience*. Był ostrzegany przez swe zwierzchnie dowództwo w Londynie. Jako karny żołnierz uległ jednak decyzji wicepremiera rządu, Jankowskiego. Opatrzność postanowiła go bronić. Spóźnił się na pociąg, którym mógł dojechać na czas na umówione spotkanie. Wyszedł wtedy na szosę, zatrzymał przejeżdżający jakiś samochód i namówił szofera, aby go podwiózł. Samochód zepsuł się w pół drogi. Generał Okulicki znowu bezradnie czekał na jakikolwiek inny środek komunikacji. Nawinął mu się rowerzysta. Dobił z nim transakcji i rowerem zajechał po swój los do głównej kwatery wojsk sowiec-

kich. Dowiedziałem się o tym w Moskwie po ukończeniu naszego przewodu sądowego, gdy w oczekiwaniu na wyrok wymienialiśmy sobie kątami ust wzajemne przeżycia.

O 12-ej w południe zebrali się w Pruszkowie wszyscy prócz wicepremiera Jankowskiego, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, Pużaka oraz generała Okulickiego. W każdej następnej minucie rosło zaniepokojenie o los trzech czołowych naszych kolegów. Wywiad doniósł, iż pp. Jankowski, Pużak i Okulicki udali się jeszcze poprzedniego dnia wieczorem do dowództwa sowieckiego dla ostatecznego przedyskutowania dzisiejszej narady i dotychczas nie wrócili do domów. Również, mimo solennych zobowiązań, nie został dotychczas zwolniony prezes Zwierzyński.

Rozrzuciliśmy się grupkami, oglądając się wokoło za przypuszczalnie rozstawionymi agentami NKWD. Jeden z członków rządu podziemnego, p. Traugutt, zdecydował, iż pójdzie sam sprawdzić sytuację na kwaterze rosyjskiej, i kazał nam czekać na swój powrót. Wywiad doradzał próbować ucieczki. Nie była to już w owym czasie rada skuteczna i na czasie. Bylibyśmy wtedy z pewnością wylapani i wyaresztowani, nie mając nawet możliwości bronić swego charakteru „nietykalnych posłów“.

Wątpliwości nasze rozproszył Józef Stemmler, który idąc od strony siedziby sowieckiej szerokim gestem ręki zapraszał do udania się na śniadanie. Spędził on już w niej dwie doby w charakterze łącznika delegacji polskiej, tłumacząc różne przedstawione bolszewikom dokumenty i memoriały. Był optymistą co do rozwoju rzeczy i w najlepszej wierze tłumaczył, iż nieobecni koledzy są w dowództwie sowieckim, czekając na nas. W pośpiesznych wyjaśnieniach nie dodał, iż są to informacje posiadane od bolszewików, a nie zasiągnięte bezpośrednio od Jankowskiego czy jego współtowarzyszy. Nie czekając tedy na powrót Traugutta udaliśmy się wszyscy na dyplomatyczne śniadanie.

Przed ganek polskiego dworku, w którym mieściła się kwatera naczelnego dowództwa wojsk sowieckich, wyległo na przywitanie kilkudziesięciu oficerów wyższych szarż. Wśród obecnych znajdował się również pułkownik gwardii Pimonow. Oglądali nas z żywym zaciekawieniem, przedstawiali się kolejno, ściskając z uszanowaniem dłonie. Zaprowadzono nas następnie do obszernego gabinetu, w którym ustalono skład przybyłych gości i charakter funkcji, jakie pełnili w życiu Polski.

Za chwilę w dwóch grupach zaproszeni zostaliśmy do jakiegoś generała — nazwiska jego nie pomnę. Przedstawił się jako re-

prezentant marszałka Żukowa, mający polecenie powitać nas i przeprosić, że marszałek się spóźni. „Rozpoczął on właśnie ostatnią już — być może — wielką ofensywę przeciw Niemcom. Ofensywa ta odnosi duże sukcesy i marszałek musi bezpośrednio dopilnować wydanych zarządzeń“.

Zapytywał dalej generał w niezwykle uprzejmej rozmowie, czy delegaci polscy mają jakieś życzenia do zakomunikowania, czy wszyscy władają dostatecznie językiem rosyjskim, czy wystarczy jeden tłumacz w osobie p. Stemmlera. Wyjaśnił też na zapytanie kolegów, że pp. Jankowski, Pużak i Okulicki spędzili cały wieczór aż do czwartej nad ranem na rozmowie z generał-pułkownikiem Iwanowem i może nas zapewnić o znalezieniu przez rozmówców daleko idącego „wspólnego języka“. Wreszcie oznajmił, iż śniadanie odbędzie się w lokalu położonym stąd o 14 kilometrów, w siedzibie daleko wygodniejszej, gdyż na miejscu panują warunki zgoła prymitywne. Uwzględnił wszystkie zastrzeżenia delegatów i obiecał, że przewiezieni będziemy w zamkniętych samochodach, aby nie budzić zrozumiałej sensacji, jaką by mogła taka jazda delegatów w sowieckich wozach wywołać wśród przypadkowych polskich widzów.

Tak się i stało. Różnego typu piękne limuzyny zawiozły nas do Włoch pod Warszawą. Siedzieliśmy po dwóch w samochodzie. Na przodzie obok kierowcy siedział sowiecki oficer łącznikowy, bawiąc nas po drodze uprzejmą rozmową. Wysiedliśmy przed kilkupiętrowym nowoczesnym domem, otoczonym drutem kolczastym. Na chodniku przechadzała się tam i z powrotem straż. Wprowadzono nas do pokoju, w którym przy telefonie urzędowało dwóch młodszych oficerów NKWD. Za chwilę zadzwieczał dzwonek. Rozmawiano z Moskwą. Zrozumiałem, że wpłynął meldunek o przybyciu na lotnisko samolotu z pasażerami stąd wysłanymi. Przemknęło mi po głowie: czyżby chodziło o naszych trzech kolegów?

Po chwili zameldował się jakiś pułkownik, oświadczając, iż otrzymał od marszałka Żukowa wiadomość o dalszym opóźnieniu jego przybycia. Przepraszał za to i prosił o cierpliwość. Zapewniał nam czas w dalszym ciągu przynoszeniem meldunków o postępach ofensywy sowieckiej. O dziewiątej wieczór przybiegł rozentuzjazmowany: Gdynia oswobodzona.

Tak się złożyło, że siedziałem obok Bagińskiego. Kolegowałem z nim w Sejmie w 1930 roku, ale zasiadając w różnych klubach nie mieliśmy okazji nawiązać z sobą bliższej znajomości. Później

wyjechał z kraju na tle ostrej opozycji i ciężkich przejść, jakie miał w walce z obozem rządzących piłsudczyków, i odtąd straciłem go z oczu. Wiedzieliśmy o sobie natomiast dużo i to od strony nie zawsze najlepszej, jak zwykle bywa pomiędzy przeciwnikami politycznymi. Dopiero później, w czasie przeżyć moskiewskich, nauczyłem się cenić jego szczerłość i poważać go, choć zapewne różnię się z nim w wielu poglądach.

Zaczął rozmowę od tego, że był przeciwny mojemu udziałowi wśród pełnomocnych przedstawicieli Polski, gdyż obawiał się, że udział ten będzie źle widziany przez rząd rosyjski. Odpowiedziałem mu, że ważne jest tylko, abym był dobrze widziany przez społeczeństwo polskie, które niewątpliwie pragnie zgody z Rosją, ale też chce, aby takie porozumienie dokonano się na warunkach zabezpieczających interesy Polski. Wyraziłem przekonanie, że na tej drodze spotkam się z Bagińskim i jego przyjaciółmi w praktycznym działaniu. Bagiński powiedział mi na to, iż, być może, los nas rzeczywiście wkrótce połączy, może nawet już w tymże domu, w którym się teraz znajdujemy. Słyszał on bowiem od mego przyjaciela przygody ucieczki z pownie domu NKWD we Włochach. Skojarzył teraz opis tego domu z domem, w którym obecnie gościliśmy, i doszedł do przekonania, że jesteśmy już w rękach NKWD. Chwilowo tylko znajdujemy się jeszcze na górnym poziomie budynku, ale za chwilę możemy się również znaleźć w piwnicy. Wspomniał także, że otrzymał na krótko przed udaniem się na kwaterę wojsk sowieckich anonim, pochodzący zapewne od któregoś z życzliwych mu a komunistycznych osobników z ostrzeżeniem, by za wszelką cenę starał się opóźnić choćby o parę dni ujawnienie się delegacji polskiej. To wszystko wskazuje mu, iż wpadliśmy w pułapkę.

Oficerowie sowieccy bawili nas również rozmową. Zachwycali się urodą polskich kobiet, rozwodzili się nad rozkoszami polskiego jadła. Nie zaniedbali też *politiczeskoj gramoty*. Kołchoz był dla nich uosobieniem wdzięku życia. Zapewniali, że po skończonej wojnie natychmiast oddadzą się pracy na roli, choć byli wytrawnymi enkawudzystami. Pod koniec wystąpili niespodzianie z zapytaniem, co też myślimy o generale Żymierskim? Czy prawdą jest, że on kradł i że był karany? Nie byliśmy przygotowani na taki język dyplomatyczny. Ktoś bąknął pod nosem, że nie zna tych spraw. Zaiste, trudno było tłumaczyć bolszewikom, że ich sprzymierzeniec, kawaler orderu Lenina, był swego

czau zdegradowany i osadzony w więzieniu pod zarzutem nadużyć finansowych.

Późnym już wieczorem rozdzielono nas w grupach po czterech do osobnych pokojów pod pozorem, iż należy się spoczynek. W każdym z tych pokojów siedziało niby przypadkowo po dwóch oficerów. Byli bardzo gościnni, pomogli roztasować się na fotelach, starszego mojego towarzysza ułożono na kanapie. Nie dali nam wprawdzie zapowiedzianego *lunchu*, o którym przed tym fama głosiła, że będzie nadzwyczaj wystawny, natomiast zjedliśmy jakieś dania przyniesione z kuchni oficerskiej. Zastanowiło mnie, że na propozycję wypicia wódki jeden z oficerów powiedział: „musimy się spytać pułkownika czy wolno“. Naprawił jednak natychmiast to jedyne potknięcie w wyreżyserowanym ustosunkowaniu się do nas, przynosząc butelkę dobrego alkoholu. Drzeмиąc w nocy zauważyłem, że zawsze któryś z oficerów czuwał. Nabrałem już wtedy pewności, że jesteśmy pod aresztem.

Rankiem prosiliśmy o możliwość umycia się. Brr, to czym zostaliśmy obsłużeni dało przedsmak kultury sowieckiej. Wodę wydzielono każdemu w butelce od piwa, mydła bodajże wcale nie było, a jedyna szmata imitująca ręcznik była tak czarna, że zrezygnowałem z jej użytku. W łazience schludnego kiedyś mieszkania skromnej polskiej rodziny muszla do mycia była rozbita, kafelki pokrywające ściany obsmarowane obrzydliwą ciecżą i wulgarnymi rysunkami. Po kątach wałały się fotografie z podartego albumu, należącego do dawnych gospodarzy. Na jednej z nich widziałem sierżanta wojsk polskich z żoną i trojgiem małych dzieci. Druga, wyobrażająca sierżanta w pełnym ekwipunku bojowym, zawierała napis: „Moim najdroższym. Bóg nam pomoże. 1. 9. 1939“.

Koło dziewiątej rano zaproszono nas do generała sowieckiego. Przepraszał za wszystkie niedociągnięcia w gościnie, a przede wszystkim za zawód sprawiony przez marszałka Żukowa: „W tej chwili otrzymałem telefonogram z naczelnego dowództwa, iż zatrzymany wielkiej wagi obowiązkami służbowymi marszałek nie może przyjechać tutaj, natomiast prosi o przybycie delegacji polskiej do jego kwatery. Przywiązuje wielką wagę do spotkania się z tymi, którzy mają jechać do Londynu. Dlatego też przysłał swój osobisty samolot do Panów dyspozycji“.

Chcąc wybadać sytuację, zwróciłem się do generała z propozycją odłożenia wizyty do Żukowa o parę godzin, abyśmy mogli zawiadomić nasze rodziny o przyczynie, dla której nie wróciliśmy

dotychczas do domu. „My, ludzie *podpolja* — dodał do tego Ba-
giński — jesteśmy wciąż narażeni na niebezpieczeństwo i rodzi-
ny mogą się czuć zaniepokojone“. General oświadczył na to,
iż warunki atmosferyczne są tak wyjątkowo sprzyjające, iż nie
należy odkładać podróży ani o godzinę. Natomiast bolszewicy
znają adresy części rodzin i te zawiadomią o naszym wyjeździe,
a inne dowiedzą się w następstwie pośrednio. Tłumaczenie było
logiczne, a opór prawdopodobnie daremny.

Pojechaliśmy zaraz na lotnisko w bogatej asyście wyższych
oficerów sowieckich. Korowód ubezpieczał z tyłu samochód pan-
cerny z wysuniętymi lufami karabinów maszynowych. Można
to też sobie było wytłumaczyć następująco: bolszewicy odpowia-
dali za bezpieczeństwo szefów podziemnego Państwa Polskiego,
którzy jadą na konferencję do ich naczelnego wodza.

Na Okęciu, wielkim lotnisku warszawskim, czekał na nas sa-
molot typu Liberator. W jego wnętrzu siedział już Aleksander
Zwierzyński. Fala nadziei znowu się podniosła. Wszak było to
dopełnienie warunków, iż Zwierzyński będzie zwolniony i weźmie
udział w delegacji. Biedny p. Zwierzyński zupełnie nie oriento-
wał się w sytuacji. Do wieczora siedział w jakiejś ohydnej piw-
nicy maltretowany, jak tylko on o tym wie. Ni stąd ni zowąd
dopomóżono mu się umyć, ostrzyżono i ogolono. Dostał czystą
koszulę i krawat, nakarmiono go na śniadanie do syta i przy-
wieziono eleganckim samochodem na lotnisko. Teraz ściska jego
dłoń pułkownik, pod którego był dotychczas opieką. Prosi o za-
pomnienie wszystkiego co było i życzy mu szczęśliwej podróży.
On zaś nie wie dokąd jedzie i po co. Dawno już nie widziałem
tak zdziwionego wyrazu człowieka, który już przecie wiele prze-
żył i wiele widział w swym długim życiu.

Generalowie, pułkownicy a wśród nich i pułkownik gwardii
Pimonow rozstawali się z nami bardzo serdecznie. Do towarzy-
stwa przydzielili nam tylko jednego kapitana, wesołego i przy-
jemnego młodego oficera. Bawił nas w drodze jak mógł. Pro-
ponował nawet grę w karty. Okazało się jednak, iż gra tylko
w „durnia“. Każdy się bronił przed tym, żeby zostać durniem,
więc do tej gry towarzyskiej w rezultacie nie doszło.

Zaniepokojenie wzrosło natychmiast, gdy spostrzeżono się, że
samolot zamiast kierować się na zachód, gdzie powinna się znaj-
dować główna kwatera dowództwa kierującego ofensywą przeciw
Niemcom, leci ku wschodowi. Nasz adjutant oznajmił, iż rzeczy-
wiście lecimy do Moskwy. Tam bowiem będzie dzisiaj marszałek

Zukow, co pozwoli na rozszerzenie grona uczestników konferencji ze strony sowieckiej o pewne ważne osobistości z rządu rosyjskiego. Zapewnił przy tym, iż pp. Jankowski, Okulicki i Pużak udali się też już do Moskwy.

Nastroje w samolocie miały pełną gamę wyrazu. Byli tacy, którzy nie mieli żadnych złudzeń. Byli i tacy, którzy chcieli mieć złudzenia. Ci tłumaczyli sobie, iż Rosja chce zmusić przedstawicieli Polski do przybycia wprzód do Moskwy, aby tam wywrzeć na nich nacisk na przyjęcie warunków sowieckich nie tylko w zakresie uporządkowania wewnętrznych stosunków w kraju, ale i w zakresie granic oraz ukonstytuowania się nowego rządu. Wtedy dopiero wypuszczą delegację do Londynu dla stwierdzenia, iż interwencja Anglosasów w sprawie polsko-rosyjskiej jest już nie tylko zbędna, ale i szkodliwa.

Szybko wjechaliśmy w chmury. Nie było nam dane rzucić choćby okiem na ten szmat skrwawionej ziemi, gdzie miecz, pożoga i okrucieństwo wschodnie chce wypłenić ostatniego Polaka, usiłuje zatrzeć ślady polskiej kultury, zakorzenionej głęboko przez wieki daleko jeszcze na wschód od ostatniej polskiej granicy. Wicher miotał samolotem. Chłód dolegał coraz bardziej. Lot przedłużał się nieznośnie. Milkły dociekania pod wpływem rosnącego niepokoju, któremu barwy i nasilenia dodawała burza zaległa nad nami.

Otrzymaliśmy wiadomość: aparat radio-nadawczy w samolocie jest zepsuty; nie możemy się przebić przez chmury, aby lądować na lotnisku moskiewskim. Lecimy dalej. Z Warszawy do Moskwy jest pięć godzin lotu. Byliśmy w powietrzu już ponad siedem, gdy z kabiny pilotów wysunął się jakiś śmiertelnie blady pułkownik sowiecki i drżącymi rękoma przeglądał mapy złożone w siatce podróżnej nad naszymi głowami. Widać było po jego minie, iż całkowicie stracił orientację.

Po upływie krótkiej chwili zaczęliśmy się zniżać gwałtownie, powiedziałbym, „na łeb na szyję“. Silny wstrząs. Usiedliśmy głęboko w śniegu, nieco ogłuszeni. Wokoło ani śladu życia, wszędzie niepokalana biel, siniejąca na linii horyzontu. Zostaliśmy sami, tuląc się do siebie dla rozgrzania ciała. „Jest nas trzynastu, feralna cyfra“ — mruknął przesądny Kazimierz Bagiński, przywódca chłopski.

Nasz adiutant wraz z dwoma pułkownikami, którzy pilotowali samolot, ruszyli szukać jakiegoś kontaktu ze światem, brnąc po kolana w śniegu. Adiutant wrócił po upływie kilku godzin. Setki

cywilnych ludzi zaczęło już kopać drogę. - Dzielili nas jednak od nich spora odległość, którą kazano nam przemierzyć w śniegu.

Posuwaliśmy się z wielkim trudem, krok za krokiem. Starsi opierali się o ramiona młodszych. Po obu stronach widać było z dala rozciągnięte stráže sowieckich żołnierzy. Szare ich mundury i karabiny z nasadzonymi bagnetami, bezkresna dal pokryta bielą i pochylone sylwetki moich towarzyszy nasuwały mi przed oczy obrazy wielkiego polskiego malarza Grottgera, w których odmalował on wędrówki na Syberię ojców i dziadów naszych.

Na uprzęgniętej drodze czekały już wspaniałe, czarne, lśniące limuzyny, w których rozsadzono nas jak najbardziej wygodnie. Zaczęliśmy zadawać pytania szoferowi, gdzie się znajdujemy, dokąd jedziemy. Głuche milczenie było jedyną odpowiedzią. „Niemowa chyba“ — bąknął mój towarzysz. To była tylko niemowa wychowana przez NKWD — niemowa na rozkaz. Nie odpowiedział także, która jest godzina, ani też jak wielki może być mróz. Natomiast w chwilę później świetnie porozumiewał się ze swoim zwierzchnikiem, od którego otrzymywał polecenia.

Wjechaliśmy, stosunkowo szybko, do dużego miasta i zatrzymaliśmy się przed jakimś lokalem restauracyjnym. W sali, opróżnionej zupełnie z gości, podano nam przy kilku stołach znakomitą kolację. Na wyraźną prośbę pułkownik sowiecki przyniósł palącym po setce papierosów, a amatorom trunku podano na rozgrzewkę alkohol. Pod wpływem tych okoliczności humory znacznie się poprawiły.

Nadszedł też adiutant, który w formie sprawozdania komunikował, iż zdołał się dopiero przed chwilą połączyć z Moskwą i Warszawą i donieść im o naszym ocaleniu. „Ładowaliśmy na ostatnich kroplach benzyny, nie wiedząc, co zastaniemy pod warstwą chmur zalegającą niemal do ziemi. Dzięki głębokiemu śniegowi, który zatrzymał kadłub, uniknęliśmy katastrofy, pogruchotawszy tylko podwozie. Cały świat był w najwyższym niepokoju o los Panów“ — ciągnął swój meldunek oficer. Zapowiedział wreszcie, iż nie chce nas narażać na dalsze ryzyko podróży samolotem przy tak niepewnej pogodzie i zawiezie nas do Moskwy pociągiem, poczyniwszy już odpowiednie zarządzenia w tym kierunku. Niektórzy spośród moich towarzyszy przyjęli tę ostatnią wiadomość z wielką ulgą.

Późno w nocy pojechaliśmy na stację kolejową miasta Iwanowo, dużego ośrodka przemysłowego, położonego w odległości około trzystu kilometrów na wschód od Moskwy. Byłem więc zno-

wu na szlaku mej wędrówki z r. 1939, tym jednak razem w charakterze przedstawiciela Narodu Polskiego, a nie jeńca bolszewickiego. Wtedy też miałem być gościem Związku Sowieckiego, czyżby los miał się powtórzyć? Klębiły mi się te myśli w głowie, gdy zajechał pociąg.

Pociąg był przepelniony, ludzie szturmem zdobywali miejsca. Nas jednak czekała niespodzianka. Z połowy wagonu, do którego nas zaprowadzono, zaczęli szybko wymykać się w bieliznie dotychczasowi jego pasażerowie. Bez słowa protestu opuścili przedział w takim stanie, w jakim byli rozbudzeni ze snu. Zmieniono po nich natychmiast pościel i oddano do dyspozycji każdemu z nas miejsca leżące. Jako oficjalnego towarzysza mieliśmy dotychczasowego adiutanta, na korytarzu jednak snuły się jakieś ciemne postacie w cywilnych strojach.

Szesnaście godzin trwała nasza jazda. Głód fizyczny zaspakajaliśmy widokiem przesuwającego się przed naszymi oczyma krajobrazu. Był on szary i jednostajny. Na stacjach tłumy cispinających się do pociągu ludzi. Mężczyźni w szarych szynelach, papachach na głowie; na nogach nosili także szare walenki podbite najczęściej gumą. Nierzadko widać było i łapcie. Kobiety mało różniły się w stroju. Częściej jednak nosiły chustki na głowie, które nie służyły bynajmniej zmysłowi kokieterii, przyrodzonemu niewieście. Koło każdego chyba budynku podmoskiewskich stacji widziałem ludzi stojących w długich ogonkach. To po chleb, rozdzielany w „ławkach“, mizernych sklepach, w których rzadko co poza tym otrzymać można było.

Wokoło nie widać było zniszczeń wojennych. Jechaliśmy bowiem od wschodu Moskwy. Nie widać też było nowych budowli mieszkalnych. Ci spośród nas, którzy dobrze znali Rosję sprzed Pierwszej Wojny Światowej, wyrażali opinię, iż oglądają ten sam kraj sprzed lat trzydziestu, tylko jakiś zszarzały, zbiedniały i smutny. Podziwiali natomiast kilka nowych, poważnych budowli fabrycznych, których przed tym nie było. Członek delegacji i minister rządu podziemnego, Jasiukowicz, pokazał nam po drodze wielką fabrykę, którą stawiał jego stryj, i w której on sam przepędził szmat życia. Była rozbudowana, ale przecie ta sama dawna jego fabryka. Przypomniało to nam, jak wielki był wkład w życie gospodarze Rosji Polaków na schyłku XIX i początku XX wieku.

Dobrze już było po południu, gdy wysiedliśmy na małej stacji w Moskwie. Nikt nie przybył na nasze przywitanie. Po-

dróżni szybko się rozproszyli, a my zostaliśmy samotni na peronie, drżąc w płaszczach gumowych, gdyż mróz sięgał dziesięciu stopni.

Po upływie mniej więcej pół godziny adiutant nasz przyprowadził generała we wspaniałej barankowej czapie na głowie i szerokich, złotych szlifach na ramionach. Towarzyszył mu jakiś cywil. Generał z oddala zasalutował i wyrzekł tylko jedno słowo: „*zdrastwujtie*“, po czym szerokim gestem zaprosił do posuwania się dalej. Na dworcu nie było już żywej duszy, wokół natomiast rozstawione były gęsto strażę.

Wsiadłem do pierwszej limuzyny wraz z dwoma moimi towarzyszami. Obok szofera zasiadł generał, który wskazywał drogę. W olbrzymim pędzie przemierzaliśmy ulice, zdołałem jednak zauważyć, iż mineliśmy budynek Narkomindiełu, a więc nie będziemy już gośćmi rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, jak to nam obiecywano.

Samochód zatrzymał się parę ulic dalej, przed monumentalnym budynkiem wyłożonym u wejścia marmurami. Wzdłuż budynku tego, tam i z powrotem, równym krokiem, przechadzała się straż NKWD, starannie ubrana, z bronią na ramieniu.

„Do jakiegoś pięknego hotelu wiozą nas, Panie Mecenasiu“ — zwrócił się do mnie półgłosem towarzysz podróży, jeden z tych, którego nie opuszczała wiara w szczęśliwe dopełnienie się naszej misji. W tym momencie otworzyła się brama na rozcież, wiodąca do wnętrza owego „wspaniałego hotelu“. Dojrzałem w głębi dziedziniec okolony murami, w których wszystkie okna osłonięte były koszami z blachy. „Panie, to więzienie“ — odpowiedziałem. „Ale, co też Pan mówi“ — były ostatnie słowa, jakie dosłyszałem.

Równocześnie samochód wjechał do środka. Gdy się tylko zatrzymał, pułkownik NKWD, oczekujący na dziedzińcu w gronie innych oficerów, uchylił szybko drzwiczki i chwytając mnie silnie za ramię, rozkazującym tonem zarządził: „*Pożatujsta*“. Wypchnął mnie naprzód przed siebie do jakiegoś ciemnego, długiego korytarza i zanim zdołałem się zorientować, co się dzieje, zamknął w małej budce obitej wojłokiem i ceratą, swym kształtem i wielkością przypominającej budkę telefoniczną.

Momentalnie sięgnąłem do kieszeni, w której do ostatniej chwili trzymałem zapisane drobnym makiem karteluszeki papieru, zawierające pełnomocnictwo i instrukcje podziemia dla rozmów z przedstawicielami rządu rosyjskiego i rządów państw anglo-

saskich. Były one już w nowej sytuacji nie tylko zbędne, ale groziły teraz wielkim niebezpieczeństwem.

Miałem je w palcach, aby się stały bardziej strawne, szarpałem nerwowo, po czym niespostrzeżenie skrawki papieru wsadzałem do ust. Najcięższą operacją w tym momencie było wyprodukowanie dostatecznej ilości śliny, gdyż pod wpływem zdenerwowania gardło zasychało, a papier nieznośnie przylepiał się do podniebienia. Szczęśliwie zdołałem się uporać z tym fatalnym pożywieniem stosunkowo szybko. Przeegzaminowałem w myśli każdą fotografię, każdy papier, każdy dokument, który można było jeszcze przy mnie znaleźć i uspokojony czekałem, co będzie dalej.

Po paru minutach do budki weszła kobieta. Miała lat dwadzieścia parę, była dość tęga, ale przystojna. Włosy miała rozpuszczone na ramiona, była przyzwoicie ubrana. Minę natomiast miała surową, gdy zamknąwszy za sobą drzwi rozkazała: „*Rozdzielajcie się*“, to znaczy: rozbieraj się.

Zrzuciłem z głowy kapelusz, zdjąłem z ramion płaszcz, a gdy widziałem dalej w oczach mej rozkazodawczyni wyraz oczekiwania, zdecydowałem się rozebrać z kurtki i kamizelki. Wtedy zatrzymałem się.

Moja „władza“ spojrzała na mnie groźniej i tupnąwszy nogą zawołała: „*Skazała rozdiewaj się*“. Nic nie rozumiejąc zdjąłem koszulę i znowu zatrzymałem się. Gdy huknęła po raz trzeci, zdenerwowany zdjąłem nie tylko obuwie i pończochy ale spuściłem też spodnie.

Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się, aby kobieta rozkazała mi stanąć przed sobą nago. Nic więc dziwnego, że ta sytuacja, mimo całej swej obiektywnej grozy, rozśmieszyła mnie do tego stopnia, iż zanulowała w znacznej mierze wstrząs wewnętrzny, jakiego doznałem w chwili wepchnięcia mnie do więzienia. Opadł ze mnie strach, który jeszcze przed chwilą władał mną całkowicie, a strach jest zawsze fatalnym doradcą w tak niebezpiecznych momentach. Dlatego raczej poczułem wdzięczność względem tej miłej, młodej kobiety, aniżeli żal za to, co ze mną robiła.

A ona dokonywała szczegółowej rewizji ciała, zaglądając we wszystkie jego możliwe otwory, i szukając czy gdzieś czego nie ukrywam. Po czym zadała jeszcze niedyskretne pytanie: „*Syfilis u Was jest?*“ — i spojrzawszy sympatyczniej ulotniła się.

Wszedł na jej miejsce podoficer enkawudzista o wybitnie nieprzyjemnej twarzy, trzymając w ręce zakrzywiony, ostry nóż.

Nożem tym poobcinał wszystkie metalowe guziki u mych spodni. Zrobił wiwiskę kapelusza, rozpruł podszewkę u kurtki i kamizelki, poodrywał podeszwy u butów. Wziął następnie pierścionki, zegarek, portfel z całą jego zawartością, pasek, krawat, spinki i sznurowadła. Wśród dokumentów zabrał też duży referat, przygotowany przeze mnie dla marszałka Żukowa na prośbę przyjaciół, omawiający z naszego punktu widzenia zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich, ich przyszłość, rolę państwa podziemnego oraz warunki, w jakich zapewnić najłatwiej bezpieczeństwo armii sowieckiej, działającej przeciw Niemcom na ziemiach polskich. Nie odezwawszy się do mnie ani słowem, opuścił budkę po ukończeniu swych funkcji.

Pogrążony w myślach i świecąc golizną niedługo czekałem na dalszy rozwój sytuacji. Przyszedł z kolei lejtenant sowiecki, który kazał mi się ubrać i pójść z nim.

Nielatwa to była rzecz utrzymać wewnętrzne poczucie godności w harmonii z sylwetką zewnętrzną, jaką teraz stanowiłem. Od czasu powstania warszawskiego spodnie moje były w pasie daleko za obszerne. Na biodrach nie mogły się same utrzymać, a pobawione większości guzików za każdym krokiem opadały na ziemię. Musiałem się też bardzo pilnować, abym nie zostawił po drodze butów. Chód mój nie miał więc znamion pewności siebie, zwłaszcza, że wysoki, barczysty strażnik prowadził mnie przed sobą silnym uchwytem ramienia.

Zlewały mi się w jedną ciemną plamę korytarze, zakręty, schody, znowu korytarze, kraty, jeszcze raz kraty. Aż wreszcie ostatnie kraty zatrzasnęły się i stanąłem u progu westybulu o jasnym, miłym wyglądzie. Z boku przy stoliku siedział oficer służbowy, który pokwitował odbiór mej osoby. Wzdłuż ścian przesuwali się bezszelestnie strażnicy. Środkiem biegły schody wyłożone czerwonym dywanem, prowadzące ku górnej kondygnacji obramowanej galeryjkami. Również tam dojrzeć można było sylwetki straży o mechanicznych ruchach.

Na obu kondygnacjach widniały rzędem wymalowane ciemnozieloną barwą drzwi. Numery 84, 99, 108... W drzwiach „judasze“. Nie pomnę już, jak Moskale nazywali te otwory, przez które co minuta spoglądał do wnętrza celi strażnik z takim zainteresowaniem, jak gdyby mógł tam dojrzeć coś sensacyjnego, coś od czego może zależeć los Związku Radzieckiego. Wśród kompletnej ciszy, tym bardziej przerażającej, że wokoło było tylu ludzi, dokonano raz jeszcze w obecności oficera służbowego do-

kładnej rewizji mojej osoby. Charakterystycznym jej szczegółem było, iż kazano mi, niby podkuwanemu koniowi, zgiąć kolejno nogi do tyłu i pokazać podeszwę buta. Do dziś głowią się, czego tam szukano. W każdym razie tylekroć, ile razy przekraczałem obręb tego westybulu wracając z przesłuchań od sędziego śledczego czy prokuratora, tylekroć na zakończenie rewizji zginałem nogi i pokazywałem podeszwy.

Zaprowadzono mnie na górną kondygnację. Apartament był już dla mnie przygotowany. O ile pamiętam oznaczony był numerem 99. Rozmiarami niewielki, wymalowany cały na barwę ciemno-zieloną, miał okno wychodzące na ponure podwórze, okolone zewsząd murami. Okno miało kratę rzadką, ale przysłonięte było blaszanym koszem, który uniemożliwiał dostęp światła z zewnątrz. Promyk słońca, jeśli słońce jaśniało nad ziemią, gwałcił czasem surowe prawa więzienia moskiewskiego i mimo wszystkich stawianych mu przeszkód przebijał się do celi na dziesięć, piętnaście minut — ale nigdy dłużej. I za to był mu więzień serdecznie wdzięczny.

Skrawek nieba można było dojrzeć tylko kucnąwszy u okna z przyciśniętą do kraty twarzą. Ponieważ jednak każde zbliżenie się do okna było natychmiast zauważone i spotykało się niezwłocznie z admonicją strażnika, przeto trzeba było nielada odwagi, aby posunąć się do bezczelności spoglądania w niebo.

Umebłowanie składało się z żelaznego łóżka i małego stolika, na którym stał miedziany czajnik oraz kubek ozdobiony wizerunkiem czarnego kota. Kubek w kącie — ot i wszystko.

„To teraz twoje mieszkanie“ — powiedział strażnik zostawiając mnie samego w celi. Usłyszałem już tylko zgrzyt kluczy przesuwanych w zardzewiałych zamkach, zgrzyt, który na długo jeszcze wiercił mi mózg. Tak więc zaproszenie na obiad do naczelnego wodza armii sowieckiej zakończyło się wypoczynkiem w luksusowych apartamentach słynnego na cały świat więzienia na Łubiance, w stolicy Rosji.

Następne dwie doby pozostawiony byłem sam sobie. Tylko oko strażnika, ukazujące się co minuta w judaszu, uprzytomniało mi, iż jestem przedmiotem nieustannej obserwacji. Wszystkie funkcje codziennego życia spełniano koło mnie mechanicznie, tak jak koło przedmiotu, a nie żywego człowieka. Polecenia wydawane były szeptem, który na tle absolutnej ciszy, przeirywanej tylko miarowym krokiem strażników, potęgował specyficzną atmosferę grozy, bijącej z tych grubych, zimnych mu-

rów pokrywających sobą życie tysięcy ludzi. Instynktownie odpowiadałem głośno chcąc niejako utwierdzić się w tym, że żyję i że życie żywych ludzi się wkoło mnie roztacza. Strażnik natychmiast pouczał: „Nie wolno mówić głośno“. Zresztą mowa najczęściej zastępowana była gestami.

Chodziłem po celi pięć kroków w przód, pięć w tył, jak rozjuzszone zwierzę schwyte do klatki. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że utraciłem wolność działania, o którą walczyłem tak szczęśliwie i skutecznie pięć z górą lat. Wściekły byłem na siebie, że nie będę oglądał własnymi oczyma, jak wali się w proch potęga niemiecka, że dałem się złapać właśnie w tej chwili, gdy mógłbym stać się najpożyteczniejszy dla kraju. Niepokój targał mnie o los syna, którego zostawiłem bez opieki na łasce losu. Usiłowałem objąć myślą przyszłość mojej matki i wszystkich moich bliskich, jeśli Bóg pozwoli uniknąć im śmierci w niemieckich obozach koncentracyjnych. Chwilami dusił strach przed tym, co mnie czeka. Ponad wszystko górowała troska, aby starczyło mi teraz sił, charakteru i inteligencji.

Było bowiem dla mnie jasne, że Rosja Sowiecka przez podstępne zaarrestowanie przywódców polskiego podziemia nie osiągnęła jeszcze celu. Będzie się ona musiała z tego wytłumaczyć przed światem i stworzyć takie pozory, które by umożliwiły polknięcie gładko tego nowego policzka wymierzonego narodom zjednoczonym w walce o wolność ludów, o prawo do wolności człowieka od strachu. Przywódcy moskiewscy musieli przy pomocy wypróbowanych swoich metod stworzyć warunki, w których by rządy W. Brytanii i USA gotowe były zapomnieć, iż jesteśmy członkami rządu sprzymierzonego z nimi państwa i o tym, że w imię zapanowania harmonii w świecie byliśmy przez te rządy gorąco nakłaniani do przyjęcia oferty rosyjskiej. To z kolei mogłoby umożliwić Rosji osiągnięcie celu większego, jakim było narzucenie komunistycznego systemu Polsce.

Jedną z dróg, jakie Związek Sowiecki niewątpliwie obierze, będzie pomniejszenie własnymi naszymi ustami tego olbrzymiego wkładu moralnego i rzeczowego, jaki Naród Polski wniósł do sprawy zwycięstwa nad Niemcami. Każą się nam samym opluć, zmieszać z błotem, a potem, być może, ukazać się raz jeszcze na widowni publicznej, czy to w roli przerobionych już gruntownie duchowo i kajających się wyznawców idei „przyjaźni“ z Rosją, czy też oskarżonych w procesie sądowym o zdradę Narodu Polskiego i działania wrocie demokracji światowej. Z takimi przy-

wódcami narodu nie będzie się świat już potrzebował liczyć — nie staną oni na przeszkodzie ustanowieniu nowego porządku w Polsce, dogodnego Sowiетom. Nareszcie zapanuje przynajmniej na tym odcinku harmonia między światem zachodnim a Związkiem Sowieckim, zapanuje wreszcie „spokój“ tak gorąco upragniony.

Wówczas w grę wchodzić będzie już tylko nasz osobisty los. Być może wspaniałomyślny Stalin daruje nam życie i Zachód będzie wielbił jego dobrą wolę. Być może Stalin będzie chciał poniżyć do dna znieawidzoną przez siebie cywilizację chrześcijańską, obnażyć słabość jej obrońców — wtedy osiągnąwszy już swój cel, świadom bezkarności wymierzy nam „sprawiedliwość“ sowiecką. Nie nazywa się ona w języku kodeksu ZSSR karą śmierci, zwą ją tam obłudnie „miarą społecznej obrony“.

W samolocie nasz sowiecki adjutant dał mi do przeczytania ostatnią gazetę. Z niej się dowiedziałem o wyznaczeniu na dzień 30 kwietnia konferencji Narodów Zjednoczonych w San Francisco, dla ustanowienia organizacji światowej, zabezpieczającej trwały pokój i wolność wszystkim ludom miłującym pokój. Porządkując rozruchane myśli i biorąc stopniowo w karby rozigraną wyobraźnię, zacząłem w swych samotnych rozważaniach przywiązywać znaczenie do tej daty. Powiedziałem sobie, że w każdym razie w ciągu najbliższego miesiąca los mój rozstrzygać się będzie poza murami tego więzienia. Nasze zagadnienie musi się stać przedmiotem gry sił w układzie międzynarodowym — bez jego wstępnego rozstrzygnięcia nie podobna, aby ogłoszono światu zapanowanie ery wolności, sprawiedliwości i współpracy narodów demokratycznych. Szukając argumentów dla głębokich w mej duszy pokładów wiary w ostateczne zwycięskie przebrnięcie przez wszystkie etapy walki, zrobiłem sobie z tego założenia podstawę strategii wobec oczekujących mnie w najbliższej przyszłości zetknięć z przedstawicielami władzy sowieckiej.

Na trzeci dzień wieczorem wszedł do celi strażnik, szepcząc: „Przygotujcie się do komisarza“. Za chwilę, każąc ręce złożzyć do tyłu, wyprowadzono mnie do westybulu. Rosły, barczysty enkawudzista pokwitował dyżurnemu oficerowi odbiór mej osoby i chwycił silnie za ramię wyprowadzając za kraty. Rozpoczęła się pierwsza wędrowka do miejsca urzędowania sędziów śledczych, kolegium NKWD.

Język polski nie zna właściwego określenia dla instytucji sędziów NKWD, bowiem oficer, prowadzący śledztwo w stosunku do oskarżonego, nie ma ani kwalifikacji, ani uprawnień, które

by pozwalały nazywać go zaszczytnym mianem sędziego w jakimkolwiek innym kraju. Nie obowiązuje go bezstronność i szukanie obok dowodów winy oskarżonego, także wszystkich okoliczności, które by przemawiały na rzecz jego niewinności. Nie jest ograniczony zakresem stawianych oskarżonemu w prowadzonym dochodzeniu zarzutów. Z drugiej strony pełni on obok funkcji sędziego czynów oskarżonego — funkcję wywiadu.

Przez cały czas trwania badania sędzia śledczy prowadził równocześnie dwa protokoły: jeden, który formułował co jakiś czas w postaci protokołu moich zeznań i który w ważniejszych momentach kazał mi podpisywać po każdym zdaniu; drugi zaś prowadził nieustannie jako raport o uzyskanym materiale wywiadowczym. Tego oczywiście mi nie czytał i tego do akt sprawy sądowej nie dołączał.

Sowiecki sędzia śledczy jest w okresie przeprowadzania dochodzenia całkowitym panem życia i śmierci oskarżonego. On wyłącznie decyduje o warunkach przebywania w więzieniu — o tym, czy oskarżony ma siedzieć sam w celi; jaka ma panować tam temperatura; czy oskarżonemu można dać drugi koc dla ogrzania ciała; w jakich godzinach wolno oskarżonemu odpoczywać. On też reguluje dietę oskarżonego, decyduje o skierowaniu go do lekarza, akceptuje stosowanie medykamentów. Jest poinformowany najdokładniej o każdym szczególnie zachowania się oskarżonego: czy spał dziś, czy też miotał się w niepokoju na łóżku, czy wykazuje wyczerpanie, bierność całkowitą, czy też biega po celi. Wie o tym dobrze, czy więzień modli się czy czyta spokojnie, czy rozmawia zbyt dużo z towarzyszem celi; czy bolą go zęby lub mu napuchło ciało — wszystko to jest przedmiotem zainteresowania sędziego, późniejszych jego uwag w rozmowie ze swą ofiarą, no i podstawą do oceny, jaką metodę należy przyjąć w dalszym dochodzeniu.

Nie sądzę, aby Związek Sowiecki miał w swych niezliczonych kolegiach NKWD wielu takich „sędziów“, należycie przygotowanych do pełnienia swej roli. Upraszczają oni na ogół metodę swego oddziaływania na psychikę oskarżonego. i z olbrzymiej ilości pozostających w ich dyspozycji narzędzi wybierają przede wszystkim gwałt fizyczny oraz nieustanne nużące przesłuchiwanie. Stosując te metody w sposób prymitywny, niszczą oskarżonego osiągając spośród zakreślonych przez politykę sowiecką celów przynajmniej jeden: masowy terror, utrzymujący społeczeństwo w nieustannym napięciu strachu. Gdy dojdą do prze-

konania, że ze swej ofiary już niczego więcej wycisnąć nie potrafią, wtedy dochodzenie zamykają „sądem“. Gdzieś w urzędzie NKWD kilku opryszków, stanowiących jego kolegium, podpisuje wyrok śmierci lub wieloletniego obozu koncentracyjnego, bez rozprawy i w nieobecności oskarżonego. Sprawa skończona.

Na Łubiance jednak zasiadają mistrzowie. Noszą tytuł „starszych sędziów śledczych do spraw szczególnej wagi“ i mają rangi od majorów do pułkowników włącznie. Jest ich, jak sądzę, kilkudziesięciu. Są to na ogół ludzie młodzi, wychowani w szkole komsomolskiej, żarliwi w pełnieniu swych obowiązków, przeważnie bardzo inteligentni. Na ich czele stoi generał NKWD, szef kolegium sędziów śledczych, który niby kapelmistrz czuwa nad każdym posunięciem w ważniejszej sprawie.

Wyostrzona do ostateczności czujność pozwalała mi łącznie z posiadanym doświadczeniem zawodowym poczynić wiele drobnych nieraz obserwacji. Zestawiłem je później ze spostrzeżeniami moich kolegów, w końcowej fazie procesu miałem też do dyspozycji akta. Na tej podstawie mogłem twierdzić, iż badanie wszystkich nas szesnastu na przykład było regulowane co dnia szczegółową dyspozycją. Wynik tych badań był co dnia komentowany. Każdy poszczególny oficer śledczy był kontrolowany i wspomagany przez drugiego. Ież to razy wchodził do gabinetu mojego prześladowcy jego kolega, i niby szeptem — tak jednak, abym go usłyszał — cytował mu „zeznania“ jednego z naszych towarzyszy obciążające lub charakteryzujące mnie jako śmiertelnego wroga ZSRR. Przedmiot tych wynurzeń zawsze się wiązał z tematem rozmowy, jaką przed chwilą ze swym sędzią prowadziłem.

Znać też było pomiędzy poszczególnymi oficerami gorączkową konkurencję w osiąganiu rezultatów. Dla nich nie szczędzili trudu. Urzędowanie, jak się mogłem zorientować, zaczynają koło godziny 11 czasu moskiewskiego. Przerywają je między 5 a 6 po południu. Podejmują pracę od nowa o 9 wieczór i pełnią ją zawsze co najmniej do 1 w nocy. Parę razy na tydzień mają dyżury do rana. Nie przerywają pracy w niedzielę. Nie trzymają się ściśle godzin urzędowania, gdy tylko zauważą, że ich ofiara skłonniejsza jest w tym momencie do wynurzeń, lub że słabnie jej odporność.

Toteż pod ich opiekę oddaje państwo sowieckie pupilów najwyższej klasy, zwożonych nie tylko ze wszystkich zakątków Rosji, ale i z całego świata.

To nieprawda, że zbrodnie można ukryć na wieczny czas. Tak sądził Hitler i jakże bardzo się pomylił. Pomyli się też i Moskwa, mimo, że jej system zacierania śladów doprowadzony jest, zdawałoby się, do perfekcji. Na Łubiance, w tej nowoczesnej Bastylii, kryją się też okruchy ludzkiego sumienia, które oddadzą kiedyś przysługę prawdzie i dziejowej sprawiedliwości.

Pewnego dnia jeden z licznych strażników, prowadząc mnie na „dapros“, zatrzymał windę w obrębie murów. Gdym stał zwrócony twarzą do ściany, spytał ledwo dosłyszalnym szeptem: „Ty Jugosłowianin?“. „Nie, jestem Polakiem“. „O, tu dużo Polaków. Ale nie tylko Polaków — tu są Czesi, Litwini, a co Rumunów — tu masz wszystkie narodowości. Biedni Wy. Za co cierpicie?“. Odwróciłem się. Na twarzy strażnika malował się niekłamany smutek. Wskazał palcem na usta, nakazując tajemnicę. Odwrócił mnie łagodnie z powrotem do ściany i nacisnął guzik windy.

Muszę wyjaśnić, iż świadomie popełniam błąd, nazywając moich sędziów sędziami NKWD. NKWD stanowi skrót nazwy, której pełne brzmienie wyraża: Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (dziś jest to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych). Komisariat ten, który stanowi dalszy ciąg smutnej pamięci czereszycy i G. P. U., miał za zadanie czuwać przy pomocy znanych metod terroru nad bezpieczeństwem Związku Sowieckiego wewnątrz kraju i poza jego granicami. W miarę rozrostu ekspansji Rosji Sowieckiej na zewnątrz, postanowiono rozdzielić jego funkcje na dwa człony: zagadnienie bezpieczeństwa wewnętrznego pozostawiono dotychczasowemu ministerstwu, natomiast funkcję oddziaływania na stosunki poza granicami Rosji powierzono nowemu ministerstwu, nazwanemu NKGB, czyli Ludowym Komisariatem (obecnie Ministerstwem) Bezpieczeństwa Państwowego. Opinia publiczna wewnątrz Rosji, a tym bardziej w świecie, w dalszym ciągu nie odróżnia najczęściej zadań tych dwóch komisariatów i dla organów terroru w Rosji używa nadal skrótu NKWD. Dlatego też i ja posługuję się tą nazwą. Niewątpliwie jednak i ja i moi towarzysze podlegaliśmy organom NKGB i one przeprowadziły cały manewr aresztowania nas.

Siedziba oficerów śledczych NKWD względnie NKGB mieści się w obrębie tego samego bloku, co i więzienie.

Od chwili, gdy otwierały się kraty, za którymi położona była moja cela, do momentu przekroczenia gabinetu sędziego śledczego upływało mniej więcej dziesięć minut. Najpierw przemie-

rzaleń puste, ciemne korytarze. Nikt nie śmiał mnie widzieć. Przed każdym zakretem musiałem się zatrzymywać i odwrócony ściśle twarzą do ściany czekać, aż strażnik nie rozejrzy się w sytuacji panującej za łukiem muru. Aby usunąć wszelkie ryzyko przypadkowego nawet spotkania się z jakąś inną ofiarą prowadzoną na badania, czy też z kimś niepowołanym, towarzyszący mi strażnik wydawał z siebie jednostajny dźwięk, podobny do cmokania lub używany przez furmana do popędzania koni. Do dziś jeszcze mam ten dźwięk w uszach.

Gdy usłyszano ostrzegawczy głos, który rozlegał się silnym echem w korytarzach, pakowano mnie szybko do jednej ze ślepych budek rozrzuconych w tych korytarzach. W wypadkach nagłych przyciskano mą twarz bliżej do ściany tak długo, aż z powrotem nie zaległa bezzwzględna pustka.

W pewnym momencie wchodziłem na klatkę schodową. Wtedy strażnik ustawiał mnie w ten sposób, aby znaleźć się samemu od strony poręczy, uchwytem ramienia trzymając mnie jak najbardziej z dala od otworu klatki schodowej. Otwór ten dla bezpieczeństwa osłonięty był specjalną siatką. Historia tego ponurego więzienia znała bowiem wypadki, gdy aresztanci wyrwali się straży i skacząc w otwór popełniali samobójstwo.

Na jakimś poziomie wsadzano mnie do windy. W niej również musiałem się ustawiać twarzą do ściany. Jeszcze jakieś korytarze, jeszcze jakaś kontrola posterunku i zapisanie do rejestru, aż wreszcie wchodziłem w obręb biur NKGB. Tam już pełno było szarż obojga płci, trochę podejrzanych, spode łba partrzących cywilów i niezbędne wszędzie stenotypistki. Wprowadzano mnie do gabinetu nr. 778a.

Opisana przeze mnie wędrówka siała w duszy grozę. Wszystko się na to składało: i ręce zgięte do tyłu, i ponure zachowanie się strażnika milczącego jak pień, i ciemne, puste korytarze, i siatka na schodach, a wreszcie ciągła gimnastyka ruchowa i echo mlaskania językiem. Podniecało to wyobraźnię, która gorączkowo pracowała dla zdania sobie sprawy, co mnie czeka w następnych kilku minutach. Dokąd prowadzą i po co? Czynniki dekoracyjności odgrywa dużą rolę w metodach badania, jakim podlegałem. Jego sugestywność działa do ostatniego dnia, mimo że po kilkudziesięciu razach takiej wędrówki, jak wytrewowany koń, wiedziałem, gdzie wypadnie mi odwrócić się twarzą do ściany, a w którym miejscu przerzuci strażnik uchwyt ręki z lewej na prawą.

U progu strażnik zameldował siedzącemu za biurkiem oficerowi dostarczenie więźnia do jego dyspozycji, otrzymał pokwitowanie i ulotnił się. Zostałem sam na sam z władcą moich losów. Był to młody, trzydziestoparoletni major korpusu NKGB, starszy sędzia do spraw szczególnej wagi. Nazywał się Tichonow. Twarz drobna, żółta, oczy wyraziste, postać niewielka, ale wyrażająca upór i fanatyzm.

Nie ruszając się od biurka przyglądał mi się przez dłuższą chwilę badawczo, następnie uprzejmie nakazał: „*Siadities*“, wskazując na ustawiony w przeciwległym kącie obszernego pokoju prosty, lakierowany stolik i krzeselko. Zaczął od pytania: „Jaką miał Pan podróż, Panie Ministrze?“, po czym poprowadził rozmowę z największą swobodą, jakbyśmy się znajdowali w towarzyskim salonie. Wpadłem natychmiast w ten sam ton i z całym humorem opowiedziałem nasze przygody. Śmieliśmy się obaj.

Z kolei dotknął bardziej drażliwego tematu: „Jak się to stało — zapytał — że znalazł się Pan tutaj?“. Odpowiedziałem, że on pewno lepiej ode mnie jest poinformowany na ten temat. Ja bowiem nie miałem zamiaru przyjeżdżać na Łubiankę, natomiast zamierzałem tylko zjeść śniadanie z marszałkiem Żukowem. Rozwinęliśmy ten temat powoli i pogodnie. Powoli — bo ja operowałem zaledwie zapasem kilkudziesięciu słów, jakie zachowałem jeszcze w pamięci sprzed lat trzydziestu paru, gdy pobierałem nauki początkowe pod władzą carskiej Rosji, okupującej polską ziemię. Pogodnie — gdyż ten ton dawał cały czas major Tichonow. „To tylko nieporozumienie — które się szybko wyjaśni“.

Przeskakując z tematu na temat, dał mi Tichonow z własnej woli pogląd na ostatnią sytuację wojenną, cieszył mnie wiadomościami o dalszych postępach zaczętej przez Żukowa ofensywy, odczytał komunikat o zniszczeniu Gdańska, wyrażał współczucie dla poniesionych przez Naród Polski ofiar. Zeszło nam na tym parę godzin.

Zrobiło się już późno, gdy sędzia sowiecki przeszedł do spraw związanych bezpośrednio z jego urzędowaniem.

— „Pan jako prawnik — powiedział — zrozumie, iż muszę zacząć od spisania prawnych personalii“.

Pytał więc o nazwisko, imię, wiek, adresy, stan majątkowy, stan rodzinny. W szczególności interesowały go dziś wszystkie szczegóły życia rodzinnego. Co się dzieje z matką, z braćmi,

z żoną, z synem. Gdzie mieszkają i co porabiają. Pytania były zadawane z początku niby od niechcenia, później coraz bardziej natarczywie, lecz wciąż uprzejmie. Odpowiadałem spokojnie i pewnie. Matka, żona i bratowa siedziały już trzeci rok w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück w Niemczech. Odcięty frontami nie wiedziałem nic o ich losie. Nie wiedziałem nawet, czy żyją. Gdy udzielałem tych informacji, Tichonow pochylił głowę w dół wyrażając gestem głębokie współczucie. „No dobrze, ale gdzie są Pańscy bracia?“. „Młodszy zginął na wojnie z Niemcami w 1939 r., a starszy... zaginął“. „W jakich warunkach?“. „Nie wiem“, odpowiedziałem.

Była to częściowa prawda. Brat mój starszy, który uciekł z niewoli niemieckiej i przedostał się do Estonii, nie zdołał przetrwać na zachód. Rosjanie zajmując przy pomocy gwałtu, a w porozumieniu z Niemcami republiki nadbałtyckie, przystąpili natychmiast do aresztowań na wielką skalę. W pierwszym rządzie ich ofiarą padli korzystający ze schronienia oficerowie polscy. Brata mojego aresztowano w 1940 roku pod zarzutem, iż prowadzi działalność szpiegowską na rzecz W. Brytanii. Został wywieziony do Moskwy, skazany na osiem lat ciężkich robót, a następnie wywieziony do Kotłasu, jednego z najcięższych obozów koncentracyjnych. Ostatnią wiadomość miałem o nim jeszcze sprzed wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej. Karczował wtedy lasy i był u kresu sił. O dalszym jego losie wówczas nie więcej powiedzieć nie byłbym w stanie sędziemu śledczemu — chyba to, że za jego los odpowiedzialna jest Rosja Sowiecka, tak jak za los mojej matki odpowiedzialne były Niemcy hitlerowskie.

— „Gdzie jest Pański syn?“ — padło kolejne pytanie, już w podirytowanym tonie. „Syn mój — ciągnąłem dalej historię jednej z setek tysięcy polskich rodzin — był aresztowany przez Niemców jako zakładnik, aby tą drogą łatwiej mnie było znaleźć. Udało mi się po paru miesiącach wykupić go i wyratować. Wówczas ukryłem go u swych przyjaciół w jednym z majątków ziemskich. Tam go zastała oswobodzicielska armia sowiecka. W przeciągu kilku godzin dokonała ona reformy stosunków rolnych w okolicy w tym sensie, że właściciele zostali usunięci z gospodarstwa i dworu mieszkalnego, a ziemię oddano chłopom. Wraz z właścicielami wyrzucono też uciekinierów warszawskich, którzy się u nich chronili. Zakazano im mieszkania w powiecie, w którym był majątek położony. Dlatego też nie zdążyłem do chwili wyjazdu do Moskwy odszukać mojego syna. Nie wiem,

co on teraz robi i gdzie się znajduje“. Dzieje mego syna, wówczas piętnastoletniego chłopca, opowiedziałem wiernie. Zataiłem tylko dla bezpieczeństwa fakt, że brał udział w powstaniu warszawskim, oraz że w okresie zajmowania ziem polskich przez wojska sowieckie miałem go już blisko siebie i czuwałem nad nim z niewielkiej odległości. Przy pomocy takiego wybiegu mogłem ukryć jego adres i zachować spokój o to, że na razie przynajmniej nie grozi przez moją nieostrożność niebezpieczeństwo ostatniemu już członkowi rodziny.

Major Tichonow nie chciał mi uwierzyć. Tłumaczył, iż nie podobna, aby ojciec zostawił chłopca bez opieki. Chwilami znowu powoływał się na lojalność, z jaką on prowadzi rozmowę ze mną i żądał wzajemności. Obiecywał odnaleźć chłopca, roztoczyć starania i prosił o wskazówki, które by ułatwiły jego odnalezienie. Wreszcie zaprzestał nacisku.

Pierwsze zwycięstwo, odniesione w psychologicznych zmaganiach z moim prześladowcą, umocniło mnie bardzo w samopoczuciu. Jak wielkie było to osiągnięcie, zdałem sobie dopiero sprawę, gdy w wiele miesięcy później miałem możliwość wymiany wrażeń z towarzyszami niedoli. Wielu z nich pod wpływem uprzejmej formy pierwszego przesłuchania uległo nastrojowi wzajemnej „lojalności“. Gdy przyszło do składania oświadczeń na temat swych danych personalnych, podali je jak najdokładniej. Jeden miał trzy siostry staruszki, które bardzo kochał. Drugi wskazał adres brata, u którego się ukrywał, a który był odpowiedzialny za egzystencję wielu swych drobnych jeszcze dzieci. W miarę trwania dochodzeń narastała stopniowo w umyśle podświadomego świadomość niebezpieczeństwa, na jakie naraził swych najbliższych. Świadomość ta powoli zamieniała się w *idée fixe*, koło której skołatana myśl krążyła nieustannie.

Bolszewicki oficer podniecał wyobraźnię w szatański sposób. Oto już po kilku dniach, w czasie kolejnego badania, oskarżony mógł zobaczyć z oddali na biurku sędziego szereg drobnych przedmiotów, które wskazywały, iż pod ujawniony adres jego bliskich zawitało NKWD. Samolotami sprowadzono z jego rodzinnego domu jakieś fotografie, parę książek, listy... Sędzia śledczy o nic nie pytał, nic nie wyjaśniał, badał tylko wrażenie, jakie na oskarżonym wywiera widok tych rzeczy. Czasem, gdy nie był pewny, że oskarżony je zauważył, z dala na nie wskazywał: „Czy to należy do Pana — ach, tak“ — i urywał. Wtedy obawa o los matki, siostry, syna staje się czynnikiem, ważnym czynnikiem,

zachowania się więźnia w dalszym biegu śledztwa. Subiektywnie odgrywać może rolę decydującą w fazie, gdy osłabienie odporności psychicznej łączy się z utratą sił fizycznych i zdolności do obiektywnego rozumowania.

Wróciłem do celi w nocy zmęczony, ale w dobrym nastroju. „To nie takie straszne“ — pomyślałem sobie.

Zdjąłem ubranie, owinąłem się szczelnie kocem i próbowałem drzemać. Nie było to jednak łatwe. Naprężenie nerwowe nie ustępowało. Rozważałem każde słowo, które powiedziałem, nasuwały mi się wątpliwości, czy oficer zrozumiał mnie należycie, gdyż mieszałem często polskie wyrazy, a i rosyjskim błędnie się posługiwałem. Przymknąwszy oczy widziałem wciąż ironiczne skrzywienie ust mego rozmówcy i nie mogłem się otrząsnąć z wrażenia grozy, jaka wiała z niesamowitego spaceru po korytarzach więziennych. Zacząłem usypiać, gdy zgrzyt kluczy doprowadził mnie z powrotem do otrzeźwienia. Wszedł strażnik ze słowami: „Przygotujcie się na dapros“. Była to godzina 3 nad ranem.

Miałem do swej dyspozycji zupełnie specjalny zegarek. Warta NKWD na podwórzu więziennym zmieniała się co dwie godziny przy akompaniamencie wydawanych głośno komend. Obserwując bacznie te zmiany, mogłem na ich podstawie ustalać mniej więcej ściśle, w jakiej godzinie czasu żyję. Wśród bezsensnych nocy była to jedna z moich nieprzerwanych funkcji.

Ubierałem się pośpiesznie, zdziwiony w duchu tym ponownym wezwaniem. Czyżby, myślałem, sędzia śledczy sporządził już protokół z pierwszego przesłuchania i żąda teraz mojego podpisu? A może ma jeszcze jakieś dodatkowe pytanie do postawienia?

Drugie przesłuchanie trwało do rana. Styl jego różnił się bardzo od poprzedniego. Major Tichonow rozmawiał ze mną w tonie suchym, niemal groźnym. Kazał mi opowiedzieć, jaką wrogą działalność prowadziłem przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Wszelkie usiłowania z mej strony, aby skonkretyzował, na czym moja wroga działalność miała polegać, spełzły na niczym. „Ty sam wiesz najlepiej, co robiłeś. Opowiadaj“ — nalegał sędzia.

Odpowiadałem naprzód krótko, iż żadnej akcji wrogiej Związkowi Sowieckiemu nie prowadziłem, gdyż wszystkie swe wysiłki koncentrowałem wraz z całym polskim społeczeństwem na walkę z Niemcami. Gdym się upierał przy tym stanowisku, kazał mi przedstawić szczegółowo tę swoją działalność, przy czym dodał:

„Niech Pan nie próbuje oszukiwać Związku Sowieckiego. Fakt, że jest Pan reprezentantem Narodu Polskiego, upoważnionym do działania w jego imieniu, wskazuje, iż rola pańska musiała być niepoślednia. Wszelkie zaś milczenie o niej będzie dowodem, że ma Pan coś do ukrywania. Skoro, jak twierdzicie, celem waszym było zniszczyć jedynie „germańskich zachwaczyków“, niechaj się to wyjaśni. Będzie to jedyna droga do wyrównania nieporozumień i do odzyskania jak najszybciej przez was wolności. Słucham“.

To była wstępna platforma, na której rozpoczęły się długie dyskursy pomiędzy sowieckimi sędziami na Łubiance i ich ofiarami spośród przywódców polskiego podziemia. Rzeczywiście, nikt spośród nas nie miał nic do ukrywania przed światem, a nawet przed swymi wrogami z tego, co było nadludzkim wysiłkiem Narodu Polskiego w jego nieprzerwanej śmiertelnej walce z Niemcami. Nie było też wielkiej racji ukrywać własnej indywidualnej roli w tej walce, gdyż była ona już znana Rosji ze wstępnych pertraktacji prowadzonych uprzednio i wynikała z charakteru, w jakim zjawiliśmy się na zaproszenie skierowane do nas imieniem marszałka Żukowa.

Instynkt życia tkwi głęboko w każdym człowieku i każe mu w najgroźniejszej sytuacji hodować iskierkę nadziei. Wbrew wszystkim dotychczasowym doświadczeniom, może rzeczywiście szczere postawienie sprawy rozjaśni mroki tej ponurej nieufności, jaka decyduje zawsze o postępowaniu Moskwy. Może ułatwi to interwencję Zachodu, która powinna by już mieć miejsce. Mogę śmiało wyrazić przekonanie, iż nie tylko ja, ale i wszyscy inni moi towarzysze zdawali już od razu sobie sprawę, że są to mniej lub więcej złudzenia. Rozumowaliśmy wtedy przecież z pełnym jeszcze rozeznaniem. Nie mniej skłonność do złudzeń, gdy stawką jest życie, przyrodzona jest człowiekowi, najbardziej nawet zahartowanemu.

Switało już, gdy Tichonow podjął słuchawkę telefoniczną i zarządził: „*Ważmitie 778a*“. Te sakramentalne słowa stanowiły znak chwilowego wyzwolenia. Później, będąc u kresu sił, po wielokroć ślizgałem się wzrokiem po aparacie telefonicznym i kontrolowałem każdy ruch ręki sędziego, czekając kiedy wreszcie nadejdzie ta upragniona chwila, że sędzia znowu podniesie słuchawkę i wypowie: „*ważmitie*“... Stopniowo doszedłem do takiej wprawy, że po sposobie nakręcenia tarczy wiedziałem z góry, z kim się mój sędzia łączy: czy dzwoni do administracji do-

mu, w którym ma przydzielone mieszkanie i grozi „doprowadzeniem do NKWD“ jakiemuś tam urzędnikowi za to, że nie zapewnia mu należnych wygód, czy też łączy się z Katiuchną, której za chwilę zaproponuje bilet do teatru, jaki przypadł mu z przydziału. Po minie, po składzie jego ust rozpoznawałem w lot, czy mogę mieć nadzieję, że wreszcie odprowadzą mnie do celi i że będę miał chwilę wytchnienia, czy nareszcie zostanę sam. Chociaż od biurka sędziego śledczego dzieliła odległość całego pokoju, wzrok i wyczucie nigdy mnie nie myliło.

Wróciwszy do celi nie miałem możliwości spoczynku. Zwykle ranne zajęcia więźnia zajęły mi sporo czasu. Potem jednak spacerując tam i z powrotem zacząłem znowu rozważać przebieg nocnej rozmowy. Wreszcie przypomniałem sobie, że dziś święta Wielkiej Nocy. Pomodliłem się i sięgnąłem do wspomnień mitych, przyjemnych, związanych zawsze w mej przeszłości z dniem Zmartwychwstania Pańskiego. O tym czasie w Polsce już zieleni pokrywa ziemię, fiołki kwitną, a tu zimno, brr, jak zimno.

Podano obiad. Nie tknąłem go. Leżały też na stole racje chleba z poprzednich jeszcze dni. Nerwy nie pozwalały odczuwać głodu. Wszedł znowu strażnik: — „*Pakuszajcie spokojno* — powiedział — a potem pójście na *dapros*“.

Z trzeciego badania wróciłem po ośmiu godzinach. W krótkich odstępach czasu przyszło czwarte, piąte, szóste.

Gdy już wyczerpał się cały materiał, jakim mogłem operować w zakresie swej działalności w podziemiu, a Tichonow wciąż uważał, że ja mu nic nie odpowiedziałem, zdałem sobie sprawę, że wszystkie przesłuchania moje nie mają nic wspólnego z dochodzeniem winy, czy ustalaniem prawdy obiektywnej. Zrozumiałem wtedy, że jest to gra obliczona na wyczerpanie psychiczne i znękanie fizyczne. Nie znałem jeszcze ani jej zasięgu, ani możliwości. Idąc na siódme badanie, gdzieś koło 4 w nocy, powiedziałem sobie: wytrzymam dwadzieścia. Człowiek nie zna swojej siły — musiałem wytrzymać ich sto czterdzieści jeden.

Wiedziałem już, że w każdym razie posiedzę czas dłuższy — nawet do daty rozpoczęcia konferencji w San Francisco było jeszcze daleko. Zacząłem więc rozważać czynniki, które będą wpływały na mnie rozkładająco. Dotychczas lekceważyłem to, co się wokół działo i nie zwracałem uwagi na ekonomię sił. Teraz zacząłem analizować środki, jakie ma w dyspozycji mój prześladowca w zakresie codziennego życia w celi.

Były one wielorakie. Do najważniejszych należały: głód

chłód, atmosfera grozy, światło i wszystkie inne czynniki, które powodowały bezsenność więźnia.

Zgrzyt klucza w zamku celi o 6 rano nie był przerażający. Przeciwnie, w miarę czasu stawał mi się coraz bardziej miły, a po kilku tygodniach pobytu w więzieniu na jego dźwięk zrywałem się z łóżka i jednym susem stałem już u progu z wyciągniętą naprzód ręką. Wchodził wtedy w otoczeniu strażnika kucharz w białym kitlu i białej czapce na głowie. Na tacy miał porcję chleba dla mnie. Co drugi dzień dostawałem też dwie kostki cukru. Do czajnika wlewał po brzegi gorącej wody. Było to śniadanie.

Około 12. w południe zjawiał się taki sam kucharz z blaszaną menażką, pełną gorącego płynu, z liśćmi kapusty wewnątrz. Czasem można było tam wyłowić kawałek kartofla, czasem na dnie znajdowały się ości od ryby. Był to obiad.

O 5. po południu dostawałem na dnie menażki dwie łyżki kaszy, zalanej niekiedy jakimś sosem. No i znowu pełny czajnik gorącej wody.

Wielka była i charakterystyczna różnica pomiędzy tym, co dostawałem w więzieniu na Łubiance, a tym, co się nazywało pokarmem w innych więzieniach czy obozach bolszewickich. Jeszcze bardziej różnica ta uderzała w zestawieniu z jedzeniem w obozach niemieckich. Na Łubiance chleb był ciemny wprawdzie, ale świeżo wypieczony, ciepły jeszcze i bardzo smaczny. Tak samo i kasza, zwłaszcza podlana sosem, mogła się pojawić na każdym stole. Zupa, choć jałowa zupełnie, nie budziła odrazy. Jadło podawane z tacy w rękach kucharza, którego strój przypominał najlepsze tradycje europejskich restauracji, podniecało jeszcze apetyt wygłodniałego człowieka. Inaczej bywało w niemieckich, czy też w zwykłych bolszewickich miejscach kaźni. Tam wszystko, co się otrzymywało do spożycia, było tak ohydne, i w smaku i w sposobie podania, że budziło wstręt przygaszając raczej instynkt głodu.

A głód po pierwszych tygodniach zaczął mi się dawać we znaki. Minął już czas, gdy odsuwałem na bok chleb, a niedopitą zupę zabierał z powrotem strażnik, patrząc na mnie ze zdziwieniem, a trochę z politowaniem. Powoli jednym z ważniejszych zagadnień stawał się podział chleba rankiem otrzymywanego tak, aby mi starczył na cały dzień. Były tego ogółem dwa kawałki — a pod koniec okresu badania zjadłbym takich sześć na jeden raz. Dzieliłem więc porcję na części. Na śniadanie zja-

dałem jeden kawałek, z drugiego coś urywałem do tak zwanego obiadu — resztę zostawiałem na wieczór, aby nie kłaść się zupełnie na czczo.

Później brakło mi tyle siły woli. Zostawiałem sobie już tylko dwa, trzy kęsy na wieczór, a resztę pożerałem natychmiast. Przypadkiem kiedyś dostał się do mojej celi kawałek papieru. Owiąjałem nim starannie resztkę chleba i chowałem w kącie, aby nań nie patrzeć w ciągu dnia i zachować na chwilę, gdy głód najbardziej mi już dokuczał.

Kiedy siedziałem w celi razem z Niemcem i Rosjaninem, zutwardzonymi już więźniami, obserwowałem ich metodę postępowania z chlebem. Moskal zjadał go natychmiast mówiąc, iż chce przynajmniej raz dać satysfakcję żołądkowi. Cały dzień potem spoglądał melancholijnie na Niemca, który nitką wyprutą z munduru dzielił swą porcję na kilka równych części, spożywając je następnie w rozłożonych starannie okresach czasu. Ile żywej, głębokiej treści zawierają w sobie słowa codziennej modlitwy „Chleba naszego powszedniego racz nam dać, Panie“ zrozumieć jest w stanie ten tylko, komu chleba rzeczywiście brakowało.

Reszta pokarmu nie była w rachubach więźnia brana zbyt poważnie. Dwie łyżki kaszy popołudniowej, czasem zastępowanej trzema kartoflami w łupinach, były chwywane w lot tak szybko, że nim strażnik zdołał się uporać z zamknięciem drzwi, byłem gotów oddać mu już z powrotem pustą miskę. Konsystencja zupy obiadowej była niesłychanie słaba. Miała ona tę tylko zaletę, że była gorąca. Natomiast stopniowo coraz większą rolę w mym pokarmie zaczynała grać woda.

Nigdy dawniej wody nie pijałem, tym bardziej wrzątku. Teraz zastępowała mi ranną *tea*, popołudniową *tea* i wieczorną *tea*. Była od początku lekarstwem na chłód, później wypełniała mój pusty żołądek i tłumiała głód, a w końcu w osłabionym już bardzo organizmie zaczynała odgrywać rolę środka podniecającego. Po kilku kubkach gorącej wody rozchodziło się po całym ciele jakieś miłe ciepło, przyspieszał się obieg krwi i następowało lekkie odurzenie, jak gdyby poalkoholowe. Doszedłem do tego, że wypijałem po siedem, osiem „pajnt“ gorącej wody, z otulonego starannie kocem czajnika.

Narastający głód wywierał duży wpływ zarówno na moje siły fizyczne, jako też na kształtowanie się psychiki w czasie pobytu w więzieniu. Chwytałem się na tym, że jedzenie stawało się wartością, za którą instynktownie gotów byłbym płacić coraz więk-

szą cenę. Coraz trudniej mi było podporządkować słabnące siły fizyczne woli. Coraz częściej odczuwałem znużenie, które dykto-
wało najgroźniejszą determinację: „wszystko mi jedno“. Pierw-
sze oznaki szybko postępującej opuchlizny nóg rodziły strach
o życie. Gdy się jednak przełamałem wewnętrznie, post poma-
gał do oczyszczenia się z wszelkich znamion ludzkiej słabości.
Człowiek potężniał duchowo. Idealizował swe przeznaczenie i go-
tów był wtedy do największych ofiar.

Najtrudniej było poradzić sobie z głodem ludziom starszym.
Wiem o tym z rozmów z moimi przyjaciółmi — obserwowałem to
zresztą, gdy końcową fazę pobytu w więzieniu spędziłem we
wspólnej celi. Toteż sędzia śledczy używał chytrze tego narzędzia
zwłaszcza w stosunku do nich. Zbudzony ze snu więzień jest
przesłuchiwany już którąś godzinę z kolei. Koło 4. nad ranem
zaczyna okazywać słabnięcie. Coś niecoś materiału sączy się z je-
go ust. Drży na całym ciele z chłodu i głodu. Wtedy sędzia
dzwoni na służącego i powiada: „Głodny jestem, proszę dać mi
coś do zjedzenia“, a następnie zwraca się do swej ofiary: „A mo-
że Pan jest głodny, może napiłby się ze mną herbaty i zjadł ka-
napkę z kawiozem?“. Za tę cenę zamysła sędzia podtrzymać kli-
mat psychiczny, w którym więzień niespostrzeżenie dla siebie
samego uroni jakiś nowy fakt, lub da się uwikłać w sidła.

W miarę opadania z sił zaczął mi też dokuczać chłód. Tempe-
ratura w celi wahała się między siedmiu a dziesięciu stopniami
Celsjusza. Nie było więc zbyt mroźno — mogłem jednak doj-
rzeć parę z ust. Kaloryfer był zazwyczaj nieczynny, czasem let-
ni Siatka, która go odgradzała nie pozwalała mi na regulowa-
nie ciepłoty. Aby więc opanować w ciągu dnia drżenie ciała
stosowałem lekką gimnastykę, starannie myłem się zimną wo-
dą, wreszcie odbywałem długie spacerunki po celi. Parę kubków
wrzątku dawało też choć na chwilę upragnione ciepło organizmo-
wi.

Późniejszy mój towarzysz celi, Rosjanin, nie pochwałał stoso-
wanej przeze mnie higieny. Zaklinał, abym zaniechał gimna-
styki: „Byłem i ja taki *geroj* w pierwszych miesiącach po-
bytu w więzieniu — mawiał sceptycznie, przyglądając się przy-
siadom — ale po pół roku zaprzestałem takich głupstw. Trzeba
oszczędzać każdego wysiłku, aby przetrwać do końca“. Dla za-
oszczędzenia ciepłoty mył tylko twarz i ręce, z wymyciem ciała
czekał na gorącą kąpiel. Wystrzegał się też płynów, uważając
może słusznie, iż forsują one serce.

Za to zgadzał się ze mną Niemiec. Ten pięćdziesięcioletni człowiek starał się robić wszystko, aby utrzymać sprężystość ciała. Gdy się rozbierał, wyglądał jak kościotrup pokryty cienką warstwą żółtej skóry. Mimo to wyginał się w przeróżne figury i codzień oblewał się od stóp do głów lodowatą wodą. Obaj zresztą mieli nade mną przewagę, bo przywieźli ze sobą na Łubiankę ciepłe serdaki, poprzerabiane sprytem więźnia z ukradzionych czy zdobytych w tajemniczy sposób koców.

Prawdziwa bieda zaczynała się dopiero w godzinach przeznaczonych na spoczynek. Gdy strażnik wszedł do celi ze słowami: „*Możetie oddychat*“, cały wysiłek więźnia był skierowany na przygotowanie sobie legowiska. Niełatwe to było zadanie. Naprzód należało napuszyć siennik wypchany czymś w rodzaju waty drzewnej. Szybko ubijała się ona pod ciężarem ciała i wtedy pręty łoża nieznacznie dokuczały. Ważniejszą jednak o wiele sprawą było odpowiednie rozłożenie koca, który służył mi za okrycie. Odbywałem nieustannie narady z sobą samym, a później z towarzyszami celi jak uratować maksimum ciepła — czy opatulając kocem ciało, czy też podkładając jego krawędzie pod siennik. Wreszcie w tej czy innej kombinacji wsuwałem się pod starannie przygotowane przykrycie.

Musiałem mieć jednak stale odsłonięte ręce. Jest to jedna z reguł, bezwzględnie przestrzeganych w stosunku do więźnia śledczego. Gdy przełamawszy stan psychiczny i uspokoiwszy drżenie ciała zapadałem w sen, zapominałem o tym i mechanicznie podciągałem derkę na ramiona, a ręce przyciągałem do ciała. Taki stan nie trwał nigdy długo. Mój anioł stróż dojrzał przez judasza przestępstwo najdalej w ciągu paru minut. Otwierał z trzaskiem drzwi, podchodził do mnie i, niby nianka najczulsza, wyjmował ręce spod koldry szepcząc: „Tego nie wolno“. Rozbudzał mnie i przerywał na długo dalszą szansę zaśnięcia. Marznące kończyny praktycznie to uniemożliwiały, chyba że znowu skurczyły się gdzieś koło ciała. Ale wtedy cierpliwy dozorca wchodził ponownie i wykladał ręce na koc. Tak bywało kilka razy w nocy. Nagle, 2 czerwca Moskwę ogarnęła fala ciepła i przyniosła mi z sobą wielką ulgę w ostatnich dniach śledztwa.

Światło gra wielką rolę w systemie preparowania więźnia na Łubiance. Nad drzwiami celi umieszczona jest lampa elektryczna o dużej sile. Pali się ona niemal bez przerwy — w każdym razie przez całą noc. Promienie światła padają wprost na łożo więźnia. Przed tym światłem nie podobna się ukryć. Ilekroć

leżąc w nocy odwróciłem się bokiem, tyle razy strażnik wchodził do celi i odwracał twarz tak, aby oczy moje były zwrócone wprost na przeciw lampy. „Muszę — mówił — widzieć twoje oczy“. Niektórzy z moich towarzyszy znosili z tej przyczyny wielkie cierpienia — we mnie podniecało to stan nerwowy i potęgowało bezsenność.

A bezsenność jest potężnym czynnikiem, który rozkłada siły, wolę i inteligencję każdego człowieka, głodnego i drżącego z chłodu.

Zgodnie z obowiązującym porządkiem więziennym miałem czas wyznaczony dla snu pomiędzy 10. wieczór a 6. rano, oraz od 2. do 4. po południu. Wydawałoby się, iż odpoczynku jest ponad miarę, a regulamin, który na to zezwala, może służyć „zgniłemu Zachodowi“ za wzór humanitaryzmu. Rzecz w tym, iż w ciągu godzin nocnych, kiedy obywatel zasięgu cywilizacji zachodniej ma zagwarantowany — prawem lub przynajmniej obyczajami — spokój, zarówno obywatel jak więzień sowiecki stoi najczęściej wobec konieczności składania wyjaśnień władzom NKWD na temat swej politycznej lojalności.

Badania nocne nie są w Rosji czymś nadzwyczajnym. Od Kijowa do Władywostoku, od Archangielska do Odessy każdej nocy dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy wpeł zgiętych nędzarzy tłumaczy rozpartym na fotelach enkawudzistom, zdobnym w galony, gwiazdy i ordery, długo i cierpliwie, a zawsze bezskutecznie, że są niewinni, że niczego nie pragną prócz spokoju, że zostawili w domu żony, matki i drobne dzieci, które czekają na ich powrót. Również i oni mają w swych celach wywieszony regulamin, w którym powiedziano, że od 10. wieczór do 6. rano jest czas wyznaczony na sen.

W przeciągu siedemdziesięciu dni badań, jednej tylko nocy nie byłem wzywany do majora Tichonowa. Nie zaniedbał jednak uprzedzić mnie poprzedniego dnia: „Jutro Pana wezwę, aby dłużej z nim podyskutować“. No i właśnie tego jednego dnia, kiedy kazał mi czekać na wezwanie, mogłem spać nie będąc niepokojonym. Oczywiście całą noc wyczekiwałem nerwowo, nie zmrzywszy oka.

Czasem wzywano mnie na przesłuchanie między 9. a 10. wieczór. Wtedy wracałem do celi nad ranem około 3. czy 4. i czułem się najpewniej. Wiedziałem, że do szóstej nic mi już snu nie przerwie, chyba strażnik odwróci mą twarz do światła lub strofować mnie będzie za ułożenie rąk pod koldrą. Gorzej było, gdy

minęła dziesiąta wieczór, a strażnik bezdźwięcznym szeptem nie wezwał: „do komisarza“. Wówczas bowiem kładłem się do łóżka i trwałem w oczekiwaniu. Mijały godziny, liczone odgłosami komendy dochodzącej z podwórza. Chwilami zmęczenie przemałało, wpadałem w stan drzemania. Wtedy każdy zgrzyt klucza w drzwiach był dla mnie zagadką: czy już na „dapros“, czy też chodzi tylko o nieprawidłowo ułożone ręce, lub przechyloną na bok głowę. Pierwsza w nocy była godziną, w której najczęściej podrywano mnie z łóżka. Gdy ta minęła mówiłem sobie: śpij, dziś będziesz miał noc spokojną. Często ledwo to pomyślałem i ułożyłem do snu nie tylko swe ciało, ale i nerwy, strażnik otwierał drzwi... i znowu albo kazał się ubierać i przygotować na doprowadzenie do sędziego, albo też tylko karcił za nieprawidłową pozycję. A gdy wreszcie poszedłem do komisarza nie wracałem zazwyczaj aż w porze zakazanej dla snu przez regulamin.

Pora pomiędzy 2. i 4. po południu była wymarzona dla drzemki, zwłaszcza bezpośrednio po rozgrzaniu ciała gorącą zupą trudno się było oprzeć urokowi tej perspektywy. Tym silniej mnie ona nęciła, że w poprzednim, jak mi się już zdawało, życiu — gdy byłem adwokatem, miałem swoje obowiązki i unormowane życie osobiste — zwykłem być dzielić dzień pracy krótkim odpoczynkiem poobiednim, który przywracał świeżość myśli i energię działania na godziny wieczorne. Bardzo jednak rzadko kiedy minął mi ten czas spokojnie. Albo siedziałem już od 11. rano u majora Tichonowa w gabinecie i wracałem od niego wieczorem, bądź w nocy, albo też strażnik zamiast deseru przynosił zaproszenie na rozmowę do komisarza, „jak tylko dokończę swe pożywienie“. Jak gdyby dla drwin, po półgodzinnej drzemce przynoszono mi narzędzia do froterowania celi z poleceniem i zachętą wykonania tej pracy jak najstaranniej we własnym interesie. Niekiedy zarządzano w tym właśnie okresie czasu „progułkę“.

„Progułka“ czyli spacer na świeżym powietrzu był dla mnie czymś bezcennym. Według reguł więziennych stanowił prawo, ale nie obowiązek więźnia. Póki byłem sam w celi, korzystałem z każdej dawanej mi sposobności odetchnięcia powietrzem, zmagając się zwycięsko z perspektywą dalszej drzemki. Gdy siedziałem w celi razem z rosyjskim moim towarzyszem musiałem się liczyć z jego skłonnościami. Zasadą bowiem było, iż wszyscy więźniowie z danej celi muszą iść na spacer razem. Jeśli je-

den z nich odmawia, pozostali również nie są już wyprowadzani na spacer. A mój towarzysz przekładał najczęściej drzemkę nad spacer; „jakiż to tobie spacer“ — mawiał gniewnie.

Rzeczywiście, trwał on tylko minut piętnaście. Dla korzystania z niego trzeba było wznieść się parę piętér w górę, czasem windą, ale czasem po schodach, co pod koniec okresu badań kosztowało mnie wiele trudu. Na siódmym względnie dziewiątym piętrze (zależnie od jakiego poziomu liczyć piętra) przekazywano mnie specjalnej straży, która tutaj czuwała nad bezpieczeństwem więzienia. Wprowadzano mnie na dach podzielony na dwie płaszczyzny, okolone sięgającymi na wysokość kilku metrów płatami brązowej blachy. W obrębie jednej z takich płaszczyzn miałem prawo maszerować, nie zatrzymując się, wokoło z rękoma założonymi w tył. Gdy spacerowałem z współwięźniem, nie wolno mi było z nim rozmawiać. Wolno mi było tylko spoglądać w górę na niebo, najczęściej zachmurzone w tym czasie, ale niekiedy piękne barwą ciemnego granatu lub rozjaśnione błyskiem słońca.

Kiedyś sfrunął gołąb. Chodziłem ostrożnie po dachu, by go jak najdłużej nie spłoszyć. Zdawało mi się, że przyniósł dobrą nowinę z wolnego świata, i podniósł mnie na dachu. Pomyślałem sobie, że gdyby sędzia śledczy się o tym dowiedział, na pewno by kazał wszystkie gołębie w okolicy powystrzelać.

W godzinach nie przeznaczonych dla spoczynku wszelka próba zajęcia pozycji choćby półleżącej, nawet zamknięcie oczu, była surowo strofowana. Choć wiedziałem o tym, nie mogłem się jednak oprzeć pokusie i do samego procesu ćwiczyłem się w sztuce omijania czujności strażnika. Po dopełnieniu wszystkich czynności rannych, odurzony gorącą wodą, siadałem na łóżku, wsparty łokciem o podwyższenie zrobione z czajnika, opatulonego kocem. Rozkładałem na kolanach książkę i udawałem, że czytam, bokiem odwrócony do judasza. Głowa kiwnęła mi się raz i drugi. Czujne oko spostrzegło to jeśli nie natychmiast, to w każdym razie po upływie kilku minut. Albo kończyło się na silnym uderzeniu w drzwi celi albo na ostrym zwróceniu uwagi, że w tej porze spać nie wolno. Raz jeden tylko, nie wiem czemu tę łaskę przypisać, strażnik po odprowadzeniu mnie z łazienki do celi z widocznym zadowoleniem zakomunikował, iż „komisarz pozwolił mi dziś rano oddychać“.

Przez pierwszych kilka dni pobytu na Łubiance, mimo wszystkich przepełniających mnie myśli i trosk, godziny wolne od badań i opisanych tu sytuacji przesyślałem. Stopniowo jednak

potrzeba nieustannej czujności, podniecanej umiejętnie systemem więziennym i metodą przeprowadzanych badań, na tle słabnącego fizycznie organizmu rozbudzała moją imaginację w tym stopniu, że stała się czynnikiem spędzającym trwale sen z powiek.

Po każdym powrocie z gabinetu sędziego śledczego nie mogłem zasnąć, gdyż już musiałem przypomnieć sobie starannie każdy szczegół ostatniej rozmowy. Wiedziałem, że o wszystko, cokolwiek zeznałem, będę pytany wkoło jeszcze kilkanaście razy i że niebezpiecznie będzie dla mnie, dla zachowania linii ideowej, dla losu moich przyjaciół w kraju, czy dla tych co są razem ze mną w więzieniu, zmienić w tych zeznaniach choćby jeden szczegół. Gdy podałem, aby uwolnić się od natręctwa mego oskarżyciela, jakieś nazwisko fikcyjne, chodziłem później po celi godzinami ucząc się tego nazwiska na pamięć, by go następnie nie zmylić. Gdy opisałem jakiś dom, położenie budynku, w którym miały się odbywać narady w podziemnej polskiej robocizni, odrysowywałem go sobie w wyobraźni tak dokładnie, by samemu niemal uwierzyć, że istnieje on w rzeczywistości. Tą tylko drogą mogłem zmylić czujność NKWD, a równocześnie zapewnić sobie odrobinę spokoju.

Oczekując na każde następne badanie, rozważałem, o co też Tichonow będzie się mnie teraz pytał. Na wszelki wypadek układałem sobie z góry nowe historie. Przypominałem sobie nazwiska przyjaciół, kolegów, znajomych, którzy w biegu lat polegli lub zostali zamęczeni. Umiejętnie nimi operując, podawałem bez obawy, aby zostać schwytanym na nieprawdzie, skład różnych ośrodków władzy państwa podziemnego.

Sędzia śledczy uzyskał kiedyś informację, iż byłem członkiem Tajnej Rady Adwokackiej, która w czasie okupacji kierowała faktycznie postawą adwokatów w Polsce, mimo ustanowienia komisarycznej Rady przez Niemców. Zażądał, abym ujawnił wszystkie nazwiska osób wchodzących w skład tej Rady. Wymieniłem mu szereg adwokatów, którzy nie żyli. Był między nimi: śp. Mieczysław Przyjemski, wybitny znawca prawa karnego, zamęczonego jeszcze w 1940 roku w obozie koncentracyjnym pod Hamburgiem, śp. Kazimierz Grendyszyński, który zginął wraz z synem swoim w czasie powstania w r. 1944 w Warszawie, śp. Stanisław Peszyński, który zginął zamordowany na rozkaz Niemców przez oddziały ukraińskie w pierwszym dniu powstania warszawskiego, i kilku innych. Wszyscy oni mieli tytuł,

aby ich zaliczyć do rzędu przywódców adwokatury polskiej — niektórzy z nich do chwili śmierci obowiązki te pełnili. Wiedziałem, że psychologicznie wybieg będzie udany, o ile następnym kilkanaście razy, w dzień czy w nocy, po pierwszej, czy po dwunastej godzinie badań, jakoby pod wpływem znużenia, czy w atmosferze pozornej otwartości, zaskoczony pytaniem — powtórzy te same nazwiska bez zająknięcia. Spośród żyjących umieściłem na tej liście tylko siebie, a o fakcie, że tamci nie żyją, oczywiście nie wspominałem. Zapytywany, co się dzieje z towarzyszami mej pracy, odpowiadałem, że od czasu powstania zniknęli mi z oczu, może niektórzy są w obozach niemieckich, a niektórzy może zginęli. Trzeba było mieć w pogotowiu dużo takich historii, aby zaspokoić rozsądnie i z umiarem nieustanny nacisk ze strony sędziego: „*razkazywaj*“.

Dla uzupełnienia obrazu tych sił, które równocześnie i w sposób zgrany atakowały coraz widoczniej fizyczne zasoby organizmu, jego układ nerwowy, a także odporność psychiczną, ważne będzie podkreślenie roli, jaką spełnia całkowite odcięcie więźnia od świata zewnętrznego.

Przez wiele lat powiązany byłem niezliczonymi niemi z życiem swego społeczeństwa, co dnia je obserwowałem — i to stanowiło istotę moich zainteresowań. Brak jakichkolwiek wiadomości męczył mnie teraz straszliwie i za ich uzyskanie gotów byłbym wiele ofiarować.

Sędzia śledczy „przekupywał“ mnie w momentach, gdy stawiał na łagodność, podawaniem wiadomości o położeniu na frontach. Zapalał się czasem zwycięstwami oręża sowieckiego i chciał we mnie rozbudzić ten sam entuzjizm. Skoro jednak przechodził do systemu gróźb i zaskoczenia, milczał jak zakłęty o wszystkim, co się działo poza murami więzienia.

Mimo to nieświadomie pomagał mi w ocenie sytuacji. Zwykły był bowiem, zmęczony pracą nade mną, zaglądać do „Izwestii“ lub „Prawdy“ i wedle komunikatów w tych pismach przesuwać na rozwieszonej mapie chorągiewki. Obserwowałem to jego zajęcie z najwyższą pilnością i choć oczywiście nie mogłem odcyfrować z dala nazwy miejscowości, orientowałem się tą drogą w szybkim postępie wydarzeń.

Drugim czynnikiem, który mi coś mówił, były odgłosy salw armatnich, oddawanych co wieczór na znak zwycięstwa armii sowieckiej. Nauczyłem się je liczyć i na tej podstawie wyrabiać sobie pojęcie o rozmiarach tych zwycięstw. Z tym połączona

była jedna z nielicznych rozrywek, jaką miałem w więzieniu. Baterie dział wystrzeliwały na Moskwę wspaniałe bukiety fajerwerków, poszczególne gwiazdki spadając migotały jakimś odmiennym blaskiem w mej zielonej, ponurej celi.

Był jeszcze jeden znak, który służył więźniowi jako niewątpliwy dowód, że się coś ważnego na świecie zdarzyło. Tym znakiem było równoczesne podanie obiadu i kolacji. Moskał, fachowy mój towarzysz, wytłumaczył mi, iż znaczy to zebranie całej straży wolnej od koniecznych zajęć na uroczystą akademię, związaną zawsze z wielkim wydarzeniem w życiu Związku Sowieckiego. Zastanawialiśmy się, czy czasem tym wydarzeniem nie jest zwycięskie zakończenie wojny — nikt nam na to odpowiedzi nie udzielił. Dopiero 20 czerwca, w dwa niespełna miesiące później, z mowy prokuratora na rozprawie sądowej dowiedziałem się, iż wojna skończona.

W toku śledztwa, gdy okrzepłem już w swych siłach, próbowałem niekiedy przechodzić do ostrożnej ofensywy. Po którymś z kolejnych badań zapytałem, czy mogę zakomunikować sędziemu swą prośbę, i wystąpiłem o zezwolenie na zaprenumerowanie „Prawdy“. Tichonow rzucił się na mnie z furją: „Pan chce, z więzienia robić salon towarzyski. Czy pan kiedy słyszał, aby w polskim więzieniu dawano komunistom gazety do czytania?“ Odpowiedziałem spokojnie: „W polskim więzieniu każdy przestępca miał prawo prenumerować sobie dwie gazety. Wycinano c) najwyżej z nich wiadomości, związane bezpośrednio z toczącym się przeciwko niemu śledztwem. Wiem o tym dobrze, gdyż jako adwokat prowadziłem mnóstwo obron politycznych“ „Łżesz!“ — było jedyną obok wścieklej miny odpowiedzią.

Nie obawiałem się samotności. Zbyt intensywnie rozmawiałem z sobą samym w ciągu godzin wolnych od badań, abym szukał rozmów z innymi. Zresztą w stosunkowo szybkim czasie zostałem potraktowany przez władze sowieckie w sposób wyróżniający. Pewnej nocy wróciwszy od sędziego śledczego zastałem w celi towarzysza.

Na pierwszy rzut oka wydawało mi się, iż to jakiś *muzyk* z zapadłej prowincji. Twarz nic nie mówiąca, ruchy niepewne, zastraszenie widoczne. Ubrany w szary sznyel żołnierski, obuty w walenki na gumowych podszwach, siedział czas jakiś w celi bezradnie, w papaszy na głowie. Powoli rozwiązały się nam języki. Okazało się, iż mam przed sobą pułkownika armii so-

wieckiej. Zwał się o ile dobrze pamiętam, Umnow. Dzieje jego były charakterystyczne dla stosunków sowieckich.

W 1917 roku, jako młody chłopiec pasał krowy w jakimś dużym majątku na południowej Ukrainie. Starsi jego bracia odbywali wówczas służbę w armii i brali udział w rewolucyjnych rozruchach po stronie bolszewickiej. Mianowani oficerami postarali się o to, aby Umnow, już jako dorosły mężczyzna, nauczył się czytać i pisać. Mniej więcej w dwudziestym piątym roku życia został oficerem. Mając lat 33 wyruszył na wojnę rosyjsko-fińską, jako dowódca pułku artylerii. Zasłużył się wybitnie w akcji, otrzymał różne gwiazdy i ordery, a wraz z nimi i dziewięć ran. Po wyleczeniu się dostał poważne stanowisko w administracji wojskowej.

Wtedy, choć miał żonę i dziecko, przyszedł na niego okres życiowego szaleństwa na jego miarę. Zakochał się w jakiejś Cygance i, jak opowiadał, spędził w jej towarzystwie szereg upojnych wieczorów. Przyszła katastrofa. Cyganka została aresztowana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Wielkiej Brytanii. Na wszelki wypadek został aresztowany i Umnow, a w rezultacie długotrwałego śledztwa skazano go na 10 lat więzienia. Po trzech latach wystąpił o rewizję procesu i odbywszy wędrowkę po różnych obozach i więzieniach całej Rosji znalazł się na Łubiance.

Silne piętno, jakie na jego sylwetce psychicznej i fizycznej wywarły ostatnie przeżycia, dawały pole do wielu praktycznych obserwacji systemu sowieckiego. Gdy po pewnym czasie nabrał do mnie zaufania i wstąpił na grunt zasadniczych dyskusji, tak właściwych naturze rosyjskiej, dał też sposobność do pogłębienia mych spostrzeżeń o człowieku sowieckim i jego przeciętnym typie rozumowania. Z gruntu dobry człowiek, współczuł szczerze mej niedoli i starał się mi pomóc, jak mógł i jak uważał, że będzie najlepiej. Z rad jego rzadko korzystałem, bo nie odpowiadały mojemu stylowi życia. Natomiast drobne usługi z jego strony były bezcenne. Przede wszystkim nauczył mnie czytać i rozumieć język rosyjski.

Studia nad Umnowem były tym ciekawsze, że wkrótce już mogłem porównywać go z drugim reprezentantem armii o tej samej szarzy. Podczas gdy przyjaciele moi niemal do ostatnich dni dochodzeń pozostawali w celi samotnie, mnie przydzielono po pewnym czasie innego jeszcze współlokatora. Tym razem był to Niemiec.

Z zawodu artysta malarz, żonaty, obarczony gromadką dzieci.. Wiecznie w tarapatkach finansowych. Uwierzył wtedy w Hitlera. W organizacji narodowo-socjalistycznej szybko posuwał się w hierarchii, aż wreszcie został szefem personalnym S. S. Gdy wybuchła wojna polsko-niemiecka porzucił stanowisko administracyjne i odbył wraz z pułkiem SS kampanię polską, potem francuską, a w końcu rosyjską. 2 stycznia 1944 roku został w randze pułkownika wzięty do niewoli pod Wilejką, na dawnej granicy ziem polskich i rosyjskich.

Po kilku tygodniach ciężkich przeżyć dostał się Niemiec ten do jednego z reprezentacyjnych obozów jenieckich pod Moskwą — do tego samego, w którym przebywał marszałek von Paulus i generał baron von Seidlitz. Spędził tam rok w znośnych warunkach, gdy na tle rozdarcia wewnętrznego jakie w końcowej fazie wojny zaznaczyło się wśród oficerów niemieckich, ktoś z kolegów zadenuncjował go bolszewikom jako wybitnego hitlerowca. Oddany został pod sąd wojenny, a w związku z tym przeniesiony do więzienia. Wyszły na jaw jego kwalifikacje jako znawcy stosunków personalnych w SS. Przesłano go więc na Łubiankę dla przeprowadzenia badań „wyższego rzędu“.

Dużo się też od niego dowiedziałem, bo cela więzienna ma to do siebie, że najtwardsi, najbardziej tajemniczy, ulegają w niej słabościom i otwierają swe dusze. Ponieważ Rosjanin nie umiał ani słowa po niemiecku, Niemiec zaś nie rozumiał słowa po rosyjsku — miałem monopol w zbieraniu i klasyfikowaniu wrzeń, pochodzących od ludzi z tak różnych nurtów przeżyć, idei i obyczajów.

Po kilku tygodniach Niemca zabrano. Sądzę, że uznano jego towarzystwo za nieodpowiednie dla mnie. Na to miejsce wrzucano do celi jakiegoś Moskviczanina. Było to już w okresie bezpośrednio poprzedzającym proces publiczny. Stwierdziłem później, że równocześnie tego samego dnia wszystkim moim kolegom przydzielono takiego towarzysza. Według powszechnego zdania, dodano nam w tym momencie „aniołów stróżów“ dla przypilnowania, byśmy nie popełnili samobójstwa. Umnow miał, zdaje się, ten sam pogląd i był w stosunku do nowego towarzysza bardzo ostrożny.

. Moskviczanin opowiadał, iż był na stanowisku skromnego urzędnika w którejś z hurtowni państwowych. Jeździł po prowincji i dokonywał zakupów. Z tego tytułu był w częstym kontakcie służbowym ze swoim dyrektorem, który dzielił się z nim

czasem swymi poglądami prokapitalistycznymi w zakresie handlu. Dyrektor został aresztowany w czasie, gdy on odbywał jedną ze swych kolejnych podróży. Wróciwszy do domu, Moskwiaczanin dowiedział się o tym od żony. Wyszedł jeszcze na miasto, aby kupić coś na kolację i został na ulicy zatrzymany przez cywilnego agenta. Odprowadzono go na Łubiankę. Spytałem go zaraz: „Powiedz mi, czy wojna się już skończyła?“. Odpowiedział: „Nie wiem“. Nie bardzo było go o co dalej pytać. Może był aż tak zastraszony, a może miał takie polecenie*).

Dostatecznie wcześniej doszedłem do przekonania, że ani głód, ani chłód, bezsenność czy atmosfera roztaczanej grozy nie są moimi największymi wrogami. Zwalczyć będę musiał natręctwo myśli, nieprzerwanie krążących wokoło przedmiotu badań. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli będzie tak dalej, ulegnę całkowitemu wyczerpaniu i stanę się niezdolny do dalszej obrony wobec ataków sędziego. Dlatego też starałem się włożyć jak najwięcej zainteresowania w rozmowy ze współkolegami w celi na tematy, nie związane bezpośrednio z moim losem.

Przede wszystkim jednak postanowiłem wolny czas poświęcić na uczenie się języka rosyjskiego, zdając sobie sprawę, że przyda mi się on na przyszłość w każdej sytuacji, a być może pozwoli uniknąć wielu niebezpieczeństw w niedalekim czasie... Wysilek ten przynosił równocześnie bezcenne oderwanie się od klimatu psychicznego narzucanego mi z naukową precyzją w gabinecie sędziego.

Najpierw przypominałem sobie cyrylicę, z którą się zapoznałem jako siedmioletni chłopiec. Rzecz ciekawa, iż większą trudność sprawiało mi czytanie książek, wydanych w ułatwionej, bolszewickiej ortografii, to znaczy bez znaków stwardnienia i bez „jat“, która w dawnej rosyjskiej pisowni tyle uczniom sprawiała kłopotu. Okazuje się, że co zapada w umyśle dziecka, zostawia trwale w nim ślady. Zacząłem od tego, że w ciągu dnia ciężką pracą przesyłabizowałem dziesięć stron książki. Kończąc odsiadanie kary w więzieniu, zostawiony w spokoju, osiągałem już zdolność przeczytania dwustu stron dzieł literatury klasycznej.

Książki przynosiła raz na dziesięć dni młoda, przystojna biblio-

*) Wojna już była wtedy skończona od miesiąca przynajmniej.

tekarka. Ona to właściwie dobierała, co więzien ma czytać. Po pewnym czasie zdobyłem jej względy i każde moje życzenie w miarę możliwości spełniała.

Dwóch miałem nauczycieli języka: jednym był major Tichonow, który prowadził ze mną codziennie wielogodzinną konwersację na tematy tak istotne, że każde jego słowo pochłaniałem, zapamiętując je na przyszłość. Z naszych rozmów miałem później streszczenia na piśmie w postaci protokółów, które musiałem rozumieć, bo je podpisywałem, niby wyrok w stosunku do siebie. Drugim był pułkownik Umnow, któremu co najmniej godzinę dziennie czytałem na głos, a właściwie szeptem do ucha, był bowiem głuchawy — a na dźwięk głośniejszej rozmowy wchodził strażnik i strofował surowo.

Umnow lubił uczyć — i jak każdy człowiek surowy jeszcze w swej kulturze, miał niesłychane zaufanie do zapasu swej wiedzy, mechanicznie zdobytej. Gdy chodziło o położenie na słowo należytego akcentu, co w rosyjskim języku jest bardzo trudne, ulegałem mu bez sprzeciwu. Gdy nader często wtrącał słowa pochodzenia ukraińskiego, bardzo tylko nieśmiało próbowałem z nim dyskutować na temat olbrzymich przemian, jakim uległ potoczny język rosyjski przez asymilację narodów ukraińskiego, białoruskiego i wielu innych w tyglu sowieckim. Gdy jednak z tych dyskusji przechodziliśmy na omawianie stosunków w Polsce, lekcje kończyły się niekiedy burzą.

— „A jakie stosunki panowały u was w Polsce?“ — pytał. Słuchał mnie uważnie przez dłuższy czas, po czym konkludował: „Tak, ja wiem, Polska to kraj demokratyczny. Tam tylko jedna partia była reakcyjna“. „Jaka?“. „Pie-pie-es“. Gniewał się strasznie, gdy mu zaprzeczałem i kategorycznie powtarzał: „Ja znówu łuczsze“. Polityczna gramota kiedyś go tego nauczyła i nic nie było w stanie podważyć w nim zaufania do tej wiedzy. A zapas „wiedzy“ miał duży, wiele książek znał niemal na pamięć.

Gdy przeszedłem już wszystkie kryzysy i umocniłem w sobie przeświadczenie, że wyjdę na wolność, poprosiłem bibliotekarkę o przyniesienie mi książki angielskiej. Myślałem, że gdy na inny znowu sposób będę musiał wykręcać niemilosiernie swój język, by wyrazić myśli. Bibliotekarka po pewnym czasie z triumfem wręczyła mi „Podróże Guliwera“ mówiąc, iż inne książki są w czytaniu. „bo przecież mamy tu i Anglików“. „Podróże Guliwera“ przy mojej ówczesnej znajomości języka an-

gielskiego sprawiał mi dużo trudności. Polubiłem je jednak bardzo — przez te nieprawdopodobne sytuacje, które przecie miały coś wspólnego z biegiem moich losów.

A tymczasem dzień za dniem, noc za nocą upływały na dalszych badaniach w gabinecie numer 778a — majora Tichonowa. Wezwania były zawsze szybkie, w odstępach nieregularnych, w porach najbardziej nieprawdopodobnych. Za każdym razem towarzyszyły im te same dokładne rewizje, te same ponure spacery po korytarzach z wykręconymi do tyłu rękoma i nieodłącznym mlaskaniem strażnika, odbijającym się szerokim echem od więziennych murów. Urywały one w pół słowa rozmowy prowadzone w celi, udaremniały skutecznie nieśmiałe jeszcze próby uodporniania się psychicznego.

W pierwszym stadium badań sędzia śledczy na Łubiance stawia sobie — moim zdaniem — trzy zasadnicze cele do osiągnięcia. Pierwszym jest dokładne przeegzaminowanie osoby więźnia pod względem jego inteligencji, charakteru i siły stawianego odporu. Usiłuje on przy tym uzyskać od niego najdrobniejsze szczegóły z życia osobistego i stosunków rodzinnych, odkrywa w nim słabości i mierzy jego ambicję.

Drugim zadaniem sędziego jest zakazać wyobraźnię więźnia i zrujnować jego równowagę psychiczną przez powodowanie nieustannej huśtawki w nastrojach — od szczytowego optymizmu do krańcowej depresji.

Trzecim i prawdopodobnie najważniejszym celem jest doprowadzić do wynaturzenia tkwiący w każdym człowieku instynkt samozachowawczy.

Sędzia śledczy ma wiele czasu, jest cierpliwy i nie śpieszy się. Najkrótsza moja wizyta u niego trwała około trzech godzin, a bywały i takie, w których przegadaliśmy lub przemęczyłem się bez odpoczynku 15 godzin. Sędzia wciąż jeszcze nie krystalizował przedmiotu oskarżenia w sposób ścisły. Ograniczył się do stwierdzenia, iż jestem podejrzany o kierowanie sabotażem na tyłach armii sowieckiej w czasie, gdy przystąpiła ona do ostatniej ofensywy przeciwko hitlerowskim najeźdźcom, ale rzadko kiedy kierował rozmową bezpośrednio na ten temat. Natomiast interesował się wszystkim innym.

Wspominany już przeze mnie przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego Bagiński cierpi na pewną słabość — jest przesądny. Nie lubi cyfr trzynaście i siedem. A gdy już trzynastka połączy się z piątkiem, jest zgoła nieszczęśliwy. Do-

wiedział się o tym jego sędzia śledczy w ciągu setek godzin prowadzonych rozmów.. Nie wiem, czy wiadomość pochodziła od niego samego, czy też od kogoś z najbliższych przyjaciół — dość, że uznał ją za jedną z broni, którą mógł skutecznie atakować psychikę oskarżonego.

„Jutro trzynasty. Jeśli się będzie Pan dziś przyzwicie zachowywał i mówił prawdę, jutro Pana nie wezwę“. Mimo to wzywał i znowu groził. „Dziś trzynasty. Jeśli Pan nie będzie mówił prawdy, jeśli się Pan nie przyzna, może się ten dzień rzeczywiście okazać dla Pana nieszczęśliwym“. Później w miarę słabnięcia sił Bagińskiego grał na tej strunie jeszcze bardziej niemiłosiernie. Wybierał piątki, doszukiwał się siódemek.

Opowiadał mi o tym Bagiński ze śmiechem, gdyśmy już po rozprawie sądowej wspólnie odsiadali karę. Skoro jednak przypadł w piątek trzynasty, nie wstawał z łóżka i cały dzień czekał, co mu się przydarzy. Jest to choroba, którą w sobie na tyle przeżyć w konspiracji można rozwinąć w wysokim stopniu.

Polapawszy się w intencjach Tichonowa starałem się unikać w swych opowiadaniach wszystkiego, co by mogło zaprowadzić mnie na fałszywą ścieżkę i zmusić do niekorzystnych wyznań. Moje *stories* były w pierwszej fazie badań zazwyczaj ogólnikowe, światopoglądowe, czasem zawierały jakąś ciekawą sensację z dziejów walk podziemia z Niemcami, prawdziwą lub zmyśloną, a zawsze z góry ułożoną w celi. Tichonow słuchał naprzód cierpliwie do końca, później coraz częściej mi przerywał, pogardliwie wydymając wargi: „*wot battun*“, niemniej tą metodą zarabiałem dużo na czasie. Nieraz dawał się nabierać i wtedy troskliwie zapisywał fałszywe nazwiska, wymyślone przeze mnie pseudonimy, a przede wszystkim nieboszczyków. Składałem w taki sposób dowód żądanej „lojalności“ wobec Związku Sowieckiego, polegającej zawsze na denuncjowaniu.

Mimo to Tichonow powoli osaczał mnie. W czasie, gdy sądziłem, że wie o mnie tyle tylko, ile ja mu o sobie opowiedziałem, on już wiedział o wiele więcej — nie zawsze prawdę, ale to mogło być dla mnie równie niebezpieczne.

W swoim życiorysie opuściłem wszystko, co związane było z okresem walk polsko-bolszewickich w r. 1920. Zamilczałem tym bardziej o tym, że w r. 1939 byłem w rękach bolszewickich.

Jeden z moich kolegów, przymuszany do nieustannego mówienia, zużył pewną dozę czasu na charakterystykę mej osoby. Zznał, że wróciłem z niewoli rosyjskiej w 1940 r., będąc oficerem

armii polskiej. Ponieważ wiadome było enkawudzicie najlepiej, iż Sowiety oficerów polskich nie zwalniały, a tym bardziej nie przekazywały do rąk niemieckich, taki stan rzeczy wywołał w nim najgłębsze przekonanie, iż działałem w oparciu o jakieś tajemnicze siły. A więc byłem najprawdopodobniej agentem obcego wywiadu.

Mój towarzysz działał w najlepszej wierze, nie przypuszczał po prostu abym nie był oficerem rezerwy, i uważał to za rzecz najzupełniej naturalną, nie budzącą najmniejszej wątpliwości. Natomiast w konsekwencji przyczynił mi wiele kłopotu, zwłaszcza, gdy w świadomości oficera śledczego zaczęła się zarysowywać rola, jaką odgrywałem później w wysiłku zbrojnym w podziemiu.

Po dwudziestu czy trzydziestu badaniach Tichonow zaczął mnie witać ironicznie: „Ot, taki mały, nic nie robił, nic nie wie — a my wszystko wiemy“ i uderzał ręką po jakimś starannie wychuchanym protokóle, który leżał przed nim na biurku. Gdy widział, że nie robi to na mnie zbyt wielkiego wrażenia, podszedł bliżej i zaślaniając poszczególne zdania ukazywał figurujące w protokóle moje nazwisko. „Ot, widzisz tu Stypułkowski, o, tu znowu Stypułkowski, a dalej znowu szanowny pan Stypułkowski. Ot tak dziewięć razy, na sześciu stronach protokółu. A ty wciąż myślisz, że my o tobie nic nie wiemy“. Po chwili: „A może ty jesteś już taki zgnily, że nie dowierzasz oficerowi Związku Sowieckiego i myślisz, że to wszystko fałszywie wydrukowane? Popatrz, są tu i podpisy“. Były i podpisy.

Na następny dzień sędzia śledczy z całą dokładnością powtórzył historię mojej działalności w charakterze członka ruchu korporacyjnego w latach przedwojennych. W szczególności wypomnił mi, iż w r. 1937 brałem czynny udział w przyjęciu, wydanym przez korporację „Arkonia“ na cześć ówczesnego generalnego inspektora sił zbrojnych, marszałka Rydza-Śmigłego. Udawał w ten sposób, że nawiązywałem nici pomiędzy narodowym społeczeństwem a rządzącymi w Polsce „reakcyjnymi“ generałami i pułkownikami. Odpowiedzialny więc jestem w rezultacie za ich rządy i za upadek Państwa Polskiego i od tej odpowiedzialności się nie wywinę, tak jak nie uniknie jej generał Anders, „którego jestem osobistym przyjacielem“.

Było dla mnie jasne, że wiadomości te czerpał z okazywanego mi wczoraj z daleka protokółu badań jednego z moich kolegów, który już musiał tracić krytycyzm w ocenie tego co mówi. Nie byłoby rozsądne wypierać się akcji, którą rzeczywiście podejmo-

wałem w najlepiej rozumianym interesie mojej Ojczyzny, gdyż akcja ta w swoim czasie wywołała w opinii publicznej dużo rozgłosu. Było mi też wstrętne winić się wobec moskiewskiego sędziego. Milczenie byłoby pewną formą przyznania się do winy, a w każdym razie umożliwiłoby rzucenie na mnie fałszywego światła.

Odpowiedziałem więc: prawda, w roku 1937 i w następnych latach starałem się nawiązać kontakt pomiędzy patriotycznie usposobionym społeczeństwem a przedstawicielami armii. Uważałem, że wojna między hitlerowskimi Niemcami a Polską jest nieunikniona, w obronie jej całości i niepodległości. Uważałem nadto, że rząd, który władzę w Polsce sprawuje, nie rozumie dostatecznie grozy położenia i nie przygotowuje należycie narodu do obrony. „Mówi Pan, panie sędzio, że władze sowieckie oceniają mnie jako człowieka zdolnego i dlatego szczególnie odpowiedzialnego za niewyciąganie właściwych konsekwencji z rzeczywistego położenia kraju. Jakież wtedy miałem zająć stanowisko? Wiadomo było, iż rząd, który przyszedł do władzy drogą zamachu stanu, dobrowolnie nie ustąpi. Wywołać rewolucję w obliczu wroga — byłoby zbrodnią. Sięgnijmy do nauk Lenina. Głosił on zawsze, iż rewolucja w takim momencie byłaby więcej niż zbrodnią — byłaby głupstwem. Z Pańskiego punktu widzenia wtrącenie Polski w owym czasie w chaos musiałoby być też nieszczęściem dla Rosji, do której droga dla Hitlera byłaby już zupełnie otwarta. Jedynie słuszną metodą postępowania było starać się przekonać rozsądne żywioły w armii o konieczności ścisłego związania się ze społeczeństwem i w oparciu o nie przygotowania obrony państwa. Ta droga w dalszej ewolucji mogła jedynie doprowadzić do zmiany stosunków wewnętrznych w kraju“.

„W szczególności generał Anders nie był przedstawicielem reakcji, jak się to mylnie twierdzi w Rosji. Generał Anders w roku 1926 czynnie wspierał legalny i demokratyczny rząd i z tego właśnie względu cieszył się zawsze w Polsce autorytetem“.

„Nikt w Polsce, a chyba także w świecie, nie uznałby za słuszne stawianie mi jakiegokolwiek zarzutu w związku z usiłowaniem przygotowania Państwa Polskiego do obrony przed agresją niemiecką. Dlatego żadnej odpowiedzialności za to się nie obawiam“.

Miałem zawsze sprawdzian, czy obrona moja była skuteczna, to znaczy czy Tichonow uznał, że nie może z moich zeznań ukuć

broni przeciwko mnie. W tym bowiem wypadku zeznań moich nie wciągał do protokołu. Tak się stało i tym razem, po kilkunastu godzinach zawziętej walki. Nie wpisał nawet do mojego protokołu, iż jestem „osobistym przyjacielem generała Andersa“, co byłoby pochlebne dla mnie, nie było jednak ściśle, ale co w każdym razie kompromitowałoby mnie w oczach reżymu sowieckiego. Czytając po zakończeniu śledztwa protokoły wielu zeznań, dotyczących mojej osoby, znalazłem to stwierdzenie gdzie indziej, złożone już wtedy, gdy zdolności rozeznawcze u niektórych spośród oskarżonych równały się zeru.

Innej znowu nocy rozpoczął Tichonow rozmowę w tonie bardzo przyjaznym: „Nie chce nam Pan uparcie o sobie nic opowiedzieć, ale my mamy już pełną charakterystykę Pańskiej osoby. Pochodzi ona od jednego z Pańskich przyjaciół, którego, o ile wiem, bardzo Pan szanuje i z którego zdaniem my też się bardzo liczymy“.

— „Jest Pan bardzo zdolny, jeszcze bardziej ambitny, za wszelką cenę dąży Pan do władzy. Pańscy przyjaciele — mówił on — musieli trzymać Pana w żelaznych kleszczach“.

„Spróbujmy teraz wspólnie dokonać analizy tej charakterystyki. W swoich raportach do władz wyższych zwracałem już kilkakrotnie uwagę, że jest Pan zdolnym człowiekiem. My w Związku Sowieckim ludzi zdolnych cenimy, ale też wymagamy od nich wiele więcej. Jeśli można darować komuś, kto jest mało inteligentny, że nie ocenia właściwie sytuacji politycznej i błędzi, to u człowieka o szerszych horyzontach uważa się to za złą wolę. Karze się go bezwzględnie. Pan nie może nie rozumieć, iż los Polski zależny jest wyłącznie od tego, czy pójdzie ona ręką w rękę z Rosją Sowiecką. Jeśli Pan działa przeciwnie, działa Pan z rozeznaniem, jako świadomy nasz wróg“.

„Duża ambicja jest u mężczyzny cnotą. To tylko zgnily Zachód boi się ambitnych ludzi. My budujemy na ambicji ludzkiej wielkość naszych osiągnięć i pod tym względem znajdzie Pan u nas pełne zrozumienie“.

„Jeśli Pan jednak chce dojść do władzy, co się mu słusznie należy, musi Pan zrozumieć, że jest to do osiągnięcia tylko we współpracy z nami. Wszelkie formy tej współpracy stoją dla Pana otworem. Skoro jednak — zakończył z uśmiechem długi swój wywód Tichonow — nawet Pańscy przyjaciele musieli trzymać go w żelaznych kleszczach, proszę się nie dziwić, że będzie Pan i przez nas w kleszczach trzymany“.

Ten temat rozwijał wobec mnie enkawudzista przez trzy doby — przesiadywałem u niego po kilkanaście godzin bez przerwy. Był to prawdopodobnie generalny egzamin mojego charakteru i odporności na wszelkiego rodzaju „pokusy“, a na pewno najobrzydliwszy moment w całym śledztwie. Po raz pierwszy porzuciłem taktykę, polegającą na obszernym opisywaniu swoich wrażeń, poglądów, historii swego życia, i gdy propozycje stały się zbyt jaskrawe, odpowiadałem tonem ostrym: „Jeśli mnie będzie Pan obrażał, nie będę składał dalszych zeznań“. Tichonow wycofywał się gładko mówiąc, iż nie miał wcale zamiaru mnie urazić, natomiast wiedząc, iż jestem polskim patriotą, chciał mi tylko dopomóc w możliwości służenia krajowi.

Zresztą pogląd jego na funkcje tego typu, co szpiegostwo, jest niezmiernie charakterystyczny dla mentalności „człowieka sowieckiego“.

W tych chwilach, gdy zamierzał przechylać szalę mych nastrojów ku skrajnemu pesymizmowi, zaczynał często śledztwo od szeregu niewybrednych epitetów: „Ty szpiegu brytyjski, ciekawym co mi teraz powiesz, my wiemy wszystko. Chyba nie wątpisz, że mamy dostateczną ilość oddanych nam komunistów na całym świecie, aby wiedzieć dokładnie co się dzieje w Londynie. Mam stamtąd pełną listę osób, będących na usługach wrogiego wywiadu“.

Albo z innej beczki: „Jak się Pan miewa, germański służalco. Sprawdziliśmy już, że Pańska matka i Pańska rodzina jest rzeczywiście w obozach niemieckich. Ale mają się one tam bardzo dobrze, są traktowane z wyróżnieniem. Wzięte zostały po to tylko przez Niemców, aby mieć gwarancję, że będzie im Pan dobrze służył“.

Gdy milczałem pogardliwie i patrząc mu w oczy nie odpowiadałem na dalsze pytania, uspakajał się — po czym widząc, iż nie uzyska nic tą drogą, zmieniał ton: „Nie potrzebnie się Pan gniewa, wcale nie chciałem Pana obrazić i nie obraźliwego nie powiedziałem. Przecież ja *tożę razwiedka*“*).

Poniżenie godności człowieka nie było jedyną metodą, przy pomocy której sędzia usiłował wprowadzić mnie w nastrój beznadziejności. Zwykł był on w tych momentach rozwodzić się szeroko nad działalnością Polski podziemnej, która według niego nosiła charakter rozgałęzionego spisku dla udaremnienia zwy-

*) *Ja też należę do wywiadu.*

cięstwa Rosji Sowieckiej. Spisek był kierowany przez Angio-
sasów, a myśmy byli ich posłusznymi narzędziami. Przytaczał
wtedy różne „dowody“, a popierał je faktami z mojej przeszło-
ści i charakterystyką działalności innych moich kolegów. Jak-
kolwiek zachowałem jeszcze krytycyzm, który pozwalał mi na
csąd, że dowody są zmyślone, a przytaczane zeznania wymusz-
ne, to jednak musiałem zdawać sobie sprawę, że atmosfera wo-
koło mojej osoby się zagęszcza. Im bardziej niesprecyzowane
były względem mnie zarzuty, tym gorzej — tym trudniej było
podjąć obronę na płaszczyźnie ogólnej odpowiedzialności za zbrod-
niczą działalność podziemia, wrogą wobec Sowietów.

Mieli już przy tym zarysowaną moją sylwetkę — byłem zde-
cydowanym przeciwnikiem komunizmu, jako chłopiec brałem
udział w wojnie polsko-bolszewickiej, walczyłem przeciwko opa-
nowaniu podziemia przez wpływy sowieckie, sprzeciwiałem się
jawnie oddaniu połowy Polski Rosji Sowieckiej. To wszystko
wystarczało, by być uznanym za wroga Związku Sowieckiego
i ponieść za to odpowiedzialność.

A gdy Tichonow sprowadzał rozmowę na kary, jakie mi gro-
zą — nie ukrywał ich grozy. Opowiadał, jak łatwo stracić ży-
cie, jak trudno je zachować na dłuższy czas w „łagrach“ rozrzu-
conych po Syberii. Przekonywał, że życie ludzkie nie ma żadnej
wartości, gdy chodzi o wielkie procesy historyczne, w których
obliczu stoimy. Siał też trwogę o najbliższe dni czy godziny,
każąc się domyślać więźniowi, że ma w swej dyspozycji różne jesz-
cze środki wymuszenia na mnie mówienia „prawdy“.

Kiedyś będąc już u kresu wyczerpania nerwowego wybuchną-
łem: „Możecie mnie zamordować, ale nic więcej nie powiem,
bo nic więcej nie wiem“. Popatrzył na mnie zimno, przeciągle
i powiedział: „To ty jesteś taka *swotocz*, że myślisz, iż my tortu-
rujemy swoich więźniów. Nie, my znajdziemy inne na ciebie
sposoby“. Przestał jednak wracać do aluzji tego rodzaju, a ja
tą drogą się upewniłem, że był zakaz stosowania względem nas
tortur fizycznych.

Pograżonego w rozmyślaniach nad sytuacją, z której nie ma
już chyba wyjścia, zmęczonego i otepiałego bez granic, znowu
gdzieś nad ranem podrywano mnie z łóżka do sędziego. „A jak
się Pan miewa, Panie Ministrze. Przepraszam, że Pana obu-
dziłem. Chcę jednak z Panem szczerze porozmawiać. Czy Panu
jest rzeczywiście tutaj tak dobrze, że Pan przedłuża do nieskoń-
czoności swój pobyt w więzieniu? Przecież nam tylko chodzi

o to, żeby mieć od Pana jasne przedstawienie rzeczy. Jestem przekonany, że wówczas wyjaśni się wszystko i że wróci Pan do kraju, aby pracować dla Polski, którą Pan tak kocha. Ot, wielu Pańskich kolegów już zostało zwolnionych i mam wiadomości, że pracują bardzo pożytecznie teraz. Kraj czeka na Pana, musi Pan dla niego żyć, musi Pan żyć dla rodziny, jeśli jej się uda uniknąć zamęczenia przez Niemców. Po cóż dobrowolnie skazywać się na gnienie w tym więzieniu, a w przyszłości w jakichś ponurych obozach“.

Następowała fala optymistycznych przewidywań, uprzejmych zwrotów i wyrazów współczucia. Stereotypowe bywało w takich razach zakończenie przemowy sędziego: „No cóż mi więc Pan teraz opowie Zbigniewie, synu Franciszka?“. Miałem zazwyczaj przygotowane jakieś historie, starając się za wszelką cenę zyskiwać na czasie. Tichonow coraz częściej odkładał pióro zniechęcony, mruzczał pod nosem swoje: „*wot battun*“ i po kilku czy kilkunastu godzinach telefonował po strażnika: „*ważmitie 778a*“.

Zegnając, apelował do mnie: „Odsyłam Pana do celi, abys się spokojnie zastanowił nad swoim położeniem. Opóźnia Pan śledztwo, które by się już dawno skończyło. Rozumiem, że Panu jest trudno zdecydować się na zmianę frontu. Toteż jestem cierpliwy. Ale trzeba wreszcie zacząć posuwać sprawę naprzód, bo inaczej wbrew wszelkim możliwościom, wbrew dobrej woli Związku Sowieckiego, wbrew sytuacji międzynarodowej, która Panu dzisiaj sprzyja, zostanie się Pan w Rosji podczas gdy Pańscy koledzy ...“.

Wracałem tedy do celi z nowym bagażem myśli. Z jednej strony krytycyzm bronił mnie przed przyjęciem wszystkiego, co Tichonow mówił w ciągu nocy, za prawdziwe. Z drugiej strony natura człowieka kurczowo się chwyta wszelkich złudzeń, podsuwanych rozgorączkowanej, chorej wyobraźni. Im większe panowało otępienie i rezygnacja przed paru jeszcze godzinami, tym silniej teraz budziło się pragnienie życia. A może rzeczywiście nacisk ze strony mocarstw zachodnich w obronie naszej jest tak silny, że Rosja zmuszona będzie ustąpić? A może naprawdę szuka się tylko gładkich pozorów, aby Sowiety wyszły z tej sytuacji z jaką taką „*twarzą*“. Mam przecież widoczne dowody, że przynajmniej niektórzy moi towarzysze zaczynają składać daleko idące oświadczenia, odsłaniają nasze wysiłki, ujawniają pracę polskiego podziemia, cytują fakty. Czyżby Tichonow oszukiwał mnie tak dalece, że są oni już na wolności? A więc, myślałem pół na

jawie, droga do wolności otwarta. Czy czynię słusznie, odmawiając wkroczenia na nią?

Na tle takich nastrojów psychicznych, które sędzia sowiecki systematycznie wytwarza metodą przeskakiwania od najbardziej ponurych sytuacji do nęcących prospektów, realizuje się najważniejszy cel wstępnego „śledztwa“. Jest nim, jak już powiedziałem, doprowadzenie do wynaturzenia w więźniu jego instynktu samozachowawczego.

Od rana do nocy, od nocy do rana zmuszony byłem mówić, składać wyjaśnienia, zastanawiać się, skierowywać całą swą uwagę na to, aby się bronić. Nie dlatego tylko, że odpowiadało to mojej instynktownej potrzebie, ale przede wszystkim do tego stale zmierzał sędzia śledczy.

Nie dawał mi ani chwili wytchnienia myślowego: „Pan musi się bronić, bronić wszystkimi środkami — mawiał — bo jeśli się Pan potrafi obronić, będzie Pan wolny. Sprawa nie jest przegrana. Ale jeśli się Pan nie potrafi obronić, skończy się Pana ładne życie“.

„Pan musi się bronić, ba Pana kraj potrzebuje, a z Pańskiej śmierci nikt nie będzie miał żadnej korzyści“.

„Czy nie żal Panu matki i syna? Pan musi żyć w ich interesie, a to jest do osiągnięcia tylko wtedy, jeśli się Pan będzie bronił“.

„Odsyłam Pana do celi, abys się zastanowił co masz do powiedzenia w swojej obronie“.

„Czemu się Pan nie broni, to nie jest wcale takie trudne. Opowiedz szczerze, co robiliście Pan i Pańscy koledzy. Przyznaj się do winy, a Związek Sowiecki na pewno potrafi wybaczyć“.

Bywało, że rozmowa się między nami urywała. W miarę, gdy twardniałem psychicznie, urywała się coraz częściej. Wykorzystywałem te momenty dla uchylenia się choćby chwilowego od tego nieustannego nacisku, który zaczynał wywierać wpływ coraz bardziej chorobliwy, a co gorsza coraz bardziej niezależny od woli.

Staralem się zająć myśl czymkolwiek obojętnym. Siedząc w rogu pokoju, wyprostowany, z rękoma wysuniętymi naprzód na małym lakierowanym stoliku, twarzą zwróconą wprost do sędziego, kątem oczu spoglądałem na przykład na rozwieszoną po przeciwległej ścianie mapę Związku Sowieckiego. Staralem się tę przynajmniej odnieść korzyść, żeby zapamiętać kontury jego gra-

nie azjatyckich, podział na republiki autonomiczne czy federacyjne, poznać ich geologiczną strukturę. Tichonow uczył się w tym czasie słówek niemieckich, ale badał równocześnie każdy mój ruch. Już po chwili zwracał się do mnie z ostrą uwagą: „Pan nie po to przyjechał do Moskwy, aby się uczyć geografii Rosji, ale po to aby się zreflektować. Zostawiłem Panu czas wolny na to, aby się Pan zastanowił, co ma powiedzieć w swojej obronie“...

Stopniowo w umyśle więźnia zachodzą niby mgłą wielkie zagadnienia, dla których przez tyle lat poświęcał cały swój wysiłek, dla których co dnia dotychczas stawał bez zmużenia powiek w obliczu śmierci. Słabnie krytycyzm w ocenie argumentów wciąż mnożących się, usłużnie podsuwanych przez sędziego, a uzasadniających, że najważniejszym obowiązkiem jego jest zrobić wszystko, aby wydostać się na wolność. Dla osiągnięcia tego celu nie ma ceny. Tego jedynie może wymagać należyte zrozumiany interes publiczny, los jego rodziny i własny.

W miarę koncentrowania się nacisku myślowego dokoła zagadnienia obrony, odsłania się w gabinecie sędziego śledczego i cena, za jaką jest ona możliwa. Cena ta nie wydaje się już oskarżonemu zbyt wysoka. Ujawnienie swojej działalności i działalności podziemia wobec Związku Sowieckiego jest już w oczach więźnia faktem dokonany. Zaczyna on w to wierzyć, co mu sędzia nieustannie powtarza, iż NKWD zna tę działalność doskonale, ba, więcej wie nawet o niej, niżli on sam.

Zresztą sędzia nie jest gołosłowny — manipuluje sprytnie tymi fragmentami zeznań, które on i jego koledzy uzyskali w ciągu poprzednich badań, aby to wrażenie w więźniu pogłębić. „Pan jest znacznie w tyle w stosunku do swoich towarzyszy. — perswadował — ot, my wiemy na przykład o tym, jaką Pan miał rolę odegrać w razie ujawnienia się stronnictw władzom wojskowym. Niech mi Pan o tym opowie, bo inaczej będziemy musieli uznać, że Pańscy koledzy są lojalni, nic nie ukryli, a Pan dalej chce gotować się do roli, jaką Panu na ten wypadek wyznaczono...“.

Dopóki oskarżony zachowuje obiektywizm, a wraz z nim i ostrożność, nie daje się nabrać na takie ogólnikowe twierdzenia. W miarę, gdy przyjmie już założenie, że sędzia śledczy wie wszystko, sięga do swojej pamięci, by pośpiesznie i jak najwierniej odtworzyć to, co rzeczywiście miał robić w wypadku ujawnienia się jego stronnictwa.

Ale przy ówczesnym stanie jego rozeznania przestaje odróżniać

rzeczywiste fakty od faktów urojonych. Włącza do rzeczywistości sugestie, narzucone mu choćby przez tego samego sędziego. Aby nie być zapóźnionym, aby powiedzieć wszystko, mówi często i to, czego nigdy nie było, co słyszał kiedyś jako plotkę, co było może przedmiotem narad, jakimś planem zarzuconym. Sędziemu wciąż to wszystko nie wystarcza, więc oskarżony dalej grzebie w pamięci, żeby jeszcze coś opowiedzieć, co już ostatecznie udowodni, że niczego ukrywać nie ma zamiaru.

Jest przy tym najgłębiej przekonany, że nie popełnia niczego złego, lecz liczy się tylko ze stanem faktycznym. Co więcej, polega wciąż jeszcze na swojej inteligencji, na swoim krytycyzmie i na swoim charakterze, które pozwolą mu na zachowanie właściwych granic w tym, co mówi i do czego się przyznaje. Ale tu jest w błędzie. Nie zdaje sobie sprawy, iż w przeciągu kilku tygodni badań z żywego człowieka przekształcony został w zepsutą maszynę, której ośrodki dyspozycji zostały sparaliżowane i z której za potrząśnięciem wszystko się sypie. Pozostało tylko to samo nazwisko, te same personalia i zewnętrzna sylwetka, ale jakże zmieniona.

Zdałem sobie z tego należycie sprawę dopiero wtedy, gdy pod koniec badań konfrontowano mnie z moimi przyjaciółmi. Odniosłem wstrząsające wrażenie, skoro pewnej nocy postawiono przede mną człowieka, którego znałem od lat dwudziestu pięciu, a którego nie widziałem zaledwie około dwóch miesięcy, to jest od chwili przekroczenia bramy więziennej. Ledwo go rozpoznałem. Oczy dzikie, niespokojne, wpadnięte głęboko w czaszkę. Skóra żółta, pomarszczona, pokryta chorobliwym potem. Twarz szkieletu, zacieniona plamami. Ciało w nieustannych drgawkach. Nogi spuchnięte tak, że wylewały się z obuwia. Głos niepewny, urywany. „Zmienił się Pan trochę“ — powiedziałem, usiłując ukryć wrażenie. „I Pan także“ — odpowiedział, siląc się na uśmiech. Rzeczywiście, przecież ja siebie nie widziałem dotąd w lustrze.

Do tego stanu doprowadzony jest więzień na Łubiance mniej więcej po okresie kilkudziesięciu badań, których nacisk wzrasta w miarę, jak ujawniają się skutki fizycznego słabnięcia organizmu pod wpływem głodu i chłodu, a zwłaszcza bezsenności.

Wywoływany do sędziego w nocy, żyłem niemal w półświadomości. Słyszałem pytania, jakby zadawane gdzieś z oddali, odpowiadałem mechanicznie. Bronilem się przed całkowitą ztratą woli i czujności. całą siłą natury czekałem na to, by mnie

z powrotem odprowadzono do celi. Z palców u rąk, które składałem na stoliku, kapał mi pot w takiej ilości, iż zostawiałem po sobie kałużę. Można by tym było za każdym razem napelnić spory kieliszek.

Miałem sprawdzian, jak dalece twardymi okazywali się moi towarzysze. Przed podpisaniem protokołu o zakończeniu śledztwa major Tichonow okazał mi zeznania innych oskarżonych, które miały stanowić dowody w mojej sprawie. Na tej podstawie stwierdzam, iż pierwsze wyjaśnienia, zawierające jakiś materiał spreparowany pod kątem widzenia użyteczności sowieckiej, zanotowane były w protokółach, które nosiły co najmniej czterdziesty numer kolejności, a niekiedy dopiero w siedemdziesiątym czwartym. Trzeba zaś pamiętać, że sędzia śledczy nie sporządzał protokołu z każdego badania, łącząc często w jeden wyniki kilku posiedzeń.

Wyraźną wskazówką, że się coś w siłach i psychice oskarżonego załamało, była z reguły wstępna formułka zeznań brzmiąca: „Tak, ja nie mówiłem dotychczas prawdy. Ja teraz wszystko powiem otwarcie...“.

Nadchodził i kres moich sił. Chwilami miałem wrażenie człowieka, który zjadł i wypił za dużo i którego natura zmusza, by z siebie to wyrzucił. Jest najgłębiej przekonany, że przyniosłoby mu to niezmierną ulgę, ale przyzwoitość i zasady dobrego wychowania, głęboko w nim wszczepione, każą mu się przed tym bronić.

Trzymałem już w ustach żądane wyjaśnienia, przyznania, samokajania się... i ślinę, jaką się miałem opluć. Z odczuciem bólu fizycznego trzymałem to wszystko w gardzieli — byle doczekać wreszcie chwili, kiedy się znajdę sam. Zdawałem sobie przeobraźliwie sprawę, że jeszcze chwila, a powiem, powiem wszystko czego chce mój prześladowca, byłem wreszcie miał spokój.

Sędzia nie był jeszcze na tym poziomie, by odkryć we mnie ten stan we właściwym momencie. Zwalniał mnie do celi o pół godziny, czy może parę godzin zawczasie. Wtedy leżąc na kojcu, uspakajałem się. Władze umysłowe, wartości duchowe, zaczęły dochodzić do głosu z powrotem. Znowu analizowałem sytuację i znowu umacniałem się w przekonaniu, że wolność i życie, a przede wszystkim spokój żadnego z nas nie leży w płaszczyźnie zeznań. Zamordują nas, a przed tym znęcać się będą do ostatniej sekundy, jeśli to będzie leżało w interesie polityki Związku Socwieckiego — choćbyśmy im oddawali nie wiem jakie usługi. Zo-

stawią nas w spokoju, a może i wypuszczą na wolność z wszystkimi honorami, jeśli uzyskają za to odpowiednią cenę w świecie, choćbyśmy im tu, za kratami, sprawiali największe trudności.

Skoro tyle setek tysięcy Polaków potrafiło skromnie, cicho ofiarować życie za sprawę narodową, nie mam prawa histeryzować w obronie swojego życia. Muszę za wszelką cenę pamiętać, że przypadło mi w udziale tym razem reprezentować coś więcej niżli tylko siebie. Muszę więc resztkę swych sił umysłowych i fizycznych trzymać mocno w garści, bo to moja jedyna, i nie tylko moja broń.

Pomocna mi była w tych wypadkach modlitwa. Klękałem i ręce składałem tak, jak to robiłem w latach dziecięcej, najgłębszej niczym niezmaconej wiary. Niby przesuając ogniwa różańca wspominałem nazwiska przyjaciół, którzy są już na tamym, lepszym świecie. Ogniwa się nie kończyły — a składały się one z najpiękniejszych diamentów.

Gdy z boku, przez judasza wpatrywało się we mnie oko, dołatywał też czasem szept: *Posmotri, molitsia*. To strażnik zwoływał kolegów, by się przypatrzyli niebawałemu i niezrozumiałemu w ich więzieniu zjawisku.

Pułkownik Umnov nie przerywał mi wtedy. Z początku traktował akty mej wiary z pobłażaniem człowieka, który wie więcej. Później przesunął zagadnienie w świat przesądów, a że był przesądny i to pewnie stanowiło jego religię, więc gdy go wzywano do sędziego śledczego, zaczął mnie prosić: „Jeśli Pan wierzy w Boga i w to, że modlitwa coś pomaga, to niech się Pan pomodli, żebym ja wyszedł na wolność“.

Co do mnie uważał jednak, że pomóc mi może tylko przyznanie się do winy i szczerza skrucha: „Nie opowiadaj, że nie jesteś winien. Skoro siedzisz w więzieniu, to znaczy, że jesteś winny, ale jeśli się przyznasz do winy, to cię sąd może uniewinnić“. Musiałem ponosić i ten dodatkowy trud psychologiczny, by zwalczać pokusy ze strony rzeczywiście mi przychylnego, jak wierzę, współtowarzysza celi.

Szczytowy moment depresji ogarnął mnie w nocy z 16 na 17 maja. Był to dzień urodzin syna i mniej więcej pięćdziesiąty dzień w więzieniu. Wróciłem od Tichonowa z przeświadczeniem, iż zbudował on już sobie pełną konstrukcję oskarżenia. Zasadniczym jej elementem miała być rozmowa, jaką na krótko przed aresztowaniem odbyłem z generałem Okulickim. Rozmowa dotyczyła zagadnienia demobilizacji Sił Zbrojnych na podstawie prze-

ślanego z Londynu rozkazu Prezydenta Rzeczypospolitej, sprawy zaopatrzenia byłych żołnierzy, rozmieszczenia ich w terenie gwarantującym maksimum osobistego bezpieczeństwa, oraz zagadnienie wytworzenia przyszłego ośrodka dyspozycji politycznej i wojskowej kraju, w związku ze zmianą okupanta.

O fakcie, że rozmowa ta się odbyła, wiedziało tylko trzech ludzi, którzy w dodatku związali się słowem, iż w żadnych okolicznościach tego nie ujawnią. Wspomnianej nocy major Tichonow powtórzył mi ją ze szczegółami. Co więcej, na jej rachunek przypisał cały szereg postanowień związanych także z mają osobą, które bądź nie odpowiadały rzeczywistości, bądź też zapadły poza moją wiedzę. Między innymi ustalił, iż w nowej dyskutowanej konstrukcji władz podziemia miałem być jednym z trzech członków kierownictwa, przy czym dodał łaskawie, iż generał Okulicki lansował inną kandydaturę.

Oczywiście, w rozumieniu władz sowieckich zamiar powołania takiego kierownictwa stanowił niewybaczalną obrazę porządku rzeczy, jaki by Związek Sowiecki chciał widzieć w Polsce, i dostateczną przyczynę dla uznania mnie winnym spisku przeciwko temu Związkowi. Fakt, że Polska była państwem niepodległym, że miała swój legalny rząd, ciągłość prawną i swe siły zbrojne, które prowadziły nieprzerwaną walkę z nieprzyjacielem, nic go nie obchodziło. Wiedziałem więc, że się z tej sieci nie wyplączę. W gabinecie sędziego próbowałem się jeszcze bronić.

— „Nieladnie, Panie Stypułkowski — mówił Tichonow — tyle razy pytałem, jakie były Pana stosunki z Okulickim. Mówił Pan, iż widział się Pan z nim tylko raz przypadkowo, w sprawie zaopatrzenia materialnego zdemobilizowanych oddziałów N. S. Z. A tymczasem odbywaliście narady nad przekształceniem sił zbrojnych w organizację walki ze Związkiem Sowieckim... Udzielił Pan nawet kwatery na tę konferencję. Przestań Pan kłamać, jeśli nie chcesz gnić w więzieniu i przenieść się szybko na tamten świat i opowiedz dokładnie przebieg tej konferencji, a przede wszystkim powiedz, w którym domu i u kogo się to odbywało“.

— „Powtarzam raz jeszcze — odpowiedziałem — iż z generałem Okulickim widziałem się, aby ratować młodzież, która zmobilizowana po lasach dla walki z Niemcami nie mogła się teraz bezpiecznie rozejść do domów, obawiając się słusznie, iż narażona zostanie na aresztowania i wywiezienia. Żądałem zaopatrzenia jej w środki, umożliwiające nabycie cywilnych ubrań, rozpro-

szenie się i przetrwanie przez pierwszych kilka miesięcy, póki nie znajdzie pracy w zniszczonym i zdeorganizowanym kraju. Będąc odpowiedzialny za dziesiątki tysięcy młodzieży, które walczyły pod moim kierownictwem, nie mogłem ich opuścić w zmiennej sytuacji. Nie było moim zamiarem organizować spośród nich nowych oddziałów bojowych i skazywać na zniszczenie, ale właśnie dlatego musiałem się zająć ich losem. O nowych ośrodkach władzy politycznej i wojskowej w kraju z generałem Okulickim nie dyskutowałem, ani też on mi o nich nie wspominał“.

— „Jakże, trzech was brało udział w rozmowie. Obaj Pańscy towarzysze przyznają te okoliczności. Zaprzeczając im, stawia się Pan w położeniu człowieka niehonorowego — a dotychczas miał Pan u nas opinię gentlemana. Z wielką przykrością będę musiał zarządzić konfrontację. Jak Pan będzie wtedy wyglądał? A może jest też nieprawdą, że Pan miał udzielić kwatery na konferencję?“.

— „To jest prawda. Niemniej przeto nie mogę wskazać Panu jej adresu. Obarczony obowiązkiem znalezienia bezpiecznego miejsca dla naszego spotkania, szedłem zakłopotany po lesie, w którym rozrzucone były podwarszawskie wille letniskowe. Spotkałem studentkę, członkinię mojego stronnictwa, która spytała, jakie mam zamierzenia. Gdy jej nadmieniłem, że szukam na parę godzin spokojnego lokalu, zaprowadziła mnie do jakiejś swojej ciotki i ta przygotowała pokój na następny dzień oraz umówiła znaki porozumiewawcze. Wille w lesie nie mają ustalonych numerów, nie są położone na określonych ulicach i nie mogę wskazać dziś konkretnie tego miejsca. Nie znam też nazwiska właścicielki lokalu. Natomiast, jeśli bym był przywieziony z powrotem do Warszawy, mógłbym może willę rozpoznać“.

— „Jak się nazywała ta studentka?“.

— „Jakowicka“.

— „Jak wyglądała?“.

— „Blondynka, wysokiego wzrostu“.

— „Ile miała lat?“.

— „Dwadzieścia cztery — dwadzieścia sześć“.

— „Gdzie mieszkała?“.

— „Nie wiem. W konspiracji nie znaleźmy zazwyczaj swoich adresów“.

Całą historię ze studentką musiałem wymyślić na poczekaniu. Zaskoczony ujawnieniem szczegółów konferencji. Nawet nazwi-

sko Jakowicka było tylko rozwinięciem pytania „jak“. Musiałem odpowiadać szybko, logicznie i bez najmniejszego wahania, gdyż w rzeczywistości, nie mogąc znaleźć bezpiecznego miejsca dla ważnej narady w przeładowanych uchodźcami domach podwarszawskich, zdecydowałem się ją odbyć we własnym konspiracyjnym mieszkaniu, nikomu się do tego nie przyznając. Obawiałem się ogromnie ujawnienia tego lokalu, ofiarowanego mi przez dwoje patriotycznych staruszków, których los ciążyłby mi na sumieniu.

— „Czym więc tłumaczy Pan — męczył mnie rozwścieczony sędzia nad ranem — że Pańscy koledzy inaczej podają przebieg rozmowy i nie ukrywają, że byli zamieszani w spiszek przeciwsowiecki?“

— „Nie mogę za nich odpowiadać — jeśli istotnie tak zeznawali, jak Pan mówi, prawdopodobnie oddawali treść rozmowy, prowadzonej nie w mojej obecności. Na kwaterę prowadziłem ich w ten sposób, że z umówionego w lesie punktu wyjściowego szedłem przodem, a oni za mną z tyłu w odległości kilkunastu metrów. Zebranie opuścili pierwsi, a ja znowu stanowiłem straż tylną. Mogli wówczas poruszać szereg tematów, które wiązały z tym zebraniem, a które do mnie nie dotarły“.

Gdy się o to samo pytano mnie później, w czasie konfrontacji, wówczas spoglądając na strzępy ludzkie, noszące nazwisko mojego przyjaciela, dodałem nadto: „To starzec. Po kilkumiesięcznym pobycie tutaj mogło mu się wszystko w głowie pomieścić“.

W celi jednak powiedziałem sobie: „Nie ma dla ciebie, Zbyszku, ratunku. Nie pomogło San Francisco, nie pomogą też i twoje indywidualne wysiłki — podzielisz los tylu innych dobrych Polaków. Przestań się szarpać, nie warto. Uniesiesz garść wspomnień z dawniejszych bogatych w przeżycia i ładnych chwil, zostawisz za sobą obrzydliwy świat dzisiejszy i jutrzejszy. Czy nie lepiej?“ Po raz pierwszy w życiu pogodziłem się z myślą o śmierci i pragnąłem już tylko spokoju nawet za cenę śmierci.

Musiałem wyglądać szczególnie źle, gdy przekroczyłem gabinet sędziego wezwany dla sześćdziesiątego trzeciego z kolei badania. Prócz krańcowego wyczerpania fizycznego, dokuczał mi nieznośnie ból zębów, wywołany przez początki skorbutu. Wiedział o tym major Tichonow, bo rankiem tego dnia udzielił mi pozwolenia na pójście do lekarza dentysty. Wszystko razem złożyło się na to, aby uznać mnie już za ofiarę dojrzałą do połknię-

cia. Późno w nocy, gdzieś około godziny trzeciej, sędzia zdecydował się na przystąpienie do właściwego, generalnego ataku.

Zaczął od dyskusji na temat książki w Rosji. Wiedział już ode mnie z jednej z długich rozmów, a może też od kogoś z moich przyjaciół, iż byłem zamilowany w kolekcjonowaniu księgozbioru i że Niemcy mi go zrabowali. Opowiadał więc o tym, jakie trudności ma Rosja w zaopatrzeniu pół miliona młodzieży akademickiej i trzydziestu milionów młodzieży szkolnej w podręczniki oraz że z tej tylko przyczyny wydawnictwa innych książek są ograniczone w nakładach i mają tak brzydką szatę zewnętrzną. Wszystko jednak w Rosji rozwija się żywiołowo, toteż z dnia na dzień poprawia się i wygląd książki rosyjskiej. Jako dowód wyjął z szafy z aktami książkę, której tytuł był „Życie Lenina“. W płóciennej czerwonej oprawie, opatrzona szeregiem litografii, starannością druku i papierem wyróżniała się rzeczywiście spośród innych, będących na niesłychanie niskim poziomie wydawnictw sowieckich. Była to książka, jak mówił Tichonow, przeznaczona dla członków centralnego komitetu partii, wydana świeżo w związku z jakąś uroczystością.

Tichonow, widząc wzrastające u mnie zainteresowanie dla tego tematu, po raz pierwszy podszedł do miejsca, na którym siedziałem, wręczył mi „Życie Lenina“ i kazał przejrzeć książkę. Gdy ją po kilku minutach odłożyłem, żywo zarządził: „Niech Pan sobie przejrzy tę książkę dokładnie. Ja mam czas“. Zagłębiłem się w nią — i oto cały układ nerwowy, napięty dla przyjęcia nowej fali indagacji, zarzutów, drwin, ulegał stopniowo rozprężeniu. Oderwałem się myślą od świata narzuconych przez więzienie wrażeń, kierując się ku ludzkim, normalnym zainteresowaniom.

Na tę chwilę pewnie czekał Tichonow. Wziął mnie za rękę, pogłaskał po ramieniu, spojrział łagodnie w oczy i z taką wystąpił filipiką:

— „Żał mi Pana, widzę jak się Pan męczy. Toteż jestem szczęśliwy, że władze moje zleciły poinformować go, że rząd sowiecki nie jest zainteresowany w tym, aby Pan stracił życie, albo też, aby wypadło mu gnść trzydzieści lat w jakimś obozie pracy na Syberii, lub gdziekolwiek indziej. Przeciwnie. Rząd sowiecki jest zainteresowany w tym, aby Pan żył i mógł pracować na wolności.

„Rosja ma przed sobą historyczne zadanie zorganizowania Europy. Jest to rola trudna, bowiem Pan sam wie najlepiej, że

Europa należy do starej cywilizacji o wysokim stopniu kultury, podczas gdy my, choć jesteśmy najpotężniejsi na świecie, jesteśmy narodem młodym i brak nam dostatecznej liczby ludzi odpowiednio przygotowanych dla przeprowadzenia tego zadania. Musimy więc sięgać do pomocy Europejczyków. Przyjaciół wśród nich mamy niewielu. Z drugiej strony największą zbrodnią Niemców było w tej wojnie to, iż wymordowali w krajach europejskich najwybitniejszych mężów stanu, polityków i przywódców społeczeństw. Nie ma więc bardzo z czego wybierać. Dlatego musimy współpracować nie tylko z naszymi przyjaciółmi, ale i z naszymi dawnymi wrogami pod warunkiem oczywiście, że zrozumieją sytuację i staną się ludźmi nam oddanymi.

„Zwróciłem na Pana uwagę moich władz. Pan nie jest typem kapitalisty, który korzeniami tkwi w dawnym, zanikającym już świecie. Pański ojciec był człowiekiem ciężkiej pracy. Do czego Pan w życiu doszedł, osiągnął Pan własnym wysiłkiem. Miał Pan wprawdzie dwoje czy troje służby i personel pomocniczy w Pańskiej kancelarii adwokackiej, którzy pracowali na Pana, ale z tym można się pogodzić. W Związku Sowieckim też wolno teraz mieć jedną służącą. Jest Pan młody, zdolny, ambitny. Takich ludzi my potrzebujemy. W szczególności potrzebujemy prawników, którzy mogliby zarysować przyszły porządek w Europie pod naszym przywództwem, od strony struktury prawnej.

„Odmawia Pan pracy dla nas. Bardzo dobrze. My nie chcemy go do tego zmuszać. Niech Pan pracuje dla Polski, którą Pan kocha — my cenimy patriotyzm. Winien Pan jednak zdawać sobie już dokładnie sprawę, że dla jej dobra musi Pan iść ręką w rękę z nami. Zrozumienia tego mamy prawo wymagać przy Pańskich kwalifikacjach umysłowych. Nie stawiamy poza tym żadnych warunków prócz jednego: proszę udowodnić Związkowi Sowieckiemu, że stał się Pan jego przyjacielem.

„Powstaje zagadnienie, jak Pan może tego tłokazać w swoich obecnych warunkach. Prowadzi do tego jedyna droga, droga niewątpliwie dla Pana trudna. Jest nią szczerze wyłożenie wszystkiego, co Pan robił w przeszłości, jakie były Pana zamierzenia i do jakich doprowadziły rezultatów. Musi Pan wszystko opowiedzieć jasno i wyraźnie, jak wyglądała praca polskiego podziemia, kto nią kierował, jakie są cechy charakterystyczne tych ludzi. Musi ujawnić Pan też wszystkie wasze związki z Zachodem, wszystkie nici wpływów anglosaskich.

„My to wszystko dobrze znamy, my wiemy o tym więcej, niżli

Pan sam. Pańskie jednak świadectwo jest nam potrzebne dla innego celu. Jest niezbędne po to, ażebyśmy widzieli w Panu ten wielki wewnętrzny wysiłek psychologiczny, który prowadzi do decyzji zerwania z przeszłością jako ciężkim błędem. Miarą Pańskiej przemiany będzie determinacja, z jaką Pan wyciągnie konsekwencje z nowej postawy i odsłoni to, co dotychczas uważał Pan w stosunku do Związku Sowieckiego za święte i nietykalne.

„Rozumiem też Pana wielkie skrupuły, gdy będzie chodziło o wymienianie nazwisk swoich przyjaciół, z którymi Pan dotychczas pracował według wspólnych założeń. Niech się Pan o ich los nie obawia. Związek Sowiecki nie jest tak naiwny, aby się ludzi, że mamy wśród Polaków wielu zwolenników. Pan mógłby pewnie lepiej ode mnie wymienić ich liczbę. Może ich być trzysta-czterysta tysięcy, wielki optymista mógłby ich zliczyć siedemset—osiemset tysięcy. Cóż to znaczy wobec dwudziestu paru milionów ludności w obecnych granicach Państwa Polskiego. Czy możemy całą resztę wyaresztować? Absurd. Może więc Pan być spokojny, że Pańskim przyjaciółom też nic złego nie zrobimy. Zresztą, jak już mówiłem, znamy dawno ich nazwiska i adresy.

„Musi się Pan dziś zdecydować, po jakiej linii Pan chce, aby się kształtowała jego przyszłość. Powinien Pan być ministrem w skali europejskiej, przewodzić nowemu „porządkowi w świecie, pracować pożytecznie dla swojego kraju. Ale może Pan też zajmować inne stanowisko — liczyć na opiekę anglosaską, gnąć w więzieniu — i czekać na jej efekty. W tym wypadku niech Pana stać będzie na postawę męską. Niech Pan stwierdzi wyraźnie, do protokołu, że Pan odmawia zeznań, i złoży oświadczenie, że jest wrogiem Związku Sowieckiego i że działał cały czas świadomie w tym charakterze. Wtedy postawa Pańska będzie jasna i godna Pańskiego honoru. Doczeka się Pan jednego tylko: ze Związek Sowiecki będzie miał raz jeszcze sposobność pokazać, iż umie rozprawić się szybko i krótko ze swoim wrogiem. Niech mi Pan wierzy, my umiemy postępować ze swoimi wrogami...“.

„Proszę o wyraźną odpowiedź“ — tu głos Tichonowa stwardniał, oczy zaczęły rzucać błyski.

Świtało już, gdy przyszło mi odeprzeć ten najsilniejszy atak. Instynktownie czułem, że jest to moment w moim losie zwrotny. Argumenty i siły sędziego zaczynały się wyczerpywać — należało dotrwać w przyjętej dotychczas i konsekwentnie realizowa-

nej taktyce. Skupiłem resztki sił rozporządzalnych umysłowych i psychicznych.

— „Jestem Panu wdzięczny, Panie Majorze — zacząłem — za szczere przedstawienie sytuacji i proszę podziękować władzom sowieckim za zdeklarowaną mi życzliwość. Położenie oceniam podobnie jak i Pan, a mianowicie, że w obecnych warunkach pracować można w Polsce tylko idąc ręką w rękę ze Związkiem Sowieckim. Rozumiem też, że los mój jest całkowicie w rękach tego Związku i że próżne byłoby moje oczekiwanie na pomoc ze strony Anglii czy Stanów Zjednoczonych. Z tego wyciągnąłem już wszystkie konsekwencje...“.

— „To dobrze“. Tichonow siadł przy biurku i chwycił za pióro. „Zacniemy pisać. Niech się Pan nie śpieszy, mamy czas. Rozumiem, że Panu jest bardzo ciężko zacząć swe wynurzenia, ale z chwilą kiedy doszedł Pan do przekonania o ich celowości, będę się starał Panu jak najbardziej je ułatwić. No... więc...“.

— „Żąda Pan — ciągnąłem dalej — abym udowodnił, że jestem przyjacielem Związku Sowieckiego. Pierwszym warunkiem przyjaźni jest mówienie prawdy pomiędzy przyjaciółmi. Prawdą jest to, że podziemne Państwo Polskie zorganizowało się pod hasłem walki o niepodległość swojego narodu. Walczyło z najeźdźcą germańskim i w tej walce starało się być jak najbardziej lojalne wobec Związku Sowieckiego. Zgodzi się Pan ze mną, że nie mogło traktować tego Związku jako swego przyjaciela, ale narzuciło sobie dyscyplinę względem niego i traktowało ten Związek do końca jako alianta naszych aliantów. Pomagałszy Związkowi Sowieckiemu w jego walce lojalnie i ja przynajmniej nie znam faktu sabotażu armii sowieckiej w usiłowaniach pobicia Niemiec. Jeśli takie były, nie wpływały z rozkazów tego środowiska, w którym pracowałem“.

„Chcąc złożyć dowody swojej lojalności wobec was, dla zaskarżenia sobie zaufania, nie jestem w stanie przytaczać sztucznych naświetleń. Związek Sowiecki jest tak potężny i ma tak dobre źródła informacji, że rychło sprawdziliby, iż złożone przeze mnie zeznania są oszukańcze i kłamliwe — po to tylko składane, aby ratować swe życie. Czy mógłby mi wierzyć wtedy kiedykolwiek w przyszłości?“

„Wszystko co wiedziałem o działalności podziemia polskiego i jego kierownictwa, opowiedziałem już. Dla utrzymania swoich dobrych stosunków ze Związkiem Sowieckim muszę mówić tylko prawdę. Dlatego odpowiadam — nic więcej ponad to co powie-

działem nie wiem. Proszę mi zadawać konkretne pytania, jeśli znajdę w nich coś nowego, będę mógł uzupełnić swoje wyjaśnienia...“.

Tichonow rzucił mi w oczy: „*Wot swolocz*“ i odesłali do celi — niemal mnie do niej wyrzucił.

O jedenastej rano strażnik zabrał mnie znowu do gabinetu sędziego.

— „Namyśliłeś się?“.

— „Proszę o pytania“.

— „Wiesz dobrze, co masz mówić!“.

Milczałem. W tej sytuacji przetrzymał mnie Tichonow u siebie przez cały dzień do wieczora. W nocy wezwał mnie znowu.

— „Namyśliłeś się?“.

— „Proszę o pytania“.

Tichonow zaczął się uczyć niemieckich słówek. Zwolnił mnie późno w nocy, zdradzając już oznaki dużego zmęczenia.

W ten sposób miało siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte i setne badanie. Czas biegł, a „śledztwo“ nie posuwało się naprzód. Tichonow prowadził dalej rozmowy: czasem żądał bardziej szczegółowej charakterystyki Narodowych Sił Zbrojnych i próbował drogą analizy działalności tej organizacji wpoić we mnie przekonanie, że jestem antysowieckim spiskowcem, niekiedy znowu zasięgał „rad“, co myślę na przykład o Wycechu, jaka była przed wojną rola Świątkowskiego? Wycech był w podziemiu dyrektorem departamentu oświaty, a z przynależności partyjnej ludowcem. Zwalczałem w czasie okupacji jego skrajnie lewicową działalność, ale tu w gabinecie sowieckiego urzędnika broniłem go zapamiętałe, sądząc, że NKWD zbiera materiał dla jego aresztowania. Socjalisty Świątkowskiego, który przebył potworną kaźń w Oświęcimiu, broniłem tym zacieklej, iż lubiłem go i ceniłem. Byłem przekonany, iż walczę w tym wypadku o cenną pozycję dla mego kraju. Okazało się inaczej. NKWD zbierało tylko dane do swych akt, by obu tych ludzi trzymać w ręku. Służą oni teraz jako marionetki bolszewickie. Pierwszy rozbił grupę Mikołajczyka w kraju, — drugi na stanowisku ministra sprawiedliwości w rządzie warszawskim realizuje w Polsce ten sam system, jakiemu podlegałem w więzieniu moskiewskim.

Innym znowu razem męczył mnie bardzo Tichonow o dokładne opisanie działalności jednego z współtowarzyszy niedoli, który raczej przypadkowo dostał się do naszego grona. Sumienny oby-

watel, starał się jak inni Polacy wnieść swój wkład do wspólnego wysiłku narodowego. Z zawodu przemysłowiec, zainteresowania swe koncentrował na zagadnieniach ekonomicznych, mało związanych z bieżącą polityką. Jego udział w praktycznych zadaniach w okresie okupacji niemieckiej polegał jedynie na pewnym współdziałaniu z oddziałem zaopatrzenia Armii Krajowej. Licząc się z możliwością aresztowania, w rozmowie ze mną w samolocie kładł nacisk na swój charakter pracy tak oderwanej od polityki i prosił, aby w razie konieczności składania jakichś wyjaśnień tę jego rolę uwydatnić. Tak też uczynilem.

Byłem następnie indagowany w tej samej sprawie jeszcze kilkanaście razy. Aż pod koniec śledztwa Tichonow zwrócił się do mnie tonem ironicznym: „Nawet w drobiazgach nie jest Pan szczery. Towarzysz Pański wszystko opowiedział o sobie. Dawno się do winy przyznał, a Pan *bottajesz i bottajesz*“. Okazał przy tym protokół zakończenia śledztwa, prowadzonego przeciw mojemu towarzyszowi, w którym przyznaje się on, iż jako członek oddziału intendentury Armii Krajowej ponosi odpowiedzialność za całą działalność sabotażową polskich władz podziemnych w stosunku do Rosji Sowieckiej.

Rzecz była już przejawiona — enkawudzista wymusił swą metodą badań przyznania idące zbyt daleko. Najwyższy Sąd ZSRR, mimo że oskarżony na rozprawie publicznej w dalszym ciągu przyznawał się do wszystkich swych „zbrodni“, za które podlegał jedynej karze — karze śmierci — uniewinnił go. Biedaka dwukrotnie później aresztowano w Polsce.

Wszystkie jednak te niezliczone „rozmowy“ nie były dla mojego sędziego istotne. Czekał, chybiwszy atak frontowy, na dalsze słabnięcie sił organicznych swej ofiary. Ale równocześnie słabł i on. Co gorsza, zaczął się widocznie denerwować. Razu pewnego wymizerowany, z sińcami pod oczyma, wybuchł:

— „Ja wiem, na co Pan liczy. Liczy Pan na to, że mnie Pan przetrzyma, ale to ja go przetrzymam!“.

Odpowiedziałem spokojnie: „Naturalnie, że mnie Pan przetrzyma, bo Pan śpi, kiedy chce, i je, co Pan chce. Jesteśmy w pozycji nierównej — Pan jest moim sędzią, a ja jestem tylko więźniem“.

Równocześnie w duchu doznałem uczucia wielkiej radości — zrozumiałem w tym momencie, że mam wobec siebie przeciwnika, który wyczerpał swą broń, wystrzelał całą swą amunicję. Zrównoważyły się nasze siły. On z kolei zaczął tracić wiarę, że

mnie pokona, przyznał się, że jest zmęczony. Może zaczął się i bać — stawką jego była co najmniej kariera. Z początku przychodzili do niego tłumnie sędziowie śledczy naradzać się i okazali wielki wobec niego szacunek, dziś został się sam jeden wobec sytuacji, że jego ofiara broni się i dotychczas do winy się nie przyznała. Chwilami można było wyczuć, jak zaciskały się jego pięści, jak bardzo by chciał wypróbować jedynej jeszcze drogi — drogi terroru fizycznego. To jednak w naszej sprawie było mu zakazane. Począłem wierzyć, że w tym pojedynku na śmierć i życie szale przechylają się na moją stronę.

Od tej chwili każdego dnia rosłem w siły duchowe, a Tichonow każdego dnia tracił na fantazji. Jego badania były coraz bardziej jałowe, moje zainteresowania przenosiły się coraz bardziej do celi. Życie codzienne w jej obrębie mogło budzić zaciekawienie z chwilą, gdy stawałem się już zdolny do jego obserwacji. Dawało dużo materiału do przemyślenia, czasem odrobinę szczerego humoru.

Najwięcej czasu spędziłem w celi na gawędach z pułkownikiem Umnowem — trochę dla wprawy w języku rosyjskim, trochę dla poznania psychiki „człowieka sowieckiego“. Niektóre fragmenty z tych rozmów utkwily mi w pamięci.

— „Powiedz mi Umnow, po co ty się dałeś zamieszać przez babę w jakąś aferę szpiegowską? Przecież osiągnąłeś wysokie stanowisko w wojsku, miałeś ładną kartę na wojnie, byłeś ze swego losu zadowolony“.

— „Nic nie wiedziałem — odpowiedział z akcentem szczerości — co jej w głowie. Z całą tą sprawą nie miałem nic wspólnego. Co najwyżej mogłem być odpowiedzialny za swą nieostrożność, niedopatrzanie administracyjne, ale w żadnym razie za udział, czy choćby bierne współdziałanie w akcji szpiegowskiej“.

— „To znaczy — pytałem dalej — uważasz, że wyrok skazujący cię na dziesięć lat więzienia czy zesłania do obozu był niesłuszny i niesprawiedliwy?“.

— „Nie — oburzył się — wyrok był zupełnie sprawiedliwy“.

— „Jakże ty tego nie możesz zrozumieć — ciągnął dalej Umnow z przekonaniem, i nawet z podnieceniem — Związek sowiecki przeprowadzał śledztwo w mojej sprawie w pośpiechu. Wojna była w pełnym biegu i nie było czasu na zbieranie materiałów, które by dowiodły mojej niewinności, natomiast każda sprawa szpiegowska jest niebezpieczna dla państwa, zwłaszcza

w tak groźnych chwilach. Dlatego było słuszne, że mnie skazano — na wszelki wypadek, aby uchylić to niebezpieczeństwo — i nie mogę mieć o to pretensji. Ja jestem winien swemu losowi, po co się z Cyganką spotykałem i na taką sytuację naraziłem“. Tu wtrącił: „Ale ładna była, psiakrew, zakochałem się w niej po uszy“. Po chwili: „Ot teraz, gdy wojna się skończy i władze sowieckie będą miały więcej czasu, postaram się, aby przeprowadziły ponowne śledztwo, powołały świadków i mam nadzieję, że zmniejszą mi karę. Siedzę już trzy z górą lata, może wypuszczą na wolność?“. Ostatnie słowa wypowiedział mimo wszystko głosem smutnym, zrezygnowanym.

Gdy mowa była o wolności, w oczach Umnowa nieraz zakręciła się łza. Wracał wspomnieniami do tych chwil szczęśliwych, gdy obcował z naturą. Przywiązany był do wielkich przestrzeni, do roli, do życia wiejskiego. Tam się urodził, wychował, tam spędzał do końca wolne chwile i stamtąd wziął „żonkę“. Usiłował się domyślać, iż po jego aresztowaniu i wskutek nawałnicy wojennej, jaka zniszczyła miasta rosyjskie, jego żona i synek tam pewnie spędzają teraz swe dni.

— „Kochasz swoją żonę?“ — pytałem.

— „Tak, bardzo byłem do niej przywiązany, choć tego nie doceniałem. Teraz jednak staram się o niej zapomnieć zupełnie — i o niej, i o dziecku“.

— „Czemu?“.

— „Ty nie znasz naszych praw. Żona na pewno wyszła już za mąż za innego. Dobrze by zrobiła, inaczej by musiała żyć w nędzy...“. Po czym tonem wyjaśnienia: „Nie mam od niej od chwili aresztowania żadnej wiadomości. Byłoby dla niej zbyt niebezpieczne okazać zainteresowanie moją osobą. Próbowałem też pisać do mojej rodziny, do moich braci. Mam w wojsku dwóch braci majorów, jednego kapitana, jednego porucznika, ale i oni się do mnie nie odezwali. Żona musiała się ze mną rozwieść z chwilą gdy zostałem skazany za polityczne przestępstwo, w obawie, aby za mnie nie odpowiadać. A bracia, bracia pewno się mnie wyrzekli... Myślą zresztą, że nie żyję, a ryzykownie byłoby się o to pytać“.

— „Dokąd wrócisz, jeśli cię wypuszczą na wolność?“.

— „Najpierw władze sowieckie umieszczą mnie w którymś ze sanatoriów na Krymie, abym wrócił do sił, bo ledwo dyszę. U nas — chwalił się — z chwilą, gdy ktoś opuszcza więzienie, staje się z powrotem pełnoprawnym obywatelem. W więzieniu siedzieć nie

wstyd, bo przecież prędzej czy później każdego ten los spotkać może. Toteż wierzę, że państwo zatroszczy się o moje zdrowie, mam na sobie dziewięć ran z wojny. Po wypoczynku pójdę do któregoś z kolchozów, gdzieś daleko, może w Kazachstanie osiadę, będę pracował na roli. Żony już nie będę szukał i syna także. Niech lepiej myślą, że zginąłem“.

— „Przede wszystkim się najem — tu twarz Umnowa przybrała wyraz niewysłowionej rozkoszy — na pierwsze zjem śledzika w śmietanie. Potem będą pierogi, ogórek, do tego dwieście pięćdziesiąt gramów wódki...“. Nastąpił długi wywód o ulubionych potrawach chłopą rosyjskiego. Wydało mi się, że słucham jakiegoś natchnionego poety, z takim polotem, w tak harmonijnym układzie i z takim żarem omawiał ten temat. Przemawiał przez niego nie tylko instynkt człowieka głodnego — zarazem wyrażał kult jedzenia, niezwykle silny w społeczeństwie sowieckim.

Przeczytałem niemal wszystkie wybitniejsze dzieła pisarzy rosyjskich epoki porewolucyjnej. Odniosłem nieodparte wrażenie, iż autorzy powszechnie kładli szczególny nacisk na opisy biesiad przy stole i rozsmakowywali się w tym, poświęcając wiele stron sprawom gastronomicznym. Gdy na taki opis trafił w swej książce Umnow, nie omieszkiał nigdy przeczytać go na głos. Cieszył się przy tym jak dziecko, na równi z bohaterami powieści.

Pułkownik Umnow, jak już wspominałem, lubił czytać — w swoim życiu musiał mieć w ręku dużo książek, bo niektóre znał niemal na pamięć. Nie miał natomiast kultu książki. W ślad za innymi więźniami odrywał marginesy, aby skrócić z nich papierosa.

— „Miałeś, Umnow, w swoim mieszkaniu jakąś bibliotekę?“

— „Po cóż by mi była biblioteka? Książki miałem w czytelnicy. To przesąd, by mieć własne książki. Gromadząc je u siebie, wyrządzałbym krzywdę innym, którzy nie mogliby z nich korzystać“.

Ten sam pogląd uparcie wyrażał w odniesieniu do ładnych mebli, urządzenia mieszkania. „Tyś na pewno miał ładne mieszkanie?“ — pytał.

— „Tak, miałem siedem pokojów, które w miarę lat i rezultatów mej pracy starałem się umeblować jak najładniej. Miałem sporo ładnych obrazów polskich i obcych malarzy, gromadziłem dywany perskie, w swym gabinecie miałem stare mahonie .. To był przecież mój dom, w którym żyłem i w którym kształto-

wałem swój styl życia“. Staralem się mu wyjaśnić najprzystępniej to, co jest przecie takie proste dla każdego człowieka, żyjącego w świecie cywilizacji zachodniej. Oburzał się na mnie.

— „Ot, widzę teraz w tobie wszystkie elementy szkodliwego burżuaja. Iluż ludzi mogło oglądać to twoje mieszkanie? No, powiedzmy, może pięćdziesięciu, może stu. A iluż mogłoby oglądać te obrazy, dywany i stare meble, gdyby były w muzeum, udostępnione wszystkim?“. Oglądałem później muzea sowieckie w Moskwie. Były niekiedy rzeczywiście wspaniałe, zawierały na pewno wiele przedmiotów z dawnych, zamożnych domów i pałaców rosyjskich, ale uderzającą ich cechą było, że nikt niemal ich nie odwiedzał.

— „To ty nie miałeś żadnych własnych ruchomości?“ — pytałem dalej pułkownika.

— „A po cóż mi, gdziekolwiek stacjonowałem, otrzymywałem mieszkanie z meblami. Z moich poprzednich mebli korzystał ktoś inny, ale nie mów, że nie miałem żadnej własności. Miałem jedno własne lakierowane łóżko...“.

Widać było, że ten człowiek naprawdę jest wyprany chemicznie z instynktu posiadania i szacunku względem czegokolwiek, co nie służy do natychmiastowej konsumpcji. W tym tkwi przyczyna, dla której armia sowiecka z taką łatwością, z taką beztróską gotową jest niszczyć na swej drodze wszystko, co stoi na przeszkodzie jej działania, choćby to, co niszczy, stanowiło dorobek wielu pokoleń, nieobliczalną stratę dla ludzkości i dla jej cywilizacji. W zmaganiach wręcz stanowi to wielką przewagę, jaką daje barbarzyństwo.

Sam Umnów nie był człowiekiem krwiożerczym. Przeciwnie. stosunek jego do ludzi był raczej serdeczny, opiekuńczy, choć przepełniony nieufnością. Po krótkim okresie wahania, wahań, od którego i ja nie byłem wolny, zbliżył się nawet do drugiego naszego okresowego współwójnika, niemieckiego oficera. Wrzucił mu czasem do jego miski jakąś ość, którą tamten namiętnie zgryzał, dał jakiś kartofel, okazywał współczucie dla jego przystroszonego do krzyża żołądka. Mną opiekował się do tego stopnia, że nie pozwalał mi na sprzątanie i froterowanie celi. Gdy wyczerpany leżałem między drugą a czwartą na łóżku, przeniósł je wraz z pułkownikiem niemieckim w czasie sprzątanania w drugi kąt, nie pozwalając na wstawanie. Czyścił zawsze kubek za mnie, co mi pozwalało na zużycie odpowiedniej dozy czasu na dokładniejsze umycie i oporządzenie się. Robił to oczywiście

bezinteresownie i wyłącznie z ludzkich pobudek. Muszę jednak ze skrucną przyznać, iż dawało mi pewną satysfakcję, że jako Polak, choć w tragicznym znajdowałem się położeniu, równocześnie mogłem być obsługiwany rękoma pułkownika Czerwonej Armii i pułkownika SS-manów.

Zastanawiałem się nieraz, z jakiego podkładu duchowego czerpie Umnow impulsy swego postępowania. Na codzień zdawał się być aparatem, który pracuje i działa, aby się zachować — aby jeść i aby zaspokoić swe odczucia zmysłowe. Wiedza jego, najzupełniej mechaniczna, nie rodziła w nim duchowego niepokoju i nie rozszerzyła jego horyzontów. Nie miał też wątpliwości, że życie jego jest celem samym w sobie i że jego obowiązki streszczają się do tego, aby to życie utrzymać.

Ktoś, kto go nauczył w osiemnastym czy dwudziestym roku życia czytać, kto później dał mu szlify oficerskie, nauczył go też, że Boga nie ma, a wymyślili jego istnienie popi po to, aby dzierżyć władzę nad ludem. Przyjął to tak samo mechanicznie i bez najmniejszej wątpliwości, jak i wszystkie później regulaminy służby wojskowej i dogmaty o wszechpotędze Związku Sowieckiego. Gdy Stalin zezwolił na czysto dekoratywną zresztą działalność pewnej ilości kościołów prawosławnych, Umnow przyjął ten fakt jako pewną rozrywkę, która została dana rosyjskim kobietom i starcom, żyjącym jeszcze wspomnieniami sprzed rewolucji. Religię zastępował przesądami, kult miał jedynie dla maszyn, dla cyfry, dla potęgi. To mu zupełnie wystarczało.

Sądzę też, że to wystarcza jako filozofia życiowa olbrzymiej większości społeczeństwa rosyjskiego. Szukałem w książkach epoki porewolucyjnej jakichś głębszych wynurzeń na temat celu życia człowieka. Staralem się zgłębić zagadnienie, czy istnieje w środowisku rosyjskim tęsknota za religią, za rozwiązaniem zagadki swego bytu. Być może nie miałem dostępu do poważniejszych dzieł filozoficznych. To na co natrafiłem, obracało się na ogół w kręgu prymitywnej bezbożniczej propagandy komunistycznej. W jednej tylko powieści, której tytuł i nazwisko autora zatarły mi się w pamięci, znalazłem ciekawą próbę ujęcia religii „człowieka sowieckiego“.

Oto ona: Młody robotnik, członek aktywu komunistycznego, zostaje powołany do pracy przy wybudowaniu tamy wodnej, która ma stworzyć warunki dla zelektryfikowania olbrzymiej poiaei kraju i puszczenia w ruch wielu „kombajnów“. W gigantycz-

nym dziele biorą udział dziesiątki tysięcy robotników, spośród których znaczną część stanowią synowie byłych właścicieli osad wiejskich, relegowanych ze swych gospodarstw w imię doprowadzenia do skutku tego wielkiego zamierzenia. Toczy się zacięta walka z wszczepionym głęboko u starych chłopów instynktem własności, toczy się ona przede wszystkim w płaszczyźnie zdobycia dla komunizmu poglądów młodego pokolenia wiejskiego, synów i córek tych gospodarzy. W walce tej znajduje usprawiedliwienie każdy chwyt, każdą broń. Syn denuncjuje ojca, siostra brata.

Bohater powieści, ów ideowy komsomolec, prowadzi tej walkę. Poświęca życie najbliższych sobie. Nie ma żadnych wahań w wyborze dróg, jeśli tylko prowadzą one do celu. Bo cel jest w jego oczach tak wielki, że usprawiedliwia każdą metodę. Jest nim zbudowanie ekonomicznej potęgi narodu sowieckiego, jako wstępu do opanowania świata i uszczęśliwienia ludzkości.

Praca, jaką wykonywa, jest ponad jego siły. Suchotnik — pluje krwią i dla przyjaciół jego staje się jasne, iż umrze, jeśli natychmiast nie przerwie wysiłku. Namawiają go, aby zgodził się pojechać do sanatorium na Krym. Odmawia i nazajutrz, jak codzień, podejmuje trud podciągania pod górę złomów skalnych. Wybiera największe, dając przykład ofiarnego wysiłku innym. Następuje gwałtowny krwotok i bohater umiera. Zrozpaczo-nym przyjaciołom tłumaczy:

„Nie ma odrębnego bytu jednostki. Jest tylko materia we wszechświecie, która się stale odnawia, tak jak odnawia się naskórek u człowieka, jak zmienia się układ geologiczny ziemi. Na miejsce jednych zużytych cząsteczek przychodzą następne, o nowych wartościach dla życia całości. Wszechświat jest bytem i przez jego rzeczywistość my trwamy wiecznie. Z chwilą, gdy zużywamy się i przestajemy przynosić korzyść całości, sens naszego istnienia indywidualnego odpada. Powinniśmy zatem żyć tak tylko długo, jak długo spełniamy funkcję w tej jedności bytu. Z chwilą gdy zamiera w nas energia działawcza, jesteśmy dla tego bytu zbędni, czynimy mu krzywdę, tak jak zwiędły liść czyni krzywdę pozostając na drzewie. Radość, z jaką umieram, tłumaczy się tym, że umieram przy pracy, do ostatniej chwili spełniając rolę jako cząsteczka wszechmaterii mnie ogarniającej. Gdybyście odesłali mnie do szpitala, odczywałbym cały ból szkodliwego trwania...“.

Jak widzimy, nie w tej płaszczyźnie kształtował się światopo-

gląd Umnowa. Mimo to można było w jego rozumowaniu wyodrębnić cechę wspólną ze wspomnianym przeze mnie autorem sowieckim, wspólną także każdemu przeciętnemu obywatelowi dzisiejszej Rosji, a bodaj najważniejszą. Jest nią ugruntowane, niewywolujące krytyki przeświadczenie, iż jednostka w układzie społecznym nic nie znaczy, że jest częścią jeno masy i prawom naturalnym tej masy podporządkowany jest jej byt. Dlatego w oczach Umnowa wszystko, co się w Rosji dzieje, jest sprawiedliwe, bo służy potędze masy. Jednostka musi swe prawa i interesy podporządkować tej masie bez szemrania, w przeciwnym razie w logicznym rozwoju rzeczy zginie. I to było dla niego zupełnie naturalne. Oburzał się, gdym kwestionował ten pogląd, przynajmniej w stosunku do mojej osoby, gdym dowodził, że mam swoje własne prawa, prawa człowieka niezależne od Związku Socjalistycznego i od jego siły.

Mimo że był pułkownikiem, na widok strażnika, podoficera NKWD, podnosił się zawsze z łóżka i stawał na baczność, usiłując zgadywać jego myśli. Wszystko, co mu jego sędzia zakomunikował, było słuszne, tak jak słuszna była kara, którą mu wymierzono. Ale jak każdy niewolnik z ducha, tak i on miał chwile buntu. Gdy go w nocy trzeci czy czwarty raz rozbudzono, by ułożyć twarz prostopadle do światła lub wyjąć ręce spod koidry, nagle wybuchał. Stawiał opór w najbardziej nieuzasadnionym momencie, miotał przekleństwa, postawą swą znamionował, że gotów jest rzucić się na swego ciemnięzyciela. Stan ten trwał parę godzin, po czym Umnow cichł, łagodniał, malał w oczach, czekał na karę ciemnicy i z tym większym przekonaniem dowodził później, że będzie zasłużona.

Z tym poczciwym Umnowem dużo też rozmawialiśmy o stosunkach w więzieniach sowieckich. Zwiedził ich w ciągu trzech z górą lat pobytu sporą ilość, przebywał z reguły w celach zbiorowych — stykał się więc z gromadą aresztowanych. Traktowany jako więzień polityczny, miał kontakt głównie z przestępcami tej samej kategorii. Według niego największa ilość przestępców politycznych w Rosji, to szpiedzy. Każdy, kto niepotrzebnie zawieruszy się w jakimś kolchozie, czy w sowchozie, i nieopatrznie spyta o stan zbiorów, o ilość nierogaczyny, jest już szpiegiem — bada warunki strategiczne Rosji. Pułkownik Umnow był całkowicie przekonany o słuszności tego stanowiska, choć szpiedzy bynajmniej nie byli u niego w pogardzie. Zawijał z nimi wiele nici przyjaźni, jaką złączył ich wspólny los.

Wszyscy oni — mówił — nie przyznawali się do winy w pierwszej fazie śledztwa, ale w końcu jednak NKWD potrafiło zmusić ich do skruchy i pokajania się. Umnow ich serdecznie do tego namawiał.

Nie było więzienia, nie było celi zbiorowej, w której nie spotkałby Polaków — zarówno ludzi prostych, jak i bardzo niekiedy wykształconych. Było też sporo Żydów polskiego pochodzenia. Wszyscy oni byli gorącymi polskimi patriotami. Dziwiło to Umnowa — przecież Polska dziś słaba, czy warto tak się upierać przy jej odrębności? Chociaż lubił Polaków, nie mógł im darować, że w r. 1920 pobili Rosję. Uważał to za osobistą satysfakcję, że dziś Rosja pobiła Polskę. W tych uczuciach nie przeszkadzał mu zgoła fakt, iż był z pochodzenia Ukraińcem. Tak jak używał gwary rosyjsko-ukraińskiej, tak i jego świadomość narodowa zmieszała się w tyglu sowieckim. Uważał z kolei, że najlepiej będzie, gdy w tymże tyglu roztopi się i żywiol polski.

— „Cóż wy możecie przeciwstawić naszej liczbie czołgów i samolotów?“ — pytał.

Mówiłem mu, że czołgi i samoloty nie są jedynym miernikiem siły narodu. Mówiłem mu o walorach duchowych, o tradycji historycznej, o ewolucji sił politycznych w układzie międzynarodowym. Odnosił się do tych argumentów z lekceważeniem. W pewnym momencie dyskusja zesłała na Kościół Katolicki i rolę Papieża. Powtórzył to wtedy to pogardliwe pytanie, które często się słyszy u „ludzi sowieckich“: „A ile Papież ma czołgów w swej dyspozycji, cóż on może za potęgę reprezentować?“.

Tak oto czuł i myślał pułkownik Armii Czerwonej, wywodzący się z ludu, dziecień rewolucji, która swym zasięgiem dąży do opanowania świata i przyniesienia mu szczęścia. Ciężko musiał Umnow pracować na swe szlify wojskowe, polityczne i duchowe. Czy jako młodszy oficer, czy nawet na szczeblu dowódcy pułku, poza normalnymi zajęciami, których wymagała służba, obowiązkowo i codziennie cztery do pięciu godzin wieczornych spędzał na wykładach. Cała armia sowiecka pracuje tak samo, sposobiąc się do swych zadań.

Nie mogłem się w niczym odwdziżyć swemu towarzyszowi celi za opiekę, za pomoc w jakim takim opanowaniu języka, a przede wszystkim za rozszerzenie mych horyzontów. Jedyne, w czym mu pomagałem, to było zdobywanie dlań papierosów. Umnow był namiętym palaczem i z chwilą gdy mu się skończył

zapasik machorki, którą przyniósł ze sobą z innego więzienia, cierpiał niewymownie.

Nigdy przed tym nie paliłem papierosów. Pod koniec śledztwa byłem zjednywany przez prokuratora między innymi uprzejmymi poczęstunkami ze wspaniałej złotej papierośnicy. Pomyślałem wtedy o Umnowie. Zapalałem przy prokuratorze papieros za papierosem, a następnie gasiłem je nieznacznie i niedopalki wsuwałem do kieszeni. Od tej chwili Umnow nie sypiał już w nocy, czekając na mój powrót i na te niedopalki.

Wreszcie zacząłem otrzymywać w „trybie wyróżnienia“ po parę papierosów do celi. Strażnik baczył jednak przez judasza, czy palę je osobiście. Kiedyś z uśmiechem wyszeptał: „Ty mnie nabierasz“ — ale ostatecznie nie robił wielkich trudności. Odtąd Umnow miał co palić, co prawda sporym kosztem z mojej strony. Bo ja się tą drogą właśnie w sowieckim więzieniu też palić nauczyłem.

Po wyjściu z więzienia próbowałem zadośćuczynić prośbie mego współwięźnia i przesłać mu trochę tabaki i chleba. Nie marzył już o pierogach i ogórku, ale o zwykłym, czarnym chlebie. Przygotowałem paczkę i zaadresowałem ją do więzienia na Łubiance. Urzędnik na poczcie spojrział na mnie rozszerzonymi ze strachu oczyma i ostro rzucił: „Nielzia“.

Przypatrywałem się też sylwetce drugiego współwięźnia — Niemca. Nosił jeszcze swój własny mundur wraz z odznakami i z Krzyżem Żelaznym na piersiach. Nieraz musiałem sobą potrząsnąć, by zdać sobie sprawę, że to nie sen, że to los płata takie figle. W najbujniejszej wyobraźni nie mogłem przypuścić, iż kiedykolwiek, u schyłku wojny polsko-niemieckiej, będę siedział w więzieniu rosyjskim w jednej celi z pułkownikiem niemieckim.

Nie był to już dufny w wyższość rasy germańskiej członek *Herrenvolku*, maszerujący na podbój świata. Zachowywał się spokojnie i przyzwoicie. Nie taił wielkiego pragnienia życia, a swe ongiś plany ograniczał w swych marzeniach na przyszłość do tego, by móc z dziesięć jeszcze lat pożyć gdzieś w małym mieszkanku na prowincji, w towarzystwie żony i drobnych dwojga dzieci. Wróci do pędzla, do ciężkiej pracy, ale chce jeszcze ogłądać niebo, oddychać świeżym powietrzem.

Przynał się do tego, iż wierzył w Hitlera jak w Boga. Rozczarowanie przyszło dopiero później, już w obozie jeńców. Zaczynał sobie zdawać sprawę, jak wielką katastrofą dla Niemiec

i dla całej ludzkości był jego ukochany wódz. Wyciągał z tego konsekwencje w tym sensie, iż w więzieniu całe dni studiował „Kapitał“ Marksa i dzieła Lenina, które mógł otrzymać w języku niemieckim. Czyżby szukał nowych prawd i dogmatów?

Pułkownik SS opowiadał mi długo o stosunkach, panujących w obozach niemieckich w Rosji. Już w owym czasie w 1944 i na przełomie 1945 roku Rosjanie przeprowadzili w nich dokładną selekcję materiału. Przede wszystkim odseparowali elementy wybitnie hitlerowskie — i te przeznaczyli na nieuchronne zniszczenie. Pozostałą masę poddali wpływowi agitacji bolszewickiej, przeprowadzanej przy pomocy oddanych im komunistów, których liczba okazała się niemała. Agitacja ta jednak nie była prymitywna, bazowała na głęboko zaszczepionym u Niemców nacjonalizmie prusackim. Stworzono doktrynę tej mniej więcej treści:

Historia uczy, iż Niemcy i Rosja wtedy były wielkie i szczęśliwe, gdy kroczyły razem. Tak było w drugiej połowie XVIII wieku i w okresie napoleońskim, tak było przez całe XIX stulecie. Nieszczęścia zaczynały się wówczas, gdy się ich drogi rozchodziły. Największym mężem stanu był Bismarck, który tę prawdę rozumiał i głosił ją narodowi niemieckiemu. Było zbrodnią Wilhelma II i cara Mikołaja II, gdy zeszli z tej drogi po raz pierwszy. Tym większa była zbrodnia Hitlera, iż zerwał ponownie z linią polityki, nakreśloną w traktacie w Rapallo w roku 1922 i wbrew radom wszystkim rozsądnym czynnikom wojskowych wywoływał wojnę z Rosją.

Trzeba nawrócić do wskazań wielkich przywódców Narodu Niemieckiego i czerpać z bogatych doświadczeń historycznych. Zarówno w interesie przyszłych Niemiec, jak i Rosji Sowieckiej, jest nawiązać znowu ze sobą nici współpracy a w następnym etapie stworzyć wspólny front przeciw mocarstwu zachodnim. Rosja dała dowód w 1939 r., że rozumie interesy niemieckie i że gotowa jest uwzględniać je w swoim obraćunku. Jest tylko jedna różnica pomiędzy tym, co było w przeszłości, i tym, co musi być — w logicznym rozwoju wydarzeń — w przyszłości. Do roku 1939 współpraca niemiecko-rosyjska dokonywała się na zasadach mniej lub więcej przywództwa Niemiec — dziś, po klęsce dziejowej hitleryzmu, przywództwo spoczywać musi w rękach Związku Sowieckiego. Niemniej tylko taka współpraca może uratować Naród Niemiecki od ostatecznej zguby, co więcej może mu dać nadzieje na szybkie odrestaurowanie swojej potęgi i dobrobytu.

Dla tej doktryny zdołano pozyskać już w r. 1943 szereg wybitnych generałów niemieckich wziętych do niewoli z generałem baronem von Seydlitzem na czele. Z chwilą gdy poddała się niemiecka armia stalingradzka, czynniki sowieckie zaczęły w tym samym kierunku oddziaływać na opromienionego sławą żołnierską marszałka von Paulusa, dowódcę tej armii. Jeszcze na początku 1945 r. stanowisko jego było takie, iż choć wojna została przegrana i to przegrana z winy Hitlera, oficer niemiecki, tak długo jak się ona toczy, nie jest wolny od obowiązku wierności swojemu dowódcy i lojalności względem swych władz. Z tych względów zachowywał neutralność wobec agitacji sowieckiej. Później, jak wiadomo, stał się już gorliwym realizatorem wyłożonej tutaj doktryny.

W rezultacie, w niemieckich obozach oficerskich w Rosji stonki tak się ukształtowały, iż w końcowym okresie wojny około czterdziestu procent oficerów opowiadało się za 'natychmiastową współpracą niemiecko-sowiecką, około dwudziestu procent, przeważnie spośród armii Paulusa, trwało przy zasadzie neutralności, a tylko czterdzieści procent oficerów pozostało wiernych Hitlerowi i własnemu państwu. Odbywały się tam nieustanne meetings, organizowane były kursa dla instruktorów, przygotowywano się do założenia specjalnych wyższych szkół, których przeznaczeniem byłoby pogłębienie idei współpracy niemieckorosyjskiej w różnych dziedzinach działania, z programem zakreślonym nawet na parę lat.

Oczywiście, ci co się opowiadali za współpracą z Rosją, mieli zgola inne warunki egzystencji od tych, którzy się jej sprzeciwiali. Mieli swobodę ruchu, jeździli do Moskwy, zwiedzali różne obozy — „jadali, ach, jak jadali, miewali nawet befsztyki“ — tu mój rozmówca westchnął głęboko.

— „Czy może ten stan rzeczy wpłynąć w poważny sposób na bieg wydarzeń w przyszłych Niemczech?“ — pytałem inteligentnego i obeznanego z zagadnieniami socjologicznymi pułkownika.

— „Niewątpliwie tak“ — padła odpowiedź. — „Niemcy, jako masa, nie umieją myśleć politycznie na własny rachunek. Chcą mieć przedłożoną sobie gotową formułkę, która ich będzie prowadzić do celu, to jest do uzyskania tej potęgi i tej wyższości, jaka w ich najgłębszym przekonaniu należy się rasie germańskiej. Ja sam uważałem, że zwięzła konstrukcja myślenia, narzucona nam przez Hitlera, jest nieskończenie logiczna i prawdziwa. Skoro została przekreślona, każdy Niemiec będzie dążył

dó zastąpienia jej nową. Wielu, wydaje się, pójdzie za nową doktryną, która się dziś kształtuje w obozach niemieckich w Rosji. w przeświadczeniu, że jest jedynie słuszna. Wielu będzie uważało przy tym, iż nie jest nowa, lecz stanowi przystosowanie do zmienionych warunków starej doktryny sztabu niemieckiego. Wielu głosić się będzie jej zwolennikami dla celów czysto oportunistycznych — po prostu dla zachowania życia w Rosji. Będzie i dużo takich, którzy ulegną głębokiej demoralizacji — ci pójdą na zwykłą służbę cudzych interesów. Wszyscy inni prawdopodobnie nie wrócą do Niemiec. Musi się to odbić na przyszłości mojego kraju“.

Staralem się dużo w celi czytać. Rzecz ciekawa, gros książek, których mi bibliotekarka dostarczała, było autorstwa pisarzy przedrewolucyjnych. Obok nadpisu na pierwszej stronie *Dozwoleno cenzuroj*, tak charakterystycznego dla wydawnictw z epoki carów, miały obecnie przeprowadzoną cenzurę po raz drugi w postaci zamazanych tuszem stron, niekiedy poszczególnych zdań. a czasem nawet tylko kilku słów. O ileż jednak książki te wyraziściej oddawały bunt wolnych ludzi przeciw ówczesnemu uciskowi, o ileż głębsza była barwa uczuć ludzkich w nich zawarta, aniżeli w książkach autorów sowieckich! Te ostatnie, to niby ćwiczenia pisane na zadany temat propagandowy.

A więc mnóstwo książek pisanych w charakterze powieści omawia na jedno i to samo kopyto zagadnienie kolektywnej pracy na roli. Ta sama fabuła powtarza się nieskończoną ilość razy: Stary chłop trzyma się uparcie własności swego gospodarstwa. Młodzi są podzieleni — jedni idą za tradycją, za ojcem, i to są z reguły postacie ciemne, drudzy, wychowani w ideowej szkole komsomolskiej, dążą do uszczęśliwienia społeczności budowaniem kołchozów. Na tym tle, poprzez walkę połączoną ze spiskami popów, poprzez morderstwa, poprzez denuncjacje w rodzinie — zwycięża w ostatniej fazie komunista.

Tego samego typu są powieści, które apoteozują wysiłek robotnika w rywalizacji zbiorowej. Znowu niezbędnym rekwizytem są denuncjacje między przyjaciółmi, które odsłaniają jakiś spisek sabotażowy, niezbędna jest pewna ilość zabójstw, a rzecz kończy się triumfem robotnika, który wyprodukował dwieście osiemdziesiąt cztery, czy czterysta sześćdziesiąt sześć procent wyznaczonej mu normy.

Podejrzone typy w takich książkach, to zawsze bezpartyjni fachowcy — inżynierowie, czasem majstrzy i kierownicy fabryk.

W sumie książki te dają tak ponury obraz życia, iż otrząsnąłem się z obrzydzenia.

Dużo w nich było tematyki polskiej, ujętej znowu bardzo prymitywnie. W książkach o tle historycznym Polacy to najeźdźcy, którzy narzucali obcą Rosji kulturę. Car bił po twarzy bojarów, którzy na jego dworze nie władali biegle językiem polskim, jako językiem towarzyskim. Zmuszał ich do ubierania się w polskie kontusze, narzucał polskie obyczaje. W powieściach z epoki rewolucyjnej Polacy to panowie, książęta, magnaci, wrogowie ludu.

Książki obyczajowe dawały niekiedy upust niechęci do „panów polskich“ w sposób groteskowy. Oto młody kupiec rosyjski przyjeżdża z dużą sumą pieniędzy do Niższego Nowogrodu. Chce się przy okazji zabawić. Spotyka piękną kobietę, która mu się przedstawia jako hrabina Zamojska. Spędza z nią upojną noc, ale gdy się budzi następnie u siebie w domu, okazuje się, iż polska hrabina wyciągnęła mu z kieszeni portfel z całą jego olbrzymią zawartością. Na tym tle następuje załamanie moralne bohatera powieści.

Wyczuwa się w tym wszystkim kompleks niższości w stosunku do społeczeństwa o wyższej cywilizacji. I tu leży źródło instynktownej niechęci bolszewizmu rosyjskiego do Narodu Polskiego, wyobrażanego naiwnie jako naród panów. Także i Ummow nie chciał sobie dać wytłumaczyć, że Naród Polski to społeczeństwo ludzi ciężko pracujących, w którym warstwa zamożna, w następstwie wydarzeń, niestety niemal całkowicie wyginęła. Natomiast jest to wciąż społeczeństwo o dużej tradycji i wysokim poziomie kultury, mającej podkład w wiekowych złożach.

Czytałem też i książki wspaniałe. Były one przedę wszystkim pióra Aleksego Tołstoja, który zmarł niedawno, i Szołochowa. Mówiąc o dorobku Rosji na polu literackim, mój sędzia wskazywał na Szołochowa jako na wielką gwiazdę błyszczącą na firmamencie. „Popatrz — mówił — ma on dopiero około czterdziestu lat, a jest już członkiem Akademii Literatury i chlubą naszego sowieckiego wysiłku“. Nie upłynęło wiele czasu od chwili, gdy opuściłem więzienie w Moskwie, a już czytałem w prasie, że Szołochow popadł w niełaskę. Maluczko, a doczekamy się jego publicznego pokajania — zacznij pisać zamiast książek, propagandowe broszury.

Nawet i ci wybitni twórcy mają cechę wspólną ze szarą plejadą pozostałych pisarzy rosyjskich: nie ma w nich uśmiechu do

życia, ni uśmiechu do człowieka. Książki ich są posiewem tego samego ponurego nastroju, jaki wionie z życia społeczeństwa sowieckiego.

A ja w miarę wydobywania się z głębi depresji szukałem tego uśmiechu i w książce i u mych towarzyszy celi — jako leku dla siebie najważniejszego. Wyzwolilem się już ze słabości organizmu — głód przestał na mnie działać, organizm przyzwyczał się do bezsenności, opuchlizna wydawała mi się stanem naturalnym, ból zębów uśmierzałem okładami z gorącej wody. Natomiast wciąż musiałem pokonywać w gabinecie u sędziego atmosferę grozy, którą mnie przepajał.

— „Powiedz mi, Stypułkowski, szczerze — pytał Tichonow w czasie kolejnego przesłuchiwania — ty na pewno liczysz w swoim uporze na swoje zdolności prawnicze. Sądzisz, że ci się uda uniknąć przyznania do winy i uratować swoje życie przez postawienie zagadnienia na płaszczyźnie prawa. Mylisz się. Mam oto dla ciebie przykład, który powinien cię przekonać. W Bułgarii skazano właśnie na śmierć siedemdziesięciu ministrów i wybitnych członków parlamentu za to, że głosowali swego czasu na rzecz wzięcia udziału w wojnie po stronie Hitlera. Czy sądzisz, że głosując zgodnie z obowiązującą konstytucją i na podstawie uprawnień, jakie posiadali w charakterze ustawodawczego ciała, złamali jakiegokolwiek normy prawne? A jednak wszyscy już wiszą. Nie licz więc zanadto na prawo, że cię będzie bronilo“.

Innym znowu razem z szyderczym uśmiechem na twarzy rozpoczął taką przemowę: „Mogę ci uprzejmie zakomunikować, iż twoi zacni protektorzy anglo-amerykańscy zdradzili cię haniebnie. Oddali was wszystkich po prostu na łaskę i niełaskę naszą. Raz jeszcze udowodnili, że nie macie co liczyć na ich moralne wartości, z których wywodzą się obowiązki przyjaźni i solidarności w trudnych sytuacjach. To są tylko burżuazyjni kupcy — i to marni kupcy, którzy sprzedają towar za kiepską cenę. Dziś już namawiają nas tylko, żebyśmy z wami skończyli jak najprędzej, aby się opinia publiczna ich krajów przestała wami co rychlej zajmować. Przekonywałem cię zawsze, że Polacy mogą liczyć tylko na nasze braterstwo słowiańskie. Może mi wreszcie uwierzysz“. Tu pokazał jakieś olbrzymie tytuły w gazecie, głoszące z triumfem osiągnięcie porozumienia z mocarstwami zachodnimi. Był to chyba wynik wizyty Mr. Hopkinsa w Moskwie, przetłumaczony na praktyczny język sowiecki.

Gdy te argumenty nie działały, przechodził Tichonow coraz bardziej gorączkowo do innych: „Na cóż ty jeszcze liczysz, na konflikt zbrojny Anglii i Ameryki z Rosją? To są złudzenia. Zanim do tego dojdzie, będziesz już go obserwował z tamtego świata. Zresztą wojny z Anglią nigdy nie będzie, my się już postaramy rozłożyć Brytyjczyków inaczej. Z chwilą gdy postawiliśmy stopę na Indiach, Anglia więcej nie drgnie. Wymówiliśmy świeżo układ z Turcją, będziemy kontrolowali Cieśniny Dardanelskie. Persja już jest w naszym ręku. Co może w tych warunkach zrobić nam W. Brytania? Jest to kolos, któremu co najwyżej dopomożemy skończyć naturalną śmiercią“.

O Anglii mówił zawsze z pogardą dla jej słabości, o Stanach Zjednoczonych z kultem dla ich siły, ale z nienawiścią. „Stany Zjednoczone nie pójdą jednakże na wojnę z nami. Opanowane są żądzą bogacenia się. Będą miały wielkie trudności ekonomiczne po tej wojnie. Rosja też się nie będzie śpieszyła do konfliktu z Ameryką, niechaj się ona dusi w swym kapitalistycznym ustroju. My przed tym mamy jeszcze dużo do zrobienia w Europie, no i w Azji. Czemu nie chcecie być po stronie tych, którzy jedynie mogą wam zapewnić przyszłość i potęgę. Przyszłość należy do Słowian...“

Powtarzał też nieświadomie argumenty Umnowa: „Bywały czasy gdy polscy hetmani panowali nad Moskwą. Ale to są już dawne, dawne czasy. Dziś Rosja panuje niepodzielnie nad Warszawą. Nie buntujcie się przeciwko temu. Nie macie na to siły. Ileż produkowaliście czołgów w porównaniu z nami? Jakaż była liczba waszych samolotów? Mielicie 35 milionów ludności, jest was dziś dwadzieścia parę. My mamy w obrębie Związku Sowieckiego dwieście milionów ludności. Mielicie trzydzieści—czterdzieści tysięcy studentów na wyższych uczelniach, my mamy ich pół miliona. Komuż wy chcecie stawić opór? Dajemy wam zresztą niepodległość, dajemy szansę odegrania wielkiej roli w przyszłym układzie stosunków, gdy do głosu dojdzie młody, prężny i niezdemoralizowany świat słowiański...“

„Nie będziemy was zmuszali do włączania się w Związek Sowieckich Republik, chyba, chyba, że sami wyrazicie w tym kierunku życzenie...“.

Pewnego dnia zaczął mi opowiadać z wielkim przekonaniem o dobrodziejstwach gospodarki kolektywnej. „Gdyby Pan mógł obejrzeć jedno z naszych wzorcowych gospodarstw kolchozowych, czy też sowchozowych, z pewnością zmieniłby Pan zdanie o wyż-

szości gospodarstw indywidualnych. Tam, gdzie kiedyś pola podzielone były w szachownicę, porane bruzdami i miedzami, obsiewane ręcznie, obrabiane niedołącznie — tam dziś pracują nowoczesne maszyny, zużytkowując produkcyjnie każdą piędź ziemi, podnosząc niekiedy plon trzykrotnie. W miejsce kurnych chat stoją rzędem budynki murowane, a inwentarz żywy, wyselekcjonowany, reprezentuje wartość nieporównanie wyższą od tej, jaka na tym samym obszarze ziemi mogliby utrzymać drobni rolnicy.

„Potrzeba było wielu lat pracy i ofiar, aby do tych rezultatów dojść. I dziś mamy jeszcze pewne braki, ale wiemy z pewnością, iż je pokonamy. Ileż wdzięczności powinniście żywić względem nas, że przychodzimy do was z gotowym kapitałem doświadczenia i chcemy nim służyć?”

Nie mogłem się tu powstrzymać od odpowiedzi nieco złośliwej: „Ma Pan rację, Panie Majorze, że zastosowanie nowoczesnych maszyn w rolnictwie wymaga w zasadzie typu większych gospodarstw. Także bardzo słuszny jest Pański pogląd, iż rozdrobnienie działek rolnych powoduje ogromną utratę ziemi użytkowej na wszelkiego rodzaju miedze graniczne, rowy i tak dalej. Z tych to względów Niemcy przeprowadzając gospodarke wojenną na polskich obszarach uprawnych zakazali wszelkiego dalszego dzielenia gospodarstw i różnymi sposobami łączyli je w większe jednostki. Bezwzględnością swych metod, ale oook tego i konsekwentnym realizowaniem Pańskich założeń, doszli do bardzo poważnych wyników produkcji w ciągu kilku lat okupacji. Różnica pomiędzy niemieckim stanowiskiem i stanowiskiem sowieckim jest ta tylko, iż Niemcy dążą do stworzenia wielkich gospodarstw rolnych zachowując je jednak w rękach prywatnych właścicieli, a wy je chcecie skupić w rękę państwa, względnie kolektywu“.

— „Nie rozumiem jednak — ciągnąłem dalej — dlaczego, dążąc do koncentracji ziemi, równocześnie wystąpiliście wobec Polaków z programem natychmiastowego rozdzielania wszystkich istniejących gospodarstw pomiędzy drobnych rolników, służbę folwarczną i bezrolnych? Wasze zarządzenia w tym względzie zostały wykonane pośpiesznie i przy wielkim nacisku. W rezultacie cała Polska porwana została bruzdami, nowymi miedzami, sypanymi przypadkowo, wymierzanymi kijem, lub po prostu nogą. O prawidłowym wyzyskaniu nowoczesnych maszyn rolniczych nie ma w tych warunkach mowy, produkcja rolna i hodowlana musi upaść bardzo nisko. Głód ziemi polskiego rolnika

został w ten sposób zaspokojony przez was niecelowo, a z punktu widzenia zamierzeń gospodarki kolektywnej wręcz szkodliwie. Jakież jest cel obdarowywania chłopów polskiego działkami ziemi, gdy równocześnie walczyło się tyle lat z chłopem rosyjskim, aby swoją ziemię oddał państwu, względnie oddał gospodarstwu kolektywnemu?“.

— „Polska jest krajem demokratycznym — tłumaczył się Tichonow, nieco zmieszany. — Nie można jej narzucić najbardziej nawet zbawiennych idei siłą. Dlatego też musimy naprzód zdobyć zaufanie chłopów polskiego. Dokonywujemy tego ofiarując mu ziemię. Gdy się przekona, że jesteśmy jego dobroczyńcami, wtedy mu wytłumaczymy, iż w jego własnym interesie winien oddać tę ziemię na rzecz gospodarki kolektywnej. Proces tak wielkiej wagi, jak przekształcenie gospodarki indywidualnej w kolektywną, nie może się dokonać w ciągu kilku miesięcy. U nas proces ten trwa już lat dwadzieścia parę i nie jest jeszcze ukończony — będzie musiał i w Polsce trwać lat parę. Znajdujemy się w epoce przejściowej...“.

Wszystkie te rozmowy i dyskusje kończyły się teraz niezmiennie pytaniem: „No cóż namyśliłeś się, Stypułkowski, będziesz odpowiadał?“.

Dopóki się toczyła dyskusja na tematy oderwane, podtrzymałem ją jak najusilniej, starając się nią tak kierować, aby nie ześlizgiwała się ku moim „przestępnym“ myślom, zamiarom czy działaniom. Ten pojedynek na wytrzymanie, na czujność i na inteligencję trwał uparcie i nieprzerwanie. Przeniknąłem jednak już przeciwnika, poznałem jego metody i w tym pojedynku czułem się coraz silniejszy — powiem, że zasmakowałem w nim. Jeśli czułem się zmęczony, jeśli zdawałem sobie sprawę, że słowa wymykają mi się spod kontroli, a ostrość myślenia przytłumiana jest przez większy niż zazwyczaj szum w głowie czy w uszach, decydowałem się milczeć, a na pytania odpowiadałem: „Nie wiem, nie pamiętam“. Zresztą pytań konkretnych Tichonow nie stawiał niemal do końca, co pozwalało mi w każdej niedogodnej dla siebie chwili twierdzić, iż wszystko co wiedziałem już wypowiedziałem, a dalej mogę udzielać wypaśnień tylko w stosunku do konkretnego stanu faktycznego, jaki mi będzie przedstawiony.

Major Tichonow wychodził z równowagi coraz bardziej. Krzyczał, obrażał mnie, unosił się. Przetrzymywał mnie czasem u siebie w gabinecie przez całą niemal dobę. Gorzej bywało, gdy

w ciągu doby wzywał po cztery, pięć razy, bo zmuszony byłem za każdym razem swój rozbity układ nerwowy brać na nowo w garść w celi. Chwilami wymagało z mej strony dużego wysiłku, aby w nocy podnieść się z łóżka, przygotować do rewizji, marszu po korytarzach i przyoblec twarz w maskę obojętności na tę chwilę, gdy stanę przed sędzią i usłyszę pytanie: „Ma Pan mi co do powiedzenia?“. Jednak Tichonow słabnął również w sposób widoczny. Widziałem nawet parę razy, jak zrywał się z kanapy dopiero na mój widok. Coraz trudniej mu było sprowadzać rozmowę na tory moich zbrodni — w dialektyce byłem już górą. Zniechęcał się więc do niej i zagłębiał w słówkach niemieckich. Ba, korzystał nawet czasem z mojej pomocy, gdy miał jakieś trudności w ich zrozumieniu.

A tymczasem upływał czas, mijało badanie setne, sto piąte, sto piętnaste... Tichonow począł pilnie formułować protokoły z moich zeznań, raz nawet przywołał do pomocy tłumacza, aby potwierdził podpisem zgodność któregoś z nich. Narzekał przy tym nieustannie, iż nie ma co wniesić z moich zeznań do protokołu, takie są jałowe, tak mało „rzetelne“. Mimo to w sumie pytania i odpowiedzi pokryły maszynowym pismem kilkadziesiąt stron kredowego papieru. Musiałem stoczyć ciężką walkę o wiele zdań zamieszczonych w tym protokole.

— „Przecież mówiłeś wczoraj, iż przygotowywaliście się do walki z Z. S. R. R.“ — bronił z wściekłością swego sformułowania Tichonow.

— „Nie, mówiłem tylko, że Polska zdecydowana była bronić swoich granic, uregulowanych na wschodzie dobrowolnym traktatem zawartym w Rydze“ — odpowiadałem uparcie — i proszę o takie zapisanie moich zeznań“.

— „Podpiszesz tak, jak napisano, to jest zupełnie to samo, nie będę dla ciebie przerabiał całego protokołu...“. Nie uległem, choć nieraz dla skrócenia tych męczarni brała mnie ochota zgodzić się na wszystko. Byłe czym prędzej wrócić do celi...

Pewnego dnia czerwcowego strażnik wezwał mnie na kolejny „dąpros“. Gdy wyszedłem na korytarz w więziennej koszuli, rudej *gimnasciorce* rozchełstanej na piersi, rozkazał wrócić się nazad i włożyć przyzwoitą koszulę. Odpowiedziałem, iż mam do dyspozycji tylko jedną — własną, w której przyjechałem do Moskwy, ale ta jest niemożliwa do użytku, bo brudna. Zabrał mi ją, po czym po chwili wrócił odnosząc uprasowaną. „Proszę nałożyć tę koszulę“ — rozkazał.

Pojąłem, że w sprawie mej zaszedł jakiś fakt przełomowy. Rzeczywiście, w gabinecie sędziego zastałem obok majora Tichonowa eleganckiego i wybitnie przystojnego pułkownika, który zwrócił się do mnie w następującej formie: „Mam zaszczyt przedstawić się Panu. Jestem Kulczycki, pułkownik korpusu sądowego armii sowieckiej i zastępca naczelnego prokuratora. Przejmuję śledztwo od majora Tichonowa w Pańskiej sprawie i od tej chwili proszę się zwracać ze wszystkim do mnie. Chciałby mi wysłuchać Pańskich wyjaśnień, ale może zaczniemy od zapalenia papierosa. Czy mogę Panu służyć?“. Z ujmującym uśmiechem wyciągnął do mnie papierośnicę.

Byłem wprost oszołomiony taką zmianą atmosfery wokół mnie. Zamiast gróźb, ordynarnych wymysłów, płynęły teraz słowa aksamitne, maniery były bez zarzutu. Prokurator zbierał owoce dwumiesięcznej pracy sędziego śledczego, jego stu kilkudziesięciu badań, segregował je, nadawał im porządek i przygotowywał, by mogły ujrzeć światło dzienne. Ot tak, jak mistrz kuchni w pierwszorzędnej restauracji, gdy wynosi potrawy przeznaczone już do spożycia układa je przybrane najestetyczniej na pięknych półmiskach z tym zamiarem, aby nikomu nawet na myśl nie przyszło ani odór tej kuchni, ani cała technika przygotowywania potraw.

Kazał sobie opowiedzieć raz jeszcze „curriculum vitae“, określić charakter mej działalności w podziemiu, wyjaśnić swój stosunek do Sowietów. Uzgadniał to z treścią podpisanych już protokółów, miarkował Tichonowa, gdy ten napadał na mnie. W końcu najuprzejmiej zapytał, czy się przyznaję do winy, że brałem udział w spisku przeciw Związkowi Sowieckiemu i Czerwonej Armii?

Gdy odpowiadałem negatywnie, oświadczył, iż wszystko to wiernie zapisze, ale żywiąc do mnie nieklamana sympatię chciałby ostrzec mnie przedtem jeszcze przed dwoma konsekwencjami takiego stanowiska.

Pierwsza — to konieczność przeprowadzenia konfrontacji z pewnymi moimi współtowarzyszami. Pułkownik Kulczycki zdaje sobie dokładnie sprawę, kim są aresztowani przywódcy polityczni polscy. Musi ich traktować zgodnie z przepisami kodeksu karnego Związku Sowieckiego, ale nie może im odmówić szacunku, jakiego są godni, i wielkiego autorytetu, jakim się cieszą. Jakaż nieprawdopodobnie niemiła będzie sytuacja, gdy postawieni sobie do oczu będziemy składali sprzeczne zeznania. „Pan

będzie poniżony, Panie Mecenasie — za wszelką cenę chciałbym uniknąć tej sytuacji dla Pana“.

Druga konsekwencja jest jeszcze poważniejsza. Najprawdopodobniej dojdzie w mojej sprawie do rozprawy sądowej. Wówczas akt oskarżenia będzie musiał zawierać wzmiankę, „iż oskarżony Stypułkowski do winy się nie przyznaje“. Kodeks karny ZSRR przewiduje za czyny mi zarzucane karę śmierci i to odnośnie aż do trzech stanów faktycznych. Pułkownik Kulczycki nie może przesądzić ostatecznie, jaki wyrok zapadnie, ale czuje się w obowiązku zwrócić mi uwagę, iż najskuteczniejszą formą obrony jest szczerze przyznanie się do winy. Według artykułu ósmego kodeksu sąd rozpatrujący sprawę ma prawo do daleko idącego złagodzenia kary, a nawet do uniewinnienia oskarżonego, któremu udowodniono popełnienie przestępstwa, w wypadku o ile osobnik ów w momencie sądenia go nie jest już nadal szkodliwy dla interesów Związku Sowieckiego.

— „Jedyną drogą, w Pana położeniu, która prowadzi do wzbudzenia przekonania u sędziów, iż nie jest Pan szkodliwy dla ZSRR, byłoby szczerze przyznanie się do popełnionych win i wyrównanie krzywdy przez ujawnienie nici i okoliczności spisku. Uparte trwanie przy dotychczasowym Pańskim stanowisku może łatwo posłużyć sądowi za dowód napięcia złej woli i wywołać nieobliczalne dla Pana skutki“ — przekonywał pułkownik łagodnie i serdecznie.

Prokurator wzywał mnie jeszcze szereg razy i namawiał do zmiany stanowiska — wreszcie zniechęcony zarządził zapowiadaną konfrontację.

Był to ostatni nabój w ręku moich prześladowców. Dla uczestniczenia w widowisku zesłała się spora garść sowieckich dygnitarzy. Nie wydobyto jednak ode mnie niczego. Nasłuchałem się tak fantastycznych o sobie faktów, że nawet chora moja wyobraźnia nie pozwoliła mi ich przyswoić jako rzeczywistości. Między innymi miałem polecone ustosunkować się do takich zeznań:

W styczniu czy w lutym 1945 r. oddziały Narodowych Sił Zbrojnych rozbiły na terenie Lubelszczyzny kilka kompanii sowieckich, biorąc do niewoli około czterystu jeńców. Ścigane, nie mogły jeńców uprowadzić z sobą i wobec tego ich wymordowano. Stypułkowski chciał przerzucić osaczone NSZ z prawego na lewy brzeg Wisły i w tym celu zwracał się do odpowiednich władz o środki finansowe, umożliwiające przeprowadzenie tej operacji. Odmówiono mu

W całej tej historii nie było słowa prawdy. Nigdy takiego meldunku nie otrzymałem, z nikim o tym nie mówiłem i do nikogo z propozycją przerwania oddziałów NSZ z prawego brzegu Wisły na lewy się nie zwracałem. Mimo to konfrontowany ze mną więzień uparcie obstawał przy swoim zeznaniu, co więcej, jestem przekonany, że robił to w najlepszej wierze. Uważał, że to jest prawda i że we wspólnym interesie trzeba, aby była ujawniona.

Tego typu historii miałem usłyszeć więcej. Jedne były całkowicie wymaginowane lub wprowadzone do wyobraźni więźnia różnymi chwytami przez jego sowieckiego sędziego, inne wiązały się mniej lub więcej z rzeczywistością, ale były zniekształcone. Były naturalnie i fakty prawdziwe, których oskarżenie sowieckie nadużywało dla ich fałszywego naświetlenia. Najtrudniej było mi negować te fakty.

Jeden z współwięźniów zeznał, iż na parę dni przed naszym aresztowaniem prosiłem go o interwencję u właściwych czynników podziemia na rzecz wypłacenia, jak się wyraził, olbrzymiej sumy podporządkowanym mi oddziałom wojskowym. Była to okoliczność prawdziwa, wiążąca się ściśle z zamiarami demobilizacji oddziałów rozlokowanych po lesie. Sędziowie sowieccy chcieli na tym konstruować tezę odwrotną, iż dążyłem do wyposażenia armii podziemnej w środki walki. W tym też duchu zapisano wyjaśnienia mojego towarzysza i zażądano, abym się do tych zeznań ustosunkował. Odpowiedziałem, iż z zeznaniami konfrontowanego ze mną więźnia zgadzam się, natomiast nie zgadzam się z ich sformułowaniem w protokóle.

Tichonow, który prowadził protokół konfrontacji, oburzył się na mnie, pewny swego, gdyż mój towarzysz nie czynił przed tym zastrzeżeń co do sformułowania. Gorąca wymiana zdań, jaka się wywiązała między mną a Tichonowem, pobudziła jednak widać energię tego poważnego i dzielnego zawsze dotychczas człowieka. „Tak jest, obowiązany jestem stwierdzić — wtrącił, iż ściśle jest to, co mówi Stypułkowski, i ja swoje zeznania składałem w tym właśnie duchu“. Tichonow oświadczył wtedy, iż protokół zmieni i dla jego podpisania wezwie nas ponownie.

Nazajutrz nie zastałem w gabinecie sędziego konfrontowanego ze mną uprzednio towarzysza. Natomiast przy każdym zdaniu zeznania sformułowanego na jego rachunek, figurowały już jego podpisy. Zeznania te były ujęte ściśle tak samo, jak je „rozumiał“ poprzedniego dnia Tichonow. Nie starczyło biedako-

wi energii, albo może krytycyzmu — aby dalej walczyć. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko położyć podpisy pod swoimi zeznaniami.

Było widoczne dla mnie, jako człowieka doświadczonego w zagadnieniach procedury śledczej, iż zbliża się koniec tej męki. Badania trwały w dalszym ciągu dzień i noc, ale obecnie prowadzone były z pośpiechem i zmierzały do konkluzji. Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy Tichonow przedstawił mi z upoważnienia pułkownika Kulczyckiego szereg olbrzymich tomów. „Jest to materiał, który Pana obciąża i będzie przedmiotem rozprawy sądowej“ — wyjaśnił.

Dał mi dwadzieścia cztery godziny czasu do zaznajomienia się z aktami, notatek robić nie pozwolił. Jakże interesująca, ale i jakże tragiczna była ta lektura! Zużyłem wszystkie siły, jakie jeszcze miałem w rozporządzeniu, aby przestudiować te akta i zrozumieć możliwie najwięcej. Rezygnowałem z obiadu, nie uległem pokusie pójścia na spoczynek, choć mnie w tym wypadku Tichonow do tego namawiał. „Po cóż ci to wszystko, czytaj tylko to, co dotyczy bezpośrednio ciebie“.

Znalazłem tam bogaty obraz przeżyć wszystkich nieomal moich towarzyszy — mogłem sobie zdać sprawę, jakie męki przeszli w gabinetach swoich sędziów śledczych, jakim podlegali ewolucjom, do jakiego stanu zostali doprowadzeni niektórzy spośród nich.

Przede wszystkim jednak wstrzasające wrażenie wywierały dołączone do akt wyciągi z protokółów badań przeprowadzonych na terenie okupowanych ziem polskich i w najróżnorodniejszych więzieniach całej Rosji. Badania te obejmowały dosłownie dziesiątki tysięcy Polaków, których Rosja zagarnęła w swe szpony w r. 1944 i do połowy 1945 — w miarę posuwania się na zachód. Znajdowały się tam nazwiska szeregowych, oficerów i dowódców Armii Krajowej, funkcjonariuszy administracji podziemnej państwa, która się władzom sowieckim ujawniała, działaczy politycznych i społecznych, oraz zwykłych szarych obywateli, których jedyną winę stanowiło iż byli Polakami. Sądziły ich przeróżne „sądy“: sądy NKWD na terenach wschodnich Rzeczypospolitej, sądy NKGB na jej ziemiach centralnych i zachodnich, sądy kolejowe, gdy tak przypadek zdarzył, sądy wojenne najczęściej. Obok wyroków tych sądów rejestrowały akta sowieckie w karnym orydyku wyroki sądów wojennych armii Żymierskiego.

Materiał ten miał służyć dla stwierdzenia, jak olbrzymi w swej powadze i rozmiarach był spisek polski, kierowany przez aresztowanych w Moskwie szesnastu przywódców. W rzeczywistości, jeśli los pozwoli się kiedyś zagłębić w te akta historykom, odsłoniąca zostanie cała wielkość martyrologii polskiej. Sądzę, iż nikt nie zdołał nagromadzić takiej liczby faktów z dziejów zbrodni sowieckich, jak to uczynili sędziowie sowieccy w aktach nas dotyczących. Jestem z całym podziwem dla wysiłku, z jakim to wykonali i dla środków jakimi rozporządzali, aby móc go podjąć. Ostatnie protokoły zeznań, które przeczytałem, pochodziły z daty 6 czerwca, sporządzane były w azjatyckim więzieniu, nadesłane samolotem dla użytkowania ich w naszym procesie.

Niektóre sprawy były już zakończone wyrokami. Wyroki te opiewały z reguły na dziesięć lat więzienia, były gęsto przemierzane z wyrokami śmierci, nazywanymi obłudnie „miarą społecznej obrony“, lub też „wyższą miarą skazania“. Większość biedaków czekała jeszcze na wyroki — wyroki podejmowane przez kolegia administracyjne na rozprawie niejawnej i zaocznej.

Najwięcej ofiar pochodziło z ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Było to o tyle zrozumiałe, że Rosja w owym czasie gospodarowała na nich już od roku z górą, oraz że chciała jak najszybciej zatrzeć tam ślady polskości. Widziałem więc na przykład w aktach sprawy wyrysowaną graficznie hierarchię podziemnych władz polskich Ziemi Wileńskiej; przy każdym urzędzie wypisane było nazwisko lub pseudonim osoby, która dany urząd pełniła, a poniżej zamieszczona była jej fotografia. Na kilkadziesiąt pozycji jedna tylko była pusta. Akt oskarżenia przeciwko tym wszystkim ludziom głosił zdradę Z. S. R. R.

Długi rząd spośród nazwisk znany mi był i bliski. Byli między nimi tacy, którzy — wykonując rozkazy — jawnie reprezentowali pod okupacją sowiecką władze Rzeczypospolitej. Byli też tacy, którzy z bronią w rękę walczyli u boku Rosjan przeciw wspólnemu wrogowi niemieckiemu. Byli i tacy, którzy z rozpaczą odpierali zamach sowiecki na ziemi polskie. Wielu było również takich, którzy bronili swej osobistej wolności i trwali do końca w podziemiu.

Najsurowsza kara spotykała każdego, kto się ośmielił zaatakować słownie osobę Stalina. Jeden z moich najlepszych przyjaciół został skazany na śmierć przez sąd wojenny w Otwocku pod Warszawą za to tylko, że napisał artykuł do prasy podziemnej, w którym twierdził, że Polacy nie mogą wierzyć w żadne obiet-

nice Stalina, skoro on raz już zламаł wszystkie traktaty z Polską, atakując ją do spółki z Niemcami w 1939 r. Autorytet Stalina jest w Rosji święty i nietykalny i biada temu, kto go naruszy.

Dowiedziałem się także z tych akt o silnej reakcji w społeczeństwie polskim na fakt naszego aresztowania. Podnosiły to meldunki sowieckie, wykazując spotęgowanie się aktów sabotażu i liczne czynne manifestacje anty-sowieckie. W ich wyniku zniszczono szereg obozów, w których Rosjanie gromadzili Polaków przeznaczonych na wywiezienie. Dla zamanifestowania przeciw porwaniu nas zniszczono też na jednym z lotnisk samoloty. Padło przy tym ogółem kilkuset bolszewików. Pytałem sędziego Tichonowa, czy ja jestem winien także tych „zbrodni“, popełnionych w czasie, kiedy siedziałem w więzieniu. Odpowiedział mi, że oczywiście bezpośrednich rozkazów nie wydawałem, ale ponoszę odpowiedzialność jako moralny sprawca atmosfery, w której wyniku giną żołnierze sowieccy.

Nie zdołałem przerzucić kartek wszystkich tomów, których — jak wyżej wspomniałem — było ogółem kilkadziesiąt. Wierzę, że staną się one oraz jeszcze w przyszłości przedmiotem głębokich studiów dla wymiaru istotnej, rozumnej i powszechnej sprawiedliwości — komu należy.

Po raz sto czterdziesty wezwany zostałem na badanie. Pułkownik Kulczycki w sposób niezwykle uprzejmy zakomunikował, iż zakończył dochodzenie prokuratorskie i w jego wyniku postanowił mnie oskarżyć o przestępstwa przewidziane w artykułach 17 — 58 (8) — 58 (9) — 58 (11) kodeksu karnego Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Rad.

Spytałem, jakie sankcje grożą oskarżonemu z wymienionych artykułów. Odpowiedział krótko: kara śmierci, sąd jednak może karę tę miarkować. Dodał przy tym: „Z całego mojego dochodzenia nabrałem głębokiego przekonania, iż Pan się do winy nie przyznał. Wpiszę więc to do aktu oskarżenia, proszę jednak pamiętać i rozważyć sobie, iż wolno Panu przyznać się do winy jeszcze w czasie rozprawy sądowej. Sąd weźmie to na pewno pod uwagę“.

Pod koniec tej rozmowy prokurator spytał:

— „Może Pan ma jakieś życzenia, będę starał się je spełnić“.

— „Oczywiście mam, jestem głodny, bardzo głodny. Często-kroć nie wyprowadzają mnie na spacer, a przecież pogoda teraz

taka piękna. Jeśli nawet wypuszczą na świeże powietrze, to najwyżej na piętnaście minut“.

— „Zobaczymy, może da się coś zrobić“.

Takie obietnice słyszałem od sędziego Tichonowa już kilkakrotnie. Nigdy się nie spełniały. Toteż wróciłem do celi wypełniony myślami, które rozbudził Kulczycki zawiadamiając mnie o nowym obrocie sprawy, i nie wyobrażałem sobie nawet przez sekundę, jak wielka czeka mnie niespodzianka. Była godzina 7 wieczór. O 5. zjadłem dwie łyżki kaszy, jakie mi się należały na kolację, i popiłem je tylko gorącą wodą, bo nie starczyło mi w tym dniu siły, by zachować kawałek rannej porcji chleba. Jak zazwyczaj, apetyt podniecał Umnow bajkami o pierogu z kapustą.

Nagle otworzyły się drzwi celi i u progu stanął enkawudzista w barwnym mundurze i . . . białych nicianych rękawiczkach. Trzymał w ręku tacę, a na tej tacy — cóż za bogactwa! Trzy białe francuskie podłużne bułki, kilka porcji dziennych czarnego chleba, torebkę cukru, ze dwie łyżki smalcu, sporo masła, paszтет, parę kawalków kielbasy i czerwony kawior.

Spytał: „Wy, Zbigniew Francewicz Stypułkowski? To wszystko dla was osobiście“.

Byłem najgłębiej przekonany, że to sen lub wizja. Musiał powtórzyć to samo drugi raz, zanim na uginających się nogach podsunąłem się do niego, by odebrać te skarby. Po chwili drugi strażnik wezwał Umnowa, aby mu zakazać uszczknięcia czegokolwiek z tego, co jest przeznaczzone wyłącznie dla mnie.

Późnym wieczorem raz jeszcze otworzyły się drzwi celi i przy świetle księżycy wyprowadzono mnie na godzinny spacer po dachu więziennym, nad którym iskrzyło się gwiazdami niebo.

W nocy wstawałem niemal co godzinę, by ułamać kawałek chleba lub posmakować kawioru. Cieszyłem się tym jak dziecko i jak w wyobraźni dziecka nieco słodczy, niespodziana zabawka, przesłoniły mi na chwilę wszystkie zmartwienia, nawet widmo śmierci, które rysowało się przede mną jeszcze rano.

Począwszy od tego dnia przez następnych kilka byłem odżywiany niezwykle forsownie. Na śniadanie otrzymałem jajka sadzone na bekonie z angielskich puszek, a przesyłki od prokuratora powtórzyły się jeszcze dwa razy. Nie była to jednak zwykła uprzejmość ze strony eleganckiego pułkownika, który, sądząc z nazwiska, miał w sobie krew polską. Był to dalszy konsekwentny akt reżyserii, mający na celu pokazanie światu na zbliżającej się rozprawie publicznej oskarżonych w jak najlepszej formie

fizycznej. Należało zatrzeć możliwie starannie ślady tego, co się działo w okresie preparowania ofiar.

Było w zwyczaju więziennym golić nas raz na dziesięć dni, lub na dwa tygodnie. W ubikacji enkawudzista przejeżdżał wściekle tępą maszynką końską po twarzy i bokach głowy. Bardzo to była niemiła operacja. Teraz co dnia w osobnym pokoiku golono mnie starannie brzytwą, przywrócono rozdziałek na bujnej czuprynie, a enkawudzista proponował: „*Odekoton zetajete?*“. *Duchy* wionęły ode mnie z daleka.

Pewnego dnia odwiedził celę wyższy oficer zarządu więziennego. Kazał sobie pokazać moje ubranie, buty i koszulę. W parę godzin później jeden porucznik czyścił moje obuwie czarnym szuwaksem, drugi zabrał garnitur do odprasowania, przyniósł jakiś krawat i wyposażył mnie w szelki. Czyszczenie butów powtarzało się zresztą już odtąd cały czas, do ukończenia rozprawy publicznej.

Nie miałem wątpliwości, że zbliżają się chwile rozstrzygające. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu ostatnie, sto czterdzieste pierwsze badanie. Kazano mi się na nie ubrać najwytworniej i wyprowadzono we wzmocnionej asyście, ale już bez skręcania rąk do tyłu. Przemierzyłem liczne korytarze i wszedłem do reprezentacyjnej części gmachów NKGB. W okazałym gabinecie przyjął mnie radca państwowy służby sprawiedliwości drugiej klasy R. Rudenko — ten sam, który w kilka miesięcy później oskarżał z ramienia Związku Sowieckiego Goeringa, Ribbentropa i innych sprawców zbrodni hitlerowskich w procesie norymberskim.

Rudenko zachowywał się przyzwoicie i uprzejmie. Zapytał, czy chcę jeszcze czymś uzupełnić śledztwo. Odpowiedziałem, że proszę tylko o dołączenie do akt sprawy memoriału, który znalaziono przy mnie w czasie pierwszej rewizji. O memoriał ten toczyłem wielokrotnie walkę z Tichonowem. Najpierw badał, czy jest pisany moją ręką. Następnie kazał przez tłumacza przełożyć go na język rosyjski. Gdy się przekonał, że nie może z niego czerpać argumentów na rzecz tezy, iż popierałem sabotaż wysiłków Armii Czerwonej w jej dążeniu do pobicia Niemców, odmawiał mi stale prawa powoływania się na ten dokument i zapowiadał, iż go w aktach nie znaję.

O czym była mowa w tym dokumencie? W pierwszej jego części zarysowałem historię stosunków polsko-rosyjskich w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat i na ich tle rolę Stron-

nictwa Narodowego, którego byłem członkiem. Wykazałem, iż polityka polska w tym okresie stała zdecydowanie na stanowisku, iż głównym potencjalnym wrogiem niepodległości Narodu Polskiego są Niemcy opanowane przez ducha prusactwa. Dążeniem polskiej polityki było szukać dróg porozumienia z Rosją na podstawie kompromisu, oderwać ją w ten sposób od współpracy z Niemcami i przyciągnąć do obozu zachodniego.

Z tych założeń wychodząc opinia społeczeństwa polskiego opowiedziała się zdecydowanie po stronie anglo-francuskiej, a więc i rosyjskiej, gdy doszło do zbrojnego konfliktu w roku 1914. Z tych samych założeń Państwo Polskie przerwało w 1920 r. zwycięską dla siebie wojnę z Rosją bolszewicką, gdy zarysowała się możliwość rozsądnego układu.

Traktat Ryski, zawarty w roku 1921, wyraził w swych klauzulach terytorialnych granice kompromisu, który obie strony uznały dobrowolnie za zdrowy i zabezpieczający ich żywotne interesy i prawa. Gdy o tym mówiłem z Tichonowem, wskazałem mu nawet na Encyklopedię Sowiecką w wydaniu z r. 1940, w której stwierdzono, iż Traktat Ryski nie był zły dla Rosji i że Polacy mogliby byli uzyskać znacznie więcej. Toteż w memoriale twierdziłem, iż Polacy muszą stać na gruncie tego kompromisu, inaczej wszelka koncepcja obrony granic od wschodu ulega zachwianiu. Dlatego też i dziś Polska nie chce konfliktu z Rosją, ale bronić będzie zawsze podstaw swej niepodległości.

W drugiej części formułowałem pogląd mojego stronnictwa, który, śmiało mogę powiedzieć, był poglądem olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego w kraju, na zagadnienie dalszej walki z Niemcami i stosunku do armii rosyjskiej wkraczającej na ziemie polskie. Staliśmy na stanowisku, iż nic nie może zachwiać naszego wysiłku w doprowadzeniu wojny polsko-niemieckiej do zwycięskiego końca. Co więcej, z chwilą gdy ziemie polskie stały się po raz wtóry terenem zbrojnych starć olbrzymich armii, naszym celem musiało być dążenie do jak najszybszego zakończenia tych walk. W tych warunkach sabotowanie armii sowieckiej w jej działaniach ofensywnych byłoby ciężkim błędem, a nawet przestępstwem z punktu widzenia interesów polskich. Dlatego też kierownictwo polskiego podziemia, a więc także i Stronnictwo Narodowe, żadnych zarządzeń w sensie utrudniania działań armii sowieckiej nigdy nie wydawało.

Inna jest natomiast sprawa aktów samorodnych, które zasły poza kontrolą kierownictwa polskiego — głównie na

ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Były to akty obrony przed usiłowaniami zniszczenia polskości na ziemiach, stanowiących z punktu widzenia prawa międzynarodowego i woli naszego Narodu część składową Państwa Polskiego, które stanowiło część bloku państw walczących z Niemcami. Bardzo też często były to zwykłe akty samoobrony w obliczu grożącego aresztowania i wywiezienia na Sybir, lub do Kazachstanu. Na te wydarzenia kierownictwo polskie, oddzielone linią frontu i pozbawione wskutek działań wojennych możliwości systematycznego kontaktu, nie mogło w danej chwili wywierać swego wpływu. Natomiast jest obowiązkiem strony rosyjskiej usunąć przyczyny, dla których te wydarzenia zaszły, a wówczas spacyfikowanie nastrojów społeczeństwa polskiego w stosunku do Czerwonej Armii będzie rzeczą łatwą. W memoriale proponowałem uwolnienie internowanych żołnierzy Armii Krajowej, zaprzestanie wywożenia Polaków do Rosji i wypuszczenie z więzień przywódców polskich.

W ostatniej części zająłem stanowisko w sprawie ujawnienia wobec dowództwa sowieckiego organów władz podziemnego Państwa Polskiego. Związek Sowiecki miał możność przekonać się o tym, iż władze podziemne Kraju ożywione były dobrą wolą w stosunku do wkraczającej Armii Czerwonej. We wszystkich miastach organy ich się ujawniały, obejmowały administrację cywilną i zgłaszały się o współpracę do sowieckich komendantów. Wynikiem tego były prawie natychmiastowe aresztowania owych funkcjonariuszy Państwa Polskiego.

Aby więc wytworzyć na przyszłość warunki lojalnej współpracy pomiędzy jawnie działającymi organami Państwa Polskiego czy też opinii publicznej, jakimi są między innymi stronnictwa polityczne, trzeba, aby Związek Sowiecki stanął na gruncie prawa międzynarodowego, ograniczając funkcje Armii Czerwonej do zadań określonych wymaganiami wojny, a przekazując wszystkie inne do sprawowania społeczeństwu polskiemu. Gdyby Związek Sowiecki równocześnie przywrócił wolność ludziom aresztowanym do tej pory, powstałyby warunki gwarantujące bezpieczeństwo tyłów armii sowieckiej. Do uspokojenia stosunków w kraju zmierza również, świadome ogromu strat poniesionych przez żywioł polski, kierownictwo podziemia.

Memoriał ten pisałem dla doręczenia go w sprzyjających warunkach marszałkowi Żukowowi, który — jak mniemaliśmy —

wystąpił z inicjatywą uporządkowania chaosu panującego na ziemiach polskich w okresie wiosny 1945 r.

Było dla mnie bardzo ważne, aby to obiektywne stanowisko polskie mogło znaleźć swój wyraz na rozprawie publicznej. Nie tylko broniło mnie ono całkowicie wobec sformułowanego oskarżenia, ale równocześnie było nieodpartym dowodem absurdalności zarzutów, stawianych wszystkim innym moim współtowarzyszom.

Rudenko zapytał, czy podpiszę protokół o zakończeniu śledztwa, o ile on zobowiąże się, że wspomniany memoriał zostanie dołączony do akt sprawy. Odpowiedziałem twierdząco. Zanim położyłem swój podpis, Rudenko zwrócił się jeszcze do mnie z takimi słowami:

— „W wyniku śledztwa zmuszony będę przesłać sądowi akt oskarżenia, w którym będzie zawarte stwierdzenie, iż Pan się do winy nie przyznaje. Będzie to pierwszy wypadek od czasów rewolucji sowieckiej, że na publicznej rozprawie przed Sądem Najwyższym ZSSR stanie człowiek, który nie uznał swojej winy. Czy Pan sądzi, że Pan działa rozsądnie?“

VIII.

Minęło parę dni. Podniecony sytuacją zapytywałem każdego z dygnitarzy więziennych, którzy się teraz często koło mnie kręcili, na kiedy wyznaczona jest data procesu. Odpowiadali niezmiennie: „*Nie znaju*“.

Nagle, pewnej nocy zaproszono mnie do naczelnika więzienia. Zastałem tam pułkownika, który przedstawił się jako sekretarz kolegium Sądu Najwyższego ZSSR i wręczył mi wydrukowany na pięknym kredowym papierze akt oskarżenia. Zapytał też, czy chcę korzystać z pomocy obrońcy — sąd gotów mi przydzielić jednego z najwybitniejszych adwokatów moskiewskiego kolegium. Sprawa — mówił — jest zbyt poważna, by ją lekceważyć.

Odmówiłem stanowczo, oświadczając, iż jako prawnik z wykształcenia i zawodu chcę się bronić sam. Poprosiłem tylko o dostarczenie mi do celi kodeksu procedury karnej oraz ołówka i papieru.

O piątej nad ranem otrzymałem żądane materiały i zabrałem się do pracy. Zacząłem od przestudiowania aktu oskarżenia. Oczywiście sporo słów było tam dla mnie jeszcze niezrozumiałych — dopiero przy pomocy poczciwego Umnowa zdołałem je odcyfrować.

Podziękowałem Panu Bogu za to, że moje zmagania się w więzieniu przyniosły rezultat. W całym akcie nie powołano się na ani jedno moje słowo, które by miało uzasadniać „zbrodnie“ Narodu Polskiego, jego przywódców, moich współoskarżonych, czy nawet me własne. Choć zabrali mi wolność i zagrażali mojemu życiu, nie zdołali omazać mnie błotem. Stwierdzili też wyraźnie i bezwarunkowo, że do winy się nie przyznałem, a w uzasadnieniu mej odpowiedzialności powołali się ogólnikowo jedynie na załączone do sprawy dokumenty, dowody rzeczowe, zeznania świadków i innych oskarżonych. Co to były za obiektywne dowody, pozostanie dla mnie tajemnicą do końca.

O przyznaniu się do „winy“ moich współtowarzyszy czytałem z wielkim bólem, z serdecznym dla nich współczuciem, ale bez najmniejszego zdziwienia. Kto poznał tak dokładnie jak ja system, przy którego pomocy osiąga się takie przyznania, ten się im dziwić nie będzie. Sytuacja moich przyjaciół była trudniejsza od mojej. Niemal wszyscy bez wyjątku byli starsi wiekiem, nie mieli też tego doświadczenia w obronach politycznych, jakie z tytułu praktyki zawodowej było moim udziałem. Wielu też faktów z ich działalności nie podobna było ukryć, ani też tego, że zмирzając do obrony praw polskich godzili oczywiście w imperialistyczne interesy Rosji Sowieckiej. W ten sposób „winien“ jest nie tylko każdy działacz polski, ale każdy Francuz, Włoch, a dziś także Anglik czy Amerykanin, który chce stawiać tamę zachłanności sowieckiej u progu granic swojej ojczyzny. Błędem ich wszystkich było, iż przyznając fakty z okresu swojej działalności, co mogło być niekiedy nieuniknione, uznawali też swoją „winę“ wobec Związku Sowieckiego. Związkowi Sowieckiemu bowiem nie chodziło wcale o takie czy inne fakty z działalności polskiego podziemia — dorobić je zawsze jest łatwo w sensie dla polityki rosyjskiej korzystnym.

Związkowi Sowieckiemu zależało przede wszystkim na przyznaniu się przywódców polskich do winy i rozgłoszeniu tego wobec świata. Przywódcy moskiewcy zdawali sobie sprawę, że świat, zmęczony zmaganiem, nie będzie już dochodził na czym ta wina polegała, kierując się kryteriami przyjętymi w krajach cywilizacji zachodniej, w „przyznaniu się“ oskarżonych znajdzie całkowite usprawiedliwienie dla postępu sowieckiego. Przywódcy polscy będą usunięci od udziału w decyzjach dotyczących losu Narodu Polskiego, a Rosja uzyska swobodę w dalszym swym działaniu.

Dla przykładu: przywódca polskich socjalistów Pużak przyznał się według aktu oskarżenia do winy, polegającej na tym, iż wiedział o istnieniu stacji radiowej rządu podziemnego i korzystał z niej w celu łączności z rządem emigracyjnym w Londynie. Faktu utrzymywania łączności z legalnym, uznawanym przez wszystkie państwa, własnym swoim rządem nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby uznać za przestępstwo ze strony p. Pużaka. Natomiast ze sprawozdań z procesu przed Najwyższym Sądem ZSSR do wszystkich zakątków świata dotarła wieść, iż tak wybitny socjalista przyznał się do „winy“ wobec ZSSR, a zatem jego aresztowanie zostało tym przyznaniem usprawiedliwione. Z nie-

ugiętego przywódcy polskich robotników, którego zasługi w ciągu lat walki na śmierć i życie z zaborczym hitleryzmem są nieocenione, bolszewicy zrobili przestępcę, który się sprzymierzał Niemcami knując spiski przeciw demokratycznemu porządkowi w świecie. Przykłady te można by mnożyć, gdyby nie obawa o los ludzi nadal pozostających za „żelazną kurtyną“.

Treść aktu oskarżenia utwierdziła mnie w przekonaniu o słuszności mego postępowania. Zajrzałem tedy z kolei do kodeksów sowieckich, aby się zaznajomić z tym, co mnie oczekiwało. Przystałem już mieć jakiegokolwiek wątpliwości — artykuł 58 kodeksu karnego we wszystkich niemal paragrafach przewiduje możliwość zastosowania „najwyższych środków obrony społecznej“, to jest rozstrzelania.

Artykuł ten zaczyna się od następującej ogólnej formuły: „Za kontrrewolucyjny uznaje się każdy czyn skierowany ku obaleniu, podważeniu lub osłabieniu władzy Rad Robotniczo-Włościańskich... rządów robotniczo-włościańskich ZSSR... lub do podważenia albo osłabienia bezpieczeństwa zewnętrznego ZSSR i podstawowych gospodarczych, politycznych i narodowych zdobyczy rewolucji proletariatu. Z mocy międzynarodowej solidarności interesów wszystkich pracujących takie czyny są uznane za kontrrewolucyjne również, gdy są one skierowane przeciwko jakiemukolwiek innemu państwu pracujących, chociażby nie wchodzącemu do Związku SSR“. Po przeczytaniu tego artykułu przestało mnie już interesować zagadnienie prawne, z jakiego tytułu jako Polak staję przed sądem sowieckim i z jakiego tytułu sędzia sowiecki dochodził okoliczności, związanych z moją pracą w Polsce i dla Polski.

Za chwilę przestałem się też zastanawiać, jak sąd będzie mógł uzasadniać „kontrrewolucyjność“ mojej działalności w stosunku do Związku Sowieckiego. Znalazłem na to odpowiedź w artykule 16: „Jeżeli ten czy inny czyn społecznie niebezpieczny nie jest wprost przewidziany przez kodeks, to podstawę i zakres odpowiedzialności zań określa się odpowiednio według tych artykułów kodeksu, które przewidują przestępstwo pod względem rodzaju najbardziej podobne“. Zrozumiałem wtedy, że obronę swego życia czy swej wolności muszę przeprowadzić na innej płaszczyźnie aniżeli prawa, gdyż według zasad, jakie obowiązują w Związku Sowieckim, można w drodze analogii każdy mój czyn podciągnąć

pod kwalifikację karną, jeśli tego będzie wymagało „bezpieczeństwo zewnętrzne“ ZSRRR.

Starale msię też zapoznać w ciągu paru godzin z procedurą karną, której będę podlegał. chwycilem przepis, który głosi, iż od chwili doręczenia mi aktu oskarżenia do daty rozprawy muszą upłynąć co najmniej trzy doby. Nauczyłem się już jednak podejrzliwości w więzieniu sowieckim na tyle, że nie zaufałem temu przepisowi i choć mąciło mi się w głowie od siły wrażeń i gąszczu paragrafów, a przede wszystkim szalonego zmęczenia, postanowiłem przygotować się do rozprawy, nie zwlekając. Zrobiłem dobrze. Już rankiem dnia następnego, to jest po upływie jednej tylko doby stanąłem przed sądem.

Zastanawiam się, po co lamano nawet ten skromny przepis proceduralny, który zabezpiecza oskarżonemu możność rozważenia swego losu na tle trzydziestu kilku olbrzymich tomów, zawierających historię jego „zbrodni“, i możność przygotowania się do obrony. Odpowiedź znajduję jedną tylko: oto zapowiedziany został przyjazd Mikołajczyka, który wspierany radą rządów W. Brytanii i USA decydował się osobiście przyjąć warunki dyktowane przez Rosję. Niedosć było władcom sowieckim, że były premier polski gotów był oddać połowę Polski w ich ręce i wziąć udział w „rządzie“ przez nich mianowanym w nieszczęsnym mniemaniu, iż ratuje tą drogą resztki niepodległości i biologiczną siłę narodu. Należało go jeszcze poniżyć w oczach społeczeństwa polskiego, całego świata i na pewno w jego własnych. Dla tego proces przywódców polskich, a wśród nich członków jego dawnego rządu i członków jego własnego stronnictwa, zainscenizowano w tym samym czasie, w którym Mikołajczyk był przyjmowany przez marszałka Stalina na Kremlu, w którym przyjmował toasty na cześć przyjaźni polsko-sowieckiej i podpisywał z Rosją układy. Gazety sowieckie pełne były na jednej stronie opisów zbrodni ministrów podziemnego Rządu Polskiego, na drugiej pełne zachwyty dla historycznej wagi porozumienia osiągniętego ze Stanisławem Mikołajczykiem. Dla tego efektu propagandowego warto było przyspieszyć proces o dwa dni i zignorować wymogi procedury karnej.

Szysowy to był trud przygotować się w tych warunkach do obrony. Nie wiedziałem, kto mnie będzie słuchał i czy mnie będzie słuchał. Nie wiedziałem, o co będę pytany i czy będę pytany. Nie wiedziałem też, czy będę zrozumiany, natomiast byłem pewny,

że nie będę mógł się posługiwać tłumaczem, który na mój rachunek mógłby mówić co chce — i nie to co ja myślę, ale co on mówi poszłoby pod rozwagę sądu, gorzej, pod rozwagę mojego społeczeństwa i opinii świata. Dlatego zdecydowałem się przygotować na piśmie kilka wariantów w przewidywaniu różnych możliwych sytuacji. Napisałem to najpierw po polsku, a następnie przy pomocy Umnowa tłumaczyłem na język rosyjski. Po raz pierwszy od trzydziestu lat stawiałem znowu samodzielnie „bukwy“ na papierze. Jakoś poszło. Około 3. w nocy następnego dnia ułożyłem się do snu.

Zbudzony zostałem rano przez oficera, który obejrzawszy mnie od stóp do głów zapowiedział, iż za godzinę wyjadę do sądu na rozprawę publiczną.

Sprowadzono mnie na podwórze więzienne, otoczono pierścieniem silnie uzbrojonych enkawudzystów. Czekał tam tym razem również „luksusowy“ samochód — wóz pancerny, wewnątrz podzielony na klatki. Do każdej z klatek wpuszczano kolejno po jednym z moich towarzyszy, a przed drzwiami ustawiał się jego anioł stróż. Miałem wrażenie, że wsadzono mnie do kasy pancernej, tak strzeżonej jak gdyby chodziło o największy skarb. Ładowaniu asystowało całe dowództwo więzienia i szereg innych dygnitarzy zdobnych w epolety i ordery.

Po kilku minutach jazdy samochód się zatrzymał, zaczęły zgrzytać zamki w stalowych płytach. „Anioł stróż“ w paradnym mundurze i białych rękawiczkach chwycił mnie za ramię i wyprowadził do hallu wspaniałego pałacu. Był on ongiś miejscem spotkań szlachty rosyjskiej, która tam często podejmowała carów. Po rewolucji oddany został na siedzibę zawodowych związków sowieckich. W kolumnowej sali tego pałacu, która pamiętała najświetniejsze bale arystokracji moskiewskiej, od czasu rewolucji bolszewickiej odbywały się z reguły wszystkie wielkie publiczne procesy, służące celom politycznym Związku Sowieckiego. Tu poskramiano wszystkie odchylenia ideologiczne takich wodzów rewolucji proletariackiej jak Bucharin, Rykow, Zinowiew i Kamieniew, tu też karano za „zdradę“ marszałków i dowódców sowieckich: Tuchaczewskiego, Jegorowa i Jakira. Tutaj miano również sądzić wybitnych przywódców narodów, których podbój zamierzali czerwoni carowie idąc śladami swych białych poprzedników.

Na zbliżające się przedstawienie ustawiono nas bardzo efektownie. Na czele kolumny kroczył pułkownik NKWD, szef wię-

zienia. Za nim szedł kapitan, chyba jego adiutant. Następnym był jeden z naszych towarzyszy, za nim jego strażnik w randze podoficera. Dalej sznurem postępowali pozostali oskarżeni, przedzielani każdorazowo przez swych aniołów stróżów. Pochód zamykał znowu jakiś oficer. Po obu stronach kolumny stały rzędy oddziałów NKWD w strojnych mundurach, w białych pasach, w białych rękawiczkach na rękach; u ich nóg karabiny z nasadzonymi bagnietami. Posuwaliśmy się po czerwonym, miękkim dywanie, na komendę wydawaną jak na paradzie, a z boku spoglądała na nas z tryumfem rzeźba, odtwarzająca w naturalnej wielkości postaci Lenina i Stalina złączone bratnim uściskiem.

Zaprowadzono nas najpierw do „prywatnych komnat“. Rozstawione tam były miękkie łóża z puchowymi poduszkami. Lekarze, służba sanitarna, kręcili się żwawo, dopytując czy nie potrzeba jakichś leków na wzmocnienie lub ból głowy. Pozwolono nam się ułożyć wygodnie, tych którzy nie zdążyli zjeść śniadań raczono obfitym pokarmem. Papierosów było *ad libitum*. Jeno przy każdym z nas czuwał przydzielony podoficer, nie zezwalając na jakąkolwiek wymianę słów.

Zadzwoniono. W tym samym co przedtem porządku pomaszlowaliśmy na salę sądową. Rozsadzono nas w specjalnym ogrodzeniu, ustawionym z boku na podium. Otoczono posterunkami NKWD, które trwały w postawie na baczność, co godzina tylko zmieniając wartość wśród szczęku broni i głośno wydawanej komendy. Nie była to jednak warta tylko od parady. W pewnym momencie dotknąłem boku jednego z moich towarzyszy, aby zwrócić uwagę na wsuniętą mu nieznacznie do kieszeni kartkę z paru słowami otuchy. Młody enkawudzista, pozornie pogrążony w swej dekoracyjnej funkcji, zauważył to jednak — nie wiem zgoła w jaki sposób. Doniósł komendantowi więzienia i miałem z tej przyczyny spore nieprzyjemności.

Piękna pałacowa sala kolumnowa zalana była światłem z olbrzymich kryształowych pajaków, gęsto zawieszonych u sufitu. Publiczność kontrolowana starannie u wejścia, zapełniała ją po brzegi pomimo wyznaczonego w takim pośpiechu terminu rozprawy. Wśród niej dominowały mundury wszystkich barw i rodzajów: szare, granatowe, czerwone, czarne, białe. Na ramionach błyszczały olbrzymie szlify srebrne lub złote, a na piersiach rzędem orderzy i gwiazdy. Odznak tych było tak wiele, że nieraz nie mieściły się na jednej bohaterskiej piersi — zwisały gdzieś aż u dolnej garderoby.

Okiem człowieka doświadczonego w życiu publicznym chwytalem też postacie korespondentów, których liczba wydawała mi się poważna. Rozpoznałem nawet jakieś twarze, które widywałem jeszcze w łoży prasowej Sejmu Rzeczypospolitej. Niektórzy uśmiechali się do mnie tak, jakby dodawali mi odwagi. Nie wiedziałem wtedy, że obok tych korespondentów na przedstawienie zaproszeni zostali przedstawiciele ambasad amerykańskiej, angielskiej, francuskiej, no i oczywiście przedstawiciele Komitetu Lubelskiego, który się już wówczas mianował Tymczasowym Rządem Polskim.

Zauważyłem natomiast dwóch osobników, którzy mieli tupet przyjsć w dawnych mundurach wyższych oficerów polskich. Czuli się na cali bardzo niepewnie, choć budzili powszechne zainteresowanie. Wiedziałem, że to nie mogli być prawdziwi polscy oficerowie — nawet twarze to wyrażały — a przecież wielki ból przeszył mi serce.

Na podium stał stół pokryty czerwonym suknem, przygotowany dla kompletu sądującego i oskarżających nas prokuratorów. Leżało na nim trzydzieści parę tomów akt starannie oprawnych, zapisanych drukiem maszynowym. Dwaj sekretarze w randze pułkowników pośpiesznie rozkładali materiały. Z boku siedziała grupa młodszych rangą prokuratorów do dyspozycji głównych oskarżycieli.

Wysoki, wąsaty pułkownik NKWD w czapce na głowie, w pasie i z szablą u boku pełnił niejako służbę komornika sądowego. W pewnym momencie wyprężył się, rękę podniósł do czoła i wydał komendę: „Sąd wchodzi, proszę wstać“.

Na salę wkroczył komplet sądujący Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSSR, złożony z dwóch generałów i dwóch pułkowników, z których jeden pełnił obowiązki sędziego zapasowego. Przewodniczył generał pułkownik W. Ulrych, prezes tego kolegium, znany w Rosji kat, który wysłał na tamten świat wiele tysięcy ludzi, wśród nich swych własnych towarzyszy i bliskich przyjaciół. Nikt by nie mógł go o to posądzać, sądząc z sylwetki. Zdawałoby się, że ten Niemiec z pochodzenia, mały, bardzo grubo, śmiesznie okrągły, łysy zupełnie, jowialny, nikomu krzywdy nie jest w stanie zrobić. Dobrotliwy uśmiech rzadko tylko zniżył mu z twarzy.

Za nimi weszli dwaj nasi oskarżyciele: generalny prokurator wojskowy Armii Czerwonej generał major N. Afanasjew i radca państwowy drugiej klasy R. Rudenko. Afanasjew ascetyczny, su-

rowy, inteligentny, Rudenko uprzejmy, sprytny, podchwytliwy i namiętny w oskarżeniu.

Na ławach obrończych zasiadło siedmiu adwokatów moskiewskich, dopuszczonych przez sąd dla reprezentowania interesów moich towarzyszy; pomiędzy nimi jako gwiazdę na firmamencie rosyjskim wymieniano Braudego. Okazało się, że prócz mnie także generał Okulicki i wicepremier Jankowski odmówili obrońców.

Rozprawę zaczęto, jak w każdym normalnym sądzie, od odczytania aktu oskarżenia. Omawiał on kolejno organizację podziemnych oddziałów zbrojnych Armii Krajowej na tyłach Armii Czerwonej, utworzenie podziemnej organizacji politycznej „Niepodległość“, działalność „terrorystyczno-dywersyjną“ i „szpiegowską“ tych organizacji, pracę stacji radiowych nadawczo-odbiorczych Armii Krajowej i polskiego rządu podziemnego, a wreszcie „plan przygotowania wystąpienia wojennego w bloku z Niemcami przeciw ZSSR“.

Za punkt wyjścia służyło oskarżycielom następujące określenie stanu faktycznego, które cytują dosłownie z aktu:

„W okresie okupacji niemieckiej na terytorium Polski, Litwy i zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi polski rząd emigracyjny utworzył podziemną organizację wojskową pod nazwą Armii Krajowej...“

„Współ z oskarżonym Okulickim pracą tej nielegalnej organizacji A. K. kierowali Jankowski, który tytułował się prezesem podziemnej Rady Ministrów, i jej ministrowie...“

„Jednocześnie na terytorium Polski utworzona została i działała nielegalna t. zw. Rada Jedności Narodowej, na której czele stał sekretarz generalny PPS, Pużak...“

„Oskarżony Okulicki i rząd podziemny mieli do swego rozporządzenia oddziały zbrojne, składy broni i amunicji, stacje radiowe nadawcze i odbiorcze, nielegalne drukarnie i zakonspirowane lokale...“.

W dalszym ciągu akt oskarżenia omawiał już tylko poszczególne fazy działania tych „nielegalnych“ organizacji pod okupacją sowiecką, prowadząc aż do końcowego wniosku, iż miały one służyć do współpracy z Niemcami i do wystąpienia we wspólnym z nimi bloku przeciw ZSRR.

W tym ponurym dokumencie odmalowane są z precyzją „zbrodnie“, jakie w ramach „nielegalnej“ organizacji zbrojnej i politycznej popełniało społeczeństwo polskie. Są więc kolejno przy-

taczane „spiski“, instrukcje z Londynu, które te „spiski“ organizowały, akty „terroru“ i „dywersji“, „sieć szpiegowską“ i praca stacyj radiowych nadawczo-odbiorczych. Na uzasadnienie tego przytacza akt oskarżenia „przyznania“ poszczególnych oskarżonych, a także i innych członków Armii Krajowej, osiągnięte w toku śledztwa.

Nie ma natomiast ani słowa usprawiedliwienia dla naczelnej tezy, że rząd działający na ziemiach polskich, jego organy polityczne i pozostająca pod jego komendą Armia Krajowa były organizacjami „nielegalnymi“. Można było wymusić przy pomocy wspaniałych swoich metod na oskarżonych czy świadkach, którzy także odpowiadali z więzienia, najfantastyczniejsze samooskarżenia. Nie można jednak było uzyskać od nich logicznego wyводу dla takiego pomysłu. Toteż zeznania oskarżonych z góry przesądzają fakt przynależności do „nielegalnej“ organizacji, ale nie zawierają ani słowa wytłumaczenia, skąd ich zdaniem Rząd Polski, który kierował walką narodu z najeźdźcą od dnia wypowiedzenia wojny, który był rządem uznawanym przez cały świat, był rządem nielegalnym i nielegalnymi były jego organy walki i rozkazy. Zeznania te nie zawierają też wyjaśnienia, na jakiej podstawie oskarżeni uznają swoją winę, polegającą jedynie na wykonaniu owych rozkazów.

Związek Sowiecki nie zdobył się nie tylko w akcie oskarżenia, ale i w ciągu całego przewodu sądowego na próbę sformułowania podstaw dla tego poglądu. Sądzę, że ze swego punktu widzenia postąpił najwłaściwiej. Bo gdyby tak zaczął rozwijać pogląd, że każdy ruch oporu przeciwko Niemcom w r. 1939 i dalej w latach 1940 i 1941, a wreszcie w okresie 1941—1945 ze strony Armii Krajowej był nielegalny, że stworzenie reprezentacji narodowej w postaci t.zw. Rady Jedności było na ziemiach wschodnich czy zachodnich Rzeczypospolitej tak samo aktem nielegalnym, musiałby nieuniknienie wywołać widmo współpracy sowiecko-niemieckiej na gruzach niepodległości Polski, przypieczerowanej aktem przymierza między Hitlerem i Stalinem. Tylko ten akt porozumienia państw rozbiorowych z r. 1939 usprawiedliwiał logicznie tezę oskarżenia, sformułowanego w Moskwie przeciwko przywódcom polskim w roku 1945. Wówczas jednak efekt propagandowy procesu mógłby wywołać całkowicie odmienne od zamierzonych echa w opinii świata.

Charakterystyczne też jest założenie aktu oskarżenia, iż połowa ziem polskich, położona na wschód od Bugu i za Sanem, sta-

nowi terytorium zachodnich obwodów Sowieckiej Ukrainy i Białorusi oraz Sowieckiej Republiki Litewskiej. Daje to podstawę do kwalifikowania wszelkiej działalności polskiej na tych terytoriach jako zamachu na całość ZSSR.

Także i tego poglądu „prawnego“ przedstawiciele sprawiedliwości sowieckiej nie próbowali ani rozwijać, ani uzasadniać. Wystarczyło im ustalenie faktyczne i ścisła kontrola nad oświadczeniami oskarżonych i świadków, aby mówiąc o ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej nie nazywali ich inaczej, jak tylko według nomenklatury przyjętej w akcie oskarżenia.

Rosja zdawała sobie dokładnie sprawę, iż mogłaby w tym wypadku powołać się jedynie na fakt zbrojnego opanowania tych ziem. Dopóki była w przymierzu z Hitlerem, dopóty mogło to być wystarczającą podstawą dla rozbioru Polski. Z chwilą gdy przeszła do obozu sprzymierzonych i przekreśliła pakt z Hitlerem, na uzasadnienie zaboru musiałaby powołać racje, ustalone zasadami międzynarodowego prawa i obyczajów. Takich racji nie miała. Budowała je sobie dopiero w opinii światowej w oparciu o pomoc, jaką jej w tej sprawie przyrzekli Prezydent Roosevelt i premier Churchill na konferencjach w Teheranie i Jaltcie. Proces moskiewski i równoczesne układy z Mikołajczykiem miały posłużyć dla upozorowania i wymuszania najsilniejszego dla Sowietów argumentu, jakim byłaby zgoda ze strony Narodu Polskiego. Dlatego też dbano pilnie, aby w ciągu przewodu sądowego nie padło ani słowo, które by mogło ten stan rzeczy zakwestionować.

Drugiego dnia rozpraw późnym wieczorem zostałem wzięty w krzyżowy ogień pytań prokuratora Afanasjewa. Zażądałem wtedy stwierdzenia, czy do aktu sprawy został dołączony referat, znaleziony u mnie przy rewizji. Okazało się, że Rudenko lojalnie spełnił obietnicę — przewodniczący okazał go sądowi i oskarżycielom. Wówczas powiedziałem: „... Jest w tym dokumencie, pisanym przeze mnie własnoręcznie i w czasie kiedy nie mogłem się liczyć z faktem aresztowania, dużo stwierdzeń nieprzyjemnych dla Związku Sowieckiego“. Tu generał-pułkownik Ulrych zmarszczył brwi i kiwając głową wtrącił: „*Da, da*“. — „Zajmuję w nim na przykład stanowisko, że w Traktacie Ryskim, zawartym dobrowolnie przez obie strony w 1921 r., wytyczono granice na zasadach kompromisu między Polską a Rosją i że Naród Polski nigdy nie zgodzi się na odstąpienie swych ziem wschodnich Sowieckiej Ukrainie czy Białorusi“. „Ale — ciągnąłem da-

lej — w tym dokumencie nie ma niczego, co by mogło wskazywać na wolę sabotowania wysiłków Armii Czerwonej w jej walce z Niemcami“.

Był to jedyny moment, w którym udało się publicznie w Moskwie wyrazić pogląd, będący własnością każdego Polaka. Wymazano to moje oświadczenie starannie ze wszystkich sprawozdań. Komisariat Ludowy Sprawiedliwości ZSSR wydał w różnych językach w olbrzymiej ilości egzemplarzy stenogram procesu moskiewskiego. Opuszczono w nim wszystko, co nie było wygodne dla polityki sowieckiej, między innymi opuszczono też ten ustęp z moich zeznań. Ale cenzor miał widać jakieś wyrzuty sumienia i wstawił przynajmniej w to miejsce trzy kropki.

Na tym tle można dopiero zrozumieć, w jak krzywym zwierciadle przedstawiał akt oskarżenia to, co się działo na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Rozpaczliwe akty buntu przeciwko przyłączeniu ich do Rosji zostały odmalowane jako współdziałanie z Niemcami, a ofiary w żołnierzach, jakie poniosła Czerwona Armia, zapisane zostały na rachunek walki o wyzwolenie Narodu Polskiego spod przemocy reakcji. Prokurator Afanasjew w swej namiętnej mowie powołał się tu na słowa Stalina:

„Armia Czerwona jest armią, która broni pokoju i przyjaźni między narodami wszystkich krajów. Utworzona została nie celem podbojów cudzych krajów, lecz po to, by bronić granic krajów rad. Armia Czerwona odnosiła się zawsze z szacunkiem do praw i niepodległości wszystkich narodów.

„I przeciwko tej oto bohaterskiej armii — oskarżał dalej generał Afanasjew — przeciwko armii wyzwolicielce — zwrócone były zbrodnicze plany podsądnych. Panowie ci, przekraczając wszelkie granice bezczelności i bezwstydu, pozwolili sobie nazwać Armię Czerwoną nowym okupantem...“.

Nie wspomniał natomiast oskarżyciel sowiecki ani słowem, jakimi pobudkami tłumaczyli swe wystąpienia zbrojne partyzanci polscy. Pobudki te można było wyczytać nawet w dokumentach i zeznaniach, przytaczanych przez akt oskarżenia. Aktów terroru — mówili świadkowie Łubikowski, Kolendo i inni — dokonaliśmy w nocy z 17 na 18 września 1944 r., jako demonstracyjnego protestu w rocznicę wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Polski*). Aresztowany w styczniu 1945 r. Pawłowski ze-

*) W nocy z 17 na 18 września 1939 r. wojska sowieckie rozpoczęły okupację ziem wschodnich Polski we współdziałaniu z armią niemiecką.

znawał, iż uzyskał od swego dowódcy odznaczenie i awans za akcję w rozbiciu oblawy sowieckiej, zmierzającej do wywiezienia ludności polskiej w głąb Rosji.

Tak samo cynicznie naświetlony został kontakt pomiędzy podziemnym Państwem Polskim i naczelnymi jego organami władzy w Londynie. Wszystko to była „akcja szpiegowska“. Raporty o niezliczonych gwałtach, jakie popełniali żołnierze sowieccy na polskiej ludności i jej mieniu, zakwalifikowano jako oszczerstwa, zmierzające do przyspieszenia wrogiej akcji imperialistów anglosaskich przeciwko „demokratycznej“ Rosji. W usta jednego z oskarżonych wsadzono nawet takie zdanie: „W celu fałszywego informowania rządu angielskiego i licząc na to, że skłonni się go do okazania bardziej czynnego poparcia londyńskiemu Rządowi Polskiemu, kierowaliśmy do Londynu informacje o charakterze oszczerzym“. Było to w czasie, gdy ze wszystkich zakątków ziemi polskiej rozlegały się rozpaczliwe wołania o pomoc. Dzieśiątki tysięcy ludzi, złapanych przypadkowo na drogach, wywożono do Rosji. Kobiety na ziemiach zachodnich Polski, gdzie „krasnoarmiejcom“ pozwolono pohulać swobodnie, gwałcone były masowo, dobytek rabowany, a sądy wojenne i policyjne ogłaszały raz po raz wyroki śmierci.

Najbardziej sensacyjnie brzmiała konkluzja. Wynikałoby z niej, iż po to Naród Polski odbudował w podziemiu swoje państwo i swoje siły zbrojne kiedy najeźdźcy zrabowali mu wolność, po to w pięcioletnich zmaganiach z okupantem hitlerowskim stracił miliony ofiar, aby następnie wesprzeć Niemcy w ich dążeniach do rewanżu i odbudowania na powrót ich światowej pozycji. Jakiż materiał faktyczny służył oskarżycielom do uzasadnienia tej tezy? Oto w czasie rewizji w zakonspirowanej siedzibie gen. Okulickiego znaleziono odpis jego pisma do komendanta zachodniego obszaru Armii Krajowej, w którym zawarte było takie naświetlenie sytuacji politycznej: „Przeżywamy ciężkie chwile. Nie osiągnęliśmy jeszcze dna kryzysu. Dopóki nie zakończy się wojna z Japonią, nie możemy liczyć na jakąkolwiek poprawę naszej sytuacji politycznej. Świat zachodni dążyć będzie do uzyskania pomocy Rosji w rozprawie z nieprzyjacielem i za tę cenę gotów jej będzie czynić dalsze koncesje. Potem dopiero przekona się, jak bardzo ZSRR swą potęgą i nieokiełzanym apetytem zagraża całej Europie, która drzeć będzie ze strachu. Dla przeciwstawienia się Sowietom Anglosasi zmuszeni będą do mobilizowania w tej Europie wszystkich sił. Zajmiemy wów-

czas na linii oporu czołowe miejsce, a w tym froncie nie zabraknie i Niemiec, kontrolowanych przez Anglososów.

Generał Okulicki w śledztwie, a potem i na rozprawie sądowej potwierdził fakt takiego sformułowania swej oceny położenia politycznego i przesłania jej jednemu ze swych podwładnych. Nie wystarczyło to sowieckim „sędziom“. Postanowiono jeszcze doszukać się w logicznych przeciw, i jak się okazuje, trafnych rozważaniach polskiego dowódcy inspiracji niemieckich.

Spreparowany protokół, z któregoś kolejnego badania Okulickiego w śledztwie, wygląda mniej więcej następująco:

Sędzia śledczy: „Kiedy Pan doszedł do przekonania o konieczności współpracy z Niemcami dla walki z ZSRR?“

Okulicki: „Byłem obecny w chwili, gdy parlamentariusze polscy wrócili z rozmów od dowódcy wojsk niemieckich oblegających Warszawę — generała von den Bacha. Składając sprawozdanie generałowi Borowi-Komorowskiemu o warunkach kapitulacji oświadczyli, iż von den Bach na pożegnanie powiedział im: Czas już skończyć wojnę polsko-niemiecką i odwrócić się wspólnym frontem przeciw niebezpieczeństwu bolszewickiemu. Powiedziałem wówczas do generała Bora-Komorowskiego: Może on ma i rację“.

Sędzia śledczy: „Co na to Bór-Komorowski?“

Okulicki: „Odpowiedział: chyba tak“.

Sędzia: „Z kim Pan jeszcze o tym rozmawiał?“

Okulicki: „Z moim następcą na wypadek aresztowania, pułkownikiem Rzepeckim“.

Sędzia śledczy: „Co powiedział Rzepecki?“

Okulicki: „Że mam zupełną rację“.

Uważny czytelnik może zauważyć, jak bardzo był spreparowany ten protokół. W zasadniczym pytaniu sędziego opuszczono tezę Okulickiego, iż Niemcy we froncie antybolszewickim będą kontrolowane przez Anglososów. Aprobatę jego poglądów miał wyrazić pułkownik Rzepecki, ten sam, którego później komunistyczny rząd w Polsce ulaskawił i dopuścił do łask jako szczerego „demokratę“, co wbrew generałowi Borowi-Komorowskiemu chciał Armię Krajową w latach 1944—1945 skierować na drogę współpracy z Rosją Sowiecką.

Wystarczyły jednak te polityczne, luźne uwagi gen. Okulickiego, aby wyrok, wydany przez Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższego Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, brzmiał w odnośnym ustępie jak następuje: „Kierownictwo rzą-

du podziemnego w Polsce i Armii Krajowej, prowadząc swoją wrogą wobec Związku Sowieckiego działalność, planowało utworzenie po zakończeniu wojny w Europie polsko-niemieckiego bloku wojennego, skierowanego swoim ostrzem przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Na początku r. 1945 Okulicki swymi dyrektywami nastawił lokalne organizacje Armii Krajowej na przygotowanie zbrojnego wystąpienia w bloku z Niemcami przeciwko Związkowi Sowieckiemu, licząc na to, że Niemcy będą dążyły do rewanżu, pożądanego dla polskiego rządu emigracyjnego“.

Po odczytaniu aktu oskarżenia generał-pułkownik Ulrych zapytywał oskarżonych kolejno, czy przyznają się do winy. Wszyscy potwierdzili już to, co odnotowane zostało już w akcie oskarżenia. Uważny obserwator mógłby należycie ocenić, z jakim trudem przyszło im to uczynić. Jeden z oskarżonych dodawał do formuły przyznania słowa: „Chciałbym podać pewne zastrzeżenia“, drugi mówił: „W zasadzie się przyznaję“, inny: „Przyznaję się w ramach swoich zeznań“. Były też usiłowania uwolnienia się od akceptacji zarzutów współpracy z Niemcami i zahaczenia wartości swych oświadczeń. Gdy przyszła na mnie kolej odpowiadać, miałem dzięki aktowi oskarżenia, który moje stanowisko już zaznaczył, zadanie ułatwione. Obróciłem się twarzą do sali, tak aby każdy mógł mnie dosłyszeć i aby oświadczenie moje przeniknęło poza mury sali sądowej: „Ja się do winy nie przyznaję“. Po szmerze, jaki powstał na sali, można było poznać, jak bardzo publiczność sowiecka nie jest przyzwyczajona do takich deklaracji.

Następnie rozpoczęto przesłuchiwanie poszczególnych oskarżonych. Trudno mi jest bardzo komentować je w szczegółach, boć szereg spośród tych ludzi przebywa dalej w Rosji, na Łubiance, czy gdzie indziej... Do obyczajów sprawiedliwości sowieckiej należą rewizje wyroków sądowych. U wszystkich narodów cywilizowanych rewizja procesu przeprowadzona być może jedynie na korzyść skazańca. W Rosji przeciwnie: z chwilą gdy upływa termin kary, przestępca polityczny, sądzony jest często ponownie i otrzymuje nowy wyrok, który zapowiada dalsze lata więzienia i katorgi. Dlatego powstrzymuję się od bardzo interesującej skąd inąd analizy oświadczeń zawartych w zeznaniach moich towarzyszy, jakie złożyli na rozprawie sądowej.

Pokwitowałem je w swojej mowie obrończej następującymi słowami: „Zgadzam się całkowicie z naszym oskarżycielem publicznym, że do oświadczeń politycznych składanych tutaj, na ławie

oskarżonych, nie należy przywiązywać żadnego znaczenia. Bo w istocie, cóż warte są te oświadczenia, gdy naprzeciw zasiada prokurator z trzema paragrafami śmierci...“.

Moi towarzysze próbowali niekiedy uchylić się z drogi, jaką wyznaczyły im stukilkudziesięciurazowe „badania“ w śledztwie. Ale nad tym czuwali już obaj prokuratorzy, a przede wszystkim sam generał-pułkownik Ulrych. Momentalnie odczytywano odpowiedni ustęp zeznania z protokółów i żądano potwierdzenia, że to zeznanie pochodziło rzeczywiście od oskarżonego. Próba oporu się kończyła. Zręczny i usłużny adwokat sowiecki podsuwał szybko obronę: „Czy podsądny uważa swą poprzednią działalność za błędną i, j a k z e z n a ł, za przestępczą?“.

Nie było łatwo znaleźć rozumową podstawę dla porzucenia i zerwania z przyjętym na ogół w śledztwie stanowiskiem przystosowania się do atmosfery procesu sowieckiego. Już do Moskwy wyjeżdżaliśmy w tym przekonaniu, że świat porzucił zasady uczciwości, prawa i honoru dla uzyskania jeno spokoju i wytchnienia. Kilkumiesięczny pobyt w więzieniu ten proces myślenia tylko pogłębił. Przemiany w psychice, utrata sił fizycznych, osłabienie krytycyzmu zrobiły ostatecznie swoje. W imię czego — pomyślał niejedyn — mam przybierać rolę Don Kiszota? Nie ma jednego promyka nadziei, jednego punktu oparcia dla takiego stanowiska.

Generał Okulicki próbował korzystać ze swoich praw, zakreślonych przepisami procedury karnej. Zażądał wezwania w charakterze świadków sześciu generałów i pułkowników, którzy byli jego bliskimi współpracownikami w Armii Krajowej. Aresztowani w różnym czasie znajdowali się wszyscy w rękach sowieckich. Ich zeznania, składane we własnej obronie, uznano jako materiał obciążający gen. Okulickiego i w odpisach zostały dołączone do akt sprawy. Z treścią tych zeznań Okulicki się nie zgadzał i chciał uzyskać ich wyjaśnienie w drodze bezpośredniej konfrontacji. Sąd Najwyższy powziął taką charakterystyczną decyzję: „Kulczyckiego, Kotowicza i Bitnera wezwać jako świadków na posiedzenie sądowe, natomiast odmówić wezwania pozostałych świadków, ponieważ Tumidajski i Świtalski nie zostali wykryci na terytorium Związku Sowieckiego, Filipkowski zaś został wysłany etapem do oddalonego obozu i znajduje się w drodze“. Znaczyło to, że Związek Sowiecki „zagubił“ po prostu dwóch swoich, wybitnych zresztą, więźniów w ciągu kilku tygodni, dzielących nasz proces od daty ich przesłuchania, którego proto-

kół załączony był w odpisie do akt sprawy. Trzeci biedak mazerował w tym czasie po jakichś bezkresach i nie można go było uchwycić.

Nie doszło też do zbadania i pozostałych trzech świadków. Przed zakończeniem rozprawy sąd ogłosił decyzję niewzywania ich, gdyż z powodu złej pogody nie widzi możliwości „przywiezienia ich do sądu ani dziś, ani nawet jutro“.

Przywieziono natomiast świadków, wskazanych przez prokuratorów. Pochodzili oni wszyscy, chyba bez wyjątku, ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Wszyscy też od dłuższego już czasu przebywali w więzieniach sowieckich. Nie trzeba się było o to ich pytać. Niespokojny wzrok, blade-woskowe twarze, wynędzniałe, drżące ciała wskazywały aż nadto dowodnie, co ci ludzie przeszli zanim kazano im składać w sali pałacu moskiewskiego swe oświadczenia. Na czole mieli wypisaną śmierć. Wyrok „wyższej miary obrony społecznej“ w stosunku do niejednego dołączony był już nawet do akt naszej sprawy.

Zaprezentowanie świadków było wyreżyserowane tak, jak w dobrym cyrku pokazuje się wytresowane zwierzęta. Przed oczami publiczności ukryta jest klatka, z której się zwierzynek wypuszcza na arenę. Tak samo za każdym razem komendant sali, pułkownik NKWD, na polecenie Ulrycha otwierał drzwi z końca sali i wpuszczał świadka, który robił pozory człowieka wolnego. Ani śladu straży przy nim. Na chwiejących nogach stawał przed stołem sędziowskim i wypowiadał zadaną lekcję.

Lekcję tę umiał na pamięć. Wypowiadał ją płynnie i bez wahania, nie miał żadnej wątpliwości, ani skrupułów. Ani przewodniczący sądu, ani prokurator nie miał z nimi najmniejszego kłopotu. Zakłopotanie powstawało jedynie wtedy, gdy oskarżyciel próbował przerwać wywody, które na jego nawet smak wydawały się zbędne, zbyt wyjaskrawione, lub za daleko idące w kajaniu się. Świadek bronił rozpaczliwie swego życia i sprzeciwiał się: „Panie Prokuratorze, ale ja przecież nie powiedziałem jeszcze tego, że...“. Gorączkowo ciągnął dalej opis swych „zbrodni“ i „haniebnych“ tendencji polskiego podziemia w stosunku do „wyzwolicielei“ sowieckich.

Najbardziej charakterystyczne były zeznania pierwszego ze świadków wprowadzonych na salę. Był to profesor Politechniki Lwowskiej, German. Odmalowywał barwnie przygotowania do zbrojnego powstania, jakie miało wybuchnąć w Polsce w lutym 1945 r. przeciw Związkowi Sowieckiemu. Dla tego powstania

miał do dyspozycji, według swych obliczeń, około trzech tysięcy ludzi, pięć do sześciu karabinów maszynowych i około trzystu strzelb. Przy pomocy tych sił zamierzał włączyć do Polski nie tylko ziemie zrabowane w r. 1939, ale ponadto i Białoruś z Połockiem oraz Ukrainę Sowiecką z Kijowem... Wszystko to według niego, było zamierzone i przygotowane na podstawie instrukcji, otrzymywanych od Rządu Polskiego począwszy od roku 1943. W czasie konfrontacji z gen. Okulickim okazało się, iż ten ostatni nie zna go wcale, z okręgiem stanisławowskim wskutek przesunięć linii frontu niemiecko-sowieckiego nie miał żadnej łączności i wobec tego o wydawaniu jakichkolwiek instrukcji nie mogło być w ogóle mowy.

W praktyce German mógł przytoczyć tylko fakt zamachu terrorystycznego na dwóch obywateli sowieckich i usiłowanie podpalenia siedziby agentury Komitetu Łubelskiego, która dopomagała władzom bolszewickim w „ewakuowaniu“ ludności polskiej z tantejszych terenów. Gdy Okulicki usiłował podkreślić brak jakiegokolwiek proporcji pomiędzy tymi faktami i planem zbrojnego powstania, generał-pułkownik Ulrych zwrócił się do niego ze złośliwym zapytaniem: „Czyż dla podsądnego było terroru za mało?“. Wywołał tym śmiech na sali.

Pokazano też innego świadka, niejakiego Stankiewicza. Ten znowu lubował się w ponurych opisach. Na żądanie Rudenki: „Proszę opowiedzieć o rozstrzeliwaniach i zabójstwach“ — opisywał z sadystyczną pasją, jak on sam i jego partyzancki oddział mordował na terenie Wileńszczyzny nie tylko żołnierzy, ale i sowieckich funkcjonariuszy rad wiejskich. Gdy mu na przeszkodzie stawały dzieci, i je na zimno mordował. Rannych dobijał, leżących kopał, także nad innymi się znęcał. Wszystkiego dokonywał na rozkaz władz Armii Krajowej. Aby nie było wątpliwości podtrzymywał twierdzenie, iż wiele rozkazów otrzymywał na piśmie.

Gdy Stankiewicz skończył swoje oświadczenie, wicepremier Jankowski zapytany został przez Ulrycha: „I to jest żołnierz Pańskiej Armii Krajowej?“. Jankowski odpowiedział natychmiast: „Nie, to jest bestia“. Rzeczywiście, metody sowieckie doprowadzają ludzi do przetwarzania się w bestie, zarówno w ich instynktach walki, jak i w dążeniu do zachowania swego nędznego życia.

Z kolei trzeba było odmalować oskarżonych jako zwykłych rabusiów. Dla tego celu kazano składać zeznania świadkowi Nie-

wiarowskiemu. Wstąpił on do oddziału partyzanckiego w rejonie Nowogródka w sierpniu 1944 r., a więc wówczas, kiedy wojska sowieckie ponownie znajdowały się na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, już od szeregu miesięcy. Gdy opisał obrazowo, w jaki sposób rozstrzeliwał własnoręcznie w owym czasie dwóch „partyzantów“ sowieckich, udzielił następnie prokuratorowi Rudence takich wyjaśnień:

Rudenko: „Co świadek wie jeszcze o działalności oddziału?“

Niewiarowski: „Oddział zajmował się grabieżą“.

Rudenko: „Kogo grabił?“

Niewiarowski: „Spokojnych obywateli, ludność cywilną“.

Rudenko: Proszę opowiedzieć, jak to było“.

Niewiarowski: „Nocą weszliśmy do wsi Maruliny, gdzie dokonaliśmy rabunku w domu Swiryda. Zabraliśmy dwie świnie, dwa pudy mąki i odzienie wojskowe“.

Rudenko: „Komu podlegał oddział świadka?“

Niewiarowski: „Nasz oddział podlegał byłemu Rządowi Polskiemu...“.

Galeria tych świadków wniosła na salę atmosferę ponurą. Widać było, jak się w niej męczył nawet przeciętny słuchacz sowiecki, przyzwyczajony do tego rodzaju widowisk. Uczucie obrzydzenia względem ludzkiego upodlenia mieszało się z litością dla żywych trupów, które wydobywają jeszcze z siebie głos, choć już z daleka cuchną. Ich przerażenie, gorączka, która ich toczyła — udzielały się całej sali. Było bardzo duszno i śmiertelnie cicho.

Dopiero pojawienie się przed stołem sędziowskim kobiety, Aliny Grolńskiej, wywołało odprężenie. Ot, rzekłbyś, strumień świeżego, wiosennego powietrza pozwolił niespodzianie, z ulgą odechnąć. Była to młoda, dwudziestodwuletnia dziewczyna, ongiś studentka Uniwersytetu Lwowskiego, a później z konieczności pracownica fabryczna. Aresztowano ją przy radioaparacie nadawczym dopiero w maju 1945 r., nie zdołała więc może jeszcze w ciągu miesiąca stracić wiele z przysłowiowego uroku lwowianek. Piękne, bujne, złociste włosy, związane z tyłu jakimś więziennym gałgankiem, podkreślały jeszcze jej urodę. Skromna, ale nie więzienna sukienka rysowała wdzięczne ruchy istoty naprawdę żywej. Kresowy akcent melodyjnego jej głosu dźwięczał przesłicznie w języku rosyjskim. I ona także wypowiedziała lekcję, ale zrobiła to w sposób godny. Mówiła tylko o sobie, ograniczyła się do rzeczowego przedstawienia swej pracy, nie kajała się w sposób poniżający.

Na sali dał się odczuć jakiś szacunek dla człowieka, może także zainteresowanie dla kobiety. Gdy z podniesionym czołem, kołysząc się lekko w biodrach, wracała pod straż, oczy wszystkich generałów, dyplomatów, korespondentów i pozostałej publiczności odprowadzały ją aż do chwili, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi. Nastąpiła niezarządzona przez nikogo przerwa w obradach.

Spośród działaczy politycznych, którzy siedzieli w więzieniach sowieckich, wezwano na rozprawę w charakterze świadka jednego tylko. Był nim Stanisław Działyński, z zawodu dziennikarz, wilnianin, który przez lata okupacji poświęcił się całkowicie walce o odzyskanie Wileńszczyzny dla Polski. Przyznawał on, iż niejednokrotnie dawał publicznie wyraz przekonaniu, że ludność zamieszkująca ziemie wschodnie żywi większą nienawiść do Związku Sowieckiego niż do Niemiec. Niemcy są przeciwnikiem, który już ginie, a Związek Sowiecki całą swą potęgą dąży do zabrania tych ziem na wieczne czasy. Przyjmował na siebie odpowiedzialność za te poglądy.

Wówczas Rudenko ustalił w drodze pytań, iż Działyński był przedstawicielem Stronnictwa Narodowego:

Rudenko: „Jak świadek może scharakteryzować tę organizację?“

Działyński: „To jest organizacja narodowa, polska“.

Rudenko: „Czyli faszystowska“.

Działyński: „Według mojej osobistej opinii jest to tylko hańbiące, zmyślane oskarżenie. Stronnictwo Narodowe stało na gruncie katolickim“.

Wówczas Rudenko natychmiast zamknął ten temat oświadczając, iż podsądni, przedstawiciele tego kierunku, charakteryzują go sami. Ostatnia z wypowiedzi Działyńskiego była jedyną w ciągu całego okresu badania świadków, która nie była przewidziana z góry.

Jak na ogół we wszystkich procesach politycznych w Rosji Sowieckiej, tak i w sprawie szesnastu przywódców Polski podziemnej oskarżenie nie przywiązywało wagi szczególnej do zeznań świadków. Po wysłuchaniu jedenastu spośród nich, prokuratorzy rzekli się dalszych jedenastu. Ci, których zbadano, nie mogli ze względu na swój poziom inteligencji i zakres działania wnieść wiele do sprawy, chociaż załamanie ich było niemal bez wyjątku całkowite.

Podstawą procesu moskiewskiego pozostają zawsze i niezmiennie oświadczenia samych oskarżonych. Z ich strony nie może

być już na publicznej rozprawie żadnych niespodzianek. Śledztwo nagromadzi po stu czy dwustu „przesłuchaniach“ taką ilość „materiału“, że można z niego wykroić każdą treść przydatną dla celów politycznych Związku Sowieckiego. Jest już tylko kwestią talentu krojczego, aby ukazała się ona w szacie najbardziej efektywnej.

Wydaje mi się, że nawet moje stanowisko, tak odbiegające od reguły, stanowiło w reżyserii procesu przywódców polskiego podziemia czynnik obliczony. W czerwcu 1945 r. Związek Sowiecki chciał jeszcze niekiedy, choć zawsze na cudzy rachunek, okazać się wobec świata wspaniałomyślnym. W szczególności mogło mu na tym zależeć w związku z toczącymi się równocześnie rozmowami z Mikołajczykiem o utworzenie t. zw. Rządu Tymczasowego. W koncepcji wyroku skazującego przewidywał już z góry „uniewinnienie“ kilku oskarżonych. Było mu też wygodnie wykazać się aż takim liberalizmem, który dopuszcza możliwość nieprzyznania się do winy przez jednego z oskarżonych. Ponieważ trwałem w uporze do końca, powiedziano sobie: „Niechaj tę rolę odegra Stypulkowski“. Gdyby im taka rola nie odpowiadała w całości widowiska, mieli mnóstwo sposobów, aby mnie w charakterze aktora nie dopuścić. Mogłem być na przykład chory... i wówczas mogli mnie osądzić później w „normalnym“ porządku administracyjnym.

Zdawałem sobie dokładnie z tego sprawę, jak w ogóle i z tego, że w procesie toczy się walka nie o wymiar sprawiedliwości, ale walka polityczna, w której potężny przeciwnik ma do dyspozycji NKWD, więzienia i wyrok śmierci, a ja tylko resztki swego charakteru i inteligencji. Nadto instynkt życia, tkwiący w człowieku, domagał się w tym momencie swych praw z uwielokrotnioną siłą. Moja postawa była wypadkową tych czynników.

Staralem się być przede wszystkim spokojny. Uśmiechałem się do sali, wywołując atmosferę przychylności, jaka się stamtąd ku mnie kierowała, lub na nią odpowiadając. Nie prowokowałem gestami czy miną sędziów ani prokuratorów. Nie upoważniałem także swymi słowami do traktowania mnie jako ofiary, nad którą się można bezkarnie znęcać — psychicznie zrobiłem wszystko, aby uchodzić za równego w prawach przeciwnika.

Zauważyłem wyraźną tendencję ukrycia prawdziwych okoliczności, towarzyszących naszemu aresztowaniu. Próbowano od Okulickiego wydobyć oświadczenie, iż rozwinięcie naszej działalności przestępczej przeciwko Związkowi Sowieckiemu uniemożli-

wione zostało „zwykłą metodą wywiadu“. Wobec tego parokrotnie wyjaśnienia swoje zaczynałem od słów: „Kiedy, jak sądziłem, jechałem na proszony obiad do marszałka Żukowa, a w rzeczywistości wieziono mnie do Moskwy na Łubiankę...“. Generał-pułkownik Ulrych zirytowany rzucił mi raz pytanie: „Kto Pana zapraszał do marszałka Żukowa?“.

— „Zaproszenie takie było nawet na piśmie, pochodziło od pułkownika gwardii Pimonowa, działającego z ramienia generała-pułkownika Iwanowa, i poparte było słowem oficera armii sowieckiej, gwarantującym bezpieczeństwo“ — odpowiedziałem.

— „Czy zdaniem Pańskim tacy oficerowie istnieją w ogóle w armii sowieckiej? Uległ Pan po prostu trikowi NKWD“ — tu generał roześmiał się jowialnie, a w ślad za nim śmiała się sala.

— „Nie wiem — były moje słowa — czy tacy oficerowie istnieją w korpusie sowieckim, czy też nie. Wiem natomiast, że narady na powyższy temat toczyły się w głównej kwaterze wojsk sowieckich i w asyście wielu wyższych szarżą oficerów, którzy treść tego pisma swą postawą i swymi słowami podkreślali. Jeśli w tych warunkach jest możliwe nabierać kogokolwiek na trik, używając do tego nazwiska o tak wielkim autorytecie, jakim jest nie tylko dla Rosji, ale i dla całego świata nazwisko marszałka Żukowa, jednego z głównych zwycięzców nad hitlerowskimi Niemcami — wówczas stwierdzam, iż taki trik będzie zawsze możliwy w jakichkolwiek stosunkach“. Sala przestała się śmiać, a wśród dygnitarzy wojskowych przysłuchujących się licznie rozprawie zauważyłem pewne poruszenie.

Generał Ulrych próbował też zbyć dowcipem moją obronę, opartą na wspomnianym już memoriale. Stanowiłby on dla każdego obiektywnego sądu nieodparty dowód, że odpowiedzialne podziemie polskie nie dążyło w r. 1945 do walki zbrojnej na tyłach ZSRR, uważając ją za beznadziejną i wyniszczającą jeno siły narodowe.

Ulrych zapytał: „Kiedy ten memoriał był pisany?“. Pisany był oczywiście przed aresztowaniem — ze stanowiska człowieka wolnego. Przewodniczący sądu zdobył się w tym miejscu na następującą uwagę: „Myśmy już dawno ocenili, że Pan jest sprytnym adwokatem. Jadąc do marszałka Żukowa na obiad przygotował sobie Pan ten memoriał do kieszeni, jako obronę na wypadek aresztowania“. Uwaga ta wywołała śmiech ogólny. Śmiałem się i ja. Był to dobry dowcip, który charakteryzuje wiernie

atmosferę zaufania, z jaką należy się odnosić do wszelkich pertraktacji ze Związkiem Sowieckim.

Odpowiedziałem: „Obywatelu-Generale, nieraz byłem w ciągu ubiegłych lat zagrożony aresztowaniem. Ale wówczas dla swej obrony nie siadałem do pisania memoriałów — natomiast z miejsca uciekałem. Doradzam to wszystkim ilekroć będą w niebezpieczeństwie“.

Swoje zasadnicze stanowisko wyłożyłem, gdy Ulrych udzielił mi głosu na równi z innymi adwokatami, obrońcami moich towarzyszy. Byłem pierwszy raz w życiu własnym adwokatem:

— „Obywatele sędziowie! Po sześciu latach przerwy, wywołanej najazdem germańskim, otwieram na nowo kancelarię adwokacką. Zaczynam od obrony we własnej sprawie, a to jest zawsze sprawa bardzo ciężka.

„Jako prawnik, doświadczony w obronach politycznych, dobrze rozumiem, jak słabo jestem w tym zakresie uzbrojony. Nie znam dobrze języka, którym przemawiam i w którym tylko wy mnie możecie wysłuchać. Nie znam dobrze artykułów prawa, według którego wy mnie będziecie sądzili, a co najważniejsze nie znam waszej psychiki, obywatele-sędziowie, i wy nie możecie znać mojej.

„Będąc adwokatem wiem, jak wielkie znaczenie dla prawidłowego wymiaru sprawiedliwości ma wzajemne zrozumienie pod sądowego i sędziów, dokładna znajomość ze strony tych ostatnich warunków życia i otoczenia, w jakich rozwijał się stan faktyczny, podlegający osądzeniu. Dam przykład, który to scharakteryzuje najlepiej.

„Ot tu, wśród publiczności, siedzi mój sędzia śledczy. Przyzna on, iż wiele nocy strawiliśmy nad rozwiązaniem zagadnienia mojej odpowiedzialności za wszystko, co czynił i jakie wydawał rozkazy Rząd Polski w Londynie, względnie jego delegat w kraju. Sędzia stał na stanowisku, iż będąc członkiem partii odpowiedzialność tę ponoszę — a jeśli się od niej uchylam, jeśli się do winy nie przyznaję, działam w zły wierze. Ja zaś broniłem poglądu, który jest powszechny i podstawowy w krajach zachodniej demokracji, że przynależność do jakiegoś stronnictwa nie przesądza wcale o odpowiedzialności za politykę rządu. W mojej ojczyźnie możliwe są stronnictwa, które mają pogląd odmienny od rządu, nawet politykę tego rządu zwalczają, uznając go równocześnie za rząd prawowity. W ten sposób przynależność do partii nie przesądza wcale o stanowisku moim względem takie-

go czy innego działania. Tym bardziej, nie może przesądzać o odpowiedzialności karnej za te akty. Było to bardzo trudne do zrozumienia dla mojego sędziego śledczego, który swoje poglądy kształtował w odmiennych warunkach. Ustrój polityczny Związku Sowieckiego oparty jest na istnieniu jednej partii, która położyła fundamenty pod jego obecną potęgę, która bierze odpowiedzialność wyłączną za rząd, bez której w Związku Sowieckim nic się stać nie może. Dlatego nie jestem pewien, czy i dziś sędzia śledczy mnie rozumie.

„Mam jednak w swej dyspozycji jedną potężną broń, niezawodną w obliczu wszystkich sądów, w których sprawiedliwość tryumfuje nad gwałtem. Jest nią wewnętrzne, głębokie przekonanie podsądnego o swej niewinności. Tą bronią może władać tylko osobiście oskarżony. Swe przekonanie wyraża oczami, postawą, gestem, własnym wreszcie słowem. Nie mógłby mnie w tym, jak wierzę, zastąpić najbardziej nawet utalentowany obrońca, jakiego chciano mi przydzielić. Nie rozumiałby on także i nie umiałby wyrazić mojej psychiki. Dlatego postanowiłem bronić się sam i dlatego stając przed wami chcę, abyście mnie odcyfrowali: „Oto stanął przed wami człowiek niewinny!“.

Przeszedłem następnie do omówienia stanu faktycznego skierowanego przeciwko mnie oskarżenia. Tu ustaliłem wyraźnie, iż odpowiedzialność nasza może się ograniczyć jedynie do okresu czasu pomiędzy wkroczeniem Armii Czerwonej na terytorium Polski, na którym rozwijała się działalność podziemna — a naszym aresztowaniem. Ściśle mówiąc, przedmiotem procesu w sądzie sowieckim mogły być tylko akty Polski podziemnej, dokonane w czasie od 17 stycznia do 28 marca 1945 roku. Moja poprzednia działalność, moje poglądy na sytuację w przyszłości, a już tym bardziej akty przeciwko armii sowieckiej w okresie, gdy siedzieliśmy w więzieniu w Moskwie, nie mogą mnie w żadnym wypadku obciążać. Uzasadniłem szczegółowo, iż nagromadzony materiał nie nosi cech, które by pozwalały na skazanie mnie za działalność sabotażową na tyłach Armii Czerwonej w chwili, gdy prowadziła ona walkę przeciwko Niemcom.

— „Pytam wreszcie, czy jest przestępstwem moja przynależność do Stronnictwa Narodowego? Jego postulaty są demokratyczno-narodowe. Reprezentuje ono od sześćdziesięciu lat jeden z podstawowych nurtów społeczeństwa. Ono to wskazało narodowi drogę do niepodległości, budując ją przede wszystkim na walce z zalewem niemieckim. Ono stanowić będzie podstawowo-

wy składnik każdego demokratycznego ustroju w Polsce. Należy do tej partii lat z górą 25 i nie może stanowić to żadnego przestępstwa w stosunku do ZSRR i w stosunku do jego Armii Czerwonej. Jeśli nawet byli w naszej partii tacy członkowie, którzy popełnili czyn karalny z punktu widzenia kodeksu karnego RFSRR, nie wskazuje to jeszcze na to, że moja przynależność do Stronnictwa Narodowego stanowi przestępstwo, przewidziane w artykule 58 punkt II kodeksu karnego, to jest o udział w zbrodniczej bandzie. Prokurator Rudenko wyręczył mnie zresztą w udowodnieniu tej tezy, skoro złożył sądowi wniosek o uniewinnienie niektórych moich kolegów — jednego z nich określając jako niewątpliwego członka tego samego stronnictwa...“.

Oburzyłem się, że można było postawić nam zarzut współpracy z Niemcami:

— „Pozwólcie, obywatele sędziowie, powiedzieć wam, że ponad martwą i częstokroć sztuczną literą prawa stoi piękne przez swą prawdę życie. Ono wydaje ostateczny wyrok w wielkich procesach społecznych, w których kręgu znaleźliśmy się. Musi to być zaobserwowane szczególnie tu, w Związku Sowieckim, gdzie sąd ma kodeksowe uprawnienia do interpretacji faktów zgodnie z ich naturą, bez potrzeby liczenia się ze sztywną formułą przepisów.

„Dla nikogo w Polsce nie jest tajemnicą, że w ciągu sześciu lat walki z Niemcami straciłem brata, straciłem szesnastoletniego wychowanka, którego uważałem za swojego drugiego syna. Poszukując mnie, Niemcy wzięli w charakterze zakładników i męczyli dwa lata w więzieniu matkę-staruszkę, żonę, bratową i służącą; los ich dotychczas nie jest mi znany. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że Niemcy zamordowali moich krewnych za mnie. Za mnie Niemcy trzymali w roku 1943—1944 w więzieniu mojego czternastoletniego syna, próbowali go wyprowadzić na ulicę Warszawy w celu publicznego rozstrzelania, a potem, jako zbyt młodego, odprowadzili z powrotem do celi. Niemcy obrabowali mnie i moją rodzinę ze wszystkiego, co zostało zapracowane ciężką pracą w ciągu całego naszego życia: zabrali wszystkie książki, nie zostawili nawet domowych gratów. W ciągu sześciu lat kryłem się po kątach i siedziałem w różnych obozach. Jak można podejrzewać mnie o to, że przygotowywałem się do zbrojnego wystąpienia w bloku z Niemcami przeciwko ZSRR wtedy, kiedy moja matka i żona znajdowały się jako męczennice w Niemczech? Jak można o to sądzić kolegów moich, z których szereg opuścił dopiero niedawno niemieckie obozy koncentracyjne? Czy może

wytrzymać krytykę jakiegokolwiek sformułowanie prawne takiego oskarżenia, choćby nawiązane było do nieszczęsnej prognozy przyszłych wydarzeń w Europie, której dał wyraz współtowarzysz podziemia, generał Okulicki — i tylko dlatego, że się z nim raz spotkałem?”.

Zakończyłem swoją obronę w ten sposób:

— „Dla tych względów nie przyznaję się do winy. Przede wszystkim jednak nie przyznaję się dlatego, że z różnych stron jestem namawiany, abym to uczynił. Według tutejszych praw i obyczajów — mówią — przyznanie się do winy jest uzasadnieniem dla daleko idącego złagodzenia kary, bądź nawet całkowitego jej darowania. Nie uczynię tego nie tylko dlatego, że szczerze czuję się niewinny — uważam, że gdybym, wbrew swemu sumieniu, raz ugiął się przed groźbą kary lub przed mocą potęgi, jaką Związek Sowiecki niewątpliwie reprezentuje, stopniowo stawałbym się niewolnikiem tej potęgi. A wówczas straciłbym nie tylko wszelkie warunki dla godnego reprezentowania interesów mojej ojczyzny, ale byłbym również złym partnerem dla rozmów ze Związkiem Sowieckim.

„Bo niewolnik całuje stopy, liże łapy i boi się swego pana, ale korzysta z pierwszych jego trudności, aby wbić mu noż w plecy i zdradzić go. Chcę pozostać wolnym człowiekiem, przynajmniej w swoim sumieniu, aby — jeśli wrócę kiedy do kraju — móc pracować nad usunięciem tych wielkich trudności, jakie jeszcze leżą na drodze do zbliżenia sąsiedzkiego polsko-rosyjskiego, zbliżenia, które niewątpliwie leży w interesie mojej ojczyzny.

„Proszę o uniewinnienie mnie“.

Panowała absolutna cisza, gdy skończyłem. Ciszę tę przerwał Bagiński, przywódca Stronnictwa Ludowego, który jeszcze w czasie ostatniej naszej rozmowy w Pruszkowie deklarował się tak wyraźnie jako mój przeciwnik polityczny. Zerwał się ze swego miejsca, przesunął ku mnie i nie zważając na sąd i straż, która nas otaczała, uściśnął i ucałował serdecznie. To samo zrobił drugi mój współtowarzysz, reprezentujący również przeciwne zupełnie poglądy. Było mi to bardzo miłe, służyło jako jeden dowód więcej, że między Polakami nie ma różnic w postawie moralnej względem sprawy narodowej. Są tylko odmienne temperamenty, jest różna skala charakteru i inteligencji, są wreszcie niejednakowe okoliczności, w których tę postawę się wyraża.

Inaczej obowiązki „adwokata“ ujęli w swych przemówieniach

obrońcy moskiewcy. Najwybitniejszy z nich, Braude, bronił dwóch moich kolegów, ministrów rządu podziemnego. Argumenty swe oparł na tym, że obaj jego mandatariusze „głęboko i szczerze odczuli swą winę i skrucę“, dlatego prosił o maksymalną pobłażliwość sądu.

Zarazem jednak złożył takie oświadczenie: „Jako człowiek sowiecki, jako adwokat nie mogę jeszcze powiedzieć jednego... Naród sowiecki doświadcza uczucia najgłębszego oburzenia, kiedy słyszy o zbrodniach, dokonywanych przeciw Armii Czerwonej, przeciwko Związkowi Sowieckiemu przez siedzących na ławie podsądnych, zgodnie z dyrektywami londyńskiego rządu emigracyjnego. Tej garstki polityków, zbankrutowanych macherów, nie wolno utożsamiać z polskim narodem.

„Aby przytoczyć niektóre argumenty, usprawiedliwiające konieczność większego pobłażania w stosunku do moich klientów, muszę uczynić kilka zastrzeżeń. Podsądny Okulicki nie chce przyznać, że sądzi się tutaj ludzi oskarżonych o konkretne zbrodnie. Usiłuje wszelkimi sposobami dowieść, że Armia Krajowa, którą dowodził, nie toczyła z Armią Czerwoną walki, co do której zostały tu przytoczone dostatecznie przekonywujące fakty. Ale my wiemy, że sprawa ma się inaczej“. — „Okulicki mówił tu o tym, że w swoim czasie mocno nie dowierzał Związkowi Sowieckiemu, że na skutek braku tego zaufania uważał, iż należy toczyć walkę ze Związkiem Sowieckim, aby zapewnić niepodległość Polski. Ale Naród Polski, wszyscy uczciwi ludzie w Polsce, nie mogą myśleć tak o narodzie sowieckim, który głęboko szanuje prawa i wolność innych narodów.

„Moi klienci zeznali tutaj, że ich punkt widzenia nie jest ten sam, co punkt widzenia Okulickiego“.

Jakże byłem szczęśliwy po wysłuchaniu tego przemówienia, że nie dałem nikomu z sowieckich adwokatów mandatu przemawiania w moim imieniu. Nie wiem, czy pomógłby w moim losie, wiem natomiast z pewnością, że zrobiłby wszystko, aby mnie poniżyć — czy to na rozkaz władzy sowieckiej, czy z własnego instynktu służalstwa.

Z pasją wypowiedziana była mowa generalnego prokuratora wojskowego Armii Czerwonej, Afanasjewa — z pasją i rutyną sowieckiego prokuratora.

Do rutyny należało powoływanie się na Stalina, jako na autorytet bezwzględny. Co najmniej parę razy musiał on być wymieniony jako wielki, genialny wódz naczelny armii sowieckiej i ca-

tego narodu sowieckiego. On też w ustach prokuratora jest gwarantem niepodległości Polski. Jego ustalenia stanowią dowód, któremu nie wolno przeciwstawiać niczego.

„Obecny proces sądowy — mówił Afanasjew — podsumowuje w pewnym sensie zbrodniczą działalność przedstawicieli reakcji polskiej, która walczyła w ciągu wielu lat przeciwko Związkowi Sowieckiemu i zaprzedała interesy swego narodu. O nich właśnie mówił następująco towarzysz Stalin przy podpisywaniu układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej pomiędzy Związkiem Sowieckim i Rzeczpospolitą Polską:

„Woleli prowadzić politykę gry pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim i naturalnie doigrali się... Polska została okupowana, jej niepodległość — zniesiona, a cała ta zgubna polityka umożliwiła wojskom niemieckim dotarcie aż do bram Moskwy. Rząd emigracyjny w Londynie i polskie podziemie w rzeczywistości nie chce nowej Polski, oni chcą Polski starej, tej, którą w czasie dwóch ostatnich wojen udało się Niemcom wykorzystać jako korytarz do najazdu na wschód i jako odskocznię do napaści na Związek Radziecki“. (Stalin).

Skoro się miało za sobą autorytet wypowiedzi marszałka Stalina, nie już nie stało na przeszkodzie wylaniu na głowy oskarżonych kubła pomyj. Jest to też niezbędny element każdej mowy oskarżycielskiej w sowieckim procesie politycznym.

„Zostaną — mówił o nas Afanasjew — wyrzuceni na śmietnisko historii, staną się symbolem hańby i nikczemności“. „Nie ma co mówić, ładni ministrowie i prezydenci, dowódcy i delegaci. To nie są działacze polityczni lecz zbrodnicza spółka. To organizatorzy zabójstw i dywersji, to spiskowcy, to oszczercy i prowokatorzy, to podli oszuści i złośliwi gwałciciele praw o ochronie tyłów Armii Czerwonej“.

Idea przewodnia mowy prokuratora wyrażała się w tezie, iż „położenie geograficzne i ekonomiczne Polski jest tego rodzaju, że musi albo żyć w przyjaźni ze Związkiem Sowieckim albo zawrzeć blok z Niemcami. Innej drogi nie ma i być nie może. Polskie podziemie, którym całkowicie kierował rząd emigracyjny, wybrało blok z Niemcami“.

„Kierownicy polskiego podziemia lekceważą sobie w ten sposób zbrodniczy żywotny interesy Narodu Polskiego“. — „Oskarżenie państwowe i sprawiedliwość sowiecka demaskując tutaj zbrodniczą politykę przedstawicieli starej reakcyjnej Polski, pomagają przez to samo nowej, demokratycznej Polsce“.

Ta „nowa, niezależna, demokratyczna Polska zmierza niezachwianie ku likwidacji dawnej, zgubnej polityki lawirowania pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim, zastąpiwszy ją polityką sojuszu ze swoim wielkim sąsiadem wschodnim. Na miejsce obcości i niechęci, rozpalanych wśród Słowian przez wrogów Słowiańszczyzny dla osłabiania ich siły, przyszła mocna przyjaźń i pomoc wzajemna“.

Bardzo delikatnie w owym jeszcze czasie wskazał oskarżyciel sowiecki na tych „wrogów Słowiańszczyzny“:

„Przez jakie kanały rozprowadzono robotę wywrotową przeciw Armii Czerwonej i Związkowi Sowieckiemu?“ — „Jak zeznał Okulicki, został on na rozkaz generała Sosnkowskiego przetrzucony do Polski w maju 1944 r. samolotem angielskiej wojennej floty lotniczej typu „Liberator“ z angielskiej wojennej bazy lotniczej, znajdującej się w rejonie Brindisi (Włochy)“. — „Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że wybór padł na Okulickiego nie przypadkowo i, jak to zostało ustalone w śledztwie, przetrzucenie Okulickiego do Polski w maju 1944 r. pozostawało w związku z wzmoczeniem walki przeciwko Armii Czerwonej“.

Najsilniej wypadły te akcenty kilkugodzinnego przemówienia, w których sowiecki generał mówił o Rosji. Słuchając go, można było dojść do przekonania, iż motorem jego pasji jest w większym o wiele stopniu duma z przynależności do Narodu Rosyjskiego, aniżeli założenia ideologiczne doktryny komunistycznej. Wielki Stalin jest jego wielkim carem. Partia bolszewicka — narzędziem działania, naród sowiecki — tylko określeniem, Armia Czerwona — dalszym ciągiem tej armii, jaka w swych dziejach zalewała już Europę.

„Dziś jeszcze zachowały swój majestat słowa poety Dzierżawina o Narodzie Rosyjskim: „*Po myślcam ty — nieutomimyj, po duchu — ty niepobiedimyj, po sercu — prost, po czustwu — dobr, ty w szczastiu tich, w nieszczastiu — bodr*“*) — wołał czerwony generał.

„Naród sowiecki w nieporównanych bitwach osiągnął nad hitlerowskimi Niemcami zwycięstwo wojenne, polityczne, ekonomicz-

*) *W mięśniach Ty niestrudzony,
W duchu niezwyknięty,
Sercem prosty,
W uczuciu dobry,
W szczęściu spokojny,
W nieszczęściu dzielny.*

ne i ideologiczne“. — „Państwo nasze wyszło z wojny jeszcze silniejsze i potężniejsze, aniżeli było na początku wojny“.

W tych warunkach prokurator Afanasjew uważał za rzecz możliwą nie domagać się dla nas najwyższego wymiaru kary. „I to nie tylko dlatego — dowodził — że zbrodniarze żałują popełnionych przez siebie zbrodni... i nie tylko dlatego, że działali według dyrektyw polskiego rządu emigracyjnego i, jeśli można się tak wyrazić, promieniowali w mroku polskiego podziemia nie swoim światłem, ale przede wszystkim dlatego... że kiedy zakończyliśmy zwycięsko tę najsprawiedliwszą ze wszystkich sprawiedliwych wojen i wróg został starty w proch, tacy ludzie, jak ci zbrodniarze, nie są już na tyle niebezpieczni, by stosować wobec nich taki wymiar kary, jak rozstrzelanie“.

Po „zbadaniu przedstawionych przez oskarżenie państwowe poszlak i dowodów z całą możliwą dokładnością i obiektywizmem, jak przystało na sąd sowiecki i sowiecką sprawiedliwość“, żądał naczelny prokurator wyroku:

„Na wyrok wasz, towarzysze sędziowie Sądu Najwyższego, czeka nasz naród, czeka cały świat. Wasz wyrok brzmieć będzie jak głos prawdziwej sprawiedliwości. Zabrzmi on równocześnie jak groźne ostrzeżenie dla wszystkich wrogów Związku Sowieckiego i całej postępowej ludzkości, dla tych wszystkich, którzy będą usiłowali swoją zbrodniczą ręką zachwiać przyjaźń Narodów sowieckiego i polskiego“.

Niewiele już dorzucił do tego oskarżenia prokurator Rudenko. Omąwiał on między innymi swoją winę, przy czym ku ogólnemu zdumieniu dokonał tego w sposób niezwykle umiarkowany. Padło nawet jakieś wyrażenie: — *My jewo uważajem*... — W konkluzji żądał dla mnie kary więzienia na krótszy okres czasu.

Charakterystyczne dla panujących obecnie w Rosji Sowieckiej stosunków było wzajemne odnoszenie się do siebie prokuratorów. Rudenko mówił o Afanasjewie: „Szanowny naczelny prokurator wojskowy Armii Czerwonej, generał-major towarzysz Afanasjew“. A Afanasjew za każdym razem mówiąc o Rudence wymieniał również wszystkie jego tytuły, no i oczywiście dodawał mu „towarzysza“. Przyzwyczajony w „reakcyjnej“ Polsce do tego, że do najwyższych nawet dostojników sądowych zwracałem się po prostu: „panie prokuratorze“, lub „panie sędzio“ dziwiłem się w duchu tej manii tytułów, która zapanowała w „demokratycznej“ Rosji.

Szczególnym poważaniem cieszyło się słowo „towarzysz“. Za-

uważyłem, że nawet nie wszyscy obrońcy mieli prawo do używania tego zwrotu pod adresem sędziów czy prokuratorów, zastępując go formą: „*graždanie*“ czyli: obywatele. Tytuł towarzysza, o czym na ogół nie wie się na Zachodzie, zastrzeżony jest tylko dla członków partii i może być stosowany tylko przez jej członków. Toteż i ja tytułowałem swoich prześladowców jako „*graždan*“. Wyznaję, nie robiło mi to większej przykrości, że nie są moimi towarzyszami i że nie należę do warstwy nowej arystokracji w świecie.

Zrobię tu małą dygresję. Kiedyś, już w Ambasadzie Polskiej w Moskwie, przysłuchiwałem się rozmowie telefonicznej, którą kierowniczką wydziału konsularnego prowadziła z urzędnikiem sowieckiego Komisarjatu Spraw Zagranicznych. Tytułowała swego rozmówcę per „*gaspadin*“. Byłem zdumiony tym reakcyjnym mianem, wyklętym ongiś z rewolucyjnego słownika. Uprzejmie zostałem poinformowany, iż przedstawiciele władzy sowieckiej obecnie bardzo ten tytuł lubią.

Trzy dni trwał ten pokazowy proces. O godzinie 4.30 rano czwartego dnia Najwyższy Sąd ZSRR ogłosił wyrok. Generał Okulicki, wice-premier Jankowski oraz ministrowie Bień i Jasiukowicz uznani zostali winnymi wrogiej działalności w zapleczu wojsk Związku Sowieckiego, jako organizatorzy i kierownicy polskiego podziemia. Sąd uznał za udowodnione, że planowali oni utworzenie polsko-niemieckiego bloku wojennego, skierowanego swoim ostrzem przeciwko Związkowi Sowieckiemu, z chwilą gdy wojna w Europie zostanie zakończona. Okulicki ponadto miał odpowiadać za działalność szpiegowską, prowadzoną na rzecz obcych mocarstw.

Ośmiu oskarżonych, w tej liczbie i mnie zwolniono z odpowiedzialności za kierowanie akcją sabotażową przeciwko Armii Czerwonej. Uznano nas jednak winnymi tego, że wiedząc o niej ukryliśmy to przed organami sowieckiego dowództwa wojskowego. Innymi słowy skazano nas za brak „*donosu*“. Jest to poważne przestępstwo w ramach sowieckiego kodeksu, karane zazwyczaj bardzo surowo.

Trzech spośród moich towarzyszy uniewinniono, gdyż wina ich, jako współników polskiego podziemia, „nie uzyskała w śledztwie sądowym dostatecznego potwierdzenia“. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, iż wszyscy oni zarówno w śledztwie, jak i na rozprawie przyznali się całkowicie do zarzuconych im przestępstw, kwalifikowanych przez kodeks jako zbrodnie, za które sankcją

jest kara śmierci. Ten fakt najlepiej chyba ilustruje niezbadane drogi, po jakich krąży sprawiedliwość sowiecka.

Generał Okulicki został skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności, wice-premier Jankowski na osiem lat, Bień i Jasiukowicz na pięć lat, Pużak na półtora roku, Bagiński na jeden rok, Zwierzyński na osiem miesięcy, Czarnowski na sześć miesięcy. Pozostali — a między nimi i ja — otrzymali karę po cztery miesiące pozbawienia wolności. Sąd Najwyższy ZSSR przy określeniu wymiaru kary dla oskarżonych powołał się na to, że w okresie przejścia do budownictwa pokojowego nie ma konieczności zastosowania kar surowszych aż do rozstrzelania wyłącznie, przewidzianych przez odpowiednie artykuły kodeksu karnego.

W ten sposób zakończył się historyczny proces szesnastu przywódców Narodu Polskiego, sądzonych sprawiedliwością sowiecką. Czy spełnił on zadanie polityczne, jakie mu zakreślili kierownicy Związku Radzieckiego? Sądzę, że tak.

Pierwsze wiadomości o tajemniczym zniknięciu delegacji polskiej potraktowane zostały przez opinię publiczną na Zachodzie z wielkim niedowierzaniem. Komunikat, podany w tej sprawie przez Polskie Ministerstwo Informacji za pośrednictwem agencji Reutera w dniu 7 kwietnia 1945 roku, a więc w dziesięć dni po udaniu się przez nas do głównej kwatery wojsk sowieckich, uznano nieomal za prowokację w stosunku do Związku Sowieckiego, potężnego sojusznika w walce o wolność narodów i prawa ludzkie.

Mijały dni i tygodnie, a los reprezentantów polskich wciąż nie był wyjaśniony. Świat zaczął się denerwować, niepokoić. Przyjaciele Polski coraz silniej, coraz bardziej stanowczo w parlamentach i prasie poczęli się domagać odpowiedzi, co się z nimi stało. Ambasador brytyjski w Moskwie otrzymał odpowiedź, że „sowiecki Komisariat Spraw Zagranicznych nic nie wie o żadnych rokowaniach między Rządem Sowieckim a adherentami Rządu Polskiego w Londynie“.

Dopiero dnia 4 maja 1945 roku Mołotow „napomknął mimochodem“ w San Francisco o aresztowaniu 16 przywódców politycznych pod zarzutem aktów dywersyjnych. Oświadczenie to było pierwszym wielkim wstrząsem, który naruszył zaufanie do Rosji Sowieckiej u szerokich mas, uczonych dotychczas przez niemądrą propagandę, że ich wschodni sprzymierzeniec jest uosobieniem nowoczesnej demokracji, heroldem postępu i obrońcą ludzkości. Mr. Eden zareagował odruchowo na obelgę, rzu-

coną w twarz potężnym mocarstwom zachodnim, tak jak przystało na przedstawiciela dumnego Albionu.

Mołotow znał jednak dobrze psychologię swoich partnerów, wiedział, że mirażem pokoju i spokoju uciszy falę wzbурzenia moralnego. 8 maja oświadczył w San Francisco: „Sojusznicy z powodzeniem rozwiązali sprawę jugosłowiańską, chociaż nie byli w stanie uczynić tego od razu. Ufam, że także kwestia polska będzie pomyślnie załatwiona. Rzecz główna leży w tym, by była załatwiona stosownie do życzeń Narodu Polskiego“. Straszliwy cynizm, jaki wionął z tego oświadczenia, zaczął przynosić zatrute owoce.

Do Moskwy pojechał osobisty wysłannik Prezydenta Roosevelta, Mr. Hopkins. Zaczął handlować naszą wolnością i naszymi głowami. Doszedł do porozumienia z marszałkiem Stalinem. Potężne mocarstwa przyjęły dyktat wodza sowieckiego, ogłoszony przezeń w dniu 18 maja w formie odpowiedzi na list korespondenta *Times'a*: „1) Aresztowanie w Polsce 16 Polaków ze znanym dywersantem Okulickim na czele, nie jest w żadnym wypadku związane z kwestią reorganizacji Polskiego Rządu Tymczasowego. Ci panowie zostali aresztowani na mocy prawa o zabezpieczeniu tyłów Armii Czerwonej, analogicznego do brytyjskiego prawa o obronie królewskiej... 2) Nie jest prawdą, że aresztowani Polacy zostali zaproszeni do rokowań z władzami sowieckimi...“. Marszałek Stalin, trzymając swe ofiary pod kluczem na Łubiance pouczał, jak rządy państw zachodnich mają wytłumaczyć swym obywatelom zamach na wolność i prawa suwerenne Narodu Polskiego. „Żelazne słowa“ Stalina nie śmia mieć w świecie przeciwdowodu.

Pozbywszy się trudności, jakie na drodze do realizacji jego planu stwarzali mu przywódcy polscy przez sam fakt swego istnienia, marszałek Stalin dyktował dalej: „Jestem zdania, że kwestia polska może być rozwiązana przez porozumienie się między sprzymierzeńcami na zasadzie wypełnienia następujących warunków: a) że przy mającej nastąpić reorganizacji Polskiego Rządu Tymczasowego (to jest agentów sowieckich, których Rosja za rząd uważała) ten ostatni będzie uznany za jądro przyszłego Polskiego Rządu Jedności Narodowej, analogicznie jak w Jugosławii, gdzie Narodowa Rada Wyzwolenia została uznana za zawiązek Zjednoczonego Rządu Jugosłowiańskiego;... c) że sprawa rekonstrukcji Polskiego Rządu Tymczasowego będzie zdecydowana przez Polaków, którzy mają obecnie łączność z Narodem

Polskim, a nie bez ich udziału". Obecnie łączność z Narodem Polskim mogli mieć już tylko ci Polacy, kórych wybrał sobie Stalin. Wszyscy inni w kraju nie mogli się ujawnić, bo zanim by ich głos był usłyszany, podzieliliby nasz los. Ci, którzy stanowili Rząd Polski w Londynie, zostali już z góry przez decyzje jałtańskie wyeliminowani.

Załatwiwszy w ten sposób istotę rzeczy, należało już tylko uspokoić wzburzoną opinię publiczną Zachodu. Temu celowi służył zainscenizowany proces. Świetni reżyserzy sowieccy liczyli na to, że przeciętny obywatel Anglii i Ameryki, Francji czy Belgii uspokoi swe sumienie, gdy usłyszy, że przywódcy polscy w obliczu sądu i na publicznej rozprawie przyznali się do winy. Miała zatem słuszność Rosja osadzając ich w więzieniu i karząc. Trzeba tylko podziwiać jej wielkoduszność, że wyroki nie były surowe, że Polaków nie pozbawiono życia.

Ponieważ ugoda w sprawie polskiej była już zawarta, żadnemu z miarodajnych czynników na Zachodzie nie zależało, aby rzucić światło na ponure zakamarki sowieckiej sprawiedliwości. Przeciwnie, nie chcąc drażnić niedźwiedzia, szukając usprawiedliwienia wobec własnego sumienia, przyjmowano chętnie argumenty, podsuwane przez Związek Sowiecki w postaci sprawozdań z procesu moskiewskiego.

Prpaganada sowiecka poświęciła tym sprawozdaniom wiele wysiłku. Wydano w szeregu językach i w wielkich nakładach grube tomy, zawierające pozornie nawet stenogram z całego przebiegu rozprawy. Stenogram ten w 85—90% jest ścisły. Wymazano z niego starannie to tylko, co mogłoby nasuwać u czytelnika refleksje niekorzystne, a co przedostało się na salę sądową wbrew woli reżyserów. Dlatego nie ma w nim momentów naswietlających zgodnie z prawdą wstępnych rozmów polsko-sowieckich, okoliczności, w jakich zostaliśmy zaproszeni do marszałka Żukowa, wszystkiego, co mówiło o olbrzymim wysiłku polskiego podziemia w walce z Niemcami. Także i postawa poszczególnych oskarżonych została zniekształcona przez usunięcie z tekstu ich oświadczeń ustępów, które nie odpowiadały założeniom procesu. Aby zachować ciągłość tych oświadczeń, wstawiono tu i ówdzie zdania, które nigdy nie były wypowiedziane, lub przekreślono odpowiednio pewne ustępy. W ten sposób udostępniono szerokim masom materiał mający pozorne cechy autentyczności, mogący służyć za wzór demokratycznego, a pobłażliwego wymiaru sprawiedliwości.

Napróżno Rząd Polski w Londynie apelował do opinii świata w swym komunikacie z 20 czerwca: „Opinia świata, która zachowała w pamięci wielkie procesy propagandowe w Moskwie w latach 1936-38 przeciwko członkom rządu sowieckiego oraz działaczom komunistycznym, osądzi w sposób właściwy obecny proces propagandowy przeciwko demokratycznym przywódcom polskiego ruchu podziemnego. Tajemnica przyznawania się niektórych oskarżonych do niepopelnionych czynów nie będzie zapewne wyjaśniona, tak jak nikt nie wyjaśnił dotychczas tajemnicy samooskarżeń w poprzednich procesach“.

Tego samego dnia, 20 czerwca, rząd sowiecki zbierał owoce swej dobrze przemyślanej akcji. Formował za zgodą mocarstw zachodnich „rząd polski“ spośród tych, „którzy mają obecnie łączność z Narodem Polskim“. Do ich rzędu włączył też byłego premiera Mikołajczyka — jak się okazało na pewien, z góry określony czas — aby zachować w tej przebiegłej grze pozory. Jak dalece zdołał oszukać opinię publiczną, wskazują na to ówczesne głosy prasy zachodniej. O toczącym się równocześnie procesie zaczęto pisać już w tonie tak zwanego „obiektywizmu“ — gdzieś niedziele znajdowano usprawiedliwienie dla racji stanu, która zmusiła Rosję do wyaresztowania polskich przywódców. Tak np. w dn. 22 czerwca czytamy we wstępnym artykule „Times'a“: „... Trzech spośród oskarżonych uniewinniono. Większość pozostałych z gen. Okulickim na czele, przyznało się w różnym stopniu do udziału w akcji sabotażowej ruchu podziemnego przeciwko Armii Czerwonej na podstawie dyrektyw otrzymanych od Rządu Polskiego w Londynie. Nic w tych zeznaniach nie stanowi niespodzianki dla tych, którzy z niepokojem obserwowali wzrastającą antyrosyjską działalność agentów polskich tu i gdzie indziej w ciągu ostatnich 12-tu miesięcy“.

Natomiast po utworzeniu w Moskwie „Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej“ uderzono w wielki dzwon. *Daily Express* pisał: „Porozumienie w sprawie polskiej jest wspaniałym ułatwieniem w rozwiązaniu problemów międzynarodowych w Europie powojennej. Przynosi ono wielką zachętę dla tych wszystkich, którzy pracowali z cierpliwością nad wprowadzeniem w życie konferencji jałtańskiej. *New Chronicle* perorowała: „W ten sposób został szczęśliwie rozwiązany największy i najbardziej krytyczny z licznych problemów, powstałych po likwidacji nazizmu“. Także i *Daily Telegraph* był zdania, że „przez zawarcie porozumienia pomiędzy przywódcami polskimi, zebranymi w Moskwie, rodzi się

nadzieja na późniejsze wyrównanie wszystkich różnic, stanowiących niebezpieczeństwo dla powrotu Europy Wschodniej do stanu równowagi“.

Zebrano rzeczywiście przywódców polskich w Moskwie — jednych, prawdziwych, w więzieniu na Łubiance — drugich, fikcyjnych, na Kremlu. Pierwszych po to, aby ich zmiażdżyć i poniżyć, drugich, aby przy ich pomocy rządzić Polską i wysunąć macki komunizmu daleko na Zachód. Pierwszych sądzono w tym czasie, gdy drugich wyposażono we władzę. Był to szczytowy znak tryumfu cynizmu i gwałtu nad wolnością i prawem. Krótkowzroczna polityka rządów mocarstw zachodnich i ówczesny brak silnej opinii w ich społeczeństwach przyczyniły się w znacznym stopniu do tego tryumfu. Płacą za to dziś swą wolnością przywódcy polscy, płaci Naród Polski niezmiernym cierpieniem. Płaci świat cały powszechnym niepokojem i groźbą nowego kaktlizmu.

IX.

Karę odbywałem w tym samym więzieniu na Łubiance. Obrońcy moich towarzyszy dowodzili, iż wyrok nosi tylko charakter formalny i będziemy w najbliższym czasie wypuszczeni na wolność na podstawie amnestii. Napomknęli przy tym coś niecoś o rokowaniach, które się toczą w Moskwie i mają przynieść całkowitą zmianę położenia w Polsce. Uważałem za logiczne, że w tych warunkach mam szansę powrotu do życia. Nie trzeba dodawać, że pragnąłem tego całą duszą.

W kilka dni po rozprawie kazano mi zabrać z sobą rzeczy i wyjść na korytarz. Zostałem tam także kilku innych moich towarzyszy. Przez moment wydawało mi się, że upragniona chwila wolności nadeszła. Było to jednak tylko złudzenie, które niebawem się rozproszyło. Przeniesiono tylko ośmiu spośród nas do wspólnej celi.

Nikt się już nami więcej nie interesował. Próżne były nasze prośby o jakikolwiek kontakt z „władzą“. Pozwolono nam napisać listy do rodzin, ale i te, jak się okazało, nigdy nie doszły do adresatów. Natomiast dostawaliśmy pożywienie co najmniej dwukrotnie lepsze, aniżeli w okresie śledztwa. Mogliśmy spać w godzinach dla snu przeznaczonych bez obawy, że nam ktoś będzie w tym przeszkadzał, mogliśmy też we śnie przyjmować dowolną pozycję i z trzymania rąk pod kołdrą nikt kwestii nie robił. Nie było to już potrzebne jako narzędzie wydobycia od oskarżonych „prawdy“.

Zastanawialiśmy się w swym gronie często nad tym, gdzie znajdują się pozostali nasi towarzysze: Jankowski, Okulicki, Bień i Jasiukowicz, skazani na wieloletnie kary więzienia. Aż pewnego razu strażnik pomylił okulary, które co rano oddawano kolegom moim do czytania, a co wieczór znów je zabierano. Rozpoznaliśmy w nich binokle Jankowskiego i stąd wyciągnęliśmy radosny wniosek, iż nie wysłano ich dalej w głąb Rosji, gdzie szanse przetrwania byłyby prawdopodobnie znacznie mniejsze.

Dużo serdecznych myśli poświęcaliśmy koledze naszemu Pajdakowi, który nie został dostawiony na rozprawę. Panowało przekonanie, iż nie żyje, gdyż trudno było przypuścić, by dla zwykłej choroby Związek Sowiecki decydował się na powtórny publiczną rozprawę z całym nakładem pracy i wysiłku propagandowego, jakiego to wymagało. O ile mam ściśle wiadomości, Pajdak żyje jednak. Związek Sowiecki nie miał, zdaje się, aż takich skrupułów prawnych, aby dla niego powtarzać proces publiczny. Osądzono go pewno w zwykłym porządku administracyjnym, gdyż o nowym procesie świat już niczego nie słyszał.

Szybko minął mi okres odbywania kary. Poświęciłem go dalszym studiom języka rosyjskiego i literaturze sowieckiej. Niezmiernie też pożyteczna była wymiana myśli z towarzyszami niedoli. Byli między nimi ludzie najrozmaitszych przekonań: socjaliści, ludowcy, demokraci, chrześcijańscy demokraci i przedstawiciele obozu narodowego. Różniły ich nie tylko poglądy polityczne, ale w większym jeszcze stopniu temperamenty, wiek, przeżycia, no i oczywiście charaktery. Gdy się to wszystko zewrze na przeciąg paru choćby miesięcy w jednym małym pokoju hermetycznie zamkniętym, okazuje się dopiero, jak mało stosunkowo na współżyciu ludzkim odbijają się wielkie zagadnienia i wielkie różnice. Jak wielką natomiast zaczynają grać rolę maleńkie, drobne przyzwyczajenia, ambicje, zadrążnienia. To grono ludzi było sobie nawzajem szczerze i głęboko oddane. Zależnie od temperamentu i optymizmu życiowego widziało przyszłość swoją, a przede wszystkim przyszłość Kraju w jaśniejszych lub ciemniejszych barwach, ale zawsze budowaną na tych samych pierwiastkach patriotycznych i solidarności wysiłku. Spory natomiast zaczynały się dokoła kwestii rozdziału pudełka zapalek przydzielonego na celę palaczom, lub miejsca pod stołem na kapelusze, płaszcz czy „zapasy“ żywności na czarną godzinę. Spory te bynajmniej nie były wynikiem przedziałów partyjnych...

Pewnego razu przyniesiono nam na śniadanie po pół kubka kompotu. Było to wydarzenie tak wielkiej wagi, że kryło w sobie coś więcej aniżeli słodycz cukru, którego tak brakło organizmowi. Istotnie, zaraz po śniadaniu zjawił się kapitan NKWD i wywołał nazwiska czterech spośród nas, którym termin odbywania kary skończył się już przed trzema dniami. Nie pozwolił nawet uścisnąć dłoni pozostałym towarzyszom. W biurze komendanta więzienia wysłuchaliśmy w postawie stojącej werdyktu zakończonego słowami: „*Oswobodit*“. Następnie pułkow-

nik poinformował nas, iż „budietie prodany w polskoje posolstwo“.

Wśród mieszanego uczucia: nadziei na szybkie odzyskanie wolności i strachu, co oznaczać ma przekazanie nas polskiemu poselstwu, szyłem kapelusz popruty ongiś przy pierwszej rewizji, doprowadzałem do jakiegoś takiego porządku skarpetki i siłą wsadzałem zapuchnięte nogi w swoje cywilne buty. Fryzjer golił mnie pośpiesznie i zakropił znowu twarz „*duchami*“. Funkcjonariusze NKWD zebrali raz jeszcze dane o moim pochodzeniu „burżuazyjnym“ i utrwalali na papierze przy pomocy tuszu ślady palców, dłoni i ramienia aż po łokcie. Pozowałem też do fotografii niezliczoną ilość razy. W końcu wydano mi w porządku wszystkie moje papiery, dokumenty i pieniądze.

Gdy te wszystkie czynności przygotowawcze ukończono, stanąłem przede mną na baczność cywilny agent i w uprzejmej formie poprosił, abym udał się w ślad za nim. Minąłem korytarze, jakiegoś podwórza i bocznymi drzwiami wyszedłem na ulicę. Piękna, błyszcząca limuzyna czekała już na mnie i trzech moich towarzyszy. Agent siadł na przodzie i wskazywał szoferowi drogę. W ten sposób zajechaliśmy przed gmach dawnej Ambasady Polskiej, służący obecnie warszawskiej administracji. Drzwiczki otworzył agent w półukłonie i wskazując na dzwonek w murze, pożegnał nas słowami: „Proszę tutaj zadzwonić. Ja nie mam prawa, ponieważ budynek Ambasady jest eksterytorialny“.

Stary kamerdyner otworzył drzwi i spytał: „Panowie do kogo?“. Zdziwienie na twarzy odźwiernego było zupełnie usprawiedliwione. Ziemistym wyglądem twarzy, oryginalną fryzurą, którą przystrzygiwano tylko na szyi, sumiastym wąsem i zawiniątkiem więziennym pod pachą nie przypominałem w żadnym razie dyplomaty, składającego wizyty w ambasadzie. „My z więzienia — NKWD skierowało nas tutaj“. Poruszony starszek zaprowadził nas niezwłocznie do sekretariatu pana ambasadora. Na stole leżały gazety warszawskie. Czekając na audiencję pograżyliśmy się w nich całkowicie. „Boże, co za zmiany! — wykrzykiwał ludowiec Mierzwa — Roosevelt nie żyje, Churchill ustąpił, socjaliści rządzą w Anglii. Mikołajczyk w Rządzie Polskim. Moja żona była aresztowana, ale jest zwolniona z więzienia. Czytam, że była matką chrzestną sztandaru ofiarowanego wojsku przez Ziemię Krakowską!“.

Przyjął nas chargé d'affaires Matwin, w zastępstwie ambasadora Modzelewskiego, który wyjechał do Polski. Dał na wstę-

pie obraz przemian, jakie zaszły w kraju i na świecie, gdyśmy siedzieli za kratami. „W Polsce nastąpiło całkowite uspokojenie stosunków — ciągnął — niejednego z Panów czekają stanowiska ministerialne“. Tu spojrział na mnie i dodał: „Pana jednak, Panie Stypułkowski, to nie dotyczy“. Uśmiechnąłem się, a w duchu byłem zadowolony, że przynajmniej takich propozycji nie będę potrzebował oczekiwać. „Możecie spokojnie wracać, nie sądzę, aby wam coś groziło. Zaczekacie tylko kilka dni w Moskwie, aż wyrobimy dla Panów odpowiednie papiery. Tymczasem będziecie korzystali z apartamentów naszego poselstwa“. Zwróciliśmy się do niego bezzwłocznie z apelem o ulżenie doli naszych kolegów, którzy pozostali w więzieniu. „Rząd myśli o tym, czekamy jednak na odpowiedni moment. W tej chwili stosunki ze Związkiem Sowieckim są nieco naprężone“ — odpowiedział bez zająknięcia.

Kasa ambasady wymieniła nam złote polskie na sowieckie ruble podług urzędowego ówczesnego kursu jeden za jeden. Zupełnie przypadkowo, idąc na śniadanie do Żukowa, miałem przy sobie około ośmiu tysięcy złotych. Było to rezultatem zabawnej sceny. Jeden z moich znajomych, poinformowany o toczących się rozmowach polsko-sowieckich, zaprosił mnie w przeddzień aresztowania na śniadanie do małej restauracji, schowanej w lesie podwarszawskim. Podchmielił się przy tym nieco i wówczas zaczął się zalić, iż tak mało wniósł swego osobistego wkładu w sprawę publiczną. Wyjął garść pieniędzy i siłą wsunął mi ją do kieszeni. Nie należy się opierać pijakom, pomyślałem sobie, oddam mu te pieniądze później. Powędrowały one ze mną nieoczekiwanie do Moskwy i ułatwiły w ten sposób spędzenie w sowieckiej stolicy paru tygodni.

Osiem tysięcy złotych reprezentowało w Polsce wartość trzydziestu—czterdziestu dolarów najwyżej. Osiem tysięcy rubli stanowiło według urzędowego kursu w Rosji parę tysięcy dolarów. Tak oto można w jednej chwili zrobić w tym zwiariowanym świecie „majątek“ z okazji przymusowej wizyty w Moskwie.

Uporządkowałem jako tako swą garderobę, a po otrzymaniu tymczasowych dokumentów z ambasady udałem się ze Stanisławem Mierzwą na obiad do hotelu „Moskwa“. Wydawało mi się, że śnię: przecież przed paru jeszcze godzinami piłem w celi jakiś niewyraźny płyn z rozgotowanymi liśćmi kapusty i smętnie rozważałem, czy w ogóle kiedyś znajdę się na wolności. Przed

godziną jeszcze wydawało się, że z więzienia sowieckiego przewiozą mnie wprost do gorszego może zamknięcia w jednej z piwnic ruin warszawskich. Teraz siedziałem w miękkim fotelu przy stole pokrytym białym obrusem — w jednej z najbardziej luksusowych restauracji w Europie. Gęsto i ze smakiem rozstawiona zieleń na szczycie drapacza chmur dawała wrażenie zaczarowanego ogrodu. Na niebie, lekko pokrytym mgłą, świecił sierpem księżyc. U podnóża wiała się wstęga rzeki Moskwy. Z dala rysowały się kontury Kremla. Orkiestra grała lekkie walczyki wiedeńskie. Dokoła uwijali się bezszelestnie kelnerzy w białych kitlach.

„Niechaj Pan staluje, ja się na tych luksusach nie znam“ — powiedział do mnie żartem przywódca chłopski, Mierzwa. Wybierałem z myślą o naszych wydelikacowanych żołądkach. Wzięliśmy najpierw trochę ziarnistego kawioru, potem pularde w majonezie, skromny befszytk z polędwicy i na zakończenie szparagi. Wypiliśmy po parę kieliszków koniaku i butelkę czerwonego wina. Rachunek doprowadził nas do równowagi. Uczta kosztowała tysiąc czterysta rubli. Nie taki jestem znowu bogaty, jak mi się przed chwilą wydawało.

Siła wrażeń, ból opuchniętych nóg, które sforsowałem chodzeniem, a może i zbyt obfite pożywienie przyczyniły się do tego, iż pierwszej nocy nie zmrużyłem oka. Rankiem udałem się na poszukiwanie fryzjera. W reprezentacyjnej części miasta było ich wielu, w każdym jednak zakładzie czekał na swą kolej długi ogonek klientów. Uderzyło mnie zachowanie się oczekujących. Nikt z sobą nie rozmawiał, nikt nic nie czytał, trwając godzinę lub dwie w bezruchu. Fryzjerami były wyłącznie kobiety. Praca ich w zestawieniu z tym, co przywykłem widzieć u siebie w kraju, była bardzo powolna. Dostałem się w ręce przyjemnej, trzydziestoparoletniej niewiasty, Katia jej było na imię. Ponieważ miała wiele roboty, aby doprowadzić mnie do jako tako ludzkiego wyglądu, przeto po paru minutach rozpocząłem z nią dyskurs.

— „Powiedz mi, Katiuchna, dlaczego ta twoja koleżanka z prawej strony tak długo goli swego klienta. Przecież trwa to już blisko trzy kwadransy, a tyłu ludzi czeka?“

— „Goli ona przystojnego chłopaka, który się jej podoba, toteż korzysta z okazji, aby go pogłaskać po twarzy i pogłodzić po włosach. Do czego się ona ma śpieszyć, przecież i tak więcej nie

zarobi, jak te swoje dwieście pięćdziesiąt rubli na miesiąc, niech więc ma przy tym też swoją przyjemność“.

— „No dobrze, ale ten klient traci dużo czasu. Mój fryzjer w Warszawie starał się przynajmniej nadrobić to w ten sposób, że co dnia opowiadał mi najświeższe zasłyszane wiadomości lub miejskie plotki“.

— „Widzisz, ja bym ci nie mogła opowiadać codziennych wiadomości“.

— „Dlaczego?“.

— „Dlatego, że ja nie czytam gazet“.

— „Dlaczegoż ty, Katiuchna, gazet nie czytasz, to niedobrze“.

— „Pewno, że niedobrze, ale ja nie mogę prenumerować gazety, bo nie jestem członkiem partii. W ulicznej sprzedaży gazet otrzymać nie podobna, niewiele tylko egzemplarzy ukazuje się na mieście“.

— „Czemu nie należysz do partii?“.

Odpowiedziało mi dłuższe milczenie, po czym: „Wzięto mi męża w 1940 r. Odtąd nie mam o nim żadnej wiadomości. Nie lubię partii“.

— „Czy takich jak ty jest dużo?“.

— „O. bardzo dużo, nawet spośród moich tutaj koleżanek, ale żadna się do tego nie przyzna. Mnie jest już wszystko jedno“.

— „Katiuchna — pytałem dalej — ty tak ślicznie strzyżesz, czemu nie spróbujesz pracować na własny rachunek, zarobiłabyś więcej niż w takim uspołecznionym zakładzie?“.

— „Próbowałam już, ale to się nie opłaca. U nas wolno pracować na własny rachunek tylko wtedy, gdy się nie przyjmuje nikogo do pomocy. Zamęczyłam się, a cały mój zarobek zabierali na podatki, a tak przynajmniej mogę za swoją nędzę pobawić się z tobą“.

Bawiła się moim uwłosieniem około trzech godzin i zrobiła mnie na bóstwo. Towarzysze niedoli i personel ambasady ledwo mnie poznali. Mimo to dla bezpieczeństwa nie skorzystałem z propozycji Katii, by do niej przyjść znowu.

Po południu czekał mnie wielki wstrząs. Uprzejma kierowniczka wydziału konsularnego poselstwa zawezwała mnie, aby zakomunikować, iż matka oraz reszta rodziny uwieziona przez Niemców w Ravensbrück żyją i znaleźli się w Szwecji. Energia i radość przebywania na tym świecie powróciły mi w pełni.

Trzeba było w pewien sposób oblać tak radosną wiadomość. Zaprosiłem moich współtowarzyszy na obiad i uszczupliłem znowu

znacznie swój majątek. Pani konsul, osoba znaczna w hierarchii nowego reżymu, przyszła nam jednak z pomocą. Otrzymaliśmy bony „Inturista“, uprawniające do korzystania z posiłków w restauracji hotelu „Metropol“. W hotelu tym jadalі wszyscy zagraniczni goście Związku Sowieckiego. To samo, za co placiliśmy w innych restauracjach sześćset, siedemset rubli, kosztowało nas teraz od dwudziestu do trzydziestu rubli. Tylko w taki sposób przeciętny cudzoziemiec, zaopatrzony w walutę dolarową czy funtową, może czas jakiś korzystać z rozkoszy gastronomicznych, jakich niewątpliwie dostarcza kuchnia rosyjska.

Stąd w spokojnej ale wytwornej restauracji „Metropolu“ — hotelu, który pamięta jeszcze stare, carskie czasy — zbierali się różni dyplomaci, politycy i przemysłowcy, odwiedzający gęsto Związek Radziecki po wojnie. Interesowała ich bardzo trzecia stolica świata, jak bolszewicy zwykli dumnie nazywać Moskwę. Ale i ci goście z kolei interesowali bardzo funkcjonariuszy NKWD. Sądzę więc, że przynajmniej połowa obsługi hotelu przeznaczona była dla pilnowania każdego kroku przybyszów.

To centrum polityczne odwiedzali stale korespondenci pism zagranicznych. Gdy się zjawiłem w „Metropolu“, stałem się zaraz przedmiotem ich zainteresowania. Niektórzy, na zaproszenie rządu warszawskiego zwiedzali ziemię polskie i dzielili się ze mną wrażeniami. Wzamian prosili o moje wrażenia z pobytu na Łubiance i pogląd na przyszły rozwój wydarzeń w Europie. Nie mogłem się powstrzymać od tego, aby pokazać, że nie jestem złamany na duchu i że wierzę w przyszłą niepodległą Polskę, która jest niezbędną dla jakiegokolwiek trwałego pokoju. Odrzuciłem szczerze ich sugestie, że Polska może się rozwijać i egzystować w ramach układu jałtańskiego. Potem jednak przyszły refleksje, iż któryś nieostrożny korespondent mógłby mnie z powrotem wpakować na Łubiankę, skąd pewnie bym już nie wrócił. Wybrnąłem z tej sytuacji w ten sposób, że zawiadomiłem chargé d'affaires Matwina o odbyciu kilku rozmów z przedstawicielami prasy i prosiłem go, aby poinformował korespondentów zagranicznych, iż z uwagi na niewyraźną moją pozycję proszę o zaniechanie ogłaszania jakichkolwiek rozmów ze mną w prasie. P. Matwin skwapliwie się na to zgodził, a korespondenci okazali się lojalni.

W pierwszych dniach Moskwa zrobiła na mnie duże wrażenie. Z natury rzeczy obracałem się początkowo po osi centralnej, którą stanowi ulica Gorkija. Łączy ona niektóre dworce, hotele,

muzea i wiele instytucji publicznych. Po obu jej stronach pobudowano na miejsce starych domów potężne gmachy, utrzymane w ładnym, nowoczesnym stylu. Piękne wystawy gastronomiczne, księgarnie, sklepy perfumeryjne i składy towarowe umilają drogę przechodniom. Jezdnia szerokości kilkudziesięciu metrów, starannie utrzymana, robi wrażenie wielkiej europejskiej arterii komunikacyjnej.

Tak samo musi oddziaływać na wyobraźnię każdego Europejczyka kolej podziemna. Centralne jej stacje urządzone są z niebywałym przepychem. Zdobią je marmury i symboliczne rzeźby. Ma doskonałą wentylację, szybki i częsty przelot, a przy tym jest tania. Słusznie chępią się nią bolszewicy, uważając ją, obok kanału Białomorskiego i Dnieprostroju za największe swe osiągnięcie. W ich obrachunku setki tysięcy ofiar pracy niewolniczej, które w rezultacie dały systemowi sowieckiemu te efekty, w ogóle się nie liczą. Każdy jednak człowiek wolny i pragnący pozostać wolnym musi ten czynnik wziąć głęboko pod rozwagę.

Mierzwa, syn chłopski, był w pierwszej chwili wstrząśnięty tym, co zobaczył. Jego trudne, pracowite życie nie pozwalało mu widzieć przed wojną wiele więcej ponad najbliższe jego wsi miasteczka. Przygotował się do praktyki adwokackiej w pięknym ale starym mieście Krakowie, a już w Warszawie zdarzało mu się bywać bardzo rzadko. Dlatego nowoczesne urządzenia dużego miasta oszołomiły go. Pamiętam, jak zjechawszy po raz pierwszy po eskalatorze w kolejce podziemnej stanął i wykrzyknął w zachwycie: „Jak ja to chłopom powiem!“. Na moje uwagi krytyczne o systemie sowieckim, odpowiadał: „Pan jest uprzedzony. Osiągnięcia bolszewickie są jednak bardzo duże“.

Chłop polski jest z natury swej nieufny i dociekliwy. Nurtowały Mierzwę moje wątpliwości. Trzeciego dnia pobytu w Moskwie wyruszył na miasto wczesnym rankiem. Gdy wrócił, kończyłem się właśnie ubierać. „Chodź Pan ze mną szybko, coś Panu pokażę“. Poprowadził mnie w pierwszą lepszą boczną ulicę od arterii Gorkija. Stare, zapadające się chałupy mieściły w sobie gromady ludzi biednych i wyszarzałych. Brudne i bose dzieci bawiły się na podwórzu w kałużach, zmieszanych z ekskrementami, wylewającymi się z ustawionego na środku klozetu. Jakaś kobieta w łachmanach wyciągała rękę po jałmużnę.

Nie była to jedyna upośledzona ulica. Całe dzielnice, położone po obu stronach wspaniałej arterii centralnej, wyrażały tę samą rzeczywistość, zakrytą dla oczu każdego cudzoziemca, któ-

rego przewodnik sowiecki, pokazując swą stolicę, oprowadza po muzeach, restauracjach i „*komierczeskich*“ magazynach.

Mój towarzysz dowiedział się, iż w Moskwie istnieje rynek, na którym dokonywane są transakcje prywatne. Poszliśmy zobaczyć, jak to wygląda. W odległości mniej więcej dwudziestu minut spaceru od ulicy Gorkija, na zabłoconym majdanie tłoczyło się kilka tysięcy ludzi. Każdy miał coś do sprzedania: jakiś mężczyzna trzymał na ręku kamizelkę i połatane spodnie, drugi handlował wytartym kozuchem. Obok stała kobiecina z pięciu papierosami w ręku, koło niej dziewczynka trzymała szklanekę kisielu i prosiła błagalnie, by to od niej kupić. Ktoś trzymał w garści śliwki na sprzedanie, kto inny rozpoczęte pudełko z kawiozem. Tuż przy nim zachwalano brudną koszulę, a opodał stał chłopka z paru zmiętymi gazetami. Można też było dostać trochę wódki po tańszej cenie — a ten sam sprzedawca handlował równocześnie parą dziurawych butów. Sądzę, że nie tylko tak rozumny człowiek jak przywódca chłopów polskich, zdeprecjonowałby natychmiast w swym osądzie wartość podziemnej kolejki i urzędzeń centralnej ulicy Moskwy, zestawivszy te luksusy z „bazarem cieszyńskim“. Wystarczyłoby pokazać go któremukolwiek przeciętnemu chłopu czy robotnikowi europejskiemu, aby go wyleczyć z wszelkich złudzeń od razu. Tego jednak Rosja przedstawicielom związków zawodowych, którzy przyjeżdżają zwiedzać raj ludzi pracy, nie pokazuje. Wożą ich samochodami od stacji do luksusowego hotelu, od hotelu do muzeów, wciąż po tej samej naprawdę pięknej arterii, na której robotnik nie mieszka, na której nie kupuje ani nie sprzedaje „człowiek sowiecki“.

Wstąpiłem do „*komierczeskich*“ magazynów na ulicy Gorkija. Było ich kilka w okolicy pomiędzy hotelem „Moskwą“ i „Metropoliem“. Sądzę, że przepych ich urządzenia przewyższa najpiękniejsze sklepy gastronomiczne przedwojennego Paryża. W oddziale ryb leżały na lodzie dziesiątki gatunków jesiotra, bielugi, łososia; w dziale konserw poustawiane były góry puszek z homarami i wysoko wartościowym kawiozem. Papierosy, poukładane w ozdobne pudełka, przyciągać musiały uwagę palaczy; herbata, przynajmniej z opakowania, przypominała najlepsze gatunki dawnej herbaty rosyjskiej. Piramidy butelek podtrzymywały tradycje moskiewskiej wódki, a dla kogo ów trunek był zbyt silny, ten miał do wyboru olbrzymią ilość win krymskich i kaukaskich.

W sklepach tych było pusto. Nabywców musiała przede wszyst-

kim odstraszać cena, niewspółmierna zupełnie do przeciętnych „arobków w Rosji. Tylko bardzo zamożny cudzoziemiec, lub obywatel sowiecki, mający nielegalne dochody, mógł się tam częściej pojawiać.

Wydawało mi się, iż w sowieckim ustroju nie ma miejsca na nielegalne dochody. Z błędu wyprowadził mnie dopiero spotkany przypadkowo Żyd, który uciekł z Polski po katastrofie wrześniowej i zdołał się już na nowym terenie zaaklimatyzować. „Zostałem szoferem komendanta NKWD w Turkiestanie — opowiadał — płacił mi 700 rubli miesięcznie. Za to trudno byłoby się utrzymać z żoną. Miałem jednak jeden dzień wolny w tygodniu, który użytkowałem w ten sposób, że samochodem wozilem miejscowych mieszkańców Mahometan do ich meczetów. Zarabiałem na takiej jeździe za każdym razem około dwóch tysięcy rubli“. „Co na to mówił pański komendant?“. „Nic nie mówił, dzielił się ze mną zyskiem“.

„Oj, tu można robić dobre interesy na lewo — ciągnął dalej mój rozmówca. — Znałem takiego towarzysza, który skupował w Moskwie w „komierczeskich“ magazynach wszelkiego rodzaju biżuterię. Odbywał z nią kilkutygodniową podróż do Azji Środkowej i sprzedawał po trzydziestokrotnej cenie wszelkiego rodzaju obrączki i kolczyki, do których tamtejsza ludność jest z tradycji przyzwyczajona, a legalnego dowozu nie ma. Biedaka aresztowano niedawno i nie wiem, co się z nim teraz dzieje.

„Największe jednak robi się tutaj majątki na posiadach państwowych — przy wszelkiego rodzaju zakupach. Fabryka, która ma wykonać określoną ilość produkcji, nie może otrzymać surowca. Jej przedstawiciel jeździ po różnych źródłach dostawy, ale wszędzie spotyka się z odmową. Grozi to nie tylko załamaniem się produkcji, ale i procesem o sabotaż. Jedynym ratunkiem jest przekupienie tych, od których zależy dostarczenie surowca na czas. Zarabia na tym dobrze zarówno delegat fabryki, która kupuje, jak i urzędnik odpowiedzialny za sprzedaż. Robi się na tym fortuny“.

Pieniądze posiadali w owym czasie w Rosji nie tylko ci spekulanci, ale także i sporo żołnierzy oraz oficerów, którzy wrócili z frontu. Olbrzymia ich większość zrabowany dobytek spieniężala za wódkę jeszcze przed osiągnięciem granic Rosji. Część jednak wracała do domu z pewnymi zasobami i korzystała z nich dla rozweselenia swego życia.

Cała ta klientela nie czuła się zbyt pewnie w luksusowych ma-

gazynach na ulicy Gorkija. Były one obserwowane i kto zbyt odważnie i często je odwiedzał, mógł się łatwo narazić na kontakt z policją bezpieczeństwa. Toteż funkcjonowanie tych kilku sklepów ma znaczenie bardziej propagandowo-polityczne niż handlowe. Chodzi wyłącznie o pokazanie światu, że Rosję stać również na standart życiowy, podobny, a nawet wspanialszy jeszcze od poziomu życia obywatela na Zachodzie.

Mieszkaniec Moskwy nie zaglądał do „komierskich” magazynów, miał on sklep, przydzielony mu odpowiednio do stanowiska, jakie zajmował.

Żona czy dziecko robotnika stali po kilka lub kilkanaście godzin w ogonku, aby dostać przydział rodzinny, złożony ze skromnych porcji chleba, pewnej ilości konserw i tytoniu. Wiele więcej tam otrzymać nie mogli. Chcąc się utrzymać przy życiu przeciętny robotnik odprzedawał z tego na cieszyńskim bazarze czy w handlu domokreżnym wszystko, co mógł zamienić na kaszę czy trochę kartofli.

Żony wyższych urzędników nie potrzebowały czekać godzinami w ogonku. Przydzielone im sklepy zaopatrzone były nieporównanie lepiej i obfitowały zarówno w produkty pierwszej potrzeby, jak i w towary luksusowe. Zależnie od stylu życia konsument cały swój przydział użytkował dla siebie, bądź też odsprzedawał na czarnym rynku za kilkakrotnie wyższą cenę pewną tylko część produktów takich jak kawior, wódka, wysokogatunkowe papierosy. Kosztem osiągniętego w ten sposób zysku uzupełniał swe potrzeby w zakresie ubrania i tym podobne.

Do sklepów przeznaczonych dla funkcjonariuszy NKWD lub urzędników takich resortów, jak na przykład Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zajeżdżały żony dygnitarzy luksusowymi państwowymi samochodami. Mogły tam znaleźć wszystko, co tylko było im potrzebne, i wątpię, czy wysiłały się następnie na realizowanie swych przydziałów na uboczu. Na Zachodzie niejedyn człowiek na najwyższym stanowisku zazdrościłby im ich materialnego położenia.

Toteż w Rosji ówczesnej, Rosji 1945 r. istniały trzy rodzaje cen: cena w sklepach przydziałowych teoretycznie równa dla wszystkich i stosunkowo niska; cena w magazynach „komierskich”, czyli w tak zwanym oficjalnym wolnym handlu, wyższa niekiedy za takie same produkty ośmio do dziesięciokrotnie; i wreszcie cena na bazarze lub w handlu domokreżnym, stanowiąca wypadkową tamtych. Taki system ekonomiczny prowa-

dził pod obłudnymi pozorami do najskrajniejszych nierówności, jakie nie byłyby do pomyślenia w najbardziej egoistycznym ustroju kapitalistycznym.

Odwiedziłem też dom towarowy, odpowiadający londyńskiemu Harrodsowi czy paryskiej Galleries Lafayette. W dziedzinie konfekcji Moskwa była jeszcze bardzo uboga. Zaprezentowane mi ubrania, koszule, skarpetki były tak słabe w gatunku i tak mało estetyczne w deseniu, że powstydziliby się ich pewnie przeciętny robotnik angielski — a na pewno żona jego nie włożyłaby na siebie niczego z tego, co określano w tym sklepie jako model czy towar luksusowy. I tutaj ceny, jak w każdym „*komierczeskim*“ magazynie, były bardzo wysokie, niemal niedostępne dla przeciętnego sowieckiego obywatela.

W reprezentacyjnej części miasta rozrzuconych też było kilka sklepów z perfumami produkcji krajowej. Oblewanie się „*duchami*“ jest w Rosji obecnie bardzo modne i pochwalane. Stanowi przejaw wyższości kulturalnej. Zapach ich nie jest jednak subtelny, drażni powonienie nieznośnie.

Piękne były wystawy w kilku księgarniach na ulicy Gorkija. Postanowiłem przeznaczyć jak największą sumę pieniędzy na zakup klasycznych dzieł rosyjskich, kilku czołowych powieści z epoki porewolucyjnej i podstawowych prac o komunizmie. Próżne jednak były moje usiłowania — książki z wystaw nie były do sprzedania. Przedmiotem handlu były tylko niezliczone małe broszurki, omawiające uchwały zjazdu partii, przytaczające ostatnie mowy przywódców partyjnych lub propagujące stachanowski wysiłek pracy. Wśród nich znalazłem protokół komisji uczonych i literatów sowieckich, stwierdzający, że morderstwo oficerów polskich w Katyniu popełnili Niemcy, oraz pierwsze sprawozdania z naszego procesu.

Nie dałem za wygraną — chodziłem do dyrektorów księgarni, którymi były z reguły kobiety, i tłómaczyłem, iż jestem cudzoziemcem i pragnę jakąś drogą zapoznać się ze zdobyczami kultury sowieckiej. Dało to pewien wynik i po kilku dniach wyczerpanej pracy zebrałem kilkadziesiąt tomów, przeważnie jednak po antykwarniach. W ten sposób doszedłem nawet do posiadania egzemplarza tak dla mnie pamiętnej książki „*Życie Lenina*“, którą parę miesięcy przedtem przeglądałem w towarzystwie swego sędziego śledczego. Dostałem też encyklopedię sowiecką, natomiast nigdzie nie mogłem otrzymać podrecznika historii Rosji, pisanego ze stanowiska doktryny bolszewickiej. Podobno do dziś

w szkołach sowieckich posługują się starymi, carskimi jeszcze podręcznikami, z charakterystyczną w nich cenzurą w postaci czarnych plam.

O mały włos wszystkie te książki, zbierane z pasją niepoprawnego bibliofila, nie zostały w Moskwie. Gdy opuszczałem ambasadę, aby się udać na dworzec, zapytał się jeden z urzędników, jakie to bagaże wiozę ze sobą. Wyjaśnił mi, iż z Rosji nie wolno wywieźć żadnej książki inaczej, jak tylko za zezwoleniem specjalnego urzędu. Był na tyle uprzejmy, że zobowiązał się przekazać moje książki pocztą dyplomatyczną do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. Wykonał to jak najdokładniej.

Na opuchniętych nogach biegałem jak szatan, aby się przypatrzyć życiu rosyjskiemu. Odwiedzałem więc między innymi Muzeum Lenina. Przeznaczałem na to godzinę czasu. Na wstępie jednak kierowniczka muzeum rozpoznała we mnie cudzoziemca i tak długo nalegała, abym poświęcił się dokładniejszemu studium, iż wymogła na mnie trzygodzinny pobyt w otoczeniu pamiątek po Leninie. Telefonicznie sprowadziła najlepszą z przewodniczek i przez czas jakiś osobiście towarzyszyła mi w oprowadzaniu po salach.

Po dwóch godzinach wykładu umiałem niemal na pamięć historię partii bolszewickiej, wszystkie zdrady mieńszewików, wszystkie łotrstwa Kamieniewa i Zinoniewa, genialne plany Stalina w wojnie domowej i błędy Trockiego. Niezwykle interesujący był też układ obrazów, podsuwanych świadomości zwiedzającego. Oglądamy najpierw młodość Lenina. Z chwilą gdy wchodzi on już w okres działania publicznego, towarzyszy mu niemal bez przerwy Stalin. Lenin i Stalin stopniowo stają się pojęciem nierozdzielalnym. Śmierć Lenina nie kończy obrazu. Z jego cienia niejako wysuwa się postać Stalina, najpierw samotna, a potem mająca u boku coraz częściej, coraz bliżej siebie Mołotowa. Ostatnie sale łączą Stalina i Mołotowa w taki węzeł jedności, że wyszedłem z muzeum pod nieodpartym przekonaniem, iż Mołotow a nie kto inny ma wyznaczone kolejne miejsce dyktatora w czerwonej Rosji. Inna sprawa, że o utrzymanie się na nim będzie musiał stoczyć walkę z nowymi Trockimi, Zinowiewami, Kamieniewami czy Bucharinami.

Nie skończyło się na oglądaniu sal muzealnych. Dyrektorka dopilnowała, abym wraz ze swoim towarzyszem obejrzał długi film historyczny z życia Lenina, który specjalnie dla nas wy-

światłono. Zaimponowała mi ta staranność w propagandowym zaopiekowaniu się cudzoziemcem w Rosji.

Skorzystałem z uprzejmości urzędników ambasady warszawskiej, aby pójść do teatru. W normalnym biegu rzeczy biletów na przedstawienie otrzymać nie można. Są one już z góry rozdane pomiędzy urzędników różnych uprzywilejowanych ministerstw. Do tego przekonania mogłem łatwo dojść jeszcze w więzieniu, na podstawie urywków rozmów telefonicznych, prowadzonych przez sędziego z jego Katiuchkami w mojej obecności. Okazało się jednak, że w tej dziedzinie panuje proceder tak zwyczajny w warunkach, gdy wszystko podlega restrykcjom i racjonalowaniu. Zauważyłem, że przy kasie kręcił się szereg osób, którzy gotowi byli sprzedać swoje bilety na przedstawienie po cenie kilkakrotnie wyższej od obowiązującej.

Moskwa ma obecnie jedną z najpiękniejszych sal teatralnych w Europie. Jest to sala imienia Czajkowskiego. Zarówno akustyka, jak i rozmieszczenie widowni, w której każde miejsce jest jednakowo dobre, jak wreszcie estetyka tej sali godna jest naśladownictwa. Publiczności było po brzegi, rozwoju akcji słuchacza uważnie i inteligentnie. Grano sztukę angielską o społecznym podłożu. Aktorzy byli pierwszorzędni. Wyszedłem z przedstawienia pod dużym wrażeniem.

Zachęciło mnie to do zobaczenia innych teatrów. Dostałem bilet do teatru imienia Stanisławskiego, jednego z najstarszych w Moskwie, położonego również w centrum miasta. Zagubiłem się gdzieś w ulicach i nie mogłem do niego trafić. Napotkane go przechodnia spytałem o drogę. „Teatr Stanisławskowo? Nie znaju“ — padła odpowiedź. Zaczepiłem kolejno sześć czy siedem osób, wyglądających na to, że chodzą do teatru. Wszyscy oni nie mogli dać żądanego wyjaśnienia. Zwróciłem się wtedy do milicjanta, który w białych, nicianych rękawiczkach kierował ruchem ulicznym. „Nie znaju“ — usłyszałem znowu. Okazało się, iż teatr imienia Stanisławskiego położony był w odległości kilkudziesięciu metrów. Jakże wąski krąg, pomyślałem, zatacza kultura w tej trzeciej stolicy świata!

Obok hotelu „Metropol“ mieści się eleganckie kino. Seanse odbywają się w trzech salach równocześnie. Kasa jest tylko jedna. Stałem w długim ogonku po bilet. Co piętnaście minut otwierało się okienko i w ogonku powstawało ogólne zamieszanie. Asystujący milicjant wydawał zarządzenia. „Grażdanie oficery, po czynam wpierod!“ W ten sposób pułkownicy, majo-

rowie i tym podobne szarże wysuwały się z końca ogona na czoło, a ja cofałem się znowu do tyłu, wraz ze mną zaś szare postacie robotników i mnóstwo prostych żołnierzy. Po sprzedaży kilku biletów okienko zamykało się znowu. Po godzinnym oczekiwaniu, widząc beznadziejność tego „demokratycznego“ porządku, chciałem już zrezygnować z zobaczenia filmu, ale usłużny przekupieć sprzedał mi z boku miejsce za pięciokrotną cenę.

Błąkałem się dużo po ulicach i ogrodach. Wszędzie tłumy ludzi szarych, szarych z ubioru i szarych z wyrazu twarzy. Nigdzie uśmiechu, ani radości. Usiadłem kiedyś na ławce koło starszej kobiety, spoglądającej smutno w przestrzeń. Zamieniłem z nią kilka słów, po których łatwo się przekonała, iż jestem cudzoziemcem. Szeptem zaczęła się wynurzać: „Jestem z pokolenia, które pamięta czasy sprzed rewolucji bolszewickiej. Nic dziwnego, że nie mogę czuć się szczęśliwa w tym systemie terroru, nędzy i równania w dół. Nie mogę też zapomnieć, że męży mojego zamordowano w czasie rewolucji. Ale co mnie najwięcej martwi, to los mej córki. Jest dentystką, a jej mąż jest urzędnikiem sądowym. Oboje ciężko pracują i mimo to cierpią niedostatek. Co więcej, wciąż drżą o swoje posady, wciąż się boją czy są „*blagonadiożni*“. To nie życie, to męka. A pan chce, abym się uśmiechała“. „Są jednak ludzie szczęśliwi“ — wskazałem palce w kierunku sznuru samochodów posuwających się po jezdni. — „To wszystko dygnitarze państwowi, samochodów prywatnych nie ma. Czy oni są szczęśliwi, nie wiem. I oni żyją w ustawicznym strachu, ale być może, uważają to za stan naturalny. Innego świata nie znają“. Zakończyliśmy rozmowę, bo właśnie mijają nas kilka umundurowanych postaci.

Otrzymałem wreszcie dokumenty, uprawniające do powrotu do kraju. Nie był to paszport zagraniczny rządu warszawskiego, ani też papier sowieckiego pochodzenia, który by się logicznie wiązał z przyczyną mojego przyjazdu do Rosji. Zamianowano mnie po prostu reemigrantem, wracającym do swego domu.

Ostatni wieczór spędziłem znowu w hotelu „Moskwa“, tym razem na dancingu. Obok przy stoliku siedziało dwóch oficerów sowieckich, popijając zdrowo. W pewnym momencie rozochoceci zaprosili mnie do towarzystwa.

— „*A wy kto?*“

— „*Paliak*“.

— „*O, ruskij Paliak, eto oczeń charaszo. My jesteśmy przy-*

jaciómi. Nie lubiliście nas przed tym, ale teraz musicie polubić“.

Wypili za przyjaźń polsko-rosyjską i jeden z nich dodał, aby nie było wątpliwości:

— „Będzie jedna wielka Rosja, a w niej Polakom będzie dobrze, bo są kulturalni i dzielni“.

Zapytałem ich po chwili: „Bawimy się teraz dobrze, ale czy sądzicie, że długo będzie tego spokoju?“.

Odpowiadali jeden przez drugiego: „To tylko krótka przerwa. Pójdziemy na Brytyjczyków. O tym wie każde małe dziecko“.

— „A czy zwyciężymy?“ — wtrąciłem.

— „Rosja pobiła Niemcy, pobije i Wielką Brytanię“ — oficer lekceważącym gestem odrzucił jakąkolwiek myśl o możliwości klęski.

Kilkunastodniowy pobyt na wolnej stopie w Moskwie, jakkolwiek bardzo pouczający, zaczął mi już ciążyć. Dziesiątki przyczyn mogły sprawić, iż przedłuży się on na lata, bądź na zawsze. Toteż nie jestem w stanie opisać radości, z jaką zająłem miejsce w pociągu.

Jechałem do Warszawy 55 godzin w obszernym przedziale rosyjskiego wagonu. Były w nim cztery miejsca sypialne, z których dwa zajmowali podróżni sowieccy.

Jeden z nich, rozmowny kapitan, opowiadał ciekawie o swoich przygodach wojennych i cieszył się, że za chwilę zobaczy żonę i córki po kilkuletnim rozstaniu. Wiózł dla nich prezenty, które zdobył na Niemcach w Berlinie: radio i gramofon.

— „Słyszałem, że w Brześciu odbierają wam to wszystko, co wieziecie z zachodu na wschód?“ — rzuciłem pytanie.

— „Kontrola znowu nie jest taka ścisła. Włączyłem moje rzeczy do transportu rządowego, a później je sobie odebrałem“. Był tak podniecony, że wysiadając zapomniał wziąć te swoje skarby — musiałem mu je wyrzucać już z biegu pociągu.

Drugi towarzysz był pułkownikiem. Milczał przez całą dobę. Znalazłszy się kiedyś sam na sam ze mną w wagonie, zapytał: „Słyszę, że Pan jest Polakiem. Czy mogę wiedzieć, skąd się Pan wziął w Rosji?“.

Opowiedziałem po krótkce koleje mego losu. Nie miałem nic do ukrywania, bo prasa sowiecka pełna była sprawozdań z procesu szesnastu przywódców polskich.

Gdy się znowu zdarzyła okazja, że zostaliśmy sami, pułkownik wystąpił z własnymi wynurzeniami. Mówił z początku bardzo

cicho, potem zaczął się zapalać tak, że aż musiałem go mitygować:

„...Ja też wracam do domu z kaźni. Nie byłem wprawdzie w więzieniu, ale za to w obozie koncentracyjnym dla wojskowych wyższych szarż. Było nas tam w pewnym momencie pięćdziesiąt parę tysięcy oficerów, których podejrzewano o niełojalność wobec systemu sowieckiego.

„Nie wytoczono mi żadnego procesu, nie można było bowiem sformułować pod moim adresem konkretnego zarzutu. Mimo to przesiedziałem w tym obozie dwa lata. Zostałem zwolniony dopiero teraz, w parę miesięcy po skończeniu wojny“.

„Warunki pobytu mieliśmy straszne. Bardzo wielu moich towarzyszy zmarło wskutek głodu, nędzy i szalejących epidemii. Sądzę, że życie swoje zawdzięczam temu tylko, że zgodziłem się dobrowolnie oporządzać ustępy. Otrzymywałem za to podwójną porcję jedzenia... .

„Jadę teraz szukać rodziny, z którą zerwał się wszelki kontakt od chwili, gdy Niemcy zajęły nasze ziemie zachodnie. Biedacy myślą pewnie, że nie żyję, skoro tyle czasu nic nie robiłem, aby ich odnaleźć.

„Po wykorzystaniu urlopu wracam do służby“.

W miarę posuwania się na zachód oczom moim przedstawiał się obraz olbrzymiego zniszczenia kraju. Wszystkie dworce leżały w gruzach, tam, gdzie miasta były w bliskiej odległości od stacji, widziałem jeno zgłiszcza i ruiny, przypominające żywo, choć oczywiście w mniejszej skali, zniszczenie Warszawy. Olbrzymie pola zalegały ugorami, zamiast wsi widać było tu i ówdzie „ziemlanki“, to jest pomieszczenia ludzkie wykopane w ziemi z wystającymi kominami. Nie można jeszcze było w owej porze zauważyć prób odbudowywania dawnych siedzib ludzkich

Na tym cmentarzysku żyli jednak ludzie. Gdy się pociąg zatrzymał w pustym, zdawałoby się polu, wkrótce zbiegała się koło niego gromada ludzi, prosząc, aby od nich kupić to, co mieli w węzłku. Trochę masła świeżo wyrobionego, jakiś ogórek, jajko, placek kartoflany lub kawałek ciemnego chleba. Nazywało się to bazarem wolnej sprzedaży.

Pod wieczór zbliżyliśmy się do dawnej polskiej granicy, do tej prawdziwej polskiej granicy z 1939 roku. W okna przedziału zoświeciły mi ogniska, rozżarzone w ogromnych ilościach po polach. W świetle tych ognisk widać było olbrzymie tabuny koni; pomiędzy nimi kręcili się jeźdźcy żywo przypominający

kozaków. Ustawione w czworobok małe obrotne wózki uzupełniały fantastycznie ten obraz sienkiewiczowski. Wiele jeszcze podobnych tabunów spotkałem po drodze. W ten sposób bolszewicy dokonywali ewakuacji swego łupu wojennego w postaci żywego inwentarza.

W miarę, jak przesuwałem się ku zachodowi, ciąg koni ustępował tysiącom i dziesiątkom tysięcy krów pędzonych na wschód. Ryczały przeraźliwie, i nie dziwota, trud był to dla nich ponad siłę. Pędzone z Niemiec lub zachodnich ziem Polski padały po drogach masowo — nie wiem, czy wiele z nich doszło swego miejsca przeznaczenia.

Mijały nas też niemal bez przerwy transporty kolejowe, załadowane wszelkiego rodzaju sprzętem. Na platformie widziało się obok elektrycznej lodówki z jakiegoś luksusowego mieszkania parę antycznych foteli i rzucony na nie kadłub samochodu. Obok rowerów — obrabiarki, obok obrabiarek — jakaś szafa, a wszystko przykryte francuskim dywanem. Mnóstwo samochodów wszelkiego typu, narzędzi, maszyn, aparatów radiowych i urządzeń mieszkalnych. Był to łup, brany od wroga na poczekaniu, w znacznej mierze była to też cena, jaką płacili kraje oswojone — swej wybawicielce Rosji.

Na jednej ze stacji wsiadło do pociągu wielu żołnierzy sowieckich. Nie mogąc się pomieścić w innych wagonach, rozłożyli się pokotem w naszym korytarzu. Stałem przy otwartym oknie i wymieniałem wrażenia w języku polskim z jednym ze swych towarzyszy.

W pewnym momencie podniósł się z podłogi żołnierz i przysunął do mnie.

— „Pan z Polski?“

— „Tak, jestem Polakiem“ — odpowiedziałem zdziwiony, słysząc w ustach bolszewika mowę polską.

— „Ja też jestem Polak, białoruski Polak“ — poprawił się. — „Skończyłem pięćdziesiąt lat i zostałem zdemobilizowany. Wracam do siebie, do rodziny“.

— „Skąd się Pan wziął w wojsku rosyjskim?“

Łamanym językiem wyjaśnił, iż bolszewicy po zajęciu ziem wschodnich Rzeczypospolitej zaciągnęli wszystkich obywateli polskich białoruskiego pochodzenia do swego wojska. „Ale teraz wracam już nareszcie znowu do Polski“ — zakończył z radością w oczach.

— „A gdzie jest Pański dom?“

— „Ot tu już, niedaleko, zaraz, nie dojeżdżając Baranowicz“.
Ścisnęło mnie coś w gardle. Nie mogły przez nie przejść słowa, które by wyjaśniły żołnierzowi, iż ziemie te zostały przehandlowane przez obce mocarstwa i że w rezultacie mają one być przyłączone do Związku Sowieckiego. Zamiast tego bąknąłem pytanie:

— „A czy nie słyszał Pan, że tu nie ma być więcej Polski?“.

Oburzył się na mnie srodze: „Co też Pan mówi. Polska będzie większa niż była. Służyłem w pułku białoruskim, który się składał w połowie z polskich, a w połowie z rosyjskich Białorusinów. Myśmy wszyscy uchwalili, że będziemy należeli do Polski. Na pożegnanie jeszcze powiedział mi porucznik, że Polska będzie aż do Orszy. Wszyscy tego chcą — i tak będzie na pewno“.

Po chwili jednak zatargał nim jakiś niepokój, może wpłynął na to mój wyraz twarzy i milczenie. Przysunął się jeszcze bliżej i szeptał: „Panie, jeśli by tu nie miało być Polski, to ja wszystko opuszczę, na kolanach będę maszerował tak długo, aż dojdę do polskiej granicy. W Rosji nie ma dla mnie życia“. Obu nam łzy zabłyśły w oczach.

Pociąg zatrzymał się w Brześciu na dłuższy postój. Bolszewicy przeprowadzili w sposób bardzo uprzejmy kontrolę papierów i rewizję rzeczy, po czym pozwolono nam wyjść na peron. Wszystkie napisy były już w języku rosyjskim, tylko rysunku miasta nie można było zmienić na wschodni.

Opodal rozłożył się znowu bazar wolnej sprzedaży. Przekupniami były kobiety oraz dzieci o wyglądzie przeważnie inteligentnym, ubrane skromnie, ale po miejsku. Zwróciłem się do sprzedawczyń po polsku — wywarło to olbrzymie wrażenie. „Jużeśmy nie słyszały tyle czasu polskiego języka. Powiedz nam, Panie, czy przyjdzie skądś dla nas zmiłowanie?“ — mówiła jedna gorączkowo. Druga natychmiast ją zestrofowała: „Ci-cho bądź, nie wiesz do kogo mówisz. Biedy sobie i nam napytasz“.

Za rzeką Bugiem rozciąga się już formalnie władza „Polskiej Republiki Ludowej“. Gdy Niemcy z Rosją dzieliły się łupem w 1939 roku, tutaj zaczynała się także władza General-Gouvernement. Po raz drugi w ciągu sześciu lat wojny przekroczyłem tę granicę wracając z Rosji.

Droga prowadziła znowu przez Ziemię Podlaską. Każde miasteczko, które mijalem, każda kępa drzew na horyzoncie, każda

niemal twarz wieśniacza na przydrożnej stacji budziła wspomnienia z niedawnej przeszłości. Zdało mi się, iż za chwilę usłyszę śpiew tysięcy młodzieży, z którą wspólnie podejmowaliśmy pracę publiczną:

*„Równajmy krok, robotnik, chłop
Już zwycięstwa dzień nadchodzi,
Wielkiej Polski moc to my!“*

Poczułem się mocniejszy na swojej ziemi.

Zagadnieniem, które nas dręczyło w ciągu całej podróży, a które narastało w miarę zbliżania się do Warszawy, było czy z kolei „polska“ policja bezpieczeństwa zostawi nas w spokoju. Szczęśliwie nikt nas w ruinach dworca warszawskiego nie witał. Zdobylem z trudem miejsce na furmance i przejechałem przez pontonowy most ku miastu.

Obawy nasze nie były pozbawione podstaw. Jeden z towarzyszy niedoli, któremu termin odbywania wyroku skończył się w dwa miesiące później, został przewieziony do Polski w zakratowanym wagonie, trzech innych policja bezpieczeństwa wyciągnęła z pociągu na podmiejskiej stacji, zabrała samochodem do więzienia i dopiero po odbyciu samotnych z nimi „rekolekcji“ wypuściła na wolność.

Nie wiedziałem, dokąd skierować swe pierwsze kroki. Choć znalazłem się między swymi, byłem pod obcą i wrogą władzą. Mogłem niepotrzebnie narazić każdy przyjazny mi dom. Zresztą nie znałem niczyjego adresu — powstanie warszawskie i powszechna wędrownka wyrzuciła wszystkich z dawnych siedzib. Pierwszą moją myślą było odnaleźć syna, ale również nie wiedziałem, czyje litościwe serce dało mu schronienie.

Stałem na rozstaju ulicy Marszałkowskiej i alei Jerozolimskich. Wśród mijających mnie ludzi rozpoznawałem znajome twarze, dokoła widziałem te same zwały gruzów, te same szkielety domów, które opuściłem w pierwszych miesiącach roku. Ale i ludzie nie kłaniali mi się i mury nie skłaniały się ku mnie — nie wydawało się możliwe, aby mnie jeszcze kiedykolwiek wśród siebie zobaczyli.

SKOROWIDZ

A

- D'Abernon Lord — 25
Afanasjew — 441, 444, 445, 460, 463
Anders Wl., gen. — 38, 121, 212, 261, 384
Aquilonia — 26
Armia Krajowa (A. K.) — 114, 126, 128, 135—138, 183, 184, 190,
203, 206, 208, 210, 211, 213, 216, 219, 225, 227, 234, 243,
245, 247, 256, 259, 260, 262—264, 266, 284, 286, 299, 304—
306, 322, 323, 325, 340, 403 426, 432, 442, 443, 447—449,
451
Armia Ludowa (A. L.) — 262

B

- Bach von den — 447
Bagiński Kaz. — 343, 345, 346, 348, 349, 382, 383, 459, 464
Baranowicze — 23
Barry — 240, 241, 281
Bataliony chłopskie — 126
Batory Stefan, król — 11
Berezowski Zygm. — 195
Berlin — 66, 99, 106, 194, 484
Berling — 261
Białystok — 259
Bielecki Tad. — 311
Bień — 464, 469
Bierut — 212, 213
Bismarck — 414
Bitner — 449
Bór-Komorowski — 134, 203, 204, 254, 260, 262, 304, 322, 323, 447
Braude — 442, 459
Bratnia Pomoc — 26
Briańsk — 45, 55, 61
Brindisi — 462
Brześć — 21, 24, 484
Bucharin — 439, 481

C

Car Stan. — 29
Cavendisch-Bentinck — 205
Chamberlain — 35
Chicago — 235
Chodkiewicz — 338
Chrzanowski, gen. — 10
Churchill W. — 35, 260, 265, 308, 327, 444, 471
Czarkowski Jerzy — 13
Czarnowski — 464
Czernicki, adm. — 53
Czetwertyński S., ks. — 204, 270
Częstochowa — 280

D

Daszyński Ignacy — 25
Degrelle — 36
Długoszowski-Wieniawa, gen. — 29
Dmowski Roman — 16, 29
Doboszyński Adam — 35
Dolanowski M. — 95
Dreszer-Orlicz, gen. — 29
Drezno — 62
Dubois St. — 18
Działyński — 453
Dzierżyński — 211

E

Eden — 465

F

Filipkowski — 449
Francisco San. — 465
Froelich Stan. — 16, 193—197
Fukier — 121

G

Gdańsk — 362
Gdynia — 345
German — 450, 451
Goebbels — 122, 274
Goering — 430
Gorkij — 46
Grendyszyński K. — 375
Grocholski Ks., hr. — 204
Grodzisk — 302
Grolińska — 452

H

Hahn, dr. — 194
Himmler — 205
Hitler A. — 31, 54, 75, 90, 120, 121, 189, 265, 268, 277, 286, 330,
335, 360, 413—415, 418, 444
Hopkins — 418, 466

I

Iwanowo — 46, 350

J

Jakir — 439
Jankowski J., b. pr. — 213, 219, 254, 267, 337, 338, 343—345, 349,
442, 451, 464, 469
Janowski — 81
Jasiukowicz St. — 351, 464, 469
Jegorow — 439

K

Kalisz — 79, 330
Kaługin Kons. — 259
Kamieniew — 439, 481
Katowice — 319, 320
Katyń — 42, 121, 123, 480
Kielce — 280
Kijów — 451
Kolendo — 445
Koła Naukowe — 26
Komitet Chełmski — 211
Komitet Lubelski — 211, 212, 441, 451
Komitet Młodz. Obr. Państ. — 18
Kon — 211
Korfanty — 25
Kossak-Szczucka — 247, 248
Kościuszko — 9
Kotłas — 363
Kotowicz — 449
Kozielsk — 122
Kraków — 280, 319, 476
Kuba — 299
Kuczyński L. — 60, 61
Kulczycki, płk — 423, 424, 426, 429, 449
Kulski, b. prez. — 254
Kutschera — 205

L

Landshut — 71
Laval — 36

Lenin — 48
Leśna Podkowa — 195, 196, 331
Liberman — 30
Lloyd George — 35
Londyn — 210, 235, 258, 264, 306, 311, 342, 349
Lublin — 19, 37, 38, 59, 71, 149
Lutosławski K., ks. — 25
Lwów — 41, 42

Ł

Łódź — 79
Łubikowski — 445
Łuck — 41, 260

M

Małaszewice — 59, 60
Małkinia — 106
Małycha — 30
Marchlewski — 211
Maszyński M. — 224
Matwin — 471, 475
Michałowski A. — 325
Miedziński, płk — 29
Mierzwa St. — 471, 472, 476
Mikołajczyk S. — 216, 217, 258—260, 264, 265, 267, 268, 311, 312,
337, 403, 438, 444, 454, 468, 471
Mikołaj II — 414
Milicja P. P. S. — 126
Młodzież Wszechpolska — 26
Modzelewski — 471
Modlin — 80
Mołotow — 54, 106, 465
Monter, gen. — 241, 259, 262
Moraczewski — 296
Moosburg — 64, 75
Moskwa — 46, 55, 106, 157, 211, 258, 264, 281, 282, 306, 337,
344, 345, 348—351, 360, 363, 408, 415, 417—419, 445, 457,
461, 464, 468, 472, 473, 475, 476, 481, 482, 484
Moszyński, red. — 182
Mussert — 36
Muhlberg — 62, 68

N

Naczelny Komitet Akad. — 27
Nakoniecznikoff J. — 109, 110, 187, 188
Narodowa Org. Wojskowa — 126, 127, 206, 235, 312
Narodowe Siły Zbrojne — 114, 128—137, 176, 183, 190, 206—208,
225, 233—235, 239, 247, 299, 312, 403, 421, 425
Narodowe Zjedn. Wojskowe — 312

Narodowy Zw. Koleżeński — 13
Niedziałkowski — 94
Niewiarowski — 451
Niższy Nowogród — 417
Nowakowski M., ks. — 94
Nowogródek — 451
Nowy York — 235

O

Obóz Nar. Radykalny (O. N. R.) — 134, 136, 207, 208
Okulicki L., gen. — 323, 337, 338, 341, 343—345, 349., 395—397,
442, 446—449, 451, 454, 459, 462, 464, 466, 469
Ostróg — 42
Ostrzeszów — 79
Oświęcim — 403
Otwock — 427

P

Paderewski Ign. — 15, 296
Pajdak — 470
Palmiry — 152
Paryż — 477
Paulus von, marsz. — 379, 415
Peszyński St. — 375
Petain — 103
Piasecki B. — 183
Piasecki St. — 103
Pilsudski J., marsz. — 17, 29, 30, 88, 126
Pimonow — 335—341, 344, 455
Pińsk — 56, 57
Piotrków — 280, 298
Pol. Armia Lud. (P. A. L.) — 263
Połock — 451
Prus — 219
Pruszków — 283, 342, 343
Przyjemski M. — 18, 375
Pużak K. — 344, 345, 349, 436, 442, 464

Q

Quisling — 36

R.

Rada Adwokacka — 80, 81
Rada Jedn. Narod. — 206, 267, 293, 337, 442
Radomsk — 280
Radosław — 261
Radwan — 247, 248
Radziwiłł J., ks. — 93
Rafacz, prof. — 219

Rapallo — 414
Rataj M., marsz — 94
Ravensbruck — 363
Rejowiec — 24
Rembertów — 325
Ribbentrop — 54, 430
Roosevelt D. — 260, 265, 308, 327, 444, 466, 471
Rokossowski — 259, 261, 262
Roman — 299
Rudenko — 123, 430, 433, 441, 442, 451, 458, 463
Rybarski R., prof. — 93, 99
Rydz-Śmigły, marsz. — 384
Rykw — 439
Rzepecki — 322, 323, 447

S

Sacha Stefan — 127, 324
Salamucha, ks. — 244
Seydlitz von, gen. — 379, 415
Siedlecki K. — 95
Sienkiewicz H. — 16
Sikorski Wł., gen. — 123, 124, 296
Składkowski, gen. — 83
Śliwiński H. — 191
Słomiński M. — 281
Służba Cywilna Narodu — 206, 215
Smorawiński, gen. — 53
Sommerstein — 212
Sosnkowski, gen. — 462
Stalin — 210, 211, 216—218, 259, 260, 263, 264, 268, 316, 330,
334, 336, 341, 357, 409, 427, 428, 438, 445, 460—462, 466,
481
Staniszki W., prof. — 93
Stankiewicz — 451
Starobielsk — 122
Stemler J. — 338, 344, 345
Świątkowski H. — 224, 403
Switalski — 449
Stypułkowski Wit. — 193, 194
Szolochow — 417
Sztokholm — 235
Szymanów — 59

T

Tajna Rada Adwok. — 375
Talisa — 47
Tarnowski A. — 118
Teheran — 114
Terespol — 59, 60

Tichonow, mjr. — 362, 363—367, 372, 373, 375, 377, 381—386,
388, 389, 395, 396, 398, 399, 401—405, 418, 419, 421—423,
425, 426, 429, 430
Tolstoj A. — 417
Trajdos M. — 95, 99, 324
Tramczyński W., marsz. — 25
Traugutt — 344
Tręblinka — 149
Trocki — 481
Tuchaczewski — 439
Tumidajski — 449
Tym. Nar. Rada Polityczna — 206—208, 219, 299, 312

U

Ulrich, gen. — 213, 441, 449, 451, 455, 456
Umnów, płk — 378, 381, 395, 405—409, 411—413, 417, 419, 439
Ursus — 283—285

W

Warszawa — 10, 12, 14, 15, 17, 36, 38, 80, 83, 95, 100, 114, 115,
126, 138, 139, 150, 152, 153, 156, 165, 188, 189, 213—218,
235, 236, 242, 244, 245, 258—263, 266, 267, 270, 273, 274,
276—280, 282, 285, 286, 290—292, 298, 302—304, 320, 321,
349, 350, 375, 419, 474, 476, 481, 488
Wasilewska W. — 258
Werner — 203—205
Wiazniki — 46, 55
Wilhelm II — 414
Wilno — 182, 183
Wirszyło I. — 87
Witos A. — 212
Witos Winc. — 30, 212, 296
Włochy — 345, 346
Wola, mjr. — 247, 248, 250
Wrocław — 71
Wycech — 403

Z

Zamość — 19, 24, 38
Zawady — 23
Zinowiew — 439, 481
Zurich -- 235
Związek Walki Zbrojnej (Z. W. Z.) — 125, 127, 128, 134, 135
Związek Patriotów — 211
Zwierzyński Al. — 324, 341, 344, 348, 464
Żukow, marsz. — 339, 341, 342, 345, 349, 362, 454, 455, 472
Żymierski — 134, 260, 346, 426

SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
Wstęp	5
Rozdział I	9
„ II	37
„ III	59
„ IV	79
„ V	223
„ VI	273
„ VII	335
„ VIII	435
„ IX	469
Indeks	489